



# DRAGON IN ZLA

ANTOLOGIA

# **DRAGONEZA**

**Antologia opowiadań fantastycznych Kraków 2019**

**Redaktor prowadzący:** Dawid Wiktorski

**Redakcja:** Magda Brumirska-Zielińska, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Izabela Palińska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Anna Rozenberg, Krzysztof Rudomin, Łukasz Skoneczny, Magdalena Świerczek-Gryboś, Alicja Tempłowicz, Dawid Wiktorski

**Korekta:** Aleksandra Buczyńska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Agata Tryka, Matylda Zatorska, Magda Żurawska

**Druga korekta:** Karolina Grzeszczak, Ilona Skrzypczak, Dominika Świątkowska, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka, Matylda Zatorska

**Koordynacja weryfikacji:** Mariusz Flejszar, Damian Szandeccki

**Ilustracja na okładce:** Joanna Wasilewska

**Projekt typograficzny:** Joanna Wasilewska

**Skład i łamanie:** Kamila Dankowska

**Organizator pierwszej edycji konkursu (2010 r.):** Jakub Winiarski

**Kontakt:** [kontakt@fantazmaty.pl](mailto:kontakt@fantazmaty.pl)

**ISBN:**

**epub:** 978-83-66058-18-7

**mobi:** 978-83-66058-19-4

**PDF:** 978-83-66058-17-0

**Oprawa miękka:** 978-83-66058-20-0



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formie.

**Uznanie autorstwa** – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

**Użycie niekomercyjne** – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

**Bez utworów zależnych** – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

## **Projekt Fantazmaty tworzony jest także przez:**

**Redaktorzy:** Amelia Borowiak, Magda Brumirska-Zielińska, Justyna Dąbrowska, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Paulina Grzybowska, Magdalena Kozłowska, Magdalena Liebner, Aleksandra Miaskowska, Izabela Palińska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Krzysztof Rewiuk, Izabela Ryżek, Łukasz Skoneczny, Damian Szandeki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka

**Korektorzy:** Aleksandra Buczyńska, Justyna Dąbrowska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Dominika Świątkowska, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka, Matylda Zatorska, Magda Żurawska

**Weryfikatorzy:** Anita Brzozowiec, Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Eliza Gościniak, Paulina Grzybowska, Mateusz Kempa, Małgorzata Lisiecka, Damian Lupa, Marcin Majchrzak, Aleksandra Nowak, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Aleksandra Smoczyńska, Damian Szandeki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Twarowska, Ewa Wawrzykowska, Natalia Wilczyńska, Dagmara Zadrożna, Joanna Zajęc

**Recenzenci:** Agnieszka Chodkiewicz, Magdalena Czarnecka, Tymoteusz Czyż, Magdalena Drysiak, Anna Flaszka-Szydlik, Eliza Gościniak, Szymon Góraj, Ewa Iwaniec, Mateusz Kempa, Maria Kubiak, Anna Minge, Beata Mróz, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Patrycja Smaga, Damian Szandeki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dagmara Trembicka-Brzozowska, Anna Twarowska, Natalia Wilczyńska, Agata Włodarczyk

**Graficy:** Kamila Dankowska, Dorota Wieluńska

**Strona:** Artur Głowczyński, Sebastian Zarębski

## **PATRONAT:**





MECHANICZNA  
KULTURACJA

## Spis treści

- [Kobieta, która słyszała smoki - Agnieszka Fulińska](#)  
[Wspiąć się na górę Niitaka - Michał Mądrowski](#)  
[Miluś - Artur Olchowy](#)  
[Norddragen - Aleksandra Cebo](#)  
[Żywoźmija - Barbara Mikulska](#)  
[Katechon - Marcin Tomaszewicz](#)  
[Siej kwiaty, zbieraj ogień - Krzysztof Matkowski](#)  
[Zimna Perła - Barbara Januszewska](#)  
[Na psa urok! - Michał Rybiński](#)  
[Żmije - Przemysław Morawski](#)  
[Co dwie głowy, to nie jedna - Krzysztof Rewiuk](#)  
[Dzieci Posejdona - Magdalena Kucenty](#)  
[Wycinki z utraconego świata - Maciej Bachorski](#)  
[Coś do naprawy - Anna Maria Vanitachi](#)  
[Stary bazar - Krzysztof Banach](#)  
[Egzegeza Szalonego Gnostyka - Sylwester Gdela](#)  
[Jedna jedyna - Aleksandra Buczek-Stachowska](#)  
[Popiół - Krzysztof Dezyderiusz Sauter](#)  
[Miniaturka - Magda Brumirska](#)  
[Donnerwetter - Krzysztof Adamski](#)

# KOBIETA, KTÓRA SŁYSZAŁA SMOKI

Agnieszka Fulińska

– A więc jest pani...

– Praczką – odpowiedziała zażywna, około czterdziestoletnia kobieta, biorąc się pod boki. – O ile wiem – ciągnęła, mimo że nikt jej o to nie prosił – nie ma w tym nic złego. Pan jest za młody – to było do Adama – ale pan – wskazała palcem na inspektora Vidocq’a – to powinien nawet pamiętać, jak praczki zostawały księżnymi.

– Tak, tak – wymamrotał Adam, który w dzieciństwie zdążył poznać księżną Gdańska, marszałkową Lefèbvre.

Kobieta, która stała teraz przed nim, trochę ją nawet przypominała.

– Oczywiście. Nie ma nic naganego w byciu praczką. Czyli mówi pani, że...

– No przecież mówię, że słyszę smoki! – Ten ton bardzo przypominał panią marszałkową, przezywaną niekiedy Madame Sans-Gêne.

Adam odniósł wrażenie, że oto cofnął się do czasu, kiedy miał niecałe dziesięć lat i siadywał na kolanach księżnej, podczas gdy ta strofowała jego ojca, jak ponoć dawniej wszystkich na cesarskim dworze, włącznie z samym Napoleonem.

– Smoki – powtórzył inspektor. – To coś dla ciebie – zwrócił się do Adama, odrywając go od wspomnień. – Przejdę się po okolicy, a ty spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej.

Adam nie zdążył rzucić żadnej riposty, nie zdążył nawet przewrócić oczami, ponieważ Vidocq’ żwawym krokiem skierował się ku głównej ulicy miasteczka, pozostawiając go wraz z praczką na podwórzu zajazdu.

– Dla pana, hę? – odezwała się kobieta. – No dobrze, skoro on tak twierdzi.

– To pani przysłała list do agencji? – upewnił się Adam.

Napisana niezbyt wprawną ręką notatka, zaadresowana do „specjalnego biura inspektora”, brzmiała następująco: „Potrzebna pomoc w dziwnej sprawie. Mathieu powiedział, żeby się do pana zwrócić, no to się zwracam. Czekam we środę po obiedzie w oberży André Guyota (znaczy Pod Białym Dzikim)”. Podpis był nieczytelny. Ludzie inspektora prędko ustalili, że wskazana oberża znajduje się w niedużym miasteczku niedaleko Wersalu.

– A co? – zapytała zadziornie praczka. – Bo to ja pisać nie umiem?

– Wspomina pani o dziwnej sprawie...  
– No pewnie! Jakby pan słyszał smoki, to też by pan to uznał za dziwne, co nie?

– Tak, oczywiście... – Adam po prawdzie widział już w życiu tyle dziwnych rzeczy, że mało co było go w stanie zaskoczyć, więc nie wiedział, czy to zapewnienie zabrzmiało przekonująco.

Przez chwilę lustrowała go krytycznym spojrzeniem.

– Bardzo pan młody, za przeproszeniem pańskim, ale może coś pan wie o świecie – zawyrokowała w końcu. – To co, posłucha pan o smokach?

\*\*\*

Dwie godziny później Adam Cardelli, współpracownik biura cesarskiego inspektora do spraw specjalnych, wiedział o każdym obrazie ze świętym Jerzym, jaki znajdował się nie tylko w tej okolicy, ale też w miejscowości, z której pochodziła Adèle Mollard, a i po drodze z Paryża do jej rodzinnej Burgundii.

– One mnie wołają – oznajmiła. – Było, że i komuś do domu wchodziłam, bo wiedziałam, że jakaś gadzinka tam siedzi.

– Dobrze. Znajduje pani te obrazy i co dalej?

– Rzeźby też – powiedziała, po czym jednym tchem wymieniła kilkanaście kościołów.

Adam rozejrzał się, ale inspektora nigdzie nie było widać.

*Zapewne znalazł jakąś cukiernię i napycha się teraz ciastkami – pomyślał ponuro – podczas gdy ja mógłbym napisać traktat o wizerunkach świętego Jerzego w sporej części Francji.*

– Tak. Jestem przekonany, że takie obrazy znajdują się również choćby na porcelanie czy...

– No przecież! W jednym muzeum przez to byłam, a żeby pan wiedział, ile razy zatrzymywałam dyliżans w nieoczekiwanym miejscu. Nie żeby wszyscy chcieli się zatrzymywać – mruknęła. – Zdarzało się, że szłam potem godzinę na nogach z powrotem. A jeszcze gorzej, to jak jadę pociągiem...

Po kolejnej pół godzinie rozmowy Adam nadal nie miał pojęcia, o co może chodzić.

– Boję się, że jak na przykład zaczną mnie z daleka wołać, no bo przecież ja nie jeżdżę po całej Francji albo, uchowaj Boże, po Europie! No, boję się, że wtedy to mogę pracę stracić, a ja wdowa jestem, szanowny panie, z czwórką dzieci, to przecież z tych smoków żadnego dla nich pożytku nie będzie. A pracę mam dobrą, przy pałacu, wprawdzie na salonach nie bywam, no, wie pan, nie wyszłam za właściwego oficera... Bo mój świętej pamięci małżonek był trochę w wojsku, ale poza tym to za kowala tu robił.



Godzinę później Adam doszedł do wniosku, że do tej sprawy trzeba było wezwać jakiegoś pana Balzaka czy innego pisarza, który lubuje się w opisywaniu codzienności. Adèle Mollard była skarbnicą anegdot na temat podparyjskiego życia klas niższych, a przy tym znała też sporo plotek o tutejszych mieszczanach oraz pałacowej służbie. Wszystko to jednak ani trochę nie przybliżyło do sprawy, w której Adam przyjechał tu wraz z inspektorem.

– Czy moglibyśmy wrócić do smoków? – zapytał w końcu, kiedy pani Mollard zamówiła sobie zupę, kazała ją wynieść na zewnątrz, wzruszyła ramionami na uprzejmą odpowiedź Adama, że nie jest głodny, po czym zabrała się do jedzenia.



Oczywiście Adam zaraz pożałował, że nie zdecydował się na posiłek, ponieważ zupa pachniała całkiem smakowicie. I jakkolwiek nie przypominała dań z eleganckich paryskich restauracji, wzbudziła zachwyty tej części artystycznej oraz towarzyskiej śmietanki, która lubowała się w wiejskiej prostocie i w niedzielne popołudnia wybierała się za miasto, by zakosztować życia zwykłych ludzi.

– No więc – powiedziała w końcu pani Mollard – to jest tak. Z początku to tu w okolicy, jak przechodziłam koło kościoła, coś mnie wołało, żeby wejść. Wie pan, ani mój stary nie był pobożny, ani ja jakoś specjalnie nie jestem. Mój świętej pamięci papa był zatwardziałym jakobinem, a że matka zmarła, jak się mój młodszy brat urodził, to nas wszystkie papa wychował, bo go żadna inna potem nie zechciała, charakterny był.

*To chyba rodzinne.*

– No więc trochę żem się nawet przeraziła, czy na stare lata nie chce mnie Pan Bóg klasztorem pokarać, bo wdowy to mogą, wie pan, przy niektórych siostrach zamieszkać. A tu dzieciarnia jeszcze przy spódnicy, znaczy dwoje starszych to już dorosłe, ale najmłodsze, co się po śmierci starego urodziło, jeszcze dziesięciu lat nie ma.

*Smoki* – pomyślał Adam – *blagam*. Ława, na której siedział, nie należała do wygodnych, popołudnie było chłodniejsze, niż się spodziewał, a plany na wieczór w teatrze właśnie odpływały w dal.

– Ale żem weszła, bo tak wołało, że nie szło wytrzymać. – Wzruszyła ramionami. – I wie pan, nic mnie do klękania nie ciągnęło, zakrystian spytał, czy księdza szukam, a ja, że nie, tylko popatrzeć weszłam. Zmierzył mnie takim wzrokiem, wie pan... – Machnęła ręką, po czym wytarła chlebem miskę po zupie i ciągnęła: – A jak już sobie niby poszedł, choć cały czas popatrywał ku mnie, czy czego nie ukradnę albo co, to wtedy zobaczyłam...

– Smoka?

– Ano, pewnie, że smoka – odparła. – Był tam, na takim obrazie niedużym, w kaplicy. I patrzył na mnie takim smutnym wzrokiem, bo go ten Jerzy włócznią do ziemi przyszpilał. No wie pan, ja tam jakoś wężów specjalnie nie lubię, a tu mi się gadziny żal zrobiło. Podchodzę i widzę, że on na mnie okiem łypie i jakby coś powiedzieć chciał.

Adam poruszył się na niewygodnej ławie.

– Smok?

– No przecie, że nie ten Jerzy. Rycerz, proszę pana, to jak z kamienia, że tak powiem. Nieruchomy, jak zaklęty, ścisną tę włócznię, jakby cały świat chciał w miejscu zatrzymać. A gadzina wije się i patrzy na mnie.

Adam wiedział, że ludzie widywali różne rzeczy: a to rozmaitych świętych,

a to nieżyjących królów, a to wracających cesarzy, ale nie słyszał o przypadku widywania smoków. Niemniej Adèle Mollard nie sprawiała wrażenia szalonej – wręcz przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że bardzo trzeźwo stąpa po ziemi.

– Słyszała pani, co mówił? – zapytał ostrożnie.

Kobieta rozpromieniła się, po czym nagle spochmurniała.

– Słyszę je, gadzinki moje – odpowiedziała niemalże z rozczuleniem. – Problem tylko taki, że nie rozumiem. Wie pan, ja nieuczona jestem, szkołę skończyłam z tych, co to je cesarzowa dla wiejskich dziewcząt zakłada, więc list sama napisać umiem i nikt mnie w wyplacie nie oszuka, a i wyhaftować coś mogę, i wszystkie prace domowe znam, jak się patrzy...

*Smoki* – pomyślał błagalnie Adam, zerkając ukradkiem na zegarek. Teatr był już bezpowrotnie stracony: nie zdąży wrócić do Paryża nawet na antrakt, nie mógłby zresztą się tam pojawić w tym ubraniu...

– No więc one w jakimś języku gadają, musi być, co to ja go nienauczona – dokończyła praczka. – Ale pan taki elegancki, to może pan coś wyrozumie. Bo wie pan, ja tak czuję, że one czegoś ode mnie chcą.

– A próbowała to pani zapisać? – zapytał Adam bez większej nadziei.

Pani Mollard spojrzała na niego ze zdumieniem.

– A jak miałabym niby napisać, jak nie wiem, co one mówią?

\*\*\*

Następnego dnia wcześniej rano Adam zatrzymał Nicolasa Schmitta, swojego lokatora i sekretarza, który jak zwykle spieszył się na uniwersytet.

– Będę potrzebował twojej pomocy w kolejnej niezbyt zwyczajnej sprawie.

Na rumianej i pogodnej z natury twarzy Alzatzczyka pojawił się uśmiech.

– Za godzinę mam egzamin – powiedział przepraszająco. – Ale potem oczywiście, cokolwiek pan baron...

Adam westchnął. Od dwóch lat usiłował wprowadzić w domu nieco mniej formalną atmosferę, ale nadal onieśmiał nieszczęsnego studenta.

– Dobrze. Wracaj zaraz po tym egzaminie, zabieram cię na przejażdżkę.

Cztery godziny później wsiedli do lekkiego spacerowego faetona i ruszyli w kierunku Wersalu, gdzie w gospodzie Pod Białym Dzikim czekała już na nich Adèle Mollard. Praczka zmierzyła wzrokiem elegancki powóz i pulchnego Schmitta siedzącego obok Adama, ale wgramoliła się do pojazdu, po czym zajęła się układaniem spódnicy i halek.

– Dobrze, żem włożyła niedzielne ubranie – oznajmiła. – Bo inaczej wstyd byłoby w takich luksusach jeździć. Pan to chyba coś więcej niż policjant, tak mi się widzi – dodała, lustrując Adama od stóp do głów.

Adam rzucił Schmittowi ostrzegawcze spojrzenie mówiące „ani słowa”.

Kościółek w jednej z pobliskich wiosek, do której pokierowała ich pani Mollard, był nieduży i zaniedbany. Drzwi otwały się z upiornym zgrzytem i Adam miał wrażenie, że sam ten dźwięk byłby zdolny obudzić wszystkie drzemiące w okolicy stworzenia, nawet te namalowane.

Adèle poprowadziła ich pewnym krokiem do bocznej nawy, gdzie wisiał dość niskiej wartości artystycznej obrazek, niewątpliwie przedstawiający świętego Jerzego walczącego ze smokiem. Adam wpatrywał się w malowidło i nie dostrzegał tam nic poza – no, malowidłem. Jeszcze rano rozważał zabranie na tę wizję lokalną zaprzyjaźnionego maszkarona, ale całkowite milczenie obrazu przekonało go, że jeśli pani Mollard nie jest obłąkana, to on sam nie reaguje w żaden sposób na zjawisko, z którym mają tu do czynienia.

Student stał natomiast ze zdumieniem malującym się na okrągłej twarzy, której kształt dodatkowo podkreślały oprawki okularów. Poprawił je na nosie i odchrząknął, zwracając się do Adama.

– Za przeproszeniem pana ba... pańskim – poprawił się szybko. – Nie znam się na sztuce... – Adam dostrzegł w jego oczach, że Nicolas właśnie rozważa poszerzenie programu swoich studiów. – Ale czy to jest jakiś cenny obraz?

– Nie – odparł cicho Adam – ale to bez znaczenia. Nie chodzi o obraz. Chodzi o smoka.

– Smoka?

Tymczasem Adèle Mollard przystanęła przed obrazkiem i wzrokiem bony karcącej nieposłuszne dziecko zaczęła wpatrywać się w ogniście czerwonego gada. Adam spodziewał się usłyszeć za chwilę, że najwyraźniej w obecności obcych magia nie działa – ulubiony wykręt różnych oszustów. Kiedy więc praczka wydała głośne westchnienie, był w zasadzie pewny, że tak właśnie się stanie.

– Nadal nic nie rozumiem – powiedziała Adèle Mollard. – Ale niech panowie słuchają.

Po czym wydała z siebie szereg dźwięków, które w uszach Adama nie znaczyły nic. Schmitt pokręcił głową.

– To nie brzmi jak żaden znany mi język, chociaż... – zawiesił głos i wyciągnął notatnik. – Może pani powtórzyć? – zwrócił się do Adèle. – Spróbuję to zanotować i zanalizować w domu... Bo – spojrzał na nią niemal przeprasząco – mogła pani coś zniekształcić, nie rozumiejąc.

Adam wpatrywał się w chłopaka z podziwem. Oczywiście kilka wcześniejszych spraw przyzwyczało już Schmitta, że nie powinien się niczemu dziwić, niemniej absolutny spokój, z jakim podchodził do zleczanych mu zadań, był dla Adama zdumiewający. On sam wprawdzie od dawna zdawał sobie sprawę z istnienia w świecie rzeczy, o których nie śniło się racjonalistom, ale wciąż czuł pewien

dyskomfort na myśl o swoich zdolnościach. Może dlatego, że uparcie uważał się za racjonalistę.

Schmitt natomiast... Cóż, może po prostu nie zauważał dziwności tych spraw: był tak bardzo pochłonięty studiami, że traktował konsultacje z Adamem jako kolejny akademicki problem do rozwiązania.

Adèle poprawiła czepek, zerknęła jeszcze raz na smoka, po czym ponowiła dziwną recytację.

– Może pani nieco wolniej? – zapytał Schmitt.

Po kilku minutach w notatniku studenta widniały niezrozumiałe zapiski, a praczka sprawiała wrażenie całkiem z siebie zadowolonej.

– Czy one wszystkie mówią to samo? – zapytał Adam.

– Wszystkie? – zdziwił się Nicolas.

– A bo to pan paniczowi nie wyjaśnił? – Adèle rzuciła Adamowi ganiące spojrzenie. – Ja już ich ileś tuzinów znalazłam. No i nie wiem, czy mówią to samo, bo się nie wsłuchiwałam.

Student spojrzał na Adama ponuro.

– Pewnie będzie pan chciał, żebyśmy do każdego z nich pojechali?

– Jeśli chodzi ci o egzaminy, to napiszę do kogo trzeba...

– Ja nie powinienem tak często... – Nicolas zagryzł wargę.

Adam widział, że wypowiedzenie tego zdania przyszło mu ze sporym wysiłkiem.

– Jesteś ważnym konsultantem cesarskiego inspektora do spraw specjalnych.

Na okrągłej twarzy Schmitta zdumienie mieszało się z niepewnością i lekkim przerażeniem.

– Poza tym na razie wystarczy, że odwiedzimy te w pobliżu, a potem wezmę panią Mollard na przejażdżkę po całym Paryżu, na pewno i tam coś się znajdzie.

\*\*\*

Przez następne trzy dni jeździli po okolicach Paryża, Adèle wsłuchiwała się w obrazy i rzeźby, Schmitt robił notatki, Adam zaś jedynie się temu przyglądał. Czwartego dnia odebrał panią Mollard z dworca Saint-Lazare, którego nowy budynek wzbudził zachwyt kobiety.

– Jak pałac, tylko trochę mniejszy – oznajmiła. Miała na sobie jeszcze obszerniejszą suknię, zapewne już nie niedzielną, ale przeznaczoną na specjalne okazje.

Adam nie miał powodów, by nie wierzyć jej, że nie bywała często w mieście. Rozglądała się po okolicach dworca, jakby ich nigdy wcześniej nie widziała, a jej sposób bycia jasno wskazywał, że jest osobą prostolinijną, a nie intrygantką

i oszustką. Vidocq zapewne skomentowałby te obserwacje z typowym dla siebie sarkazmem, ale Adam postanowił zaufać własnemu instynktowi.

Wsiedli do wynajętej wcześniej dorożki i skierowali się powoli ku centrum miasta. Adèle zignorowała znajdujący się za rogiem kościół de la Sainte-Trinité, więc Adam skrzętnie odnotował, że należy sprawdzić wewnątrz. Nie przyciągnął jej również pobliski plac Saint-Georges ani ulica o tej samej nazwie. W obu tych miejscach, co Adam sprawdził już wcześniej, nie było żadnych smoków. Mijali kolejne kościoły i nic, aż nagle pod Saint-Roch pani Mollard, która dotychczas po prostu rozglądała się po ulicach z zaciekawieniem, zażądała, aby fiakier stanął.

W środku znaleźli spory obraz olejny, na oko Adama wyjątkowo nieudaną kopię znajdującego się w Luwrze obrazu Rafaela.

– Aha – powiedziała triumfalnie Adèle. – Jesteś tu, skarbie. A jak nie ma tego studenta, to pan zapisze – rozkazała Adamowi.

Kilka godzin później, odwiózłszy panią Mollard z powrotem na dworzec, Adam zajeżdżał pod nieduży pałacyk w Villiers, formalnie należący do jego ojca, ale obecnie zamieszkiwany przez niego, Schmitta i trzy osoby ze służby.

Podał czekającemu w bibliotece studentowi kartki z notatkami z trzech kościołów i Luwru. Towarzyszka Adama wzbudziła niejako zdumienie dyrektora muzeum, on sam musiał jednak przyznać, że jakkolwiek komentarze Adèle były niekiedy rozczulająco naiwne, spacer po galeriach z kimś całkowicie nieznanym się na sztuce, komu mógł pokazać coś nowego, sprawił mu sporą przyjemność.

– No i jak? – zapytał Schmitta. – Wymyśliłeś coś?

Nicolas pokiwał głową. Nie było to ani potwierdzenie, ani zaprzeczenie.

– To niestety nie ma sensu – rzekł, rozkładając na biurku notatki zrobione przez Adama oraz kartki z własnymi uwagami. – Za każdym razem zapis jest trochę inny, choć jestem w stanie znaleźć podobne słowa. Widzi pan, jak dobrze się temu przyjrzeć i pokombinować, da się ułożyć pojedyncze słowa po francusku, niemiecku, łacinie, może nawet i po aramejsku. Oczywiście jest to materiał tylko z okolic Paryża, ale nie sądzę, żeby dalsze badania wiele tu wyjaśniły... – Podniósł jasne, niebieskie oczy na Adama. – No i może to być zwykły przypadek. Jest też sporo tekstu całkowicie niezrozumiałego. Próbowałem na wspaniał, wyobrażałem sobie, co mogła słyszeć pani Mollard, szukałem po różnych słownikach. Nic.

Kilka na pozór beznadziejnych spraw nauczyło Adama, że nie należy się szybko poddawać. Wziął do ręki jedną z kartek. Zapiski były krótkie, smoki najwyraźniej nie mówiły do pani Mollard zbyt dużo, ale razem uzbierał się spory tekst.

Ciągi liter, a nawet wypisanych przez Schmitta pojedynczych słów, nie układały się w sensowną całość, coś jednak przyciągnęło uwagę Adama. Coś,

czego Nicolas, choć był niezwykle pilnym studentem, mógł jeszcze nie wiedzieć, a o czym on dość często słuchał na rautach.

– Myślałeś o baskijskim? – zapytał.

– To język niepodobny do żadnego innego... – zaczął niepewnie student. – Niestety nie miałem jeszcze okazji zapoznać się z nim, chociaż...

– Dam ci list do księcia Louisa Luciena – przerwał mu Adam. – Jutro pojedziesz to z nim skonsultować.

Jeśli oczy Schmitta mogły zrobić się jeszcze bardziej okrągłe, to właśnie tak się stało.

– Nie bój się – powiedział Adam z uśmiechem. – To nie smok, nie zje cię. I jutro zapewne znajdziesz go w instytucie, więc nie czeka cię żadna straszna pałacowa wizyta. Margot odprasuje ci idealnie ubranie, nie przejmuj się niczym.

Po minie swojego młodego przyjaciela widział jednak, że Nicolas tej nocy nie zaśnie. Wiedział też, że nie jest to tylko kwestia spotkania z osobą z cesarskiej rodziny: Schmitt był przerażony wizją poznania jednego z najwybitniejszych lingwistów na świecie.

\*\*\*

Następnego ranka Adam osobiście dopilnował, żeby niewyspany i ledwie trzymający papiery w trzęsących się rękach student wszedł do dorożki. Osobiście też zapłacił fiakrowi za kurs do instytutu i przykazał nie słuchać, gdyby pasażer chciał wysiąść gdziekolwiek indziej.

Sam napisał telegram do zaprzyjaźnionego księdza na południu Francji – Jacques, *valet* Adama, zaniósł go do biura telegrafu – oraz liścik do Vidocqa, który posłaniec zawiózł na drugi koniec Paryża. Następnie objechał kościoły zignorowane przez panią Mollard. W żadnym nie znalazł śladów świętego Jerzego.

Późnym popołudniem udał się konno pod adres, który zapisała mu praczka. Pani Mollard wynajmowała nieduże mieszkanie w domu stojącym właściwie już na granicy miasteczka, dwie niskie kamienice dalej zaczynał się las. W środku było schludnie, choć ubogo. Dwunastoletni chłopiec ślęczał nad tanią powieścią, w kącie bawił się drugi, na oko Adama co najwyżej siedmiolatek, zapewne ten najmłodszy, o którym wspominała.

– O, jest pan. Ugotowałam właśnie rosół, zje pan? Tu nikt nie zauważy, że pożywia się pan po chłopsku – zaśmiała się.

Adam wymamrotał coś w odpowiedzi, przypominając sobie, że kilka dni temu w oberży wyglądał zapewne na głodnego, a mimo to nic nie zamówił.

– Chętnie skosztuję – odparł, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść.

– Martin! – zawołała Adèle. – Zrób panu miejsce przy stole.



– Niech czyta – powiedział szybko Adam.

– Ech, czyta i czyta – mruknęła matka. – Najstarszy przejął kuźnię po ojcu, ich siostra dostała właśnie pracę pokojówki, a ten by tylko w książkach siedział. Co z tego dla niego będzie, za przeproszeniem pańskim? Gdyby choć do wojska go ciągnęło, to może by jakąś karierę zrobił, ale tak?

Adam zauważył, że nie mówiła nic o najmłodszym dziecku, ale ono pewnie co najwyżej pomagało jej w domu.

– Nicolas Schmitt też jest synem kowala – zauważył Adam.

– I co? Rozwiązał ten pański Schmitt zagadkę moich smoków? Nie powiem, miły z niego chłopak, ale czy co z tej jego pisaniny wyjdzie?

Adam podszedł do Martina i zajrzał do rozłożonej na stole książki. Chłopak poderwał się niemalże na baczność.

– „Trzej muszkietierowie”, proszę jaśnie pana – powiedział z mieszaniną dumy i niepewności.

Adam poklepał go po ramieniu.

– Siadaj i czytaj.

Pani Mollard pognęła jednak dzieci do kuchni, zastawionej baliami z praniem, i zabrała się za wygładzanie tapicerki na starym połatanym fotelu, z którego zdjęła suszące się prześcieradła.

– No, może się nada – oznajmiła, przyglądając się krytycznie meblowi. – To co z moimi smokami, hę? Bo coś czuję, że nic pan na razie nie wie z tej pisaniny.

– Z tej pisaniny nie – odparł Adam.

*I w ogóle nic nie wiem* – pomyślał.

– Przyjechałem dopytać panią o jeszcze parę szczegółów, które mogą pomóc w rozwikłaniu zagadki. Przede wszystkim, kiedy to się zaczęło?

Adèle Mollard zmrużyła oczy i zaczęła liczyć na palcach, mruczając coś pod nosem.

– Będzie tak ze cztery lata, może i pięć. Na pewno po tym, jak zmarł mój stary, ale jego matka jeszcze żyła, bo pamiętam, że jak jej raz powiedziałam, to mnie zrugła, że z szatańskim pomiotem się zadaję. Ona nie bardzo mnie lubiła przez tego ojca jakobina, chociaż dwudziestu lat nie miałam, jak wywędrowałam z domu za pracą i zapomniałam o ojcowskich kazaniach.

*Cztery albo pięć lat zatrzymywania się przy kościołach, wpatrywania w obrazy, słuchania dziwnych szeptów w nieznanym języku* – pomyślał Adam. A mimo to kobieta, która podała mu właśnie miskę dymiącej zupy i przysiadła na taborecie, zabierając się jak gdyby nigdy nic do jedzenia, nie sprawiała ani przez chwilę wrażenia obłąkanej, melancholijnej czy choćby przerażonej tym, co jej się przydarzyło.

– Wie pan – mówiła między kolejnymi łyżkami rosółu, bardzo smacznego,

trzeba było przyznać – z początku to tak tylko trochę wołało, ale ostatnio słyszę te wszystkie głosy w głowie i zaczęło ich być trochę za dużo.

– A gdzie indziej widuje pani te smoki?

Pokręciła głową.

– Wie pan, nawet jak tak teraz myślę, to mówią do mnie tylko te, co je święty dopadł. Bo jakżeśmy tak jeździli po tym Paryżu, to widziałam przecież tu i ówdzie smoka na domu czy fontannie i nic. Jakby... wie pan, jakby one były wolne?

Adam zastygł z łyżką uniesioną do ust. Wśród zapisków, które Schmitt poczynił na podstawie nieskładnych wypowiedzi podyktowanych przez Adèle, znajdowało się kilka słów przywodzących na myśl „wolny”, „wolność”...

– One chcą, żeby je uwolnić, tak pani myśli?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak właśnie myślę. Tylko nie wiem, jak to zrobić. Pomoże mi pan?

\*\*\*

Adam postanowił skrócić sobie drogę powrotną przez ogrody wersalskie. Jechał bokiem, spoglądając ku sztucznym jeziorom, połyskującym w świetle zachodzącego słońca. Konie Heliosa wyskakiwały jak zawsze ze środka wielkiej fontanny na osi pałacu, jakby rzucały wyzwanie porze dnia. Patrząc na nie z oddali, przypomniał sobie inną rzeźbę, znajdującą się w sadzawce bardziej na uboczu. Skierował tam konia i chwilę później stał naprzeciwko złotego smoka, dumnie unoszącego ku górze łeb i łapy, gotującego się do lotu. Niemalże odniósł wrażenie, że ta rzeźba chce pociągnąć go za sobą ku niebu.

Pani Mollard pracuje „przy pałacu”, jak się wyraziła.

*Czy mogła widzieć tę fontannę? Pewnie tak.* Wzruszył ramionami, po czym spiąłszy konia do szybkiego truchtu, ruszył w kierunku Villiers.

Jeśli zapomniał, jakim zadaniem obarczył Schmitta, to mina siedzącego na schodkach studenta z pewnością mu o tym przypomniała. Nicolas wyciągnął ku niemu książkę, na której widniała dedykacja.

– Dla mnie – powiedział z zachwytem. – Naprawdę dla mnie. – Spojrzał przepraszająco na Adama. – Jak przyjechałem, to księcia akurat nie było, więc poszedłem do księgarni i znalazłem ten tom. Chyba mi pan wybaczy?

Adam roześmiał się i usiadł koło niego. Bardziej wyczuł, niż usłyszał, ruch gdzieś powyżej, na murze: to pewnie maskaron hasał po ścianie, obudziwszy się wieczorem.

– Wybaczę, jeśli nie zapomniałeś, po co cię tam wysłałem i w związku z tym masz dla mnie jakieś wieści.

Schmitt skrzywił się nieznacznie.

– Nie wiem, czy one wystarczą na wybaczenie – powiedział. – Bo wiele tego nie ma. Ale jedno jest – zastrzegł się szybko. – I to niewątpliwie smok.

Adam omal nie podskoczył z zaskoczenia.

– Tu. – Nicolas wyjął z kieszeni kartkę. – Usiłowałem to rozszyfrować po francusku i po niemiecku, ale nie miało sensu. A książkę podsunął takie imię.

Na kartce było napisane „Herainsuge” oraz kilka podobnie brzmiących imion z jakimiś dopisanymi nazwami w nawiasach. Adam uniósł pytająco brwi.

– Herainsuge, stworzenie z baskijskich wierzeń, siedmiogłowy smok zachodzącego słońca – wyjaśnił Schmitt. – I jego imię w różnych dialektach, o, widzi pan...

Po pięciu minutach wykładu o tym, jak smok nazywa się w poszczególnych wioskach, Adam machnął ręką.

– Widzę, że znaleźliście wspólny język – powiedział z lekkim przekąsem. – Ale może wróćmy do naszych smoków.

Nicolas zarumienił się.

– Po prawdzie umówiłem się na lekcje baskijskiego – powiedział cicho. – Ale już wracam do smoków. Oczywiście w części legend Herainsuge zostaje zabity przez różnych bohaterów, choć to raczej, no wie pan, takie kościelne dodatki. W oryginalnych podaniach, kiedy wyrasta mu siódma głowa, staje w ogniu i odlatuje na zachód, ku oceanowi.

*Złoty smok w Wersalu – pomyślał Adam. Z jedną głową, ale pewnie architekci Ludwika XIV nie znali baskijskich legend. Król Słońce, Helios, smok słońca...*

– Zdaniem pani Mollard one chcą, żeby je uwolnić – powiedział.

Nicolas wpatrywał się w zamyśleniu w swoje notatki.

– Wie pan, każdy sobie pewnie pomyśli, że te smoki to szatan, ale jak archanioł Michał pokonuje szatana, to on jest, no, diabłem, a nie smokiem. Więc może tu chodzi o coś innego?

Adam przypomniał sobie o wysłanych listach. Wbiegł do domu i na stoliczku w holu zobaczył kopertę biura telegramu. Rozerwał ją szybko i przeczytał:

*Drogi Panie Baronie, powszechnie smok uważany jest po prostu za symbol szatana, ale są szaleńcy, którzy poszukują dowodów na realne istnienie takich stworzeń, żeby przydać powagi świętemu, którego samo istnienie bywa podważane. Św. Jerzy jest czczony we Francji, ale jednocześnie jako patron Anglii nie jest zanadto popularny wśród szerokich mas. Proszę jednak pamiętać, że smoki nie zawsze są uważane za złe, bywają też obrońcami i opiekunami. Z wyrazami szacunku, Pierre.*

– Pewnie masz rację. – Adam podał list Schmittowi, który nadal siedział na schodkach wpatrzony w gwiazdy na niebie. – Może tu chodzi o coś innego.

\*\*\*

Odpowiedź, którą dostał z biura inspektora następnego dnia, podawała liczbę około sześćdziesięciu miejscowości Saint-Georges we Francji, a także informację, że spora część kościołów i kaplic pod tym wezwaniem została zniszczona w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim.

*Rewolucja – pomyślał Adam – zamykała wiele kościołów, ale czyżby istniał jakiś szczególny powód, żeby wystąpić akurat przeciwko temu świętemu?*

*„Ściska tę włócznie, jakby cały świat chciał w miejscu zatrzymać” – tak powiedziała Adèle Mollard. Ludzie uważają smoka za symbol szatana, ale nie wszędzie, nie zawsze. Czarodziejka Kirke, córka Heliosa, miała rydwan zaprzężony w smoki. Smoki to synowie Aresa, ojcowie wojowników... Dlaczego święty, który jest patronem rycerzy, miałby zabijać smoka, praojca jego podopiecznych?*

Adam czuł, że pytania wirują w jego głowie, ale nad wszystkim góruje złoty smok z wersalskiej fontanny.

Było wcześniej, niemniej pani Mollard dostarczyła już pewnie czyste pranie – dokądkolwiek je zawoziła rano – a teraz może pracowała w domu... Adam kazał osiodłać konia i pognął z powrotem do Wersalu.

Zastał ją z rękami w jednej z balii, nucącą pod nosem jakąś wesołą piosenkę.

– Ach, to pan – powiedziała, nie zmieniając pozy. – Dobrze, że pan przyjechał, poda mi pan mydło, bo to się kończy. – Wyciągnęła jedną rękę z wody, pokazując cienki płatek. – Niemłoda już jestem, to jak raz w miarę wygodnie usiądę, wołę nie wstawać, bo kości bolą. O, i tarkę niech pan może przysunie nieco bliżej, jak już pan tu jest.

– Prawdziwa z pani Madame Sans-Gêne – rzekł, przypominając sobie skojarzenia przy ich pierwszym spotkaniu.

– Hę? – zapytała.

– Tak przezywano tę praczkę, która została księżną – wyjaśnił. Nie dodał, że z powodu niewyparzonego języka i absolutnej bezpośredniości.

– Ach, no tak.

– Pani mi ją przypomina, poznałem ją w dzieciństwie.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Mówiłam, że z pana coś więcej niż policjant – mruknęła. – Ale do rzeczy. Dobrze, że mi pan pomógł, ale nie przyjechał tu pan uczyć się, jak prac.

Adam usiadł na tym samym fotelu co wczoraj i przez chwilę przyglądał się, jak pracowała, zupełnie nie przejmując się jego obecnością.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Kiedy po raz pierwszy tu przyjechaliśmy, powiedziała pani o pałacu, o swojej pracy....

– Ano. Piorę pościel i bieliznę służby pałacowej.

– Bywa pani czasem w ogrodach?

Wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo mam czas, ale raz wybraliśmy się tam z moim starym, żeby zobaczyć te cudaczne rośliny. To było dawno, najmłodszego jeszcze na świecie nie było, a Martin był mały...

– Widziała pani smoka? Tego z fontanny? – Czuł, że serce bije mu mocno, jakby obawiał się, że Adèle Mollard zaprzeczy.

Ona jednak przerwała pranie i podniosła ku niemu wzrok. Na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec, niepasujący do surowych, grubo ciosanych rysów. Z wszelkich reakcji, jakie Adam sobie wyobraził, ta była najbardziej niespodziewana.

– Alem sobie wtedy wstydu narobiła – powiedziała, opierając podbródek na dłoniach. – Nie wiem, czy powinnam to panu opowiadać.

– Proszę, niech pani opowie – odparł. – To może mieć znaczenie...

– A, jakie tam znaczenie! – Machnęła ręką, a spośród jej palców posypały się mydlane bańki mieniające się barwami tęczy. – Po prostu wpadłam do wody i tyle. Ale żem się poślizgnęła, bo tam diabelnie ślisko w środku, to wylądowałam, za przeproszeniem pańskim, z nogami w górze, a spódnicą w dole. Ledwie mnie mój stary wyciągnął z tej fontanny. Ot, cała historia. Dobrze, że to lato było, bo inaczej pewnie by mi przyszło na płuca zemrzeć.

Adam domyślił się, że scena ta musiała wzbudzić niemałe zainteresowanie zwiedzających ogrody, a jego rozmówczyni zapewne stała się na krótką chwilę pośmiewiskiem gawiedzi.

– Pani dotknęła tego smoka?

Spojrzała na niego, jakby był dziwowiskiem znacznie większym niż gadające smoki na obrazach.

– No przecież jakoś musiałam się podnieść.

– To wtedy się zaczęło, prawda? To on panią podniósł, a pani chciała z nim polecieć ku zachodzącemu słońcu?

Pokręciła głową, wracając do pracy, a Adam poczuł się niewymownie głupio. Wyobraźnia spletała mu figla wczoraj wieczorem, potem rewelacje Schmitta zrobiły swoje.

– Wie pan co, takie rzeczy to może wielkie panie z towarzystwa albo aktorki jakie – zachnęła się. Po czym spuściła wzrok i westchnęła. – No, ja bym tego tak nie ujęła, ale jak myślę, co pan powiedział, to może to i prawda – zastanowiła się.

– W sumie było już pod wieczór.

Wypuściła z rąk pranie i utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie.

– Ale to nie zaczęło się wtedy – dodała cicho. – Choć, wie pan, ja naprawdę nie

łączyłam tego wszystkiego ze sobą.

Odwróciła się na taborecie i opowiedziała mu, jak po śmierci męża, kiedy była w ciąży z najmłodszym z dzieci, poszła jeszcze raz w tamto miejsce. W małżeństwie różnie bywało, ale była do „starego” przywiązana, a tu kolejny dzieciak w drodze, najstarszy ledwie się do zawodu przyuczył, nie wiedziała, jak sobie życie ułożyć. Poszła więc w miejsce, gdzie choć narobiła sobie wstydu, czuła się dziwnie szczęśliwa, bo mąż, jak już ją wydobył z tej wody, to tak ją przytulił, że jej się ciepło na sercu zrobiło, a i ten najmłodszy, Lionel, to pewnie owoc tej nocy. Tak go potem nazwała, bo chciała, żeby był silny jak lew, ale on...

...Nie dokończyła. Wróciła do tamtego wieczoru, kiedy chłopca nie było jeszcze na świecie. Wieczoru, kiedy usiadła na brzegu fontanny i wpatrywała się w złotego smoka, marząc, żeby zabrał ją do krainy zachodzącego słońca...

Adam tak się zasłuchał, że nie usłyszał cichych kroków w kuchni. Dopiero kiedy chłopczyk stanął w drzwiach pokoju, zauważył go. Lionel patrzył prosto na niego ciemnozłotymi oczami.

– *Maman* musi wezwać te smoki, które trzeba uwolnić – powiedział. – Pan jej w tym pomoże, prawda?

Adèle Mollard patrzyła na syna ze zdumieniem, po czym wybuchnęła płaczem, tuląc dziecko do siebie. Adam niewiele rozumiał z tej sceny, dopóki kobieta nie uspokoiła się nieco i zdołała powiedzieć przez łzy przemieszane ze śmiechem:

– On... nigdy... dotychczas... nie mówił.

\*\*\*

W promieniach zachodzącego słońca złoty smok jakby wrywał się do lotu. Światło układało się tak, że rozbłyski i refleksy tworzyły złudzenie kilku dodatkowych głów wyrastających z potężnego cielska, ale może Adamowi tylko się tak wydawało. Adèle Mollard weszła do fontanny wraz z małym Lionelem i objęła smoka za szyję. Dziecko przysiadło u stóp stwora, wzbudzając wodę nogami. W cieniu żywopłotu Adam dostrzegł zwalistą sylwetkę inspektora, który zadbał o to, żeby w tej części ogrodów nie pojawili się dziś wieczorem niepożądani goście.

Słońce zniżało się coraz bardziej i Adam zaczynał tracić nadzieję, że cokolwiek się wydarzy. Ale w chwili, kiedy stało się wielką kulą tuż nad horyzontem, złoty smok w fontannie zapłonął czerwienią, a chwilę potem całe niebo zaroilo się skrzydlatymi istotami.

Zlatywały się ich dziesiątki: małe, duże, piękne i pokraczne, złote, czerwone i czarne, by stać się jednością z wielkim siedmiogłowym smokiem, który w ostatnich promieniach wyrwał się ku niebu i pofrunął ku poświacie

rozświetlającej horyzont.

Lionel chlapnął wodą w stronę stojącego tuż za ocembrowaniem fontanny Adama.

– One nie odeszły – powiedział. – One tu zostaną, niewidoczne, żeby strzec ludzi przed tym, co się czai w ciemności.

Po czym wstał i przytulił się do matki, która stała wpatrzona w horyzont. Ze swoją przysadzystą sylwetką, obfitą spódnicą i nieco przekrzywionym czepkiem nie przypominała heroin z obrazów czy romansów, ale Adam miał nieodparte wrażenie, że jej historia jest znacznie bardziej niezwykła niż wiele z tych, które wymyślają pisarze.

*Bardziej niezwykła nawet od praczek zostających księżnymi – pomyślał.*

\*\*\*

Dwa dni później przeczytał w gazecie o wypadku, jaki spotkał obraz Rafaela w Luwrze: płótno spadło w nocy i uległo nieodwracalnym uszkodzeniom. Pobiegł natychmiast do muzeum, gdzie skonsternowany dyrektor zgodził się pokazać mu obraz jako współpracownikowi cesarskiego inspektora. Adam wyrzucał sobie, że wcześniej nie zainteresował się losem dzieł sztuki, ale uwolnienie smoków wydało mu się ostatnim aktem tej historii.

Kiedy dyrektor odsłonił płótno, Adam omal nie krzyknął. Smoka nie było, ale nie to przeraziło go najbardziej. W miejscu, gdzie wcześniej znajdował się gad, teraz kłębiło się coś, czego nawet nie potrafiłby opisać, a co budziło w nim najgorsze koszmary. Poczł mdłości.

– Wie pan... – Z otumanienia wybiły go słowa dyrektora. – Żeby ktoś tak wdarł się po nocy i zachlapał to czarną farbą...

– Pan nie widzi tu kształtów? – zapytał słabym głosem Adam.

Dyrektor spojrzł na niego ze zdumieniem.

– Podziwiam pańską wyobraźnię – powiedział z lekkim sarkazmem – ale dla mnie plama to plama. Bezkształtna.

W ciągu następnych dni kilka gazet, głównie prowincjonalnych, doniosło o podobnych aktach zniszczenia, dokonanych w kościołach na rzeźbach i obrazach przedstawiających świętego Jerzego. Adam pojechał w niektóre z tych miejsc; nie musiał odwiedzać wszystkich, żeby wiedzieć, co tam zobaczy. Wijący się czarny kształt przyszpilony włócznią do ziemi.

Biuro inspektora do spraw specjalnych zwróciło się do ministerstwa spraw wewnętrznych z prośbą o wprowadzenie zakazu pisania o tym w gazetach, aby nie szerzyć paniki.

– Nie na wiele się to pewnie zda – mruknął Vidocq znad sterty czasopism. – Miejmy jednak nadzieję, że ludziom szybko znudzi się ta sensacja, jak każda

inna. Wygląda na to, że takich, którzy widzą to, co ty – zwrócił się do Adama – nie jest bardzo dużo, pewnie zaledwie garstka. Niestety próby zdjęcia tej czarnej farby albo namalowania na niej z powrotem smoka jak na razie spełzły na niczym, co pewnie cię nie dziwi.

Po tygodniu Adam pojechał z powrotem do Wersalu. Adèle Mollard nie zmieniła się, aczkolwiek w jej oczach było więcej radości.

– Wie pan – powitała go – może nawet w końcu przyjmę oświadczyzny oberżysty. Niedobrze jest być wdową, a to pranie coraz ciężej mi idzie. Rosół dobry robię, flaki umiem przyrządzić, to do kuchni się nadam. Niech pan przyjedzie na wesele, to się pan przekona, że Pod Białym Dzikim naprawdę nieźle dają jeść.

Adam potaknął, po czym powiedział:

– Chciałbym zabrać Lionela na małą przejażdżkę, jeśli pani pozwoli.

Wzruszyła ramionami.

– A niech go pan bierze. Nie zaznał dzieciak wiele radości w życiu jako niemowa, miałam go już oddać do szkoły dla takich, a tu proszę, cud. Niech trochę świata zobaczy to moje smocze dziecko.

Adam spojrzał na nią pytająco, ale chyba – w przeciwieństwie do niego – nie miała nic szczególnego na myśli.

Pojechali do najbliższego kościoła, gdzie znajdował się wizerunek świętego Jerzego. Adam z mdlącym obrzydzeniem patrzył na czarny kształt na witrażu, przez który ledwie przebijały się promienie słońca. Nagle poczuł, że Lionel chwyta go za rękę swoją dziecięcą dłonią. Przerażony, że chłopiec może widzieć to, co on, i mieć podobne odczucia, spojrzał w dół, ale dziecko patrzyło na niego złotymi oczami, w których nie było strachu.

– Niech pan popatrzy dobrze – powiedział, wskazując na witraż. – On, ten rycerz, widzi pan?

Słońce musiało padać dokładnie na okno, ponieważ szkło było rozświetlone złotem i czerwienią, w której kształt rycerza zamieniał się w smoka, a włócznia w szponiastą łapę, przyciskającą znieruchomiałą teraz czarną plamę do ziemi.

– Widzi pan, prawda? – powtórzył chłopiec. Adam potaknął. – To czarne chciało nas zabić, unieruchomić, ale mu się nie uda – powiedział Lionel.

– Co to jest? – zapytał Adam, choć czuł, że już wielokrotnie spotkał się z czymś niezrozumiałym, co mieszało ludziom w głowach, mąciło myśli, zatruwało życie, zabijało. Po raz pierwszy zobaczył to jednak żywe, prawdziwe.

Dziecko pokręciło głową.

– Nie wiem – powiedziało jakby nie swoim głosem. – Coś paskudnego. Skądś przyszło i kiedyś będziemy musieli się z tym zmierzyć. – Umilkło. – Kupi mi pan ciastko? – zapytało już zwykłym dziecięcym głosem.



Adam wzdrygnął się i wyprowadził syna smoka na słoneczny plac, po czym zabrał go na długą przejażdżkę, podczas której nie wstępowali do żadnych miejsc, gdzie mogłyby czaić się czarne bezkształtne potwory.

# WSPIĄĆ SIĘ NA GÓRĘ NIITAKA

Michał Mądrowski

Steven Joseph Woodworth miał bolesną pobudkę: uderzył głową o podłogę. Serce waliło mu jak oszalałe. Okazało się, że spadł z łóżka. Jego przyspieszony oddech mącił ciszę. Potrzebował chwili, by dojść do siebie. Po minucie zaczął rejestrować to, co działo się dookoła. Znajdował się w kwaterach marines, w jednej z izb żołnierskich. Wszystkie łóżka były puste. Chłopcy prawdopodobnie poszli już do łaźni na poranną toaletę.

*Jezu, mój łeb!*

Wolałby jeszcze pospać. Wczorajszy wieczór nieco wymknął się spod kontroli. Steve w gardle miał pustynię. Sięgnął po szklankę z bliżej nieokreślonym płynem. Usiadł i wypił do dna. Na szczęście to była woda. Ulga.

Wreszcie szerzej otworzył oczy. Uświadomił sobie, że to cisza wyrwała go ze snu. Od kilku miesięcy co noc rozlegała się symfonia oddechów i chrapania kilkunastu współtowarzyszy. Dziś tego zabrakło. Instynkt podpowiadał, że coś jest nie tak. Ktoś musiał zrobić po pijaku jakieś głupstwo. Pulsowanie pod czaszką weszło na nowy poziom. Przeczował, że nocna impreza w barakach napyta żołnierzom biedy.

Skołtunione koce leżały na podłodze. Trudno będzie przejść, by się o coś nie potknąć. Fragmenty umundurowania i przedmioty codziennego użytku tworzyły niespotykany tu nigdy wcześniej bałagan. Wszystko wskazywało na to, że lokatorzy opuścili pokój w wielkim pośpiechu. Jak mógł niczego nie usłyszeć?

*Jaja sobie robicie?* – pomyślał, bezskutecznie próbując znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Musiał sprawdzić, dlaczego koledzy wyszli tak wcześnie w niedzielny poranek. Stanął chwiejnie na nogach, sprężyny materaca głośno zaskrzypiały. Ziewnął i przeciągnął się z głośnym westchnieniem. Rzucił okiem na zdjęcie ślicznej bużki, wiszące na ścianie. Rita Hayworth posyłała mu całusa. Robiła to każdego ranka od wielu tygodni. Stał tak chwilę w samych spodenkach, próbując doprowadzić swój umysł do stanu używalności.

Sala pomalowana na zgniłozielony kolor miała surowy wystrój. Pośrodku pozostało niewiele wolnej przestrzeni. Nad drzwiami widoczny był wytarty napis

„Semper Fidelis”. Motto korpusu odnosiło się do niezachwianej wierności jego członków.

*Wierni* – oburzył się w duchu. *Z której, kurwa, strony?*

Stevena z zamyślenia wyrwał szmer za oknem. Dźwięk przeszedł po chwili w głośny świst. Chłopak zdał sobie sprawę, że to pierwszy odgłos z zewnątrz, jaki usłyszał po przebudzeniu. Zaniepokoił się i odwrócił, by spojrzeć przez okno.

Na pierwszym planie baraki i wieża sygnałowa, ćwierć mili dalej linia brzegowa basenu portowego, rysująca się wyraźnie za częściowo przesłaniającymi ją budynkami. Trochę dalej majaczyła Ford Island, wyspa-lotnisko. Połyskujące okręty unosiły się na tafli gładkiej jak lustro, a czerwone słońce wschodziło, wstydliwie wychylając się zza wzgórza.

Steve uniósł głowę. Gwieździsty sztandar poruszał się leniwie na maszcie w centralnym punkcie placu defilad. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Tylko ta cisza.

Podszedł z powrotem do łóżka, by się ubrać. Trwało to kilka chwil. Gdy już chciał wyjść na zewnątrz, usłyszał cichy warkot. Dźwięk narastał miarowo i dobiegał zza hangaru. Wyrzał przez okno i stwierdził, że to odgłos silnika wysłużonego Willysa. Pojazd wzniewał tumany kurzu na drodze wiodącej od strony portu. Steven śledził go wzrokiem. Oparł dłonie na parapecie i czekał na intrygującego przybysza. Za kierownicą siedział żołnierz ledwo trzymający w ryzach pędzącego jeepa. Pospiesznie zaparkował przy południowej ścianie hangaru i gdy tylko dostrzegł Stevena, pognął w jego kierunku.

– Słyszałeś, człowieku?! – darł się co sił blondyn. – Słyszałeś meldunki?!

Steve zaniepokoił się i zmarszczył brwi. Dłonie zacisnął w pięści.

– Mam kolegę na McGrew Point! – wrzasnął znów tamten, machając rozpaczliwie rękoma i wskazując dłonią niewidoczny punkt w oddali. – Zbliżają się! Stary, to nie ćwiczenia!

I znów ten świst powietrza, tym razem dużo głośniejszy. Coś rzuciło cień na szary hangar i drogę. Ułamek sekundy później plac defilad zmienił się w morze ognia. Steve stał w osłupieniu. Patrzył na ścianę płomieni.

Kierowca jeepa zniknął.

*Akagi... Akagi... Akagi... akagiakagiakagiakagi...* – w głowie Stevena litery układały się w słowo, które przepełniło go grozą, choć nawet nie wiedział dlaczego.

Stał blady i nieruchomy jak posąg.

Coś poszło bardzo nie tak.

*Ożeż kurwa* – pomyślał. *Kto się zbliża?*

Płomienie opadły, pozostawiając po sobie wypaloną ziemię. Willyś pokryty śladami sadzy stał nienaruszony obok hangaru, z wciąż odpalonym silnikiem.

Kadet odwrócił się na pięcie, chwycił kurtkę i wybiegł na korytarz. Po drodze nie spotkał żywego ducha. Gdy znalazł się na zewnątrz, coś rzuciło się na niego i przylepiło do twarzy. Zerwał to z odrazą, po czym uświadomił sobie, że agresorem była gazeta poderwana przez wiatr. „Honolulu Star Bulletin”, wczorajszy numer, nadpalony. Nagłówek na pierwszej stronie głosił, że senator Kelly ostrzega przed widmem cesarskiej inwazji. Gabinet prezydenta dementuje te doniesienia, twierdząc, że „nie ma podstaw, by wierzyć w te plotki”.

*A co macie mówić, świnię? Zbliżają się wybory* – skrzywił wargi z niesmakiem.

Mężczyzna ruszył przed siebie. Jasne było, że musi kogoś powiadomić o tym zdarzeniu.

Niewiele myśląc, postanowił pojechać do klubu oficerskiego, który znajdował się w sąsiedztwie przystani. Jeep przyzywał go jednostajnym rytmem pracującego silnika. Steve wskoczył za kierownicę. Trzęsącymi się dłońmi wyjął z leżącej na podłodze paczki skręta, wsadził go do ust, podpalił i zaciągnął się kilkakrotnie.

Zaczął kaszleć, cisnął więc petem jak najdalej. Wrzucił bieg i, nie oglądając się za siebie, gwałtownie rozpoczął półmilowy rajd do klubu.

Syreny na lądzie i okrętach zaczęły wyc niemal równocześnie. Ostatecznie rozwiały wątpliwości Stevena.

Tymczasem przez zawroty głowy przebił się dźwięk mroczniejszy niż wszystko, co słyszał dotychczas w swoim krótkim, lecz barwnym życiu.

*Shōkaku... Kaga...*

Znów to uczucie, jakby ktoś włożył mu niezrozumiałe słowa do głowy.

Zatrzymał się przy klubie. Był to parterowy budynek, który znacząco różnił się od pozostałych. Kasyno oficerskie miało wywoływać wrażenie elitarności i przepychu. Przypominało dworek bogaczy na prowincji. Fasadę pomalowano na biało. Dach, pod którym biegł zdobiony gzyms, pokryty był drogą, ceramiczną dachówką w kolorze czerwonym. Ciężkie mosiężne rynny z wylotami ukształtowanymi w orle łby z szeroko otwartymi dziobami poradziłyby sobie z każdą ilością wody. Prócz tego dwa szeregi niewielkich okien, rozmieszczonych symetrycznie po obu stronach wejścia, zachęcały do tego, by zajrzeć do środka. Szeregowy żołnierz mógł sobie pozwolić tylko na tyle. Wstępu do klubu strzegła para kamiennych orłów stojących przy schodach. Wchodzić tam mogli jedynie najwyżsi rangą oficerowie. W uchylonych oknach wisały firanki, leniwie poddając się słabym podmuchom. W głębi jednego z pomieszczeń ktoś siedział w fotelu.

Kadet spojrzał na swoje dłonie. Zauważył, że z trudem powstrzymuje ich drżenie. Wskoczył z jepea i już chciał pomknąć do drzwi wejściowych, gdy kątem oka dostrzegł ruch. Spojrzał w lewo, w stronę Ford Island. Mimowolnie otworzył usta i znieruchomiał.

Gigantyczny stwór zataczał szeroki okrąg nad pancernikami cumującymi po wschodniej stronie wyspy.

– Jezzzuuu! – Odruchowo rzucił się do ucieczki, osłaniając twarz dłońmi. Potknął się o własne nogi i runął na ziemię, nabijając sobie kilka siniaków. – Co to ma, kurwa, być?!

Rdzawa sylwetka zanurkowała błyskawicznie w stronę Arizony. Steve obserwował, a krople zimnego potu spływały mu wzdłuż kręgosłupa. Patrzył na ciemny kształt, pikujący w kierunku broniącego się pancernika.

Spanikował. Poderwał się na nogi. Nie mógł zebrać myśli.

*Smok. Patrzę na pieprzonego smoka. On...*

Działka zamontowane na pokładzie pluły amunicją, lecz niewiele mogły zdziałać w konfrontacji z twardymi łuskami bestii.

*...ma łuski i długi ogon. No, kurwa, nie.*

Umysł nie radził sobie z tak nieprawdopodobnym rozwojem sytuacji. Steve, nie zdając sobie z tego sprawy, przyłożył rękę do ust. Oczy widziały jedno. Mózg mówił zupełnie coś innego. Zmysły się kłóciły, niemal doprowadzając go do szaleństwa. Niewiele brakowało, by postradał rozum.

Zaczął uderzać się w twarz. Raz, drugi, trzeci.

– Nie ma cię tu! – Wycelował w smoka palec wskazujący. – Nie ma cię tu, kurwa, rozumiesz?! Rozumiesz?!

Ale był. To nie przywidzenie. I powoli docierało to do przerażonego kadeta.

Gad złożył skrzydła, wielkie skórzaste wachlarze rozpięte między pomarszczonymi palcami. Na pokładzie Arizony panował nieopisany chaos. Kilkuset marynarzy walczyło o przetrwanie. Nadaremnie – potwór jednym zionięciem podpalił niemal cały okręt.

Bestia miała niewiarygodnie długi ogon, dłuższy niż reszta ciała. Skrzydła jak u nietoperza – błoniaste i stosunkowo duże, biorąc pod uwagę wielkość tułowia. Stwór rozmiarami przypominał spory krążownik.

Smok właśnie uderzył kilkakrotnie skrzydłami i wzniósł się, by zaatakować z góry po raz kolejny.

*To Akagi!* – Steven doznał olśnienia. Słowa słyszane w głowie to imiona bestii. W jakiś dziwny sposób wdarły się do jego umysłu.

Płonący pancernik skąpany był w kłębach gęstego, czarnego jak smoła dymu. Trujący całun spowił okolicę. Żołnierz rzucił się w stronę klubu. Minął skrzydlatych strażników, wbiegł po schodach i z rozpędu wpadł do środka niemal z drzwiami. Rozejrzał się i na podłodze za kontuarem spostrzegł łkającą barmankę, oplatającą rękoma podkulone nogi.

Steven dotknął jej ramienia. Ona jednak kiwała się tylko w przód i w tył, nie reagując.

Mężczyzna omiół spojrzeniem restaurację. W jadalni dostrzegł samotną postać siedzącą przy otwartym oknie. To tego mężczyznę widział z zewnątrz. Pułkownik, którego Steve nie znał, przycupnął na rzeźbionym krześle przysuniętym do ściany. Podbródek podtrzymywał ręką wspartą na kolanie. W drugiej dłoni trzymał dymiącą fajkę. Sprawiał wrażenie, jakby oglądał spadające liście z wygodnego fotela na werandzie.

– Spójrz, jakie to piękne, chłopcze – rzekł ze stoickim spokojem.

– Ale... panie pułkowniku! – krzyknął skonsternowany Steve. – Co pan mówi? Zróbmy coś. Cokolwiek!

– Chłopcy z Arizony próbowali. I co? – Fajkę wskazał płonący okręt.

Steve zignorował starca i podszedł bliżej, by widzieć to, co działo się na zewnątrz.

Huk eksplozji przetoczył się po porcie. Najwyraźniej ogień dotarł do zbrojowni. Arizona zatonięła w ciągu kolejnej minuty. Wiarus nawet nie mrugnął.



- Historia o nas nie zapomni. Ci durnie z Gabinetu Owalnego o wszystkim wiedzieli - powiedział spokojnie, wypuszczając kolejną chmurę dymu z ust. - Pogódź się z tym, dzieciaku. Jeżeli jeszcze nie pociupciałeś, to już nie będziesz miał okazji.

Steven nie wierzył własnym uszom. Stary zwariował. Siedzieć i patrzeć beczynnienie? Z drugiej strony były też wątpliwości. Doskonale pamiętał, co dostrzegł na zewnątrz, zanim wszedł do klubu. Cóż mogli zrobić przeciw tak niszczycielskiej sile?

Kilka kolejnych bestii pojawiło się w polu widzenia. Dwa gady szybowwały wysoko nad Ford Island. Połyskujący zielenią to Kaga, ciemnoczerwony zaś, z kolczastymi wypustkami wzdłuż kręgosłupa, to Shōkaku. Steven nie miał pojęcia, skąd to wiedział.

Smoki szalały w najlepsze. Bawiły się niczym koty, które właśnie złapały mysz i chcą ją pomęczyć przed zjedzeniem.

Myszy płonęły. Myszy szły na dno. Myszy ulegały kompletnemu zniszczeniu.

Żołnierz się wzdrygnął. Odwrócił wzrok. Manewrujący w pobliżu statek zwrócił jego uwagę.

Tankowiec Neosho, zakotwiczony przy nabrzeżu pomiędzy pancernikami Oklahoma i California, odrzucił cumy i ociężałe odbił od brzegu. Prawdopodobnie załoga chciała go w ten sposób ocalić. W obecnej sytuacji jej wysiłki wydawały się z góry skazane na niepowodzenie. Ta nierówna walka była jednak budująca - ognisko oporu w szalejącym piekle. Steve złapał się na tym, że z zaciśniętymi pięściami dopinguje przecinającą wody portu jednostkę, wykrzykując zagrzewające hasła. Pułkownik wypuścił z ust dym, który kolejny raz utworzył idealną chmurkę. Tego było już za wiele. Kadet wybiegł z pomieszczenia. Po opuszczeniu klubu uderzyło go gorące powietrze, przynosząc ze sobą falę wątpliwości.

*Sam nie dam im rady.*

Rozejrzał się, lecz nie znalazł nikogo, kto zaoferowałby pomoc. Nawet kamienne orły wyglądały tak, jakby kuliły się ze strachu.

*No, chyba że będę musiał.*

- Sam przeciw smokom - powiedział do siebie, wiedząc, jak absurdalnie to brzmi.

Buzująca w żyłach adrenalina popchnęła go do działania. Chcąc rozeznaczyć się w sytuacji, podbiegł do nabrzeża.

Kolejnym kąskiem dla skrzydlatych gadów stały się pancerniki Oklahoma i Maryland, zacumowane nie dalej niż ćwierć mili od wraku Arizony. Maryland został uderzony szponami zielonego stwora. Steven widział wyraźnie, że okręt się zakołysał. Mostek, nadbudówka oraz wszystkie główne instalacje wystające



ponad pokład runęły do wody. Gdy bydlę się oddaliło, do ataku przystąpił czerwony smok. Zionął strumieniem ognia, który pochłonął Oklahomę, skazując walczących nań marynarzy na śmierć. Przez kilka wydających się wiecznością minut Steven stał, obserwując ten straszliwy i zarazem piękny taniec.

*Stary miał rację* – przyznał w duchu. Kilka pomniejszych eksplozji ostatecznie pograżyło kolejny okręt we wzburzonej kipieli.

Tankowiec Neosho wykonał zwrot i, tnąc dziobem wodę, przemieszczał się w kierunku przylądka. Kolos minął właśnie lekkie krążowniki cumujące w doku najbliższym klubowi oficerskiemu. Tymczasem z tyłu dało się słyszeć koszmarny ryk. Steve odruchowo odwrócił głowę.

Dwa ogromne kształty tańczyły nad Hickam Field – lotniskiem położonym na południe od baraków i stoczni. Zarówno złoty, jak i srebrny, błyszcząc w promieniach porannego słońca, oślepiały obserwatora.

Nie przeszkadzały za to wyliniałemu i cuchnącemu kotu w ocieraniu się o nogawkę Stevena. Ten wzdrygnął się z obrzydzeniem i odepchnął zwierzaka. Oburzony dachowiec fuknął na niego, łypnął leniwie na pustoszące lotnisko smoki, po czym oddalił się w sobie tylko znanym kierunku. Do tego czasu połyskliwe kształty zniszczyły większą część infrastruktury okalającej pas startowy i wzniosły się w niebo, by dołączyć do swych braci.

*Hiryū... Sōryū...* – głos w głowie podpowiedział Stevenowi, jak nazywały się błyszczące bestie. Oba stwory, złoty i srebrzysty, dopełniały dzieła zniszczenia wśród zgrupowanych wzdłuż wschodniego brzegu Ford Island pancerników. West Virginia i Tennessee zaśpiewały piskiem pękającego metalu. Pierwszy z nich zaczął tonąć, a woda gwałtownie parowała w zetknięciu z gorącym kadłubem. Drugi lepiej zniósł natarcie i choć doznał poważnych uszkodzeń, zdołał utrzymać się na powierzchni.

Steven stracił zapał do walki. Przyglądał się szalejącemu pandemonium i czuł, że niewiele będzie dane zapamiętać ten spektakl. Czerpał z niego całymi garściami, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów. To on, dziewiętnastoletni kadet, którego oddelegowano tu, by zdobył doświadczenie, podziwiał coś niezwykłego.

*Smoki* – pomyślał z mieszanką lęku, dumy i zachwytu. *Kto mi w to uwierzy?*

Naliczył pięć sylwetek krążących nad portem i sukcesywnie doprowadzających go do ruiny. Wszystko się zgadzało.

*Akagi, Kaga, Shōkaku, Hiryū i Sōryū* – wymieniał w myślach imiona bestii.

Widział rozrzucone dookoła wraki samolotów i dymiące zgliszcza. Nie trzeba być geniuszem, aby wiedzieć, że część maszyn wystartowała tylko po to, by dać się strącić. Reszta, zniszczona jeszcze na ziemi, przypominała stosy poskręcane metalu.

Do tej chwili przetrwały pancerniki California oraz Nevada, które teraz padły łupem rdzawego smoka. Swoimi natarciami, nie dając marynarzom wytchnienia, doprowadził oba kolosy do ruiny. Ostatecznie udało im się utrzymać na powierzchni. Zniszczenia były jednak druzgocące. Fragmenty powykręcane złomu wystawały ponad kołyszające się, czarne kadłuby.

*Puste, wypalone skorupy.*

Kaga i Sōryū krążyły na północ od wyspy lotniska, kłusując boleśnie zacumowane tam jednostki. Choć te były ukryte przed wzrokiem młodego żołnierza, wiedział, że to Utah, Detroit i wiele innych, mniejszych. Hiryū i Shōkaku pastwiły się nad okrętami znajdującymi się w rejonie stoczni. Z tego co Steve zapamiętał, ten kolos to Pensylwania. Prócz niego były tam też dwa niszczyciele oraz kilka jednostek pomocniczych. Pancernik mocno ucierpiał, mniejsze statki już zatonięły.

Okazało się za to, że uciekający tankowiec, który przybył do bazy poprzedniego wieczora, dotarł bezpiecznie do basenu za przylądkiem Kuahua. Przetrwały również zbiorniki z paliwem. Steve wyliczał straty, gdy silny powiew prawie zdmuchnął go do wody. Spojrzał w górę.

*Zuikaku* – usłyszał w głowie.

Spojrzał w bezdenne oczy bestii.

*Niitaka yama nobore* – ból prawie rozsadził mu skronie. Przycisnął dłonie do uszu, padł na kolana i wydał z siebie żalosny jęk.

Kiedy się ocknął, stwierdził, że musiał być nieprzytomny zaledwie kilkanaście sekund, bowiem potwór wciąż znajdował się w polu widzenia. Czarny jak kruk smok, największy ze wszystkich, oddalał się powoli na północ.

*Mogłem skurwiela dotknąć.*

Wyciągnął ręce w kierunku mitycznego stwora, lecz ten przypominał już tylko punkt na horyzoncie. Reszta jaszczurów również zniknęła. Pozostały za to gryzące kłęby dymu z płonących okrętów. W powietrzu unosiły się, jak płatki śniegu, drobiny popiołu, dławiące przy każdej próbie zaczerpnięcia oddechu.

Steven skierował wzrok na okno klubu oficerskiego. Ciało pułkownika zwisało bezwładnie z parapu. Staruszek utkwiał niewidzące spojrzenie w fajce leżącej na trawniku.

*Miałeś rację, stary capie. To było piękne* – podsumował Steven.

Spróbował wstać, lecz nogi wciąż miał jak z waty. Rozejrzał się. Zewsząd wznosiły się ku niebu słupy dymu z płonących okrętów i innych instalacji. Na powierzchni akwenu unosiły się fragmenty zniszczonych jednostek, setki ciał i płonąca ropa.

W tym całym zamieszaniu Steven dostrzegł dziwne zjawisko przy zejściu do wody, w pobliżu doków. Wyglądem przypominało falujący dywan. Okazało się, że

to ludzie. Poruszali się jak zahipnotyzowani. Kilkaset osób uczestniczyło w niemej procesji, brnąc w kierunku, który obrał ostatni smok. Tłum dotarł do wody. Żołnierze zaczęli tratować jeden drugiego, po czym płynęli przed siebie. Niektórzy z nich utonęli tuż przy brzegu, inni wytrwale podążali śladami czarnej bestii. Steve przypomniał sobie puste łóżka.

Syreny wyły ze zdwojoną siłą, jakby ich operatorzy nie dostrzegli, że atak już się skończył.

*A może nie ma już operatorów?* – zauważył bez emocji. Nie wiedział, jak długo to wszystko trwało. Cała okolica była zdruzgotana, jego ciało również, choć nie doznało widocznego uszczerbku. Postanowił nie podejmować kolejnych prób stanięcia na nogi. Położył się na plecach. Kończyny rozłożył szeroko i patrzył w niebo. Obraz przed jego oczyma zaczął się zaciemniać, a zmysły jeden po drugim wyłączały się, ograniczając ilość docierających do niego bodźców. W głowie wirowało sześć smukłych sylwetek.

*W domu mi nie uwierzą.*

Sekundę później stracił przytomność.

\*\*\*

Steven Joseph Woodworth miał bolesną pobudkę: uderzył głową o podłogę. Serce waliło mu jak oszalałe. Okazało się, że spadł z łóżka. Jego przyspieszony oddech mącił ciszę. Potrzebował chwili, by dojść do siebie. Po minucie zaczął rejestrować to, co działo się dookoła. Znajdował się w kwaterach marines, w jednej z izb żołnierskich. Wszystkie łóżka były puste. Chłopcy prawdopodobnie poszli już do łaźni na poranną toaletę.

*Ja pierdzielę...*

Umysł zaczął powoli działać. Przetarł oczy.

*Co to, kurwa, było?*

Nadal czuł zapach spalenizny. Mozolnie wdrapał się na łóżko i zaległ w bezruchu.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio nawiedził go tak realistyczny sen. Odruchowo dotknął swojej nogi, by sprawdzić, czy na nogawce znajdzie kocią sierść. Był jednak bez spodni, leżały złożone na taborecie.

*Ty durniu* – skarcił się w myślach. *To kac.*

Usiadł na łóżku i mimo łupania w czaszce uśmiechnął się pod nosem. Spojrzał na zegarek. Wskazywał siódmą trzydzieści dwie. Rita posyłała mu całusa ze ściennego kalendarza. Siódmy grudnia czterdziestego pierwszego.

*No tak, weekend* – zauważył zadowolony. *Dlatego pozwolili nam dłużej pospać.*

Steve zapragnął wyrzucić za okno, wstał więc i podszedł do parapetu. Uchylił

jedno skrzydło, wpuszczając do sali rześki, grudniowy podmuch. Wziął głęboki oddech i uzmysłowił sobie, że nie było żadnego ataku, smoków, pożogi i śmierci.

Odetchnął z niemalą ulgą. Wstawał kolejny słoneczny dzień nad Oahu.

*To będzie piękna niedziela* – skwitował, po czym zbliżył się do łóżka, by założyć mundur.

Nakładając spodnie, usłyszał dźwięk, który sprawił, że jego serce na moment się zatrzymało.

Świst.

Panika.

Ręce zaczęły drżeć tak mocno, że z trudem zapiął pasek. Mógłby przysiąc, że gdzieś słyszał ten odgłos.

Podbiegł do okna.

Willys gnał w jego stronę, aż się za nim kurzyło. Steven zadziałał niemal bezwolnie – chwycił kurtkę i wybiegł na zewnątrz. Nadjeżdżający żołnierz zwalniał, by zaparkować jeepa obok hangaru. Kadet już miał otwierać usta, gdy nie wiadomo skąd nadleciała ta cholerna gazeta. Zerwał ją z twarzy. Senator Kelly na pierwszej stronie.

Kierowca wyskoczył z pojazdu i, głośno krzycząc, zaczął biec w stronę baraków.

W tym momencie koszmar stał się rzeczywistością. Chmura ognia spowiła plac defilad. Steve cudem uniknął piekła. Uciekając przed żarem, cofnął się gwałtownie i wpadł z powrotem do przedsionka budynku.

Brwi miał spalone. Smród przypominał swąd kurczaka, którego matka opalała nad ogniem na rosół.

Kilka sekund względnego spokoju, kiedy tak siedział, macając się po twarzy, wystarczyło, by zastanowił się nad własnym położeniem.

Ogień na zewnątrz przygasał.

Stało się coś bardzo, bardzo złego.

Podniósł się i pobiegł do nienaruszonego Willysa. Dałby się pokroić za papierosa. Wskakując do samochodu, był jednak tak spanikowany, że nawet nie zauważył leżącej na podłodze zmiętej paczki fajek. Wcisnął gaz do dechy i pognął przed siebie.

Wyjące syreny rozbrzmiały zewsząd, potęgując tylko tępe pulsowanie pod czaszką.

*Matko święta! Mogłem sobie darować te ostatnie kolejki!* Dłonią pomasaował czoło.

Zaskoczenie i bezsilność przeplatały się, zwiększając jedynie frustrację.

Stop.

Noga na hamulcu sprawiła, że jeep stanął niemal w miejscu. Znalazł się tuż za

skrzyżowaniem. To było jak nagłe olśnienie.

Jakaś cienka nić myśli wpleciona w świadomość Stevena mówiła, że podąża w złym kierunku.

Wbił wsteczny i cofnął auto kilka metrów. Skręcił w prawo. Zrezygnował z jazdy do klubu. Wybrał inną drogę.

Punkt dowodzenia znajdował się nieco dalej niż kasyno oficerskie, lecz Steve pędził tam na złamanie karku. Może uda mu się kogoś uratować. Dla marynarzy prawdopodobnie było już za późno. Wrzawa w porcie nie pozostawiała złudzeń. Odgłosy walki i słupy dymu znaczyły tylko tyle, że ci ludzie już nie żyją lub zginą w ciągu kilkunastu minut.

Minął warsztaty, magazyn broni i kilka budynków koszar. W pewnym momencie nad okolicą przetoczył się huk eksplozji głośniejszy niż pozostałe.

Z każdego kierunku dochodziły odgłosy wybuchów i walki.

Dojeżdżając do celu, kadet dostrzegł poruszenie przed sztabem. Żołnierze biegali we wszystkich kierunkach, wykrzykując niezrozumiałe rozkazy.

*Dzięki Bogu!*

Betonowa kostka z antenami na dachu była przeciwieństwem kasyna. Wydawało się, że samym surowym wyglądem odstraszy potencjalnych agresorów.

Steven zatrzymał samochód i wyskoczył na utwardzoną nawierzchnię.

Ryk bestii dochodzący od Hickam Field przykuł jego uwagę. Złoty i srebrny smok niszczyły właśnie pas startowy.

*Chyba, kurwa, żartujesz!*

Zdrowy rozsądek nie mógł zapanować nad chaotycznymi myślami. Z twarzy mężczyzny odpłynęła cała krew. Pobiegł do sztabu, zataczając się jak pijany.

W budynku bez wahania zagadnął najwyższego stopniem oficera, jakiego znalazł:

– Widziałem...! – krzyknął mu w twarz. – Tam, na zewnątrz!

– Zjeżdżaj, chłopcze! – Przełożony brutalnie odepchnął kadeta. – Nie widzisz, że zostaliśmy zaatakowani?

– Musicie wysłać ludzi do... – Steve zamierzał opowiedzieć o bestiach niszczących lotnisko i port, ale został natychmiast uciszony.

– Mówisz mi, co muszę?! – Komandor ruszył w pośpiechu schodami na górę. Powodujący skurcze policzka nerwowy tik nadawał jego twarzy groteskowy wygląd. – Jeszcze jedno słowo, dzieciaku, a każę cię aresztować!

Steve nie tego się spodziewał. Stał, a ludzie biegali wokół niego. Ktoś potrącił biurko i zaklął głośno. Kartki papieru rozsypały się po podłodze. Ktoś inny stał ze słuchawką telefonu przy uchu, waląc ręką w widełki tak, jakby to miało sprawić, że sygnał powróci.

Kadet stracił nadzieję na to, że w ten sposób zdoła komuś pomóc.

*To jakiś pierdolony cyrk!*

Stał pośrodku pomieszczenia, a dookoła wszystko wirowało.

Pewien niski stopniem oficer gnał po schodach. Tak pechowo postawił stopę, że poleciał w dół i rozwalił sobie łeb. Jedna z maszynistek znieruchomiała z ręką na ustach. Chwilę później podbiegła do nieszczęśnika, nie mogła mu jednak pomóc. Szyja mężczyzny była wygięta pod nienaturalnym kątem, a z uszu ciekła krew.

Kobieta zaczęła krzyczeć. Nikt inny nawet się nie zatrzymał. Panował chaos. Każdy się na kogoś darł, lecz nikt nikogo nie słuchał.

Kadet nie chciał przebywać tu ani minuty dłużej. Uciekł na zewnątrz i kiedy był już w pewnej odległości od budynku dowodzenia, w dwupiętrowy sztab uderzyła ognista kula.

Steve obejrzał się przez ramię i dostrzegł smoka.

*Zuikaku – głos w czaszce. Niitaka yama nobore.*

Dwie czarne otchłanie w smoczym łbie wwiercały się w duszę. Przyciągały. Zwierciadła tak mroczne, jak nic, co pochodzi z tego świata.

Ból rozlał się po całym ciele. Był tak intensywny, że Steve nie mógł ustać na nogach. Próbował walczyć ze słabością. Daremnie. Osunął się na kolana. Przez głowę przemknęła mu myśl, że ta sytuacja jest znajoma.

*Wytrzymam! Zacisnął zęby.*

Ciemne plamy zaczęły tańczyć na skraju pola widzenia. Zmuszając się do nadludzkiego wysiłku, kadet powstał, lecz szybko upadł ponownie. Ostatnim doznaniem, jakie zarejestrował, był smak piasku na języku, gdy gruchnął twarzą o ziemię i światło zgasło.

\*\*\*

Steven Joseph Woodworth miał bolesną pobudkę: uderzył głową o podłogę. Serce waliło mu jak oszalałe. Okazało się, że spadł z łóżka. Jego przyspieszony oddech mącił ciszę. Potrzebował chwili, by dojść do siebie. Po minucie zaczął rejestrować to, co działo się dookoła. Znajdował się w kwaterach marines, w jednej z izb żołnierskich. Wszystkie łóżka były puste. Chłopcy prawdopodobnie poszli już do łaźni na poranną toaletę.

Rozejrzał się. Bałagan. Jakieś przeczucie sprawiło, że prędko otrząsnął się z resztek snu. Musiał poszukać chłopaków. Pomimo kaca rozsadzającego mu głowę chciał działać. Natychmiast.

Zerwał się na nogi i założył mundur. Przeszukał pomieszczenia, lecz nie natknął się na nikogo. Postanowił wyjść na zewnątrz. Kiedy był już przed budynkiem, ruszył w kierunku, z którego słyszał odgłos silnika nadjeżdżającego

samochodu.

Prawie dostał czymś w gębę. To była gazeta. Steven złapał ją i pospiesznie przeczytał nagłówek na pierwszej stronie. „Senator Kelly ostrzega przed inwazją cesarskiej armii”. Nic ciekawego. Wyrzucił ją za siebie.

Biegł i jednocześnie wypatrywał zagrożenia, którego nieuzasadnioną obecność odczuwał od kilku chwil. Starał się trzymać w cieniu budynków, by ominąć środek placu.

Kierowca rozpędzonego Willysa hamował. Widział Stevena. Wskoczył z auta akurat w odpowiednim momencie, by dać się porwać zdyszanemu żołnierzowi i wciągnąć we wnękę przy hangarze.

*Jedna myszka przechytryła kota* – do drzwi umysłu kadeta załomotała nedorzeczna myśl.

Nad ich głowami przeleciał ogromny cień.

– Co to było? – zapytał zszokowany blondyn. Był nieco wyższy i lepiej zbudowany niż Steve, lecz miał dziecięcą twarz. I ani śladu zarostu.

– Ty mi to powiedz. – Kadet, czujny jak nigdy dotąd, lustrował błękitne niebo.

– Przyjechałem, by was ostrzec! – głos żołnierza się łamał. – Mam... Mam kolegę na McGrew Point i...

– Zostaliśmy zaatakowani. – Steven wszedł mu w słowo.

– Tak. Właściwie to, yyy... – Blondyna zamurowało. Stał z głupkowskim wyrazem twarzy i najwyraźniej nie wiedział, co ze sobą począć.

– Słuchaj! – wrzasnął kadet, by otrzeźwić towarzysza. Chyba mu się to udało, bo tamten skupił na nim wzrok. – Mam jakieś pieprzone przecucie. Sam tego nie rozumiem. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale nie ma czasu na tłumaczenie. Nie pytaj mnie o nic. Musisz mi zaufać. Jeśli przeżyjemy, spróbuję ci to wyjaśnić. Siadaj za kierownicę i ruszamy.

Wyższy z żołnierzy, ciągle skonsternowany, posłusznie zajął miejsce kierowcy.

– Jak masz na imię?

– Alex, a ty?

– Steven – rzucił szybko mężczyzna i dodał jeszcze: – Za kilka sekund włączą się syreny.

Blondyn spojrzał na niego podejrzliwie. Gdy rozbrzmiały alarmy, z niedowierzaniem pokręcił głową.

Zaczęło się. Piekło rozpętało się na dobre. Zewsząd słychać było serie z działek przeciwlotniczych, odgłosy eksplozji oraz dźwięki, których pochodzenia Alex jeszcze się nie domyślał.

– Dokąd teraz?

– Prosto. Na skrzyżowaniu w lewo. Kierujemy się w stronę falochronu i bramy

technicznej. Potem w górę, do lasu. Jak najdalej stąd.

By opuścić bazę, należało przejechać wzdłuż magazynów amunicji. Potem minąć z prawej strony doki okrętów podwodnych i udać się do punktu kontroli.

Gdy byli w połowie drogi, eksplozja, która miała miejsce gdzieś w pobliżu Ford Island, wyrwała mężczyznę o chłopięcej twarzy z zamyślenia. Skulił się na ułamek sekundy, a ręce zacisnął mocniej na kierownicy. Willysem zakołysało, Alex zdołał jednak opanować auto.

– Jak myślisz, który okręt tak oberwał? – zapytał.

– Chyba któryś z dużych.

– Kto nas atakuje?

– Cesarska flota – odparł Steve. – Senator Kelly miał rację.

– Kto?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Alex tylko wzruszył ramionami.

Steve bił się z myślami. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że oprócz oczywistych uczuć, takich jak strach, rozgoryczenie czy bezsilność, odczuwał coś jeszcze. Niepokój. Wypełniał go po brzegi, zdawał się wylewać przy pokonaniu każdej nierówności na drodze. Każde wypowiedziane zdanie, każdy kolejny wybuch i widziany obraz potęgowały to dziwne wrażenie, towarzyszące mu niemal od pobudki. Jakby ta nierzeczywista sytuacja była znajoma.

Olbrzymie cielsko przysłoniło na chwilę słońce. Obaj uciekinierzy spojrzeli za siebie. Skrzydła gada łopotały, sprawiając, że płatki sadzy wirujące w powietrzu poruszały się jeszcze szybciej. Smród bestii dotarł do nosów kadetów.

– O kurwa! – Steven szarpnął towarzysza za ramię. – Padnij!

Było już jednak za późno. Dla nich obu.

Nawet nie zauważyli, kiedy samochód się zatrzymał.

– Przecież to jest... – Alexowi najwyraźniej ostatnie słowo ugrzęzło w gardle. Palcem pokazywał smoka.

Bestia poleciała dalej, ledwie muskając ich spojrzeniem.

Wystarczyło.

*Niitaka yama nobore.*

Niemal równocześnie zaczęli krzyczeć z bólu. Pierwszy padł blondyn. Skulił się na ziemi, rękoma uciskając skronie. Steve wytrzymał chwilę dłużej, w końcu jednak zachwiał się i przewrócił. Ostatnią rzeczą, jaką widział, był oddalony o kilkanaście metrów punkt kontrolny.

\*\*\*

Steven Joseph Woodworth miał bolesną pobudkę: uderzył głową o podłogę. Serce waliło mu jak oszalałe. Okazało się, że spadł z łóżka. Jego przyspieszony oddech mącił ciszę. Potrzebował chwili, by dojść do siebie. Po minucie zaczął



rejestrować to, co działo się dookoła. Znajdował się w kwaterach marines, w jednej z izb żołnierskich. Wszystkie łóżka były puste. Chłopcy prawdopodobnie poszli już do łaźni na poranną toaletę.

*Nie* – pomyślał. *Nie do łaźni.*

Niejasne przeczucie pomogło mu podnieść tyłek z podłogi i ogarnąć wzrokiem pomieszczenie. Coś najwyraźniej nie grało. I nie chodziło o bałagan, nienaturalną ciszę czy tępe pulsowanie w skroniach. Nie, chodziło o wrażenie, jakby to wszystko już się wydarzyło. Dziwne, ale jednocześnie tak silne, że nie sposób było je zlekceważyć.

Uszczypnął się mocno.

– Kurrrwa! – Na przedramieniu został czerwony ślad. Dla pewności Steve walnął się jeszcze w policzek i zaczął zbierać najpotrzebniejsze przedmioty. Założył też mundur, dotychczas leżący na taborecie.

Był prawie gotowy do drogi, gdy zza okna dobiegł dźwięk przypominający świst. Moment później usłyszał warkot zbliżającego się samochodu.

Wtedy zadziałał instynkt. Wybiegł na zewnątrz i odruchowo wyciągnął dłoń przed siebie. Poderwana przez wiatr gazeta odbiła się od niej i spadła obok. Kątem oka dostrzegł fragment strony tytułowej.

„...Star Bulletin”. Końcówka tytułu wyglądała znajomo.

Na przeciwległej stronie placu defilad znajdował się hangar, do którego zbliżał się Willys z wysokim blondynem za kierownicą. Steven pomknął do niego, trzymając się blisko budynków.

Osobliwe wrażenie nasilało się z każdą chwilą. Powoli w głowie kadeta układała się pewna teoria. Nieprawdopodobna, lecz najwyraźniej prawdziwa. Nie było jednak czasu na dłuższe rozważania.

Jeep zatrzymał się, Steve był tuż obok niego.

– Jazda! – W głosie pobrzmiwała panika. – Za mną!

Schował się we wnęce, przy drzwiach hangaru. Przybysz, długo nie myśląc, prędko wysiadł z auta i jednym skokiem pokonał odległość dzielącą go od Stevena. Schronili się w samą porę. Kilka sekund później coś na moment przysłoniło słońce. Potem znów nastąpiła cisza, przerywana jedynie szybkimi oddechami dwóch roztrzęsionych mężczyzn.

– Co tu robisz? – Steve pierwszy przerwał milczenie.

– Chciałem was ostrzec – odpowiedział tamten. – Mam kolegę na McGrew Point. Zostaliśmy zaatakowani. Chwilę temu się z nim widziałem, byłem u nich od wczoraj. Wykryli skurwieli. Zbliżają się. Co najmniej kilka dużych obiektów, jakby skupiska samolotów czy inne podobne gówno...

– W takim razie lada chwila się zacznie – przerwał blondynowi Steve. – Zwijamy się stąd!

Jakimś cudem wiedział, że nie chodzi o samoloty. Jego niewiarygodna teoria zaczynała się potwierdzać. Szybko przekalkulował swoje położenie i obecne możliwości. Przeanalizował kierunki ewentualnego odwrotu. Wykluczył kilka z nich. Coś mówiło mu, gdzie nie powinien się teraz pojawić. W końcu podjął decyzję.

– To co robimy? – Wyższy żołnierz wydawał się zniecierpliwiony.

– Prowadź do twojego kumpla. W tej ich wysuniętej placówce powinno być bezpiecznie.

– Spoko, zaraz tam będziemy – rzekł blondyn i odwrócił się w kierunku jeepa.

– Nie! – Podniesiony głos sprawił, że zatrzymał się w pół kroku. – Pójdziemy pieszo.

– Jak sobie chcesz. – Uniesione brwi mężczyzny sugerowały, że nie jest przekonany do takiego rozwiązania.

– Po prostu czuję w kościach, że tak będzie lepiej. Jak masz na imię? Jestem Steve.

– Alex. Trochę to wszystko zakręcone, ale co mi szkodzi. – Podrapał się po głowie.

– Dobra, spieprzajmy stąd! – Steven klepnął kompana w ramię i ruszyli w drogę.

Nie ubiegli daleko, gdy syreny oznajmiły im to, o czym rozmawiali chwilę wcześniej. Atak z powietrza.

Wymienili nerwowe spojrzenia. Po drodze nie spotkali żywego ducha. O dziwo, nie natknęli się też na ciała zabitych. Kluczyli między budynkami. Steven ciągle zachęcał towarzysza do tego, by co chwilę kryć się w zakamarkach. Dziwne myśli krążyły mu po głowie. Blondyn rozglądał się w poszukiwaniu zagrożenia, wypatrywał nadlatujących samolotów. Steve jednak skądś wiedział, że to nie ich skupiska ujrzał na ekranie radaru kolega Alexa. Bał się wypowiedzieć na głos myśli. Tak jakby nazwanie przeciwników miało sprawić, że się urzeczywistnią.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła portem.

– Któryś konkretnie oberwał. – Alex zatrzymał się na zaczerpnięcie tchu.

– Chyba Arizona – odparł Steve, trochę nieobecny.

– Tylu chłopaków – skomentował mężczyzna o dziecinnej twarzy. – Jebani!

Kontynuowali bieg. Kilka razy niższy z żołnierzy dostrzegł w oddali skrzydlate sylwetki tańczące nad aleją pancerników. W tych momentach z trudem łapał oddech. Widok dosłownie zwał z nóg. Choć świadomość od jakiegoś czasu podpowiadała mu, że ujrzy coś takiego, nie wierzył własnym oczom.

*Nie. No, kurwa, nie. To musi być jakiś pieprzony sen – myślał wtedy.*

Alex przystawał, podejrzewając, że Steve dyszy tak ze zmęczenia. Sam chyba jeszcze nie dostrzegł przyczyny tego całego zamieszania.

– Zepnij dupę, już niedaleko! – krzyczał.

– Nic mi nie jest – kadet uspokajał go, brał kilka głębszych oddechów i biegł dalej.

W głowie Stevena rozgrywał się jednak większy dramat niż ten nad Hickam Field. Urywki scen, niby niepasujące do siebie, przeplatały się, tworząc w miarę spójną i przerażającą całość.

Przewieszona przez parapet ciało odziane w mundur.

Dymiąca fajka na trawie.

Młody oficer spadający ze schodów.

Krzycząca maszynistka.

Śmierzący kot i jego parszywe kłaki na nogawce munduru.

Szepty w głowie.

To wszystko tylko utwierdzało Stevena w przekonaniu, że jakimś cholernym cudem już przeżył to piekło.

– Spójrz. – Alex wskazywał coś palcem. – To tam. Jeszcze kawałek tą drogą i jesteśmy na miejscu.

Kadet się odwrócił, lecz prócz odizolowanego punktu nasłuchowego dostrzegł coś jeszcze. Nieco dalej przelatywał czarny smok.

Blondyn, widząc otwartą gębę i bladą twarz kompana, podążył za jego wzrokiem. Gdy zobaczył bestię, jego spodnie przyozdobiła powiększająca się ciemna plama. Osunął się na kolana.

– O mamoo... – jęknął.

Stwór odwrócił głowę w ich kierunku, a bezdenne ślepie przeszyły żołnierzy jak groty włóczy.

*Zuikaku* – głos wewnątrz czaszki był niczym palec wciskający ostatni element układanki na miejsce. *Niitaka yama nobore*.

Podejrzewał to wcześniej. To było jak fragment wspomnienia. Teraz miał pewność. Spojrzenie kruczego jaszczura miało niszczycielską moc. Cofało taśmę i puszczało ją od nowa.

*Gdyby tak udało się uniknąć spotkania z nim* – strzęp myśli odbijał się echem w gasnącej świadomości.

– Nie! Nie! Nieeee! – wrzasnął kadet, upadając na ziemię.

Ból rozsadał głowę, jakby ktoś ścisnął ją olbrzymimi obcęgami. Światło powoli gasło. Nim obraz ostatecznie się zaciemnił, Steve dostrzegł Alexa zwiniętego, pokonanego, z rękoma przyciśniętymi do skroni. Blondyn krwawił obficie. Wyglądał na martwego.

\*\*\*

Steven Joseph Woodworth miał bolesną pobudkę: uderzył głową o podłogę. Serce waliło mu jak oszalałe. Okazało się, że spadł z łóżka. Jego przyspieszony oddech mącił ciszę. Potrzebował chwili, by dojść do siebie. Po minucie zaczął rejestrować to, co działo się dookoła. Znajdował się w kwaterach marines, w jednej z izb żołnierskich. Wszystkie łóżka były puste. Chłopcy prawdopodobnie poszli już do łaźni na poranną toaletę.

Cholernie żałował, że nie dokończył snu. Zostały mu tylko nieliczne skrawki przyjemnej wizji. Była tam kobieta. Całowała go w szyję wykrzywioną pod dziwnym kątem. Ale nie czuł bólu, jedynie miękki dotyk ciepłych ust na skórze... Pomyślał, że dobrze byłoby móc cofnąć czas.

– Cofnąć czas! – wrzasnął, choć był jedyną osobą, która mogła to usłyszeć. – To znowu się dzieje!

Usiadł na łóżku i strzelił się kilkakrotnie w twarz.

Tym razem nie miał żadnych wątpliwości. Był w jakimś pieprzonym kręgu *déjà vu*. Wcześniej to przeczuwał, lecz teraz wszystko stało się klarowne. Przypomniawszy sobie każdy dźwięk, wybuch, rozmowę. Przecież to od początku do siebie pasowało.

Świadomość przeżywania tego dnia wciąż od nowa była trudniejsza do przełknięcia niż rychły nalot smoczey armii.

Całkowicie przytomny zeskoczył z pryczy i narzucił ubranie. Zerknął na zegarek. Minęło wpół do ósmej. Błyskawicznie spakował najpotrzebniejsze rzeczy i skierował się do wyjścia. Moment zawahania sprawił, że stanął w progu. Ostatni raz rzucił okiem na pomieszczenie. Przysięgłby, że Rita Hayworth puściła do niego oko. Zerwał kalendarz ze ściany, starannie złożył i schował do wewnętrznej kieszeni obszernej kurtki koloru khaki.

*Nie, mała. Nie zostawię cię tu samej.* Poprawił mundur i żwawo opuścił barak.

Gazeta.

Sprint.

Cień nad głową.

Spotkanie z Alexem.

*Senatorze Kelly, kimkolwiek jesteś, zagłosuję na ciebie* – postanowił.

Wojskowa terenówka podskakiwała na nierównościach. Zawieszenie jęczało, choć najcięższa próba miała dopiero nastąpić. Blondyn cisnął gaz do dechy. Steve nie przebierał w słowach, by zachęcić towarzysza do jeszcze szybszej jazdy. Plan był taki:

– Spieprzamy ile sił, stary! – krzyk rozbrzmiał zaraz po syrenach alarmowych.

– Dawaj do podwodniaków, potem przez punkt kontroli. Bez zatrzymywania.

Przy dokach podwodniaków pokręcimy się trochę między budynkami. Kiedy się upewnimy, że jest czysto, zjeżdżamy stąd z bramą na masce, rozumiesz?

– Yhym. – Żołnierz o chłopięcej twarzy nie potrzebował większej zachęty. W jego oczach widać było dziwną ufność, ale też świadomość zagrożenia.

Arizona wypluła trzewia. Huk wstrząsnął okolicą.

Alex odruchowo uchylił głowę. Ledwo opanował Willysa.

Steven rozglądał się gorączkowo, nie chcąc jednocześnie zobaczyć zbyt wiele.

Na razie było bezpiecznie.

Baza wojskowa, w której spędził ostatnie miesiące, została zamieniona w cmentarzysko wraków i ludzi. Kadet położył dłoń na kieszeni kurtki.

*Rita, wyciągnę cię stąd.* Uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z niedorzeczności tej myśli.

Przy doku łodzi podwodnych wjechali pomiędzy hangary.

Coś załopotało. Nad głową przez ułamek sekundy mignął koniuszek błoniastego skrzydła. Czarnego jak u kruka.

Wstrzymany oddech.

Nic się nie działo.

Blondyn jechał powoli, zręcznie manewrując. Pasażer ostrożnie lustrował dachy budynków.

– Chyba już można. – Złapał się na tym, że mówi szeptem.

Alex pokiwał głową na znak, że zrozumiał, po czym nieznacznie przyspieszył, by wyprowadzić jeepa na wolną przestrzeń.

– Stój! – Silne ramię nagle szarpnęło go do tyłu. Blondyn błyskawicznie zatrzymał auto z białą gwiazdą na masce.

Steve odetchnął. W ostatnim momencie dostrzegł kolejne cienie przemykające nad nimi.

Jeszcze jeden. Kadet odwrócił twarz do swojego towarzysza. Ten z otwartą gębą patrzył w niebo. Gdy ich oczy się spotkały, zapytał:

– Czy to był...? – Palcem wskazywał kolejnego stwora, który właśnie nad nimi przeleciał.

– Tak. Tylko mnie nie pytaj, jak to możliwe.

Dłonie kierowcy trzęsły się tak mocno, że musiał wkładać wiele wysiłku, by opanować drżenie. Zamknął oczy i zaczerpnął kilka głębokich wdechów. Powietrze wypuszczał powoli.

Wyglądało na to, że zaczyna dochodzić do siebie.

Dla pewności odczekali jeszcze chwilę. Stali tak kilka, może kilkanaście minut, bojąc się ruszyć z miejsca. W tym czasie żaden się nie odezwał.

Okolica wokół punktu kontrolnego oznaczonego jako „Kahuna Gate”,

potocznie nazywanego bramą techniczną, wyglądała jak oaza spokoju. Oczywiście gdzie nie spojrzeć unosiły się dymy dogorywającego portu. Pojedyncze eksplozje przeszywały poranne powietrze. Prócz tego zewsząd dochodził dźwięk wyjących syren.

Obserwator stojący za bramą mógłby dostrzec Willysa wyjeżdżającego pomiędzy hangarów. Samochód skierował się w stronę wyjazdu i zaczął nabierać prędkości. Ktoś mógłby też dojrzeć dwie sylwetki w środku pojazdu. Obie niemal równocześnie pochyliły się, gdy auto staranowało bramę, wyrzucając w powietrze jej fragmenty. Kawałki pogruchotanego żelastwa upadły z głośnym trzaskiem na ubitą ziemię. W tym czasie jeep był już kilkanaście metrów dalej.

Obserwator musiałby uskoczyć na bok, by nie wylądować pod kołami rozpedzonego samochodu. Gdyby mu się udało, mógłby stwierdzić, że auto nie pognało szeroką drogą w stronę miasta, lecz skręciło do lasu. W stronę zbocza wygasłego wulkanu.

Nie było jednak komu oglądać ucieczki kadetów. Wszyscy w bazie zginęli.

Dwójka ocalałych żołnierzy pomknęła w stronę dżungli. Mimo zagospodarowania wyspy przez wojsko wciąż było tu sporo gęsto rosnącego lasu. Pokrywał znaczną część górzystego terenu.

Willys podskakiwał na wybojach tak, że kadeci musieli mocno się trzymać, żeby z niego nie wypaść. Dotarli do miejsca, gdzie byli zmuszeni porzucić samochód. Zabrali swoje rzeczy i dalszą drogę pokonali pieszo. Prawie nie rozmawiali. Jakieś pojedyncze słowa rzucały do siebie były raczej sposobem na upewnienie się, że towarzysz wciąż jest obok, aniżeli konwersacją.

W górę. Ciągle w górę. W las.

W końcu, w głębi wyspy, gdzieś na zboczu wulkanu zdecydowali, że wystarczy tej ucieczki. Usiedli i oparli się o pnie drzew rosnących tu od setek lat. Gdy ich oddechy się uspokoiły, Steve poczuł na sobie wyczekujące spojrzenie żołnierza, którego poznał dzisiejszego poranka.

– Chyba jestem ci winien wyjaśnienia... – Wytarł twarz rękawem.

Alex tylko pokiwał głową, nie odrywając od niego wzroku.

W czasie trwania opowieści mięśnie na dziecięcej twarzy blondyna na przemian wiotczały i się napinały, zmieniając grymasy jak w kalejdoskopie. Wydawało się, że nie jest w stanie uwierzyć towarzyszowi. Widział je jednak. To nie był omam. Tam, pomiędzy hangarami, przez ułamek sekundy patrzył na bestie, które spustoszyły port. Stevenowi było więc łatwiej. Nie musiał przekonywać. Opowiadał.

Kiedy dobrnął do końca, wstał i chwilę grzebał ręką w wewnętrznej kieszeni kurtki. Na chłopięcej twarzy malowało się zainteresowanie. Po chwili Steve wyjął

wymięty kalendarz ścienny. Rozprostował go na tyle, na ile było to możliwe.

– Masz jakiś gwóźdź czy coś? U siebie znalazłem tylko jedną pinezkę.

– Kawałek drutu – odparł Alex po tym, jak przerył zawartość kieszeni. Podał go swojemu kompanowi. Ten dość sprawnie przymocował papierowy skarb do drzewa. Dopiero wtedy blondyn zobaczył, kto jest na zdjęciu. Wyszczерzył zęby.

Steve usiadł i wyjął wszystko, co miał w podręcznym worku, który zabrał z kwatery.

Końcówka chleba. Kilka niewielkich konserw, menażka z wodą wypatrzona wśród porozrzucanych na podłodze ubrań. Koc i parę mniej znaczących drobiazgów.

– Jestem za tym, żeby posiedzieć tu dzień lub dwa. Wiesz, tak dla pewności, że się na niego nie natkniemy. Wkrótce połowa cholernej armii zwali się na wyspę. Przeczeszą każdy centymetr. Ktoś nas znajdzie, a do tego czasu – Steve wskazał ręką fotografię – ona dotrzyma nam towarzystwa.

– Racja. – Alex ułożył się wygodnie pod drzewem. – Rzuć ze dwie puszki.

\*\*\*

Kadet obudził się, gdy migotliwe promienie pełzały mu po twarzy. Z trudem rozchylił powieki.

Niedaleko ktoś krzyknął. Słyszał głosy kilku osób.

Obok spał drugi żołnierz. Chrapał.

Steven Joseph Woodworth usiadł na tyłku, dłonie opierając o kolana. Dopiero w tym momencie zeszło z niego powietrze. Do oczu napłynęły łzy. Wyrwał się z tego nedorzecznego cyklu. Uniknął spotkania z czarnym smokiem. Wskazówek nie cofnięto. Dodatkowo udało mu się uratować człowieka. Uśmiechnął się do siebie. Emocje przychodziły falami. Trochę trwało, zanim się uspokoił.

Nawoływania stały się dużo głośniejsze.

– Tu jesteśmy! Chodźcie tutaj! – wrzasnął Steve, by wskazać ratownikom swoją pozycję.

Młody blondyn poderwał się jak rażony piorunem. Potrzebował paru sekund, by dojść do siebie. Usłyszał zbliżającą się pomoc. Podszedł do towarzysza i uścisnął go mocno.

– Dziękuję, stary. Dziękuję za uratowanie mi życia. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę – powiedział wzruszony.

– Nie ma sprawy. – Steven wyswobodził się z uścisku, położył dłonie na ramionach kolegi i spojrzał mu w oczy. – Jesteś mi winien dwie puszki wołowiny.

Obaj wybuchli gwałtownym śmiechem.

Kiedy spomiędzy drzew wyłoniła się grupa facetów z żandarmerii, Steve poczuł, że jego misja dobiegła końca.

– Co słyhać, panowie? – zapytał potężny, na oko ponad dwumetrowy żołnierz.

– Długo wam zeszło. – Kadet wskazał na pobliskie drzewo. – Zdążyliśmy się już trochę urządzić.

Rita Hayworth posyłała mu całusa.

\*\*\*

– Żaden z was, wy bezmyślne, pieprzone skurwysyny, nie piśnie już nigdy więcej ani słówka o smokach i innym gównie, które tu widzieliście!

Wysoki rangą oficer wojskowego wywiadu niemal trząśnięty z nerwów. Gdy wykrzykiwał groźby pod adresem kilkunastu osób zgromadzonych w naprędcie postawionym szpitalu polowym, jego twarz nabierała koloru purpury.

– Przyleciały, zrobiły rozpierduchę. Ktokolwiek je tu przysłał, już zniknęły. Teraz trzeba przekuć tę porażkę w sukces. Chyba, kurwa, wyraziłem się jasno?!

Steven nie zamierzał protestować. Reszta chyba też nie. Było ich tu dwunastu – tylu ocalało z masakry. Szczury, które zdążyły w porę pochować się po kątach. Obok kadeta siedział Alex. Kilka osób z poważniejszymi obrażeniami leżało na posłaniach.

– Słuchajcie jedynej słusznej wersji, bezmózgie sukinsyny – kontynuował facet z wywiadu. – Ten atak przeprowadzili Japończycy. Mamy na to dowody. Jutro, kiedy przywieziemy tu reporterów, będą mogli do woli podziwiać rozbite cesarskie myśliwce. W ostatnich tygodniach przechwyciliśmy kilka ich maszyn. Mamy cały dzień, żeby je ładnie ucharakteryzować. Do tego moi chłopcy skołowali kilkudziesięciu Japońców, których przekonaliśmy, by na nasze potrzeby zostali pojmanymi pilotami. Żółtki już się nie wywiną. Teraz cały kraj pójdzie na wojnę razem z nami. Ty! Do ciebie mówię!

Steve natychmiast się wyprostował.

– Jak ty, kurwa, mówiłeś? Że co słyszałeś? Wspiąć się... i jak tam dalej było? No mów!

– Wspiąć się na górę Niitaka, panie...

– No, kurwa, właśnie. – Oficer nie dał mu dokończyć zdania. – To jest dobre. Wystarczy rzucić pismakom taki ochłap, a oni zrobią z tego historię. Wyobraźcie sobie te nagłówki: „Tajemnicze hasło rozpoczęło japoński nalot”. Brzmi nieźle. A teraz wy, małe, podłe sukinkoty, skoro już wszystko wiecie, wypierdalać, żebym nie musiał was więcej oglądać.

Nikt się nie ruszył. Wszyscy zgromadzeni starali się unikać kontaktu wzrokowego z tym niebezpiecznym człowiekiem. Atmosfera gęstniała.

– Jeszcze tu jesteście?! – ryknął, wypełniając namiot swoim irytującym głosem.



– Ale to jest szpital. – Steven przełknął ślinę i mówił dalej, niemal szeptem: – Oni leżą tutaj ranni.

– Co?! Aha. Masz rację. – Oficer wywiadu starannie założył nakrycie głowy, chwycił teczkę i wychodząc, rzucił w kierunku ocalałych jakiś niezrozumiały frazes.

Stevenowi wydawało się, że usłyszał „Japońce, kurwa, nie smoki”, choć głowy by za to nie dał.

Pobudka. Patrząc jednym oczkiem, skierowałem się najpierw do kuchni i nastawiłem ekspres kupiony za pięć dych w dyskoncie. Kawa też z przeceny i też z dyskontu. Zanim dzbanek się napełni, zdążę zmniejszyć ciśnienie w pęcherzu i umyć zęby albo nawet opróżnić kışkę stolcową, jeżeli jednocześnie będę szczotkował. I czytał, chociaż to raczej po kawie, bo teraz wszystkie litery i ilustracje rozmywają się w kleks przypominający zorzę polarną.

Dzbanek, kubek i kawałek czekolady zaniósłem do biurka z blatem poznaczonym plamami z kawy wczorajszej, przedwczorajszej i jeszcze dawniejszej. Zrobiłem prasówkę. Na jedynce serwisu, tradycyjnie, wioska sfajczona przez smoka. Niżej pokierszowane przez gwiazdkowy prezent dziecko, a jeszcze dalej odszkodowania dla rolników, utrudnienia na drogach i tym podobne. Rzuciłem okiem na prognozę pogody (chłodno, ale bez deszczu) i wszedłem do chmury biura. Na dziś mało pracy. Może dwa dzbanki, może trzy, jeżeli będę prokrastynował.

Za plecami usłyszałem Korna. To Jola się obudziła i będzie się najpierw krzątała przez chwilę, a potem przyjdzie ze mną porozmawiać. Na koniec, niby od niechcienia, zapyta o to, co zwykle.

– Hej, wyspałeś się? – Weszła do pokoju, gdy akurat zrobiłem sobie pierwszą dziś przerwę w pracy.

– Tak – rzuciłem, starając się zastrzelić snajpera z przeciwnej drużyny. Albo to ja się starzeję, albo to ci dzisiejsi gówniarze mają jakiś wrodzony talent do walenia w starych pierników wirtualnymi pociskami.

– Miałam fajny sen – paplała, chociaż widziała, że próbuję się skupić. – Byliśmy u dziadków. Poszliśmy do piwnicy po chrzan, ale tam nie było piwnicy, tylko pole. To znaczy znaleźliśmy się na polu. Ja jechałam kombajnem, a ty obok takim różowym mercedesem...

– Jolu, proszę – przerwałem i odwróciłem się do niej. Trwało odliczanie do kolejnego *respawnu*. – Zaraz do ciebie przyjdę.

– Graj sobie – odpowiedziała, siląc się na obojętność, ale wiedziałem, że rozmowa się nie skończyła. Przecież nie było jeszcze kody, finału, utwór wciąż

trwał. Wyszedłem z gry, mimo że system dowali mi za to godzinną blokadę.

– I tak jestem do niczego. Co dziś robimy?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Może byśmy tak pojechali na zakupy? Przejrzę promocje.

Kiwnąłem głową, czekając na ostatni akord.

– Zajdziemy do zoologicznego?

Kiedyś słyszałem taki dowcip o facecie, który na rozprawie rozwodowej tłumaczył sędziemu, jak się objawia czepialstwo żony: czerwiec, słoneczko, upał, siedzimy z kolegami na tarasie i relaksujemy się przy grillu i piwku, a ona co? Przychodzi i wrzeszczy: „Wyrzuć choinkę, wyrzuć choinkę!”.

Ja dziś chyba w końcu wyrzucę.

– Dobrze – skapitulowałem. – Kupimy zwierzaka, ale jak skończę pracę.

– Wcale mi się nie spieszy.

Ze zniecierpliwienia aż przestępowała z nogi na nogę.

Już widzę, jak sobie w spokoju popracuję. Żegnaj, prokrastynacjo. Dziś mam poganiacza niewolników nad głową. Dla skrócenia męki zaproponowałem Joli, żeby wybrała w internetach jakieś akcesoria. Nie lubię ganiać po sklepach. Najchętniej w ogóle bym zwierza i wszystkie bambetle zamówił z dostawą do domu, ale wiadomo – pierwszy smok, wielkie wydarzenie. Osobiście trzeba się wybrać i wskazać palcem tego jedyne.

Praktycznie od chwili, gdy Jola po raz pierwszy znalazła na YouTube filmik z baraszkującymi skrzydlatymi gadami i zaczęła rozplływać się nad ich „ciudną uronością”, wiedziałem, jak to się skończy. Oczywiście próbowałem jej zakup smoka wyperswadować. Przecież to nie kolejna para butów. Zwierzę to odpowiedzialność. A co będzie, jak zachoruje? Czy w naszym ulubionym hotelu można trzymać zwierzęta? Smoki są jak żółwie, więc my zestarzejemy się prędzej niż on, dlatego może na początek jakieś mniej długowieczne zwierzątko? No i utrzymanie gada kosztuje krocie.

Nic. Grochem o ścianę. Wiedziała, jak kruszyć beton. Wystarczyło drążyć, aż pękłem. Przyłapałem się na tym, że teraz zamiast pracować odwiedzam jakieś smocze serwisy i przeglądam galerie zdjęć czy zestawienia ras i odmian. Te wystawowe były naprawdę imponujące. Nie to, co dachowce, wieżowcowce i mostowce, czy jak je tam nazywali. W zasadzie to mogliśmy przygarnąć jakiegoś przybłądę, bo bezpańskich smoków przybywało mimo finansowanych przez samorządy programów sterylizacji. Zamknąłem przeglądarkę i wysłałem ostatni arkusz. Zrobiony trochę po łebkach, ale i tak nikt tego nie czyta. Napisałem wiadomość, że wszystkie zlecenia odesłane, i wylogowałem się z chmury.

Najbliższe centrum handlowe leżało nieopodal naszego domu, może trzy

minuty samochodem, jeśli uda się trafić na zieloną falę. Było wczesne popołudnie, więc parking świecił pustkami. Skierowaliśmy się do środkowego wejścia prowadzącego bezpośrednio na halę. Jola prawie biegła. Aż się uśmiechnąłem pod nosem. Zazwyczaj to ona musiała mnie gonić.

Od wybuchu mody na smoki centra handlowe zmieniły się nie do poznania. Hipermarkety: wszechtowarowy, budowlany i elektroniczny poupychane były teraz w miejscach po niegdysiejszych butikach odzieżowych, które w ogóle zniknęły, za to halę w całości zajmował sklep zoologiczny. Przy samym wejściu stały gabloty z „tradycyjnymi” zwierzętami. Chyba tylko dla ozdoby lub z przyzwyczajenia, bo każdy klient od razu patrzył w górę na ledwo mieszczące się pod dachem ogromne smoczyska. Układ poszczególnych działów się nie zmienił. Na samym końcu w akwariach pływały nessie, nieco bliżej z regałów spływały girlandy zabawek na sznurkach, na półkach zalegały stosy kojców i drapaków. W zagrodach beczały i śmierdziały dziesiątki owiec. Przy samej ladzie można było wybrać różne ciasteczka i gryzaki ze zbrojonego betonu. A smoki? Smoki zajmowały najdalsze skrzydło hali, wyłożone azbestem i innymi ognioodpornymi materiałami. Na kratkach klatek ktoś dowcipny powiesił ostrzeżenie „Nie palić”, a ktoś zaangażowany dodał tabliczkę z hasłem „Nie kupuj – adoptuj”.

Jola oczywiście minęła klatki i poszła do oddzielonego zwisającymi pasami folii pomieszczenia, w którym pod lampami kwarcowymi wygrzewały się jaja leżące na tandetnej plastikowej biżuterii z H&M. Obok każdego wisiała kartka z ceną i przyszłym wyglądem uwięzionego w środku pisklaka. Jola zdążyła już obieć wszystkie i delikatnym puknięciem wskazać trzech faworytów.



- Andrzej, ten tu jest obronny, ale patrz, jaki będzie ładny. Tamten niebieski jest smokiem torebkowym, taką miniaturką, a ten tam to pasterski.

- Bo zjada owce?

- No wiesz, przestań - skarciła mnie, urażona. - Który nam się podoba najbardziej?

Przecież nie odpowiem jej, że żaden.

- Z trojga złego chyba ten pasterski. Wydaje się, że będzie najłatwiejszy do ułożenia. Chociaż ten torebkowy nie urośnie tak bardzo. Chyba...

Jola sięgnęła po jajo.

- To bierzemy pasterskiego... Jak on się poprawnie nazywa?

- Proszę nie dotykać! - zabrzmiał głos za moimi plecami. Chłopak w gównianej firmowej kamizelce podbiegł i odebrał Joli jajo. - Zaniosę do kasy. Tam będzie można odebrać. W międzyczasie możecie państwo wybrać akcesoria - poradził.

- Chodźmy! - zawołałem do Joli i wyszliśmy wreszcie z tego terrarium. Po powrocie znowu będę musiał wziąć prysznic.

Zanim doszliśmy do kasy, mieliśmy wózki wypełnione kojcem o średnicy trzech metrów, ale ładnie zwiniętym, suchą karmą ze zwiększoną zawartością białka dla smoków rosnących i mających większe zapotrzebowanie kaloryczne, zabawkami, ciasteczkami do czyszczenia zębów, szlifierką kątową do obcinania pazurów, różnymi sznurkowymi zabawkami i maskotkami, gryzakiem z niepalnej gumy, jakiej używa się w samolotach, i gaśnicą autobusową. Rachunek wyszedł kosmiczny, ale czego się nie robi dla ukochanej? No i dostaliśmy gratis obrozę z identyfikatorem.

Pakowanie samochodu trochę trwało. Jola siedziała z jajem na kolanach i co chwila podniecona pytała mnie o jakąś pierdołę, przez co za każdym razem krzychałem „co?”, obchodziłem samochód, po czym wracałem do bagażnika coraz bardziej wkurzony. Już nie znosiłem tego gada.

Do domu dotarliśmy dopiero pół godziny później, bo za wszelką cenę starałem się omijać każdą najmniejszą dziurę i nierówność, a i tak pewnie zawieszenie będzie do wymiany. Ciężki to był dzień, oj ciężki.

\*\*\*

Bobo wykuło się jakiś tydzień później. W sumie uroczy dziabąg, tylko ten smród siarki... No i walił pod siebie po każdym posiłku, a żarł bez przerwy. Jola przez te siedem dni zamęczała mnie rozważaniami nad imieniem. W końcu doszło do kłótni.

- Będzie żył sto lat, to może nazwać go Stolec? - zaproponowałem wkurzony, gdy usłyszałem którąś z kolei propozycję.

Przeorała wszystko, co było do znalezienia na temat smoków. Książki, filmy, komiksy, gry, no wszystko. Jak nie Smaug, to Abraxas. Jak nie Errol, to Draco.

– Ty chyba wcale nie chcesz tego smoka – wyrzuciła mi.

– A chcę?! Przecież to ty smęciłaś mi o gadzie od miesiący. Kurwicy można było dostać! Miałem nadzieję, że mi odpuścisz, ale, jak widzę, trafiłem z deszczu pod rynnę! Weź sobie to jajo i z nim gadaj.

Dopiero wieczorem poszedłem przeprosić.

– Miluś. To taki mały smoczek z komiksów o Kajku i Kokoszu. Czytałem w dzieciństwie. Jak był smutny, to robił „chlip, ślurp”.

– Fajnie. Będzie Miluś. – Spojrzała na mnie czerwonymi od płaczu oczami.

Przedostatni raz kłóciliśmy się o smoka. Jak już się wykuł, to oczywiście Jola była tą od pieszczona i szczebiotania, ja za to mogłem do woli rozkoszować się noszeniem wiader z wodą i karmą, szuflowaniem łajna i odkurzaniem łusek, które Miluś rozrzucał po całym mieszkaniu. Jeszcze nie ział ogniem, ale pewnej nocy dostał takiej gorączki, że przepalił kojec (który podobno miał być niepalny) i parkiet do gołego betonu. Wrzuciłem go do wanny, a gdy ostygł, pojechaliśmy do weta. Finansowo nie bolało, ale dostałem szczegółową rozpiskę, kiedy szczepić i na co, jak karmić i poić, no i że jak najszybciej przydałaby się tresura u specjalisty, bo jak gadzina urośnie, to owinie nas sobie wokół pazurka.

– Te szczepienia to obowiązkowe? – spytałem.

– Nie, ale przydatne. Katar u smoka to nic przyjemnego, proszę mi wierzyć.

– A wścieklizna?

– Niepotrzebna. Smok nie zaraża przez pogryzienie, bo po kłapnięciu żadna choroba nie zdąży się rozwinąć – uspokoił lekarz.

Po powrocie do domu i podaniu leków siedziałem przy Milusiu prawie do rana i obkładałem go lodem. Jola położyła się wcześniej. Dostała w końcu wymarzoną pracę i musiała wyspać się przed pierwszym dniem.

\*\*\*

W sumie dobrze, że znalazła robotę. Mały... tfu, wielki smok to wielkie wydatki. Tresura to pikuś, jakoś to ogarnąłem. Miluś jest pojętny, chociaż czasami złośliwy. Jak tylko wyzdrowiał, zeżarł mi buty, zimowe palto i lodówkę. Ale to było dwa miesiące temu. Teraz już jest ułożony. Obecnie „chodzenie przy nodze” nabiera nowego znaczenia, jako że proporcje trochę się odwróciły. Żre cztery owce dziennie, wyłącznie żywe. Suche karmy nie tyka, a beczka mokrej paszy klasy premium leży otwarta na balkonie od miesiąca. Liznął trochę i poleciał polować na żubry do Białowieży. Powinienem tę paszę wywalić, zanim się zepsuje. Dobrze, że mróz trzyma. Miluś śpi na dachu. W mieszkaniu od dawna się nie mieści. No i cały czas musi mieć gryzaki, za którymi po prostu przepada. Jak

go chciałem odzwyczaić, to najpierw opędzłował wszystkie okoliczne drzewa, a potem zabrał się za kolumny budynków. Na spacer wyprowadzam go samochodem. Sprzedałem starego kompakta i teraz jeżdżę dźwigiem, bo wprowadzili obowiązek wyprowadzania smoków na smyczy. Przynajmniej o wodę nie muszę się martwić, bo żłapie prosto z rzeki. Podobno gdzieś na południe od miasta zrobili park dla smoczarzy. Gadziny mogą tam się wylatać i spotkać z innymi smokami. Wybierzemy się tam w weekend.

Jola przypomina sobie o Milusiu tylko wtedy, gdy nie ma z kim oglądać telewizji, co ostatnio zdarza się coraz częściej. Po sprzątnięciu milusiowej paczki z trawnika jestem kompletnie wypompowany. Skarmianie owcami to też nie przelewki. Do comiesięcznej pielęgnacji pazurów zatrudniam dwóch pomocników, a do czyszczenia uszu kupiłem sobie uprząż do prac na wysokości. Fart, że Miluś grzecznie poddaje się tym zabiegom. Czytałem na forum o problemach, jakie niektórzy mają ze swoimi pupilami. Danny263 pisał, że kiedy ostatnio zabrał się do zabiegów pielęgnacyjnych, to spłonęły dwa wieżowce i Biedronka. Tak, jestem na forum dla smoczarzy. Musiałem zapytać o kilka rzeczy, na przykład o dziwną wydzielinę z nosa. Okazało się, że to typowe dla tej rasy. Miluś nie jest szczególnie ognisty, a gruczoły nosowe muszą się jakoś czyścić. Jest tu kilku popaprańców, ale zasadniczo to bardzo sympatyczne towarzystwo. Umówiłem się na wspólny piknik. Będzie ponad dwadzieścia smoków, darmowe USG, cała zagroda lam i konkurs piękności. Z tej okazji zamówiłem beczkowóz ekologicznej ozonowanej oliwy do nabłyszczania łusek. Przyjedzie jutro. Niech maluch ma na pierwsze urodziny.

\*\*\*

Rozeszliśmy się z Jolą. Oddałem jej wszystko bez dyskusji. Wywaliła mnie z mieszkania, więc co było robić? Spakowałem się w worki i wrzuciłem wszystko do kabiny dźwigu. A, nie wspomniałem, że rzuciłem pracę. Smok – ułożony czy nie – wymaga jednak ciągłej opieki. Poradzę sobie jakoś. Pokłóciliśmy się wyłącznie o gada. Chciała go zatrzymać chyba tylko po to, żeby mnie upokorzyć, bo po co innego? Ostatecznie odpuściła, gdy na moje polecenie Miluś wypuścił w jej stronę ostrzegawcze kółko z dymu. Pierwszych kilka nocy spałem w kabinie. O zwierzaka nie musiałem się martwić. To nie jest tak, że głodny smok nic sobie nie upoluje, dlatego musiałem wyjechać poza miasto. Widać było, że Miluś rozumie sytuację. Codziennie przynosił mi prezenty: żyrafa, jeleń, dzik, dziecko. Mój kochany przyjaciel.

Zamieszkałem u Danny'ego z forum. Ma pod opieką siedemnaście smoków z interwencji. Wreszcie jakieś towarzystwo dla Milusia do zabawy. Poniemiecki bunkier pod lasem to może nie przytulna willa, ale przynajmniej jest bezpiecznie



– niektórzy podopieczni nie są tak grzeczni jak mój zwierzak. Doszło do kilku bójek między samcami, ale niegroźnych. Las nie ręka, odrośnię. Dostyc szybko przekonałem się, jak mało wiem o smokach. Nauczyłem się, jak podawać leki odmawiającym współpracy pacjentom, zmieniać opatrunki i podpinać tlenowy namiot cyrkowy. Danny działa w organizacji zajmującej się prawami smoków. Dzięki temu, że z nim mieszkam, może częściej wyjeżdżać. Czasami wraca z pokiereszowanymi, zagłodzonymi i zagrzybionymi zwierzętami z pseudohodowli, czasem zakłada garnitur i rusza do walki na sejmowych korytarzach. Raz nawet widziałem go w telewizji. Ja w tym czasie zajmuję się biedakami porzuconymi w lasach w sezonie urlopowym lub zaraz po świętach, gdy okazuje się, że prezent gwiazdkowy potrafi w ciągu sekundy sfajczyć kolację wigilijną i pół rodziny. Mimo że w bunkrze nie ma ogrzewania, a grudzień jest wyjątkowo mroźny, dzięki gadom na całej polanie jest średnio dwadzieścia stopni. Od jakiegoś czasu przygotowujemy się do nocy sylwestrowej. Smoki głupieją na widok fajerwerków, dlatego wszędzie pojawiają się apele, żeby nie strzelać ze względu na zwierzęta i własne bezpieczeństwo. Miluś też, jak widzi choćby racę, od razu wali płomieniami na wszystkie strony. Mamy piętnaście wozów strażackich i dwa samoloty gaśnicze. To najgorsza noc w roku.

\*\*\*

Jeszcze niedawno byłeś małym jajeczkiem, drobnym pisklaczkiem, a teraz? Ja już jestem stary, zgrzybiały, a ty dopiero poszukasz sobie dziewczuchy. Powinienem był cię wykastrować, ale zawsze było tyle innych wydatków. Dziękuję ci, przyjacielu. To było bardzo fajne życie.

# NORDDRAGEN

Aleksandra Cebo

Eryk, rudy dziesięciolatek, nie biegał tego dnia z drewnianym mieczem i nie staczał wymyślonych bitew wraz z innymi chłopcami. Zamiast tego przykucnął, a później przysiadł obok starego Olafa.

Rzeźbiarz wykańczał olbrzymią smoczą głowę z drewna. Eryk doskonale wiedział, że już za kilka dni ozdobi ona dziobnicę nowego statku. Przyglądał się, jak pył wiruje w powietrzu i opada wraz z wiórami na ziemię.

– Dlaczego dragen? – Chłopiec zadał pytanie, ale wcale nie czekał na odpowiedź. – Południowcy nie mają takich zdobień na swoich łodziach. Widziałem, gdy przyplływali kupcy.

Starzec rzucił Erykowi szybkie spojrzenie, nie przerywając pracy. Malec niby z nim rozmawiał, ale wciąż zerkał na dowodzących kolegów, jakby nie mógł się zdecydować, co go bardziej pociąga. Nie uszło to uwadze Olafa.

– To stara historia. I długa. Nie wiem, czy starczy ci cierpliwości, żeby ją całą wysłuchać.

Eryk skierował spojrzenie na rzeźbiarza. Po chwili wahania podjął decyzję. Zawsze zdąży się pobawić. A starzec snujący historię to większa gratka, bo nie zdarza się często. Olaf zdecydowanie chętniej dzielił się z ludźmi talentem rzeźbiarskim niż gawędziarskim.

– Opowiesz, skąd wzięły się drakkary?

Mógł spytać o to ojca, ale wszyscy wiedzieli, że mieszkający w wiosce od zawsze starzec potrafił snuć opowieści ciekawiej niż ktokolwiek inny.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Olaf nawet na chwilę nie oderwał się od tworzonego dzieła.

Dzieciak tylko kiwnął głową, śledząc wzrokiem każdy ruch dłuta. Ledwo wierzył w swoje szczęście.

Mężczyzna na chwilę przerwał wykańczanie rzeźby, podrapał się trzymanym w dłoni narzędziem po siwej brodzie, odchrząknął. Gdy zebrał myśli, znów podjął pracę przy smoczym łbie. Zanim jednak zaczął opowieść, rzekł:

– Skocz do izby i przynieś stojący na stole dzban. W tym słońcu i pyle trzeba będzie przepłukać gardło, jeśli mam je sobie zdzierać.

Chłopiec, wciąż ściskając w dłoni drewniany mieczyk, bez słowa wykonał polecenie.

– Stary już jestem, ale tę historię pamiętam, jakby wydarzyło się to wczoraj. A minęło tyle lat... – Olaf uśmiechnął się do wspomnień. Pociągnął z dzbana długi łyk. – Wszystko zaczęło się od Norddragena. Wiele lat temu wśród naszych przodków żył waleczny Sigurd Ragnarsson. Wioska Arnsund, z której pochodził, niegdyś słynęła z bogactwa. Mieszkańcy opływali w dostatki, a każdy z rodów był szlachezny. Wywodzili się z nich najlepsi rzemieślnicy biegli w różnych dziedzinach, którzy rozjeżdżali się po wszystkich północnych krainach. Nieśli swą wiedzę i sztukę innym rodom i plemionom.

– Jak nożownik Sverrir? Tata mówi, że on robi najlepsze noże na świecie, a mama, że najładniejsze... – Eryk zamilkł, nieco zawstydzony, że przerwał Olafowi. Ten jednak tylko ponownie sięgnął po dzban, korzystając z nagłej przerwy.

– Tak, prawie jak nasz Sverrir, który jednak woli dzielić się z innymi nie wiedzą, ale samymi wyrobami. Na czym to ja skończyłem? – Zamyślił się, próbując złapać urwany wątek. – A tak, już mam. Z czasem wiele się zmieniło. Mieszkańców wioski Sigurda zrujnowały ciągle najazdy sąsiadów, zazdrosnych i chciwych. Ci, zamiast handlować, woleli grabić i wykorzystali to, że prawdziwych wojowników w Arnsund nie żyło zbyt wielu. Za czasów Sigurda bogactwo pozostało już tylko wspomnieniem. Młodzian pochodzący z jednej z uboższych rodzin zakochał się w pięknej Anniken, córce jarla. Chociaż dziewczyna odwzajemniła jego uczucie i raczej nic nie stało na przeszkodzie ich małżeństwu, Sigurd chciał to załatwić inaczej. Postanowił zdobyć olbrzymie bogactwo, by przywrócić wiosce świetność i zasłużyć na serce wybranki. – Olaf przerwał na chwilę i zadumał się. Dłonie z narzędziami znieruchomiały.

Eryk wykorzystał tę okazję, by zadać kolejne pytanie:

– Zebrał drużynę i najechał złych i bogatych sąsiadów?

– Nie. – Ostrze uderzonego dłuta wcięło się w drewno. – Natchniony starymi legendami i opowieściami przywożonymi do wioski przez kupców postanowił odnaleźć tajemniczą wyspę. Miał na niej mieszkać smok, który w swej jaskini zgromadził stopy złota, srebra i szlacheznych kamieni, jak to te stwory mają w zwyczaju. Sigurd postanowił zabić bestię i przywieźć do wioski skarb. Jednocześnie chciał pokazać światu swe męstwo. No i ta chęć przygody... – Zagadkowy uśmiech zagościł na pomarszczonej twarzy.

Tym razem Eryk nie śmiał przerywać ciszy. U jego stóp w końcu upadł drewniany mieczyk, wzbijając chmurę pyłu i kurzu. Kolejni chłopcy przysiadali się już od dłuższej chwili, by także posłuchać historii.

Olaf podjął gawędę:

- Nikt nie wiedział, gdzie znajdowała się smocza wyspa. Wszystkie opowieści kierowały tylko na północ. Sigurd zebrał dwunastu żądnych przygód wojów. Przeszykowali łódź. W tamtych czasach wyglądały one inaczej: były to proste, krótkie i szerokie konstrukcje, bez żadnych zdobień. Pozwalały tylko na rejsy wzdłuż wybrzeży. Nie to, co późniejsze statki, którymi Gunbjørn czy Eryk Rudy przepławili się przez morze do zachodnich krain. Tak czy inaczej, trzynastu mężczyzn zasiadło do wiosł i ruszyli. Żegnała ich cała wioska. Płynęli od wyspy do wyspy, zmierzając coraz dalej na północ. Aż, po wielu, wielu dniach rejsu, któregoś świtu zobaczyli przed sobą kolejny skalisty brzeg...

\*\*\*



Sigurd Ragnarsson wiedział, że zapuścili się daleko na północ. Od dawna nie widzieli już nawet skarłowaciałych drzew na mijanych wybrzeżach. Nie rosły i na tej nieprzyjaznej ziemi. Opływając niewielką wysepkę, nieledwie skałę wyrastającą z morskich odmętów, mijali wysokie klify i najeżone bazaltowymi ostańcami zatoczki. Ze dwa razy dostrzegli białe nitki strumieni kończące swój bieg ku morzu jako niewielkie wodospady. Wreszcie znaleźli przystań w zatoce o łagodnym brzegu z pełną złotego piasku plażą. Za nią, na zboczach, między głazami, widzieli jedynie pojedyncze kępki zmarniałej trawy.

Wikingowie wciągnęli szeroką jednostkę na brzeg. Nie mieli jej jak zabezpieczyć, ale też nie widzieli takiej potrzeby. Wąskie wyjście chroniło ten skraj lądu przed większymi falami. Statek powinien być bezpieczny.

– Rozbijamy obóz? – spytał Svein, przeciągając się i rozprostowując mocarne ramiona.

Sigurd powiódł spojrzeniem szarych oczu po okolicy. Wciągnął głęboko powietrze.

– Nie. Mam przeczucie, że jesteśmy na właściwej wyspie. Czujecie ten zapach?

– Ten smród zgniłych jaj?

– Tak. To oddech smoka. Jest gdzieś tutaj. I jaskinia. Lepiej ruszajmy na jej poszukiwanie. Poza tym przy tej plaży nie ma słodkiej wody, a jej zapas się kończy. Musimy znaleźć jeden ze strumieni.

Prawie dziesięć lat doświadczenia w roli najemnika nauczyło dowódcę wyprawy wiele – nie tylko jak walczyć, ale i jak przeżyć pomiędzy walkami. Na jego polecenie kompani zabrali kilka bukłaków, broń i worek z kilkoma łuczycami i linami, całą resztę ekwipunku zostawiając w łodzi. Ruszyli w głąb niewielkiej wyspy.

Wspinali się stromym zboczem, klucząc między głazami. Spod nóg uciekały im drobniejsze kamienie. Szli w milczeniu. Słyszeli tylko swoje ciężkie oddechy, chrzęst żwiru pod stopami, czasem metaliczny zgrzyt, gdy miecz lub tarcza uderzyły w skałę.

– Hej, tu coś jest! – zawołał po jakimś czasie bystrooki Ulf, którego czarne, nigdy nie czesane włosy szarpał wiatr. – Widzicie ten dym?

– I czujecie ten smród? – mruknął Frode, krzywiąc się. Po chwili poczuł na lewej łopatkę uderzenie. – Im jesteśmy bliżej, tym jest mocniejszy.

– Takiś wrażliwy, Frode? – To Holger poklepał go po przyjacielsku. – Przyzwyczaj się... albo wstrzymaj oddech, bo zmierzamy chyba właśnie do źródła smrodu!

– Tylko się nie uduś, bo żadna Walkiria nie będzie chciała po ciebie przybyć! – Svein ryknął śmiechem.

Stanęli na skraju ogromnego otworu zięjącego w skalistym gruncie. Wikingowie pochylili się nad nim, rzuciwszy na ziemię bagaże. Usłane ostrym gruzem dno znajdowało się w odległości równej mniej więcej trzem wysokościami mężczyzny. Prawie pionowa ściana była postrzępiona, a u jej stóp leżało kilka olbrzymich odłamków skalnych. Wojowie zaczęli obchodzić nieregularny brzeg, aż ich oczom ukazało się wejście do podziemnego świata. Wcześniej go nie dostrzegali, bo stali bezpośrednio nad nim.

Znaleźli leże poczwary, ale nie drogę w dół.

– Gjurd, w worku są łuczywa, przynieś je. Bjørn, będziesz trzymał linę.

– A jak potem zejść za wami? Nie ma jej tu do czego przywiązać. – Olbrzym o blond włosach i równie jasnej brodzie, starannie zaczesanych w warkocze, na potwierdzenie swych słów bez większego wysiłku przetoczył jeden z najbliższych leżących kamieni.

– Nie zejdziesz. Zostaniesz na straży.

Niezadowolony wojownik mruknął coś pod nosem, ale nie protestował.

Mężczyźni sprawnie przytroczyli broń i tarcze. Gjurd, młokos dopiero wkraczający w wiek męski, zrzucił na dno jamy worek z łuczywami. Szybko sprawdził, czy hubka tkwi na swoim miejscu w sakiewce. Bjørn zawiązał linę w pasie i wypróbował kilka miejsc, by zaprzeć się dobrze stopami na kamienistym gruncie. Gdy stwierdził, że znalazł pozycję, jakiej potrzebował, zrzucił większość powrozu do otworu.

Pierwszy ruszył rudowłosy Gjurd. Sprawnie i szybko opuścił się na linie w dół. Nim zeszli pozostali, zdążył rozpalić pochodnie.

Zanurzyli się w ciemnym przejściu. Każdy trzymał w dłoni miecz lub topór, co trzeci wojownik oświetlał drogę. Blask płomieni pełzał po ścianach, przemykał po krzywiznach, tańcząc z wywołanymi przez siebie cieniami. Szli powoli i ostrożnie, usiłując zachować ciszę. Szeroki i wysoki korytarz, zakręcając kilkukrotnie, ciągnął się przez wiele kroków i kończył olbrzymią salą, której granice ledwie majaczyły w półmroku. Przez liczne szczeliny w odległym stropie wpadało dość światła, by mężczyźni mogli ogarnąć spojrzeniem całą pieczarę. Chociaż wobec braku dobrego światła nie dostrzegali licznych szczegółów, to nie mogli przeoczyć ogromnego stosu. I z pewnością nie przegapiliby smoka, gdyby tu był.

Gdzieś z boków dochodził ich szmer płynącej wody. W nozdrza wdzierał się ostry zapach siarki. Wrażliwy Frode nerwowo przełykał ślinę i zasłaniał nos, usiłując oddychać przez usta.

Wikingowie spojrzeli na siebie i w milczeniu skinęli głowami. Rozproszyli się.

\*\*\*

Monstrualny drapieжник wracał z polowania. Tym razem poleciał daleko nad

kontynent, gdzie urządził sobie ucztę z dwóch tłustych reniferów, które miał trawić przez najbliższych kilka dni. Czuł się wyjątkowo nażarty i ociężały. Kilka razy odbiło mu się i z pyska wystrzelił niekontrolowany płomień. Ostatni trafił wyciągniętą na brzeg łódź, która natychmiast stanęła w ogniu. Przez coraz bardziej senny mózg gada przemknęła niejasna myśl, że na jego plaży nie powinno być nic, co mogłoby płonąć. Zalegające w żołądku pożywienie jednak nie tylko spowalniało ruchy, ale i otępiało umysł. Zignorował więc to spostrzeżenie i polecał wprost do leża.

\*\*\*

Pięciu śmiałków znalazło się już na powierzchni, gdy południowe słońce przysłonił cień skrzydeł. Bjørn i smok ryknęli jednocześnie. Einar i Frode natychmiast sięgnęli po miecze. Gjurd rzucił wypchany kosztownościami worek na ziemię i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści topora. Svein pomógł Bjørnowi wydostać pozostałych z dziury.

Jaszczur jeszcze dobrze nie wylądował, gdy otworzył paszczę. Wojownicy, oczekując płomienia, odruchowo zasłonili się tarczami. Jednak ognisty podmuch nie nadszedł. Bestia tylko poruszyła przypominającym grdykę zgrubieniem na szyi, zakrzuszyła się i dziwacznie kichnęła, opadając ciężko na wszystkie cztery łapy.

Jeden z pierwszych ciosów ogona dosięgnął Sveina. Twarde płytki zatopiły się w torsie wikinga. Ten resztką świadomości wbił ostrze topora w twardą skórę aż po czepiec. Chciał ryknąć szaleńczym śmiechem, ale z jego gardła wpłynęły tylko bulgot i strumień krwi.

Tymczasem pozostali wojowie ruszyli na bestię, która jednym machnięciem pozbyła się z ogona martwego balastu. Mężczyźni, niedoświadczeni w walce z takim niecodziennym przeciwnikiem, improwizowali. Pozwolili, by ogarnął ich bitewny szal, a mordercze instynkty przesłoniły zdrowy rozsądek. Miecze i topory śmigają, kilka włóczni przeszło powietrze i odbiło się od łusek bestii. Tarcze zamieniały się w świstające we wszystkie strony drzazgi. Białe i ostre kły błyskały tuż przy pochylanych w pośpiechu głowach. Wojowie to nacierali, to uskakiwali przed ciosami ogona, szponami, kłapiącymi w złości szczękami, uderzeniami rozłożonych skrzydeł.

Nie mieli zamiaru się poddawać. Liczyło się tylko zwycięstwo albo śmierć.

\*\*\*

Pokonanie bestii okazało się niełatwym zadaniem nawet dla dwunastu uzbrojonych mężczyzn. Pokryta srebrzystą łuską skóra sprawiała wrażenie niewrażliwej na ciosy. Nim udało się odciąć łeb poczwarcze, do Sveina dołączyło



jeszcze czterech kompanów.

Ciała zabitych zostały ułożone równo, jeden obok drugiego, na skraju pola bitwy. Ocaleli nie dysponowali statkiem, na którym mogliby wyprawić tradycyjny pochówek morskich wojów, zaś pod nogami nie było gleby, w której mogliby wykopać groby. Stosów pogrzebowych też nie mieli z czego usypać. Polegli musieli poczekać, aż ich żywi kompani odpoczną i znajdą sposób na uczczenie ich pamięci.

Zmęczeni wojownicy rozsiedli się na zbroczonych krwią skałach.

– Zwycięstwo – wychrypiał Gunnar. Jego łysa głowa lśniła czerwienią posoki.

– Tak, zwycięstwo, które nasi towarzyszy okupili życiem! – Sigurd otarł twarz mokrą dłonią, w wyniku czego tylko bardziej rozmazał krew.

– W łodzi jest bukłak słodkiego wina z południa – powiedział Ragnar, nie przerywając opatrywania paskudnej rany na udzie. – I drugi miodu. Który najbardziej żyw, niech idzie. Uczcimy zwycięstwo i pamięć naszych braci.

Gjurd podniósł się i lekko kulejąc, ruszył w stronę plaży.

– I przynieś worki, zaczniemy pakować łupy! – zawołał za nim Olaf.

– A do worka zapakuj trochę jedzenia. Po walce zawsze robię się głodny. – Ulf usiłował zatamować krwawienie z ramienia.

– Na razie trzeba odpocząć. – Sigurd wstał, przecząc własnym słowom. – Zejdę na dół i przyniosę wody ze źródła. Ktoś będzie musiał znów przytrzymać linę.

Bjørn z trudem podniósł się z ziemi, chwycił powróż i oplótł się nim. Po chwili Sigurd wszedł do jaskini, niosąc pęk pustych bukłaków.

\*\*\*

– Nie ma łodzi! – Gjurd wrócił zdyszany i zdenerwowany. Broda pokryta rudym jak czupryna meszkiem drżała, gdy przekazywał nowinę. – Tylko zgliszczą! Dragen musiał ją spalić.

Zapadło milczenie. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, co to oznaczało. Na wyspie nie było drzew, z których mogliby zbudować łódź. Bez niej nie przeprawią się przez morze. A jeśli tu zostaną, zginą – z głodu lub od mrozu. Tak daleko na północy zima przychodziła bardzo szybko i trwała wyjątkowo długo. Ponurą ciszę przerwał Sigurd, który wyłonił się z podziemi. W dłoniach ścisnął rzemienie bukłaków, zmrużył oczy, ściągnął brwi. Głos mu jednak nie zadrżał:

– Nie. Tak nie może być. Nie po to podjęliśmy trud podróży na krańce świata. Nie po to zabiliśmy bestię, by zginąć tu teraz tak marnie. Czeka na mnie Anniken, a na was wasze kobiety i rodziny. Musimy do nich wrócić. Obiecaliśmy...

– Frode też obiecał, że wróci. Czarnowłosej Jorun. Mieli po powrocie

wyprawić wesele. On słowa już nie dotrzyma.

– Taka jest dola wojownika. – Gunnar wciąż chrypiał. Któryś z ciosów jaszczura musiał uszkodzić krtań. – Każdy z nas wiedział, że może zginąć na tej wyprawie. To jednak co innego, niż pozwolić sobie zamarznąć w beczynności. Frode, Holger, Jon, Svein i Torvald są już w Walhalli i uczują z bogami. Jeśli nie będziemy walczyć do końca, nie dostąpimy tego zaszczytu.

Gunnar wypił kilka łyków wody, by zwilżyć bolące gardło. Pozostali spuścili głowy. Wiedzieli, że miał rację, ale byli zbyt zmęczeni, żeby dalej walczyć. Szczególnie teraz, gdy ich przeciwnikiem był Los i nadchodzący Lodowi Bogowie.

Sigurd rozdał naczynia i usiadł.

– Powtórzę jeszcze raz: musimy odpocząć. Nabierzemy sił, to i jakieś rozwiązanie łatwiej znajdziemy.

– Skąd nabrać tych sił, skoro resztką zapasów spłonęła wraz z okrętem?

Sigurd zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

– Mięsa mamy całkiem sporo. Wprawdzie surowego... – Spojrzał na truchło. Odcięty wraz z większością szyi łeb leżał kilka kroków dalej.

Wstał i podszedł do zwłok, po czym sięgnął po miecz. Z trudem rozpruł twardy brzuch i zaczął grzebać w częściowo wylewających się wnętrznościach.

Podniósł się i odwrócił w stronę towarzyszy. W wyciągniętych dłoniach trzymał olbrzymi krwawy strzęp.

– Na początek serce. – Sigurd uniósł do ust wciąż ciepły mięsień i oderwał skrawek zębami. Świeża krew spłynęła po brodzie.

– Za moc!

Wikingowie zaczęli po kolei wstawać i podawać sobie smocze serce zmniejszające się z każdym ugryzieniem.

– Za siłę!

– Za odwagę!

– Za poległych!

– Za żywych!

– Za powrót do domu!

– Za nasze kobiety, wiernie czekające!

– Za przetrwanie!

Ostatni kęs przypadł Sigurdowi. Gestem toastu wznosił dłoń ściskającą resztkę serca.

– Ku chwale Odyna, oby miał nas w opiece!

\*\*\*

Einar, po zaspokojeniu pierwszego głodu, podszedł do truchła i zaczął szukać

żołądka. Widział, jak smok w trakcie walki połykał dorodne kryształki, które wysypały się z rozprutego worka. Nie wiedział, dlaczego to czyni, ale dręcząca go ciekawość i chęć odzyskania kamieni nie pozwoliły mu przestać. Gdy w końcu znalazł gigantyczny organ, rozciął go nożem. Cuchnąca zawartość rozlała mu się na nogi, jednak w środku nie znalazł tego, czego szukał.

Oparł się o bok cielska, wciąż z resztkami żołądka na kolanach, i zamyślił. Gdzie zniknęły kamienie? Gad z pewnością nie zdążył ich strawić. W cuchnącej mazi znalazł rozpoznawalne szczątki posiłku smoka. Klejnoty nie mogły zniknąć szybciej. Chyba że... trafiły gdzie indziej.

Einar odwrócił się, przysiadł na piętach i zaczął od nowa przeszukiwać trzewia.

\*\*\*

Ośmiu wojowników stało w półkolu na szczycie klifu i w milczeniu wpatrywało się w dogasający stos. Nie zważali na rozwiewany podmuchami wiatru popiół ani wcześniej na smród palonych ciał. Młody Gjurd mógłby przysiąc, że w rozbłyskach płomieni widział odlatujące w ramionach Walkirii dusze poległych kiwające z aprobatą głowami.

Gdy prowizoryczny pogrzeb dobiegł końca, mężczyźni rozstąpili się i pozwolili, by wiatr bez przeszkód zwiął prochy nad szare wody północnego morza. Niespiesznie wrócili do smoczej jaskini.

Patrząc na wciąż leżące na płaskowyżu szczątki potwora, Sigurd wpadł na pewien pomysł. Ludzie odpoczęli, dzięki gorącemu pieczonemu mięsu nabrali sił i byli gotowi do dalszej walki o przetrwanie – teraz za przeciwnika mieli czas.

Mężczyźni szybko zabrali się do pracy, najpierw rozdzielwszy między siebie zadania. Używając mieczy i noży, ostrożnie wycinali resztki mięsa. Cienkie płyty wieszali obok tych już wystawionych na działanie słabnących promieni późnoletniego słońca. Z braku możliwości porządnego wygarbowania skóry tę też musieli spróbować wysuszyć. Rozcinali ją ostrożnie i mozolnie, zgodnie ze wskazówkami Ulfa. Oczyszczony szkielet przenieśli na brzeg zatoczki.

Olaf stąpił dwa topory, zanim odrąbał łapy. Do zachodu słońca oczyszczał od środka jedną z nich. Jeszcze trzy dni i skórzane niby-beczki będą gotowe.

Einar zajął się jednym ze skrzydeł. Odciął błonę od mięśni. Musiał utrzymać ją lekko wilgotną, by zachowała elastyczność, więc ze swoją pracą przeniósł się pod ziemię. Siedząc przy gorącym źródle, czubkiem noża porobił otwory, przez które przeplótł nić i rzemień. W ten sposób stworzył kolejne prowizoryczne sakwy.

Jak na razie aura im dopisywała. Pracowali bez ustanku, modląc się w duchu do bogów, by taka pogoda utrzymała się jak najdłużej.

\*\*\*

Po kolejnych dniach wytężonej pracy wojowie spojrzeli na swoje dzieło.

Przed nimi leżał przedziwny okręt. Gdyby sami go nie zbudowali, mogliby pomyśleć, że to beznogi jaszczur wyleguje się na brzegu.

Długi szkielet gada obciążony został jego własną skórą. Rząd płyt grzbietowych tworzył teraz postrzępiony kil. Ogon stał się sterem. Niezwykle wysoką dziobnicę zwieńczała smocza głowa otwartą paszczą skierowana naprzód, lekko w dół. Kości łap i jednego skrzydła zamieniły się w prowizoryczne wiosła. Drugie ze skrzydeł sterczało pionowo pośrodku pokładu jako żagiel. Łódź, znacznie węższa i dłuższa niż zwyczajowo budowane przez skutników, pomieściłaby trzydziestu wioślarzy wzdłuż jednej burty. Sześćdziesiąt wiosła! Prawdziwa potęga. Jednak mężczyzn było tylko ośmiu.

Błoniaste poszycie nie zdążyło dobrze wyschnąć. Wojowie nie chcieli jednak dłużej czekać, bo zima zbliżała się wielkimi krokami. Ostatnie dwa dni pracowali w strugach lodowatego deszczu.

Grubość skóry poczwary dawała im nadzieję, że wytrzyma ona przeprawę.

Wojowie przez cały dzień przenosili łupy, zgromadzone zapasy mięsa i słodkiej wody na plażę.

Po raz pierwszy od początku pobytu na wyspie spędzili noc poza ogrzewaną gorącym źródłem jaskinią. Niewiele wypoczęli i o świcie wstali skostniali. Zgrabiętymi z zimna dłońmi zepchnęli swe dzieło na wodę. Kadłub zakołysał się lekko, ale utrzymał na powierzchni i to wystarczająco stabilnie. Mężczyźni w pośpiechu wrzucili na pokład wszystkie rzeczy. Pewni powodzenia, poświęcili mały szmaragd, by zjeść gorącą pieczeń przed wyruszeniem w rejs.

Ulf początkowo miał obawy o to, jak łódź będzie zachowywać się na wodzie, ta jednak spełniała swoje zadanie. Na nierównym pokładzie brakło ław, więc wioślarze musieli pracować na stojąco. Jedyne problem stwarzał sztywny żagiel, którego nie mogli zrzucić, gdy zawiął niepomyślny wiatr. Walczyli więc z nim i z nieporęcznym masztem z kości. Poza tym smukły kadłub, pomimo tak nielicznej obsady, lekko ciął fale i ślizgał się po ich grzbietach.

\*\*\*

Mijały dni, a oni zmierzali na południe, trzymając się blisko poszarpanych brzegów kontynentu. Raz na jakiś czas zawijali do portów w celu uzupełnienia zapasów wody i żywności. Ulf w pierwszym z nich zarządził dwudniowy postój, by zamienić maszt kościany na drewniany, a skórzasty żagiel na wełnę.

Przedziwny okręt nie uchodził uwadze rybaków, kupców i mieszkańców mijanych osad. Po zawinięciu statku do przystani natychmiast na deskach

pomostów rozlegał się tupot biegnących wojom na powitanie dzieci. Z otwartymi ze zdumienia ustami dotykały łuskowatych burt. Zadzierając głowy, z błyskiem ekscytacji w oczach spoglądały prosto w rozdziawiony pysk bestii. Każde z nich najchętniej weszłoby na pokład, ale wikingowie z drużyny Sigurda pilnowali, by nieproszeni goście nie myszkowali wśród cennego ładunku. Po dzieciach, nie mniej ciekawi, ale bardziej opanowani, podchodzili dorośli. Kobiety zachwycały się srebrzystym kolorem i lśnieniem skóry. Mężczyźni kiwali głowami z aprobatą, podziwiając smukły kształt kadłuba.

Wkrótce, mimo niezwykłej powściągliwości załogi w opowiadaniu o swych przygodach, zaczęły powstawać pieśni sławiące odwagę ośmiu bohaterów, którzy zabili straszliwego potwora. Skaldowie układali sagi o mądrości i przebiegłości herosów, jaką wykazali się, gdy bestię zamienili w uskrzydloną łódź i podporządkowali swoim rozkazom, by mknęła po falach. Milczenie wojów nie przeszkadzało poetom i bajarzom, gdyż jak zawsze wszelkie opowieści wzbogacali o wytwory własnej wyobraźni.

Wracając do leżącego przy południowej granicy krainy Arnsund grupę zaczęły poprzedzać opowieści o smoczym statku, który zaczęto nazywać drakkarem.

\*\*\*

Stojąc przy wiosłach czy operując żaglem, snuli wizje tego, co będą robić po powrocie do domu. Zazwyczaj twardzi mieszkańcy północnych ziem zanurzali się w marzeniach i na moment łagodnieli, oblicza rozjaśniały uśmiechy. Bez względu na pogodę po gładkim lub sztormowym morzu niosły się śmiechy i śpiewy.

Ulf Svensson stwierdził, że odstawi miecz i zabierze się wraz z ojcem skutnikiem za budowanie długich, wąskich drakkarów na wzór Norddragen, jak nazwali swój statek.

Młody Gjurd przyznał, że podkochał się w Ulli, więc teraz, gdy dowiódł męstwa, chyba odważy się wreszcie do niej zagadać. Do tej pory nie miał śmiałości do kobiet, a zwłaszcza do tej wymarzonej. A za swoją część łupu stworzy własny warsztat stolarski.

Gunnar w myślach już tulił synka w ramionach. Gdy zamknął oczy, czuł ciepło małego ciała i zapach włosów Alvy, słyszał jej wiecznie radosny śmiech.

Ani Ragnar, ani Olaf nie mieli jeszcze zamiaru się ustatkować, ale za to planowali przez tydzień nie odchodzić od stołów i beczek z miodem.

Bracia Eriksson cieszyli się na myśl o nowym dziecku w rodzinie. Wyruszając, Bjørn zostawił żonę w błogosławionym stanie, teraz wracali jako ojciec i wuj. Robili zakłady, czy Bjørg urodziła syna, czy też córkę, a także sprzeczały się

o imię.

Sigurd nie mówił wiele, ale oczyma duszy widział już siebie ze złotowłosą Anniken przy boku. Gdzieś na granicy świadomości majaczyła gromadka rozbrykanych dzieci. Jasnowłosych dziewczynek pięknych jak matka i szarookich chłopców dzielnych jak ojciec.

Nie spodziewali się hucznego powitania, jednak zaskoczyła ich złowieszcza cisza i pustka. Przy zwęglonym pomoście nie cumowała żadna łódź. Po większości chat w osadzie pozostały tylko dopalające się zgliszcza.

Sigurd stał na dziobie, obejmując jedną ręką smoczą szyję. Z kamienną twarzą spoglądał na zniszczone domostwa. W chacie szkutnika Svena ostała się tylko jedna ściana.

Gdy dobili do resztek pomostu, Sigurd odwrócił się i spojrzał na towarzyszy. Wszyscy bez słowa sięgnęli po broń.

\*\*\*

Starucha siedziała z zamkniętymi oczami pod ścianą na wpół zawalanej chaty. Oddychała ciężko, świszcząc przy każdym wydechu. Sigurd przykucnął przed nią.

Kobieta otworzyła oczy i skierowała zamglone spojrzenie na wojownika. Odpowiedziała na nieme pytanie mężczyzny.

– Najpierw z południa przybył Albrecht. Pięć dni temu – odpowiedziała na nieme pytanie mężczyzny. Wytężyła wzrok i skupiła się na twarzy przed sobą. Wojowie słyszeli wyraźnie, że każde słowo sprawia jej ból. – Wywabił jarla i mężczyzn. Gdy poszli walczyć... z północy nadeszli ludzie Vidara... i jeszcze inni... Jeszcze dalej z północy... Złota szukali... Potem mówili, że kobiet mają u siebie za mało... że Saami się nie nadają. Wzięli branki... Każda dziewczyna i kobieta... powyżej dziesięciu wiosen... i poniżej trzydziestu. Która się za bardzo opierała i broniła... zginęła. Starsze, niepotrzebne... wyrznęli... Ja... Myśleli, że zabili... Nie chcieli nikogo przy życiu... świadków... – Przerwał jej kaszel. Krople śliny zmieszanej z krwią wylądowały na skórzni Sigurda. Po chwili starucha podjęła opowieść: – Dzieci... Dzieci młodsze zabrali... starszych chłopców wybili, bo chwycili za broń... Rannych dobijali... Pochowałam, na stosach... Gdzie padli, tam stos swój mieli... Jarl... nie wrócił... Ni żaden z wojów. I na mnie już czas... Za chwilę... – Zamknęła oczy i ciężko westchnęła z jeszcze ostrzejszym świstem. Wydawało się, że duch opuścił stare ciało.

Sigurd już miał się podnosić, gdy kościste palce zacisnęły się na jego nadgarstku. Starucha otworzyła oczy i wysyczała:

– Zostaliście... wy. Dla pomsty! – Siwa głowa opadła bezwładnie.

Niemal równocześnie tuż za Sigurdem rozległ się łoskot. Woj odwrócił się

i spojrzął na tkwiący w ścianie topór. Kłykcie zaciśniętych na trzonku palców Bjørna pobiełały. Sigurd przeniósł spojrzenie na kolejnego kompana i kolejnego, i kolejnego, i kolejnego... Z każdą chwilą spojrzenie szarych oczu robiło się coraz zimniejsze.

W tym momencie serca ośmiu wikingów zamieniły się w bryły lodu. Nie potrzebowali słów.

\*\*\*

W ciągu kilku godzin przeszukali ruiny. Zgromadzili ocalałe narzędzia, broń, ubrania, naczynia, wszystko, co jeszcze mogło się przydać. Kolejne dni spędzili na przygotowaniach.

Ulf, z pomocą Ragnara i Olafa, przebudował łódź. Stworzyli mocny i równy pokład, pod którym zostało dość przestrzeni na duże zapasy i łupy. Dopracowali mocowanie żagla tak, by wszystkim sterować mogła tylko jedna osoba. Przy nielicznej załodze było to niezbędne.

Co do wiosel, początkowo nie potrafili się dogadać. Ulf chciał zostawić białe kości, Olaf wolał tradycyjne – drewniane. Spór rozstrzygnął Bjørn, gdy już zmęczyła go kłótnia. Chwycił jeden ze znalezionych w resztkach chaty Svena pagajów i z całą siłą mocarnych ramion uderzył nim o runiczny gład. Drzazgi posypały się na kilka kroków. Tak samo potraktował kość, która jednak odbiła się, nie odnosząc uszczerbku.

– To chyba załatwia sprawę – mruknął Bjørn. – Mam nadzieję, że teraz się zamkniecie i zabierzecie do roboty.

– Ale kształt... – Olaf nie zamierzał się poddać.

– To wyszlifuj! – warknął olbrzym. – Rzeźbiłeś w porożach i granicie, ta kość nie jest chyba dużo twardsza.

Einar, który lubował się w wymyślnych mechanizmach, na rufie zamontował szkielet i mocowania dla olbrzymiej płachty nawoskowanego płótna. W razie potrzeby szybko tworzyły miejsce, gdzie żeglarze mogliby się schronić przed niepogodą. Na dziobie skonstruował schowek, w którym mieściło się kilka garści łatwo dostępnych klejnotów. Wykorzystał także drugie skrzydło służące im za żagiel na początkowym etapie rejsu ze smoczey wyspy. Ze stwardniałej błony stworzył ruchome tarcze za pociągnięciem jednej dźwigni osłaniające pokład. Przy pracy musiał zadowolić się pozostałościami kuźni, bo jego warsztat, idealny do precyzyjnych prac, został kompletnie zniszczony.

Gunnar każdy dzień zaczynał z nożem w dłoni, dokładnie goląc całą głowę. Resztę czasu spędzał na połowach i wędzeniu ryb. Zapasy mięsa kończyły się, kilka zabłąkanych kur też już dawno było tylko wspomnieniem.

Bjørn ostrzył w kuźni miecze i topory, wytapiał groty. Zręczny Gjurd zapełniał

kołczan za kołczanem. Aby wypróbować strzały, któryś z wojów codziennie zanurzał się w las, by powrócić ze zdobyczą.

\*\*\*

Pierwsze podmuchy zimy nigdy nie są najlepszą porą na wyruszenie w podróż, zwłaszcza morską. Załoga Norddragena jednak nie miała zbytniego wyboru.

Jarl Sigurd podjął decyzję. Jeśli istniała jakakolwiek szansa na odbicie choćby kilku członków wspólnoty, choćby jednej kobiety i jednego dziecka, to należało ją wykorzystać. Im szybciej, tym lepiej.

\*\*\*

Norddragen płynął szybko i cicho niczym srebrna zjawa. Łuski odbijały księżycowe światło, kładąc na spokojnej powierzchni fiordu migoczący kształt smoczej sylwetki. Zaczynała się wyprawa w poszukiwaniu utraconego skarbu cenniejszego niż złoto i szlachetne kamienie. Gdzieś tam w siedzibach bestii mieniących się ludźmi więzieni byli członkowie rodu, których należało oswobodzić.

Stojący na dziobie Olaf nie musiał mieć sokolego wzroku Ulfa, żeby w klarownym powietrzu z daleka dostrzec zarys długiego budynku farmy na odległym brzegu. Dał znak jarlowi.

– Wystarczy – rzekł Sigurd. – Przybijamy. Dalej pójdziemy pieszo. Gjurd, dziś twoja kolej stać na warcie. Miej oczy i uszy otwarte. Czekaj na znak.

– Mróz okrutny. Czekają nas ciężki marsz.

– Dobrześ zauważył, Gunnarze. Jednak mróz może być naszym sprzymierzeńcem. Nikt nie będzie się spodziewać odwiedzin.

– Skąd mamy mieć pewność, że ktoś z naszych tam jest? – Ragnara najwyraźniej trapiły wątpliwości.

– Nie mamy – odparł jarl. – I dlatego jeszcze nie atakujemy.

Siedmiu mężczyzn ruszyło wybrzeżem, brnąc przez pierwszy śnieg.

Rozgrzani marszem w pobliżu długiego domu zwolnili i zaczęli ostrożne skradanie. Rozdzielili się, by zacząć pod wszystkimi wejściami. Przywiązane do pała psy zaczęły szczekać. Po chwili zaskrzypiały otwierane drzwi.

– ...na taką zimnicę! Od czego ciebie tu mamy? – Do ich uszu dobiegły gniewne wrzaski starej kobiety, sądząc po głosie.

Na zewnątrz wyszła okutana w derki postać trzymająca coś w rękach. Ledwie zamknęła za sobą wejście, Ragnar chwycił ją od tyłu, zasłaniając usta dłonią i przyduszając. Ogryzione kości upadły w śnieg. W trakcie szarpaniny materiał zsunął się napadniętemu z głowy. Sigurd od razu rozpoznał twarz Bjørg pomimo licznych siniaków na jej twarzy. Położywszy palec na ustach, podszedł bliżej,



dając się rozpoznać.

Kobieta znieruchomiała, jej oczy otworzyły się szerzej. Ragnar wypuścił ją z uścisku.

– To naprawdę wy? – wyszeptała. – A Bjørn?

– Ucieszy się, gdy cię zobaczy.

– Skąd...?

– Później – uciął Sigurd. – Ile osób jest w środku i kto?

– Pięcioro dorosłych, w tym trzy kobiety, a do tego trójka dzieci. Reszta mężczyzn i starszych chłopców wyruszyła ze skórą do Burgsund. Powinni wrócić najwcześniej za dwa dni. Nie lekceważcie kobiet, zwłaszcza starej Heddy. Za młodu wraz z mężem wyprawiała się po łupy i do dziś jest wojownicza. – Kobieta mimowolnie dotknęła rozciętego łuku brwiowego.

– Możesz zabrać gdzieś dzieci? Bez wzbudzania podejrzeń?

Bjørn tylko skinęła głową.

Zaskoczeni domownicy właściwie nie stawiali oporu. Nie zdążyli. Wpuszczeni do środka przez Bjørn woje szybko pojмали i związali dorosłych mieszkańców. Wśród trójki dzieci dwoje pochodziło z rodzinnego Arnsund – niedawno narodzony syn Bjørna i trzyletnia siostrzenica Anniken.

Einar wyszedł z pochodnią nad brzeg fiordu i zamachał kilkukrotnie. Z oddali odpowiedział mu błysk księżycowego światła na kadłubie robiącego zwrot okrętu. Po chwili Gjurd przyłączył się do biesiady w ciepłym wnętrzu.

Po sytym posiłku zebrani wciąż siedzieli przy długim stole. Nieśpiesznie popijali wino i piwo.

– Co z innymi? – wychrypiął Gunnar.

– Co z twoją Alvą i synkiem, nie wiem. Nie widziałam ich. – Kobieta przeniosła spojrzenie na męża. – Matka... – zawahała się. Nie musiała jednak kończyć, bo ton jej głosu powiedział wszystko.

– Anniken? – Sigurd zdołał ledwie wyszeptać. Przed walką z poczwarą nie czuł takiego lęku, jak przed zadaniem tego pytania.

– Przykro mi. – Smutno pokręciła głową. – Gdy napadli wioskę, wybiegła z domu z mieczem w dłoni. Zanim zginęła od strzały, rozplatała gardło jednego z synów Vidara. Śmierć miała szybką i bez pohańbienia.

Spojrzała na siedzącego obok Bjørna tulącego w ramionach syna. Einar w milczeniu dźgał nożem resztki mięsa w drewnianej misie. Siedzący po drugiej stronie Ragnar w zadumie obserwował ścianę.

– Zebrali nas w kilka grup. Każdą zabrali osobno. Część morzem, część w różne strony lasem. Twoją siostrę, Ulf, zabrał jeden ze statków płynących na południe. Nie wiem dokąd.

Czarnowłosa – siedzący na wprost Bjørn – zacisnął usta. Przez chwilę

wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w trzymany w dłoni puchar.

Bjørg delikatnie musnęła palcami dłoń Ulfa, a potem ujęła ją w ciepłym uścisku.

– Wciąż pozostaje nam nadzieja. Czuję ją całym sercem. Rozgorzała we mnie na nowo, gdy się pojawiliście. Wcześniej byłam pewna, że nigdy nie ujrzę już nikogo z Arnsund. A jednak jesteście.

– Bliżej nam do Hetevågen niż na południe – odpowiedział grobowym głosem Ulf. – Nie ma sensu tracić czasu na wojaże tam i z powrotem.

Dzięki pomocy Bjørg szybko zgromadzili łąpy i zapasy. Wygonili z budynku wszystkie zwierzęta, wyprowadzili związanych ludzi. Przeżyją, jeśli ich bliscy pospieszą się z powrotem do domu. Żar płonącego domostwa szybko zniknie.

\*\*\*

Norddragen oddalał się szybko w kierunku wyjścia z Hetevågenfiordu. Wściekły Vidar śledził wzrokiem srebrzystą sylwetkę i purpurowy żagiel. Zza pleców dobiegał go gwar – stukot wyciąganych wiosel, łopot rozwijanej płachty, tupot wskakujących na pokład zbrojnych i wioślarzy.

– Nie uciekną daleko – odezwał się jeden z jego ludzi. – Morze jest zamrożnięte, utkną w lodzie.

– Obyś się nie mylił. Knara to nie okręt, a wiatr jest słaby.

– Mamy dodatkowe wiosła i jest nas więcej.

Mięśnie ramion napięły się, a zanurzone w wodzie drzewce poruszyły w jednym rytmie. Szeroki dziób knary rozciął taflę. Z każdym ruchem wioślarzy łódź coraz szybciej mknęła w ślad za najeżdźcą, jednocześnie oddalając się od łąny pożaru ogarniającego port. Pozostali na lądzie mieszkańcy osady z rąk do rąk podawali sobie wiadra z wodą, walcząc z ogniem.

Wzdłuż obu brzegów wąskiej zatoki już od dłuższej chwili sunęły psie zaprzęgi. Szare północne elkhundy o mocarnych łapach i gęstym futrze z lekkością ciągnęły sanie z uzbrojonymi wikingami. Nie czuły zimna ani zmęczenia. Rozpierała je energia podsycana zapachem krwi. Mieszkańcy Hetevågen nie zamierzali pozostawić Sigurdowi żadnej drogi ucieczki.

\*\*\*

Bystrooki Ulf pierwszy wypatrzył, że u ujścia fiordu powierzchnia wody skuta jest lodem. To, że dopłynęli tak daleko, było zasługą wyłącznie gorących źródeł, z których słyneło Hetevågen. Tu jednak ich ciepło już nie docierało.

– Sigurd! Lód!

Jarl w kilku susach znalazł się na dziobie i spojrzał przed siebie. Doświadczone oko oceniło grubość szklistej powłoki.

- Lodowi Bogowie szybko tej zimy obejmują panowanie nad światem. Wystarczyła jedna noc i jeden dzień. Einar, twoja kolej.

Nikt nie musiał wydawać wioślarzom poleceń. Już po pierwszym okrzyku Ulfa zaczęli wytracać prędkość. Teraz Einar, samozwańczy ogniomistrz, odłożył wiosło i otworzył skrytkę przy dziobnicy.

- Rudy, przynieś kilka rubinów. One dają najmocniejszy, najgorętszy płomień. Gjurd zanurzył się w ciasnej ładowni.

Wycie i nerwowe szczekanie psów rozlegało się coraz bliżej, z obu stron na raz. Dwóch przeciwników po lewej już wjechało na lodową taflę i niebezpiecznie zbliżyło się do Norddragena.

- Na tych wystarczy złoto - zamruczał pod nosem Einar, wyjmując ze skrytki pierścień. Zmarzniętymi palcami odsłonił otwór w smoczey szyi. - Dziób na lewo!

Wioślarze natychmiast napaarli na pagaje. Łódź odwróciła się, kierując dziób w lewą stronę.

Einar wrzucił pierścień w nazwany paleniskiem niepozorny organ, który pochodził z gardła ubitego smoka.

Z rozwartej paszczy na dziobie buchnął ogień. Płomienie natychmiast dosięgły zaprzęgów. Psy ze skowytem usiłowały rzucić się do ucieczki, każdy w inną stronę. Nadpalone uprzęże zerwały się, uwalniając przerażone zwierzęta. Futrzane kaftany wysokich wikingów zapłonęły. Mężczyźni z wrzaskiem rzucili się na lód, usiłując stłumić płomienie.

Wiosła zanurzyły się w wodzie i Norddragen ponownie odwrócił się w kierunku otwartego morza. Gjurd wcisnął w dłoń Einara kilka krwistych kamieni. Jeden z nich natychmiast zniknął w palenisku.

Przed dziobem uniosła się gęsta mgła, a woda u burt się zagotowała. Z pyska leciał nieprzerwany strumień ognia, którego mocy nic nie mogło się równać.

W rozciągnięte nad rufą płótno wbiła się strzała. Po pokładzie rozniosły się piski przestraszonych pacholąt.

Björg, Alva i jeszcze trzy inne dziewczęta z Arnsund - odbite z Hetevågen wraz z kilkorgiem dzieci - podpaliły strzały. Nasmołowane groty zajęły się w mgnieniu oka. Łuczniczki naciągnęły cięciwy. Puściły równo, jak na komendę. Ogniste pociski pomknęły na powitanie ścigającej ich knary. Niosły ostrzeżenie.

Pchnięty siłą wiosła kadłub wpłynął w topniejący, coraz szerszy korytarz. Po chwili żeglarze mieli tyle miejsca, że mogli swobodnie odwrócić okręt. Jednocześnie płomień przygasał. Pogoń była coraz bliżej.

Vidar zignorował ostrzeżenie. Wściekły parł naprzód. Na jego znak grad strzał posypał się na pokład obracającego się Norddragena. Zanim jednak pociski doleciały do celu, na smoczym okręcie uniosły się tarcze, osłaniając załogę. Poruszające się osłony przywozowały na myśl skrzydła ogromnej, latającej bestii.

Kilku mężów na knarze odniosło wrażenie, że zaklęty drakkar zaraz uniesie się w powietrze.

Statek jednak pozostał na wodzie, a wojownicy z Hetevågen szykowali się do abordażu. Sigurd nie zamierzał dopuścić ich tak blisko. Osobiście wrzucił kolejny rubin do paleniska.

Knara przeciwników natychmiast zajęła się ogniem, niczym dobrze nasączona olejem pochodnia. Kościane wiosła poszły w ruch i już po chwili Norddragen dziobem wbił się w płonący wrak. Przeszedł przezeń bez najmniejszego szwanku i ruszył z powrotem do portu.

Gdy wypływali następnego dnia, za nimi pozostały wyłącznie dopalające się zgliszcza.

\*\*\*

Mały Sven marzył o chwyceniu za miecz i dołączeniu do mężczyzn w walce. I o tym, żeby mógł oddać wszystkie razy, jakie otrzymał. Odkąd obcy wywieźli go z Arnsund, był tylko popychadłem. W cięższych momentach wyobrażał sobie, że zginął w walce, jak rodzice i starszy brat. Widział, co się stało z wioską, nie robił sobie więc nadziei, że kiedykolwiek znów się w niej znajdzie.

Gdy zobaczył Ragnarssona wchodzącego do domu, oczy mu się zaświeciły. Od razu wiedział, że znajoma twarz oznacza powrót do swoich. Za Sigurdem, pochylając się w niskim przejściu, wszedł wuj Bjørn, za nim wuj Einar. I syn szkutnika Svena. I kilku innych.

Mały Sven mimowolnie zapiszczał i rzucił się w kierunku przybyszów. Przemknął pod wyciągniętymi ramionami gospodarza i wpadł prosto w objęcia Einara, wtulając posiniaczoną twarz w futrzaną kurtę.

Słowa powitania zamarły na ustach Sigurda, a jego spojrzenie stwardniało. Bjørn chwycił za miecz.

\*\*\*

Stary Olaf umilkł i odłożył narzędzia. Z oddali do siedzącej w ciszy grupki docierały zwykłe odgłosy codziennej, wioskowej krzątaniny. Rzeźbiarz wydmuchał z nozdrzy drewnianej figury ostatnie wióry i przyjrzał się ukończonemu dziełu. Został mu jeszcze jeden drobny rytuał. Naciął delikatnie opuszkę palca i wpuścił po kropli krwi do każdego drewnianego oczodołu. Pokiwał głową do własnych myśli, wyraźnie zadumany. Po chwili jakby otrząsnął się ze wspomnień lub snów i potoczył spojrzeniem po dziecięcych twarzach. Zbierając dłuta do skórzanej sakwy, zakończył opowieść o Norddragenie, postrachu północnych krain:

– Srebrzysty smok, bez trudu pokonujący lodowe pola zamarznętego morza,

przemieszczał się wzdłuż wybrzeży. Zostawiał za sobą ognisty ślad palonych osad i farm, siejąc grozę wśród wrogów i nadzieję wśród ocalałych przyjaciół z Arnsund.

Rzeźbiarz podniósł się i skierował w stronę wejścia do chaty. Jeden z chłopców zapytał:

– Co się później stało z Norddragenem?

Olaf odwrócił się do wciąż siedzących na ziemi dzieci.

– Tego nie wie nikt na pewno. Czasem można usłyszeć od morskich wędrowców, że widzieli smoczą łódź rozświetlającą bezksiężycowe noce zięjącym z paszczy ogniem, któremu towarzyszy ryk. A czasem, że sunie w ciszy pod gwiazdami. Mówią też, że po dziś dzień załoga Norddragena strzeże potomków mieszkańców Arnsund i przychodzi im z pomocą, gdziekolwiek by się znaleźli.

– Skont to wszystko wiesz? – wyseplenił najmłodszy ze słuchaczy, ledwie trzyletni Gudnar. – Byłeś na smoku?

Olaf nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się tajemniczo i pogładził głowę drewnianego dragena. Spojrzenia całej gromadki powędrowały na otwarty pysk, z którego wydobywały się misternie wyrzeźbione płomienie. Uwagę Eryka przykuło co innego – ognisty błysk w oku bestii. Zdziwiony odwrócił się do Olafa, by zadać pytanie. Jednak szybko zamknął już otwarte usta, bo wydało mu się, że ten sam błysk dostrzegł w oczach starego wikinga.

Eryk wiedział, że niektórych pytań lepiej nie zadawać.

# ŻYWOŹMIJA

Barbara Mikulska

*- Samobójców chowają pod płotem cmentarza. Ciekawe dlaczego? Co jest takiego złego w ich śmierci, że nie mogą leżeć w poświęconej ziemi, obok ludzi pokonanych przez starość, chorobę, wypadek, wojnę albo morderstwo? W czym są gorsi?*

*Nie chcę już żyć. Jak Bóg mnie osądzi, jeśli sama wybiorę się do Niego, nie czekając na zaproszenie? Zepchnie mnie z tej drabiny do Nieba? Popatrzy na mnie choć przez chwilę czy nawet nie muśnie spojrzeniem, by Jego boskość nie doznała uszczerbku?*

*A co, jeśli z rozmysłem udam się do Zaułka Chromych w Grynburgu? Czy wtedy też święty Piotr zamknie przede mną bramy Raju? Wszak to ktoś mnie zabije, nie ja sama. Co z tego, że ledwie postawię stopę w Zaułku, zaraz zginę od pchnięcia nożem albo od garoty? Przecież idąc na wojnę, też prosimy się o śmierć.*

*- To nie to samo.*

*- Co ty nie powiesz? Dobra, twoje na wierzchu, a teraz odejdz...*

\*\*\*

Ciemność była wszechobecna, tłamsiła intensywnością, pozbawiała powietrza. Nagle ujrzał drobną sylwetkę – skrzyła się, rozsiewając wokół iskierki blasku. Tak przyjemnie rozpraszała czerń.

Przebiegła parę kroków, skoczyła i zawisła na tle księżyca. Księżyca? Nie zawracał sobie tym głowy. Wyciągnął ręce ku niebu i otoczył dłońmi postać, a potem przycisnął ją do piersi. Obsypała go srebrzystym śmiechem niczym kaskadą deszczu, oplótła ramionami jak bluszcz podporę. Pięta się po nim, obrastała, tuliła i dusiła, aż czerń przesiąkła czerwienią, załala oczy i płuca, ponownie zabrała oddech. Zabrała życie...

*- Panie?*

*- Czego? – wychrypiął przestraszony. – Czego? – powtórzył już normalnym głosem.*

*- Wybaczcie, panie, ale zamykamy...*

Pachołek stał i szarpał brudną szmatę. Zapewne chciał wytrzeć ostatni stół, przy którym siedział zapóźniony gość. Wyglądało na to, że z innymi już się uporał, chociaż nie było to takie pewne. Albo niezbyt się przykładał, albo sprzęt osiągnął już ten etap zużycia, że doczyścić się go nie dało. Na szczęście w izbie było ciemnawo, bo nawet ogień w palenisku przygasł, ukrywając w błogosławionym cieniu wszystkie nierówności i zastarzałe plamy. Tylko na tym ostatnim blacie dogorywała świeczka, ale i ona miała drgającym światłem, zniekształcając otoczenie.

– Świta już? – spytał mężczyzna, unosząc ciężkie od snu i alkoholu powieki. Potrząsnął głową, by pozbyć się majaków i odetchnął głębiej. Przekrwione oczy błędziły od twarzy młodzika do okna, za którym panowała ciemność.

– E, nie, panie, do świtu jeszcze daleko!

– To czego chcesz, fujaro obrzydła, wszak prawilem gospodarzowi, a i mocy słowom półdukatem dodałem, że ma mnie budzić dopiero przed świtaniem!

– Ale ja sprzątać muszę, inaczej gospodarz za uszy wytarga, a i w rzyć nakopie...

Mężczyzna za stołem westchnął ciężko, pogrzebał chwilę w sakwie u pasa i rzucił młodzikowi monetę.

– Naści, ćwiartak rany złagodzić powinien. A nieś mi tu jeszcze bukłaczek miodu, ale takiego przedniego, jak ten pierwszy był, nie jak ten ostatni, bo za niego nawet płacić hadko.

Młodzian schwycił pieniądze nad podziw sprawnie i popędził na zaplecze po kolejną flaszkę. Wkrótce powrócił i z rozmachem postawił ją na blacie. Widać było, że nowa energia w niego wstąpiła.

– A tyś co tak poweselał? – spytał rozdrażniony gość, biorąc szkło i samodzielnie nalewając sobie trunku.

Rozsiadł się potem wygodnie na ławie, opierając plecy o ścianę, a rękę z kielichem na stole. Zakołysał trunkiem, wciągnął aromat i upił maleńki łyczek, by posmakować. Młody odpowiedział dopiero, gdy tamten pokiwał głową z uznaniem dla walorów napitku:

– Bo gospodarz pozwolił mi już na stryszek iść, a jeszcze powiedział, że po gościach w kociołku trochę gulaszu zostało, to se mogę zjeść.

– A on zawsze taki szczodry? – zagadywał mężczyzna, jakby nie miał ochoty zostać w samotności.

– E, nie, ale dzisiaj Janka dla niego łaskawa! – wypalił młodzik, a potem ugryzł się w język i zamilkł, spuściwszy głowę.

– A Janka to ta młoda, z cycami jak wydmy nad morzem? I pewnie to nie żona gospodarza, co?

Pachołek pokiwał tylko głową i zabierał się do odejścia, kiedy go gość jeszcze

poprosił:

– Jak w tym kociołku tyle zostało, że na dwóch wystarczy, to przynieś i mi. I pajdę chleba do tego, bom zgłodniał. Podzielisz się, to drugi ćwiartak do twojej kieszeni wpadnie.

Chłopak podrapał się w nastroszoną czuprynę, potarł zgrabny nos i przymrużył błękitne oczy – widać aż tak wiele w garnku nie było. Pobiegł jednak do kuchni i po chwili przyniósł cynowy talerz z przypalonym nieco od ciągłego podgrzewania mięsem i pajdę chleba. Gość rzucił monetę i zapytał jeszcze:

– Dla ciebie zostało co?

– Niewiele, panie, ale to nic, chlebem dopchnę, bo tego gospodarz nie żałuje, a pieniądz się przyda.

– Przyda? Na co?

Pachołek speszył się nieco, łeb spuścił i spod zbyt długiej, jaśniutkiej jak zboże grzywki niespokojne spojrzenia rzucał, ale zebrał się w końcu na odwagę i odpowiedział:

– Bo ja to do Grynburga bym chciał... Na podróż zbieram...

– No, no, co tam będziesz robił w tym mieście, hę?

– W mieście? E... nic. Ja na statek chciałem... na morze popłynąć...

– Marynarzem chcesz zostać? Wiesz co? Mam ci ja propozycję. Czekam tu przyjaciela mojego, co z większym oddziałem w tamtą stronę podążać będzie. Chceszli moim sługą na ten czas zostać? Za podróż nie zapłacisz, żarcie dostaniesz, a robić będziesz to, co i tutaj: gotować, konie oporządzać. To jak?

– Oj, panie, oj tak!

– To zmykaj teraz swój dobytek pakować, gospodarza powiadomisz przed odjazdem. Mnie o świtaniu budź, ino wcześniej konia obrzędź i osiodłaj.

– Oj, panie, oj tak!





\*\*\*

– Po coś go brał, Gromosławie? – pytał postawny mężczyzna, rzucając złe spojrzenia w stronę młodego służącego. – Mało tu służby? Wystarczyło tylko rzec, a przydzieliłbym ci kogoś.

– Wiesz, brachu, wziąłem go, bo taki entuzjazm wyzierał z jego spojrzenia, kiedy mówił mi o podróżach, morzach i statkach. A statek kapitana Yorka w porcie czeka...

– Najgorsze, że obcy on, nie wiadomo, kto zacy, może podeślany przez Sętymira...

– Może dobrze, że on obcy – powiedział cicho Gromosław Stanycz, tak by kompan nie dosłyszał. A po chwili dodał już głośno, z chichotem iście diabelskim: – Ja pachotka wziąłem, ty pannicę wiesz, Dobromyśle. I to taką, że strach do niej podchodzić!

– To nie podchodź, jak ci strach! Ale pieniądze to ci miłe będą, co? Chłopaka uprzedź, żeby z daleka się trzymał i łap nie pchał tam, gdzie mu przytrzasnąć mogą!

\*\*\*

– Jaro, skocz no do pana Dobromysła i spytaj, czy zostało mu jeszcze trochę tego mazidla, co to kiedyś od czarownicy Jangi dostał – nakazał Gromosław i stęknął boleśnie, próbując się przewrócić na drugi bok.

– Na co ono, panie, bo ja też w sakwie mam maść na różne przypadłości, nie od wiedzy żadnej, ino od babki rodzonej, co się na ziołach znała – pochwalił się młodzieniec.

– Na wrzód od zimna, co mi się na zadku zrobił od tej ciągłej jazdy – wyjaśnił starszy mężczyzna.

– To ja, panie, tej babcynej przyniesę, po co z czarami w układy wchodzić, kiej można inaczy. Skoczę ino do stajni, bo tam wszystko ostało. Nie zdążyłem jeszcze przynieść.

– Dobrze, tylko pośpiesz się i nie gadaj z nikim, bo mnie tu szlag trafi. A po drodze zajdź do karczmarza i każ mu miodu przedniego do pokoju przysłać, to zawsze na boleści pomaga.

Chłopak popędził ile sił w nogach. Najpierw zajrzał do sali, gdzie reszta podróżników posilała się już, odszukał karczmarza i polecił zanieść bukłak miodu dla swojego pana. Potem pognął czym prędzej do stajni, bo zobaczył, że wszystkie ciury i pachotkowie siedzą za stołem, a jego sakwa wisi przy końskim siodle. Zostawił ją tylko dlatego, że pan mocno jęczał i chłopak musiał mu pomóc. Kiedy opuszczał konie, kręciło się tu jeszcze paru towarzyszy. Poprosił

ich, by zerkali na jego dobytek. Wiedział, że przy nich nic mu nie zginie, ponieważ pan Dobromysł od razu wyrzuciłby każdego za kradzież, awantury i burdy. Ale ciepła strawa na stole zachęcająco dymiła. Jaromir zaklął szpetnie, lecz po chwili uspokoił się; zauważył, że koledzy zdjęli pańskie siodło i w rogu złożyli, a pod nie wcisnęli sakwę, a na dodatek przyrzucili jakąś derką. Nic mu nie zginęło. Zadowolony miał już biec na górę, gdy posłyszał cichutkie chlipanie.

Stanął niezdecydowany. Wiedział, skąd dochodzi i wiedział, kto płacze. Ale pan wyraźnie przestrzegał, by do klatki się nie zbliżać. Zrobił krok w stronę wyjścia, ale ponownie znieruchomiał, bo zatrzymał go odgłos siąkania nosem.

- Pomóż mi, młodzieńcze... błagam - głos był cichy, po dziewczęcemu łagodny i odrobinę kuszący.

Jaro zacisnął zęby, poprawił worek na ramieniu i znowu ruszył.

- Podaj mi choć wody...

- Zara Kiejszczak skończy jeść, to waćpannie poda - odpowiedział nieco zniecierpliwiony.

- To nie będzie tak zaraz - zaszemrało z klatki. - Najpierw się naje, popije, no i zaśnie gdzieś na przypiecku, a ja cały dzień nawet kropelki nie dostałam.

Jaromir uznał, że nikt go za podanie wody nie ukarze. Odłożył sakwę, odszukał wiadro, które stało przy wejściu do stajni i cynowym kubkiem zaczerpnął nieco płynu. Potem podszedł do klatki, otworzył niewielkie okienko i na półeczce postawił tak samo jak, wydawało mu się, czynił to Kiejszczak. Przytrzymał tylko trochę garnuszek, żeby nie zsunął się z wąskiej deski, zanim panna go nie chwyci.

I to był największy, a zarazem ostatni błąd w jego życiu. Błada, drobna dłoń, która sięgała po naczynie, w jednej chwili zmieniła się w łuskowatą łapę z grubymi, sino-czarnymi pazurami. Nim się Jaro spostrzegł, cała jego ręka zniknęła w mrocznej czeluści, a on sam przylegał barkiem i głową do desek. Zdziwił się tylko, że klatka tak łatwo pęka, a zaraz potem zdławił go odór nieczystości. Nie poczuł bólu, gdy wąski pysk zatrzaskał się na jego szyi i jednym kłapnięciem rozerwał ją tak szybko, że chłopak nawet nie zdążył krzyknąć.

\*\*\*

- *Błagam cię, siostró, przestań. Nie słyszysz, jak krzyczą?*

- *Czy oni nie słyszeli, jak ja wyłam i o łaskę prosiłam? Słyszeli, ale serca zatwardziały mieli i na mój płacz zamknęły. Teraz ja głucha na ich wołania będę...*

- *Jednak to ludzie przecie... Ludzi zabijasz...*

- *A ja to kto? Nie człowiek? Człowiek, którego w klatce zamknęli jak zwierzę jakieś...*

*- Nie możesz na wszystkich mścić się, mordować. Wszak niektórzy cię nawet na oczy nie widzieli.*

*- Gdyby obaczyli, wnet by za widły chwycili. Odejdź, siostró, jak nie chcesz patrzeć, bo jeśli zostaniesz, duszę nienawiścią sycić będziesz... moją do nich albo twoją do mnie...*

\*\*\*

Poczuła moc i rozpostarłszy skrzydła, zatoczyła krąg nad podwórcem. Smocze źrenice widziały z ostrością, o jakiej ludzie mogli tylko śnić. Gadzie ciało, uwolnione wreszcie, nabrało sił i sprężystości. Zaśniło w bladym świetle księżycy niczym srebrna wstęga, którą panna miała zamiar przewiązać włosy, ale najpierw zapragnęła zatańczyć i nacieszyć blaskiem oczy.

Rzuciła się żywoźmija w dół i śmiałka, co konia dosiąść próbował, jednym ruchem łapy powaliła, a gdy już leżał w piachu, pazurem pierś mu rozorała i serce krwią wciąż pulsujące pochłonęła. Poczuła euforię, ale serpensis nie pozwoliła, by opanowała jej umysł, by zadowolili ją ten jeden żywot. Nie teraz, nie dziś! Chciała... musiała zniszczyć wszystkich. Byli winni jej cierpienia, głodu, paznokci zdartych do mięsa o szorstkie deski, strachu i niemocy. Miesiącami obiecywała sobie, że im odpłaci i teraz nadeszła ta chwila. Nie zamierzała z niczego rezygnować, nawet dla mleczonej siostry...

Ruch, który dostrzegła kątem oka, kazał jej zapomnieć o wszystkim. Zadziałał zwierzęcy instynkt, przestała myśleć. Ogon jak miecz przeciął zucha na pół, a wąski pysk, stworzony w tym celu, zanurzył się w trzewiach i wyszarpnął kolejne serce. I znów uderzenie ekstazy. Ale zbyt wiele rzeczy miało miejsce wokół, by cieszyć się chwilą. Wyglądało na to, że ludzie nieco ochłonęli. Nie wrzeszczeli, nie płakali, a chwyтали, co w ręce wpadło, by szturmem ruszyć na smoka.

Z gardła serpensisy wydarł się ryk, jej głos wypełnił dusze strachem, sprawił, że ręce drżały, a kolana uginały się. Rozpierała ją radość, że znów jest wolna, że panuje nad prześladowcami. Z każdym pochłoniętym istnieniem rosła w siłę. Była po sześciokroć, dziesięciokroć większa i silniejsza niż przedtem. Już nikt nie odważyłby się zamknąć jej w klatce. Jednym ruchem ogona rozwaliby ją, tak jak teraz karcznię.

Nie wiedziała, ilu ludzi pochłonęła, ale to przestało być ważne. Oszalała od mordy, od zapachu krwi i strachu ofiar, od poczucia własnej mocy.

Kiedy wreszcie odleciała, drzewa połamanymi gałęziami zaświadczyć mogły, że bestia na żarciu nie skończyła i gniew swój tak długo wyładowywała, aż się kamień na kamieniu nie ostał, a cała okolica wyglądała, jakby grasował tam orkan.

\*\*\*

Pan Jakub Niewczas nie lubił opuszczać swego domu ani żony Magdy. W młodości, owszem, nie raz i nie dwa zapędzał się w poszukiwaniu szczęścia daleko od wygód. Bywało nawet, że spędzał i pół roku w głuszy z kamratami. Z tamtego czasu została mu sążnista blizna na plecach i bolesność stawów, gdy nadchodziła zima. Ale tamto już dawno przeminęło. Za to doświadczenie i przenikliwość zostały docenione i dzięki nim przyjęto go do straży zamkowej. Lata płynęły w spokoju, aż osiągnął taki wiek, kiedy ceni się bardziej wygodę i rutynę dni zwykłych niż przygody głupawe, a niebezpieczne. Jednak teraz od dwóch tygodni był w drodze z rozkazu pana Zatwaroga, kasztelana w Zaporęciu. Na zamek dotarły niepokojące wieści, że po domenie podległej panu Zatwarogowi grasuje jakaś gadzina. Mówili, że z każdym zabranym ludzkim życiem przybywa jej sił. Pan Jakub radził opowieści między bajki włożyć, ale nie odważył się sprzeciwić kapitanowi. Nauczony doświadczeniem, że w każdej plotce jest jakaś prawda, udał się po naukę.

Tydzień spędził w podziemiach, czytając stare woluminy i konferując z braciszkami, przez co nabrał przekonania, że żywoźmija nie musi być wcale tworem bajkowym, a realnym zagrożeniem. Od mnichów dostał na drogę dobre rady, oprócz tego niewielkie pudełko, z którym przykazano mu obchodzić się bardzo ostrożnie. I pojechał wreszcie, choć pora była mało odpowiednia. Przede wszystkim dlatego, że tłumy ruszyły wraz z nim za sprawą ostatniego w tym roku pańskiego targowiska. Każdy przed zimą chciał trochę pohandlować. Jedni sprzedawali, inni kupowali, gwaru przy tym było co niemiara i śmiechu kupa, a czasem to i krew się polała. Wszyscy pragnęli wykorzystać nadarzącą się okazję, by ostatni raz przed nadejściem mrozów porządnie się zabawić. Później zwykle śnieg uniemożliwiał przeprawę, a nawet jeśli się zapóźnił, to jesień i tak pilnowała, by nikt nosa z domu nie wyściubił – lała deszczem, chłostała wiatrem i sprawiała, że kiepskie dotychczas drogi okazywały się całkowicie nieprzejezdne. Wtedy ruszali się tylko ci, którzy koniecznie musieli.

Jakub miał to nieszczęście, że podróżował najpopularniejszym szlakiem. Jak wody z obszaru wyżynnego spływają do centralnej niecki, tak tutaj wszystkie drogi i dróżki, ścieżki i trakty prowadziły na targ pod Jasierowicami. Nic dziwnego więc, że w przydrożnych karczmach igły by nie wsadził, a za byle kawałek suchego i ciepłego miejsca do spania gospodarze kazali sobie słono płacić. Miało to i dobre strony – stłoczeni i podekscytowani zbliżającą się zabawą ludzie łatwiej nawiązywali znajomości, szybciej powierzali tajemnice, swoje i nieswoje, dopiero co poznanym towarzyszom. Dzięki temu dowiedział się Niewczas o dziwnych zgonach w okolicach Soboty i podążył w tamtą stronę.

Wkrótce miał się przekonać, że plotki wcale nie były przesadzone, a wręcz ominęły to i owo.

\*\*\*

Stanycz leżał w niszy pod zawalonym dachem, z trudem wciągając powietrze w podziurawione żebrami płuca i wydychając je wraz z bąbelkami krwi. Wiedział, że umrze, nawet gdyby pomoc zjawiała się natychmiast. A Jakub pojawił się dopiero dnia następnego. Zobaczył pobojuwisko i aż zaklął ze zdumienia i przerażenia. Ochłonąwszy nieco, zaczął przepatrywać okolicę w poszukiwaniu śladów, bo na to, że znajdzie kogoś żywego, nie liczył. Dlatego omal nie padł, kiedy spod kupy gruzu i desek dobiegł go jakiś charkot. Ostrożnie pochylił się i ujrzał człowieka. Mężczyzna ledwie zapał, wiadomo było, że koniec nastąpi wkrótce. Nawet się Niewczas zastanawiał, jakim cudem ranny jeszcze oddycha i okazało się, iż właściwie tylko wola utrzymuje go przy życiu. Pan Gromosław Stanycz do wczoraj żył, jakby jeszcze wiele lat miał przed sobą, ale teraz, gdy zrozumiał, że wkrótce przyjdzie mu stanąć przed obliczem Najwyższego, poczuł strach i potrzebę rozgrzeszenia. Dlatego wyczekiwał drugiego człowieka, by mu wyznać winy i prosić o odpust.

\*\*\*

Gromosław zawitał do Grynburga, bo pragnął osobiście dopilnować załadunku statku. Zwykle zezwalał, aby czynili to plenipotenci, jednak tym razem miał wyśmienity i nielegalny towar, dlatego wolał samemu dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Wynajęty bryg nie należał może do najpiękniejszych i najokazalszych, ale miał kilka niepodważalnych zalet. Jego kapitan i jednocześnie właściciel sporo zawdzięczał Stanyczowi, a do tego lubił pomnażać dochody, nie bardzo przejmując się legalnością interesów. Oficjalnie płynął do Summutury, by pokazać jedwabie, bursztyn oraz miód i zaoferować wymianę za pieprz i inne przyprawy. Tak naprawdę w jego ładowniach znalazło się parę pomieszczeń, gdzie miało podróżować kilka panien i dwóch młodzieńców. Wszyscy jasnowłosi, piękni i młodzi płynęli do zamorskiego kraju, zwabieni wizją kariery i zarobków. Niektórych pozbyły się niezbyt zamożne rodziny, aby zmniejszyć liczbę łbów do podziału majątku. Dwójkę oddali zwyczajni chłopci, a jedną pannę – mieszczanie.

Gromosław zachowywał pozory i zacierał ręce – jego kontrahent zapłacił spory zadatek za tę dostawę. W jego kraju jasnowłosi, niebieskoocy i o białej skórze byli tak samo egzotyczni jak tutaj czarni. Ten pierwszy transport miał dać początek długoletniemu i bardzo opłacalnemu procederowi. Obaj chłopcy już byli zamówieni, dziewczęta także, w ich przypadku kwestią pozostawała jedynie

cena.

Kiedy statek wypłynął w morze, Stanycz odetchnął i postanowił odwiedzić kilku znajomych przed powrotem w rodzinne strony. Tu usłyszał, że panu Kramerowi zamarzyło się zwiększyć skuteczność własnego wojska. Doszły do niego pogłoski o grasującej bestii i nie zastanawiając się długo, jakimi metodami nad potworem panować będzie i do posłuszeństwa go zmuszać, zapragnął posiadać smoka. Wyobraził sobie bowiem, że tym sposobem on i Grynburg będą bezpieczni oraz że rozprawi się z piratami i – jak Bóg da, a serpensia pomoże – przejmie ich majątność. Wyznaczył niemałą nagrodę za dostarczenie żywoźmii i zaczął się też rozglądać za poskromicielem owej.

Stanycz nie lubił głupoty, ale lubił pieniądze, dlatego informację zapamiętał, by w odpowiednim czasie wykorzystać. Przekazał ją panu Dobromysłowi Prutowi, towarzyszowi od różnych interesów. Obaj ani myśleli się narażać, ale zgodnie uchwalili, że warto wynająć paru młodych a głupich śmiazków do wykonania brudnej roboty. Załatwił to za nich Kiejszczak. Po półtora roku udało się wreszcie schwytać maszkarę. Kupcy wypłacili dolę tym, co przy życiu zostali i wyruszyli do Grynburga.

Mieli zainkasować za godzinę taką kwotę, że wystarczyłoby im do końca życia, ale Gromosław połaszczył się na dodatkowy zarobek i zabrał ze sobą Jaro, a to stało się przyczyną całego nieszczęścia.

Stanycz zakasłał i bryznął krwią na koszulę. Oddech świszczący wciągnął i poprosił Jakuba:

– Odpuść mi w imię Boga!

A Niewczas rozejrzał się wkoło, popatrzył na straszące otwartym wnętrzem sine zwłoki, na bydło i konie sponiewierane dla zabawy, na gruzy i zniszczenia, i potrząsnął głową w zadziwieniu. Przypomniał sobie jeszcze o działwie sprzedanej za morze i rzekł z powagą i smutkiem:

– Może Bóg ci odpuści grzechy, bo ja nie potrafię.

\*\*\*

Niewczas zostawił za sobą ruiny i zwłoki, ale w najbliższym miasteczku powiadomił burmistrza o wszystkim i nakazał zorganizować chrześcijański pochówek. Spostrzegł jednak niechęć do wykonania polecenia, więc poparł swoje słowa listem żelaznym z pieczęcią kasztelana. Obiecał też, że w drodze powrotnej sprawdzi, jak się pan Węgiełek z powierzonego zadania wywiązał.

Im bliżej Soboty, tym częściej, nocując po zajazdach i chłopskich domach, można było usłyszeć opowieści mrozące krew w żyłach. Niewczas zrozumiał, że to nie czcze gadanie i bajki, i z uwagą wysłuchiwał wszystkiego, dopytując o szczegóły.

Wyszło mu na to, że serpensa pojawiła się w okolicy jakieś dziesięć lat temu. Najpierw grasowała blisko Soboty, potem coraz dalej. Na początku zabijała i zżerała prawie w całości, tak że zaatakowanych można było rozpoznać jedynie po częściach garderoby. Potem wykazywała się większą powściągliwością. Raz – że częstotliwość ataków się zmniejszyła, dwa – że tylko serca pochłaniała. I to by się zgadzało z tym, co pan Jakub wyczytał w sekretnych księgach trzymanyh w podziemiach zamku.

Serpensa nie pojawiała się sama z siebie. Należało dokonać rytuału przywołania. Jak on się odbywał, było niejasne, bo braciszkwowie nic na ten temat powiedzieć nie chcieli, a w księgach też niewiele dało się wyczytać. Jedno zdawało się pewne – duch żywoźmii mógł zamieszkać tylko w maleńkim dziecku. Jeśli wzywano go do dziewczynki, stawał się samicą, jeśli do chłopca – samcem. Te gadziny miały ogromną moc, ale to i tak nic w porównaniu do bestii zrodzonej z żywoźmii i żmija.

Dalej pisali braciszkwowie, że pierwsze oznaki tego, iż ciało dziecka opanował smok, ktoś obcy mógł dostrzec dopiero w wieku dojrzewania. Jeszcze wtedy dało się pozbyć gadziny bez uszczerbku dla nosiciela. Później już nie. Wówczas serpensa przejmowała władzę nad człowiekiem i zabijała bez opamiętania, bo musiała żreć bardzo wiele. Po roku do dwóch już nie można było oddzielić jej od młodzieńca czy dziewczyny. Ale też zwykle kończył się czas niepohamowanych łowów. Im dłużej więź trwała, tym rzadsze stawały się ataki albo inaczej – tym lepiej kontrolowała się ta przedziwna istota.

\*\*\*

Sobotę trudno było nazwać miastem, ale do wsi też się nie zaliczała. Sama osada liczyła kilkadziesiąt gospodarstw w dość luźnej kupie pobudowanych. Między nimi usadowił się nieduży ryneček z paroma kramami i lichym, ale mocno obleganym szynkiem. Nieliczni mieszkańcy, snujący się późnym popołudniem po uliczkach, zapytani o kogoś znacniejszego, bez słowa wskazywali na północ, gdzie majaczyła ściana lasu. Tam skierował się Niewczas.

Pośrodku posiadłości otoczonej niezwykle wysokim wiklinowym płotem pysznił się dom zbudowany z drewnianych bali, między którymi upchnięto mech i powróśla ze słomy, kryty grubą strzechą, teraz oprószoną pierwszym białym puchem. Z ceglanego komina unosił się równą smużką siny dym, gnał do nieba, jakby mu się spieszyło na spotkanie z chmurami, ale nim ich dotknął, wiatr rozpraszał go i wymazywał. Po obu stronach solidnego ganku rozświetlone blaskiem lamp błyskały dwa okna niczym ślepia monstrualnego potwora.

Jakub nie wszedł sam na podwórze. Choć właściwie bez problemu otworzyłby furtkę, obawiał się jednak psów za ogrodzeniem. Na szczęście zobaczył dzwonek



ze sznurem i energicznie pociągnął. Chwilę to trwało, nim gospodarz przyczłapał do bramy, bez ogarów czy kundli wprawdzie, za to ze skałkówką wspartą na ramieniu.

– Wybaczcie, panie, że tak nachodzę późną porą, nie dla krotochwili po polach latam, jeno misję powierzoną przez pana Zatwaroga, kasztelana w Zaporęciu, wypełniam, a na potwierdzenie glejt od niego wiozę.

– I ty mi, panie, wybacz, że cię strzelbą miast ciepłą strawą witam, jednak jak widzisz, za moimi plecami las drapieżników pełen, a i od przodu nie wiadomo, co się przypałęta. Ale skoro misję wypełniasz, to do izby zapraszam. – Mężczyzna opuścił broń, cofnął się o krok i uczynił zachęcający gest dłonią.

\*\*\*

Pokój był duży i choć rozjaśniało go kilka lamp, i tak w kątach zalegały cienie. Gospodarz wskazał Jakubowi miejsce, a sam zapalił świece w kandelabrze ustawionym na stole. Chrząknął, jakby lekko zażenowany ciszą, machinalnym gestem odrzucił jasną grzywkę i wyjaśnił:

– Wybaczcie, panie, tę zwłokę, musimy poczekać na resztę domowników...

Nie skończył jeszcze mówić, gdy do jadalni wkroczyły dwie młode damy. Pan Niewczas poderwał się natychmiast z krzesła, a gospodarz dokonał prezentacji:

– Pozwoli pan, to moja córka, Anna, i jej mleczna siostra, Jadwiga. Ja sam zaś, bo zapomniałem o dobrych manierach, nazywam się Adam Poniechwała.

– Jakub Niewczas – powiedział gość, pochylając się, by najpierw ucałować dłoń córki pana domu, a potem jego wychowanicę.

Zasiedli za stołem, a krępująca cisza nie zapadła nawet na chwilę. Głównie dzięki służącej, urodziwej niczym jasnowłosa słowiańska bogini, która ciągle podsuwała nowe kęski do spożycia, i dzięki pannie Jadwidze. Młódka okazała się wesoła i gadatliwa, w przeciwieństwie do Anny. Pan Poniechwała też rozluźnił się i delektował z równą przyjemnością towarzystwem jak i przednim miodem, wyciągniętym z piwniczki na tę okazję.

Obie panny przyciągały urodą wzrok. Jadwiga, niczym żywe srebro, świegotąła, śmiała się i zdawała rozkwitać, korzystając z nieoczekiwanej kompanii. Jej błękitne oczy skrzyły się radością, a grube, jasne włosy, luźno puszczone, rozłożyły się po ramionach niczym płaszcz ze srebrnego lisa, wabiąc zapachem igliwia i połyskując w blasku świec.

Anna była jej przeciwnością – ponura i smutna, miała ciemne oczy wciąż wpatrzone w talerz lub w ręce na podołku, czarne włosy zwinięte w sztywny kok, a usta zaciśnięte w kreskę. Całą swoją postawą mroziła towarzystwo. Pan Jakub baczny spojrzeniem co rusz twarz i postawę panny omiatał, wychwytyując każde skrzywienie warg, każdy grymas przecinający posępne oblicze.

\*\*\*

Za zgodą gospodarza zatrzymał się w Sobocie na dłużej. Codziennie rano wyruszał na objazd okolicy. Ale napotkani ludzie nabierali wody w usta, gdy pytał o serpensę, choć stopniowo oswajali się z jego obecnością. Po dwóch tygodniach popijania cienkusza razem z chłopami w szynku przy ryneczku uznał w końcu, że nic nowego już nie uda mu się usłyszeć. Miał wrażenie, że im bardziej oddalał się od Soboty, tym więcej się dowiadywał. Jakby tutejszym coś gęby sznurowało. Dlatego uznał, że warto sympatycznego gospodarza opuścić i poszukać wieści dalej.

Przed odjazdem siedli wraz z Adamem przy kominku. Jak co wieczór, pożegnawszy panie, sadowili się we dwóch i grzejąc gardła przednim miodem, leniwie rozmawiali.

- Udało mi się, panie Adamie, ustalić parę rzeczy. Otóż pierwszy atak serpensy miał miejsce dokładnie jedenaście lat temu. To powiedział... - Jakub pochylił się, by zerknąć do notatek - niejaki Stachu Wydra. Pamiętał, bo stało się to w dniu narodzin jego najmłodszej córki. Żywoźmija zeżarła wtedy jakiegoś pijanego pachotka. Właśnie, zeżarła, tak się wyraził.

- Czy nie mówiliście, panie Jakubie, że owa potwora tylko sercami się żywi, bo z tego siłę czerpie? - spytał Adam, pociągając słuszny łyk trunku.

- To prawda, ale taka połowiczna. Kiedy bardzo wygłodniała, żre, co jej pod zęby podleci. Wtedy nie wybrzydza! Albo jak dojrzewa.

Jakub pociągnął potężny łyk miodu i uśmiechnął się do gospodarza, ukontentowany jakością trunku.

- A zdarzyło się to na południe od Soboty, w lesie, kiedy młodzik do domu po robocie wracał - kontynuował Niewczas. - Podobno tylko nogi zostały, rozpoznali chłopaka po butach. Potem długo się nic nie działo, a wróciło po jakimś roku. Wtedy ginęli ludzie przynajmniej raz na miesiąc albo i częściej! Jak na mój gust, to za często nawet, ale tu obfitość mordów wyobraźni ludzkiej przypisać chyba trzeba. - Zamyślił się na chwilę, a potem dodał: - Bo jak już serpensę osiągnie dojrzałą postać, to potrafi się kontrolować. Nawet rok może ludzkiego serca nie kosztować, zaspakajając głód zwierzętami. I trwały te mordy jakieś pięć lat - podsumował, do tematu wracając. - Potem znów nastąpiła przerwa, wtedy serpensę uwięzili panowie Stanycz i Pruta, a wiemy, jak się to dla nich skończyło. Sądziłem, że żywoźmija wróciła w te okolice, ale ludziska mówią, że od dwóch lat jest spokojnie. Zatem mus ruszać dalej i nasłuchiwać wieści - zakończył posłaniec pana kasztelana.

- A powiedzcie mi jeszcze, panie Jakubie, jak się onym panom serpensę tyle czasu w klatce trzymać udało? - dopytywał jeszcze Adam.

- A to proste całkiem. Kiejszczak z kompanią w sieć ją schwytali, a potem omotali łańcuchem żelaznym i żyć nie dawali, a w wodzie laudanum i capricorium tak długo podawali, aż całkiem osłabła. Wtedy do klatki ją zapakowali. Żeby nie świeża krew Jaro, dowieźliby ją do Grynburga bez przeszkód.

Poniechwała pokiwał głową ze zrozumieniem i zadumał się chwilę nad dziwnym zrządzeniem losu. A potem kielich uniósł i przepił do gościa:

- Szkoda, że waćpan jechać już musisz. Miła mi była waćpana kompania i przyjemna odmiana w rutynie wiejskiego życia.

\*\*\*

Pan Niewczas ruszył, choć pogoda paskudna się zrobiła. Bez przerwy siąpiło i wiało tak, że oddychać prawie nie można było. Jakub starał się za dnia pokonać jak największy odcinek drogi, by przed wieczorem jeszcze zapewnić sobie nocleg u jakiegoś gospodarza. Odkrył bowiem, iż jakoś chętniej ludziska gadają, gdy im zapłaci za jedzenie i spanie, no i za kusztyczek czegoś mocniejszego.

Ustalił, że okolice Soboty są od dłuższego czasu bezpieczne. Potem dotarł do granicy, gdzie napaści znowu się pojawiały i częstotliwość ich wzrastała. Jakby żywozmija poszła po rozum do łba – głupio w bliskości swojego siedliska wyrzynać ludzi. Jakub wykalkulował sobie, iż jednak to Sobota musi być gniazdem serpensy i ruszył w drogę powrotną; cała wyprawa zajęła mu jakieś trzy tygodnie.

Nie zajechał jednak do Poniechwałów, ale rozłożył obozowisko w lesie, by obserwować posiadłość. Za dnia spał, nocą wpatrywał się w niebo nad chałupą pana Adama. Okrutnie mu się dłużyły te obserwacje, bo i niewygody dawały się we znaki, odwykł bowiem od leśnego życia. Dobrze, że przezornie zakupił parę futer baranich i solidny antałek miodu na pocieszenie. Często wspominał żonę, co zimową porą grzała tak miło bok. Zatęsknił za jadłem domowym, za uśmiechem swojej Magdusi, ale zęby zacisnął i na posterunku postanowił wytrwać.

Cierpliwość jego została nagrodzona dopiero po dniach dziesięciu. Na tle szarych, nabrzmiątych śniegiem chmur, tuż nad linią płotu ujrzął wężowaty kształt, który ciął powietrze niczym nóż zsiadłe mleko. Prawie jak na zamówienie zza obłoków wyrżał księżyc i oświetlił zjawę. Każdy ruch skrzydeł sprawiał, że wierzchołki drzew tańczyły, jakby pląsały po nich niewidoczne elfy. Było coś majestatycznego i zarazem strasznego w tej zwinnej sylwetce.

Pan Jakub odprowadził wzrokiem smoczycę, w cichości zmówił żarliwą modlitwę za duszę tego, kto miał się stać jej ofiarą dzisiejszej nocy, a potem spokojnie zaczął przygotowania do powrotu gadziny. Wyciągnął z juków bełt,

otworzył niewielkie pudełko, by grot unurzać w gęstym mazidle. Czynił to bardzo ostrożnie, nie chcąc się zadrasnąć, a kiedy już kuszę naciągnął i przygotował do strzału, odłożył ją niedaleko, żeby pozostawała w zasięgu ręki.

Teraz czuwanie nie sprawiało panu Jakubowi problemów, napięcie przyspieszyło bieg krwi w żyłach, wyostrzyło wzrok. Po godzinie uznał, że już pora. Wśliznął się na podwórko przez wyszarpaną przez siebie dziurę w wiklinowym płocie i przysiadł w jego cieniu, oczekując na ukazanie się serpensy.

Niedługo musiał czekać. Ponownie ujrzał smukłą sylwetkę, srebrzyście połyskującą w blasku słabego księżyca. Ogromne błoniaste skrzydła z szumem zagarniały powietrze, hamując łagodnie lot. Nie widział dokładnie przemiany, bo noc była zbyt ciemna, ale zdało mu się, że dokonała się przy ostatnim susie. Niczym ogar w pogoni za lisem, gdy w ostatnim skoku chwyta ofiarę, tak ona ciało wygięła, by sięgnąć pazurami ziemi i wtedy jej postać zmaląła, skrzydła u ramion przylgnęły do ciała, żeby za chwilę zniknąć, a łapy w nogi i ręce się przeobraziły. Kryza oddzielająca smoczy łeb od karku zmieniła się w burzę lśniących, czarnych włosów, co nagą sylwetkę okryły niczym gieźlem.

Nie po to jednak siedział Jakub na mrozie, by podziwiać piękne kształty, wycelował więc dokładnie i zwolnił cięciwę. Nie wiedział, czy to bełt jęknął, czy dziewczyna może, bo pocisk trafił, ale nie powalił celu. Przez moment Niewczas patrzył, jak czyjeś ręce pomagają jego niedoszłej ofierze wgramolić się przez okno, a potem oprzytomniał z chwilowego zaskoczenia i popędził do wejścia.

\*\*\*

Drzwi nie otworzyły się natychmiast. Długo łomotał w nie pięściami, aż pojawiła się służąca, widać, że ze snu wyrwana, bo jasne włosy połyskiwały luźnymi falami na niedbale zapiętej sukni. Wpuściła nieoczekiwanego gościa i pobiegła w głąb domu, a Niewczas, nie pytając o zgodę, ruszył za nią. Pan Adam w pokoju panińskim klęczał przy łóżku z jednej strony, z drugiej Jadwiga chlipała, a służąca pot z czoła umierającej ocierała.

Jakub podsunął się bliżej i zerknął na leżącą. Z jej ramienia sterczał bełt, a po twarzy rozlewała się bladość. Jednak zdawało się, że Anna wygląda na spokojną i... szczęśliwą.

– Uśmiechasz się, pani, teraz, w chwili, gdy umierasz? – spytał Jakub, patrząc na wypogodzoną twarz dziewczyny.

– A jakże mi się do tej pory śmiać było, gdy wiedziałam, że każda chwila mojego żywota czyimś istnieniem okupiona jest? Teraz nareszcie spokój odnajdę i Bóg mnie nie odgoni od swoich bram – powiedziała z niezachwianą pewnością. – Może i samobójstwo w dobrym celu by pobłogosławił, choć przecie

zabronił nam podejmować takich decyzji...

- Nie było twojej winy w tym, co się stało, więc Bóg by cię surowo nie sądził.

- Może masz rację, panie, może uznałyby to za akt dobroczynny... A może uznałyby, że podważam jego wolę, skoro sama przecinam tę nitkę żywota. Przecież nic się nie dzieje bez udziału woli Jego, żadna żywina nie powstanie, jeśli On nie zechce, więc i żywoźmija jego tworem być musi, prawda?

Anna przymknęła na chwilę powieki, widać było, jak życie z niej wycieka niczym woda z pękniętego naczynia. Odezwała się jednak jeszcze, nim odeszła:

- Powiedzcie mi, panie, czy ona, potwora, całkiem zginie, czy nadal po świecie włączyć się będzie?

- Całkiem zginie. Gdyby łeb obciąć albo w jakikolwiek inny sposób uśmiercić, dusza, jeśli tak można nazwać to coś w jej trzewiach, plątałaby się po świecie, czekając kolejnego przywołania. Ale twój potwór, pani, zginie całkowicie, bo jadem innej serpensy potraktowany został.

Dziewczyna ponownie obdarzyła Niewczasa słabym uśmiechem, widać było, że wzrok jej mętnieje, a i mowa przeszła w bełkot. Zdawało się Jakubowi, że prosi o śmierć w płomieniach dla siebie albo dla bliskich, ale tak niewyraźnie i cicho mówiła, że nie był pewien, czy dobrze rozumiał.

\*\*\*

Pan Adam Poniechwała stanął przed portretem żony i wzniosł kielich, jakby chciał toast uczynić.

- Piękna z niej była kobieta, śliczniejszej w całej okolicy nie było... Nie wiem, co sprawiło, że mnie zechciała. Mogła mieć panów, nawet kasztelan by nie pogardził, choć majątku nie miała żadnego, ale mądrość jej urodzie dorównywała. Jednak wybrała mnie. Po ślubie zamieszkaliśmy tutaj, a wraz z moją Katarzyną przybyła Anielka, jej... przyjaciółka i powiernica. Szczęśliwie nam się żyło, tylko dziedzica nie mogliśmy się doczekać. A Kasia bardzo pragnęła dziecka. Gdziekolwiek usłyszała, że w chłopskiej chałupie jakieś na świat przyszło, zaraz leciała, ciuszki ze sobą niosła, a i grosza nie poskąpiła.

Zamilkł, łyk potężny miodu dla wzmocnienia pociągnął i po chwili kontynuował opowieść:

- Zdarzyło się wtedy, że sąsiad zza lasu zabawę urządzał i nas zaprosił. Pojechała i Anielcia. A tam oczarował ją jeden taki... Świata za nim nie widziała, a kiedy się opamiętała, było już za późno. Płacz, lament jeden wielki zapanował wtedy w domu. Tylko moja Kachna inaczej na to patrzyła i napominała dziewczynę, że Najwyższemu za dar taki dziękować powinna. Jak się okazało i nam Bóg pobłogosławił, ale o tym Kasieńka moja jeszcze nie wiedziała. Tak więc Jadwiga tylko pół roku od Anny starsza.

Znowu przerwał, odsunął się od obrazu i usiadł przy stole, głowę rękoma podpierając, jakby mu nagle zawarta w niej wiedza zaciężała.

- Dzień porodu to dzień największego szczęścia i najgorszej rozpacz. Nie znam się ja na babskich sprawach, ale coś poszło nie tak. Wezwana do porodu babka tylko cmokała i głowę kręciła. Ponad dobę cierpiała moja Kasiula, włosy z głowy rwałem, kułaki gryzłem ze strachu o nią i o dziecko, a kiedy wreszcie kwilenie usłyszałem, nie zdołał mnie nikt przed wkroczeniem do pokoju położnicy powstrzymać. Marnie ta moja żonka wyglądała, oj marnie. Ale oczy jej takim blaskiem świeciły, jakiego w życiu nie widziałem. Dostała Anusię, główkę ucałowała i zasnęła z uśmiechem na ustach i z dzieckiem przy boku. Wyszedłem i to był ostatni raz, gdy ją żywą widziałem.

Łzy zawisły na rzęsach Adama, by za chwilę na blat stołu spaść. Żałość była w nim wielka, choć ponad dwadzieścia lat od tego czasu minęło.

- A potem babka przyszła i powiedziała, że z dzieckiem też krucho. Krzyczałem, aby za wszelką cenę ratować moją córkę, bo wiedziałem, że tego chciałyby Kasia. Wiedźma tylko upewniła się. Spytała raz jeszcze, czy za wszelką cenę, a ja potwierdziłem.

- To ona sprowadziła ducha żywoźmii i dokonała rytuału, prawda? - spytał cicho Jakub.

Adam pokiwał głową, a potem nabrał oddechu i mówił dalej:

- Nie wiedziałem, na co się decyduję... Rozpacz przyćmiła mi zmysły... Nie wiem, co zrobiła zielarka, ale mojej Annie nic już nie zagrażało. Aniela karmiła je obie, rosły jak na drożdżach, aż pewnego dnia...

- Aż pewnego dnia serpens wyrwała serce Anieli... - dokończył cicho Niewczas.

- Tak - przyznał Poniechwała. - Ale nie mogłem jej zabić, choć wiedziałem, co z niej rośnie...

\*\*\*

Korzystając jeszcze z gościny, Jakub spisał całą opowieść i zapieczętował lakiem. Ale coś mu nie dawało spokoju i we śnie, i na jawie. Krążył po domu, zerkał na portrety, jakby stamtąd wyczekiwał podpowiedzi, i nie kwapił się do odjazdu.

Stanął przed konterfektem gospodyni i podziwiał niecodzienną urodę, a potem w zamyśleniu przygryzł wąż, bo dręczyło go jakieś wspomnienie, obraz jakiś niewyraźny, odcisk na pamięci.

I nagle doznał olśnienia. Stuknął się dłonią w czoło i podreptał do salonu. Tam odkorkował flaszeczkę z miodem, nalał sobie kieliszek. Potem sięgnął do kieszeni i nieznacznym gestem, jakby miał zamiar butelkę ponownie

zakorkować, sypnął coś do środka. Jednak jeszcze nie był całkiem pewny, więc wrócił pod obraz. Znowu go obejrzał i z uśmiechem uraczył się winem. Miał zamiar wrócić do pokoju, ale drogę zastąpił mu Adam.

– To już wiesz, panie Niewczas.

– Ano, wiem – odrzekł Jakub, cofając się. – A właściwie domyślałam się.

– Domyślasz?

– Nie da się ukryć podobieństwa świętej pamięci małżonki pana do tej panny, a właściwie pani służebnej, prawda? – zauważył z ironią.

– Prawda. Zaskoczyliście nas, panie, swą pierwszą, wieczorną wizytą. Czasu nie było, by coś kombinować. Jak widzicie, sami tu żyjemy, nikt nawet na służbę do domu przyjść nie chciał. Ludzie wiedzieć nic konkretnego nie wiedzieli, ale wyczuwali. A jeszcze jak dziewczynki małe były i panować nad sobą nie umiały... Sami rozumiecie, nawet przyjezdni służby bali się podjąć. W polu owszem, ale za dnia. Po zmroku żaden nie został.

– I Anna też waszą córką nie była? Dlaczego więc tak ją przedstawiłeś, panie Adamie? – spytał Jakub.

– Czułem pismo nosem, a obawiając się o własne dziecko, Anusię na żer wam wystawiłem, sądząc, że tym sposobem Jadwiga bezpieczna będzie. Kiedy zjawiliście się tak nagle, nie było czasu na jakieś mistyfikacje. Żona tylko czepek i fartuch służącej przywdziała i już. Bo pewnie dziwne by wam się zdało, gdyby w domu takim służby nie było.

– No dobrze, a jak ze żywoźmijstwem u was? – dociekał jeszcze Niewczas, przedłużając czas ostatecznego rozwiązania sprawy.

Uśmiechnął się Poniechwała do czegoś za plecami gościa i podniósł się, by dłoń wyciągniętą z uczuciem ucałować.

– Ja panu prawdę powiem – wyręczyła małżonka Katarzyna, która do pokoju wraz z Jadwigą wkroczyła. – Nalej mnie też, mężu, miodu. To spotkanie ostatnie uczcić należy, a i za przenikliwość pana Jakuba toast wznieść wypada.

Cisza zapadła, wypełniona jedynie brzękaniem szkła i odgłosami nalewania. Dopiero gdy kielich znalazł się w dłoni kobiety, Katarzyna, popijając drobnymi łydkami miód, kontynuowała opowieść.

– Oboje jesteśmy serpensami. Spotkaliśmy się na łowach, daleko stąd. Jadwinia jest naszą córką. Annę jej matka ratowała, jedyna nie-żywoźmija w naszym towarzystwie. Dziecku Anielci śmierć groziła, a widząc, że ma wybór, z pomocą więdmy przywołała duszę wolnej żywoźmii. Nie przewidziała tylko, że dziewczyna w dewocję uderzy i żałować będzie życia ofiarowanego.

– Rozumiem, że ona najmniej szkód poczyniła, broniąc się przed swoją gadzią naturą – zauważył Niewczas i zerknął na Jadwigę.

– Tak, ma pan rację – odpowiedziała Katarzyna zamiast córki. – Nasza

Jadwiga najwięcej się do tego przyczyniła. Ale ona jest serpensą prawdziwą, żywoźmiją z urodzenia. Uczy się dopiero nad sobą panować, teraz to się już zmieni. Z wiekiem przybywa jej stateczności i opanowania.

– Nie wątpię, że to się zmieni – powiedział Niewczas, uważnie przyglądając się Adamowi.

– Nie boisz się, waćpan? – spytał Poniechwał, a nutka podziwu zadźwięczała w jego głosie.

– Bać się? – odpowiedział pytaniem Jakub. – Nie, nie boję się. Będzie, co być musi i co komu tam w górze zapisano. Tego ani ominąć, ani odwlec się nie uda. A czy na mnie, czy na was kolej pierwej przyjdzie, to tylko Najwyższy wiedzieć może. A w Jego sprawiedliwość i mądrość wątpić nie godzi się, prawda, gospodarzu?

Coś w jego tonie zwróciło uwagę Katarzyny, bo najpierw zerknęła na Jakuba, a potem na małżonka. Adam kulił się, obie dłonie przyciskając do brzucha, jego oblicze przybrało bladozieloną barwę, a na usta wypłynęła spieniona ślina.

Wrzasnęła pani Poniechwałowa nieludzkim głosem, doskakując do męża, by podtrzymać osuwające się ciało. Nie zdążyła, bo i ją ból przygiął do ziemi i wytrącił kielich z rąk. Upadła na podłogę obok małżonka. Jadwiga stała przez chwilę oniemiała, a potem przerażenie wykrzywiło jej piękną twarz, ukazując ukrytą dotychczas naturę. Ona jedna nie kosztowała miodu zatrutego jadem serpensy. Niewczas chciał ją sztylecikiem ukrytym w rękawie kontusza potraktować, ale Katarzyna uchwyciła go za nogi i nie pozwoliła uczynić kroku. I miał Jakub jedyną w życiu okazję oglądać przemianę człowieka w żywoźmiję. Widok był zgoła niesamowity, gdy delikatne członki naraz grubiały, materiał sukni rozrywając, pęczniejąc i łuską srebrnej barwy się pokrywając.

Wspomniał Jakub Niewczas słodycz i wdzięk swojej Magdy, jej dobroć i łagodność, i zrozumiał, iż już nigdy nie doświadczy dotyku ciepłych rąk żony. Za to poczuł ból przeokropny, gdy go żywoźmija pazurami przeorała. Runął na plecy, a ręka zahaczyła o polana równiutko pod kominkiem ułożone, tu, gdzie rozmawiali godzinami z panem Poniechwałą. Rozrzucił drwa i zastygł w płomienie wpatrzony. Wolał spojrzenie skierować w ogień niż na potwora, który za chwilę serce z piersi miał mu wyszarpnąć. Z gardła żywoźmii ryk wydobył się przepotężny, aż kotary na oknach się zakołysały. Potem pochyliła gadzią paszczę, by wyrwać i pochłonąć serce pompujące w przerażeniu krew. Wtem poczuła lekkie ukłucie. Zerknęła w bok i pewnie, gdyby nie smocza postać, zachichotałaby z ironią, bowiem Niewczas ostatkiem sił małym sztylecikiem łapę jej zadrasnął. Nim po raz drugi ryknęła i wąski pysk w trzewiach zanurzyła, zdało jej się, że dostrzega uśmiech tryumfu na twarzy człowieka. Raz tylko łbem szarpnęła i zakończyła tym samym cierpienie Jakuba. Odwróciła się potem od



niego i spojrzała na skręcone w agonii ciała rodziców. I po raz trzeci ryknęła przeraźliwie.

W martwych oczach Niewczasa nie widać już było ani bólu, ani strachu, za to odbicie potężniejszego ognia, który wypełził z kominka. Jakby spełniając prośbę Anny, pełgał po polanach, by sięgnąć najpierw zasłon, a potem przerzucić się na drewniane ściany i podłogę, w końcu ogarniając słomianą strzechę. A wtedy płomienie uderzyły w czarne niebo, jakby jakiś smok ogniem zionął.

Ludzie potem przysięgali, że kiedy nad ranem pożar wygasł, zwęglone ciało żywoźmii w chałupie znaleźli. Ale kto by tam niepiśmiennym chłopom w takie bajanie uwierzył.

# KATECHON

Marcin Tomaszewicz

Τὸ γὰρ μυστήριον ἤδη ἐνεργεῖται τῆς ἀνομίας· μόνον ὁ κατέχων ἄρτι ἕως ἐκ μέσου γένηται. Καὶ τότε ἀποκαλυφθήσεται ὁ ἄνομος...<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Albowiem już działa tajemnica bezbożności. Niech tylko ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi miejsca, a wówczas ukaże się Niegodziwiec... (2 Tes, 2, 7-8). „Novum Testamentum Graece et Latine”, Ed. Nestle, Aland, wyd. 25, Stuttgart 1963.

2 Tes, 2, 7-8

## Prolog

Zima nadeszła sroga i zawzięta – taka, jakiej nie widziano w tym rejonie od bodajże tysiąc pięćdziesiątego czwartego roku. Śnieg przykrył białymi czapami szczyty, przerwał szlaki, grubą pierzyną zaległ na graniach i pośród przełęczy tak, że ciężko było przejechać wierzchem, nie wspominając o wozie. Mróz skuł lodem potoki, oszronił drzewa i krzewy, a wiatr dął okrutnie, sypiąc dookoła srebrnym pyłem. Wszystko co żywe pomarzło, posnęło, uciekło na południe lub zabarykadowało się w domach.

Jednak to nie atak zimy był głównym tematem rozmów, jakie wiedli mieszkańcy pewnej niewielkiej miejscowości we włościach Matyldy Toskańskiej. Ledwie nastał styczeń nowego roku, znaczy się tysiąc siedemdziesiątego siódmego, a wśród gminu zaczęto powtarzać niezwykłą wieść. Chociaż z powodu mrozu ludzie niechętnie opuszczali chałupy, nowina gruchnęła z całą mocą i wkrótce nikt o niczym innym nie mówił.

Wszyscy oczekiwali tej jednej chwili.

\*\*\*

W owym czasie, gdy sięgający pierwszej kwadry księżyc skrył się za okręgiem ziemi, a blade słońce zgasiło gwiazdy, świt wstał zimny i czysty. Wieśniacy wylegli ze swych domostw, wypełnili ganki, obleźli parkany, burym kordonem opasali wiodący z południa trakt. Zebrali się wszyscy: mężczyźni, kobiety, starcy,

podrostki i berbecie. Stali w milczeniu, topiąc ciekawskie spojrzenia w szarej mgle.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Jakiś brzdąc zakwilił. Spuszczony z powrozu pies penetrował zasy. Poza tym cisza jak makiem zasiał. W końcu stojący najbliżej drewnianego cokołu pacholik potrząsnął energicznie kędzierzawą łepetyną i podskoczył kilkakrotnie, machając rękoma. Tłum zaszemrał, kilka gąb wychyliło się z szeregu.

Najpierw usłyszeli trzask deptanego śniegu, potem zobaczyli pierwszego barbarzyńcę. Dosiadający karego ogiera mężczyzna wydawał się ogromny. Spod niedźwiedziego futra pobłyskiwały oczka pancerza, u boku zwisał miecz. Jeździec jedną ręką powodował koniem, drugą, wysoko uniesioną, ścisnął tykę z oklapłym proporcem. W głębi stożkowego hełmu błyszcząły oczy. Olbrzym wstrzymał wierzchowca i krzyknął coś w swoim syczącym narzeczu, opluwając oszronioną brodę.

– Normanowie – poniósł się szept wśród ludu.

Na dźwięk tego słowa straszne jak zaraza zdjęta trwogą ciżba zafalowała. Już miała się rzucić w stronę kleci, gdy nagle podmuch zimnego wiatru rozwinął proporzec. Materiał załopotał, ukazując papieskie barwy. Ciekawość zwyciężyła nad strachem i większość spektatorów pozostała na swych miejscach.

Kolejni jeźdźcy jeden po drugim przecinali siny opar, wkraczając do wsi. Wszyscy tak samo dzicy i brodaci. Na widok tłumu uformowali dwie kolumny flankujące trzecią, dopiero co przybyłą. Otwierał ją mnich dzierżący wysoką tykę, na której szczycie połyskiwał krzyż. Za nim jechał kolejny – sądząc po habitcie, benedyktyn. Ten z kolei sypał dookoła refleksami światła odbitego w klejnotach papieskiej feruli. Trzeci mężczyzna nie nosił habitu. Obszerny płaszcz z wilczego futra szczelnie okrywał zgarbioną sylwetkę, puchatą falą spływał na białego rumaka. Jeździec uniósł urękawiczoną dłoń i cały pochód stanął w miejscu.

– Podejź tu. – Wilczy pan władczy gestem wywołał z tłumu gapiów zasuszonego księdza.

Zawezwany pokornie przestąpił linię Normanów. Stanął tak blisko, że czuł na twarzy parę buchającą z końskich nozdrzy.

– Jak cię zwą?

– Jestem Guido. – Ksiądz podniósł wzrok, by spojrzeć w głęboko osadzone, szkliste oczy starca.

To trwało tylko chwilę, ale Guido miał wrażenie, jakby całą wieczność wpatrywał się w to nieruchome, zamarznięte oblicze, w ten wąski, długi nos, ostro zaznaczoną szczękę i wydatne kości policzków muskanych dotykiem bielusiękich włosów. Czuł się wtedy jak Symeon, któremu niegdyś dane było ujrzeć zbawienie dla świata.

- Powiedz nam, Guido - suchy ton przerwał chwilę nabożnej kontemplacji - którą dojedziemy do zamku w Canossie?

Księżulo drżącą dłonią wskazał drogę na północny wschód, po czym padł i zapłakał jak dziecko.

- Pobłogosław nas, Ojciec Święty - szlochał rozplaszczony na śniegu.

Lecz nikt go nie słuchał. Papież Grzegorz VII, onegdaj Hildebrand, zacisnął szczelniej poły wilczego płaszcza i bez słowa ruszył ku oblanemu czerwienią wschodzącego słońca zębataemu pasmu, gdzie wysoko ponad skalistymi przepaściami wznosiła się warownia Canossy.

## **1. Anathema sit!**

- Wygrałem - zadeklarował tęgi klecha, zdmuchując z dzbana kożuch brudnej piany - to teraz płąćcie.

Coś brzęknęło i oberżnięty miedziak strzelił ponad blatem. Pomimo tuszy grubas uchwycił go w locie błyskawicznie. Obejrzał nabytek w czerwonym świetle paleniska i schował pod szkaplerzem.

W niewielkiej, okopconej chacie panował zaduch. Śmierdziało potem i gotowaną strawą. Wesóło trzaskający ogień kołysał cienie na ścianach, wypełniał izbę przyjemnym ciepłem, podczas gdy na świecie panowała noc, lodowata i śnieżna.

- A jak wam mówiłem, że sam papież tu będzie, toście nie chcieli mnie słuchać - perorował grubas wniebowziętym głosem. - I co? Sprawdziło się! Na przyszłość miejcie w poważaniu słowa ojca Berengara.

Mnich mlasnął i wlepił świńskie oczka w siedzącego naprzeciwko chłopinę w baraniej kapocie. Oczekiwał, że niedowiarek ukorzy się, do przegranego miedziaka dołoży słowa skruchy. Nic takiego się nie stało. Ogorzałe od tokańskiego słońca oblicze chłopca, które w nikłym świetle paleniska wydawało się jakby wyciosane z pniaka, ani drgnęło.

Głos zabrał siedzący po prawej ksiądz Guido.

- Ano nie dziwota, żeśmy nie wierzyli. Wpadłeś do wsi, *pater*, nagle i nieznany nikomu począłeś prorokować, jakoby biskup Rzymu tu zmierzał. Jakże mogliśmy uwierzyć twym słowom, skoro wiadomo było, że orszak Grzegorza podąży szlakiem na północ, na Rzeszę i Augsburg. - Księżulo załamał dłonie nad miską cienkiej polewki.

- Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli - odparł sentencjonalnie Berengar. - Zresztą, co tu dużo gadać, można się było spodziewać, że Hildebrand na wieść o zbliżającym się Henryku czmychnie do Canossy.



- A czemuż to papież miałby uciekać przed niemieckim królikiem? - Zainteresował się zajmujący miejsce u szczytu stołu obwieś z zajęczą wargą. - Przecie Henryk to nie poganin ani heretyk.

- Jak wy nic nie wiecie. - Berengar zatrząśł podbródkami. - Wszak papież wielce obraził cesarza, co się nie godzi, bowiem papieństwo jest lennikiem cesarstwa. Tak było za Karlomana, potem za Ottonów, tak jest teraz i będzie *ad saecula saeculorum. Amen.*

Spaślak przeżegnał się i na moment przerwał orację, by całość uwagi poświęcić chłopce podającej na stół wieczerzę - suszone jabłka oraz winogrona.

- Jak niby papież miał obrazić cesarza? - warknął proboszcz tonem zupełnie nielicującym z jego nabożnym obliczem.

- *Patientia*, bracie. Daj mi się wystawić. - Berengar odlepił wzrok od niewieścich krągłości. - Hildebrand jął roić stary sen o bezgranicznej władzy. Chciał być władcą uniwersalnym, jak cesarz, a może bardziej. Panować nad okręgiem świata, sądzić zastępy anielskie, strącać władców z tronów i liczyć plemiona ludzkie. Ambitne, nie powiem. W sam raz dla syna cieśli. - Wygiął wargi w szyderczym uśmiechu. - Problem w tym, że wewnątrz własnego Kościoła Hildebrand pełni władzy nie dzierżył, bo inwestytura biskupów spoczywała w rękach cesarza.

Ojciec Berengar mówił, mężczyźni słuchali, kobiety, zajęte swoimi sprawami, obsiadły ławę po drugiej stronie paleniska, na którym swawolił ogień, sypiąc ku powale kłębam dymu i iskier. Nikt nie zwrócił uwagi na czarnego kota, który przywarł do okopconego dymnika w dachu i nie bacząc na smoliste podmuchy, od dłuższej chwili obserwował błyszczącymi ślepiami rozgrywającą się poniżej scenę. Wreszcie jednym susem zeskoczył na klepisko. Zgrabnie omijając krąg światła, zniknął w gęstym cieniu jednego z kątów.

- Nie inwestytura to, lecz zwykła symonia! - Guido uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły miski. - Powszechnie wiadomo, że cesarz sprzedaje sakry biskupie swoim ludziom. Synody potępiają świętokupstwo!

- Synody swoje, a życie swoje - odparł Berengar, jakby mówił do dzieci. - Widzisz, cesarz niemiecki jest obierany przez elektorów. Ich przychylność jest mu niezbędna do utrzymania ładu w świecie. Przy czym, zwróć uwagę, część elektorów to nie tylko książęta, ale i potężni biskupi. Stąd cesarz musi ich mieć w swojej sakwie. Dlatego sprzedaje biskupstwa ludziom zaufanym i bogatym. Prawda, dobrze by było, gdyby przy tym wszystkim okazali się pobożni, cnotliwi i uczeni, ale jeśli nie są, to trudno. Racja stanu ważniejsza. A racją tą jest pokój i ład, jaki zaprowadza cesarstwo zgodnie rządzone przez cesarza i książąt elektorów.

- Co też wygadujecie, ojcze? - Na drewnianej gębie chłopca odmalował się

wyraz oburzenia. – Nie pozwolę, żeby pod moją strzechą za świętokupstwem mówiono. Samo słowo może Złego ściągnąć. – Uczynił znak krzyża.

– Wszystko przez ten spór o inwestyturę. – Berengar pochylił się nad stołem. – Otóż cesarz, mając za nic synodalne zakazy, sprzedał swoim biskupstwa w Spirze, Leodium, Bambergu i Mediolanie, na co Grzegorz, osobowość porywcza i brutalna, zaperzył się okrutnie i ekskomunikował biednego Henryka. *Anathema sit!* – Ostatnie słowa niemal wykrzyknął, aż zebrani podskoczyli na swoich miejscach.

Wiatr świszczał w przestworzach, zakolał okiennicami, zdarł z dachu lodową pokrywę, która spadła przed chałupę z głuchym tąpnięciem. W izbie syczały dorzucone do paleniska iglaki, z kąta dobiegało ciche mruczenie kota. Zebrani przy stole mężczyźni oczekiwali kolejnych słów ojca Berengara.

Mówca pokrzepił się solidnym łykiem, aż mu pociekło po brodzie. Przetarł szkaplerz rękawem i kontynuował tymi słowy:

– Na wieść o ekskomunice zaraz podniosła głowę antycesarska opozycja i zwołano sejm Rzeszy w Augsburgu. Tam też miał się rozegrać ostatni akt dramatu, wielki triumf Grzegorza i definitywne upokorzenie cesarstwa. Przetarcenie karku germańskiej bucie.

– Oto dlaczego papież podąży na północ – uzupełnił ksiądz Guido, kiwając głową.

– Podąży. – Berengar błysnął chytrym uśmiechem. – Ale nigdy tam nie dotrze. Cesarz, zwiedziawszy się zawczasu, ruszył mu naprzeciw. Lada dzień dopadnie Grzegorza i siłą zmusi do posłuszeństwa. Stąd cała historia *finis* swój odnajdzie nie w Augsburgu, ale tutaj, w Canossie – zawyrokował niejako *ex cathedram*.

– A skąd wy, bracie, jesteście tak obeznani w sprawach wielkiego świata? – Obwieś z zajęczą wargą wycelował palec w tłustego klechę.

– Ano peregrynuje się tu i tam, mirabiliów świata głód zaspokajając, to się słyszy niejedno – odparł Berengar, unosząc otwarte dłonie. – Zresztą ten mąż tajemniczy, coście go wczoraj pod dach przyjęli, podobnie jak i ja przybyszem jest. – Wskazał otulony mrokiem kąć.

Kot zamiauczał, czarny jak smoła przemknął po stole. Coś zachręściło metalicznie. W płasającym świetle płomieni ukazał się rdzawy zarys sylwetki. Wysoki, barczysty mężczyzna sięgnął przez ramię księdza Guido. Postawił przewrócony kocim pędem drewniany kubek.

– Myślelim, że śpiesz, panie – odezwał się ten z dębową gębą.

„Pan” nie zaszczycił gospodarza nawet spojrzeniem.

– Słuchałem – odrzekł jeno, zaciągając z francuska. – Ale czas na mnie.

– W taką noc? – Ksiądz Guido sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Wiatr wieje,

jakby się kto powiesił. Zimno i ciemno, aż trwogą przejmuję.

– Pora jak każda inna. – Nieznajomy przypasał miecz, poprawił paski kolczugi.

– A gdzież to wam tak śpieszno? – zapytał Berengar niby od niechcienia, dłubiąc w uchu.

– Jadę zabić smoka.

Zebrani zastygli. Spoglądali na zbrojnego niczym sowy, wiecznie zdziwione światem. Ten zarzucił na plecy czarny, futrzany płaszcz. Naciągnął rękawice.

– Iście, smoków tutaj urodzaj – zaśmiał się Berengar, a gdy nikt nie podzielił jego wesołości, dorzucił: – Nie chcecie mówić, waszym jest, po co i dokąd zmierzacie.

Nieznajomy odwrócił się w progę, zmierzył tłuściocha spojrzeniem oczu ciemnych jak bezdenne studnia, aż ten schował głowę w ramionach.

– Przecież powiedziałem.

Rzucił na klepisko srebrną monetę i wyszedł, więcej się nie odzywając.

\*\*\*

Duło, jakby rozwiązano cztery wichry z czterech krańców ziemi. Lodowaty powiew rozegnał chmury. Gwiazdy migotały srebrnym, zimnym blaskiem. Na tle czerni zbitych drzew białały śnieżne wiry. Zacinało igiełkami mrozu.

Tybald wypuścił powietrze, blada mgiełka zniknęła momentalnie. Rozejrzał się po okolicy. Wieś spała. Tylko tu i ówdzie nikłe światło znaczyło obrys okiennic przycupniętych wśród gościńca domostw.

Sadyba, jakkolwiek mała i zupełnie zagubiona wśród przełęczy, posiadała kilka dość nowatorskich rozwiązań. Dla przykładu koniom i trzodzie przeznaczono oddzielne budyneczki przyległe do ścian domów.

Tybald znał ten sposób budowania z rodzimej Szampanii, gdzie przepędził młodość i uzyskał ostrogi. Podobnie stamtąd wyruszył na trakt. Jednak ani tam, ani nigdzie indziej nie widział takiej zimy. Było coś nienaturalnego w tym mrozie. Czuł to od chwili, gdy przestąpił kamienne progi górskiego pasma. Coś, co wywoływało dreszcze i stawiało włosy dęba. Czy to specyficzny *genius loci*? Raczej nie. Ten mróz był czymś innym, przenikał ciało i kości, sięgał duszy, wywołując to osobliwe napięcie. Może rzeczywiście nadszedł już czas. Ten moment, gdy ukaże się Pan. Tybald głęboko w to wierzył.

Minął drewnię. Wchodząc do stajni, musiał się schylić, by kryształowe sopte nie zdarły mu kaptura. W środku było zimno, zdecydowanie za zimno dla trzody. Ponad drewniane zagrody wzbijały się kłęby pary. Cuchnęło.

Przygotowanie konia nie zajęło dużo czasu. Kary perszeron kornie przyjął siodło, przygryzając wędzidło. Nawet nie drgnął podczas zapinania popręgu.

Gdy Tybald sprawdzał juki, kot, który szedł za nim krok w krok, zasyczał nagle



i cały się zjeżył. Rycerz nie przerywał zajęcia. Intruza usłyszał już wcześniej. Poznał go po sapaniu i ciężkich krokach.

– Wiem, że wiesz, kim jestem – rzekła zwalista postać w drzwiach. – Wiem też, kim jesteś ty. Tacy jak my od razu się poznają.

– Doprawdy? – Tybald ściągnął brwi.

– Jedziesz teraz do niego, prawda? Do Canossy?

Berengar odprowadzał wzrokiem przechodzącego obok rycerza. Ten zaś oblicze miał jak wykute z kamienia. Regularne brwi, orli nos, ostro zaznaczona ciemnym, kilkudniowym zarostem szczęka. Nawet oczy pobłyskujące w ciemności nic nie mówiły.

Ledwie minęli ościeżnice z grubo ciosanych drewn, Berengar uwiesił się połów rycerskiego płaszcza.

– Błagam cię, nie wydawaj mnie Grzegorzowi! – jęczał. – Biskup Rzymu to człowiek bezlitosny, poszczuje mnie swoimi dzikimi Normanami!

Potem wszystko wydarzyło się w jednej chwili. Berengar jedną ręką uchwycił jelec Tybaldowego miecza, unieruchamiając oręż w pochwie. Rycerz złowił błysk metalu w drugiej ręce klechy. Tłuszcioch był zadziwiająco szybki, ale Francuz szybszy. Zrobił błyskawiczny unik i ostrze śmignęło w ciemności, przecinając mroźne powietrze. Tybald naparł, grzotnął mnichem o ścianę stajni, aż się zatrzęsa. Złapał w locie spadający sopel i wbił go w oczodół napastnika. Poprawił pięścią, zagłębiając lód w miękką tkankę mózgu. Czerwona wstążka siknęła na rękawicę, parującą falą zalała twarz, podbródki i habit. Berengar zająknął się, zatrzepotał powieką i runął w zaspę.

\*\*\*

Odjeżdżając, jeszcze zanim przekroczył linię ciemnego lasu, Tybald skorzystał ze światła miesiąca i rozwinął niewielki bilecik, który już wcześniej odpiął z rzemyka na szyi czarnego kota. Ponownie prześledził skreślony niedbale tekst:

„Nim nastanie jutrznia, wypatruj mnie na zachód od Canossy, podążającego grzbietem grani. Nie zwlekaj. Nie mogę zaprzestać marszu, a on nie wytrzyma. Niech cię ma w swej opiece Pan nasz, Ten, Który Niesie Światło – Lucyfer”.

Tybald nie zwlekał.

## **2. Ashawerus**

Chociaż drzewa w tych rejonach nie zwykły zrzucać liści na zimę, tego roku zrobiły wyjątek. Wiatr rzeźił wśród nagich koron, gałęzie stukały głucho, jak kościotrupy porwane w tan śmierci. Im głębiej w las, tym trudniej było iść. Tybald ostrożnie prowadził konia, sam wcześniej wyszukując zdradliwe zapadliny i skryte pod brudnym śniegiem konary. Przesieka wiła się, omijając wystające

głazy i śliskie stromizny, co chwilę ginęła w gąszczu, by znów wychynąć parę kroków od spodziewanej ścieżki.

W miejscu, gdzie las wyraźnie rzedniał, Tybald spojrział na gwiazdy i ostro skręcił w prawo. Kierował się na wschód, pod górę. Kluczył czas jakiś wzdłuż krawędzi rzecznej koryta. Wreszcie dotarł do niemal pionowej ściany. Wiodąca tędy ścieżka była kompletnie zasypana. Rycerz brodził w twardym śniegu, ale nie mógł sobie pozwolić na zwolnienie tempa. Przystanął dopiero, gdy dotarł na łysą półkę, skąd rozpościerał się czysty widok na zachodnią grań.

Ognik z początku wydawał mu się gwiazdą nisko zawieszoną na firmamencie. Dopiero zaobserwowawszy ruch, dokładnie równoległy względem grzbietu góry, Tybald domyślił się, że to lampka. Sięgnął pochodni. Dał umówiony sygnał i czekał.

Po chwili zobaczył wyłaniającego się z kępy krzaków starca, zaszuszonego na wiór, brodatego, z rozwianym, siwym włosiem i bulwiastym nosem. Przybysz miał na sobie łachmany, spod których świeciło bladością obwisłe ciało. Dotarłszy na półkę, jął bezustannie krążyć dookoła rycerza, podpierając się brzoźową lagą. Pod jego nogami wałęsał się kot.

– Ashawerus – wycedził rycerz.

– A ty zwiesz się Tybald – zachichotał starzec, nie przerywając marszu. – Wstąpiłeś do naszego zakonu całkiem niedawno, pod wpływem...

– Gdzie on jest? – przerwał rycerz, który musiał obracać się w miejscu, żeby mieć dziada przed oczami.

– Zostawiłem go niedaleko stąd, przykazując, by nie odchodził.

– Samego?

– Martw się lepiej o siebie. – Staruch wykrzywił twarz w straszliwym grymasie. – Widziałem cesarskich szpiegów. Agitują na rzecz Henryka, pilnują traktów.

– Wiem. Spotkałem jednego z nich we wsi. – Tybald zgasił pochodnię. – Wziął mnie za człowieka papieża. Myślał, że chcę na niego donieść Grzegorzowi.

Ashawerus zaśmiał się, dał znak i ruszyli w gęstwinę.

Dziad prowadził drogą po skalnych schodkach, z początku dość wygodną, nawet dla konia. Potem grunt opadał nieznacznie, a trasa przecinała zaporę ostrych, zadziornych chaszczy. Tybald odetchnął z ulgą, gdy szlak zniknął w głębokim parowie. Szli tak czas jakiś, flankowani szpalerami drzew. Rozpięte pomiędzy korzeniami pajęczyny powiewały matowym szronem. Gdy parów przeszedł w koryto zamarznętej rzeczki, końskie kopyta poczęły załamywać taflę.

– Zwolnij! – zawołał rycerz. – Nie nadążam. Pogubimy się.

Starzec nie zwolnił, zamiast tego zawrócił. Poruszając się dalej swoim

tempem, jął łazić dookoła przedzierającego się przez lodowy dywan rycerza.

– Co tak krążysz? Nie możesz usiąść lub iść wolniej? – zapytał Tybald, wodząc wzrokiem za starcem.

– Nie.

– A więc to prawda. – Rycerz uśmiechnął się pod nosem. – Jesteś tym, który lżył Chrystusa w czasie drogi krzyżowej, za co zostałeś skazany na wieczną tułaczkę.

– Tak powiadają. Najważniejsze w tym momencie jest to, że podobnie jak ty nie służę Nazarejczykowi, lecz naszemu Panu Lucyferowi, który przyjdzie i pozwoli mi usiąść, usiąść, usiąść – podśpiewywał, jakby sam dla siebie.

– Co wiesz o swojej misji? – zapytał Ashawerus, gdy dotarli na północny stok góry, gdzie teren był mniej zalesiony.

– Tylko tyle, że mam zabić smoka i że wtedy przyjdzie nasz Pan.

Starzec minął zad konia i jak nocna zmora wyrósł po prawej stronie rycerza.

– Czytałeś Biblię? – zapytał, a gdy Tybald potwierdził, kontynuował: – Jest tam fragment u Pawła z Tarsu, gdzie mowa o „tym, który powstrzymuje” przyjście Antychrysta. Nie ma nigdzie jego imienia, stąd w grece utarł się termin „katechon”, czyli „ten, który powstrzymuje”.

– „Albowiem już działa tajemnica bezbożności. Niech tylko ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi miejsca, a wówczas ukaże się Niegodziwiec”. Drugi List do Tesaloniczan. – Tybald błysnął biegłością w Nowym Testamencie.

– Zgadza się. Ale nie wiadomo, co lub kogo Paweł miał na myśli. Katechon pojawia się tylko raz i to w bardzo tajemniczym fragmencie. Wielu myślicieli uważało, że mowa o którymś z mocarstw.

– Też o tym słyszałem – przytaknął Tybald. – Ireneusz z Lyonu, Arystydes, Justyn i Hipolit Rzymski uważali, że Katechonem jest Imperium Rzymskie. Meliton z Sardes się z nimi zgadzał, a Tertulian pisał, jakoby cesarstwo powstrzymywało koniec świata. Katechon, wprowadzając ład w świecie, opóźnia przyjście Antychrysta.

– Mieli rację, ale ta wiedza wymaga uzupełnienia. – Ashawerus podniósł kościsty palec. – Wiele wskazówek jest również w pismach Żydów.

– A jaki to ma związek ze smokiem?

Starzec uśmiechnął się tylko. Przyspieszył kroku i zniknął w rzednącej ciemności. Po chwili wyłonił się zza zwałonego pnia i gestem przywołał rycerza.

Jar formował głęboki lej poniżej sklepienia z plecionki uschniętych gałęzi. Drzewa pochylały się nad nim, niemal nie przepuszczając światła. Tybald zostawił konia powyżej skarpy, sam zszedł, a raczej zjechał w gąszcz poniżej. Dno było miękkie i grząskie. Powietrze stało w miejscu, zamarznęte jak cały las.

– Wstawaj, leniu! – warknął starzec i jął dźgać laską kłęb szmat wbity w niszę

pod baldachimem wystających korzeni. – Przywitaj się z panem Tybaldem.

Ciemny owal drgnął, uniósł głowę, wypuszczając kłąb pary. Gdy po kolejnym ponagleniu mały łachmaniarz stanął przed rycerzem, ten zająknął się i zrobił krok w tył, jakby zobaczył ducha.

– *Unde malum?* – Niechciany szept przedarł się przez spierzchnięte usta Tybalda.

Był to chłopczyk. Chudziutki, zabiedzony, nie widział więcej jak dziesięć wiosen. Kościstymi rączkami obejmował barki, dygotał na pałkowatych nogach.

– To jest to twoje medium? – Rycerz odwrócił wzrok.

– Oj, tak! Bez niego nie znajdziesz smoka. – Ashawerus trącił chłopaka łagą przez kark, aż ten zakwilił. – Co tak się na mnie patrzysz? Litość cię zdejmuje? Ciebie? – rzucił, mijając rycerza.

– Do rzeczy. – Tybald poluzował uchwyt na rękojeści miecza, wodząc za starcem wzrokiem pochmurnym jak burzowe niebo.

– Pytałeś mnie, co ze smokiem? Otóż aby to wyjaśnić, muszę się odwołać do wizji proroka Daniela. Dane mu było ujrzeć cztery smoki. Wyłaniały się one kolejno, jeden po drugim, a każdy straszniejszy od poprzedniego. Wreszcie czwarty smok, najokrutniejszy, pożarł pozostałe. Miał zęby z żelaza i miedziane pazury. Porośnięty rogami, wodził niejako ludzkimi oczyma i usta jego wypowiadały słowa wielkie. – Starzec rozczapierzył palce i uniósł wzrok ku niebu, jakby dostrzegł tam opisywane monstrum.

– Czwarty smok to Katechon?

– Zgadłeś. Ale smoki to nie zwierzęta. Istnieją obok nas, chociaż na swój własny, unikatowy sposób. One gnieźdzą się w historii i trzeba umieć patrzeć, żeby je dostrzec.

– I ja mam takiego smoka zabić?

– Tak, ale słuchaj dalej. Powiada się, że cztery bestie to cztery imperia. Mamy przeto Babilon, Asyrię, imperium cesarza rzymskich i czwarte imperium cesarza germańskich. Wprawdzie niektórzy liczą dwa ostatnie za jedno, ale wtedy by nam się rachunek nie zgadzał.

– Mam zabić imperium?

– Wystarczy, że zabijesz cesarza Henryka. Trucizną. – Podał Tybaldowi fiolkę przezroczyściego płynu. – Uważaj, jest bardzo mocna.

– Broń trzebieńców – odparł rycerz, przyglądając się badawczo śmiercionośnej substancji.

– To konieczne. Henryk nie może polec od miecza. Polityczne korzyści z takiej śmierci byłyby żadne. Ot, zaprzepaszczone szansa. Cesarz musi się skompromitować przed papieżem i światem lub zginąć w sposób pozwalający sądzić, że to moc Boża. Dlatego trucizna. Resztę za nas robi Hildebrand. On

marzy o zniszczeniu autorytetu cesarstwa. Będzie mógł ogłosić, iż sam Bóg powalił tyrana, i ostatecznie zgładzić ideę świętego imperium.

– A zatem nie będę walczył z prawdziwym smokiem.

– Najprawdziwszym! – Ashawerus oburzył się. – Świat jest jak Tora. Można go odbierać na różnych poziomach. Niektórzy widzą tylko to, co materialne. Inni dostrzegają symbole, znaki, cienie prawdy, budują pomiędzy nimi mosty metafor, ale i tak nigdy nie osiągną pełni poznania. Ono bowiem jest zarezerwowane dla tych, którzy wyzbyli się ciężkich powiek materii i oglądają rzeczywistość swoim trzecim okiem, okiem ducha. Widzą rzeczy takimi, jakimi są w swej istocie.

– Rozumiem. Smok to Henryk, ja mam go znaleźć, a następnie otruć. Po zagładzie Katechona nastąpi przyjsie Antychrysta, który niepowstrzymywany przez nikogo obejmie władzę nad światem.

– Zgadza się – odparł Ashawerus, robiąc obrót na pięcie. – A doprowadzi cię do niego ten malec. Chwała Lucyferowi.

To rzekłszy, wdrapał się na skałę i wraz z kotem zniknęli pośród drzew. Tybald nie zobaczył go już nigdy.

### **3. Widzieć jako aniołowie**

Chleb smakował jak kurz z ptasim puchem, psią sierścią, piaskiem, pojedynczymi źdźbłami i wszystkim tym, co gromadzi się w kątach wiejskich chałup. Dla Tybalda, któremu żołądek przywarł do pleców, był to najwspanialszy posiłek, jaki kiedykolwiek jadł. Przełknął kęs, wcześniej długo delektując się zuciem.

– Ostatni raz pytam. – Wyciągnął pajdę w stronę chłopca siedzącego po drugiej stronie niewielkiego ogniska. – Chcesz coś zjeść?

Dzieciak nie odpowiadał. Siedział skulony, z ramionami oplecionymi wokół kolan. Wlepił w rycerza wielkie, brązowe oczy.

– Jak załabniesz, to będę cię płazował. – Francuz ostentacyjnie odwrócił się bokiem i ugryzł kolejny kęs. – Na pewno nie chcesz? – odezwał się po dłuższej chwili.

Chłopak milczał.

– Słuchaj, parchu, nie zamierzam cię nieść. Zginiesz z zimna lub od wilków.

Dzień nastał już w pełni. Gnane podniebnym wiatrem bulwiaste chmury tu i ówdzie przepuszczały snopy światła. Słońce, blade, niby za jakąś mroźną błoną, pojawiało się sporadycznie. Poniżej tarasu, gdzie znaleźli schronienie, szumiały korony drzew. Poza tym panowała niczym niezmacona cisza.

– Może wolisz jabłko?

Oczy chłopca błysnęły. Dzieciak pokiwał energicznie głową. Tybald sięgnął do juków.

– Są tylko dwa, ale za to duże – mruzczał, obracając owoc w dłoni. –

Trzymałem je dla konia. Będzie się musiał zadowolić czymś innym. Łap.

Owoc zakreślił parabolę i wpadł prosto w otwarte dłonie dzieciaka.

- Jak masz na imię?

Chłopak jadł łapczywie, jakby w obawie, że zaraz ktoś odbierze mu posiłek.

- Giovanni.

- Co? - Tybald nie miał pewności, czy rzeczywiście usłyszał słaby dziecięcy głosik.

- Wołają na mnie Giovanni.

- Jesteś z Italii?

Chłopak wzruszył ramionami.

- Ashawerus cię porwał?

- Kiedy byłem mały, przyszli ludzie z zamku i kupili mnie od ojca. Potem mieszkałem u nich, a kilka dni temu oddali mnie starcowi, na gościńcu, przy kamiennym moście.

Dzieciak mówił z północnym akcentem. Niewątpliwie pochodził z terenów, gdzie imperium graniczy z mozaiką małych italijskich państweczek.

- Dziad mówił, gdzie cię prowadzi?

- Powiedział jeno, że mam być sługą rycerza, który pozwoli mi u siebie mieszkać i będzie mnie karmił.

Giovanni pochłonął cały owoc, przewracał w palcach sam ogonek. Tybald westchnął i podał chłopcu drugie jabłko.

\*\*\*

Rycerz postanowił zaczekać na zapadnięcie zmroku. Wędrówka w świetle dnia wiązała się ze sporym ryzykiem. Doskonale widoczni w miejscach mniej zalesionych byliby narażeni na atak harcowników, od których zapewne roiło się w okolicy. Poza tym Giovanni potrzebował snu.

Niewiele ze sobą rozmawiali, a gdy chłopak już chrapał, Tybald zbudował prowizoryczny szałas i tak chroniony przed wiatrem osunął się w głąb własnych myśli. Gdzieś tam, pośród gór, maszerował gniewny cesarz. Szedł na wojnę z papieżem. I po własną zgubę. Tybald machinalnie namacał schowaną w rękawie fiolkę.

A co po upadku Henryka i jego cesarstwa? Nadejdzie Antychryst, ten lepszy bóg, silniejszy niż Chrystus, który mieni się wszechmocnym, a dopuszcza tyle cierpienia. Potem, kiedy wszystko się dokona i Katechon będzie prochem, Antychryst narodzi się w Jerozolimie w pokoleniu Dan i przyniesie światu...

Rycerz nagle odjął dłoń od czoła, wyprostował plecy i zrobił głęboki wdech. Spojrzał na chłopca. Dzieciak kulił się, dzwonił zębami, oczy błędziły nerwowo pod powiekami. Tybald odpiął ciężką opończę. Igiełki mrozu momentalnie

przeszyły ubranie, zakłuły w uszy, owiały kark.

– Ja jeszcze się wygrzeję – wyszeptał, okrywając chłopca płaszczem. – Gdy świat ogarnie pożoga.

\*\*\*

Obudził się skostniały i oszroniony. Mrok niepodzielnie panował pośród gór, gęsty i czarny. Wiatr wyłuskał ostatnie iskierki w popiele dogasającego ogniska, porwał je w dal. Na krawędzi przepaści wyrastała ciemna sylwetka Giovanniego.

– Jest tam. – Chudą jak u trupa ręką chłopak wskazał północ. – Czuję bestię.

\*\*\*

W chłodnym blasku nisko zawieszonych gwiazd pogańskie ruiny zdawały się przypominać wielką żuchwę pradawnego tytana. Utrącone kolumny białły na tle ciemnej kurtyny drzew. Z trzech stron otaczały niskie, czworoboczne przepierzenie postrzępionego muru niegdysiejszej świątynki. Przestrzeń pomiędzy ścianami wypełniało jałowe rumowisko, gdzie nawet śnieg nie chciał padać.

Tybard wspiął się po stopniach stylobatu. Przekroczył granicę kolumnady.

– Jesteś pewien, że będą tędy przechodzić?

Chłopak pokiwał głową.

Jakimkolwiek sposobem Giovanni doszedł do tych wniosków, Tybardowi wydawały się one prawdopodobne. W nieznacznej odległości od ruin znaleźli gościniec. Jeśli Henryk w istocie zmierzał do Canossy, to będzie musiał tędy przejeżdżać.

Rycerz uwiązał konia za kępą jałowca, w miejscu zupełnie niewidocznym. Wraz z chłopcem usadowił się pośród ruin. Oparty plecami o zimny kamień, ułożył obnażony miecz na kolanach. Wytężył słuch.

Szmer drzew wydawał się tak bliski, jakby gałęzie szeptały mu do ucha. Gdzieś dalej wyły wilki i pohukiwały sowy. Wszechobecny wiatr zawodził żałośnie. Poza tym nic. Żadnych odgłosów maszerującego wojska. Żadnych trąb czy komend.

– Był w moim wieku, prawda?

Dziecięcy głosik wyrwał Tybalda z czuwania.

– Wiem, że twój syn nie żyje. Widziałem go, kiedy spałeś. Mówił, że wie, jak bardzo za nim tęsknisz.

Kłęb białej pary zasłonił twarz rycerza. Cichutko zatrzeszczała skóra rękawic.

– Czasami to się dzieje – kontynuował malec. – Ludzie z zamku mówili, że widzę jako aniołowie świat duchów, ten prawdziwy. Podobno to rzadki dar. Większość ludzi widzi tylko to, czego może dotknąć, ale to jest nieprawdziwe, jak

kukielki w cyrku. Prawdziwy świat to istoty niedotykalne. I ja je czasami widzę. I ciebie wtedy postrzegam inaczej, zabłąkanego na granicy mroku i światła. A masz serca dwa i...

– Hugo zmarł na zarazę – uciął lodowatym tonem rycerz.

– Powiedział, że jest mu dobrze i nie powinieneś się gniewać na Pana Boga. Mówił...

Tybald w jednym ruchu dopadł Giovanniego. Podniósł go jak szmacianą lalkę, miecz zadrżał niczym trącona struna.

– Nie waż się więcej wspominać o Hugonie! – warknął.

W tym momencie źrenice chłopca uciekły pod powieki, oczy powlekła trupia biel. Giovanni pobladł. Wyprostowaną ręką wskazywał coś przez ramię rycerza.

– Za tobą – wyrzucił straszonym, nienależącym do siebie głosem – widzę jakąś postać, utkaną niejako z najgęstszej ciemności, a ze wszystkich stron pełna jest oczu.

Tybald odskoczył, ciął z rozmachem przestrzeń za plecami. Miecz świsnął, ale nie sięgnął celu. Wokół panowała ciemność. Stał w rozkroku, na ugiętych nogach, lekko pochylony, spięty.

– Koło ciebie! – Potworny głos dobywał się z ust chłopca. – Widzę czarne głowy, a jest ich mrowie. Podlatują zewsząd, liżą twoje członki i mózg oblizują z wielką rozkoszą.

W jednej chwili kawalkada metalicznych refleksów otoczyła rycerza. Tybald ciął po łuku. Wywijał mieczem dookoła. Ostrze zataczało okręgi, ze świstem przeszywało powietrze.

Nie widział niczego. Zdyszany i zlany potem, czuł tylko jakiś nienaturalny dreszcz przeszywający ciało. Walił w szale na oślep, aż w końcu potknął się i upadł prosto w grzędawisko pokruszonej zaprawy. Gdy podmuch zdjął kurz z kamienia, napotkał wzrokiem demona. Etruski bożek, ongiś – przed przyjściem chrześcijaństwa – pan tych ziem, obecnie pomniejszy diablik pogrzebany w gruzach zavalonego przybytku, krzywił terakotowe oblicze. Rycerz porwał rzeźbę i roztrzaskał o mur.

– Już po wszystkim – wydyszał.

Lecz chłopak nie zwracał na niego uwagi. Stał nieruchomo, odwrócony w stronę gościńca.

– Widzę wielki tłum aniołów i synów ludzkich – odezwał się ktoś z wnętrza chłopca. – Idą równo, śpiewając coś niezrozumiale w mowie swej jakby z otchłani dobytej, a otacza ich zewsząd szaniec gorejący. Pośrodku zaś... Och...

Dopiero teraz Tybald usłyszał śpiew – gardłowy, ostry, strzelisty i dojmujący. Germański. Morze pochodni podświetliło drzewa, których kontury zdawały się przypominać gigantyczne rybie szkielety.



– Jest wielki i majestatyczny jako wieża warowna... Smok jest piękny!

#### **4. Unde malum?**

– I dane jest mi widzieć bestię podobną do pantery. Z jej grzbietu wyrastają ptasie skrzydła cztery i cztery ma łby. Smok kroczy pośród tych, którzy oddają mu pokłon. W szponach dzierży władzę, a nad nim księżyc świeci cudzym blaskiem.

Gdy pochód dotarł do zakrętu, gdzie droga była szersza, a poszycie rzadsze, padła komenda rozbicia obozowiska. Strzeliły w górę czerwone wstęgi ognisk. W ich świetle żołnierze wzniesli prowizoryczne palisady, załopotaly płachty namiotów.

W pewnym oddaleniu od miejsca biwaku, chyląc głowy za zwaloną sosną, zamachowcy napawali się wonią gotowanej strawy. Giovanni doszedł już do siebie. Znow widział świat jak zwykli ludzie. Tybald słyszał jego płytki, nerwowy oddech i burczenie w brzuchu.

– Teraz idę – rzekł ściszym głosem. – Licz do tysiąca. Potrafisz? Gdybym nie wrócił, weź mojego konia i uciekaj. Zrozumiałeś? Co znowu?

– Możesz zginąć.

Z wychudzonej twarzyczki patrzyły na rycerza wielkie, ciemne oczy. Znał to spojrzenie, widział je już drugi raz w swoim życiu. Dokładnie takie samo. Oznaczało rozstanie, może na zawsze.

– On nie chce twojej śmierci.

– Ja już nie żyję, umarłem jeszcze we Francji.

Tybald odwrócił wzrok. Wstał z kucek. Zatrzymał się w pół kroku i dobył spod kolczugi jakiś przedmiot.

– Jeśli nie wrócę – podjął łamiącym się głosem – pojedziesz do Szampanii, do miejscowości Payens. Tam odszukasz moją żonę Annę i wręczysz jej to. – Podał Giovanniemu złoty owal. – To moja pieczęć. Powiedz, że jesteś ode mnie i odtąd ma cię traktować, jakbyś był naszym synem. Zwracając się do Anny, nie zapomnij użyć słów *la Dame des fleurs* – po tym rozpozna, że to ja cię przysłałem. Niech spali kościelne akty narodzin i zgonów, aby potem księża uzupełniali je z wyobraźni. I jeszcze jedno... – zawiesił głos i przez chwilę wpatrywał się w śnieg pod swoimi stopami. – Od tej pory będziesz nosił imię Hugo.

To rzekłszy, ruszył zabić smoka.

\*\*\*

Pierwszy wartownik nawet nie zauważył, że umiera. Z drugim poszło trochę gorzej – zdążył się odwrócić. Trzeci Germanin, tuż przy samej palisadzie, chciał wszcząć alarm, ale nie było mu to dane.

Tybald strącił ciągle chlupiące krwią ciało do niewielkiego rowu na granicy światła. Większość Niemców spała skulona wokół ognisk. Kilka ciemnych sylwetek chwiała się na styliskach włóczni. Chłodne powietrze wypełniał zapach spalenizny, a odgłosy nocy zagłuszał szmer ściszonych rozmów.

Cesarski namiot rzucał się w oczy. Światło lichtarza przebijało ciężki materiał, ukazując wyszyte na tym drugim wzory. Tybald podszedł pewnym krokiem. Jak gdyby nigdy nic minął kilku zbitych w kółko zbrojnych. Germanie nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Wiało od nich kwaśnym winem. Będąc u celu, padł na ziemię i delikatnie uniósł płachtę.

Przy niskim stole, na rozkładanym koźle siedział młody, szczupły mężczyzna. Światło świecy ukazywało zarys gładko ogolonej, kwadratowej szczęki, dobywało urywane błyski z upierścienionej dłoni zatopionej w jasnych niczym len włosach.

Henryk IV, uosobienie cesarstwa, Katechon powstrzymujący nadejście Antychrysta, nie miał pojęcia o obecności swojej nemezis. Skulony nad blatem, owinięty w futra, błękitnymi jak przestwór morza oczami śledził jakiś tekst, raz po raz racząc się trunkiem z pucharu. Pozostawał tak przez dłuższą chwilę, podczas której Tybald miał wrażenie, że przymarznie do gruntu. W końcu cesarz spojrzął na dopalającą się świecę i wyszedł. Ta chwila wystarczyła. Prowansalczyk jak cień bezgłośny wyrósł pośrodku namiotu. Odkorkował fiolkę trucizny i połowę cieczy wlał do pucharu z winem. W tym też momencie płomień świecy zasyczał i zgasł.

\*\*\*

Giovanni poczuł słony smak na spierzchniętych wargach. Przetarł rękawem wilgotne oczy i nos. Przecież był już duży.

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem... – wyszeptał.

Czarny koń był absolutnie posłuszny. Trzymany za wodze, drobił kopytem w śniegu.

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem...

Chłopak nie odrywał wzroku od rdzawych światłał majaczących w oddali, pomiędzy drzewami.

– Dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem i trochę... Dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem i trochę więcej...

Liczył powoli, dokładnie wymawiając każdą wielkość. W pewnym momencie świat materialny uciekł mu sprzed oczu. Fala światła pochłonęła wszelkie kształty. Ciałem chłopaka zatrzęsło. Zagrały wszystkie mięśnie.

– I dane jest mi widzieć – obcy głos dobył się z dziecięcego gardła – jakowąś konstrukcję w kształcie jaja. Rozpiera się w niej smok niby wielka pantera o czterech skrzydłach i czterech łbach, a ma on władzę. I oto grzmot wielki

rozdiera zewnętrzną warstwę konstrukcji, wysypując wiele istot świetlistych. Na to inny grzmot, potężny niczym trąba straszliwej armii, porusza filarami wszystkiego i uwolniono istoty inne, czerwonej barwy, zaś z najgłębszych czeluści bucha jakoby ogień czarny, pełen burz i kamieni. I ścierają się zastępy u stóp smoka, a cała konstrukcja chwieje się niby przed runięciem. Istoty czerwone dobywają kołczanów i strzały swoje przeciwstawiają mieczom istot świetlistych. Smok zaś szarpie paszczami ciemne i okrągłe powietrze. Ryczy przy tym straszliwie i kurczy się, a naprzeciw niego widzę człowieka o dwóch sercach, który trwa niejako w światłocieniu. Człowiek ów odbiera smokowi władzę i unosi miecz swój, chcąc porąbać członki bestii. Lecz oto rozlewa się nad wszystkim jakowyś blask, niby śnieg jasny. A uniesiona ponad konstrukcją dłoń wydaje się dotykać pieczęci.

\*\*\*

Gwiazdy migotały zatopione w czerwonej tafli. Henryk IV zakręcił pucharem, burząc celestialny porządek. Zbliżył twarz i wciągnął zapach wina. Stał przed namiotem, pośród swoich ludzi. Wsłuchiwał się w gwar. Nocne ptaki wzmożyły nawoływania, jakby niedaleko obozowiska znajdował się matecznik.

Pierwsza strzała minęła go o włos, tak że cesarz poczuł dotyk lotek na policzku. Ze świstem nadlatywały kolejne. Las ożył, krzyczał straszliwie, tak jak tylko Normanowie potrafią.

\*\*\*

Tybald był już niewidoczny pośród drzew, gdy jego uszy wypełnił szcęk żelaza, komendy i bluzgi raz to w germańskim, raz w normandzkim narzeczu. Odwrócił się i pognął w stronę walki.

Na wpół zdziczali harcownicy uderzyli z furią. Przedarli się przez parkany. Wpadli jak lawina. Germanie sprawnie i karnie dawali im odpór. W świetle ognisk tańczyły sylwetki walczących. Krew parowała na zdeptanym śniegu, trup słał się wokoło.

Tybald przeskoczył nad powalonym Niemcem, w locie ściał triumfującego Normandczyka. Kierował się prosto do cesarza. Katechon wykrzykiwał komendy zza muru tarcz. Rośli barbarzyńcy niczym taran raz po raz uderzali w zaporę germańskiej stali. Tybald wyłapał ruch za plecami Henryka. Normandczyk skoczył jak ryś, mierząc w plecy cesarza szczybatym mieczem. Francuz w ostatniej chwili wychwycił cios na gardę. Żelazo prześlizgnęło się po ostrzu. Uderzenie było silne, odrzuciło rycerza, aż ten stracił grunt pod nogami. W ostatnim wymachu zdążył jeszcze wybebeszyć napastnika, nim grzmotnął głową w coś twardego.

\*\*\*

Najpierw był ból w potylicy, potem dokuczliwe światło zakłuło przez ciężkie powieki. I głos, starczy, mówiący śpiewną łaciną:

– Dołącz do nas, Tybaldzie.

Tuż nad nim gięła się sylwetka mnicha w ciemnym habicie. Starzec uśmiechał się dobrotliwie.

– Znasz moje imię? – Rycerz przymrużył powieki.

– Jest z nami twój syn. Powiedział nam, że jesteście z Payens.

*Umarłem* – przemknęło przez myśl rycerza. Lecz w tym momencie starzec wyprostował się i zajął miejsce przy zastawionym stole. Nie był sam. Znad talerza Giovanni pozdrowił Tybalda serdecznym uśmiechem. Dzieciak machał nóżkami, posadzony na zbyt wysokim stołku. Miejsce obok niego zajmował... cesarz. Henryk opierał łokcie na blacie. Przesuwał palcami nad płomieniem świecy.

– Winniśmy ci podziękowania. Gdyby nie ty, zginęlibyśmy z ręki tego zbója. – Cesarska łacina miała twardy, germański akcent. – Twój syn też cudem odratowany. Znaleźliśmy go nieprzytomnego w lesie, wraz z koniem. Gdyby nie pieczęć, wzięlibyśmy go za jednego z wrogów.

Henryk otaksował wzrokiem dzieciaka, który w swoich łachmanach zupełnie nie przypominał rycerskiego syna.

W tej chwili do namiotu wszedł służący. Postawił na stole ciężki dzban oraz cztery szczerozłote puchary, po czym wyszedł. Honory pełnił mnich, nalewając szkarłatny trunek. Tybald zrzucił niedźwiedzie futro, którym go okryto, i chwiejnym krokiem dołączył do zasiadających przy stole.

– Spełnijmy tę czarę – zaordynował cesarz. – Wszak już jutro ujrzymy posępne wieże Canossy i staniemy twarzą w twarz z Grzegorzem.

Spełnili nie jedną, lecz wiele czar. Francuz przejął od mnicha dzban i odtąd sam lał trunek. Rozmowa toczyła się wokół rzeczy błahych. Giovanniemu dano wodę. Tybald pił mało, tłumacząc się bólem głowy. Za to Henryk z mnichem, opatem z Cluny, nie wylewali za kołnierz, a z każdym kolejnym pucharem cesarski wzrok mętniał coraz bardziej.

Rycerz nie mógł się oswoić z myślą, że oto ma przed sobą uosobienie imperium, biblijne monstrum, które powstrzymuje świat przed nadejściem Antychrysta, że cała ta gładka powierzchowność skrywa pradawnego smoka, który tylko zmienia materialne powłoki podczas kolejnych koronacji.

Po czwartym dzbanie Katechon opadł ciężko, zmorzony pijacką drzemką. Opat zaś przeprosił, twierdząc, że wychodzi na stronę, bowiem jego żołądek już nie cieszy się wigorem młodości. Tybald wykorzystał sytuację. Sięgnął przez blat

i wlał resztę trucizny do cesarskiego pucharu. A potem napadły go myśli.

– Jesteście teologiem – zwrócił się do opata, gdy ten powrócił, ciężko dysząc.  
– Powiedzcie mi przeto: *unde malum*? Dlaczego wszechmogący Bóg pozwala, by na świecie było tyle cierpienia? – Sam nie wierzył, że porusza ten temat.

– Cóż... – Opat przyłożył dłoń do czoła. – Salwian z Marsylii powiada, że nieszczęścia są elementem bożej pedagogiki, zaś Augustyn twierdzi, jakoby zło było brakiem dobra, pewnym metafizycznym pęknięciem, zasadą negatywną.

– I to ma być satysfakcjonujące wyjaśnienie? – parsknął Tybald.

– Dla teologów tak.

– A dla ludzi?

Mnich wziął głęboki wdech, splótł dłonie jak do modlitwy i czas jakiś wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Wreszcie podjął tymi słowy:

– To prawda, że nie wszystkie wyjaśnienia, które cieszą teologów, odpowiadają laikom. Teologowie tworzą koncepcje w ramach wielkich systemów myślowych, ale dla ludzi, którzy nie żyją w świecie ksiąg, zło to coś więcej niż element sylogizmu. I dla nich nie znajduję ostatecznego wyjaśnienia tajemnicy nikczemności. Lecz wiem jedno... – Podniósł dłoń, powstrzymując słowa Tybalda. – Chrystus nauczył nas przewycięzać zło. Nie poprzez zemstę czy obrażanie się na świat, Boga lub siebie. To tylko wikła nas w łańcuch kolejnych nieszczęść. Prawdziwym sposobem na przewyciężenie zła nie są wielkie bitwy i bohaterskie czyny. O nie. Sposób jest o wiele prostszy i dostępny każdemu. To siła przebaczenia. Tylko przebacząc krzywdę, kogokolwiek byśmy za nią winili, jesteśmy w stanie ostatecznie zniszczyć zło, które zniknie, pęknie jak bańka na wodzie. Miłość, która nie pamięta złego, jest największą bronią. Nie ma innej drogi. A wtedy też zobaczymy, jak wiele wspaniałego dobra uczynił Bóg. Często nie doceniamy tych rzeczy codziennych, ludzi, stworzeń, uśmiechów, drobnych radości, a przecież wszystkie one są wielkim cudem i dowodem Bożej miłości. Dopóki nie dostrzeżemy w nich dobra, które Bóg, nieraz całkiem niespodziewanie, stawia na naszej drodze, nie będziemy szczęśliwi... Chociażby twój syn – podjął po chwili. – Czyż to niewinne dziecię nie jest wspaniałym darem od Boga? Radością stworzenia i wyrazem miłości?

Tybald spojrział na skulonego wśród futer, pogrążonego w głębokim śnie Giovanniego. I chyba się uśmiechnął, a po jego policzku spłynęła łza.

– Teraz to mnie musisz wybaczyć. – Wstał od stołu. – Mój żołądek także do młodych nie należy.

Wychodząc, zatoczył się, oparł o stół i potrącił cesarski kielich. Czerwona ciecz rozlała się po blacie i wsiąknęła w grunt.

## **5. Katechon**

Mury Canossy, szare i surowe, wbijały się zębatym krenelażem w pochmurne

niebo. Miriady czarnego ptactwa krążyły wokół pękatej wieżycy. W rozproszonym, bladym świetle niewidocznego słońca warownia wydawała się jakby częścią góry, wielką czapą wieńczącą stromiznę zwietrzałego urwiska.

Od fortecy dzieliło ich niewiele ponad dwadzieścia kroków. Stali u szczytu kamiennej drogi wiodącej pod samą bramę. Powyżej ciemnych, okutych stałą drzwi górowała bryła niskiej baszty. Z jej wielkich okien spoglądały brodate twarze w normandzkich hełmach.

Tybald stał w pierwszym szeregu, mając u boku opata z Cluny i Giovanniego, a właściwie to już Hugona de Payens. Dalej ciągnął się szpaler germańskich żołnierzy, niemal identycznych, nieruchomych i tak samo zdeterminowanych. Atmosfera była pełna napięcia. Rycerz poluzował miecz w pochwie. Stanął w rozkroku, gotowy w każdej chwili zasłonić chłopaka przed nadlatującą strzałą.

Wreszcie pojawił się cesarz. Na jego widok Tybald uniósł brew i rzucił opatowi pytające spojrzenie.

Henryk nie miał na sobie zbroi ani przypasanego miecza. Szedł boso, ubrany w zgrzebny wełniany habit jak pątnik. Monarcha minął zbrojnych. Sam jeden ruszył w stronę wrót Canossy. Kolejne kroki stawiał, trzęsąc się z zimna i zawodząc błagalnie. Wiatr targał jasne włosy, smagał lodowatym biczem niegdyś dostojne oblicze.

– Zamierza się ukorzyć przed papieżem – wyjaśnił opat. – To jedyny sposób, by przekonać Grzegorza do zdjęcia ekskomuniki.

Fala myśli niczym wodospad przelała się przez umysł Tybalda. Jeśli Henryk ulegnie przed papieżem, skompromituje siebie i cesarstwo. Ostatni z czterech smoków upadnie, a Antychryst pogrąży świat w ciemnościach. Decyzję podjął błyskawicznie.

– Wybacz mi, Hugonie – rzucił, dobywając miecza. – Nie ma innego wyjścia.

To rzekłszy, ruszył pędem ku murom zamku. Na widok obnażonej broni dwóch Niemców rzuciło się w pościg. Tybald wpadł w półobrót, sparował cios pierwszego, uderzeniem ramienia strącił go ze ścieżki. Drugi zastąpił mu drogę i wziął zamach. Rycerz zanurkował. Ciął po nogach, rzucając przeciwnika na kolana. Biegł dalej. Od Henryka dzieliło go zaledwie kilka kroków, gdy coś ukłuło go w piersi. Czarnopióre strzały jedna po drugiej sypały się z zamku. Rycerz poczuł, jak wacieją mu nogi, jak krew nasącza koszulę przyjemnym ciepłem. Usłyszał brzęk miecza uderzającego o zimny kamień.

Z poziomego gruntu dostrzegł wykrzywioną krzykiem twarz Giovanniego. Chłopak strącał dłoń mnicha próbującego zakryć mu oczy, wrywał się w stronę rycerza. Później Tybald nie czuł już bólu, ciepła, zimna ani tego straszego mrowienia.

Nagle zobaczył rzeczy nowe, a myśli jego szeptały:

– Oto czuję, jak trzęsą się filary ziemi i niebo się trzęsie. I dane jest mi widzieć bestię podobną do pantery o czterech łbach, a na jej grzbiecie cztery skrzydła ptasie. Bestia leży powalona z przetrąconymi członkami. A wokół niej wiele czarnych dzieci unosi się w powietrzu jak ryby pływające w wodzie. Najgłębsze czeluści wydają ryk straszliwy, który bieży ku przestworzom i wypełnia grozą ziemię. Lecz oto nad trupem bestii wyrasta wielka góra, w której wydrążono wiele otworów. Czarne skóry zostały zabrane dzieciom i teraz wchodzą one do góry i zamieszkują ją. Kolejny grom uderza i ponad górą widzę słońce o niewysłowionym blasku. Rozpraszają się ciemności i ryk przemija. A wszelkie stworzenie drży przed majestatem kolejnego smoka. Potwór o nadzwyczajnej sile, większy od poprzedniego i jeszcze bardziej przerażający, wyłania się z góry i obejmuje ją kościstymi skrzydłami. A nad nim zawieszono koronę niezwykle zdobną, zaś z ramion jego spływa blask i promieniuje od nieba aż na ziemię. Smok ów oczami swymi podobnymi do ludzkich przenika wszystko. Ma on zęby z żelaza i miedziane pazury, którymi miażdży martwą bestię. Na jego głowie widzę dziesięć rogów, z których wyrasta inny mały róg. Zaś z ust smoka, jak gdyby ludzkich, donośnym i przenikliwym głosem rozbrzmiewają rzeczy wielkie.

\*\*\*

Hildebrand, papież Grzegorz VII, nie widział martwej twarzy Tybalda, na której zastygł delikatny uśmiech. Z wysokości baszty bramnej całą swoją uwagę poświęcał cesarzowi, który poniżej leżał krzyżem, upokorzony i zdany na pontyfikalną łaskę.

Otoczony przez księży i mnichów, odziany w sztywną od złota i kosztowności kapę, przystrojony mitrą papież zacisnął dłoń na feruli. Grzegorz niczym słońce rozsiewał dookoła rażący blask. Nie miał wątpliwości, że oto oczy wszystkich ludzi i aniołów skupione są właśnie na nim – na uosobieniu wschodzącej potęgi papieżstwa triumfującego nad upadłym cesarstwem.

Hildebrand wypiął pierś, chcąc ukryć przed wszystkimi ten ciężar, który nagle spoczął na jego barkach, jakby odtąd musiał dźwigać troski całego świata.

## **Epilog**

Młody rycerz wciągnął lepkie, niby naoliwione powietrze. Od przybycia z Szampanii nie mógł się oswoić z wilgocią Orientu. Powiódł wzrokiem ponad miastem.

Gorejąca kopuła zachodzącego słońca oblała czerwienią niebios, odmalowała świat falującą paletą sepii, rdzawej ochry i brązu. Tylko smukłe, wyszczerbione pociskami mangoneli minarety przebijały ciemnymi wstążkami

linię horyzontu. Na ich czubkach połyskiwały krzyże. W oddali pobrzmiwały sygnaturki łacińskich mnichów i zawołanie bizantyjskich ektenii. Gdzieś w pobliżu dwa psy ujadły okrutnie, splecione w śmiercionośnej walce o ochłap padliny.

– Tybaldzie, już czas – odezwał się jeden ze współbraci. – Nadchodzi twój ojciec.

Zebrani w ruinach świątyni Salomona mężczyźni kładli długie cienie wśród starożytnych kamieni. Ciepły wiatr sypał piaskiem, wydymał ich płaszcze, białe, z wielkim czerwonym krzyżem. Stali w kręgu, zakapturzeni i milczący.

Jako syn założyciela zakonu, Tybald cieszył się wielkim uznaniem. Dano mu miejsce tuż przy sędziwej osobie wielkiego mistrza, który właśnie się pojawił.

– Tego, co teraz powiem, nie wolno wam wydać nawet podczas najstraszliwszych tortur – Hugo z Payens zaczął wolno i dobitnie, zaciskając dłoń na zawieszanej u szyi złotej pieczęci. – Odtąd z pokolenia na pokolenie będziecie strzegli tego sekretu. Wielkiej tajemnicy... o smoku...



# SIEJ KWIATY, ZBIERAJ OGIEN

Krzysztof Matkowski

Dzieciństwo powinno mieć smak czereśni, ale kiedy wspominam swoje, na języku czuję tylko popiół. Moje pierwsze wakacje u rodziny ze Wschodu chrzęszczą między zębami jak piach. Gorycz staje w gardle, dym pali płuca. Przeszłość jawi się niczym krajobraz po wojnie, a ja muszę iść między ruinami i z wszechobecnego pyłu rzeźbić pomnik smoka.

Poznałem go dwadzieścia lat temu. Był czerwiec, ledwo odebrałem swoje pierwsze świadectwo. Czerwonego paska nie było, więc bałem się, że czeka mnie kara. Ojca jednak nie obchodziły moje oceny. Powiedział tylko „wsiadaj” i cały dzień tłukliśmy się fiatem bez klimatyzacji na drugą stronę kraju. Wpadający przez okna upał chłostał nas po twarzach niczym oddech ziejącej ogniem bestii. W radiu leciało „Co ty tutaj robisz”, marzyłem o lodach i zimnej coli.

Do Zaboża dotarliśmy wieczorem. Dom rodziny znajdował się z dala od reszty wsi, pod lasem. Ojciec przedstawił mnie krewnym, po czym poszedł chlać z bratem nad rzeką; rano, kiedy się obudziłem, już go nie było.

Były za to: uścisk twardej dłoni wujka Konrada, zapach smażonej przez ciotkę Karolinę cebuli, piskliwy głos siedmioletniego Janka, piegowata twarz mojej rówieśniczki Sary i smak czerwonych marlboro, które wypaliłem na spółę z dwa lata starszym ode mnie Michałem. Pamiętam to – ale nie czuję, nie widzę, nie słyszę. Jakbym znał słowa, ale nie rozumiał ich znaczenia. Jakbym oślepił i zapomniał kolorów.

Smok daje i smok zabiera.

Dowiedziałem się o nim po tygodniu, gdy siedzieliśmy na drzewach – ja z Sarą na czereśni, Michał z Jankiem na wiśni – i toczyliśmy wojnę, plując w siebie pestkami. Jak zwykle przegrywałem.

– Dobra, to się już robi nudne – powiedział Michał. – Wojtek w ogóle nie trafia.

Postanowiłem udowodnić, że się myli. Zrobił unik, pestka minęła go o pół metra. Odpowiedział kontratakiem – próbowałem się uchylić, ale i tak oberwałem, a w dodatku spadłem z drzewa. Kolejne siniaki do kolekcji.

– Ale z niego fajtłapa – pisnął Janek.

Wszyscy troje byli ode mnie lepsi. Pod każdym, liczącym się dla ośmiolatka,

względem.

Sara stanęła w mojej obronie:

– Weźmy go, no wiecie, na polanę.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Zaczęli coś dukać, że nie wolno o tym mówić. Usiłowałem z nich wydusić, o co chodzi z tą polaną – bezskutecznie. Michał zamknął usta na niewidzialny kluczyk i wyrzucił go za siebie; Janek poszedł w ślady brata. Sara, choć jako jedyna była mi przychylna, również milczała.

Dręczyłem ich przez kolejny tydzień. Potem wujek z ciotką pojechali do miasta. Michał kazał mi przysiąc, że nikomu nie zdradzę tajemnicy.

– Jak się wyda, to tata nas zabije – powiedział. – A wtedy my zabijemy ciebie.

To były mocne słowa jak na dziesięciolatka. Przysiągłem z pełną powagą, że się nie wygamam, i ruszyliśmy do lasu. Sara zawiązała mi chustę na oczach, żebym nie widział drogi. Starąłem się polegać na innych zmysłach. Śpiew ptaków, szum drzew, trzask suchych gałęzi – nic charakterystycznego. Woń igliwia... którą stopniowo zastąpił zapach dymu. Chwilę po tym, jak go poczułem, pozwolili mi spojrzeć.

– Oto nasz smok – oznajmił uroczyście Michał.

Staliśmy na skraju polany. Miała kształt owalu i powierzchnię przeciętnego mieszkania w bloku. Jedyne, co wydało mi się w niej dziwne, to kolor. Brakowało zieleni. Dominowała czerwień niskich kwiatów; kępki trawy były pożółkłe, wyschnięte.

– Gdzie? – zapytałem i pociągnąłem nosem. – Czy gdzieś tu się pali?

– To on tak pachnie – poinformowała Sara, po czym chwyciła moją rękę. – Chodź, nie bój się.

Chciałem jej odpowiedzieć, że nie wiem, czego miałbym się bać, ale pociągnęła mnie na środek polany. Przez chwilę nic nie czułem.

Potem smok mi się objawił: w ustach poczułem dym, w płucach ogień, w oczach łzy.

To było jego powitanie.

\*\*\*

Gorzki posmak zniknął, oddychanie już nie bolało, tylko łzy wciąż płynęły. Przestały dopiero wtedy, gdy wujek dał mi mocnego klapsa.

– Weź się w garść, chłopie. Duży już jesteś, nie?

Czułem się mały i chciałem do mamy. Ale zagryzłem zęby, nic nie powiedziałem.

Byliśmy sami w ciemnym garażu. Kucnął przede mną: wielki, zarośnięty, ogorzały od słońca mężczyzna. Bałem się go, bałem się wszystkiego. Minuta spędzona na polanie coś we mnie wypaliła.

- Słuchaj, Wojtek... To, czego dzisiaj doświadczyłeś, to nasza tajemnica. Nasza, czyli moja, ciotki i twoich kuzynów. Wszystkich, którzy mieszkają w tym domu. Nikomu innemu nie możesz o tym powiedzieć. Nawet rodzicom. A wiesz dlaczego? Bo ci nie uwierzą. Powiedzą, że smoki nie istnieją. Ale ty wiesz, co dzisiaj czułeś.

Wiedziałem, że nigdy więcej nie chcę tego poczuć – tamten ból był jak przebłysk piekła.

- Jutro pójdziesz tam ze mną i wszystko ci wyjaśnię – powiedział wujek Konrad.

Znałem ten ton. Ojciec brzmiał identycznie, gdy się gniewał. Nie oponowałem – pośladki wciąż piekły po klapsie.

W nocy nie mogłem spać. Modliłem się, ale Bozia nie słuchała.

Następnego dnia powlokłem się za wujkiem, który przez całą drogę wskazywał mi charakterystyczne znaki, żebym zdołał później sam tam dotrzeć. Pusta dziupla, spróchniały krzyż, zardzewiała podkowa na gałęzi.

Poczułem dym. Chwilę później zatrzymaliśmy się na skraju polany, jeszcze wśród drzew.

- Znalazłem go lata temu – oznajmił wujek. – Myślałem, że mnie zabije, ale on mnie zmienił. Nie mówił słowami, więc trochę minęło, zanim zrozumiałem, kim jest. Ale chodź, kucnij i popatrz. – Wskazał najbliższy kwiat. – Widzisz w nim coś wyjątkowego?

- Jest trochę czerwony, trochę żółty...

- Przyjrzyj się.

Dostrzegłem, że łodyga rozwidła się tuż nad ziemią na siedem odrośli, z których każda zwieńczona była koroną: kwiatem o postrzępionych płatkach w odcieniach czerwieni, żółci i pomarańcza. Zwróciłem też uwagę na kolce. Podzieliłem się z wujkiem moimi obserwacjami.

- Brawo – pochwalił. – Gdybyś jeszcze trochę je przestudiował, zauważyłbyś też, że po jednej stronie kwiaty mają wyższe płatki. I gdybyś policzył kolce na każdej z tych roślin, wiedziałbyś, że jest ich zawsze dziesięć. Ale nie martw się. Mnie zajęło miesiące, zanim rozpoznałem, z czym mam do czynienia.



Odchrząknął i zmienionym głosem zacytował:

– Oto wielki Smok barwy ognia, mający siedem głów i dziesięć rogów, a na głowach jego siedem diademów.

Nic mi te słowa nie mówiły.

Wujek, jakby czytał w moich myślach, dodał normalnym głosem:

– Pewnie jeszcze nie kojarzysz tego wersetu, ale w przyszłości usłyszysz wiele jego interpretacji. Jakkolwiek by je rozumieć, to będą tylko słowa. Słowom nie można ufać, Wojtek. Zapamiętaj to do końca życia.

Zapamiętałem na kilkanaście lat, potem zapomniałem.

Tego dnia długo jeszcze siedzieliśmy przy polanie. Wujek dużo tłumaczył, ja mało rozumiałem. Widziałem już przecież smoki: w grach, w książkach, w telewizji. Były wielkie, miały kły, skrzydła i ogon; ziały ogniem. Żyły w jaskiniach pełnych złota i klejnotów, a nie w zapomnianym lesie na końcu świata.

Smok z Zaboża był tysiącem kwiatów.

Wydawał się inny, ale pozostawał bestią.

\*\*\*

Szeptał ogniem, kiedy wodziłem palcami po jego płatkach. Uczyłem się tej mowy bólu przez resztę wakacji, czując, jak mnie zmienia: oczyszcza, hartuje, ulepsza. Przyjmowałem go do siebie z każdym wdechem, który pachniał dymem.

Wujek zabraniał długiego przebywania na polanie, a kuzyni przestrzegali zakazu. Ja zawsze chciałem więcej. Pod koniec sierpnia byłem równie silny jak Michał, ale we troje wciąż dawali radę odciągnąć mnie od smoka.

Wreszcie przestałem przegrywać. Siniaków miałem jakby mniej. Widziałem zazdrość w oczach najstarszego kuzyna, lęk na twarzy najmłodszego i podziw w spojrzeniu Sary.

Potem przyjechał ojciec. Nie chciałem wracać, bo przecież we wrzeźniu miały być jabłka, gruszki, śliwki, no i kolejne spotkania ze smokiem. Jednak o smoku powiedzieć nie mogłem, a argument o owocach nie brzmiał przekonująco.

Dziesięć miesięcy później znowu był czerwiec, znowu upał, znowu podróż autem bez klimatyzacji. Świadectwo znowu bez paska – ale tylko przez nieodpowiednie zachowanie, oceny tym razem miałem najlepsze w klasie – rodzice nie wiedzieli, czy mnie karać, czy nagradzać. W Zabożu znowu wujek, ciotka, kuzyni, nieco inni niż rok wcześniej. I znowu krótkie – zbyt krótkie – pobyty na polanie, bliskość smoka, komunia z bestią.

W kilka tygodni urosłem więcej niż przez dziesięć miesięcy, jednak Michał dbał o to, bym zawsze był od niego słabszy. Chciałem mu dorównać, więc którejs nocy spróbowałem wymknąć się na polanę.

Zostałem przyłapany, zanim dotarłem do lasu. Myślałem, że dostanę klapsa i na tym się skończy. Wujek Konrad jednak zaciągnął mnie nad rzekę. Poczułem twardą, gorącą dłoń na karku, a potem chłód wody, która wdarła się do ust i gardła. Szamotałem się, krzyczałem bezgłośnie, tonąłem. W końcu puścił. Wypełzłem na brzeg i patrzyłem z przerażeniem na jego ciemną sylwetkę, rysującą się na tle gwiazdzistego nieba. Nie widziałem ust wuja, usłyszałem tylko syk:

– Nie będziesz nadużywał tego, co ci dajemy.

Zostałem sam, mokry i rozdygotany.

Z czasem zacząłem pojmować, dlaczego trzeba ograniczać przebywanie ze smokiem. Polana z ognistymi kwiatami zmieniała człowieka, ale nie tylko na lepsze. Siła i mądrość miały swoją cenę – nie wiedziałem jeszcze, komu przyjdzie ją zapłacić.

\*\*\*

Wrześnie były usłane wybitymi zębami. Dzieciaki krwawiły z dziąseł i nosów, ja rozcierałem pięści. Zaczęły się awantury dużego kalibru: telefony do rodziców, grożenie poprawczakiem, zawieszenie w prawach ucznia oraz, oczywiście, odwety. Starsi bracia moich ofiar osaczali mnie, gdy szedłem do osiedlowego, by kupić coś za wyłudzone od rówieśników pieniądze; chwilę później leżałem z kwitnącą śliwą pod okiem i urazą skrywaną głęboko w sercu. Zapamiętywałem ich twarze.

Matka twierdziła, że to zły wpływ rodziny ze Wschodu. Ojciec czerwieniał i przypominał, że układ „mały na wieś, starzy za granicę do roboty” to jedyny sposób, by uzbierać na wymarzony dom.

– Chyba że do końca życia chcesz mieszkać w tej paskudnej klatce z betonu – dodawał.

Potem dzwonił do brata, rozmawiali cicho, aż padało „chodź tu, dziecko”. Szedłem, brałem słuchawkę i słuchałem wujka. W następnych dniach grzechniałem, przepraszałem, normalniałem.

I tak co roku. Awantury, zły wpływ, telefon, spokój, a w końcu błogosławiony październik.

Październik i kolejne miesiące błyszcząły od medali. Wygrywałem olimpiady, zdobywałem nagrody w konkursach, każde podium w mieście znało mój ciężar.

Ojciec twierdził czasem, że to dobry wpływ rodziny ze Wschodu. Kiedy przypominam sobie jego wyraz twarzy z tamtych chwil, dochodzę do wniosku, że chętnie oddałby mnie bratu. Byłem niechcianym dzieckiem – nigdy nie marzył o potomku tak, jak o własnym domu.

Rytm czerwców wybijało bębnienie palcami o blat szkolnej ławki.

Kochałem lipce, uwielbiałem sierpień. Bawiłem się z kuzynami, pomagałem ciotce, odbywałem dojrzałe jak na swój wiek rozmowy z wujkiem. A przede wszystkim chodziłem po wiecznie kwitnącym cieple smoka. Dotykałem ognistych głów, które parzyły gorzej niż pokrzywy, głaskałem diademy, liczyłem kolce – zawsze było ich dziesięć, rozdzielonych między siedem łodyg.

Nie zadawałem wielu pytań. Przyjmowałem smoka takiego, jaki był.

Dopóki był.

Kilka tygodni przed siódmymi wakacjami w Zabożu dowiedziałem się, że nigdzie nie jadę. Rodzice wykupili działkę. Musiałem pomóc przy budowie domu – wiadomo, jak się robi samemu, wychodzi taniej. Poza tym kuzyni wybierali się ponoć na obozy sportowe, a wujek z ciotką planowali wczasy w Turcji.

Zadzwoń – odebrała Sara.

– Trochę się u nas pozmieniało, Wojtek – szeptała do słuchawki. – Lepiej nie dzwoń, nie interesuj się.

W lipcu odkryłem, czego nienawidzę najbardziej: kopania. Ojciec wpadł na pomysł, by fundamenty wykopać ręcznie. Szpadłem. Bo taniej, bo będzie się czym zająć. Dołączał do mnie po pracy, ja zapieprzałem od rana. W koszmarnym upale, przy tandetnej muzyce, z goryczą w sercu – kopałem. Myślałem o ucieczce do Zaboża, ale nigdy się na nią nie odważyłem.

Słabłem. Robiłem się wolniejszy i niezdarny jak dawniej, może nawet malałem. Kopanie sprawiało mi coraz więcej trudności. Na rękach powstawały pęcherze, spalona słońcem skóra łuszczyła się na plecach.

W czasie wakacji wykopałem dół pod fundamenty dla domu, w którym nigdy nie przyszło mi zamieszkać.

Potem powrót do szkoły, druga gimnazjum. I nagle pały, dwóje, tróje. Graliśmy w kosza, piłka prześlizgiwała się między rękami, bach, krwawiłem z nosa. Wszyscy, którzy w pierwszej klasie zazdrościli mi wyników w sporcie i nauce, momentalnie dostrzegli moją słabość. Zaczęły się szyderstwa, zaczęły się małe zemsty. Wróciłem na dno – od bohatera do frajera. Wychowawczyni myślała wręcz, że mam raka – nie miałem.

Byłem albo zbyt głupi, albo zbyt zobojętniały, by podjąć próbę powrotu do smoka. Nie dzwoniłem do kuzynów i wujka, oni też milczeli. Do czasu, aż zatelefonowała ciotka, by przekazać wiadomość: Michał i Janek nie żyją.

Stało się to w marcu, utuczony odwilżą Bug zaniósł ich ciała daleko od domu.

\*\*\*

Wujek Konrad przyszedł na pogrzeb pijany, skurczony w sobie, zupełnie jak nie on. Utonięcie synów jego też zabrało na dno – był wrakiem. Chwiał się między dwiema niepodobnymi do siebie kobietami: przysadzistą ciotką i chudą, wysoką

Sarą.

Kiedy spuszczały trumny do grobu, wiatr przyniósł kłęby dymu, który szczypał oczy i drapał w gardle. Żałobnicy kasłali, patrzyli po sobie ze zdziwieniem. Wyczekiwali wycia syren z pobliskiej remizy, jednak ciszę zakłócały tylko monotonne modlitwy kapłana.

Później okazało się, że tego dnia w okolicy nie było żadnego pożaru.

W trakcie stypy wymknąłem się do lasu. Droga dobrze mi znana, choć zmieniona. Znaki się postarzały: dziupla bardziej opustoszała, krzyż bardziej spróchniał, podkowa bardziej zardzewiała. Marcowy las też był inny: nagi, błotnisty, szary – nigdy dotąd nie oglądałem go wiosną.

Smok kwitł mimo wczesnej pory.

Dopiero wtedy, w wieku szesnastu lat, zadałem sobie pytanie: czy on zawsze jest taki sam? Nawet jesienią, zimą? Czy owocuje? Czy więdnie? Czy odradza się co roku?

Kolejne pytania kiełkowały w mojej głowie, a mądrość była w zasięgu ręki.

Wszedłem na polanę.

Już po kilku sekundach smok zaczął mnie zmieniać. Wypalał, kształtował. Zastanawiałem się: czemu to robi? Nie wierzyłem, że to mechanizm obronny – czułem jego miłość, parzącą i pełną bólu. Ale żadna miłość nie polega tylko na dawaniu. Co brał? Co mogłem mu zaoferować?

W mięśniach budziła się uśpiona siła, umysł odzyskiwał zapomnianą mądrość. Stałem długo, dłużej niż kiedyś, dłużej, niż było wolno. Stałbym jeszcze dłużej, gdyby nie Sara.

Zatrzymała się między drzewami niczym smukły posąg w czerni.

– Wiedziałaś, że się nie powstrzymasz – powiedziała.

– Nie wejdiesz?

– Już nie.

Niechętnie opuściłem polanę. Ruszyliśmy przez las, kuzynka zbaczała w stronę rzeki. Przyglądałem się jej piegowatej twarzy i próbowałem zdławić złość zmieszaną z pożądaniem.

– Wiesz, jak umarli? – zapytała Sara.

– Ponoć utonęli.

– Nie. Utopili się. Sami, celowo.

– Dlaczego?

Wskazała za siebie, na polanę, od której się oddalaliśmy.

– Pobądź tam dłużej, to może sam zrozumiesz.

– Oszaleli?

– Nie wiem, Wojtek. Chyba tylko tata wie. Ale z nim już nie pogadasz. Załamał się. – Westchnęła. – Znalazłam cię, żeby się pożegnać. Mama chce stąd wyjechać.



Zabiera mnie ze sobą.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, o co zapytać. Nie wierzyłem, że ktoś o zdrowych zmysłach może chcieć zostawić to źródło siły, które znajdowało się w niepozornym lesie.

– Zamieszkamy gdzieś pod Warszawą – mówiła dalej Sara. – Ojciec jeszcze o niczym nie wie. Ale nie sądzę, żeby się stąd ruszał. Pewnie szybko podzielił los Michała i Janka. Utonie w wodzie albo we własnych rzygach.

– A co ze smokiem?

– Masz na myśli tego pasożyta z polany? No co? Nie patrz tak. To nie jest przecież żaden smok. Ojciec tak sobie wymyślił i przez kilkanaście lat prał nam mózgi.

Moje uczucia do kuzynki nagle się nasiliły.

– Nieprawda – wycedziłem. – Nie mów tak.

Byliśmy sami, w środku lasu, daleko od ludzi. Mogłem zrobić to, na co miałem ochotę, a potem wrócić na polanę i stać tam jeszcze godzinami, naładować się za wszystkie czasy.

– Trzymaj się, Wojtek. – Odeszła parę kroków, przystanęła i dodała: – Pamiętaj, że smoki to strasznie samolubne stworzenia.

– Ten jest inny!

– To taki sam potwór, jak wszystkie inne potwory na tym świecie. Jest zły i tyle.

Wiedziałem jedno: do tej pory smok – w przeciwieństwie do ludzi – mnie nie skrzywdził.

Patrzyłem, jak Sara odchodzi. Potem wróciłem na polanę i zerwałem jeden kwiat.

\*\*\*

Dzieciństwo jest pełne dwojakich pragnień: nieosiągalnych – takich jak loty w kosmos – oraz tych zupełnie przyziemnych, na przykład frytek albo gorącej czekolady. Dziesięcioletek myśli o chwili obecnej lub o chwili, która nigdy nie nadejdzie. Potem dojrzeje i zaczyna pożądać czegoś pomiędzy.

Ze mną było inaczej. Do pierwszych wakacji w Zabożu miałem jakieś marzenia, potem wypalił je smok. Przez kolejne lata żyłem prostymi zachciankami – przyjemnościami i łatwymi zwycięstwami – aż do liceum, kiedy urodziłem się ponownie. Zachowałem ciało, imię i przeszłość, ale reszta mojej osoby wyrastała od nowa.

Zapragnąłem wykorzystać to, co dał mi smok.

Bicie, zastraszanie i wyłudzenie pieniędzy zostawiłem prostaczkom z osiedla. Zaniedbałem zemstę za dawne upokorzenia. W ogóle droga bezprawia wydawała

mi się teraz czymś dla ludzi o mniejszym intelekcie. Każdy głupi może wygrać, oszukując – prawdziwa sztuka to zwyciężyć, przestrzegając zasad.

Nie wiedziałem jeszcze, jak ukierunkować swój rozwój, więc uczyłem się wszystkiego. Szukałem dziedziny, w której mógłbym rozwinąć skrzydła. Dbałem o ubiór, leczyłem trądzik. Miałem powodzenie u dziewczyn i szacunek u kolegów. Matka była ze mnie dumna, a ojciec patrzył dziwnie, jakbym nie był jego synem.

W tym czasie kwiat, oderwana głowa smoka, wysychał.

Ciało słabło – zapisałem się na siłownię.

Pamięć zawodziła – wkuwałem godzinami.

Umysł tępiał – ostrzyłem go, jak tylko mogłem.

W końcu kwiat zmienił się w pył, który zażywałem niczym narkotyk, gdy tylko ciężka praca przestawała wystarczać. Moje ambicje pozostawały nieokreślone, więc poszedłem na studia prawnicze i ekonomiczne. Jednocześnie pracowałem. Wzbogacałem się szybko: w pieniądze, w kontakty, w wiedzę i władzę. Wciąż nie wiedziałem, czego chcę – wiedziałem tylko, że chcę jak najwięcej.

Młodość powinna mieć smak piwa, smak ukochanej, smak kebaba pochłanianego w środku nocy. Kiedy zamykam oczy i próbuję wspominać, nie czuję nic, bo jak poczuć pustkę? Teraz wiem, że moim największym pragnieniem było zapełnienie tej strasznej dziury.

Miałem świetne wykształcenie, pięciocyfrową wypłatę, świat u stóp.

A jednak wciąż było mi mało. Potrzebowałem więcej.

\*\*\*

Wujek Konrad spojrzał na moje ubranie, samochód, zegarek.

– Powodzi się – stwierdził, po czym zaprosił mnie do środka.

Spodziewałem się zastać ruinę, a w niej człowieka wypalonego przez alkohol i rozpacz. Jednak wujek miał się dobrze; gospodarstwo również wyglądało na zadbane, choć znamiona upadku mogły kryć się pod grubą warstwą stycznowego śniegu.

Usiedliśmy przy stole.

– Herbaty, kawy, bardziej po męsku? – zapytał.

– Wszystko jedno.

Męskość miała co najmniej pięćdziesiąt procent, smakowała śliwkami i wywoływała pożar w gardle.

– To już dycha – powiedział wuj Konrad po pierwszym milczącym toaście. – Od kiedy chuj jasny wszystko strześlił.

A więc coś się zmieniło. Zapamiętałem wujka jako oczytanego i elokwentnego człowieka ze wsi, który do dziecka mówił tak samo jak do dorosłego.

– Zaglądałeś od tego czasu, Wojtek? No wiesz, do smoka?

- Nie.

- To skąd to wszystko? Markowe ciuchy, drogi zegarek?

- To ja chcę zadawać pytania, wujek. Ostatni raz, kiedy tu byłem, Sara powiedziała mi, że to coś na polanie nie jest żadnym smokiem. Że to tylko zwykły pasożyt.

- Smok, pasożyt... to tylko słowa. A słowom nie można ufać – westchnął wuj i polał śliwowicy. – Pamiętasz ten cytat z Biblii, po którym go rozpoznałem? Myślisz, że to dosłowny opis?

- Raczej symboliczny.

- A czy nasz smok coś symbolizuje? Nie, Wojtek, on jest żywą istotą, która pali ogniem i niszczy. To prawdziwy smok. Przybrał nietypową formę, ale zachował swoją naturę.

- Smoki są egoistyczne, a ten ciągle daje.

- Daje? Chłopie, on wypala słabość. A kiedy słabości już nie ma, zabiera resztę ciebie, kawałek po kawałku. Michał i Janek przesadzili, prawie nic w nich nie zostało. Ale pustka też pali. Pali ogniem, który trudno ugasić. Chłopcy spróbowali ugasić go w rzece.

- Zabili się.

Spuścił wzrok, przytaknął.

- Dlaczego na to pozwoliłeś? – zapytałem.

- Nie chciałem...

- Dlaczego wciąż tu jesteś? Przy nim? Dlaczego dopuszczałeś do niego swoje dzieci, zamiast się wyprowadzić albo, nie wiem, zabić go?

Zwiesił głowę i powiedział cicho:

- On jest moim skarbem, a ja jego.

Zaśmiałem się. Wuj siedział poważny, zgarbiony nad kielichem.

Pomyślałem, że może Sara miała rację. Może rzeczywiście nasze mózgi zostały wyprane. Dzieciom łatwo coś wmówić, dzieci wierzą w bajki. Wakacje w Zabożu były już tak dawno, a od ostatniej wizyty na polanie minęła dekada... A przecież wciąż czułem się silny i mądry.

Może to kwestia wiary w siebie.

Może mój smok był taki jak wszystkie inne smoki: zmyślony.

Poszedłem sprawdzić. Długo błądziłem po zaśnieżonym lesie, zanim na właściwy trop naprowadził mnie jeden z niewielu zapachów, które wciąż pamiętałem.

Dym.

Był styczeń, smok kwitł.

\*\*\*

Na granicy polany topniał śnieg, jakby kwiaty promieniowały delikatnym ciepłem. Przeszedłem z białego puchu na czerwony kobierzec i niemal natychmiast poczułem się jak dawniej. Stałem tam długo. Wiedziałem, że smok doprowadził do śmierci moich kuzynów, ale nie miałem mu tego za złe, nie po tylu latach. Dla mnie zawsze był dobry.

Potem spróbowałem wykopać jedną z roślin o siedmiu łodygach. Klęcząc, grzebałem w twardej glebie, aż dotarłem do korzeni... które łączyły się z innymi korzeniami, jakby wszystkie siedmiogłowe smoki tworzyły podziemną sieć na podobieństwo neuronów w mózgu. Z czapki zrobiłem prowizoryczną doniczkę. Gołymi rękami rozerwałem kilka korzeni – ustępowały z trudem i karały mnie smagnięciami bólu.

Roślina o siedmiu głowach, siedmiu diademach i dziesięciu rogach przetrwała podróż do mojego domu. Posadziłem ją w ogródku, jednak nie chciała rosnąć.

Nie potrafiłem przestać myśleć o rozmowie z wujkiem Konradem. Zastanawiałem się, czy mój smok faktycznie był smokiem; zgłębiałem temat tych stworzeń. Z książek wynikało, że zazwyczaj były wielkimi gadami, rzadziej potrafiły zmieniać formę. Miały też takie cechy charakteru jak zachłanność, spryt, egoizm – też je miałem – czy byłem smokiem?

Niemal każda bestia z opowieści miała jeszcze to, co ceniła sobie najbardziej – skarb.

Myśl o nim stała się moją obsesją. Skoro bestia z Zaboża był inna – inne powinno być bogactwo, które mógł skrywać. Wierzyłem, że będzie to coś, co w końcu wypełni pustkę. Coś niesamowitego, magicznego, jak z bajki.

\*\*\*

Dwa tygodnie temu zadzwoniła do mnie Sara z informacją, że wujek Konrad nie żyje – rak płuc zabrał człowieka, który nigdy nie palił. Spakowałem co trzeba i pojechałem.

Na pogrzebie zjawilo się niewiele osób. Wiatr przyniósł suche liście i dym. Stypa była skromna, wręcz symboliczna: jednodaniowy obiad, bez deseru, bez wódki. Moi rodzice wyszli wcześniej, a wraz z nimi ciotka Karolina, która chciała być w starym domu jak najkrócej.

Zostałem sam z kuzynką. Siedziała ze spuszczoną głową, tak bym nie widział skrytych pod makijażem siniaków; z dłońmi złożonymi na podołku, tak bym widział obrączkę.

– Spaliłam to – oznajmiła w końcu, unosząc wzrok.

Jej oczy mówiły: „zrób ze mną, co chcesz, mnie nie zależy”.

Nie chciałem jej niczego robić.

– Co takiego?

– Spaliłam polanę. Zawsze wiedziałam, że jesień będzie na to najlepszą porą. Nagle zrozumiałem: dym na pogrzebie.

Zerwałem się na nogi.

– Już za późno – powiedziała. – Pomściłam nas.

– On by ci nie pozwolił. Nie dałby się tak łatwo.

– To był tylko chwast. Przepraszam, Wojtek.

Czekała na moją reakcję, jakbym był kimś, kto ma wymierzyć jej karę.

– Wracaj do domu, Sara.

– Nie chcę...

– Gównu mnie to obchodzi! Znikaj stąd, gnij w swoim życiu! Mogłaś być kimś, ale jesteś... – Nie dokończyłem, uznając, że pogarda w moich oczach wyrazi więcej.

Wstyd powinien mieć smak popiołu. I ma, tak jak cały tamten dzień i jak wszystkie kolejne.

Kiedy Sara odeszła, wziąłem z bagażnika szpadeł. Droga do tego, czego pragnąłem najbardziej, wymagała tego, czego nienawidziłem najmocniej – kopania, które przypominało mi o najgorszym rozczarowaniu.

Na polanie nie było już kwiatów barwy ognia, tylko szary pył. Płomienie liznęły też najbliższe drzewa, zostawiając na nich ślad sadzy, jednak wyglądało na to, że kuzynka wszczyła pożar z rozważą, by nie spalić całego lasu.

Wszedłem na smoka i nie poczułem nic, bo tego, co za smoka uważałem, już nie było.

Zacząłem kopać, początkowo na środku polany. Szpadeł z trudem przebijał się przez sieć korzeni, które sięgały zaledwie pół metra w głąb. Miałem czas, siłę, determinację. Skoro smok nie żył, nic nie stało na przeszkodzie, bym przejął jego skarb.

Robiło się ciemno, gdy metal uderzył w coś twardego. Padłem na kolana, dalej grzebałem rękami.

Jeszcze przed północą odkopałem cały szkielet. Oglądałem go w świetle gwiazd, studiowałem dotykiem. Podłużna czaszka, ostre kły, sterczące z kręgów kolce. Kości skrzydeł. Pomyślałem, że to pewnie ostatni smok: zapomnianej barwy, o jednej głowie, bez diademów. Smok podwórkowy, wielkości baranka. Ale smok bez wątpienia – formą pasował do popularnych wyobrażeń.

Zdechł, strzegąc skarbu?

W następnych dniach przekopałem resztę polany i nic więcej nie znalazłem.

\*\*\*

To ja go zabiłem, nie Sara. Ona spaliła tylko część smoka, która była na powierzchni. Sieć korzeni, dzięki której cała polana stanowiła jeden organizm,

mogłaby na nowo wypuścić kwiaty. Wykiełkowałyby z popiołu. Jednak moja chciwość zniszczyła szanse na odrodzenie.

Początkowo tego nie rozumiałem. Zamiast skarbu, rozgrzebałem grób jakiegoś gada, w dodatku mizernego. Potem zaczęło do mnie docierać. Jeśli smoki – takie, o których mówi większość opowieści – kiedykolwiek istniały, ich czas przeminął. Gatunek wymierał, potęga upadała. Przestały marzyć o złocie i klejnotach, wróciły do najprymitywniejszego pragnienia: pragnienia życia.

Skrzydlaty jaszczur, którego szkielet odkryłem, próbował przetrwać pod postacią tysiąca kwiatów połączonych w jeden twór. Obrął nową formę – dzięki której mógł zostać rozpoznany – i zachował starą naturę. Chciał być pamiętany, lecz musiał być potworem.

Latami okradał rodzinę wuja Konrada: ze słabości, ze współczucia, z miłości. Kuzynów pozbawił woli życia, ciotkę i Sarę – domu. Nie wiem, czy swoimi zdobyczami się żywił, czy w jakiś sposób je gromadził.

Odebrałem mu to, co najcenniejsze, rozrywając jego ciało.

I dobrze. Smoki powinny istnieć w jeden sposób: w opowieściach.

Ale było na odwrót. Smok żył naprawdę. Nie było bohatera, który zabiłby go lata temu. Skromne królestwo naszej rodziny nie zostało ocalone.

Żadne skarby nie cofną ognia, nie zbudują nic z popiołu, nie przywrócą życia spalonym – jednak nie tego pragnę. Chciałbym tylko, żeby wspomnienia odzyskały prawdziwe kolory, smaki, zapachy. Chciałbym choć na moment zamknąć oczy i móc sobie wyobrazić czerwień czereśni, słodki sok tryskający na podniebienie, twardość pestki między zębami.

Nie wiem, czy marzę o nieosiągalnym, czy o przyziemnym.

# ZIMNA PERŁA

Barbara Januszewska

Nieskalana ludzką obecnością biała powierzchnia rozciągała się aż po odległą linię horyzontu. Ava zmrużyła oczy, kiedy powiew lodowatego wiatru uderzył ją w twarz, ale nie odwróciła głowy. Odetchnęła głęboko. Po dusznym, przepełnionym wonią wilgotnego rozkładu wnętrzu Pasa Środkowego, mroźne powietrze Strefy Północnej wydawało się czyste i niemal pozbawione zapachów. Dziewczyna wypełniała nim płuca aż po granicę bólu. Napawała się poczuciem wolności, jakie dawał widok bezkresnych terenów, jednak spojrzenie miała skupione i czujne.

Zakaszła kilka razy, by pozbyć się drapania w gardle. Sporo czasu minęło od ostatnich połowów. Wydelikaczone po pobycie w cieplarnianych warunkach tkanki kurczyły się błyskawicznie i dziewczyna czuła, jak mróz coraz głębiej wnika w jej ciało. Dobrze. Zanim ruszy, organizm musi przystosować się do przenikającego zimna, w przeciwnym razie wyprawa zostanie zakończona, zanim w pełni się zacznie.

Rozejrzała się uważnie. Niewielka platforma, na której stała, została zbudowana dawno temu. Przyklejona do niemal pionowego zbocza góry, stanowiła przedłużenie korytarza łączącego dwa światy: ciepły Pas Środkowy i morderczo mroźną Strefę Północną. Do tej pory wiatr i śnieg znacznie ją nadgryzły, jednak nadal doskonale nadawała się na punkt obserwacyjny. Z położoną niżej powierzchnią lodu łączyła ją chwiejna, wąska kładka, nie do przebycia dla większych drapieżników.

Ava poruszyła ramionami, po czym zacisnęła i rozluźniła dłonie, by pozbyć się drżenia, które zaczynało opanowywać jej ciało. Pomimo ogromnego doświadczenia nadal czuła strach. Może dlatego jeszcze żyła...

To, czym się zajmowała, wymagało odwagi graniczącej z szaleństwem. Jako jedna z niewielu wypuszczała się na ośnieżone połączenie w poszukiwaniu płoni, słabszych fragmentów lodu bezpośrednio nad obszarami, gdzie wewnętrzne kanały ze strumieniami magmy przebiegały tuż pod powierzchnią morskiego dna. Ciepłsza woda drążyła korytarze w grubej lodowej tafli, otwierając dostęp do ukrytych w jej załomach skarbów – Zimnych Perł.

Wyczulone oczy dziewczyny z wielką wprawą wyłapywały zmianę koloru i struktury śniegu. Przez całe życie uczyła się, jak odnajdywać te punkty i jak później nurkować, by nie zagubić się w nieskończonej wodnej przestrzeni, gdzie rozproszone, błękitne światło całkowicie rujnowało poczucie kierunku.

Odetchnęła głęboko. Tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Za chwilę czekał ją kilkusetmetrowy sprint po zdradliwej, śnieżnej powierzchni, a później połów w lodowych korytarzach. No i były jeszcze śnieżne wilki, jej główni przeciwnicy. Słabych stron miały niewiele i tylko wyjątkowy spryt oraz wytrzymałość dawały szansę na wymknięcie się im.

Rozejrzała się uważnie, jednak nie dostrzegła żadnego ruchu. Wyglądało na to, że tym razem polowały gdzieś dalej. Przy odrobinie szczęścia zdąży dotrzeć do celu, zanim ją zwęszą i ruszą w pogoń. Odruchowo poprawiła przytroczony do uda generator pola siłowego.

Sprawdziła, czy nóż lekko wysuwa się z pochwy, przygotowała maskę aparatu tlenowego i sięgnęła po raketnicę do rozbijania lodu. Nasłuchiwała przez chwilę. Oprócz gwizdu wiatru w szczelinach skał nie usłyszała niczego niepokojącego. Wzięła kolejny głęboki wdech i ruszyła. Miała szczęście. Zdążyła pokonać spory dystans, zanim usłyszała skowyt, a później zbliżający się głuchy odgłos łap uderzających w zmrożony śnieg.

Odruchowo przyspieszyła, jednak szybko wyrównała krok. Bieg po lodzie był morderczym wysiłkiem, a stanowił dopiero początek. Poławiaczka musiała zachować dość energii, by przetrwać pod wodą, a później wrócić. Wiedziała, że drapieżcy nie podejną na skraj przerębla, jednak będą czekać.

Pokonała kilka ostatnich metrów i skoczyła. Pocisk z raketnicy trafił w lód, przez co rozbił go na drobne kawałki. Ostre kryształki wyleciały w powietrze, połyskując w słońcu. Ava poczuła ukłucie niepokoju. Źle wymierzony strzał mógł odbić się od fałszywej płoni lub trafić tylko w jej krawędź, a wówczas skok skończyłby się tragicznie.

Dwie sekundy później uderzenie w wodę pozbawiło ją tchu. Palce odruchowo zacisnęły się na włączniku aparatu tlenowego. Dziewczyna pozwoliła, by przez chwilę jej ciało swobodnie opadało. Przyzwyczajała wzrok, uspokajała oddech. Nie było tu miejsca na gwałtowne, histeryczne działania.

Szybko dojrzała zdobycz. Małże gromadziły się w załamaniach lodu, w tunelach wydrążonych przez wodę. Przez większość czasu były ukryte w mroku, przyczepione do wielkich kominów hydrotermalnych na ogromnych głębokościach, w porze letniej wypływały bliżej powierzchni, by w zimnym, lecz bardziej nasłonecznionym i bogatszym w tlen otoczeniu wydać na świat potomstwo. Wystawione na działanie ekstremalnych warunków produkowały perły o wyjątkowych właściwościach. Właściwościach cennych dla Mnichów



i kupców oraz – oczywiście – Strażników Smoków. Ci czekali już na Avę po drugiej stronie, by odebrać należną im według umowy część połowu.

Dziewczyna czuła na odsłoniętej skórze twarzy niemal nieuchwytną wibrację. Już dawno odkryła, że miała kilka minut od dotknięcia pierwszego osobnika do momentu, kiedy małże zaczęły wydzielać gryzącą, śluzowatą substancję. Wierzyła, że się ze sobą komunikują. To nie mógł być przypadek.

Wyciągnęła nóż. Czepiając się błękitnego lodu, zaczęła przemieszczać się w dół korytarza i delikatnie odkuwać poszczególne muszle. Umieszczała je w przymocowanej do boku siatce, skonstruowanej w taki sposób, by napełniając się, nie ograniczała swobody ruchów. Czasem odbijała w którąś odnogę, kiedy szczególnie duże okazy przykuwały jej uwagę.



W pewnym momencie aparat tlenowy zapiszczał alarmująco. Jeszcze tylko minuta i będzie musiała wracać. Kombinezon również powoli przestawał spełniać swoje zadanie. Przenikające przez materiał zimno sprawiało, że ruchy dziewczyny stawały się mniej precyzyjne, a nóż coraz częściej chybiał celu. Zwlekała jednak, wabiona wciąż na nowo kolejnymi skupiskami drogocennych małży. Dopiero gdy automat wydał ostatni ostrzegawczy dźwięk i zamilkł na dobre, spojrzała w górę, gdzie promienie słońca rozpraszały się na cienkiej powierzchni lodu, który przez ten czas zdążył zamknąć przerębel. Już miała ruszyć, kiedy kątem oka zauważyła coś jeszcze. Niemal na wyciągnięcie ręki, prawie całkowicie ukryta w wypełnionej szaroniebieskim światłem szczelinie, tkwiła muszla. Jej rozmiary były imponujące nawet jak na ten gatunek. Jasna, niemal przezroczysta, stapiała się z powierzchnią lodu, jakby w świadomej próbie ukrycia się przed niepowołanym wzrokiem. Dziewczyna wiedziała, że spotkała się z czymś wyjątkowym. Pospiesznie odepchnęła się od ściany, w nadziei, że ma jeszcze kilka sekund i zdąży wyłuskać skarb, zanim zabraknie jej tchu, jednak przeceniła własne siły. Płuca skurczyły się boleśnie, serce zaczęło łomotać w walce o tlen. Nie miała wyboru, musiała natychmiast zaczerpnąć powietrza.

Na powierzchni powitał ją skowyt czekających wilków. Instynkt krzyczał, że powinna czym prędzej ruszyć z powrotem, w kierunku dającego schronienie korytarza, jednak nie była w stanie porzucić cennego znaleziska.

Zerwała z twarzy nieprzydatne już oprzyrządowanie, wzięła głęboki wdech i ponownie zanurzyła się w wodzie. Czuła, jak zimno z morderczą konsekwencją przenika przez kombinezon. Błyskawicznie traciła tlen i po chwili przed jej oczami zaczęły wirować kolorowe plamy. Woda stawiała opór, broniąc dostępu do swojego skarbu, jednak Ava nie rezygnowała.

W końcu dotarła w odpowiednie miejsce. Chwyciła muszlę i oderwała ją od lodu, lecz ta wysunęła się jej z dłoni. Przez dwa uderzenia serca Ava po prostu patrzyła, jak małż obraca się wokół własnej osi i powoli opada.

Ostatnim, rozpaczliwym ruchem spróbowała dosięgnąć znikającej zdobyczy. Zacisnęła zgrabiące palce z taką siłą, że ostre krawędzie muszli wbiły się głęboko w ciało. Wodę błyskawicznie zabarwiła krew. Ava szarpnęła się, wypuszczając z płuc resztki życiodajnego powietrza, i kątem oka dostrzegła w dole rdzawobrązową smugę. Zaskoczona, spojrzała uważniej. Smok! Zdjęta panicznym strachem natychmiast skierowała się w stronę przerębla. Nie było czasu do stracenia!

Spiżowy Smok! Te dwa słowa opanowały umysł dziewczyny, do głosu dopuszczając wyłącznie instynkt przetrwania. Ava desperacko machała rękami i nogami, ale znękanе ciało opornie wykonywało nakazy mózgu.

W końcu wynurzyła się na powierzchnię. Chwytała powietrze łapczywymi haustami. Zmieniła się w oszalałe ze strachu zwierzę. Krzyknęła, gdy coś otarło się o jej nogi, i rozpaczliwym wysiłkiem wyrzuciła ciało na lód. Wraz z mroźnym wiatrem dotarło do niej głuche warczenie i duszący zapach gotowych do ataku wilków.

Nie mogła stracić ani chwili. Chwyliła generator pola i bardziej domyśliła się, niż usłyszała przez tłumiącą dźwięki zasłonę, że drapieżniki zawyły z wściekłości.

Pod stopami poczuła uderzenie. Grubość lodowej powierzchni i zwężający się ku górze korytarz ograniczały swobodę działania smoka, jednak jego siła była ogromna. Kolejne uderzenie wprowadziło lód w drgania, a potem rozległ się huk pękającej tafli. Smok próbował wydostać się na powierzchnię!

Ślizgając się i potykając, ruszyła biegiem w kierunku skał. Wilki odskakiwały przed napierającym na nie polem siłowym, jednak niemal natychmiast wznawiały pogoń. Otaczający dziewczynę świat skurczył się do małego celu przed oczami: wąskiej platformy i ciemnego otworu korytarza wykutego w skałach. Serce z wysiłkiem pompowało krew do omdlewających nóg, każdy oddech był walką, rozpałał płomień w i tak już obolałych płucach.

Nagle za jej plecami wybuchło piekło. Przeraźliwy łomot i potężny ryk smoka zagłuszyły ujadanie pogoni. Ava nie traciła czasu na oglądanie się przez ramię. Schronienie było już blisko.

Przebiegła po chybotałej kładce, odrzuciła niepotrzebny już generator, po czym wskoczyła do otworu w skale. Natychmiast zaczęła się czołgać. Nie zważała na ból w otartych rękach, krew spływającą z pokaleczonej dłoni ani na siatkę ze zdobyczą, która znacznie utrudniała ruchy. Po chwili zerwała się na nogi i ponownie pobiegła. Zataczała się i obijała o nierówne skalne ściany, jednak nieprzerwanie parła przed siebie. Wiedziała, że wilki nie są w stanie wejść za nią aż tutaj, jednak nadal mogła znajdować się w zasięgu ognistego oddechu smoka. Nie miała pojęcia, do czego był zdolny. Dobiegł ją przepełniony przerażeniem skowyt. Zdwoiła wysiłki.

W końcu dotarła do jaskini i z bolesnym jękiem pozwoliła ciału osunąć się na ziemię. Przez moment leżała nieruchomo, skulona pod ścianą, w oczekiwaniu, aż jej umęczonym ciałem przestaną wstrząsać spazmy. Zimny kamień i znajomy, wapienny zapach wilgoci kołysły zmysły. Po chwili znów mogła logicznie myśleć.

Usłyszała odległe echo kroków. Strażnicy Smoków. Wiedzieli już, że się jej udało. Nie miała dużo czasu. Mimo śmiertelnego zmęczenia musiała znaleźć w sobie siłę, by zadbać o ostatnią rzecz. Rozwarła zdrętwiałą dłoń. Muszla była tylko naczyniem skrywającym skarb, jednak sama w sobie stanowiła dzieło sztuki. Jej półprzezroczysta, jakby wykuta z lodu powierzchnia połyskiwała w przyćmionym świetle. Pokrywała ją zakrzepła krew, jednak i tak zapierała dech

w piersiach. Dziewczyna była pewna, że wewnątrz, otulona w karminowe, miękkie ciało mięczaka, spoczywa wyjątkowa perła.

Sięgnęła po nóż. Drżącymi z niecierpliwości rękami spróbowała dostać się do skarbu. Zgrzytnęło, jakby próbowała rozbić kryształ, jednak w końcu mięśnie małża ustąpiły. Ava rozgarnęła bordową okrywę i westchnęła z zachwytem. Delikatnie wyciągnęła klejnot. Obróciła go w palcach, a wówczas czarna powierzchnia zaślniła srebrzyście.

Kroki zadudniły znacznie bliżej i dziewczyna otrząsnęła się z zapatrzenia. W ostatniej chwili wsunęła perłę do ust, odwróciła się i z całej siły cisnęła muszlę w ciemność korytarza. Osunęła się na ziemię, zamknęła oczy i przetknęła z wysiłkiem. Skarb należał do niej, nie zamierzała się nim dzielić.

Zapieкло. Zaniepokojona, podniosła rękę do gardła.

\*\*\*

Poczuła, że ktoś szarpie ją za ramię. Ból wrócił ze zdwojoną siłą. Jęknęła.

– No, w końcu! – usłyszała gniewny męski głos. Kiedy otworzyła oczy i uniosła wzrok, ujrzała nad sobą twarz jednego ze Strażników. Pozostali dwaj czekali nieopodal. Asysta.

Ava zamrugowała i spróbowała się odezwać, jednak z opuchniętego gardła wydobył się tylko słaby skrzek. Przymknęła oczy i opuściła głowę. Zraniona ręka pulsowała bólem.

– O nie, nie! – Mężczyzna ponownie nią potrząsnął. – Nie pora na babskie słabości!

Dziewczyna zacisnęła zęby. Wiedziała, czego chcą. Uniosła się i z wysiłkiem odpięła siatkę.

– Macie! – wychrypiała.

Strażnik ukucnął i sięgnął po zdobycz. Wyciągnął nóż i kolejno sprawdzał zawartość muszli. Poławiaczka, mimo przekonania, że mężczyzna nie ma zamiaru jej oszukać, wołała nie spuszczać go z oczu. Pięćdziesiąt procent to pięćdziesiąt procent.

W końcu, zadowolony, schował swoją część i szybkim ruchem oddał jej resztę.

– W porządku.

Ava z niedowierzaniem wyciągnęła rękę. Dla pewności sprawdziła zawartość i poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Machnęła workiem.

– Co to ma być?!

Strażnik zmieszał się, jednak nie odwrócił wzroku.

– Nowe rozkazy – rzucił zimno. – Od dzisiaj wkład Poławiaczy to siedemdziesiąt procent.

Dziewczyna poczuła mdłości. Miała ochotę rzucić się na niego z pięściami

i natychmiast odebrać to, co zdobyła z takim trudem. Zamiast tego odetchnęła tylko głęboko, by opanować ogarniającą ją furję. Nie miała wyboru. Ze Strażnikami nie warto było zadzierać. Poza tym nie miała siły na walkę. Ledwie żyła.

– Pomożecie mi? – rzuciła cicho.

Dowódca zdążył już skierować się w stronę wyjścia. Przystanął. Zwlekał chwilę, zanim odwrócił głowę. Obojętnym spojrzeniem obrzucił bladą twarz i zakrwawioną rękę dziewczyny.

– Co jest? Możesz iść?

Ava zaprzeczyła. Mężczyzna westchnął i skinął na towarzyszy.

Jeden ze Strażników podszedł, by pomóc dziewczynie dźwignąć się na nogi. Drugi jednak nie dołączył do niego, tylko rozglądał się ze zmarszczonym czołem, najwyraźniej czegoś szukając. Po chwili podszedł do miejsca, gdzie skalna ściana tworzyła niewielką wnękę. Przykucnął, by dokładniej przyjrzeć się zalegającym tam cieniom.

– A to co? Dodatkowa zdobycz? – Zaśmiał się kpiąco. Sięgnął w ciemność, po czym wyprostował się i odwrócił w ich stronę.

Ava spojrzała i zamarła.

– No co? Twoje? – Mężczyzna uniósł szamocącego się młodego wilka i lekko nim potrząsnął. Ten zawarczał w proteście i kłapnął zębami, jednak Strażnik wiedział, co robi.

Ava spoglądała przez chwilę na silne ciało o gęstym, miedzianobrazowym futrze. Napotkała spojrzenie intensywnie zielonych oczu i drgnęła gwałtownie, gdy w tej samej chwili załała ją niemal niemożliwa do opanowania chęć wyrwania zwierzaka z rąk mężczyzny. Zwalczyła ją z trudem i kiwnęła głową.

– Tak, jest mój. Trafił się, to zabrałam, nie można marnować okazji. Może uda mi się go wytresować do obrony... – Zrozumiała, że mówi za dużo. – Poniesiesz mi go?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Zdjął kurtkę i owinął w nią wrywające się stworzenie. Dziewczyna wstała z wysiłkiem. Kiedy ruszyli w kierunku przejścia do Pasa Środkowego, całym ciężarem opierała się na ramieniu towarzysza. Nie pamiętała, by kiedykolwiek była taka zmęczona. I zaniepokojona.

\*\*\*

Wilgotne i gorące powietrze, które uderzyło ich po wyjściu z korytarza, wydawało się pozbawione tlenu. Wysokie drzewa walczyły o dostęp do promieni słonecznych, ich rozłożyste pióropusze niemal nie przepuszczały dziennego światła i wokół zalegały głębokie cienie, potęgując jeszcze wrażenie duchoty. Ava nie mogła złapać tchu. W pewnej chwili zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby

Strażnik jej nie podtrzymał. Wyczuwała zniecierpliwienie mężczyzny, kiedy posuwali się w ślimaczym tempie, jednak nie zwracała na to uwagi. Myślała tylko o tym, by dotrzeć do domu.

Na szczęście mieszkała na samych obrzeżach osady, a Strażnicy, jako jedna z niewielu uprzywilejowanych grup, dysponowali mechanicznym transportem.

Mimo znacznego zaawansowania technicznego społeczeństwa, rozwój infrastruktury i ekspansja wewnątrz pierścienia gór, tworzącego naturalną granicę zdatnych do zamieszkania obszarów, były znacznie ograniczone. Poza masywem znajdowały się skute wiecznym mrozem, nieprzyjazne tereny Strefy Zewnętrznej; Północnej i Południowej. Wewnątrz, w Pasie Środkowym, płynąca płytka pod powierzchnią ziemi magma przemieniała klimat w najprawdziwsze tropiki. Niestety, ten właśnie wilgotny, gorący klimat oraz niestabilne, poprzecinane kanałami niosącymi płynną skałę podłoże sprawiały, że w zakresie budownictwa musiano ograniczyć się do najprostszych rozwiązań. Wyższa i bardziej skomplikowana zabudowa była wykluczona, a stały, agresywny napór tropikalnej roślinności sprawiał, że utrzymanie działającej infrastruktury transportowej stanowiło spore wyzwanie.

Zwartą główną osadę otaczało kilka niewielkich skupisk domów, połączonych wąskimi szlakami, mozolnie wrywanymi przyrodzie. Poruszano się głównie pieszo lub konno, gdyż budowa i utrzymanie pojazdów zdolnych pokonywać grząskie i zalesione, a miejscami górzyste tereny były bardzo kosztowne. Tylko uprzywilejowane grupy skupione wokół władzy dysponowały specjalnie przystosowanym sprzętem.

Kiedy po kilkunastu minutach dotarli na miejsce, Ava wysiadła z trudem. Jazda nie należała do najprzyjemniejszych. Strażnik wepchnął jej w ramiona szamocącego się wilka, po czym pojazd natychmiast odjechał.

Dziewczyna odetchnęła ciężko. Zrobiła krok w stronę wejścia do domu, jednak w tym samym momencie usłyszała okrzyk:

– Ava!

Obejrzała się przez ramię.

Drobna kobieca postać zbliżała się szybkim krokiem. Jak większość mieszkańców Pasa Środkowego miała jasną, niemal przezroczystą skórę i bujne, rude włosy. Już z daleka było widać szeroki uśmiech rozświetlający jej twarz.

– Lee! – Ava nie musiała zmuszać się do okazania radości. Na widok dziewczyny od razu poczuła się lepiej.

Po chwili młoda kobieta stała już przy niej. Była zdyszana, a zaokrąglone policzki zabarwił lekki rumieniec. W tym momencie zauważyła stan Avy i jej uśmiech znikł, zastąpiony przez zaniepokojenie.

– Jak ty wyglądasz!

Ava wzruszyła ramionami.

– To nic poważnego. Połów się skomplikował.

Lee pokiwała głową, jednak wyraźnie myśli miała zajęte czymś innym. Troska nie sięgała lśniącego podnieceniem oczu. I nawet nie zauważyła wilka.

Nagle wybuchnęła głośnym, radosnym śmiechem.

– Mam termin! – wykrzyknęła, podskakując w miejscu jak mała dziewczynka.

Ava otworzyła szeroko oczy.

– Nie żartuj! To wspaniale! – Uściskała kobietę. – Ale... jak to możliwe?

Lee była jej bratową. Od wielu lat daremnie starali się z mężem o dziecko. Z pokolenia na pokolenie kobiety Pasa Środkowego coraz częściej cierpiały na bezpłodność. Liczebność populacji drastycznie spadała, co powodowało liczne niepokoje. W pewnym momencie jednak Smoczy Zakon, zamknięta organizacja parareligijna zajmująca się badaniem smoków, ogłosił, że znalazł rozwiązanie. W jego posiadaniu znajdowały się pozyskane wiele lat wcześniej trzy Białe Smoki, jedyne, jakie kiedykolwiek udało się zdobyć. Intensywne badania przy współpracy tych potężnych stworzeń pozwoliły na opracowanie serii leków na bazie smoczej krwi. Jeden z nich znacznie zwiększał szansę na zajście w ciążę. I nie tylko – dzieci powite w ten sposób rodziły się silniejsze, wykazując w trakcie rozwoju nadzwyczajne zdolności. Kilka kropli smoczej krwi wymieszanych w odpowiednich proporcjach z innymi, ściśle strzeżonymi składnikami, niemal w stu procentach wywoływało owulację. Był to złoty interes dla Smoczyc Mnichów, którzy wysoko cenili swoje usługi. Poza bezpłodnością leczyli oczywiście i inne schorzenia, wykorzystywali smocze łuski i wydzieliny, którymi te wielkie stworzenia zechciały się podzielić. Od tamtego momentu Zakon zaczął zyskiwać na znaczeniu, aż w końcu całkowicie przejął władzę.

Niestety, w przypadku Lee nawet ta droga i zazwyczaj skuteczna kuracja nie przyniosła efektu i dziewczyna w końcu została odesłana z kwitkiem. A teraz Mnisi wezwali ją na sesję. Czyżby pojawiło się coś nowego?

– Podobno opracowują nowy sposób! – Lee zaśmiała się głośno, potwierdzając przypuszczenie. – Niezwykle drogi, eksperymentalny. Wydamy na to wszystko, co mamy. – Wzruszyła ramionami na znak, że koszty nic jej nie obchodzą. – Idę tam pojutrze!

Raz jeszcze mocno uściskała Avę. Ta odwzajemniła gest, jednak nie zdołała powstrzymać cichego jęku. Lee natychmiast rozluźniła uścisk i zrobiła krok w tył.

– Przepraszam, przepraszam! Już nic nie mówię, przecież ty się ledwo trzymasz na nogach! Idź do domu i zadbaj o siebie! – Niemal wepchnęła Avę do mieszkania. Krzyknęła jeszcze, że odezwie się jutro i tanecznym krokiem ruszyła dalej.

Ava zamknęła drzwi i z ulgą odetchnęła klimatyzowanym, suchym



powietrzem. Pochyliła się i wypuściła wrywającego się wilka. Natychmiast pomaszerował przed siebie, nos do przodu, łapy szeroko rozstawione. Długie pazury skrobały cicho po gładkiej podłodze. Nie wydawał się przestraszony, raczej zdziwiony. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

Ostrożnie ruszyła w głąb mieszkania. Łazienka była niedaleko, jeden z nielicznych plusów małej powierzchni życiowej, jaką miała do dyspozycji.

Odetchnęła głęboko, sięgając do zapięcia kombinezonu. Oporny materiał nie chciał ustąpić i musiała użyć zranionej ręki. Zagryzła zęby. Sztywne palce nie chciały jej słuchać. Kiedy w końcu weszła pod prysznic, dłoń ponownie zaczęła krwawić.

Zignorowała płynącą krew. Zamknęła oczy i pozwoliła ciepłej wodzie zmywać ból i emocje ostatnich godzin. Powoli zaczęła się odprężyć.

Nie widziała sieci wzorów, które pojawiły się na zaczerwienionej skórze. Najpierw delikatnie i niemal niezauważalnie, niczym szkic dzieła sztuki, potem coraz wyraźniej. Z sekundy na sekundę nabierały intensywniejszej, pomarańczowo-bordowej barwy, a po chwili drobne, misterne łuski pokryły całą powierzchnię ciała dziewczyny. Równocześnie głowę Avey przeszyło ostrze bólu. Spłynęła na nią lawina niezliczonych głosów. Ich brzmienie, równocześnie obce i zrozumiałe, przeraziło ją. Były wszędzie.

Krzyknęła i opadła na kolana. Objęła ramionami brzuch, w którym nagle rozgorzał ogień. Zawyla z bólu, kiedy płomienie rozprzestrzeniały się, pochłaniając jej ciało, aż w końcu zapadła się w czerwoną otchłań bez dna.

\*\*\*

Zachłysnęła się. Leżała pod prysznicem, a z góry nieprzerwanym strumieniem lała się teraz już lodowata woda. Skostniałym z zimna ciałem wstrząsnął gwałtowny spazm. Na szczęście niedawne sensacje ustąpiły, dając o sobie znać tylko lekkim ćmieniem.

Dziewczyna podniosła się chwiejnie, sięgając do kurka. W głowie jej zawirowało i musiała przytrzymać się ściany, by nie upaść. Oparła czoło o gładką powierzchnię, po czym kilka razy odetchnęła głęboko. Gardło i płuca nadal paliły żywym ogniem.

Nagle otworzyła oczy i odwróciła się. Krzyk zamarł w zaciśniętym gardle.

Na podłodze łazienki siedział wilk, wpatrując się w nią z napięciem. Wokół zwierzęcia, wypełniając niemal całą przestrzeń skromnego pomieszczenia, rozlewała się niczym gęsty opar rdzawobrazowa aura. Poruszała się w rytm jego oddechu i miejscami przybierając na sile, mieniła różnymi odcieniami. Wciskała się do kabiny prysznic, niemal materialna w swojej intensywności, aż Ava odruchowo zrobiła krok w tył, wpadając plecami na zimną ścianę.

– Wyjdź w końcu.

Dziewczyna krzyknęła, rozglądając się w panice. Kiedy uświadomiła sobie, że głos rozbrzmiał bezpośrednio w jej głowie, jęknęła i przycisnęła do czoła drżącą dłoń. Niezdolna do jakiegokolwiek innego ruchu, wpatrywała się w zwierzę, siedzące niewzruszenie na podłodze łazienki.

– No, już!

Podskoczyła, jakby smagnął ją batem. Niemal bez udziału woli sięgnęła po ręcznik i ciasno się nim owinęła. Zrobiła ostrożny krok, zachwiała się, ale utrzymała na nogach. Stała, nie odrywając wzroku od stworzenia.

– Tak lepiej.

– Kim jesteś? – wyszeptała drżącym głosem. Serce jej waliło.

Aura zafalowała i otoczyła dziewczynę. Ava poczuła ciepło, które rozlało się po jej skórze, by za chwilę wniknąć głębiej, a w końcu sięgnąć umysłu. Wraz z nim nadeszło zrozumienie. Smok! On był smokiem. Spiżowym Smokiem!

– Jak... Jak to możliwe? – wyjąkała zszokowana.

Nie odezwał się, tylko wbił w nią spojrzenie zielonych oczu. Dziewczyna wzdrygnęła się mimowolnie, kiedy poczuła dotknięcie wewnątrz głowy. Obcy umysł napierał coraz mocniej, aż w końcu przełamał wszystkie bariery. Zabolało tak bardzo, że łzy napłynęły jej do oczu. Cudza świadomość zaczęła wdzierać się do jej wnętrza, równocześnie jednak otworzyło się przejście w przeciwnym kierunku i dziewczyna mimowolnie zaczęła penetrować umysł smoka. Fascynacja wyparła strach i Ava, teraz już świadomie, ostrożnie sięgnęła głębiej.

– Przestań! – zabrzmiał wściekły ryk.

Ponowna fala bólu przeszła głowę dziewczyny, kontakt wzrokowy został zerwany, jednak było już za późno. Obrazy pojawiały się coraz szybciej, wspomnienia i myśli ruszyły lawiną w obu kierunkach. Wielu rzeczy nie potrafiła zinterpretować, przepływały przez nią i osadzały się na dnie umysłu, nie pasując do niczego, co знаła. Inne były oszałamiające, jak wspomnienie pędu pod powierzchnią lodu, w błękitnych, kryształowych tunelach, czy obezwładniające uczucie mocy po spożyciu pierwszej perły. Ale nie tej jedynej, przeznaczonej dla NIEGO!

Czuła wściekłość, chęć mordy i gryzącą frustrację na myśl, że wprost przeciwnie, teraz ta kobieta (ona!) musi zostać przy życiu, że jest za późno. Na co za późno? Kręciło się jej w głowie od pomieszania przeplatających się myśli. Krzyknęła, czując, że zaraz oszaleje, że nie da rady pomieścić tego wszystkiego i rozpadnie się na tysiące kawałków. Zemdlała ponownie.

Kiedy odzyskała przytomność, była sama. Drżąc na całym ciele, wstała ostrożnie, owinęła ręcznikiem i wyszła z łazienki. Głowa pulsowała bólem, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała. Przełknęła z wysiłkiem, opanowując

podchodzące do gardła wymioty.

– Zawłaszczyłaś Perłę Smoków!

Drgnęła, przestraszona, jednak ogrom migreny, która wypełniała jej czaszkę, pozbawił ją siły na jakąkolwiek reakcję. Podeszła do fotela i powoli usiadła.

Usłyszała cichy, wypełniony rezygnacją głos smoka:

– Połączyłaś się z moją Perłą.

Odważyła się podnieść wzrok i aż westchnęła z wrażenia. W jakiś sposób, mimo że nadal pozostał wilkiem, mogła teraz zobaczyć jego właściwą postać. Ujrzała piękne, majestatyczne stworzenie. Spiżowo-brązowe łuski, muśnięte na obrzeżach połyskującym granatem, pokrywały silne, smukłe ciało. Trójkątna głowa z płasko przylegającymi do czaszki kostnymi wyrostkami, rozszerzającymi się po bokach na kształt wachlarzy, przechodziła w długą szyję z szerokim grzebieniem. Skośne oczy lśniły szmaragdowym blaskiem. Przywodził na myśl pełnokrwistego, dumnego ogiera, pełnego siły i gracji, jednak emanował też potęgą niedostępną żadnej istocie, z którą miała styczność.

– Obojemieliśmy pecha i oboje za to zapłacimy. Ty, bo trafiłaś tam przede mną; ja, bo nie zdążyłem na czas. Pojawiłaś się w momencie, kiedy Perła dojrzała, a ja jeszcze do niej nie dotarłem. Korytarze okazały się za ciasne i musiałem przedzierać się przez lód. Szalałem z niepokoju, Ona mnie wzywała, a ja byłem za wielki, żeby jej dosięgnąć!

Smok zamilkł na chwilę. Ava milczała również, zafascynowana i pełna złych przeczuc.

– Zbliżał się najważniejszy moment w moim życiu. Czułem Ją. Wiedziałem, że dojrzeła i w końcu się z Nią połączę, a wówczas... – Westchnął z żalem. – Miałem wchłonąć Perłę, której rozwój sam zainicjowałem, która rosła, by ostatecznie dać mi pełnię zdolności. Jednak byłem zbyt słaby, nie wytrzymałem napięcia. Kiedy kolejny raz utknąłem w ciasnym przejściu, niemal oszalałem z frustracji i musiałem choć nachwilę się uwolnić, wydostać na głębszą wodę i rozładować kotłujące się emocje. Kolejny błąd. Bo kiedy wróciłem... pojawiłaś się ty! – W jego głosie ponownie zabrzmiała wściekłość. – Gdybym był szybszy, gdybym cię dogonił, zanim zeżarłaś mój skarb!

Ava przymknęła oczy, próbując opanować chaos w głowie i odnaleźć się w natłoku myśli i emocji.

– I co teraz będzie? – spytała cicho. Gardło miała zaciśnięte.

Smok potrząsnął łbem.

– Nie wiem.

– Jak to?! – Uświadomiła sobie, że nie powiedziała tego na głos i zabrakło jej tchu.

– Po prostu nie mam pojęcia. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyliśmy. –

Smok popatrzył na dziewczynę. Zastanawiał się przez chwilę. – Ale z pewnością coś się dzieje. Wiem, że nie mogę cię zabić, bo Perła nadal istnieje, tylko teraz jako część ciebie.

– To dobrze. – Ava uśmiechnęła się mimowolnie.

Spiżowy tylko się skrzywił. Widocznie brakowało mu poczucia humoru.

– Wówczas, na lodzie, niemal mi się udało. Umknęłaś w ostatniej chwili – parsknął ze złością. – Oczywiście nie mogłem pozwolić, byś odeszła. Pomyślałem, że w jakiejś niegroźnej postaci będę mógł poruszać się po twoim terenie bez wzbudzania podejrzeń, aż uda mi się do ciebie zbliżyć, a wtedy... – Zielone oczy błysnęły złowrogo, Avę przeszedł dreszcz. – No i się udało. Chociaż nie tak, jak planowałem. A teraz się zmieniasz. Jest za późno.

Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, że smok miał rację. Od dobrej chwili czuła, że znów coś się z nią dzieje. Pomyślała o tym, czego niedawno doświadczyła i targnął nią dreszcz.

– To nie koniec – dodał Spiżowy. – Połasiłaś się na naprawdę wielką potęgę. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak to możliwe, że nadal żyjesz. Że twoje słabe, ludzkie ciało wytrzymało przyjęcie.

Jakby na potwierdzenie jego słów, przez ciało Avy przeszła fala bolesnego mrowienia.

Nagle plecy dziewczyny wygięły się w łuk. W następnej chwili opadła bezwładnie, niczym szmaciana lalka. Wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz. Krzyknęła.

Smok poruszył się niespokojnie.

– Ava?!

Nie była w stanie odpowiedzieć. Zamarzała. Nie przestawała krzyczeć, kiedy palący lód popłynął żyłami i wypełnił każdą komórkę jej ciała. Szarpnęła się, z furią rozbijając w drzazgi fotel, na którym siedziała. Ręcznik opadł na podłogę i odsłonił nagą skórę, która błyskawicznie pokrywała się pancerzem z rdzawych łusek. Rude, grube od pokrywającej je warstwy chityny włosy otoczyły ściągniętą bólem twarz. Palce zacisnęły się w szpony. Mózg atakowały coraz to nowe fale emocji, obrazów i obcych myśli. Zawisła w stanie półświadomości i trwała tak dłuższą chwilę, targana drgawkami, z oczami uciekającymi w głąb czaszki.

W momencie, kiedy przeszła ostateczną transformację, stała się odbiornikiem potężnej mocy. I odebrała wołania.

– Mają samicę – odezwała się cicho i uniosła powieki. Oczy bez widocznych białek zabłysły czystą zielenią.

\*\*\*

– Śmierdzi tu!

W pośpiechu wypadli z mieszkania. Smok, mimo wzburzenia, nadal utrzymywał postać wilka, jednak przychodziło mu to z wyraźnym trudem. Zmarszczył nos w wyrazie skrajnego obrzydzenia. A to nie zdziwiło. Ciężkie, wilgotne powietrze przesycone zapachem rozkładu tkwiło nieruchomo, nisko nad ziemią. Dla stworzenia przyzwyczajonego do czystych, mroźnych warunków Strefy Północnej musiało tu być nie do zniesienia.

Poławiaczka spieszyła się. Nie miała sprecyzowanego planu, jednak była przekonana, że trzeba działać szybko. Bała się. Bardzo. Naciągnęła głębiej kaptur, by ukryć zmienioną twarz, ręce wcisnęła w kieszenie. Czuła, jak drobne strużki potu spływają jej wzdłuż kręgosłupa, kiedy zmuszała umęczone ciało do kolejnego wysiłku. Owinięta bandażem ręka pulsowała bólem, umysł wypełniał chaos cudzych i własnych myśli.

– Przeżyłam bardzo ryzykowne nurkowanie, o włos uniknęłam zjedzenia przez smoka i wilki, potem w cudowny sposób przetrwałam zagnieżdżenie superperły, która powinna mnie zabić – wysapała z goryczą. Wydawało się, że zadyszka już nigdy jej nie opuści. – I co z tego mam? Łuski i czytanie w myślach. Dość kiepski interes.

Po zakończeniu transformacji poczuła się... naturalnie. Jakby jej nowa postać była taką od zawsze. Co najważniejsze, zniknął ból, a umysł najwidoczniej szybko adaptował się do nowych impulsów, bo mogła już myśleć samodzielnie i wyodrębnić siebie spośród poplątanych strumieni świadomości. Nadal zalewała ją fala obcych wrażeń i myśli, jednak z chwili na chwilę czuła się coraz lepiej.

Jak poinformował ją nie bez zgryźliwości Spiżowy, miała szczęście. To, co do niej docierało, to głównie świadomość Białych Smoków, które nie należały do najinteligentniejszej ze smoczyczych ras. Pewnie dlatego jeszcze nie oszalała. On sam, kiedy już otrząsnął się z pierwszego szoku, bez wysiłku potrafił kontrolować i odseparować swój umysł. Gdyby tego nie zrobił, po prostu by ją zmiążdżył.

W pewnym momencie wydawało jej się, że zaczyna wyłapywać również szum myśli znajdujących się w osadzie ludzi. Po chwili nabrała pewności. Były niczym klarowny strumyk w porównaniu do wzburzonych wód rzek, przewalających się z rykiem przez jej głowę. Powitała to niemal z ulgą.

Smok kipiał wściekłością.

– Tylko Białe mogły być na tyle głupie, by dać się obłaskawić ludziom! – Podzielił się z nią tą myślą telepatycznie, włączając ze wszystkimi emocjami. Aż syknęła, kiedy odebrała pogardę, jaką żywił dla obu ras: białej smoczej i ludzkiej.

– A i tak mogę sobie wyobrazić, że zrobiły to tylko najślabsze osobniki. Smocze kurwy! – zasyczał jeszcze.

Zaskoczona słowami smoka Ava zgubiła rytm i potknęła się na nierówności

ukrytej w opadłym listowiu, w ostatniej chwili odzyskując równowagę. W milczeniu przyspieszyła kroku.

Układ ze smokami funkcjonował w miarę dobrze. Nie były więzione. Trzy samce, które przetrzymywano w osadzie, sprowadzono bardzo dawno temu, jako niedojrzałe osobniki. Zwabiono je Zimnymi Perłami. Te wyjątkowe klejnoty działały na smoki niczym narkotyk. Zazwyczaj spożywane sporadycznie, w małych ilościach, potęgowały percepcję, wzmacniały naturalne talenty, za każdym razem dając poczucie mocy i euforii. Mnisi opracowali mieszankę Perel i narkotyku, która oszołomiła i błyskawicznie uzależniła młode smoki. Stworzenia pod wpływem głodu zgodziły się na współpracę i upokorzenie, jakim było oddawanie własnych tkanek, byleby tylko regularnie otrzymywać dawkę mieszanki. Ich potrzeby rosły, a wraz z nimi rola Avy i innych Poławiaczy.

Teraz jednak miało miejsce coś nadzwyczajnego. Nowa metoda leczenia niepłodności, nagły wzrost zapotrzebowania na Zimne Perły i fakt pojawienia się na pierwszym planie samicy świadczyły o drastycznych zmianach i budziły niepokój. Ava zaczęła się bać, że ludzie przecenili swoją moc i sięgnęli po coś, czego nie będą w stanie kontrolować.

W końcu dotarli na miejsce. Słońce już zachodziło i błyskawicznie zaczynało robić się ciemno. Już po paru minutach otoczenie zniknęło w mroku.

Ava z zachwytem odkryła, że nie stanowi to już dla niej problemu. Głębokie cienie zatonęły w czerni nocy, lecz jej oczy nie straciły ostrości widzenia. Wszystko nadal pozostało wyraźne. Wyczuła lekkie rozbawienie Spiżowego, kiedy pomachała sobie ręką przed oczami, jednak miała to w nosie. W końcu spotykało ją coś pozytywnego!

Siedziba Mnichów z przylegającą do niej Strażnicą Smoków była najokazalszą budowlą w osadzie. Wysoki mur bronił wstępu na zakazany teren, jednak w rzeczywistości był tu głównie po to, by dać mieszkańcom złudne poczucie bezpieczeństwa. Przekonanie, że jest coś, co ochroni ich przed bestiami, którym pozwolili zamieszkać tak blisko siebie.

Dziewczyna podeszła do kamiennej ściany i położyła na niej dłoń. Wilk kręcił się niespokojnie. Sierść na jego grzbiecie sterczała nastroszona, oczy pałały zielonym blaskiem.

Nadal nie do końca wiedziała, co i dlaczego należy zrobić. Próbowwała odnaleźć źródło strachu, który ją przepełniał. Czuła, że nad osadą zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zamknęła oczy, po czym spróbowała sięgnąć umysłem w stronę Strażnicy. Ból głowy powrócił z taką siłą, że ugięły się pod nią kolana. W tym momencie wyczuła obecność Spiżowego, jednak tym razem nie był intruzem, ich jaźnie splotły się i wzmocniły. Ava jęknęła z zachwytu, czując napływ ogromnej siły,

jednak równocześnie na skraju świadomości pojawiła się myśl, że jest na to jeszcze za słaba, że jeśli nie będzie ostrożna, to zaraz się zgubi, zatraci w relacji, w której stanowi słabsze ogniwo.

Powoli wysunęła się naprzód, ogromnym wysiłkiem spychając jaźń Spiżowego na dalszy plan. Wyczuła jego rozdrażnienie, jednak nie naciskał. Uświadomiła sobie, że smok zrobi wszystko, żeby ochronić Perłę. Uśmiechnęła się. Potrzebowała jego pomocy i miała zamiar wykorzystać tę odrobinę władzy. Jeśli miała rację, osadę czekała zagłada, a ona nie zamierzała na to pozwolić. Ze względu na tych kilku mieszkańców, na których jej zależało.

Zaczęła ostrożnie badać umysły po drugiej stronie muru. Strażnicy. Nie chciała nikogo zaalarmować, dopóki nie znajdzie odpowiedzi. Jakże byli prości i bezużyteczni w swej niewiedzy! Rozczarowana, powędrowała dalej. Posuwała się powoli, badała, poznawała myśli i plany, mniej lub bardziej znaczące, aż w końcu znalazła właściwą osobę.

Lekarz analizował wskazania monitorów, które ukazywały parametry życiowe otumanionych narkotykami smoków. Był zadowolony i podniecony, jednak przepełniał go również strach. Zdawał sobie sprawę, że porywają się na coś wielkiego. Nagle zacisnął powieki i potarł skronie, kiedy Ava nacisnęła mocniej i ostrożnie zagłębiła się w jego umysł.

W sąsiednich pomieszczeniach przetrzymywano Białe Smoki. Dwa osobniki tkwiły nieruchomo w swoich legowiskach, odurzone narkotykiem. Trzeci leżał niezgrabnie na boku, a jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w nierównym, drżącym oddechu. Mężczyzna przewidywał, że stworzenie już długo nie pożyje. Było pierwszym, na którym zaczęto przeprowadzać eksperymenty w kierunku całkowitego odebrania wolnej woli i wyeliminowania ryzyka buntu. Niestety, zbyt długie podawanie mieszanki narkotyków i ich nieodpowiednie dawki niemal usmażyły jego układ nerwowy. Smok nie kontrolował już własnych odruchów, organy wewnętrzne jeden po drugim odmawiały posłuszeństwa.

Ava załkała cicho, odbierając echo zagubionego umysłu stworzenia. Nadal tam był, przerażony i przepełniony bólem. Z gardła Spiżowego wydobył się niski, wściekły warkot.

– Głupcy! – ryknął w jej umyśle. – Jak śmiecie! Wszyscy zginiecie! Głupi, zachłanni ludzie!

Ava wiedziała, że nie da rady powstrzymać furii Spiżowego. Musiała się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, zanim będzie za późno. Smok byłby w stanie zniszczyć całą osadę, a tego nie chciała.

Dlaczego to zrobili?! Dlaczego zaryzykowali działający układ ze smokami?

W desperacji naparła mocniej na umysł naukowca. Mężczyzna jęknął i zwałił się ciężko na podłogę. Natychmiast skulił się do pozycji embrionalnej i ukrył

głowę w ramionach. Ava zignorowała jego cierpienie, potrzebowała odpowiedzi. Po co im smoczyca?!

Znalazła. Poczuła, jak przepełniają ją groza i wściekłość. Samica była ciężarna. Naukowcy planowali użyć świeżo opracowanego narkotyku, by całkowicie pozbawić ją wolnej woli, a później odebrać jaja. Chcieli rozpocząć hodowlę smoków, odmóżdżonych, zniewolonych stworzeń, które nie zagrażą osadzie, a równocześnie dostarczą tak cennych dla ludzi tkanek.

Nie mogła na to pozwolić.

Przeobrażenie Spiżowego nastąpiło błyskawicznie. Dziewczyna cofnęła się odruchowo, kiedy w jednej chwili wyrosło przed nią kilkunastometrowe cielsko. Smok trzymał skrzydła złożone wzdłuż tułowia, by nie zahaczyć o okoliczne drzewa, jednak i tak był olbrzymi.

Poczuła przyływ mocy i świadomości tego, co się za chwilę stanie. Łuski na jej skórze wzmocniły się i nabrały twardości, włosy uwolniły z utrzymującego je w ryzach węzła i okryły ramiona niczym płaszcz.

Spiżowy opuścił głowę. Spojrzał jej w oczy, a wówczas Ava wyciągnęła rękę i położyła mu ją na czole. Przez ich ciała przeszedł dreszcz. Perła otworzyła drogę. Jednoczyli się. Stapiali w jedność.

Bicie dwóch serc wyrównywało swój rytm, umysły dzieliły świadomość. Dziewczyna zrzuciła krępujące ją ubranie i stanęła naga, smukła, silna wspólną mocą. Błyskawicznie wspięła się na grzbiet smoka. Ich skóra natychmiast się połączyła, w obu ciałach popłynęła ta sama krew. Zimna Perła wypełniła swoje przeznaczenie.

Smok rozprostował skrzydła i wzbił się w powietrze, kosząc z ogłuszającym trzaskiem najbliższe drzewa. W Strażnicy zawył alarm.

Spiżowy zionął ogniem i najbliższe zabudowania stanęły w płomieniach. Zawisł nad płonącymi budynkami, nasłuchując, a w następnej chwili runął w dół. Ogromne pazury rozorały poszycie dachu, zalewając powodzią iskier nadbiegających ze wszystkich stron Strażników. W dole, przypięta grubymi łańcuchami do posadzki, leżała Biała Smoczyca.

Spiżowy usiadł na zrujnowanym murze i przyjrzał się zamieszaniu, nieczuły na próby ataku. Pociski odbijały się od jego grubej skóry, nie wyrządzając najmniejszej krzywdy. Strażnicy tracili czas, przedzierając się przez pożogę. Ava odbierała wściekłość i przerażenie, które opanowały ludzi na ich widok. Czuła przepełniającą ją satysfakcję. Chciała ich skrzywdzić. Ona czy on? Nie było już różnicy.

Sięgnęła do umysłu smoczycy. Wyprowadzała ją z transu, budziła, nawoływała. Samica uniosła głowę i otworzyła oczy. Zabłyły błękitnym blaskiem. Były przepełnione nienawiścią. Jednym błyskawicznym ruchem



zerwała krępujące ją łańcuchy. Wydała głośny, przenikliwy skrzek i wzbiła się w powietrze. Mleczne łuski zaśniły w świetle księżyca. Mocna, zwieńczona ostrym, długim grzebieniem głowa obracała się na wszystkie strony w poszukiwaniu celu. Nagle rozwarła szczęki i zionęła morderczym oddechem. Spiżowy błyskawicznie zerwał się do lotu. Nawet on nie był odporny na niszczącą moc lodowego tchnienia. Uderzenie mrozu zdusiło rozprzestrzeniający się ogień, dosięgło uciekających. Ruiny zatrzeszczały, a po chwili nadwyrężone ściany runęły, grzebiąc zlodowaciałe ciała Mnichów.

W powietrze wystrzeliły fragmenty kolejnych budynków. Głos samicy wyrwał z otępienia dwa białe samce. Przebiły się na zewnątrz, niszcząc wszystko na swojej drodze. Trzeci był zbyt słaby, by się poruszyć. Smoczyca zionęła ponownie, otulając go lodowym kokonem, kończąc wielomiesięczne cierpienie. Powietrze przeszył jej przepełniony bólem i wściekłością krzyk.

Ava zawołała.

Potężne drapieżniki uniosły się wysoko, pozostawiając za sobą klaustrofobiczną duchotę lasów Pasa Środkowego. Poławiaczka jeszcze przez jakiś czas odbierała fale strachu i nienawiści płynące ze strony pozostawionych w ruinach ludzi. Wiedziała, że to nie koniec. W tym momencie nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Czuła na twarzy pęd powietrza, kiedy lecieli coraz wyżej i szybciej. Nie oglądała się za siebie. Spoglądała w przyszłość. Była jedyną w swoim rodzaju ludzko-smoczą hybrydą, zagadką, która czekała na rozwiązanie. Była Nowym Początkiem.

# NA PSA UROK!

Michał Rybiński

Skale i jego Drace, a także Reksowi, Azorowi i Pestce.

Pomyślnych łowów, cholerne czterołapce, gdziekolwiek teraz jesteście!

Ares pojawił się znikąd, istna futrzasta furia: sadząca susami kupa mięśni, wściekły warkot, groźnie wyszczerzone kły i – co w policji często nie jest niczym zaskakującym – zero pomyślunku. Zaatakował zaciekle opancerzony ogon, nie czyniąc mu jednak żadnej szkody. Uzbrojona w imponujące zęby szczęka wystrzeliła w kierunku psa, brutalnie podrywając go z ziemi. Wystarczył jeden gwałtowny ruch pyska, by owczarek poleciał w kierunku wyjścia przeciwpożarowego, zostawiając w powietrzu ślad z krwi i wyrwanego futra oraz pogłos rozpaczliwego skowytu. Runął między tłoczących się u szczytu schodów antyterrorystów, którzy nerwowymi kopnięciami posłali go dalej, w dół, usiłując cały czas mierzyć do celu.

*Ból, ból, pomocy!* – Złotko odczytał zmysłomgnienie, podnosząc się z ziemi.

*Durny kundel...* – wysłał od siebie.

Idiotyczna szarża czworonoga dała mu jednak tę tak potrzebną, dodatkową chwilę, by obrócić się w kierunku przeciwnika. Czuł, że polowanie dobiega końca, czuł w żyłach wzbierający ogień...

\*\*\*

## **Wcześniej...**

- Jurek, ale co ja tu robię? Mam uprawnienia tylko na psy.
- Cicho bądź, Stachu. Zobacz, tego pofnoć da się przystosować. Chcę, żebyś go poobserwował, powiedział mi, co myślisz.
- Który?
- Ten w kącie, co tak łypie podejrzliwie, jak żule pod nocnym, kiedy dasz im dychę...
- Dajesz im dychę?!
- Oj, raz mi się zdarzyło, nawalony byłem... Zresztą, to sąsiad był. Wiem, że rzadko chleje, a tego dnia teściowa u nich była. No dobra, dość o menelach. I co,

co o nim sądzisz?

Młodszy policjant podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Spoglądał na wskazany okaz. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment, obserwowany stwór syknął ostrzegawczo, mundurowy zadrżał, a potem zrobił krok wstecz, klnąc szpetnie.

– Co się stało, Młody? – zapytał Jurek, przyglądając się uważnie koledze.

– A... Nic, nic. Tylko...

– Tylko...?

– No, jak na mnie spojrział... To jakby mi kto szpilę w łeb wbił...

– Świetnie!

– Co?! Oczadziłeś?!

– Nawiązuje kontakt. Nada się. – Starszy policjant klepnął kolegę w ramię z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Posrało cię. Mam psa i to mi starczy!

– Oj, Staszek, zastanów się: żonę masz? Masz. Kredyt macie? Macie. Na psie takich dodatków nie dostaniesz od fabryki jak przy tym okazie, a powiem ci, że jak dobrze uderzysz papierem, to i ubezpieczenie na życie, i bonusowe od utraty pracy wpadnie. Firmowe.

– Sorry, Jurek, ale weź, kurwa, może sam go sobie przygruchaj, co? Te gnoje żrą przewodników!

– Młody, Młody... Ja mam swojego od sześciu lat. Nawet w palca mnie nie dziabnął. Kwestia, że tak to ujmę, wzajemnego porozumienia. Pomogę ci, sam zobaczysz, od razu z psem będzie chodził. No, chodź, przekimaj się z tym, pogadaj ze starą, jeśli chcesz, a jutro mi odpowiesz... To szansa, nie z każdym chcą się kontaktować. Jeden na stu, co ja mówię, na parę setek ma kontakt w ciągu pierwszego kwadransa! Młody, ja ci mówię: od jutra napierdalasz licencję na smoka!

\*\*\*

Kiedy przed Wędrówką zasypialiśmy w naszych jajokonach, obiecywano nam raj, ziszczone marzenie. Ogromne terytoria, mnóstwo zwierzyny, piękne krajobrazy – wizje *archonta bazyleusa* były więcej niż wspaniałe. Prawdziwy cud, wymodlony, opłacony krwią samobójczych ofiar na ołtarzach starych bogów. W końcu wskazano nam drogę do świata, w którym mogliśmy liczyć nie tylko na przetrwanie. Nasz obecny dom wkrótce miała pożreć łakoma gwiazda, doznająca – akurat w trakcie istnienia naszego gatunku – kosmicznego wzdęcia. Miałem cichą nadzieję, że się słońeczko udławi tą skałą.

Przemierzyliśmy Pustkę uśpieni zimnem, w hibernacji, jak niegdyś nasi przodkowie. Podobnie jak oni, mieliśmy objąć nową planetę we władanie. Czas

i przestrzeń postanowiły jednak przypomnieć o sobie: na miejscu, kiedy opadliśmy z nieba, okazało się, że skład atmosfery uległ zmianie w trakcie naszej podróży. W połączeniu z grawitacją większą niż ta, do której przywykliśmy, oznaczało to, że nie mogliśmy osiągnąć pełnej formy i przyszło nam funkcjonować w takiej skarłałej, miniaturowej wręcz postaci, o mniejszym zapotrzebowaniu na życiodajny tlen.

Drugi żarcik Wszechświata był o wiele mniej zabawny – jakiś gatunek dwunoga zdążył ewoluować na tyle, by zapanować nad całym globem. Jak można tak nierozsądnie się rozmnożyć? Przy okazji poważnie naruszył naturalny ekosystem i, co gorsze, przetrzebił zwierzynę. W jej miejsce hodował własne trzody, wiele gatunków, z których większość nie zostawiała nawet echa wspólnej myśli. Niektóre z tych zwierząt, te bardziej inteligentne, nie powiem, były całkiem smaczne, ale ich pochłaniania nie można było nazwać sympozjonem – raczej pożeraniem pozbawionej refleksji świadomości. Trudno takimi istotami nasycić smoczy głód, zwłaszcza gdy polowanie jest krótkie i łatwe, ale lepsze to niż nic...

Wielu z nas oszalało, szukając na gwałt większego, bardziej sycącego bytu i próbując słyszobrazować się z pozostałymi przy życiu pojedynczymi dzikimi umysłami. Bez prawdziwych łowów prędzej czy później ulegali wygłodzonemu *daimonionowi*; przejmował nad nimi całkowitą kontrolę. Straciliśmy tak wiele młodych, niedoświadczonych piskląt. Znajdowaliśmy je półżywe, połamane i musieliśmy przetrawiać je w całości, by nie zatrąły różeńni... Nawet wspólnie tworzony parakletos nie mógł przemóc tego szaleństwa łaknienia.

Dwunodzy oddalili się od Jestestwa tak dalece, że nie byliśmy w stanie ani ich odczytać, ani nawiązać kontaktu bardziej wyrafinowanego niż słyszobrazowanie podstawowych emocji. Nie smakowali zbyt dobrze, choć trzeba przyznać, że swoją *psyche* potrafili nasycić nas na długi czas. Co więcej, chyba już kiedyś przetrwali inwazję któregoś ze zrzutów Wolnych Wędrowców, bo natychmiast zaczęli nas mordować, a co poniektórzy więzić, badać i torturować. Po raz pierwszy braliśmy udział w polowaniu nie jako myśliwi, lecz w roli zwierzyny.

Niektórzy z nas walczyli desperacko, lecz bez szans na zwycięstwo. W rozlicznych starciach przetrawiali resztki pozostałych po Wędrowce kamieni, liżąc rany lub pożerając i ocalając od zapomnienia *psyche* tych z nas, których fizyczne ciało nie mogło już umknąć śmierci. Inni, jak ja, postanowili udawać to, za co nas wzięły owe wyprostowane dziwolągi – drapieżniki z Pustki, bardziej skomplikowane zwierzęta ze szczątkową inteligencją. Mieliśmy nadzieję zapewnić sobie w ten sposób czas potrzebny do zdobycia materiału na zniesienie nowych jajokonów i opuszczenie tego przeklętego, śmiercionośnego piekła.

W dużym skrócie, biorąc pod uwagę, że dwunogi położyły łapę na większości interesującego nas budulca, oszacowałem czas, który musieliśmy przetrwać w tym udupieniu: jedno milenium, może trochę mniej. Fortel z udawaniem głębszych niż w rzeczywistości – jak dla mnie – był bardzo obiecujący. Niestety pionozazy okazały się niezwykle pragmatyczne: zaczęły nas wyłapywać i używać do własnych celów. Miałem pecha trafić w ich sieci...

\*\*\*

– Kilka podstawowych faktów o futrach i smokach, Młody. Taki smok, mimo że nie większy od owczarka, jest od niego silniejszy i szybszy. I lata, rozumiesz, coś jak mały krokodyl ze skrzydłami. No i zionie... Węch i słuch ma gorszy od futra, ale wzrok o niebo lepszy. Uważaj z błyskotkami. Nie wiedzieć czemu, rzucają się na każdy drogocenny piździonek, metale szlachetne i takie tam. Aśkę z obyczajówki kojarzysz? Kolczyki jej Ognik zaiwanił... Nie, nie powiem ci, co kolczyki Aśki robiły w pobliżu kojca. – Jurek spojrzał groźnie na Młodego i kontynuował: – No nic, chuj wie, jak to smocze ustrojstwo działa, jajogłowi do dziś nie potrafią tego wytłumaczyć. Nas obchodzi, jak z gościem postępować. Moja gadzina, na ten przykład, toleruje futra, ale wystarczy inny smok w okolicy i dostaje kociokwiku. Dzielisz więc zadania, pies jest od tropienia i przeszukania, zatrzymania bez zabicia, czyli generalnie na ludzi, których naprawdę chcesz aresztować. Jak wypuścisz łuskowate bydlę, to tak, jakbyś puścił czołg: zero gwarancji, że cel dożyje skucia. Smoka spuszczasz wyłącznie na innego smoka lub jeżeli ci nie zależy... Poniał?

– Takie buty... Tego pedofila to ty ścigałeś?

– Daj spokój, Staszek, a co ty byś zrobił na moim miejscu? Skup się na tresurze. Gnoje szybko się uczą przez obserwację, ale muszą, podobnie jak futra, zrozumieć, kto jest przewodnikiem, alfą. Na akcję będziesz chodził we wdzianku pepoż, więc zaczniemy od nauczania gościa, że wtedy jesteś nie do ruszenia. Włóż to!

– No, nie wiem...

– Nie pitol, to działa, sam to przeszedłem.

– Ty, Juras, a co one żrą?

– Wiesz co, surowiznę. Nie wiem dlaczego, ale wołowiny, drobiu i jagnięciny nie tkną, za to osobliwie chętnie żrą wieprzowinę, czasem szczury, koty... Nawet bezpańskie psy. Mój Ognik wprawdzie nie rusza Kudłacza, ale to widać gołym okiem, że smok jest wyżej w hierarchii, pies się go obawia. Widziałem nawet ogłoszenie hycła ze smokiem, powiem ci, brutalny interes, ale na pewno skuteczny. Bardzo rzadko atakują ludzi bez polecenia, przynajmniej te oswojone, bo z dzikimi to już inna sprawa.

– A te igły w głowie...? Jurek, kurwa, jak ja mam to włożyć? – Staszek nadal mocował się z ognioodpornym kombinezonem.

– Czekaj, pomogę ci... Nie mów nikomu, ale mój Ognik to jakiś pieprzony telepata. Normalnie zawsze wiem, kiedy się wścieka lub kiedy poluje. Nazwij to przeczuciem, wiedzą, a ja ci powiem, że to zupełnie inna sprawa, niż kiedy znasz swoje futro i obserwujesz jego reakcje. Tu zawsze coś mnie tak wali w potylicę najpierw... No, już. Ruszaj, wypuść go. Czekaj! Gaśnicę weź, jak rzygnie ogniem więcej niż raz, zgaś go.

– Co?!

– Normalnie, odpalasz gaśnicę w pysk... Po takim prysznicu gościu wie, kto tu rządzi. Z kosmosu czy z dupy, zasady są te same: na start ustalasz hierarchię, bez tego nie pojedziesz dalej. W razie czego odpal elektryczną obrożę, cholernie tego nie lubią. No, ruszaj, pokaż mu, ile wart jest prawdziwy „pies”.

\*\*\*

Długo nie potrafiłem pojąć, dlaczego te futrzaste, stadne drapieżniki tak łatwo podporządkowują się dwunogom. To uwłaczające: rozkazujące gesty, głośne dźwięki, a gdy któryś jest oporny – przemoc. Nie są może najbystrzejsze, ale gdyby chciały, mogłyby samostanowić własną rój. Ale nie, zaprzędają się za żarcie, za dotykanie, za nędzną namiastkę polowania w postaci gonitwy za okrągłym, toczącym się przedmiotem...

Nie ukrywam, że wzbudzały moją pogardę, przynajmniej do momentu, gdy zorientowałem się, że tak naprawdę imitują część mimiki dziwolągów i dają im sygnały niewerbalne, dużo wyraźniejsze niż swoim pobratymcom. Fascynujące, to jakaś symbioza, ewolucyjne dostosowanie... Usiłuję cały czas nawiązać dyskretne połączenie z młodym dwunogiem, ale bez większych sukcesów. Wysyłam wyłącznie proste sygnały, a i to ledwie zauważa. Odczyt? Bez szans, jakby go nie było w eterze. Po dłuższej obserwacji zrozumiałem, że starszy dwunóg uczy młodego tak naprawdę nie tego, jak mnie zmuszać do wykonania określonych czynności, ale jak nawiązać podstawową komunikację. Bardzo podstawową.

Czworonogi musiały mieć ten sam problem, co my. Oddalenie pionożarów od Jestestwa uniemożliwia przesłanie i odebranie myśli w trakcie kontaktu z dwunogami. Dochodzę do wniosku, że futrzaste drapieżniki dawno temu nauczyły dziwolągi, jak porozumiewać się bezmyślowo, prehandlowując swoją wolność za kontynuację gatunku i wygodne życie. Zrobiły to tak, by dwunożni uwierzyli, że to oni uczą czegoś te zwierzęta. Ciekawe, ciekawe... I poniżające. Jak można tak upaść? Dlaczego czteropalcie postąpiły w ten sposób? Jestem w stanie je odczytać, ale ich myśli są tak boleśnie proste, przeładowane czymś...

czymś niezrozumiałym, nielogicznym.

Początki były trudne, o mało nie zabiłem „swojego” pionozę. *Daimonion* niemalże mnie opętał, gdy dwunóg zalał mi pysk jakąś pianą. Niestety, nałożyli mi coś na szyję, coś, co oślepiło niczym głosy zmarłych smoków. Przyczałem się więc, obserwowałem. Mam czas, dużo czasu, znajdę sposobność do ucieczki. Udaję, że chcę współpracować, zbieram wiedzę. Uczą mnie, co interesujące, polowania na... inne dwunogi. Chyba byli zadowoleni, kiedy spopieliłem jakąś kukłę, ale pochwalne dźwięki, którymi nagradzają futrzaki, zaliczyłem dopiero, gdy na określony gest obaliłem zwierzynę bez zabijania. Doprawdy, ciekawe...

Muszę wkrótce wykonać jakiś ruch. Mój daimonion krąży na obrzeżach pathos, sycząc głośno. Czuję jego głód – ochłapy prostych świadomości, zdobywane bez wysiłku, już mu nie wystarczają. Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy mogli współistnieć bez zjadania się nawzajem... Od dawna nie ruszał na łowy, a ja przetrwałem większość pożartych kamieni.

\*\*\*

Ochrzcili gada Złotkiem, bo w blasku jarzeniówek jego łuski miały charakterystyczny, jasnożółty połysk. Po pierwszym spalonym manekinie Staszek był przerażony. Smok skradał się bezszelestnie, śledził, przyczajał się, potrafił nieruchomieć w cieniu jak głaz, by zupełnie niespodziewanie uderzyć. Trzeba jednak przyznać: szybko pojął, że atak ma następować jedynie na określoną komendę, że czasem wystarczy tylko obezwładnić cel. Nie było za to mowy o siadaniu, warowaniu czy reakcji na przywołanie, przynajmniej z początku. Dopiero wiele strzałów z elektrycznej obroży później opanował proste „Do mnie!”.

Nic jednak nie okazało się dla Złotka trudniejsze od współpracy z psem.

\*\*\*

Nie rozumiem, dlaczego nie wolno mi było zjeść czterolapca. Kiedy wpuścili do mojego gniazda drapieżnika, zwyczajnie myślałem, że chcą, bym się z nim zmierzył...

To było upokarzające. Ślepiłem i padałem kilka razy, nim opanowałem kierujący mną *daimonion*. Doszedłem w końcu z nim do ładu, choć dopiero po jakimś czasie pozwolił mi odzyskać kontrolę nad samym sobą. Czworonogi sierściuch był na uwięzi, na każdy mój ruch w stronę młodszego dwunoga reagował agresją: wydawał dźwięki, sygnalizował walkę. *Daimonion* słyszobrazil jego gniew, bezmyślny, bezwarunkowy, istny szal – zostawił mi zmysłomgnienie. Tutejszy drapieżnik ma ogromne serce do walki, już na spokojnie zrozumiałem: bronił stada. Niby jakiego, na mój ogon?! Z pomiatającym nim dwunogiem? Ha,

dobrze sobie! Co za durne zwierzę...

Wielokrotnie kroilem myślopamięć w miliony mgnień i układałem na nowo, nim pojąłem, że czworonogi są moim kluczem. Jeśli kogoś lub coś zaakceptują, dziwolągi im ufają, stają się mniej czujne. Futrzaste drapieżniki pomagają pionołazom nie oddalić się jeszcze bardziej od Jestestwa, a z kolei dwunogi...

Dwunogi zapewniały polowanie.

\*\*\*

Komendant stanął obok Jerzego za ognioodporną szybą okalającą plac w hali treningowej. Siorbał kawę. Staszek, w nieforemnym przeciwpożarowym kombinezonie, machnął nieregulaminowo, po czym rzucił przyniesioną przez Aresa piłkę w kierunku smoka. Owczarek ruszył w pogoń, wywalając język na wierzch.

– Jak idzie? – zagał dowódca.

– Kapitalnie, panie komendancie. Świetny smok, nawiązał współpracę z psem.

– Wejdę tam czy jeszcze...?

– No, w sumie to możemy wejść. Ale w kombinezonach i z gaśnicami.

Kilka minut później Jerzy i komendant, już w skafandrach przeciwogniowych, dołączyli do Staszka. Smok zasyczał, rozpościerając ostrzegawczo skrzydła, lecz po uspokajającym geście Staszka z ociąganiem wrócił do zabawy z psem. Ares obskakiwał stwora, trzymając piłkę w zębach i powarkując radośnie. Złotko markował ataki, udając gonitwę, ale pozwalał owczarkowi uciec z zabawką.

– Mówię panu, panie komendancie... – odezwał się ze źle skrywaną dumą Jurek. – Z tego smoka będzie niezły „pies”...





\*\*\*

Czteroląpiec nabrał na tyle zaufania, by zacząć słyszobrazować do mnie. To było łatwiejsze, niż myślałem.

W końcu opuściłem swoją pieczarę. Wprowadzono mnie do dziwnego jajokonu, przebyliśmy nieznaną mi przestrzeń. *Daimonion* mruczał na krawędzi rójażni, wibrował w pazurach, ściekał śliną z kłów... Nie mylił się. Byliśmy na polowaniu. Nie bez obawy oddałem mu kontrolę, zostały mi tylko strzępy wspomnień.

Futrzasty drapieżnik z pyskiem przy ziemi, tropiący zwierzynę.

Unoszę się nad nim. Jest ciemno.

Mała, ciemna pieczara, wyrastająca z ziemi.

*Tutaj, tutaj, zwierzyna!* – odczytuję podekscytowanego czworonoga.

Pazurami rwę strop jaskini, poddaje się łatwo.

Dziwny zapach, ogłuszające huki, błyskają skry, w pierś coś kęsa, chyba niegroźnie. Jak młode próbujące pierwsze zęby.

Pionołazy.

*Zwierzyna! Polujemy!* – myślomignął czteroląpiec.

*Oooh, ogień...!*

*Daimonion* odpęza niespiesznie poza *logos*, syty, zostawiając w myślopamięci ostatnie zmysłomgnienia. Nie będzie mnie niepokoił przez

dłuższy czas, wchłaniając nową *psyche*. Powoli wracam. Siedzę wśród rozżarzonych ruin, na upolowanym dwunogu. Nieco dalej czworonóg obwąchuje bezgłowe zwłoki drugiego. Coś boli, nie za mocno, ale czuję wyciekające ciurkiem życie, więc rozgrzewam najmniejszy z najmniejszych kamieni, by zasklepić ranę. Czekam, na pysku czuję krew. Nadbiegają „nasze” dziwolągi. Młody, zgięty wpół, zwraca, jakby zjadł padlinę. Drugi poklepuje go, wydając dźwięki, za pomocą których się komunikują. Nie rozumiem zbyt wiele, ale chyba są zadowoleni.

– Spokojnie, Stachu, przywykniesz. Tak jest lepiej. Gratuluję, sprawa zamknięta.

\*\*\*

Dla sierżanta Stanisława Grabowskiego tresura smoka, a potem powstrzymanie gada przed pożarciem Aresa i nauczanie zwierząt współpracy były chyba największym wyzwaniem w życiu. Praca szła szybko, dużo szybciej niż z samymi psami, i dawała ogromną satysfakcję. Jakby tego było mało, pies i smok w końcu stworzyli stado. Trzeba przyznać, że Złotko zdecydowanie rozstrzygał wszelkie wątpliwości co do kolejności dziobania na swoją korzyść, ale też ewidentnie prowokował Aresa do zabawy. Z kolei futro upodobało sobie ciepły, smoczy brzuch, do którego przytulało się podczas drzemek w kojcu. Po jakimś czasie Grabowski przestał się obawiać o bezpieczeństwo psa na tyle, by zostawiać obydwie zwierzaki same. Smok okazał się nader rozsądnym okazem, umiarkowanie agresywnym podczas interwencji – prawdziwe złoto. Po kilku akcjach w terenie policjant musiał przyznać, że gad do spółki z futrem to kombinacja nie do pokonania. Aż do hyclówki.

Hyclówka. Małe, skoczne, nawet zabawne słowo, które skrywa w sobie ciężki, rozbełtany do granic możliwości burdel. Tak dyspozytorzy nazywali polowanie na bezpańskiego smoka, który wtargnął na tereny zurbanizowane. Gadziny upodobały sobie jubilerów, często zżerając kamienie szlachetne, w szczególności diamenty. Czasami któremuś odbijało i zamiast kulturalnie ulotnić się po skoku, zaczynał siać popłoch, polując na ludzi i zwierzęta. Ze zrozumiałych względów w takich przypadkach natychmiast angażowano straż pożarną i antyterrorystów z ciężką bronią, a ludzi ewakuowano. W ten dzień Jerzy i Ognik byli w terenie, w pościgu za rabusiami. Dlatego dyżurny ściągnął Grabowskiego razem z Aressem i Złotkiem pod budynek, w którym ostatnio widziano bezpańskiego gada.

Stach stał pod furgonem, w którym cisnęli się, niczym muchy na kupie, antyterrorysty. Przewodnik widział ten zespół pierwszy raz. Z długą bronią, ciężko opancerzeni od stóp do głów, słowem: wyekwipowani jak na wojnę,



fizycznie, ale i duchowo. Wszyscy pożeramy pierwiastki niezbędne do utrzymania życia wewnątrz łuskorupy, przejęcia *psyche* zjedzonego osobnika czy złożenia jajokonu, lecz robienie tego w tak zachłanny sposób zawsze zwraca na siebie uwagę i obraca się przeciwko nam. Co z tego, że zdobył w jeden wieczór tyle budulca, co ja przez ostatnie trzy miesiące, skoro następnego dnia jego życie nie było pewne? Szkoda, że nie pozwolili mi go zabić, pożarłbym jego żołądek i sam przetrawił materiał...

Futrzasty drapieжник obok skomlał straszliwie. Staralem się go nie odczytywać, wciąż sygnalizował ból, strach, wzywał stado. Jakies dziwadła opatrzyły jego ranę, ale kundel wpadł w panikę, gdy „nasz” zniknął z pola widzenia, więc przewieziono go tutaj, do gniazda i nieobcych mu dwunogów. Swoją drogą, pierwszy raz widziałem, by „nasz” pionożaz zaatakował silniejszego od siebie, bardziej ołuskowanego przedstawiciela własnego gatunku. Zdaje się tego, który kopnął rannego futrzaka w dół tej konstrukcji... No nic, „nasz” będzie miał kłopoty, z tego, co myślośnię, oni ściśle przestrzegają hierarchii.

*Cicho, czworonożna kupo futra, cicho! Nie wysyłaj tego tyle! Jesteś skałą w ciemnej ciszy, jajokonem wędrującym przez Pustkę, rozumiesz?*

Nie zrozumiał.

Przyszedł „nasz” dwunóg.

*Świetnie, zabierz go, ucisz! Bo zjem, klnę się, mimo że to popsuje nasze relacje!*

Wariat, wszedł do gniazda bez ochronnego pancerza... Mógłbym go zabić, mógłbym teraz uciec, kto mnie powstrzyma?

Zaraz, co on robi? Usiadł przy futrzaku.

*Durny kundel! Cierpisz? Czemu to zrobiłeś? Wiesz przecież, że jesteśmy mocniejsi!*

Pionożaz dotyka zwierzę, gładzi je. Przynajmniej lament czworonoga ucichł... Zaraz, co to... „Naszemu” woda leci ze ślepi, odczytuję, słyszobrazuję i jego, i rannego drapieznika! Jak to możliwe?! Oni, razem... Człowiek myślotka do czterolapca!

*Stado blisko, blisko, nie bój, my tu... Obaj!*

I coś jeszcze, coś potężnego, nie rozumiem tego...

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Zabijcie mnie, pobratymcy, powinienem był ich spopielić i uciec. Ale kiedy otulałem skrzydłem rannego czworonoga, kiedy resztką sił polizał mnie po pysku tym cuchnącym ozorem, to było takie... Przez chwilę byliśmy w jednym Jestestwie, wszyscy: dwunóg, czworonóg i ja, w rójaźni tak obcej, dziwnej, nielogicznej... Tak przemożnej, że kazała mi rozgrzać część własnych kamieni i ulżyć kundlowi, w ten sam sposób, w jaki pomagamy naszym pisklętom, gdy połamią skrzydła. To było nierozsądne, cofnąłem się o dobre dwie

pory roku w zapasie budulca, to był czysty idiotyzm, wariactwo...  
To było dobre. Nie chciałem inaczej.

Dziękuję moim testerom (Gosi, Magdzie i Kłapatemu), sam już nie wiem  
po raz który, za piękną współpracę.

Michał Rybiński

### I

Jacek Kobielski wpadł jak śliwka w gówno. Wcale nie musiał trzeźwieć, by zdać sobie z tego sprawę, ale i tak wypity wcześniej miód wyparował mu teraz z czubą niczym woda wylana z rozbitej balii.

– Zejdź nam z oczu, wycieruchu, bo tak ci rzyć splazujem, że nawet do siedzenia ci się nie nada!

Słowa stojącego nad nim warchoła zachrzęściły mu w uszach. Leżąca przy Kobielskim kobieta zerwała się z posłania i, nie bacząc na brak okrycia, zebrała rzeczy, po czym wybiegła z izby.

Mężczyzna wciąż mierzył w Jacka piórem szabli.

– A z panem, mości Kobielski, dłużej przyjdzie nam podywagować – rzekł, trącając go czubkiem buta.

Jacek poderwał się. Ostrze zatrzymało go w półsiadzie. Zawieszony w tej pozycji, poruszył wąsem z lewa na prawo i z powrotem. Gdyby nie ból pulsujący w czaszce, kabała, w jaką się wpakował, pewnie wywarłaby na nim większe wrażenie.

Przy posłaniu stało jeszcze dwóch swawolników. Jeden z nich przyświecał pochodnią. Po gębach całej trójki szło poznać, że z kimkolwiek Jacek zadarł tym razem, trafił pod wyjątkowo zły adres.

Do tego ta karczma. Podła rudera gdzieś na Wołyniu. Co prawda w miejscu niezaszłym jeszcze plugastwem, ale zbyt blisko Podola, by móc po nim podróżować samotnie. Tak jak Kobielski miał w zwyczaju.

Teraz – bez gaci, na sianie, pod brudnym przykryciem – mógł dowolnie rewidować swoje przyzwyczajenia, jednak nie poprawiało to jego sytuacji. Zresztą, nawet gdyby przewidział, jak to się skończy, postąpiłby tak samo. Prawo do spokoju cenił sobie szczególnie. Wcześniej wygonił z oberży całe chamstwo, sala stała więc do tej pory pusta. Nie miał łóżka, dlatego spał na podłodze, tuż przy piecu umiejscowionym na środku. Krzesła i ławy znajdowały się dalej, tam, gdzie szynkwas. Podłogę pokrywało siano, resztki jedzenia i rzygowiny. Zupełnie wyjątkowo w całym tym kramie zabrakło szczurów.

Ale to nie ich Jacek szukał wzrokiem. Żałował teraz, że zamiast flaszki nie zostawił przy poślaniu szabli. Wisiała poza jego zasięgiem, na przytwierdzonym do ściany haku. Stojący nad nim mężczyzna musiał wychwycić to spojrzenie, bo dotknął ostrzem Jackowej szyi i rzekł, rozwlekając sylaby:

– Nie myślcie o tym, mości Kobielski. Nawet jeśli fama o waszej szybkości nie jest przesadzona, moje ostrze jeszcze mniej czasu potrzebuje, by sięgnąć po wasze kiszki.

Kobielski odchrząknął i opadł na poślanie. Wsunął przy tym rękę pod głowę, jakby układał się na łóżku we własnym domu.

– Czego więc chcecie, psiarze? – wychrypiał.

– Szczęściem dla ciebie, nie twojego podłego żywota – odparł tamten. – Przyszliśmy prosić cię na wesele – dodał po chwili. – Twoje własne!

Cała trójka wybuchnęła śmiechem. Brzmiało to tak, jakby ktoś właśnie wrzucił osła do gotującego się błota. Jacek wykorzystał chwilę ich nieuwagi i ręką schowaną pod głową wymacał w sianie szyjkę flaszki.

– A który to z waszmościów mnie do ołtarza prosi? – spytał z teatralnie udawanym zainteresowaniem. – Bo nie przypominam sobie, by się swaty należyte odbyły.

– O swatach trzeba było myśleć, zanim żeś Katarzynę Rychlankę zbrzuchacił! Kobielski wymownym gestem stuknął się w czoło.

– A więc o to się wam rozchodzi – stwierdził. – Tylko co wam do tego?

– A to, że w rodzinie Rychłych nie było i nie będzie bękartów! Dlatego jeszcze dziś naszą siostrę poślubisz i wraz z dzieckiem pod swój herb i nazwisko weźmiesz. Osobiście też dopilnujesz, a jak trzeba będzie, własnym złotem wspomozesz, by dziecko jako *legitimus* w kościelnych księgach zapisać!

– A co, jeśli z żadną Katarzyną z domu Rychłych nigdy mi...

– Nie wykręcisz się. Mocne argumenta przeciw tobie świadczą.

– Rad bym je poznać.

– Zaraz rad poznasz mojego buta w twojej rzyci. – Rychły, widząc rozbawienie, jakie w jego kompanii wywołała ostatnia uwaga, ciągnął dalej z większym przejęciem: – Podobno we Francji wielkie w takich praktykach mają upodobanie.

– Widać we Francji będąc, inne niż waść lokale odwiedzałem. Ale dobrze. – Jacek uniósł glinianą flaszkę. – Pozwólcie mi tylko wypić wasze zdrowie, uporządzić się i możemy ruszać.

– Na picie przyjdzie jeszcze czas. – Rychły wykonał ruch szabłą, chcąc wytrącić Kobielskiemu gorzałkę. Tamten był jednak szybszy.

– Niech waść uważa, to szlachetny trunek! – przestrzegł. – Na całym Wołyniu znany. Ma moc piekielną, ale smak aksamitny.

Rychły zmarszczył brwi i kopnięciem zrzucił z Kobielskiego przykrycie.

– Wstawaj, psie! Za dużo tego dobrego!

Kobielski uznał, że lepszej okazji nie będzie. Wszystko trwało krócej niż wyjęcie szabli. Przekręcając się na brzuch, obrócił całe ciało w prawo, mocnym wymachem nóg sprowadzając Rychłego na brudne klepisko. Tamten zwałił się ciężko. Pozostali swawolnicy ruszyli mu na pomoc. Jacek tylko na to czekał. Wstał i pociągnął tego z trzymanej w rękach flaszki. Kiedy dzierżący pochodnię warchoł zamierzał się do ciosu, opróżnił w jego stronę zawartość ust, jak kuglarz zabawiający gawieź płomiennym oddechem. Pojaśniało.

Kołpak i żupan tamtego stanęły w płomieniach. Pochodnia upadła w odgarnięte z posłania siano. Jacek roztraskał flaszkę o kafle pieca. Zamknięta w niej gorzałka rozlała się natychmiast. Ledwo zdążył uchylić się przed kolejnym ciosem, wyprowadzonym ręką trzeciego z napastników. Gdy atakujący minął Jacka, ten porwał rozklekotany stołek i rozbił mu go na głowie.

– Ogromnie cieszysz się ta płomienna biesiada! – musiał przekrzyknąć wrzaski płonącego. – Niestety na mnie już pora.

Rychły poderwał się z podłogi i ruszył w jego stronę. Jacek był już przy swojej szabli. Dobył ją, po czym wyprowadził własne cięcie. Broń Rychłego opadła głucho. Trzy z pięciu ściskających ją wcześniej palców wciąż obejmowały rękojeść.

Przywódcą bandy spojrzął na swoją dłoń i zawył, nie wiedząc, czy bardziej z bólu, czy zdziwienia. Postąpił kilka kroków w tył, aż natrafił na ścianę. Potem z wolna usiadł na podłodze.

– Szczęście twoje, że nie umiesz rachować – zakpił Kobielski. – Jak się zagoi, nawet nie poznasz różnicy.

Tamten milczał, zupełnie nieobecny. Jacek rad by dorzucić jeszcze kilka uwag, ale nie było już na to czasu. Niemal cała karczma płonęła. Wcześniej, w ferworze walki, nie zwracał na to uwagi. Teraz mógł dokładnie ocenić, jak bardzo ogień się rozprzestrzenił. Podpalony mężczyzna wciąż wił się po podłodze, rozsiewając wokół płomienie niczym umazana krwią żmija, pozostawiająca po sobie ślady posoki.

Nie było co zwlekać. Jacek uchwycił tylko soboli kołpak, mieniący się w ogniu diamentowymi trzęsieniami, i zarzucił go na głowę. Z wciąż wyjętą szablą w jednej, a z pochwą w drugiej ręce, nagi, jakby właśnie wyskoczył z łona matki, ruszył w kierunku wyjścia.

Spodziewał się, że na zewnątrz czeka reszta kompanii. I tak było. Zaskoczyło go jednak to, że trzech mężczyzn, których znalazł przed karczmą, leżało teraz związanych i pozbawionych przytomności. Kobielski ruszył w stronę ich koni, po kilku krokach stanął jednak, gotowy do obrony. Usłyszał za sobą rżenie



wierzchowca, a drżący na ziemi cień wskazywał, że ktoś go dosiadał. Nie zdążył się obrócić, kiedy padł strzał.

Rozległ się głuchy odgłos upadku. Jackowi w uszach grzmiał jeszcze wybuch prochu, kiedy obrócił wolno głowę.

W progu leżał jeden z Rychłych. Ten ze łbem rozbitym stołkiem. Nieopodal znajdował się jeździec. Jacek poznał go od razu. Sam nie wiedział, w jaki sposób.

Jan Kobielski. Jego starszy brat. Szlachcic podjechał bliżej i rzucił młodszemu Kobielskiemu futrzaną szubę. Szarą i znoszoną.

*Pokutną* – pomyślał o niej Jacek.

– Niech no szczenę! – zawołał, łapiąc okrycie. – A jużem myślał, że ta noc nie może być gorsza. Naprawdę cię tu widzę, czym może skołał i trafił do piekła?

– Odziej się i dosiadaj konia. Musimy ruszać. – Głos Jana był mocny i chłodny, nawykły do wydawania rozkazów.

Jacek ruszył w stronę wierzchowców.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał.

– Bracia Rychli cię znaleźli. Czynie wokół tego taki rejwach, że nie sposób było nie trafić.

Młodszy z Kobielskich poprawił delię i uchwycił się siodła. Przez chwilę chciał spytać brata, czy nie miałby na zbyciu jakichś portek, ale zaniechał tego pomysłu. Choć rozpoczął się wrzesień, było jeszcze dość ciepło. W końcu odezwał się:

– Ciekaw jestem tylko, jak oni mnie znaleźli.

– To nie moja sprawa.

Jacek zmierzył go wzrokiem. Zawsze zastanawiało go, jak szlachcic o takich zasługach i takim majątku może nosić się w ten sposób. W czarnych butach i jasnoszarym żupanie wyglądał jak najzwyczajniejszy szaraczek, na którego nawet splunąć nie warto. I tylko wprawne oko mogło poznać, że żupan wykonano z nie byle jakiego aksamitu, a liczne marszczenia cholew wskazywały na wyjątkowo dobrą skórę.

– Co więc jest twoją sprawą? – spytał wreszcie, kiedy już usadowił się w siodle.

Jan ruszył stępa. Nie odwracając się, rzekł:

– Jedziesz ze mną do Kobielic. Ojciec jest umierający.

## II

Nie stanęli jeszcze na ganku, kiedy drzwi dworu stanęły otworem i ukazała się w nich klucznica, kobieta już leciwa, ale pełna krzepy i żywotna. Z rękami wspartymi na bokach przywitała ich uśmiechem znad obfitych piersi. Zajmowała przy tym niemal całe wejście.

– A niech mnie diaboł swoją lagą przechrzci! – zakrzyknęła. – Sam pan Jacek

do domu wrócił! A to może już na stałe aby?

– Nie mnie rzyć grzać po dworach. – Jacek uśmiechnął się kwaśno. Znów poczuł się jak gołowąs. Wyrzuty sumienia wobec domu opuszczonego lata temu rozlały się teraz po trzewiach niczym trucizna. Każde spojrzenie brał jako wymierzony w niego palec. Jeszcze zanim zeskoczył z konia, zdawało mu się, że już strażnik siedzący na szczycie lamusa osądza go wzrokiem.

Gdy Jacek podszedł do progu, kobieta przepuściła go do sieni.

– Jak się czuje ojciec? – zapytał Jan, podążając za nim.

– Oczy bolą patrzeć, panie Janie! – Cała wcześniejsza radość uleciała z niej jak jesienne liście zwiane podmuchem wiatru. – Z łoża chciał wstawać, ale ledwo głowę znad pośłania unosi. I do tego apetyt ma lada jaki.

Klasnęła nagle w dłonie i znów uśmiechnęła się promiennie, jakby słońce wyszło po krótkiej burzy.

– Ale waszmościowie głodni pewnie! Już jadło podaję! – Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę kuchni, nie wiedzieć, czy czarcią siłą gnana, czy może boskiej proveniencji. Bo pewna rzecz, że nie swoją własną, takie szybkie były jej ruchy.

– A ty co tak stoisz? – zwróciła się jeszcze do jednego z parobków, niosących za Kobielskimi toboły. – Zabieraj to na komnaty. – Chcąc najwyraźniej wzmocnić nakaz i ku uciesze Jacka, klepnęła sługę w zad, jakby zapędzała kobyłę do stajni. – Ale już!

Jacek zauważył, że niewiele się tu zmieniło, odkąd odwiedził dom ostatnim razem. Przybyło trochę jelenich łbów na ścianach. Jeden z gobelinów wyglądał na nowy. Ktoś powiesił kolejny arkebuz.

Choć ubranie, które dostał od Jana, było na niego za duże, nie poszedł się przebrać. Wraz z bratem ruszył od razu do izby ojca.

Starzec spał. Światło poranka ledwie przebijało się przez mętne szyby okien. Kilka zapalonych w sali świec sprawiało, że Jacek przez chwilę miał wrażenie, jakby wszedł właśnie do rodzinnej krypty.

Chwilę wpatrywał się w rodzica, po czym spytał:

– Jesteś pewien, że to klątwa?

Brat podszedł do łoża i delikatnie odchylił pierzynę. Młodszy Kobielski poczuł dreszcz przebiegający w dół kręgosłupa i przeżegnał się pospiesznie. Błądą skórę jego rodzica pokrywały nieregularnymi plamami gadzie łuski.

– Mój błąd, że pozwoliłem ojcu się z nami zabrać – przyznał Jan. Zwrócił się w stronę zawalonego papierami stołu, ze stosu pergaminów wygrzebał list i podszedł z nim do Jacka.

– Musimy się spieszyć – rzekł, wręczając go bratu.

Jacek zerknął na równe pismo pokrywające kartkę.

*Panie Bracie Kobielski!*

*Srodze zasmucony jestem wieściami, o których mi piszesz. Wielce ubolewam nad tym, że nie mogę się stawić przy moim druhu wiernym, z którym przyszło mi Smoleńsk zdobywać. Los jednak nie pieścił się ze mną jako z dziewczką w alkwie, stąd też siły już niemal całkiem mnie opuściły. Nadzieja więc w Twoich synach. Kiedy tylko gotowi będą do mnie wyruszyć, niech nie zwlekają i zjawiają się bez zapowiedzi. Do listu dołączam mapę, która wskaże im drogę.*

*Jako już wcześniej pisałem, klątwa żmijowych braci niebłaha to sprawa i bardzo trudno ją odmówić. Jest jednak na to sposób.*

*Pradawny Zakon Żmija niemal zupełnie już zniknął z tej ziemi. Albo to naszą zgubą, albo nadzieją. Powiada się, że gdy Żmij musiał zrzec się swoich sukcesyji na świecie (co poniektórzy świętemu Jerzemu przypisują tę zasługę, słusznie Żmija z pradawnym smokiem łącząc), oddał swym wyznawcom jajo, w którym cała jego moc zachować się miała. I to jajo właśnie odnaleźć trzeba, gdyż tylko w nim ratunek. Szkoda pióra tępic, by więcej tu spisać. Resztę wyjawię, gdy synowie Twoi odwiedzinami swoimi honor mi sprawią.*

*Niech opatrność czuwa nad Tobą,  
Wierny Ci Atanazy Wielecki*

Jacek uniósł list, jakby chciał spytać, czy to właściwy pergamin.

– To pismo miało mi wszystko wyjaśnić – rzekł – a jeszcze bardziej sprawę zamgliło.

– Co tu wyjaśniać? – Jan wzruszył ramionami. – W dworze dyspozycje wydać trzeba, moderunek zebrać i na gościniec się zbierać.

Jacek poruszył wąsem z lewa na prawo i z powrotem. Nie miał nic przeciwko podróżom. Wiedział, że muszą udać się do Atanazego jak najszybciej. Nie znosił jednak, kiedy rozporządzano nim jak byle jakim pachółkiem. Do tego od dwóch dni nie obcował z kobietą, a to zawsze źle mu na sen wpływało. I niestety, Jan tym się charakteryzował, że diabła łatwiej do modlitwy w kościele skłonić, niż jego zabrać do lupanaru.

– Pojedziemy – powiedział zimno młodszy Kobielski, bardziej w tym do brata będąc podobnym. – Pojedziemy choćby zaraz. Pomnij jednak, że nikt tutaj pod niczym zwierzchnictwem się nie znajduje, bo z bratem swoim rozmawiasz, a nie z kompanią, której komenderować ci przyszło. A z twojego starszeństwa dla mnie żadne prawa nie wynikają.

Jan stanął przed nim. Jego twarz stężała. Wyglądało to tak, jakby kawałek granitu piekielnym jakimś sposobem jeszcze więcej nabrał twardości.

Nagle rozległo się głuchoe tupnięcie.

Jacek zadrżał mimowolnie. Spojrzał na ojca. Ten spał nadal. Dopiero później przeniósł wzrok na podłogę. Spod obcasa Jana wystawał odwłok żmii. Wił się teraz spazmatycznie, w kałuży ciemnej juchy. Gdy starszy Kobielski cofnął buta,

odstłonił jej zmiażdżoną głowę, rozkwitłą w czerwono-szarym rozbryzgu, niczym piekielny kwiat, który korzeniami sięga samego piekła.

– Daj mi znać, gdy będziesz gotowy – oznajmił Jan.

### III

Jechali w milczeniu. Jan na przedzie, Jacek obok, tylko trochę pozostając w tyle. Słońce przygrzewało im grzbiety, a rosnące wzdłuż traktu drzewa chroniły od wiatru.

– Żmija – odezwał się Jacek posępnie, bardziej chcąc przerwać nieznośne dla niego milczenie, niż zacząć rozmowę. – Zdaje się, że widziałem ją wcześniej. Te plamy na łbie. Jakby korona.

Wydawało się, że gad sunie ich śladem, co jakiś czas znikając na kilka pacierzy między drzewami.

Jana rewelacje te obeszły nie bardziej niż rozprawa o wartości cnoty portową dziwkę. Nie zwrócił nawet głowy w stronę brata.

– Ta wyprawa – zaczął tamten po chwili. – Dlaczego po mnie nie posłaliście? Przecież zawszem rad na takie imprezy.

– Posłaliśmy – odezwał się wreszcie Jan tonem bez wyrazu. – Widać w ostatnim czasie zbyt wiele zamtuzów postawiono w Rzeczypospolitej, by można cię było znaleźć.

– Nie z bywania w zamtuzach jestem znany. Zasięgnij języka, opowiedzą ci o moich zasługach. A że różnie nas Bóg kształtuje, to już jego rzecz. Nie mi rzyć po dworach wygrzewać...

– Zaniechaj – wtrącił się Jan. – Spróbowałbyś raz u nas rzyć zagrzać, szybko byś sobie ją sparzył.

Znów jechali, jakby każdy z nich nabrał wody w gębę. Milczenie z kilku pacierzy przedłużyło się na całą mszę. Później sumę. W końcu Jacek, palony ciekawością, bo chciał o to spytać już wcześniej, odezwał się:

– Te żmijowe sługi. Prawda to, że w smoka mogą się zamienić?

– Nie widziałem tego. Podobno onegdaj tak bywało.

– A to jajo? Nigdy do mnie słuch o nim nie dotarł.

– Nie wiem nic nad to, co już rzekłem. – W głosie Jana nie było zniecierpliwienia. – Zrządzeniem bożym dowiedzieliśmy się, że ostatki zakonu na naszych ziemiach miały siedzibę, musieliśmy więc uderzyć w nich, na chwałę Rzeczypospolitej i rodu Kobielskich. To była nasza powinność i jedyny cel, jaki nam przyświecał. Nie po łupy tam jechaliśmy.

Jan nagle wyprostował się w siodle i nieznacznie przyspieszył, wysuwając się do przodu. Jacek nie musiał widzieć wyrazu jego twarzy, by wiedzieć, co się dzieje. Sprawdził pistolet i zrównał się z bratem. Tamten przyłożył palec do ust. Nasłuchiwali. Nie minęła chwila, gdy Jan poderwał konia i krzyknął:

– W długą!

Padł strzał. Jacek ruszył galopem, zaraz za bratem. Kiedy się obrócił, dostrzegł trzech swawolników. Wyglądali na Kozaków. Nosili tylko luźne koszule i hajdawery wsadzone w wysokie buty. Nawet w dzień tak słoneczny jak dziś było to zdecydowanie za mało. Ich ogorzałe gęby zbyt wyraźnie mówiły, co ich grzeje. Musieli mieć już nieźle w czubie.

Ktoś wypalił ponownie.

– Patrzyć, robaki, gdzie wam kule nosi! – Głos zdał się Jackowi znajomy. – Żywceć brać mi psubratów! W konie strzelajcie, w konie!

Lufy pistoletów jęknęły z hukiem. Koń Jacka stanął dęba. Spłoszył się i ruszył przed siebie. Po kilku krokach jednak runął na ziemię. Młodszy Kobielski zeskoczył z niego zwinnie, ściskając w garści pistolet, po czym obrócił się i wypalił.

Jeden z atakujących chwycił się za pierś i zawirował niczym w opętańczym tańcu. Pozostali ruszyli na szlachcica.

Jan wciąż pędził, przyciskając głowę do końskiej szyi. Przed nim wyrosła kolejna trójka awanturników. Prócz nich dojrzał jeszcze dwóch jeźdźców, wypadających spomiędzy drzew. Nie czekając, aż tamci wypalą, zerwał się nagle z siodła i wyskoczył w górę, chwytając jedną z gałęzi zwieszonych nad gościńcem.

– A to mały syn! – zakrzyknął któryś ze Kozaków. Akurat na chwilę przed tym, nim dosięgła go kula Jana.

– Bodajby cię sobaka w rzyć jebat! – zaklął drugi i jakby głosem przyciągnął wystrzelony przez starszego Kobielskiego kolejny pocisk, bo zaraz gębę rozdarła mu paskudna rana, a on sam padł bez ruchu. Pozostali, bojąc się już odzywać, czmychnęli między drzewa.

– Poddaj się! – nakazał jeden z jeźdźców. – Poddaj się, bo wiesz, że bożym prawem śmierć z mojej ręki jest wam zasądzona!

Jan, schowany w koronie drzewa, jął nabijać pistolety. Jeszcze nim skończył, usłyszał dwa strzały, a kule ze świstem strąciły przy nim liście.

– Nie tak się umawialiśmy! – kontynuował jeździec. – Wyraźnie było powiedziane, że jak imć Jacka znajdziemy, możemy go przed ołtarz prowadzić.

Młodszy Kobielski zamarł w bezruchu, co o mało nie kosztowało go życia. Ostatni z trzech Kozaków, z którymi się mierzył, pomimo rany, wyprowadził mocne cięcie, celując w pierś. W ostatniej chwili Jacek uskoczył i bił go przez łeb. Tamten jęknął tylko i zwałił się na trakt przy swoich towarzyszach.

Dopiero teraz Jacek poznał ten głos. Rychły. Jego twarz zdobiły poparzenia wystające spod brudnego opatrunku. W jednej ręce, tej, w której brakowało palców, trzymał lejce, w drugiej bandolet. To dlatego Jacek nie ruszył w jego

stronę.

– O czym on mówi? – zawołał do brata.

Zamiast odpowiedzi padł kolejny wystrzał, a z korony drzewa, na którym siedział Jan, wzniósł się kłęb prochowego dymu. Schowany w zaroślach Kozak, nabijający właśnie broń, wypuścił ją z rąk i rozłożył się na ściółce, jakby zmęczony po długiej podróży padał właśnie na łożo w lupanarze.

– Nie sztuka to walczyć, jak mała pa po drzewach skacząc! – zawołał Rychły. – Złaż i zmierz się ze mną, jak szlachcicowi przystoi!

– Co szlachcicowi przystoi, a co nie, to nie tobie osądzać, psiarzu! – odkrzyknął Jan. – Kto w plecy strzela i nasadza się w lesie jak pospolity zbój, w moich oczach mniej ma praw niżli najbardziej zawszony chłop!

Rychły chciał zripostować, ale ponownie rozległ się huk i głowa jego rozwarła się jak nadtłuczony dzban. Część policzka odpadła i trzymając się tylko na opatrunku, odsłoniła krwawą czeluść. Awanturnik odchylił się w tył, puścił bandolet i przytrzymał siodła. Trwał tak chwilę, aż padł pod kopyta swojego wierzchowca.

Ostatni z napastników ruszył teraz w długą, nie oglądając się za siebie.

Jan zeskoczył na ziemię. Schował pistolety za pas i zagwizdał. Nie wiedzieć skąd na trakcie pojawił się jego koń. Biegł w stronę szlachcica. Gdy był już przy nim, Jan poklepał go przyjaźnie i wskoczył na siodło.

– No to po sprawie – stwierdził, niemal radośnie. – Szczęściem ostał ci się koń po tych kiepach.

Jacek nie poruszył się. Nie schował szabli. Jego wąs przesunął się z lewa na prawo i z powrotem.

– Została jeszcze jedna sprawa do załatwienia – wycedził. – O czym ten psiarz mówił?

– Zróbmy, co mamy zrobić, a wtedy przyjdzie czas na wyjaśnienia.

– A więc to prawda? Napuściłeś łotrów na własnego brata?

Jan zbliżył się.

– A co żeś myślał? – zapytał twardo. – Że ja mam czas cię po całym kraju, a może i poza granicami szukać? Że będę jeździł za tobą i prosił cię, byś wrócił? Już dość pachotków za tobą posłano. A tak jeszcze mi podziękował, że się zjawiłem.

– Złaż z konia i stawaj! – Jacek uniósł szablę.

– Zaniechaj, bo to nie teatr, byś sztuki odstawił.

– Stawaj, powiedziałem!

Jan zszedł z konia. Nie dobył jednak broni.

– Pamiętaj, co mamy do zrobienia. Ojciec...

– Moim ojcem gęby sobie nie wycieraj. Winien żeś mu to za to, że cię przyjął

jak swego. Mógł cię wraz z matką naszą przegnać, ale nie zrobił tego, bo zbyt dobre miał serce. Dał ci nazwisko, pod herb przygarnął. Za złe mu masz, że o mnie dbał lepiej? Ciesz się, bękarcie, że mimo sromoty, jaką mu przyniosłeś, synem cię nazwał.

Twarz Jana zmieniła się. Ostatnia obelga odcisnęła na niej piętno. Wcześniej kamienna, teraz nabiegła krwią i rozgorzała od gniewu. Dobył broni i natarł na brata. Zwarli się. Raz i kolejny. Szable dzwoniły opętańczo i zdawało się, że aż ziemia drży przy każdym ciosie. Cięli zawzięcie, z boku, z góry, z dołu. Nie każdy cios został sparowany. Już wkrótce na ramieniu Jacka wykwitła paląca rana. Nic sobie z niej nie robiąc, jeszcze bardziej przykładał się do każdego uderzenia. Cięcia stawały się coraz gęstsze. Jacek wyczuwał, że brat nie chce zrobić mu krzywdy. Że już ochłonął. Sam jednak nie potrafił zapanować nad gniewem i przerwać starcia. W końcu wychwycił moment nieuwagi i ciął w pierś.

Jan zachwiał się i cofnął kilka kroków. Jacek doskoczył do niego i przyłożył mu pióro szabli do szyi. Stali tak bez ruchu dobrych kilka chwil. Młodszy z Kobielskich nie patrzył bratu w oczy. Pod rozdartym kontuszem czerwieniło się szerokie rozcięcie. Ale to nie ono przyciągało wzrok Jacka. Znów poczuł ten sam dreszcz, który przebiegł mu po plecach, kiedy stali przy łożu ojca.

– *Sancte Deus* – wyszeptał.

Skórę Jana, nierównymi płatami, porastały łuski.





## IV

– Wielu wierzy, że smok pokonany przez świętego Jerzego to pradawny Żmij i że właśnie to dzięki temu skończyła się jego sukcesja na ziemi – rzekł Atanazy Wielecki, z głową zatopioną w rozpadającym się woluminie. Wyglądał starzej niż ich ojciec. Przygarbiony, pokracznej postury, ze skórą zeschniętą i zmarszczoną w niczym nie przypominał szlachcica, o którym kiedyś opowiadał im rodzic.

Do tego ta chata. Atanazy nie mieszkał w dworku. Ledwo znaleźli jego siedzibę, pomimo mapy przysłanej z ostatnim listem. Chałupa stała w głębi lasu, a starzec mieszkał w niej zupełnie sam. To tylko wskazywało, że musi mieć w sobie więcej siły, niż się zdaje.

– Gdy smok został ubity – mówił dalej – jego ciało rozpadło się na miliony części, z których powstały żmije oraz węże. Ponoć gady ze zewłoku Żmija pochodzące, gdy w odpowiednich warunkach rosną, mogą same zostać smokami. Opis takiego stwora znajdziecie na ten przykład u Gesnera, gdzie siedmiogłowa bestia jest opisana. Ale nie tylko tam. Niektórzy mówią przy tym, że Żmij i smok to nie to samo i że jeden drugiego zwalcza, ale to raczej z niezrozumienia wynika. Bo patrzcie zatem na ludzi: jest król, są poddani. Wszystko to człowiek. A nawet poddani jednego króla walczą ze sobą.

Bracia Kobielscy słuchali z uwagą. Jacek, pomimo zmęczenia bezsennymi nocami, nabrał przez ciekawość nowej siły. Było już dawno po zmierzchu i nawet rozkołysane światło świec nie działało na niego usypiająco.

– Jajo, o którym pisałem – ciągnął Wielecki – o ile w ogóle istnieje, musi się skrywać w pradawnym sanktuarium zakonu.

– Gdzie go znajdziemy? – zapytał Jan.

Atanazy uniósł głowę. Jacek zauważył, że w spojrzeniu jego, jakim od samego początku obdarzał starszego Kobielskiego, skrywa się niechęć, nieumiejętnie tajona. Widział to już czasami w oczach innych, którzy wiedzieli, że Jan nie jest dzieckiem z prawego łóża. Czyżby jego ojciec pisał o tym Wieleckiemu?

– Nie będzie to proste – odparł starzec. – Gdyby było to wiadome, już dawno pewnie ktoś rozkradłby świątynię. – Atanazy wyprostował się i wsparł o oparcie ławy. – Dziś już jednak nic nie wskóramy. – Upił łyk wina z glinianego kubka. – Mnie już zupełnie w gębie zaschło. Jutro myśleć będziem, gdzie poszukiwania zacząć. Teraz przygotuję wam jakąś strawę i udam się na spoczynek.

Gdy Atanazy przygrzewał gęstą zupę, przyjemnie pachnącą grzybami, bracia milczeli. Cała chata składała się tylko z jednej izby. W jednym kącie stał stół i kredens, w drugim łóżko i skrzynie. Piec znajdował się na środku. Teraz rozgrzany był tak, że Kobielscy musieli zrzucić z siebie żupany i siedzieli w samych koszulach. Wieleckiemu widać odpowiadały takie temperatury, bo nie zdjął grubego kożucha, który nosił na grzbiecie.

Kiedy strawa stanęła na stole, Atanazy nie usiadł z nimi. Udał się po drzewo i pomimo protestów obu braci, nie chciał pomocy.

– Niepokoję się, czy zdążymy – odezwał się Jacek, gdy za tamtym zamknęły się drzwi. Siedział zawieszony nad miską, ale nie miał apetytu. Już od dawna doskwierał mu brak kobiet, który, poza bezsennością, zaczął objawiać się również w ten sposób.

– On wie – rzekł Jan, przetykając zupę. – Miarkuje chyba, czy może nam zaufać. Jutro się wszystko okaże. Wcale nie będziemy musieli szukać tego miejsca. On już je znalazł.

Reszta posiłku minęła w milczeniu. Jan zjadł ze smakiem, Jacek nabrał tylko kilka łyżek. Atanazego wciąż nie było.

– Gdzie ten staruch się podziewa? – zainteresował się młodszy szlachcic. Wstał od stołu i podszedł do okna. Przez mętne błony widział tylko całkowitą ciemność. Równie dobrze mógł zajrzeć sobie do rzyci. Odwrócił się i nagle zakołatało mu w głowie. By nie upaść, oparł się o ścianę. Przez chwilę przed oczami się migały mu tylko czarne plamy, potem dojrzał brata. Spał, rozłożony na stole, jak po tęgiej biesiadzie. – Psi syn! – zaklął Jacek i chwiejnym krokiem wrócił do stołu. – Kurewnik chędożony! – Strącił ze stołu miskę z zupą i potrząsnął bratem. Tamten nie zareagował.

Drzwi do chaty otwały się.

Jacek porwał leżący przy stole stołek i rzucił nim na oślep. Atanazy odskoczył, zaskakująco zwinnie. Na jego twarzy widać było zdziwienie.

– Waść nic nie pojmujesz! – krzyknął do Jacka. – Nie wiesz nawet, w co brat waści się wplątał.

Młodszy Kobielski, nie zwracając uwagi na jego słowa, rzucił się do swojej szabli. Nim do niej dotarł, wyłożył się jak długi, potknąwszy się najpewniej o swoje nogi, bo nic innego mu na drodze nie stało. Gdy poczuł oręż w ręce, zyskał nieco sił. Akurat tyle, by wstać z trudem.

– Wybigosuję cię, padalcu! – rzucił się w stronę starca.

Wielecki nie wyglądał już na osłabłego. Nie garbił się też tak bardzo. Z łatwością uskoczył przed ciosem, chwycił Jacka i cisnął nim na drugi koniec izby.

– Nie chcę robić waści krzywdy – przyznał przy tym.

Jacek padł na klepisko z głuchym tąpnięciem. Nie wypuścił szabli, ale nie miał już sił, by się podnieść. Czując ból we wszystkich kościach, zwrócił się tylko w stronę starca. I wtedy je zobaczył.

Żmije. Takie same, jakie widział na trakcie. Były ich setki. Wpełzały przez uchylone drzwi jak woda w czasie powodzi. Zaczęły się kotłować na środku izby, tworząc rosnący wir. Po chwili całe kłębowisko przybrało kształt ludzkiej postaci

i zaraz rzeczywiście zmieniło się w coś, co mogło być człowiekiem. W wysokiego mężczyznę, na którego piekielną chudość przykro było patrzeć.

Wyglądał jak głodzony tygodniami. Nad zapadłymi policzkami świeciły oczy o pionowych źrenicach. Łuski zniknęły i spod nich wyglądała zszarzała skóra. Przyrodzenie stwora wiło się, jakby miało własną wolę. Pewnie gdyby je odciąć, ruszyłoby w swoją stronę. Jacek miał nadzieję się o tym przekonać.

– Jest tutaj. Wyczułem je – odezwał się do niego Wielecki. – Ten pies je ma! – Wskazał Jana.

Żmijowa istota zwróciła się w jego stronę. Tamten wciąż był bez przytomności. Podeszła do niego i dotknęła go, odchylając głowę niczym podróżnik zachwycający się zapachem powietrza na górskim szczycie. Spomiędzy jej warg wysunął się rozdwojony język.

– Nie waż się go tknąć, diable! – Jacek próbował wstać, jednak nawet wspierając się na szabli nie miał dość siły, by to zrobić. Żmijowe oczy przeszły go spojrzeniem.

– Zostaw go. Nie jego w tym вина – wstawił się za nim Atanazy.

Stwór stracił nimi zainteresowanie, ujął Jana na rękę, jakby brał z kołyski małe dziecko, i wyszedł z izby. Jacek wciąż mógł go obserwować z miejsca, w którym leżał. Tracił już wiarę w to, co widzi. Przecież wszystko to mogło być jedynie omamem wywołanym trucizną, którą Wielecki musiał dodać do ich posiłku. Bo jak wytłumaczyć to, że skóra na plecach stwora zaczęła nagle pulsować, wyrzyszczać się, aż w końcu pękła niczym suchy pergamin, a pod nią pojawiła się para błoniastych skrzydeł? Czy można dać wiarę temu, że stwór wzbił się w powietrze i uniósł jego brata jak orzeł porywający zdobycz? Gdyby ktoś opowiedział mu o tym w karczmie, pewnie by go wykpił.

– Gdzie go zabrał? – wybełkotał Jacek, znów próbując powstać.

– Nie pojmiesz tego – kolejny raz starał się wytłumaczyć Wielecki. – Zaniechaj, wracaj do siebie. Dla twojego ojca nie ma już ratunku, ale dla ciebie jest. Nie zwabiłbym was tutaj...

– Kiedy uknułeś ten podstęp? – wszedł mu w słowo Kobielski. – Jak żeś to sobie obmyślił?

– Waści brat sam sobie winny. Nie powinien porywać się na nasz zakon.

– Zginiesz za to. Przysięgam, że nie daruję ci życia. – Jacek począł czołgać się do leżącego przy kontuszu pasa. Liczył, że Wielecki nie dojrzał leżącego pod nim pistoletu.

Ten milczał. Stał przygarbiony, znowu bardziej będąc podobnym do człowieka, który przywitał ich tego popołudnia. Wokół niego hulał wiatr, wpadający przez niezamknięte drzwi. Część ze świec zgasła. W końcu starzec wyprostował się i zaczął, nie patrząc na Kobielskiego:

– Nie wiesz, waść, co twój brat uczynił, i może lepiej, jeśli się tego nie dowiesz. Wiedz tylko, że zgubę przyniósłby nie tylko na dom wasz, ale na całą Rzeczpospolitą. Niesłusznie mnie więc oceniasz, bo w dobrej wierze działałem. Wywar, który wam zadałem, jest nieszkodliwy. Rankiem sam się o tym przekonasz. Ubolewam, że ojcu waści pomoc nie zdołałem, ale...

Izbą wstrząsnął wystrzał. Jacek ucieszył się, że trafił. Atanazy, gnąc się w pół, przycisnął rękę do brzucha. Spomiędzy palców wypłynęła krew. Patrzył na nią przez chwilę, zdziwiony tym widokiem, po czym powoli osunął się na klepisko.

– Z raną w brzuchu długo będziesz konał – rzekł Jacek, szukając drugiego pistoletu. – Powiedz mi, jak brata znaleźć, a daruję ci męki.

Wielecki jęknął. Na jego twarzy nie było jednak widać bólu.

– Waść błąd popełnił – stwierdził. – Ale nie mam żalu. Brata nie szukajcie, dla niego nie ma już nadziei. Kiedy waść wydobrzeje, zajrzyjcie za to do tamtej skrzyni. – Wskazał palcem znajdujący się pod ścianą kufer. – Klucz mam przy pasie. W niej są odpowiedzi i sposób opisany, jak zło, które waści brat sprowadził, przegnać. I niech opatrzność sprawi, że nie będzie koniecznym go użyć. A teraz czyńcie, co wasza wola.

Jacek strzelił ponownie. Celował w głowę. Tym razem jednak strzał był chybiony. Przy uchu Atanazego zatrzeszczała deska i wiatr miał kolejną drogę, którą mógł wdrzeć się do izby. Kobielski już tego nie widział. Ułożył głowę na klepisku i osunął się w czarną czeluść, jaka stanęła mu przed oczami.

## V

Ranek otulił las mglistymi wstęgami. Wilgotne obłoki przesuwały się z wolna, podobne w tym ruchu do chmur kłębiących się na niebie. Jacek obserwował je bezmyślnie przez otwarte drzwi chaty, zanim zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Dopiero po tym stanęły mu przed oczami wydarzenia wczorajszej nocy. Poderwał się. Sen w wyziębionej izbie odcisnął na nim piętno i teraz każdy ruch sprawiał mu ból. Niczym stuletni starzec podniósł się z trudem. Zgięty musiał przytrzymać się ławy, by wyprostować plecy.

Atanazy wciąż siedział pod ścianą. Jego szkliste spojrzenie mówiło, że sam się już z tego miejsca nie ruszy.

Kobielski, przypomniawszy sobie słowa starca, przywłókł się do niego i jął przy jego pasie szukać klucza. Znalazł ich pięć. Zerwał wszystkie i ruszył do skrzyni stojącej w rogu izby. Trzeci pasował. Podniósł wieko z takim przejęciem, jakby pierwszy raz unosił suknię noszoną przez kobietę, którą pożądał. Wnętrze kufra okazało się jednak o wiele mniej atrakcyjne. Sterta listów. Spisana po łacinie księga. Trzy skórzane tuby, w których znalazł wiekowe zwoje. Jeden sporządzony w języku, którego nie poznawał, pozostałe łaciną. I na końcu skórzany worek.

Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Liczne przetarcia świadczyły o tym, że był w użyciu przez długie lata. Przez materiał rysował się niewyraźny, obły kształt.

Jacek rozplątał zamykający go rzemień. Z wnętrza wyjął szlifowany kamień w kształcie jaja. Znajdowało się na nim okrągłe wgłębienie, w którego środku wydrążono dziurę. Nie przechodziła ona jednak na wylot i nie wydawało się, by kamień miał pełnić rolę wisiora czy innej ozdoby. Zważył go w rękach. Powąchał. Poczł dziwną woń. Przez zapach, jaki czasami wydają nagrzane na słońcu kamienie, przebijał się smród podobny do nieświeżego psiego oddechu. Jacek skrzywił się i ponownie schował jajo do mieszka. Nie odłożył go jednak do skrzyni. Czy to miało być to pełne mocy jajo Żmija?

Wiedział, gdzie powinien szukać odpowiedzi.

Zamknął w końcu drzwi do chaty, zrzucił ze stołu wszystkie zalegające na nim rupiecie i rozłożył na blacie zawartość kufra. Ubrał się, a zwłoki Wieleckiego przykrył pierzyną znaną w jednej ze skrzyń. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo mu zimno. Rozpalił ogień. Ze swoich tobołów wygrzebał trochę suszonego mięsa. Zdziwiło go, że zgłodniał. Podobnie jak to, że tej nocy spał najlepiej od dawna i pozwoliło mu to nabrać nowych sił. Kiedy oporządził już wszystko, nalał wina do glinianego kubka i zasiadł nad pergaminami.

Nie miał pewności, czy może im wierzyć. Listy opisywały wszystko dokładnie. Mogły jednak zostać sfałszowane. W końcu Wielecki już raz ich oszukał, zwabiając do swego domu. Jeśli to, co stało na tych kartach, było prawdą, być może czeka go walka nie tylko o własne życie, ale i o los świata. Uśmiechnął się kwaśno na myśl o tym, jak fatalnie to brzmi. Nawet wędrowni dziadowie unikali w swoich historiach tego typu frazesów.

Jeszcze raz obejrzał kamienne jajo. Znalazł w końcu wzmiankę o nim. Wrócił do znalezionych w tubach zwojów, bo do nich prowadziły zapiski. Gdy przeczytał dokładny opis dziwnego przedmiotu, znów schował go z odrazą. Miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć.

Nie zauważył nawet, jak słońce ponownie zaszło. Zapalił kilka świec i pracował dalej. Przez cały czas nie skupiał się na niczym innym, nie opuszczał chaty. W końcu jednak musiał to zrobić. Wypite wino dawało o sobie znać już od dawna. Zabrał mieszki ze sobą, za pas wetknął pistolet i wyszedł.

Kiedy z ulgą wracał, dostrzegł, że ktoś jest w środku. Za mętnymi błonami okien zamigotała ludzka postać. Wielecki? Ta wężowa pokraka?

Jacek wyjął broń i podszedł do drzwi. Otworzył je ostrożnie i wszedł do środka. Ktoś stał przy stole, przeglądając zebrane na nim papiery. Był zwrócony tyłem, ale Kobielski rozpoznał go bez trudu.

Jan.

- Czy to, co stoi w tych listach, to prawda? – zwrócił się do niego.  
- Znalazłem to sanktuarium – odparł tamten, jakby nie słysząc słów brata. – Musisz się tam ze mną udać. Nie podołam samemu.

- Ciekawa historia, bo, jak widzę, wyrwać się ze żmijowych łap udało ci się bez trudu.

- Czas nagli.

Jacek uniósł pistolet i wycelował. Jego wąsy przeskoczyły z lewa na prawo i z powrotem.

- Skończ z tym. Ojciec nie przeżyje. Przez ciebie. Poświęciłeś jego życie, by móc...

Starszy Kobielski odwrócił się. Jacek przerwał wywód. Widok brata odebrał mu mowę. Na bladej twarzy Jana połyskiwały żmijowe oczy o pionowych źrenicach. Przez rozdarte ubranie wystawały plamy łusek, które widział wcześniej. Teraz były większe. Obrosły ranę zadaną mu w czasie pojedynku, wybrzuszony jak dachówki na bogatszych dworach.

- Nie pojmiesz tego – odezwał się starszy Kobielski. – To cię przerasta. Pójdź ze mną do sanktuarium.

- Wiem dość – skwitował Jacek. – Chytrze to sobie wymyśliłeś. Jak dowiedziałeś się o zakonie? Jak trafiłeś na jego ślad? Przeglądałeś listy ojca? Znalazłeś księgi? Wiem, że nie było żadnej wyprawy. Wykradłeś to jajo jak jarmarczny złodziej. I poświęciłeś życie ojca, by móc go użyć. By móc...

- ...posiąść moc Żmija.

- Nie uda ci się to. Odkryłem, po co tu jesteś. Po co szukałeś sanktuarium. Myślałeś, że wystrychniesz Wieleckiego na dudka? Że ten wskaże ci drogę do świątyni? Głupcze! Miarkowałeś, że ojciec i Wielecki walczyli z zakonem. Przeliczyłeś się jednak, bo do niego należeli.

- Nie wygląda na to, by wyszło mi to na złe. – Jan postąpił krok w stronę brata.

- Stój!

- Nie podołasz mocy Żmija. Nawet jego sługi nie podołały.

- Zaraz się przekonamy.

Jacek strzelił. Kula rozdarła pierś Jana. Z ciemnej dziury połała się krew. Jan cofnął się o krok, jednak wydawało się, że rana nie robi na nim wrażenia.

- Widziałeś kiedyś, by mysz pokonała kota? – spytał ze śmiechem.

- Mój ojciec przyjął cię jak swego, a ty sprowadziłeś na niego haniebną śmierć! Szczeźniesz z mojej ręki, choćbym miał diabłu duszę zaprzedać!

- Nie ma żadnych diabłów. I nie mów mi teraz o twoim ojcu. Nie ja go opuściłem. Trwałem przy nim przez lata, jak nędzny pacholek, a całe zaszczyty i tak zawsze przypadały tobie. Psu w rzyć takie uznanie. Choć służyłem mu jak

syn powinien, nigdy się nim czuć nie mogłem. Ale teraz koniec. Teraz już będę służył tylko sobie. Patrz!

Jan przyłożył ręce do brzucha i rozerwał skórę, jakby darł znoszoną koszulę. Spod czerwieni i flaków wyłoniło się białe, skrwawione jajo, większe nieco niż dwie pięści. Jego jasność biła spomiędzy obrastającej je tkanki. Z powierzchni ciągnęły się setki czerwonych nitek, rozrastających się na wszystkie strony, upodabniając je do pajęczego kokonu.

Jacek sięgnął do mieszka, który miał przy pasie i wyjął z niego wcześniej znaleziony kamień. Jeszcze zanim starszy Kobielski ruszył w jego stronę, wsunął go niepostrzeżenie do ust. Poczul na języku nieprzyjemny smak przetrawionego jadła. Przez ile kiszek musiał przejść wcześniej? Odgonił od siebie te myśli, zebrał w ustach trochę śliny i połknął wszystko. Akurat na chwilę przed tym, nim padł, obalony ciosem Jana.

## VI

Jacek widział kiedyś ryciny opisujące czarcie ceremoniały. Słynne drzeworyty z traktatu „De lamiis et phitonotis mulieribus” Urlicha Molitora. Ilustracje w „Compendium Maleficarum” Guazza, czy miniaturę na frontyście „Tractatus contra secta Valdensium” Tinctora. Wszystkie przedstawiały pełne grozy scenki, mniej lub bardziej śmiałe, pełne kości, dymiących kotłów i całowanych w zadki kozłów. Jednak to, co ukazało się oczom Kobielskiego, gdy odzyskał przytomność, z pewnością przyprawiłoby ilustratorów tamtych ksiąg o dreszcz przerażenia, a możliwe, że nawet o pełne portki.

Kamienna sala, w jakiej się znajdował, była ogromna. Kształtem przypominała Jackowi zwieńczone potężnymi sklepieniami prezbiteria, wielkością dorównując chyba temu, które widział we florenckiej katedrze świętej Marii. I tak jak na widok tamtego miejsca przepełniał go zachwyt, tak teraz ogarnęła go odraza, przez którą przebijał jednak podziw.

Urządzenie tego miejsca musiało kosztować wiele pracy. Ściany, sufit i podłoga zostały wydrążone w litej skale. Zdobily je liczne płaskorzeźby kłębiących się gadów. Strop podtrzymywał owalnie rozmieszczony rząd kolumn, kształtem upodobnionych do żmij z taką pieczołowitością, że trudno było ocenić od razu, czy stwory te nie są aby żywe. Całość oświetlały liczne, zawieszane na ścianach kryształy, mieniące się zielonym blaskiem. Wewnątrz pomieszczenia było przeraźliwie sucho.

Jacek znajdował się w części przeznaczanej na ołtarz. Leżał na nim, skrępowany. Czuł chłód bijący od kamienia. Pod nim rozciągał się dywan martwych żmij, tych samych, które widział na trakcie.

Jednak najgorsze było to, co stało na środku sali. Bestia, która musiała być Janem.

- Raduj się - rzekła niewyraźnie, ochryplym głosem. Jej słowa brzmiały tak, jakby sfora wściekłych wilków starała się przemówić jednocześnie. - Jako pierwszy możesz zobaczyć mnie w pełni mojej smoczej potęgi! - Sam jej łeb był większy od Jacka. Kształtem przypominała żmiję. Z podłużnego cielska wyrastały jednak dwie pary łap, zakończonych szponami. Stwór unosił się w powietrzu, uderzając miarowo błoniastymi skrzydłami.

- Jeszcze... nie... w pełni - wycharczał z trudem Jacek. - Potrzebujesz do tego krwi krewniaczej. A tej jeszcze nie dostałeś. Gdybyś nie był bękartem, starczyłoby życie mojego ojca, które poświęciłeś. A tak...

- Nic nie wskórasz. Czekam tylko na pełnię. Gdy padnie na ciebie blask księżycy, będzie po wszystkim.

Jacek dopiero teraz zauważył wąską smugę srebrnego światła, wpadającą przez dziurę w samym sercu sufitowej kopuły. Nie widział jej ruchu, ale domyślał się, że przesuwa się w jego stronę.

- Żmij ze swej natury nie jest dobry ani zły - zaczął deklamować nagle, jakby opętały go duchy. - Wszelako nie można dopuścić, by ktoś o czarnym sercu jego mocą zawładnął, bo taki wtedy tylko zło jest czynić zdolnym. Dlatego, gdy posiadł kto taki jajo Żmija i innej drogi już nie ma, jest sposób, by równą walkę z nim stoczyć. Kto jednak się na nią poważy, liczyć się musi z tym, że albo sam żmijową moc przejmie, albo zwróci ją, samemu jednak życie tracąc.

- Postradałeś zmysły, bracie - skwitował to Jan. - Ale już wkrótce twe męki ustaną.

- Zmysły moje mają się dobrze - odparł młodszy Kobielski. - O twój dowcip się jednak martwić wypada. Boś jedną rzecz przeoczył. W papierach Wieleckiego zostało to opisane. Kto przyjmie jako prowiant pradawny kamień ręką pierwszych, przez Żmija natchnionych wykonany, ten, gdy w pobliżu świętego jaja Żmija się znajdzie, również z jego mocy czerpać może.

- I cóż to ma znaczyć?

- A to, że ci zaraz twoją smoczą rzyć jako grzbiet krnąbrnego chłopca przetrzepię!

Jacek zerwał więzy i stanął na ołtarzu. Rozłożył ręce, jakby składał się do ukrzyżowania, i trwał tak przez chwilę, czekając nie wiadomo na co. Nic się nie stało. Bestia roześmiała się. Jej chichot wstrząsnął całą salą. Młodszym Kobielskim targnęły mdłości i z ust jego ułała się kwaśna, paląca gardło żółć. Poczul, jak coś w środku niego się porusza. Potem wydał z siebie przeraźliwy krzyk, jaki można usłyszeć czasem przy łamaniu kołem czy ćwiartowaniu końmi. Jego skóra pękła. Nie było jednak pod nią krwi. Pojawiły się łuski i już wkrótce cały był nimi pokryty. Jego ciało zaczęło się rozrastać niczym roślina, która czarcią mocą potrzebuje nie mniej niż pacierza, by w pełni rozkwitnąć. Patrząc



na własny cień zauważył z przerażeniem, że z jego pleców wyrastają skrzydła. Poruszył nimi niepewnie, wzniosł się na chwilę i stracił równowagę. Dopiero druga próba okazała się skuteczna. Gdy był już w powietrzu, manewrował nimi, jakby miał je od zawsze.

Nie czekał na reakcję brata. Tamten wpatrywał się w niego zaskoczony. Jacek uznał, że lepszej okazji nie będzie. Natarł na niego z całą siłą, samemu nie zdając sobie sprawy z własnej potęgi.

Dwa cielska uderzyły o ścianę. Komnata zadrżała. Trzepot skrzydeł wzbijał wokół tumany skalnego pyłu. Skrzek, jaki wydobywały z siebie stwory, mógł być porównywalny tylko z tym, co słyszał święty Jan Apostoł w swoich wizjach. Ogromne bestie napierały na siebie raz za razem, jakby walczyły ze sobą dwa głązy w toczącej się lawinie. Nie było w tym finezji szermierczych pojedynków. Nie było strategii bitwy. Była tylko pierwotna siła pozbawiona myśli. Pracujące mięśnie. Instynkt.

Rząd kolumn posypał się niczym zęby w karczemnej awanturze. Wśród pyłu i rozbijanych wokół kamieni bryzgały gęste strugi krwi, zdobiąc ściany i podłogę. Wyszczерzone zęby zabarwiły się na karminowo. Na szponach pozostały strzępy mięsa. Błoniaste skrzydła łopotały teraz postrzępione, podobne do masztów zmaltretowanych przez sztorm okrętów. Huk narastał i z sypiącego się sufitu zaczęły odpadać coraz większe kawałki skał, aż cały strop runął na walczących. Po dawnej potędze tego miejsca nie było teraz śladu.

Ostatkiem sił Jacek naparł na uciekającego przed zwalonymi kamieniami Jana. Kilka ze skalnych odłamków uderzyło starszego Kobielskiego. Młodszy wykorzystał to i zatopił zęby w jego szyi. Szczęki zacisnęły się jak hiszpańskie buty. W tym samym czasie szpony Jacka zagłębiły się w trzewiach brata. Wśród płataniny flaków wyczuł wciąż tkwiące tam jajo. Teraz wydawało się tak małe... Wyrwał je i odleciał kawałek.

– Pełnia... Krew... – wyjęczał Jan.

Stali w leju powstałym po zawaleniu się groty. Księżyc w pełni oświetlał ich mglistym blaskiem.

– Żegnaj, bracie – odezwał się Jacek i uderzył na Jana po raz ostatni.

## VII

Przygotowania do pogrzebu ojca już trwały, kiedy Jacek zjawił się na dworze. Szybko wydał rozporządzenia, z którymi klucznica czekała na jego osąd, i oddał jej pod pieczę całe przedsięwzięcie. Sam chciał tylko dopilnować spraw związanych z portretem trumiennym i testamentem.

Z jego powodu już zaczęła zjeżdżać się dalsza rodzina. Jacek opóźniał oficjalne czytanie, podobnie jak śłanie powiadomień o śmierci Jana, nie chcąc dawać pretekstów do waśni i wyrywania sobie pozostawionego po ojcu majątku.

Nie łudził się jednak, że do tego nie dojdzie. Chciał tylko rozegrać wszystko tak, by ceremonia mogła przebiegać możliwie spokojnie.

Stary Kobielski życzył sobie pogrzeb skromny. I taki też się szykował. Dopiero drugi Jacek obmyślał jako prawdziwie godny rodzica. Może i nawet króla. Wszystko tak, jak zostało wystawione w „Rituale Romanum”. Nie szczędził na to środków. Sam katafalk, będące świadectwem rozpacz *castrum doloris*, więcej miał być warty niż niejedna wieś.

Ciało ojca spoczywało teraz w stołowej izbie, w cynowej trumnie z niewielkim okienkiem na wysokości głowy. Do ziemi miało zostać złożone jutro.

Kiedy Jacek wszedł do tego pomieszczenia, klucznica przebiegała właśnie z miotłą spod jednej ściany pod drugą.

– Żmije – rzekła na widok Kobielskiego. – Od kilku dni pełno ich po całym dworze.

Jacek schylił się i podniósł gada, który uciekł w jego stronę. Żmija owinęła smukły ogon wokół nadgarstków szlachcica i wysunęła rozwidlony język.

– Daj im pokój – nakazał Kobielski. – Myszy przynajmniej wyłapią. Przed zimą pełno ich będzie się po spiżarniach chować.

Kobieta nie skomentowała, choć w jej oczach widać było lekki przestach i odrazę. Zaraz jednak znów jej twarz przyjęła radosny wyraz. Klucznica stała przed Jackiem, międląc kij od miotły, jakby wyżymała ścierkę, podobna przy tym do panny chcącej zapytać o kawalera, który właśnie wywarł na niej nie lada wrażenie.

– Dwór nie może stać bez pana – odezwała się wreszcie. – Pan Jan nie wiadomo kiedy wróci. I czy w ogóle... – urwała na chwilę, jakby w obawie, że wyrzekła za dużo. Nie widząc jednak zmiany na twarzy Jacka, ciągnęła dalej: – Teraz wszystko na panu spoczywa. Proszę o wybaczenie, że się ośmielam, ale jeśli nie panu rzyć grzać po dworach, to...

– Zostanę – przerwał jej Jacek. – Czas na to najwyższy.

Właściwa jej pewność siebie wróciła i kobieta uśmiechnęła się. Skinęła przy tym głową, jakby gestem tym chciała przypieczętować obietnicę. Patrzyła na Jacka jak na syna, który dziękuje jej właśnie za cały trud włożony w wychowanie. I tylko przez chwilę po jej kręgosłupie przebiegł dreszcz, chłodne mrowienie, kiedy spostrzegła rozwidlony język, wysuwający się z paszczy wpatrzonyj w nią żmii.

# CO DWIE GŁOWY, TO NIE JEDNA

Krzysztof Rewiuk

Ostatnia dziewczyna nie grzeszyła urodą.

Jej wstrzemięźliwość w tym zakresie chwalebnie kontrastowała z okolicznościami przyrody, które śmiało mogłyby stanowić alegorię siedmiu grzechów głównych. Pośród rozrzuconych na polanie drogocennych kobierców, kufrów z kosztownościami, stosów bogato zdobionych sukien i futer poniewierały się wielkie gliniane dzbany i złocone misy z resztkami jadła. Była więc pycha, która kazała władcy małego przecież królestwa zgromadzić wszystkie te skarby w jednym miejscu. Była też chciwość – subtelnie ukryta w rozsypanych przy drodze monetach, skutecznie kielznana tradycją korzystania na wyprawie tylko z jednego wierzchowca. Była nieczystość – widoczna na rzuconych niedbale pod drzewem męskich gaciach czy jedwabnych damskich pończochach przewieszonych przez pokrywę jednego z kufrów. I była zazdrość – zalewająca falami serce młodego rycerza, kiedy wspominał mijanych wcześniej na szlaku starszych kolegów po fachu. Wracali z góry, unosząc w siodłach uratowane dziewczyny – wesole, ochocze, rozśpiewane. A przy tym zdecydowanie ładniejsze.

Bo była też ona – istna apoteoza nieumiarkowania w jedzeniu i piciu spoczywająca pośrodku polany, na stosie piernatów. I on – stojący nad jej ciałem w licej, poobijanej zbroi, z uniesioną przyłbicą, z namysłem dłubiący w nosie – chwilowo wyobrażenie lenistwa.

Dziewczyna zamruczała coś przez sen i wolno przewróciła się na drugi bok, odsłaniając zaczerwieniony policzek. Niczym echo odpowiedział jej z góry inny pomruk, znacznie głębszy i budzący pierwotną grozę.

No właśnie – bo był wreszcie gniew. Dziki, zwierzęcy, nieokielznany. Przedwieczny. Chwilowo drzemiący, jak ostatnia spośród złożonych mu ofiar. Nikt jednak nie potrafił przewidzieć, kiedy się obudzi.

Świadomość tego faktu sprawiała, że młodzieńcem targały uczucia ambiwalentne. W pierwszym momencie, gdy ujrzał swoją nagrodę, miał zamiar zawrócić i spróbować kolejny raz w przyszłym roku. Teraz, stojąc przez chwilę u wejścia do jaskini bestii, nie był już pewien, czy chciałby tu wrócić ponownie.

*Może to tylko czary?* – pomyślał. Pochylił się nad twarzą śpiącej dziewczyny, zamknął oczy i wyduł usta do pocałunku. W nozdrza uderzyła go przejmująca woń skwaśniałego wina. Równocześnie usłyszał niskie dudnienie i poczuł drżenie ziemi pod stopami.

„Lepszy wróbel w garści...” – mawiał w podobnych sytuacjach ojciec. „Jak się nie ma, co się lubi...” – powtarzała często matka. Rycerz westchnął, dźwignął pijaną dziewczynę, zatoczył się pod jej ciężarem i przerzucił jej bezwładne ciało przez końskie siodło. Rumak obrócił łeb i spojrzał w jego stronę z wyraźnym wyrzutem. Młodzieniec udał, że tego nie widzi. Chwycił za wodze, po czym ruszył w powrotną drogę.

„Darowanej dziewicy nie zagląda się...” – to już powiedzonko, które wymyślił samodzielnie. Szkoda tylko, że końcówka nie chciała się zrymować.

Za jego plecami, z jaskini na szczycie góry sączyły się strużki dymu. Dwie.

\*\*\*

– Dwie. W tym właśnie cały problem.

Król Karol, wypowiadając te słowa, pochylił się konfidencjonalnie w stronę mistrza Fantazego. Mędrzec odruchowo rzucił okiem na wiszący nad tronem proporzec z herbem królestwa. Władca uchwycił to spojrzenie, sam łypnął ku górze, po czym pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak, nie powiem, dwugłowy smok to jest prestiż! Ale normalny, nie takie nie wiadomo co!

Odchylił się i zamachał w powietrzu nogami. Mały król, małe królestwo, wielki tron.

– Czy mógłbyś, panie, opisać dokładnie wygląd swojego smoka? – zapytał spokojnie Fantazy.

– Smok, jaki jest, każdy widzi – obruszył się monarcha, wskazując po kolei na proporzec, wiszące nad oknami tarcze herbowe i wreszcie mozaikę na podłodze sali tronowej.

– Ale... tak abstrahując od wyobraźni artysty? Wielkości trzech koni pociągowych? – drążył mędrzec.

– Bliżej jednego... kuca... Ale takiego wyrosniętego!

– Głowy jaszczurcze?

– Raczej węzowe.

– Łuski krwistoczerwone?

– Wpadające w brudny brąz.

– Tak myślałem – powiedział Fantazy. – To smok mistrza Kraepelina. Zwany również bestią Bleulera. Niezwykle rzadki gatunek. I niezwykle podatny na *schisis phrenis draconidae*. Smocze rozdwojenie jaźni.

– Schisis-srisis! – skomentował Jego Wysokość. – Zwykła pierdoła, niezdolna do robienia niczego, co smok robić powinien!

– Przyznasz, panie, że można to traktować jako pewnego rodzaju zaletę – zauważył ostrożnie Fantazy.

– Rzeczywiście... Nauczyliśmy się z tym żyć. Nasza królewska małżonka wpadła nawet na pomysł zorganizowania przy smoczey jamie czegoś w rodzaju miejsca schadzek dla niecieszących się powodzeniem panien na wydaniu i ubogich rycerzy. Romantyczne okoliczności, nastrój grozy, garść dukatów na początek wspólnej drogi doprowadziły do zawarcia wielu udanych małżeństw... Rycerze ze swoimi wybrankami rozjeżdżali się potem po okolicach, niosąc opowieść o okrutnej bestii, której odwagą i podstępem wyrwali wspólne szczęście. To, że nikt z nich nawet nie widział z bliska smoka, nie miało większego znaczenia.

– W czym więc problem? – nie rozumiał mędrzec.

– Widzisz, mistrzu, na moim stanowisku – król wyprostował się na tronie – muszę myśleć globalnie i przyszłościowo. Smok, z perspektywy państwowej, ma znaczenie strategiczne. Jest po to, żeby chronić ziemię przed smokami innych królestw. – Władca wskazał ponownie na wiszącą nad jego głową płachtę. – Muszę mieć pewność, że w przypadku sąsiedzkiej inwazji zareaguje właściwie i nie pozwoli się zepchnąć z tego sztandaru.

– Myślisz, panie, że ktoś by się ośmielił? Legenda dwugłowej bestii sięga przecież dalekich krajów!

– Legendy, baśnie, mity... To użyteczne sprawy. Ale to nie bajka, my żyjemy w brutalnej rzeczywistości. – Król zmarszczył brwi, wycelował wskazujący palec w mistrza Fantazego i wrzasnął nagle: – Straż!!!

Zza tronu wyskoczyły dwie grupy zbrojnych w halabardy najemników. Żołdacy ruszyli w kierunku Fantazego, ale nim stary mistrz zdążył zrobić krok do tyłu, minęli go w pełnym biegu i podbiegli do wiszącego za jego plecami gobelinu. Zatrzymali się przy ścianie. Jeden z żołnierzy drzewcem broni uderzył w widniejące pośrodku sukna wybrzuszenie. Usłyszeli jęk, bardziej zdziwienia niż bólu, za tkaniną coś się zakotłowało i na posadzkę wypadło zwinięte w kłębek ciało. Strażnicy dźwignęli wystraszzonego młodzieńca pokaźnej tuszy.

– Szpiedzy, wszędzie szpiedzy! – skomentował z oburzeniem król.

– Rzucić go na pożarcie smokowi? – zapytał dowódca.

– Bardzo śmieszne! Przypomnij mi swoje nazwisko, kiedy będę szukał nowego błazna – odpowiedział z krzywą miną władca. – Do celi z myszami!

Wyprowadzany więzień kierował rozpaczliwe znaki w stronę Fantazego. Mędrzec udawał, że tego nie widzi. Pogłaskał się po brodzie i zwrócił do króla, kontynuując poprzedni wątek:

– Smoki Kraepelina mają rzeczywiście pewien problem z decyzywnością. Echa tego zjawiska odnajdujemy nawet w popularnym dziecięcym wierszyku:

*Raz smokowi w żłoby dano  
W jeden pannę,  
W drugi wiano...*

– Nie musisz mi tego tłumaczyć, mistrzu – podjął król Karol. – Widziałem to wielokrotnie na własne oczy. Wezwałem cię, żebyś wyleczył mojego smoka. Są na to jakieś sposoby?

– Magia. Czary. Zaklęcia. Nawet smocze egzorcyzmy. Ale umówmy się, to średniowiecze.

– Średniowiecze? – zmartwił się król.

– Średniowiecze! – potwierdził Fantazy.

– Coś innego? – zapytał z nadzieją Jego Wysokość.

– Mistrz Antropos Eleuteros proponuje metodę dość radykalną. Lobotomię...

Król pokiwał głową z zadowoleniem. Wyraźnie spodobało mu się słowo „radykalna”.

– Doszczętną... – kontynuował Fantazy.

Entuzjazm władcy nieco zmalął. Niektóre słowa lepiej brzmią w językach obcych.

– Z użyciem miecza dwuręcznego – dokończył mędrzec.

Król niepewnie przesunął kantem dłoni wzdłuż swojej szyi, wskazując jednocześnie drugą ręką na wiszący nad nim wizerunek smoka. Fantazy pokiwał głową. Władca skrzywił się z niesmakiem.

– Masz rację, panie – szybko potwierdził mędrzec. – Osobiście uważam omawiany sposób za barbarzyński. Żaden z operatorów nie przeżył jeszcze tego zabiegu.

– I tak bym się nie zgodził. – Król nerwowo machnął w kierunku proporców i mozaiki. – Trzeba by to potem pruć, skuwać... Wiesz, jakie to koszty?! I jaki bałagan! O, nie, nie, żądaj, czego chcesz, ale obie głowy muszą pozostać na swoim miejscu.

– Będę zatem potrzebował przewodnika – powiedział z namysłem Fantazy.

– Zapomnij, nikomu nie mogę zaufać. Wolałbym, żeby nikt poza tobą nie oglądał smoka z bliska.

– Pomyślałem o tym szpiegu, panie. Zna okolicę, już wie o tajemnicy twojej bestii. Jeżeli uda mi się wyleczyć pacjenta, będzie też najlepszym świadkiem, który poniesie dobre wieści do sąsiednich królestw.

– A co właściwie zamierzasz zrobić, mistrzu? – zainteresował się władca.

– Pójdziemy tam i porozmawiamy ze smokiem. Trzeba rozmawiać.

\*\*\*

– Naprawdę chcesz, mój mistrzu, żebyśmy rozmawiali ze smokiem? – Uwolniony z lochu młody człowiek wybierał z bujnej czupryny ostatnie źdźbła słomy.

– Robinie, sam przed laty zdecydowałeś się na taką specjalizację. Mogłeś zostać balwierzem, chirurgiem wojskowym, zielarzem, tym... no tym, co leczy zęby...

– Kowalem – podpowiedział młodzieniec.

– Właśnie, kowalem. A postanowiłeś kształcić się u mnie w szlachetnej sztuce mędrcostwa. Mędrscy słuchają i mówią. Klienci nazywają to rozmową i za to nam płacą. – Fantazy machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Ty na razie uczysz się słuchać. Mów zatem, czego dowiedziałeś się w lochach.

– Nic szczególnego. Król mówił prawdę. Cele są pełne szpiegów z okolicznych krain. Wszyscy powtarzają plotkę o całkowitej niezdatności militarnej smoka. Bestia podobno w ogóle nie wychodzi z pieczary i kłóci się sama ze sobą.

Robin, doprowadziwszy włosy do ładu, zajął się przeglądem swojego odzienia. Ze smutkiem obserwował koniec własnego palca przechodzący na wylot przez kolejną dziurę w płaszczu.

– Mistrzu, tym razem nie spieszyłeś się, żeby mnie wyciągnąć z lochu. Te myszy mogły mnie pożreć żywcem – stwierdził z wyrzutem.

– Co ma wisieć, nie utonie – skwitował filozoficznie Fantazy. – Ruszajmy w drogę, bardzo jestem ciekaw, jak nas powita korona stworzenia.

\*\*\*

– Sss! – Jedna z głów wysunęła z paszczy wężowy język.

– Wrrr! – zawarczała druga, wybałuszając ślepią i odsłaniając zęby.

Sycząca głowa schowała jęzor, spojrzała z niechęcią na swoją sąsiadkę i odezwała się damskim głosem pełnym egzaltacji:

– Nie, nie, nie! W ten sposób do niczego nie dojdziemy! Przepraszam panów na chwilę – zwróciła się do Fantazego i Robina. – Tyle razy ci mówiłam, że „sss” jest lepsze – kontynuowała w kierunku drugiej głowy. – Wszystkie ssaki mają inkorporowany w świadomości atawistyczny lęk przed wężami.

– Ależ kochanie – odpowiedziała chropawym basem druga głowa. – Uważam, że dysonans poznawczy związany z archetypem warczącej bestii powoduje u potencjalnego przeciwnika paraliż decyzyjny w równie skuteczny sposób...

– To ty doprowadzasz mnie do paraliżu! – krzyknęła damska połowa smoka. – Nie rozumiesz, że groteska, jako chwyt formalny, wymaga od adresata pewnego minimalnego poziomu...

– Przepraszam – wtrącił się Robin. – Jeżeli mogę wyrazić swoje stanowisko,

na mnie osobiście większe wrażenie zrobił pan warczący.

- Widzisz! - triumfowała druga głowa. - Uniwersalizm pewnych figur retorycznych...

- Ja z kolei - przerwał Fantazy - jestem pod wrażeniem pierwszego powitania. Doceniam jego klasyczny charakter i spójność formalną.

- Sss! Sss! - syknęła z satysfakcją smoczyca, wyraźnie smakując zaistniałą przy tym aliterację.

- Czy możemy przejść do rzeczy? - wtrącił się ponownie samczy łeb, z wyraźną niechęcią spoglądając na Fantazego. - Proponowałbym pożreć tego z brodą.

- Moim zdaniem ten grubszy byłby znacznie bardziej pożywny - wyraziła opinię głowa żeńska.

- Kochanie, wiesz, że nasycone kwasy tłuszczowe pochodzenia zwierzęcego...

- Znowu sugerujesz, że jestem za gruba! - Pierwsza głowa wpadła w histerię. Fantazy i jego uczeń, nieco skrępowani obserwowaną kłótnią, zrobili kilka kroków do tyłu.

- Zupełnie jak u mnie w domu - szepnął Robin. - Rodzice zawsze kłócili się o drobiazgi. Gdyby nie babcia, do której należało ostatecznie słowo, byłoby z nami krucho. Gorzej, gdy wtrącał się jeszcze dziadek...

- Robinie, doprawdy, moje nauki nie idą na marne! - ożywił się Fantazy. - Dotknąłeś istoty problemu. Kłopot naszego pacjenta nie polega bowiem na tym, że ma on dwie głowy, lecz wynika z faktu, że ich liczba jest parzysta, co zawsze prowadzi do impasu! Jak przeto możemy mu pomóc?

- Urznąć jedną?

- Król nie byłby zadowolony... - Pokręcił przecząco głową Fantazy.

- Cóż zatem pozostaje?

- Sam sobie udzieliłeś odpowiedzi! Dajmy smokowi trzecią głowę zdolną przeważać szalę w każdym sporze! Winna być to głowa bezstronna, zdecydowana i obdarzona odpowiednim autorytetem.

- Mistrzu, nie myślisz chyba o...

- Pewnie, że to go będzie sporo kosztować. Ale nauczyłem się, że nie sposób przecenić pychy ludzi siedzących na tronie.





\*\*\*

– Pycha, gospodarzu, pycha! – zachwycał się, odrobinę już podchmielony, Robin. Fantazy zgromił go spojrzeniem. W gospodzie, nawet tak szacownej jak Pod Śpiącą Dziewicą, nie należało zwracać na siebie uwagi. Zwłaszcza jeżeli skrywało się za pazuchą dwie okazałe sakiewki z królewską zapłatą.

– W istocie, zacne jadlo – pochwalił z umiarem.

Spojrzał na młodego właściciela karczmy i dorzucił do stosiku monet jeszcze jednego miedziaka. Chłopak, tyczkowaty chudzielec, zgiął się w pół.

– Przekażę, wielmożni panowie, wasze pochwały mojej małżonce. – Gospodarz wskazał na stojącą za ladą gospody dziewczynę.

– Ładna z was para – skłamał z wrodzonej grzeczności Fantazy.

– A wiesz, panie, że nie od razu przypadliśmy sobie do gustu? – ożywił się młodzieniec. – Ale kiedy na pierwszym postoju przygotowała pieczeń z imbirem... Nie jadałem dotąd takich dań. Poczułem w brzuchu coś dziwnego. „Przez żołądek do serca”, jak mawiał mój ojciec. Kiedy potem moja Aurora odziedziczyła po ciotce tę gospodę, nie wahałem się ani chwili i rzuciłem stare rzemiosło. – Chudzielec wskazał na zardzewiałą i poobijaną zbroję wiszącą na ścianie. – Już biegnę, kochanie! – zawołał w kierunku przyzywającej go gestem małżonki.

– Każda potwora znajdzie swego amatora – skwitował Fantazy za plecami gospodarza.

Dopili trunki i opuścili gospodę. Planowali jak najszybciej przekroczyć granicę. Szeroki dotąd trakt wiodący ich od samego zamku w tym miejscu dzielił się na dwie węższe drogi. Na rozstajach dumnie łopotała nowa flaga królestwa – dwugłowy smok dzierżący w łapach ogromną, złotą monetę z wizerunkiem władcy.

– Faktycznie, sporo go to kosztowało – zauważył Robin.

– Sam jest sobie winien – odpowiedział starzec. – Uparł się, że jego głowa nie może być mniejsza od smoczych. I chciał być pewien, że bestia jej nie zgubi.

– Dobrze, że w skarbcu coś zostało na naszą zapłatę. – Chłopiec pokiwał głową i wskazał na rozstaje. – Ale masz rację, mistrzu, rozsądnie będzie szybko opuścić to miejsce. Gdzie teraz pojedziemy?

– Może też zapytajmy Jego Wysokość! – uśmiechnął się Fantazy, podrzucając w dłoni złoty krążek. Dukat poszybował w górę. Podążyli za nim wzrokiem. Przez chwilę wirował nad ich głowami, odbijając światło raz jedną, raz drugą stroną, po czym spadł prosto do wysuniętej dłoni Robina. Chłopiec spojrzał na wryty w złocie profil małego króla.

– Reszka.

- Jedziemy w prawo - powiedział Fantazy. - I oddaj monetę. Pieniądze szczęścia nie dają.

# DZIECI POSEJDONA

Magdalena Kucenty

Opowiadanie pierwotnie ukazało się w czasopiśmie „Fantom” 4/2017

Wszyscy chcą być wyjątkowi. Wydawałoby się wszyscy, bez wyjątku. A jednak ja chciałabym być do bólu zwyczajna. Codziennie rano wstawać z łóżka, robić sobie kawę i iść do pracy.

Tak po prostu.

\*\*\*

Wodnik przywodził na myśl podwodnego anioła. Miał trzy pary płetw rozłożystych niczym skrzydła serafina oraz fluorescencyjne ciało, które w równej mierze składało się z miękkich żywych tkanek, jak i ze śnieżnobiałych, abiotycznych komponentów. Pełnił funkcję stróża oceanu. Przenikając radarem najgłębsze odmęty Posejdona, wyławiał każdy, choćby najłżejszy szmer.

A ona była jego panią i władczynią.

Obserwując krzywe pomiarowe, poruszała mechanicznymi łapkami. Odłupywała nimi próbki minerałów, które następnie zagarniała do przegród w korpusie aquabota. Gdy skończyła, pokierowała nim w stronę najbliższej zastawionej pułapki. Okazało się, że sidła były pełne – we fluorescencyjnym bąblu szamotała się różowa peixa.

Badaczka ukryła metalowe chwytaki we wnętrzu wodnika i zamiast nich wyciągnęła węzowaty rękaw, którym przyssała się do pęcherza. Po chwili płetwica, cała i zdrowa, znalazła się we wnętrzu semibiotycznego anioła.

– Arti... Arti... – Odległe echo zmąciło spokój wiecznego oceanu. – Arethouso Theophilo Æerr, czy ty mnie słuchasz?!

– Teraz już tak – odparła, powstrzymując westchnienie.

Wydała mentalny rozkaz wylogowania. Złącze wyskoczyło z półobręczy przewodnika neuronowego, który otaczał jej szyję. Kabel z cichym świstem zniknął w ścianie.

– Wybacz. Odlatuję przy integracji z wodnikiem.

Poruszyła zmęczonymi oczami, rozglądając się po sterylnym pomieszczeniu pełnym wnek z komorami wizyjnymi. Znajdowała się w jednej z nich, a Nereus stał nad nią. Nie kryjąc rozczarowania, wpatrywał się w wózek inwalidzki, na którym siedziała. Oby tylko nie zaczął wyliczać możliwości podarowanego jej kiedyś egzoszkieletu. Dyskutowali o tym już tyle razy... Kierownik nie potrafił zrozumieć, że Arti czuła się w sztucznym pancerzu jak marionetka, której władcą był software. Jak sterowany myślami wodnik.

Elektryczny wózek, choć mniej mobilny, stanowił dla niej bardziej naturalne rozwiązanie. Nie chciała udawać kogoś, kim nie była. Co wcale nie znaczyło, że negowała użyteczność egzoszkieletu. Zostawiła sobie wspomaganie rąk, które teraz rozłożyła w geście udawanej skruchy. Nereus jeszcze bardziej spochmurniał, ale nie wrócił do starej kłótni.

– Straciłaś też poczucie czasu. Jest po dwudziestej pierwszej.

Arti wyjęła przewód z poręczy wózka i podłączyła go do gniazda w kołnierzu. Sterowanie mentalne było znacznie wygodniejsze niż manipulowanie joystickiem.

– Niczego nie straciłam – oznajmiła. – Zresztą, komu miałyby przeszkadzać, że siedzę do późna?

Kierownik skrzyżował ręce na piersi.

– No nie wiem – odparł z przekąsem. – Może twojemu mężowi?

*On wolałby, żebym w ogóle nie wracała* – pomyślała Arethousa, lecz na głos powiedziała jedynie:

– Matt rozumie, że mam dużo pracy.

– Jakiej pracy, Arti? Wodnika można przełączyć na automat. Sam zbierze próbki i przeszuka bąble.

Zbyła tę uwagę milczeniem. Nereus westchnął.

– Przepraszam. Po prostu martwię się o ciebie. – W kącikach jego czarnych oczu pojawiły się zmarszczki. – Przecież wiesz, że jesteś dla mnie jak córka.

Tego było już za wiele.

– Jestem twoją córką!

– Ciszej, Arti, ciszej. – Kierownik zniżył głos. – Wolałbym uniknąć plotek. Jesteś świetną specjalistką. Ludzie powinni cię oceniać pod kątem umiejętności, nie koneksji rodzinnych.

Zgrzytnęła zębami.

Czysta paranoja.

– O tej porze jesteśmy tutaj sami, tato. Samiuteńcy.

– No i? – Ojciec rozejrzał się, jakby z za jego pleców mogli wyskoczyć wszyscy plotkarze świata. – Ktoś mógłby zapomnieć kluczy. Albo przypadkiem... – W końcu umilkł pod wzrokiem córki. Późna pora późną porą, ale ich

pokrewieństwo i tak stanowiło tajemnicę poliszynela wśród reszty personelu Oriona. – Dobrze, już nic nie mówię. Tylko proszę, wróć do domu. Jutro Posejdon też będzie na ciebie czekał.

Arti zacisnęła usta w wąską linię. Wydała kilka niemych komend sterowania, a wózek inwalidzki skręcił ku drzwiom.

– Jesteś strasznym hipokrytą – prychnęła. – Sam jakoś nie kwapisz się, by wychodzić!

– Bo ja nie mam do kogo, skarbie.

Zamarła w bezruchu. Chyba nie miała tego usłyszeć.

Nereus odchrząknął.

– Chcesz, żebym cię odprowadził?

Obejrzała się na niego. Wyrzuty sumienia zakłuły ją w piersi.

– Jasne, tato.

\*\*\*



Mieszkała piętnaście minut spacerem od Oriona, więc długo nie porozmawiali. Właściwie wcale. Dopiero na miejscu ojciec chwycił Arti za ramię, ucałował w policzek i powiedział:

– Pozdrów Matthaiosą, dobrze?

Kiedy zawrócił do laboratorium, ciemność spowiła jego barczystą sylwetkę. Arti odprowadzała go wzrokiem, aż stał się tylko czarną plamą na tle kopulastych budynków podwodnego miasta.

Westchnęła, wjeżdżając do windy. Gdy przycisnęła guzik, drzwi się zamknęły, a dźwig okrążył bulwę mieszkalną. Zatrzymał się na pierwszym piętrze. Arethousa zażartowała od progu:

– Dzień dobry wieczór, kochanie!

Na siłę starała się brzmieć wesoło i zaraz zaniepokoiła się brakiem odpowiedzi. Skierowała wózek do salonu, a słodki, kwiatowy zapach wypełnił jej nozdrza. Poczowała znajome ukłucie nadziei, mimo że nie miała na co liczyć.

W pokoju nie było nawet śladu po kwiatkach.

– Możemy porozmawiać? – poprosiła.

Matt nie odrywał wzroku od tabletu. Jasne włosy opadały mu na czoło, zielone oczy skrzyły się radośnie.

– Jasne, podłącz się – odparł półprzytomnie.

Dioda jego kołnierza migiała na żółto, sygnalizując stan aktywnego odbioru.

Arti poczuła się jak duch. Zresztą właśnie tak wyglądała przy mężu. Jak blade, czarnowłose widmo człowieka.

– A nie lepiej tak zwyczajnie? – rzuciła ze słabo skrywaną urazą. – Na głos?

Matt potrząsnął głową.

– Przepraszam, kochanie. – Spojrzał na nią wreszcie. – Już słucham.

Otworzyła usta i... zapomniała, co chciała powiedzieć. Miała pustkę w głowie.

– Nie siedź do późna, dobrze? – wydusiła z siebie w końcu.

– Niedługo pójdę spać, obiecuję.

Tej nocy nie zamienili już ani słowa.

\*\*\*

Mówisz, że mogłabym codziennie rano wstawać z łóżka? Że przy pomocy cudów nowoczesnej technologii robiłabym sobie kawę i tak po prostu szła do pracy? Rozumiem. Według ciebie miałabym szansę wieść normalne życie.

Tylko... czy wiesz, jak to jest być mną? Czy masz choć cień pojęcia, jak to jest, gdy twoje ciało od szyi w dół zwyczajnie nie działa? Odmawia posłuszeństwa, bezwolne i wątle niczym szmaciana lalka?

Nie?

To siedź cicho.

\*\*\*

Wykresy na podglądzie wodnika zadrgały nerwowo. Jakiś dźwięk niósł się po



wszechoceanie.

– Ner, mógłbyś tu podejść? Odczyty wariują. Spójrz na poziom decybeli.

Kierownik wyciągnął zapasowy kabel i podłączył się do sterowanego przez Arti wodnika. Stał przez chwilę, pozornie przyglądając się ścianie, aż wreszcie stwierdził:

– Uspokoilo się.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. – Nereus wyjął wtyczkę z kołnierza i podrapał się nią po głowie. – Sprawdź w logu, gdzie zakłócenia były najmocniejsze. I przeszukaj ten obszar.

Arti przytaknęła i zabrała się do pracy.

Aquabot coraz bardziej oddalał się od Nowej Atlantydy, po drodze odnajdując kolejne niepokojące ślady. Wzrósł poziom szczątków organicznych w wodzie – między innymi związków składających się na błękitną krew tutejszej fauny. Podążając za nowym tropem, aquabot dopłynął do granicy Trójkąta Atlantyckiego. Miejsca, które pracownicy Oriona mieli omijać szerokim łukiem. Arethouse męczyło jednak przeczucie, że źródło zakłóceń jest już blisko. Jeszcze tylko...

– Znalazłaś coś?

Nereus stanął za plecami córki.

– Niestety nic. – Odchrząknęła. – Dotarłam do Trójki.

– Mówi się trudno. Zawracaj. Nie będziemy ryzykować utraty sprzętu.

Arti znowu przytaknęła, zastanawiając się jednocześnie, o której godzinie nie zastanie ojca w pracy.

\*\*\*

Istnieje pewien wyjątek od reguły. Przed pójściem na basen wkładam cały pancerz. Tylko wtedy poruszam nogami. Ba, mogę nawet tańczyć. Skupiam się jednak na pływaniu.

Woda muska moją twarz, wdziera się do nosa, do gardła. Krztuszę się ze śmiechu. Moją duszę rozpala szalona, niezrozumiała dla innych ludzi radość. Wreszcie czuję, że żyję. Krew dudni mi pod czaszką, w piersi trzepocze lęk. Cieszę się, choć wiem, że bicie serca jest tylko ułudą. Fantomem dni minionych. Teraz rozrusznik odpowiada za cyrkulację w moim ciele, stymulator wspomaga oddychanie.

Chcesz poznać tajemnicę?

Już dawno odkryłam, jak obejść i wyłączyć swoje systemy. Czasami robię to, będąc jeszcze w basenie. W jednej chwili tracę władzę nad kończynami, potem płuca odmawiają posłuszeństwa. Aż w końcu przychodzi czas na serce.

Duszę się. Umieram. Tafla wody faluje delikatnie, a ja unoszę się na niej.

Betonowe niebo nade mną, śmierć tuż za moimi plecami. Przymykam oczy, pytając samą siebie, czy wykonać ostatni krok.

Ten na drugą stronę.

Wreszcie przerażenie bierze górę. W panice przywracam wszystkie układy do działania. Biorę głęboki wdech, macham rękami, nogami uderzam w wodę.

Tonę. Ale będę żyć.

\*\*\*

Nie chciała czekać w domu, więc włożyła cały egzozkielet i wybrała się na basen. Dawno nie pływała ani nie rozciągała zanikających mięśni. Z reguły lenistwo brało górę, choć przecież lubiła ćwiczyć.

Woda była chłodna. Pomagała się uspokoić.

Arti nie wiedziała, dlaczego przejęła się nietypowymi odczytami. Anomalię mogło spowodować wszystko, nie wykluczając awarii systemu.

Koło północy uznała wreszcie, że może wrócić do laboratorium. Nie wstąpiła do domu, by wziąć wózek, tylko od razu poszła do Oriona. W egzozkielecie.

Ośrodek wydawał się opustoszały. Światła nie paliły się w żadnym z okrągłych okien. Stróż przysypiał w budce przy wejściu. Przyłożyła kartę wstępu do czytnika, a przeszkłone drzwi rozsunęły się przed nią.

W laboratorium musiała przysunąć fotel do wnętrza komory podglądowej. To było dziwne uczucie. Zazwyczaj przecież już siedziała.

Wodnik przerwał automatyczne zbieranie próbek, kiedy podłączyła się do systemu. Wyprawiła go tam, gdzie za dnia skończył poszukiwania. Wyniki były obiecujące. Aquabot wykrył zakłócenia, które rosły w miarę zbliżania się do zakazanego obszaru.

Arti podrapała się po głowie w zamyśleniu. Nazwa Trójkąta nawiązywała do jakiegoś obszaru na ziemskim globie. Tam również ginęły statki. A może samoloty? Mało ją to obchodziło. Należała do piątego pokolenia mieszkańców Posejdony i wodna planeta była dla niej zdecydowanie ważniejsza niż rodzima. Zaczęła rozmyślać o Ziemiach tylko z jednego powodu: gdyby dokonała jakiegoś ważnego odkrycia, musiałaby ich powiadomić. Nie miała jednak większych nadziei.

Pisk alarmu wyrwał ją z rozmyślań. System echolokacyjny wykrył organizm, którego nie był w stanie zaklasyfikować do żadnego z gatunków w bazie. Arti uśmiechnęła się pod nosem. Może jednak wodnik znajdzie coś ciekawego?

Zerknęła na mapę. Jej wesołość wyparowała w jednej chwili. Aquabot przekroczył już granicę Trójkąta. Nie zauważyła wcześniej, kiedy kropka wskazująca jego pozycję zmieniła się z zielonej na czerwoną. Zła na siebie przyjrzała się uważniej wykresom.

Tajemnicze zwierzę, czymkolwiek było, schowało się pod ziemią, w odległości niecałych trzech kilometrów. To ono stanowiło źródło zakłóceń, co do tego nie było wątpliwości.

Arti przeszła na sterowanie mentalne i aktywowała receptory czuciowe bota. Był to marny substytut fizycznego odbierania bodźców mechanicznych, ale mimo wszystko pomocny podczas czynności wymagających precyzji.

Zagarnęła wodę trzema parami błoniastych płetw, a chmura bąbelków otuliła jej kompozytowego anioła. Zaczęła lawirować między skałami, uważając, by nie zahaczyć o ostre krawędzie.

Aż wreszcie odnalazła wejście do tunelu.

\*\*\*

Czyli już wiesz.

Tak, mogłabym nie tylko się poruszać, ale też czuć. Dotyk, wibracje, ciepło, zimno. Wydawałoby się – cały zestaw. Receptory w moim egzoszkielecie to istne cudeńka. Lekarze zapewniali, że przyzwyczaję się szybko, bo w doznaniach prawie nie ma różnic.

A jednak istnieją.

Przede wszystkim czujesz bardziej punktowo. Zagęszczenie odbierających bodźce sensorów jest zdecydowanie mniejsze niż w ludzkiej skórze. Zapewne mózg po krótkim czasie wypełniłby luki. Oszukałby sam siebie.

Nie chcę być oszukiwana, szczególnie w kwestii bólu, a ten dla software'u nie istnieje – został zastąpiony przez algorytmy prewencyjne.

Próbujesz włożyć rękę do ognia? Nie da rady, system ci na to nie pozwoli. Dobra, załóżmy, że wcale nie chciałeś tego zrobić. To był przypadek. Spokojnie, to samo oprogramowanie wyciągnie cię z płomieni. Dodatkowo tylko na chwilę wyłączy eksteroreceptory, byś nie musiał martwić się nadmiarem ciepła.

Dla mnie technologia to niańka, która każe mi robić i czuć tylko to, co uważa za stosowne. Niańka, której czasami szczerze nienawidzę. I bez której już dawno byłabym martwa.

\*\*\*

Wodnik wpłynął do podziemnej jaskini. Przebił ciemną taflę wody.

Arti uruchomiła dodatkową latarkę, co zdecydowanie nie spodobało się skrytej w mroku istocie, która w odpowiedzi machnęła ogonem i zawyła przeciągle.

Arethousa natychmiast wycofała aquabota. Nie miała już wątpliwości, że odkryła nowy gatunek. Nieznane stworzenie było dużo większe od wodnika, na oko mierzyło ponad osiem metrów. Poza tym miało lśniące, atramentowe łuski

i dziwny, rezonujący głos.

Nagle ją olśniło.

Przecież słyszała plotki, widziała niewyraźne nagrania, które obrosły już legendą. Zawsze wkładała te historie między bajki... Tam przecież było miejsce lewiatanów.

Szybko jednak przestała się dziwić. Jej zdumienie ustąpiło miejsca trosce, gdy uświadomiła sobie, co jeszcze zobaczyła w jaskini. Plamy niebieskiej krwi na skałach. Łuskowata istota – legenda czy nie – była ciężko ranna. Na szczęście aquabot został wyposażony w podstawowy zestaw medyczny.

Przygotowawszy rzutki z anestetykiem, wróciła do jamy. Stworzenie zaatakowało znowu, ale jego ruchy były powolne, wręcz ociężałe. Manewrowanie w płytkiej wodzie nie należało do łatwych zadań, mimo to wodnik bez problemu uniknął ciosu. Z ciemności wychynęła podłużna, zębata paszcza, a trzy żółte pociski wyskoczyły z grzbietu aquabota. Grube igły zatopiły się w giętkiej szyi. Zwierzę chwilę walczyło z narkotykiem, aż znieruchomiało.

Arti wiedziała, że to nie było najbezpieczniejsze rozwiązanie, lecz nie miała wyboru. Musiała opatrzeć istotę tutaj. Stacja nie dysponowała sprzętem, który umożliwiłby przetransportowanie tak wielkiego stworzenia do Nowej Atlantydy.

Podpłynęła do skalistego brzegu, jak najbliżej mogła. Następnie wydała polecenie i aquabot zaczął się przekształcać. Zwinął ogon, płetwy schował do kadłuba, po czym rozłożył mechaniczne ręce i wysunął na boki koła.

Wyjechała po mulistym dnie i dla próby poruszyła chwytakami. Upewniwszy się, że wszystko działa poprawnie, usunęła igły z szyi zwierzęcia. Następnie zajęła się badaniem obrażeń. Szramy na brzuchu wyglądały paskudnie. Czerniałe brzegi pękały, z otworów sączyła się biała wydzielina, jednak USG nie wykazało, by narządy wewnętrzne były uszkodzone.

Arti znalazła jeszcze zakrzywiony pazur, wbity głęboko w rozognioną skórę. Cokolwiek zaatakowało ogromne zwierzę, mogło być przedstawicielem kolejnego nieznanego gatunku. Tym jednak będzie martwić się później. Teraz nadszedł czas na zakładanie szwów.

Metodycznie poruszając igłą, zszywała kolejne warstwy uszkodzonej tkanki. Gdy skończyła, była złana potem. Operowała już nie raz, ale mniejsze stworzenia i w dużo bardziej korzystnych warunkach. Pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia. Obserwowała, jak pierś stworzenia unosi się, by zaraz opaść, i jak tętnice na szyi pulsują życiem. Podziwiała faliste płetwy zdobiące smukłe, opływowe ciało niczym falbany sukni. Po wstępnych oględzinach doszła do wniosku, że ma do czynienia z młodym osobnikiem płci męskiej.

Nazwała go Ketos.

\*\*\*

Wyczyściła logi bota, by zatuszować swoją aktywność. Teraz czekało ją zdecydowanie trudniejsze zadanie – musiała udawać, że nic się nie stało. Inaczej Ziemianie odebraliby jej Ketosa. Przebadali, a potem ukradli na tę swoją planetę-matkę, która w ogóle Arti nie obchodziła.

Może zrozumiałby ją ojciec?

Nie czuła się na siłach, by teraz o tym myśleć. Prawie nie spała, do pracy jednak przyszła, więc ledwo widziała na oczy. Od razu zajęła się wszczepianiem lokalizatorów płetwicom, aczkolwiek przy jednej z nich zamiast chipu użyła... czegoś. Nie wiedziała, z czym odplynęła mała *Pinna auratus*, ale żywiła szczerą nadzieję, że nie było to nic szkodliwego.

Dla dobra reszty stworzeń postanowiła wziąć dzień wolny. Nereus, oczywiście, zaczął ją wypytywać o stan zdrowia.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Wczoraj poszłam na basen i na spacer. W końcu zmusiłam się do ćwiczeń, a że odwykłam od tej całej pancerpuszki...

Nereus rozpromienił się jak słońce.

– Rozumiem. Idź do domu, odpocznij.

Z trudem odwzajemniła uśmiech. A przecież nie kłamała. Pływała wczoraj? Pływała. Spacerowała? Owszem, do laboratorium i z powrotem. Ćwiczyła?

Może nie całkiem.

\*\*\*

W snach nawiedza mnie atramentowe widmo. Unoszę sprawne nagle ręce i gładzę zjawę po pysku. Bez lęku dotykam śliskich łusek i ostrych zębów. Z radością witam kłujący ból na opuszkach. Gdy obejmuję długą szyję, całe moje ciało przenika ciepło.

Jestem szczęśliwa.

A potem budzę się i przełykam gorzkie łzy.

\*\*\*

Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Próbowwała poukładać sobie wszystko w głowie. Bez nerwów. Od początku.

Jej prapradziadek... Uch, czy to nie przesada? Nie? No dobrze.

Więc jej prapradziadek przybył na Posejdona z pierwszą falą kolonizacyjną. Z powodu słabnącej atmosfery planety, którego skutkiem jest mordercze promieniowanie, życie w tym rejonie galaktyki przeniosło się pod wodę. A zatem dla człowieka, stworzenia *stricte* lądowego, nie było tu miejsca.

Rzecz jasna, ludziom takie drobnostki nigdy nie przeszkadzały.

Wszechocean stanowił ponad dziewięćdziesiąt osiem procent powierzchni Posejdona. Pozostały obszar nie nadawał się do niczego. Przynajmniej z pozoru. Ziemiańskie postawili na tych skrawkach gruntu pierwsze stacje filtrujące, które zasysały słoną wodę, a wypluwały słodką. Podczas pompowania ekstrahowały potrzebne do życia pierwiastki i wypuszczały je w atmosferę. Stawiały podwaliny pod budowę Nowej Atlantydy. Prace trwały kilka lat. Ustalono, że około pięćdziesiąt metrów poniżej poziomu wszechoceanu promieniowanie przestaje być groźne. Wystarczyło znaleźć względnie płaski fragment dna.

Najpierw wygładzono teren i wzniesiono konstrukcję z włókna węglowego, na której osadzono kopułę ze wzmoczonego termicznie szkła. Tak powstało niebo nad Nową Atlantydą. Później wpuszczono do środka mieszkankę tlenową, a rurami popłynęła woda pitna. Krok po kroku, aż wreszcie dno Posejdona pokryły osiedla mieszkalne. Bulwiaste, przysadziste domki mnożyły się w wilgotnym środowisku niczym grzyby po deszczu.

Jej prapradziadek przyjechał do podwodnego miasta i zaczął robić to, co każdy człowiek od wieków – szkodzić. Przodkowie zachwiali ekosystemem Posejdona, tak jak niegdyś wyniszczyli Ziemię. Później oczywiście żałowali, a osoby takie jak Nereus czy Arti starały się za wszelką cenę poznać i ochronić nowy świat, zanim reszta tych tępych, zapatrzonych w siebie...

*Przestań – pomyślała.*

Westchnęła i uniosła się na łokciach. Używając siły mechanicznych rąk, przerzuciła swoje bezwładne ciało na wózek, akurat kiedy Matt wszedł do sypialni.

Mąż wzdrygnął się na jej widok, jakby zobaczył upiora.

– Już w domu? Tak wcześnie?

– Też się cieszę, że cię widzę, kochanie – prychnęła. Zaraz jednak tego pożałowała. – Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Nic nie szkodzi. – Posłał jej wymuszony uśmiech. – Dzisiaj w nocy też idziesz?

– Tak. Ten najnowszy projekt może potrwać do kilku tygodni.

Matthaios kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Szkoda. Będę tęsknić.

– Nie wątpię.

\*\*\*

Podczas drugiej wizyty Ketos zachowywał się mniej agresywnie, choć wciąż spoglądał czujnie i powarkiwał ostrzegawczo. Niezniechęcona tym Arti próbowała go nakarmić. Wolała jednak nie ryzykować, że zwróci podane jedzenie, więc na razie rzuciła mu tylko kilka małych peix.

Gadzie ślepa błyszcząły nieufnością. Dopiero po wycofaniu się wodnika Ketos ostrożnie spróbował jednej z martwych płetwic. Arti musiała przyznać, że cechowała go zaskakująca inteligencja. Gdy pochłonął już wszystkie, machnął łbem i spojrzał na aquabota wyczekująco, jasno dając do zrozumienia, że chce więcej.

Z większą porcją wstrzymała się jednak do czwartej wizyty. Kiedy Ketos ujrzał stertę płetwic, która wypadła z wnętrza aquabota, zaczął uderzać ogonem o ziemię. Wizja trzęsła się, napawając Arti przerażeniem. Na szczęście po chwili stworzenie zaczęło spokojnie jeść. W trakcie posiłku stało się jednak coś niespodziewanego.

Ketos nagle rzucił się ku wodnikowi.

– Nie, mnie nie jedz! – zapiszczała przez głośniki Arti.

Fioletowy jęzor prześlizgnął się po kamerach.

Stworzenie posłuchało! Odsunęło się i – już bez podejrzliwości, a wyłącznie z zaciekawieniem – zaczęło obserwować ruchy aquabota. Potem przymknęło powieki i ułożyło łeb tuż obok. Zasnęło.

Arethousa przełknęła ślinę. Z lękiem wyciągnęła metalowe ramię wodnika. Odniosła wrażenie, że nagle znalazła się w jednym ze swoich snów. Jednak gdy dotknęła falujących w oddechu nozdrzy, nie poczuła absolutnie nic.

\*\*\*

Z czasem zaczęła czuć dumę. Ludzie trzymali w domach tortugi, lagarty oraz peixy, hodowali ziemskie psy i koty, a ona opiekowała się istnym lewiatanem.

Nocami doglądała go, za dnia udawała, że pracuje, a popołudniami próbowała spać. I cały czas myślała o Ketosie. W laboratorium rysowała szkice opływowej sylwetki, nie potrafiąc zmusić się do zrobienia czegoś produktywnego, a gdy wreszcie kładła się do łóżka, jej sny nawiedzały szafirowe widma o gorących oddechach.

Gdy nikogo nie było już w laboratorium, przychodził czas na odwiedziny. Arti sprawdzała, czy rany Ketosa goją się należycie, jednocześnie opisując swój dzień. Opowiedziała również o wypadku, w którym straciła matkę, a także władzę nad ciałem. Przyznała, że ojciec ją bardzo kocha, ale w ogóle nie rozumie. I opisała, jak słabym aktorem jest jej mąż.

Ketos za każdym razem zbliżał łeb do głośników. Słuchał uważnie. Arti dałaby sobie uciąć bezużyteczną rękę, że rozumiał każde słowo, choć nie do końca potrafiła pojąć, jak to możliwe. Lewiatan pomrukiwał gardłowo, gdy głos badaczki urywał się. A ona, siedząc w ciemnym laboratorium, mimowolnie wyciągała przed siebie ręce.

– Jesteś piękny – szeptała.

Tak bardzo chciałyby go naprawdę dotknąć, ale zawsze trafiała dłońmi na twardą ścianę.

– Któregoś dnia się spotkamy. Obiecuję.

Ketos co noc zasypiał owinięty wokół aquabota, którego później badaczka ostrożnie wyprowadzała z jamy. Co noc nabierał sił i coraz bardziej ciągnęło go do wody. Powinien już opuścić jaskinię. Nie przetrzymywała go siłą, nie miała nawet takiej możliwości. Właściwie lewiatan wyczekiwał jej odwiedzin. Leniuch lubił być karmiony.

Z czasem jednak instynkty wzięły górę nad lenistwem. Arti którejś nocy zastała jaskinię pustą. Mimo to zachowała spokój.

– Tak łatwo mi nie uciekniesz – oznajmiła wesoło.

W końcu już dawno wszczepiła Ketosowi lokalizator. Wystarczyło włączyć odbiornik. Jednak jej wesołość nie trwała długo.

– O nie... – wyszeptała zaniepokojona.

Coś musiało zakłócać sygnał. Albo zniszczyło chip.

\*\*\*

Wiem, że jestem egoistką. Nie umiem inaczej. Nie umiem nawet żałować.

Wtedy żałowałam tylko dlatego, że popełniłam głupi błąd. Skoro Ketos wrócił do Trójkąta, nie miałam pożytku z lokalizatora. Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, lecz dopiero gdy ujrzałam pustą tarczę nawigacyjną, uświadomiłam sobie własną głupotę.

A najgorsze było jeszcze przede mną.

\*\*\*

– Tato, zgubiłam lewiatana – powiedziała do ściany i zaśmiała się gorzko.

Czekała na Nereusa, skulona w wózku jak dziecko wypatrujące rodzica po wywiadówce, na której nie mógł usłyszeć nic dobrego.

– Co się stało, Arti? – Zdyszany kierownik wpadł do pomieszczenia. – Dlaczego chciałaś, bym przyszedł o tej porze?

– Tato... – poprosiła go, by usiadł i zaczęła od początku.

Opowiedziała, jak zakradła się nocą do laboratorium. Opisała Ketosa, ze wstydem nazywając go „lewiatanem”. I choć kusiło ją, nie pominęła żadnych szczegółów.

Nereus wysłuchał jej spokojnie. Z początku wyglądał na zmartwionego, ale potem jakby mu ulżyło. Wreszcie stwierdził łagodnie:

– Może dobrze się stało? Cokolwiek żyje w Trójkącie, od zawsze radziło sobie bez ludzkiej ingerencji. – Przysunął się bliżej i ujął smukłą dłoń córki. – Nie jesteście tam mile widzianymi gośćmi, skarbie.



Uwolniła się z uścisku ojca i odwróciła wzrok. Jak zawsze Ner zapomniał, że dotyk, którego nie czuła, tylko ją drażnił.

– Czyli mi nie pomożesz?

– Po prostu wyraziłem swoje zdanie. – Znowu chwycił jej rękę. – Dobrze wiesz, że ci pomogę. Przecież jesteś moją córką.

\*\*\*

Nereus kazał jej iść do domu i nie wracać, dopóki się nie wyśpi. Nie potrafiła jednak nawet spojrzeć na łóżko.

Schowała się w łazience. Długie włosy otulały jej zgarbioną sylwetkę, gdy słuchała szumu wody napełniającej umywalkę. Monotonny dźwięk zazwyczaj ją uspokajał. Usypiał nawet. Jednak nie tym razem.

Matt wszedł do pomieszczenia. Musiał zauważyć, że była w środku i mimo wszystko postanowił się pokazać. Arti nie rozumiała, dlaczego rujnował idealny porządek ich cichego układu.

– Słuchasz wody? – zapytał. – Dawno tego nie robiłaś.

Nagle pogładził ją po głowie.

– Nie mogę spać.

Zadrżała pod dotykiem Matta. Spojrzała na jego odbicie w lustrze nad umywalką. Co on wyprawiał?

– Myślałem, że prowadzisz jeszcze te nocne badania – oznajmił niby mimochodem, odgarniając jej włosy za uszy.

Coś ścisnęło ją za gardło. Delikatnie chwyciła Matta za rękę i pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, że ma się odsunąć.

– Przez następne dni mogę chodzić nieregularnie do pracy – ostrzegła.

W przeciwieństwie do męża, nie miała zamiaru łamać ich niewypowiedzianej umowy.

– Wiesz, też musiałem zostać w pracy dłużej. – Matt cofnął się i uciekł wzrokiem. – To znaczy...

Kiedyś, tuż po wypadku, zanim stracili wszelkie nadzieje, często zaplatał jej włosy w warkocz. Zatapiał palce między ciemne pasma i czule rozplątywał powstałe samoistnie kołtuny. Arti śmiała się, gdy ciepłym oddechem łaskotał ją w twarz i obsypywał pocałunkami szyję. Przyjmowała pieszczoty, chłonąc każde słowo otuchy z naiwnością. „Wszystko będzie dobrze” – szeptał jej wtedy do ucha.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyła niczym echo. Kolejne kłamstwo przyszło z łatwością. – Przecież gdy wróciłam, leżałeś już w łóżku.

\*\*\*

Wiem, że Matt mnie zdradza.

Co? Sądziłaś, że jestem ślepa, tak? Nie, nie jestem. Po prostu o niektórych rzeczach wolałabym nie mówić.

Od lat po cichu przyglądam się nowemu życiu, które mój mąż zdołał sobie zbudować na ruinach starego. Zbywam milczeniem drażniący zapach kwiatów, których nigdy nie przynosi do domu, choć za każdym razem nie potrafię stłumić jałowej nadziei, że zobaczę bukiet. Nie zwracam uwagi, gdy Matt siedzi podłączony do sieci. Próbuję nie zastanawiać się, czy jednocześnie rozmawia z tą drugą kobietą i odpowiada na moje pytanie.

Udawaną ślepotą związuję mu ręce.

Matt nigdy nie odważy się odejść. Zostawić taką kalekę to zbyt wiele dla jego nadwyrężonego już sumienia. Niby jestem obwieszona alarmami, które w razie zapaści ściągną mi na głowę karetkę, ale przecież urządzenia bywają wadliwe. Szczególnie gdyby odrobinę im pomóc.

Nie wiem, czy wciąż Kocham Matta, ale na pewno pragnę, żeby jego „przyjaciółka” już na zawsze pozostała „tą drugą”. I mam świadomość, jak to brzmi.

Nie lubisz mnie teraz, co?

Cóż, sama siebie nie lubię.

\*\*\*

– Jak mogłeś! – krzyknęła, gdy tylko dowiedziała się, co zrobił ojciec.

– Ciszej, skarbie. – Kucnął przy niej, opierając dłonie na poręczy wózka, i dodał szeptem: – Przecież wysłanie pustych wodników byłoby głupotą. Ktoś musi siedzieć w środku, żeby w razie czego przejść na sterowanie ręczne.

– Nie o to mi chodzi! Czemu nie zostawiłeś żadnego dla mnie?

Nereus pokręcił głową, patrząc na córkę z niezachwianym spokojem.

– Podejrzewam, że zakłócenia występujące w Trójkącie mają charakter elektromagnetyczny. Wiesz, co to dla ciebie oznacza, Kochanie.

Owszem, wiedziała. Silny impuls elektromagnetyczny mógł nie tylko odciąć wodnika od stacji, ale także uszkodzić inne systemy.

Mógł ją zabić.

– To moje odkrycie – jęknęła cicho, powstrzymując napływające do oczu łzy. – Mój...

Ojciec próbował ją pocieszyć. Tyle że on nigdy nie wiedział, co powiedzieć. Tylko rozżłościł córkę zapewnieniami, że jako pierwsza dowie się o wynikach poszukiwań.

– Skoro nikt mnie tu nie chce, kierowniku, to może wezmę urlop? – spytała lodowatym tonem i odjechała, zanim Nereus zdążył jej odpowiedzieć.

To były ostatnie słowa, jakie skierowała do ojca.

\*\*\*

Nie odbierała połączeń, ale każdą nagraną wiadomość odsłuchiwała z wypiekami na twarzy. Niestety, poszukiwania nie przynosiły rezultatów. Podejrzewała, że współpracownicy badali okolice wskazanej przez nią jaskini zamiast popłynąć dalej. Nie miała wątpliwości, że Ketos znajdował się w samym sercu Trójkąta.

Nienawidziła tego uczucia bezradności, kiedy jedyne, co można robić, to czekać, aż inni rozwiążą twój problem. Na domiar złego, z dnia na dzień traciła nadzieję, że załoganci wodników w ogóle coś znajdą. Na przemian spała i chodziła na basen, a zawroty głowy przypominały jej o przegapionych posiłkach. Ignorowała zarówno Matta, jak i ojca. Wszystko, poza informacjami na temat poszukiwań, straciło dla niej znaczenie.

Tak minęły dwa tygodnie.

Aż któregoś razu odtworzyła kolejną z nagranych wiadomości. Zamarła, usłyszawszy beznamiętny głos automatu. Do jej świadomości docierały tylko niektóre słowa.

- Dzień dobry, ten numer widnieje na liście ICE pana Nereusa Ydora... W naszej placówce zarejestrowano... Prosimy o pilny kontakt.

\*\*\*

W dniu pogrzebu włożyła egzozkielet i z całej siły, drżącą w pneumatycznych mięśniach, kopnęła wózek inwalidzki. Płacząc jak małe dziecko, obiecała sobie, że już nigdy z niego nie skorzysta. Nie wiedziała, kiedy znalazła się na podłodze sypialni. Chciała uderzyć pięścią w ramę łóżka i nagle zamarła, powstrzymana przez algorytm zabezpieczający. Software musiał wykryć, że robiła sobie krzywdę.

- Pilnujesz mnie, co? Ty sukinsynu... - wysyczała, pochlipując cicho.

Matt wpadł do pokoju i z przerażeniem kucnął przy żonie. Nie stawiała oporu, gdy objął ją i wyszeptał:

- Ciii, wszystko będzie dobrze. - Otarł jej twarz z łez i uśmiechnął się poczekajaczo. - Zobaczysz. Przestanę tyle... pracować. Cały czas będę przy tobie.

Arti nagle zobaczyła w nim chłopaka, którego kiedyś pokochała. Poddając się tej iluzji, słuchała bicia drugiego serca. Gdy wróciła do rzeczywistości, kiwnęła głową i, podnosząc się z ziemi, wychrypiła:

- Już mi lepiej.

Jej wzrok przyciągnęła magmowa lampa na stoliku nocnym. Woskowe kule leniwie poruszały się wewnątrz szklanego klosza. Niczym zahipnotyzowana

ruszyła w jego stronę. Co ciekawe, to samo oprogramowanie, które nie pozwalało jej zrobić sobie krzywdy, nie miało absolutnie nic przeciwko krzywdzeniu innych. Nawet nie pisnęło, gdy chwyciła lampę i uderzyła nią Matta w głowę.

\*\*\*

Uciekała. Chciała wrócić do domu. Do mamy.

Czuła się, jakby znowu miała dziewiętnaście lat i bezgłośnie błagała o pomoc, zakleszczona w tonącym statku. Ciemność otaczała ją zewsząd, wpychała się do gardła i odbierała czucie kończynom. Powoli wysysała z niej życie.

Arti nie wiedziała, jak dotarła do Oriona. Inni pracownicy laboratorium byli na pogrzebie, więc powitała ją jedynie pustka. Weszła do windy i zjechała do podziemi stacji.

Nie pamiętała, kiedy przygotowała aquabota. W jej głowie pozostały jedynie urywki wspomnień – migające lampy korytarza, okrągły właz komory załadunkowej, wysuszone i nieruchome ciało wodnika, które wyjechało na dźwigu, jak przetrzymywany w kostnicy topielec.

Szum wody wlewającej się do śluzy zatkał jej uszy. Arti wydała kilka chaotycznych komend i wodnik ożył.

Kazała mu uciekać.

Oprzytomniała, dopiero gdy znalazła się kilka kilometrów za Nową Atlantydą. Kopuła miasta skrzyła się refleksami sztucznego światła, a pękate budynki rozmazywały się w oczach. Sieć czarnych, zatopionych w gigantycznej czaszy włókien przesłaniała ludzkie mrowisko niczym pajęczyna schwyte owady. Nagle Nowa Atlantyda wydała się Arti ogromną pułapką, wabiącą swoje ofiary migotliwą łuną i widmem schronienia.

Odwróciła się od tego przerażającego widoku i z pełną prędkością ruszyła w stronę Trójkąta.

\*\*\*

Chcesz wiedzieć, jak oszedł mój ojciec?

Samotnie.

Zresztą wszyscy rodzimy się i umieramy sami, prawda? Przynajmniej tak to sobie tłumaczę. To, że tata żył w pustym mieszkaniu. Nie miał nikogo, kto przyszedłby z pomocą, gdy tętniak pękł mu pod czaszką. W przeciwieństwie do mnie, Ner nie był nadzorowany. Widząc jego silną sylwetkę, nikt nie pomyślałby, że cokolwiek mu zagraża.

Dostrzegasz ukrytą w tym wszystkim ironię? Ironię, która nie pozwala mi zaznać choćby chwili wytchnienia?

Cały czas miałam przy sobie kogoś, komu byłam potrzebna. W pogoni za

sensem życia nawet tego nie zauważyłam.

\*\*\*

Milczeniem przykuła Matta do siebie. To przez nią poszukiwano Ketosa. Zrozumiała, że instynktownie więziła tych, których usiłowała kochać. I wreszcie chciała podarować im wolność. Nie potrafiła jednak powstrzymać się przed tym ostatnim aktem samolubności. Musiała upewnić się, że stworzeniu nic nie zagraża. Musiała się pożegnać.

Poruszała potężnym ogonem, napawając oczy soczystymi kolorami podwodnej fauny i flory. Podziwiała poruszające się z morskim prądem chmury planktonu i mieniące się feeriami barw ławice, które uciekały w popłochu. To wszystko było takie kojące. Przez moment czuła się nawet dobrze. Dopóki nie odezwało się sumienie.

Nagle została wylogowana z systemu. Ktoś w Orionie przejął stery aquabota i natychmiast zawrócił go ku Nowej Atlantydzie.

Arti nie uległa panice. Wciąż była w egzozskiecie, więc spokojnie wysunęła zapasowy terminal. Wstukała sekwencję wyłączającą wszystkie urządzenia nadawcze i odbiorcze wodnika, po czym aktywowała tryb manualny.

Wokół niej zacisnęły się gładkie, żelowe tkanki, a na twarz wskoczyła maska tlenowa. Stała się jednością z biologicznymi strukturami wodnika. Pomachała energicznie rękoma, a jego płetwy posłusznie powtórzyły ten ruch. Uśmiechnęła się delikatnie. Straciła możliwość korzystania z układów lokalizacyjnych, ale za to miała władzę nad aquabotem.

Podłączyła się pod receptory czuciowe i aparat dźwiękowy. Gdy płynęła, ocean pieścił jej opływową sylwetkę i wdierał się między trzy pary ramion. Była mitem goniącym za legendą, syreną błagalnym śpiewem nawołującą lewiatana.

– Ketos, słyszysz mnie?

Dotarła do granicy Trójkąta niepewna, na co dokładnie liczy. Przepłynęła przez tę niewidzialną barierę, ignorując ostrzeżenie alarmu.

Dno opadało coraz niżej, a światła było coraz mniej, więc włączyła lampę czołową. Jej głos roznosił się falami, budząc do życia uśpione w ciemności istoty.

Umilkła, zaniepokojona.

Cętkowane cienie o lśniących ślepiach wodziły za nią czujnym wzrokiem. Stworzenia były wyraźnie mniejsze od wodnika. Nie wiedziała jednak, czym są i jakie mają zamiary, więc cieszyła się, że pozostają w ukryciu. Nie chciała ich stamtąd wywabić.

Zmieniła kierunek poszukiwań. Chciała przywrócić wszystkie układy aquabota do działania, ale kontakt z Orionem po prostu się urwał. Coś blokowało sygnały, lecz nie wpływało na działanie egzozskieletu. Pokrzepiona tą myślą,

znowu zaczęła wzywać Ketosa.

*Rozpozna mnie w końcu* – pocieszała się na wpół oszalała z desperacji.

Czas jednak mijał, a lewiatana nigdzie nie było. Zaczęła się zastanawiać, czy nie zbczyła z kursu. W końcu była pozbawiona nawigacji. Może krążyła w kółko, cały czas pozostając przy granicy Trójkąta?

Po natężeniu światła oceniła, że jest już bardzo blisko powierzchni. Myślała, by zawrócić, kiedy nagle zauważyła majaczące w oddali punkty. Przetarłaby oczy ze zdumienia, gdyby jej ręce nie tkwiły w żelowej masie. Im bliżej podpływała do tajemniczego zjawiska, tym więcej pojawiało się jasnych kropek. Wreszcie rozpoznała źródło blasku. Skalista ściana, niby filar podpierający ocean, zdawała się nie mieć końca; niknęła w głębinach i wybijała się ponad powierzchnię wody. Lśniła luminescencyjnym mchem, na tle którego poruszały się łuskowate, długoszyje cienie.

Dzieci Posejdona.

Nagle jeden przepłynął tuż przed nią. Wielki, potężny, pojawił się jakby znikąd i równie nagle zniknął, połknięty przez morską otchłań.

Zafascynowana Arti zamarła z podziwu i poczuła niewysłowioną radość. Jednak głos rozsądku, głos ojca, nie dawał jej spokoju. Czemu te stworzenia zadomowiły się właśnie tutaj, gdzie były widoczne jak na dłoni? Dlaczego przepływający obok olbrzym nie zareagował na jej obecność? Była w wodniku, w którym regularnie odwiedzała Ketosa. Czyżby wciąż nosił na sobie ślady jego zapachu? Czy to znaczy, że lewiatany będą traktowały ją jak jedną ze swoich?

Arti zatrzymała się. Ledwo poruszając płetwami, zawisała w morskiej toni. Biła się z własnymi myślami. Zaczęła dostrzegać pewien schemat. Spotkała już istoty wyraźnie niechętne światłu. A jeśli potwór, który zaatakował Ketosa, charakteryzował się podobną awersją? Czy byłby dla niej niewidoczny, jak atramentowe smoki? Czy przed atakiem chronił ją wyłącznie jaskrawy promień lampy?

Badaczka szybko poznała odpowiedź na to pytanie. Potężny ryk wstrząsnął wodnikiem i bez ostrzeżenia wyłączył wszystkie systemy – również te zarządzające egzoszkieletem. Nagle pancerz stał się głuchy na wszelkie rozkazy, a koszmar z młodości powrócił. Mrok otulił spadającego swobodnie aquabota, wdzierał się do środka i dusił bez litości. Paraliżująca ciemność obezwładniała płuca, powoli kończąc dzieło sprzed lat.

Powoli zabijając Arethouse.

\*\*\*

Jakaś część mnie nie wierzyła, że znajdę Ketosa, że odniosę sukces w tej desperackiej próbie zwabienia go własnym głosem. Jakaś część zawsze

wiedziała, że nie należę do tego świata, a ten świat nie należy do mnie.

Arethousa Theophila Aërr to nie tylko córka Nereusa i Doris, ale również potomkini Ziemi. Nigdy nie była twoim dzieckiem. Prawda, Posejdonie?

\*\*\*

Musiał zadziałać mechanizm ewakuacyjny. Układy wodnika wypluły ją jak żutą gumę. Sparaliżowana, popłynęła z prądem. Wspomaganie płuc i maska tlenowa działały, ale kilka części egzoszkieletu było uszkodzonych. Jednak to nie wszystko.

Utkwiła wzrok w czerwonych wstęgach, ciągnących się jak warkocze, które niegdyś splatał Matt.

Krwawiła. Mocno.

W dole zaś, niczym w jakiejś baśniowej opowieści, ciemność walczyła ze światłem. Smugi czerni próbowały stłamsić obłoki jasności, w których na przemian pojawiali się potwór z koszmarów i smukłe dziecię wszechoceanu. Potwór pluł smolistą mazią na wydobywające się z gardzieli dziecięcia chmury lśniącego pyłu. Szponiaste, złączone błoną, ale wciąż przerażająco ludzkie palce starały się rozszarpać falbaniaste płetwy. Paszcza z cienkimi szpikulcami zębów zaciskała się raz za razem, próbując sięgnąć smukłej szyi.

Arti bezradnie przyglądała się pojedynekowi, a prąd morski unosił ją coraz wyżej i wyżej. Ketos trafił w pysk potwora jednym ze swoich pocisków. Migotliwe kłębowisko otoczyło ohydny łeb, a wielkie łapska przesłoniły okrągłe ślepie. Ostatnim, co zobaczyła badaczka, zanim na dobre porwały ją fale, były rozwarte do kontrataku szczęki szamoczącej się dziko bestii.

Mrok powrócił.

Otulił ją swoim chłodnym całunem, by zaraz umknąć przed piekącym blaskiem. Arti z trudem uniosła powieki, a krwawe łzy spłynęły jej po twarzy. Nigdy wcześniej nie widziała słońca. Teraz żarząca się ogniście kula wisiała nad nią niczym zegar odliczający ostatnie sekundy życia.

Zapłakała i kołysząc się na falach, zaczęła wyznawać swoje grzechy jednemu bogu, w którego istnienie kiedykolwiek wierzyła.

\*\*\*

Już wiesz, jak do ciebie trafiłam, Posejdonie. Tym razem purpurowe niebo góruje nade mną, ale śmierć niezmiennie czai się za moimi plecami. Nie przyszłam jednak prosić cię o ratunek. Nie proszę również o wybaczenie. Błagam jednak, nie zostawiaj mnie, tak jak ja zostawiłam swojego ojca. Wiem, że na to zasługuję, ale...

Ale nie pozwól mi umrzeć w samotności.

\*\*\*

Morze wybuchło kaskadą migoczących kropel. Atramentowe łuski zabłyśły w słońcu. Smukła zjawą owinęła się wokół niesionego przez fale ciała. Musnęła językiem posiniałą dłoń.

Arti poczuła dotyk, śliski i ciepły zarazem. Uśmiechnięta uniosła ręce nad głowę. Poruszyła palcami.

Już wszystko było dobrze.

Nie przeraził jej więc ryk, który raptem rozdarł powietrze. Nie bała się również, gdy ze spienionego oceanu wypływały kolejne widma. Gdy do pieśni żałobnej dołączyły kolejne głosy. Dlaczego miałyby się lękać?

Dzieci Posejdona przybyły pożegnać ją jak siostrę.



# WYCINKI Z UTRACONEGO ŚWIATA

Maciej Bachorski

*To już trzecie wydanie „Wycinków...” i w związku z tym nachodzi mnie pewna refleksja. Otóż jakiś czas temu, kiedy szwendałem się po jednym z polowych marketów z nadzieją na odnalezienie piwa (w Polsce wciąż obowiązują dość restrykcyjne przydziały dla poszczególnych regionów), zaczepił mnie kolega z dawnej pracy. Rozmawialiśmy o typowych rzeczach dla ludzi spotykających się po kilku latach, czyli w zasadzie o niczym. Na zakończenie klepnął mnie w ramię i powiedział: „Odwałeś kawał dobrej roboty z tą książką”. Jakiś czas później, kiedy wróciłem do domu, ucałowałem żonę i córkę i rzuciwszy się na kanapę, ścisnąłem puszkę Żubra niczym największy skarb, zdałem sobie sprawę, że chyba nie taki efekt zamierzałem osiągnąć, składając ten zbiór myśli w całość.*

*Dlatego w tym wydaniu, oprócz powyższego, nie znajdziecie wtrąconych tu i ówdzie przemyśleń, jakie uzbierały się w mojej głowie podczas zdobywania materiałów. Czynniki autorskie, moim zdaniem, powinien (i mam nadzieję, że tak jest) znajdować się tutaj na marginesie. Ktoś pewnie zapyta: dlaczego?*

*Bo widzicie, to nie ja odwałem kawał dobrej roboty. Nie jestem nawet dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia. Po „Wielkim Ogniu” po prostu wszystko się przewartościowało.*

*Może zabrzmiało to banalnie, ale ciężko wyliczyć, jak wiele trybików wielkiej maszyny musiało zostać wprowadzonych w ruch, żeby „Wycinki...” mogły ujrzeć światło dzienne w dzisiejszej formie. Jeszcze większą zgrozą napawa mnie ilość historii wartych opowiedzenia, które, z tych czy innych powodów na łamach książki ostatecznie się nie znalazły.*

*Zatem, dochodząc do konkluzji: ta historia okresu smutku i radości, porażek i pierwszych nieśmiałych zwycięstw nie należy do mnie.*

*Ta historia należy do was wszystkich.*

\*\*\*

## **Montreal, Kanada**

*Siedzimy przy małym stoliku niedaleko placu budowy, na którym trwa rekonstrukcja głównej siedziby uniwersytetu McGill. Jest kilka minut przed*

*południem, dookoła panuje kontrolowany chaos – słycać warkot buldożerów i koparek mieszający się z przekleństwami robotników. Matt Penwick, były dowódca 118. Brygady Hotshots, przygląda się temu ze spokojem, sącząc wodę mineralną.*

Najpierw otrzymaliśmy informację o serii pożarów w Quetico Provincial Park niedaleko kanadyjskiej granicy. Zapowiadało się na rutynową robotę, więc zapakowaliśmy tyłki do wysłużonego S-61 i ruszyliśmy w drogę.

Lecieliśmy około dwóch godzin. Okolice wyglądały na nietknięte, nie mieliśmy więc żadnego pojęcia, co może nas czekać. Dopiero jakieś pięćdziesiąt kilometrów od celu zobaczyliśmy słup czarnego dymu. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Nieskończona czerń, jakby za Minneapolis rozciągał się jakiś inny, koszmarny wymiar.

Obok nas we wszystkie strony śmigają pozostałe helikoptery i strażackie wersje Herculesów rozpylające dookoła tony czerwonej mazi. Pilot skierował maszynę nisko nad miasto. Na dole trwała już ewakuacja, ale wyglądała bardziej jak doroczna gonitwa byków w Pampelunie. Całkowity chaos. Samochody stłoczyły się na ulicach w wielką, trąbiącą masę. Ludzie przeciskali się pomiędzy nimi, trzymając w dłoniach zwierzęta, siatki wypełnione jakimiś gratami. Niech mnie diabli, chyba widziałem nawet kogoś targającego pewnie z czterdziestocalową plazmą. Pomyślałem sobie: „Kto, do cholery, chciałby w takiej chwili ratować telewizor?”.

Wylądowaliśmy chwilę później na jednym z wiecznie zielonych pól w okolicach Maple Grove w zachodniej części miasta. Słońce jeszcze nie zaszło, ale dym był tak gęsty, że wydawało się, jakby nagle zapadła noc. Widzieliśmy tylko szeroką na co najmniej kilkanaście kilometrów pomarańczową linię ognia.

Na miejscu było już kilkuset uwijających się jak w ukropie strażaków i wojskowych, a także cała masa ciężkiego sprzętu. Wozy strażackie ustawiono w linii. Kiedy jednemu kończył się zapas wody, w jego miejsce wjeżdżał następny. Za nimi koparki, buldożery i uzbrojone w łopaty ludzkie zastępy usiłowały przekopać pas zieleni, żeby zatrzymać ogień, ale pożar rozprzestrzenił się zbyt szeroko. Zachowywał się jak jakaś piekielna bestia, po prostu wybuchając z wściekłością raz z jednej, raz z drugiej strony, łapczywie pożerając kolejne metry.

Ledwie postawiliśmy nogi na ziemi, a podbiegł do nas jakiś gość w masce tlenowej. Rozpoznałem w nim naszego koordynatora, Jeffa Hancocka. Dyszał ciężko, kosmyki blond włosów lepiły mu się do zroszonej potem twarzy. Powiedział, że pas ognia ciągnie się przez całe pięćset kilometrów, od cholernego Quetico. Kręciliśmy głowami z niedowierzaniem. To przeczyło wszelkiej logice. Żaden pożar nie mógł rozprzestrzeniać się w taki sposób.

Hancock polecił nam dołączyć do grupy na zachodniej flance. Moi ludzie, uzbroiwszy się w maski i łopaty, ruszyli przodem. Miałem już pobiec za nimi, kiedy Jeff położył mi dłoń na ramieniu.

– Ty jesteś mi potrzebny tutaj.

W tym momencie zapragnąłem dać mu w mordę. Niech mnie pan źle nie zrozumie, z Hancockiem znałem się od wielu lat, ale zostawienie chłopaków na pastwę losu po prostu nie mieściło mi się w głowie. Nie po tym, co razem przeszliśmy. Spojrzałem mu w oczy gotów zaprotestować. I wie pan, co w nich zobaczyłem? Pustkę. To chyba przeraziło mnie najbardziej.

Nie wy dobyłem z siebie ani jednego cholernego słowa. Jeff Hancock, facet, który z wyróżnieniem ukończył doktorat z inżynierii środowiska na Yale i zamiast kisić się na podrzędnym stanowisku w pożarnictwie, mógł robić zawrotną karierę. Nowoczesny Casanova kalifornijskich plaż, zawsze z deską surfingową i tabunem pięknych kobiet u boku, wreszcie ten sam gość, który dwoma słowami rozładowywał kipiące w ludziach napięcie podczas akcji – już przegrał.

Czy wiedział, że posyła tych wszystkich ludzi na pewną śmierć? Czy już wtedy spodziewał się najgorszego? Nie mam pojęcia. Niezależnie od tego, jakie intencje kierowały nim w tamtej chwili, tą decyzją uratował mi życie. Chyba powinienem mu za to podziękować, ale nie wiem, czy kiedykolwiek będę potrafił się na to zdobyć.

### **Czy pamięta pan, kiedy pierwszy raz je zobaczył?**

Ma pan na myśli smoki? Człowieku, marzę, żeby o tym zapomnieć. Nasz namiot znajdował się na tyle daleko, że aby ze szczegółami obserwować akcję pożarniczą, musiałem posłużyć się lornetką. Lustrowałem zachodnią część pola, próbując dostrzec gdzieś moich chłopaków. Wtedy je zobaczyłem. Jakby te diabelstwa czekały na odpowiedni moment.

Wyglądały jak koszmary jednej z delirycznych wizji Salvadora Dalego, z wielkimi, postrzępionymi, błoniastymi skrzydłami. Gigantyczne cienie krążące ponad płomieniami. Ich czarne kontury odcinały się wyraźnie na tle pomarańczowego ognia.

W pierwszym momencie pomyślałem, że po prostu pomieszało mi się w głowie od tego cholernego dymu. Chwilę później kilka wozów strażackich eksplodowało dziesiątkami odłamków, kiedy jeden z tych stworów dosłownie plunął ogniem w dół. Za nim poszły następne. W ciągu kilkunastu sekund rozpętało się prawdziwe piekło.



### **Próbowaliście w jakiś sposób reagować?**

A jak się panu wydaje? Przecież tam byli nasi przyjaciele, płonący żywcem i wrzeszczący w agonii. Ktoś popędził do namiotu i wydierał się przez radiostację, żądając wsparcia z powietrza. Ja i jeszcze kilka innych osób chwyciliśmy za gaśnice i próbowaliśmy przebić się przez ścianę płomieni, ale wszystko na nic. Wie pan, co w tym wszystkim było najdziwniejsze? Ten ogień. On po prostu płonął, nie posuwając się naprzód choćby o milimetr, jakby... jakby jakaś niewidzialna siła odgradzała go od reszty świata.

Całe to szaleństwo trwało może z godzinę. A potem, zupełnie nagle, płomienie zniknęły, jakby ktoś postanowił, że już wystarczy i wyciągnął wtyczkę. To, co ujrzeliśmy na polu... Wie pan, jak nazywamy te namioty, w których schronili się nasi ludzie? Folią do pieczenia. Są w stanie wytrzymać do dwustu sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Powyżej tej granicy rozpuszcza się klej spajający poszczególne warstwy i człowiek w środku zwyczajnie topi się razem z materiałem. Zostają tylko zwęglone kości oblepione kawałkami plastiku. Na polu były ich całe dziesiątki.

### **Co stało się ze smokami?**

Zniknęły, jakby w ogóle nie istniały. Najlepsze, że razem z nimi zniknął też ciągnący się przez kilkaset kilometrów pożar, pozostawiając po sobie jedynie pas wypalanej ziemi.

## **Jak inni zareagowali na te wydarzenia?**

To jest największą kpina w całej tej historii. Próbowałem rozmawiać o tym z ludźmi, ale wszyscy stukali się w głowy. „Smoki? Bądź poważny, Matt”. Widzieli to, co ja, a jednak z jakichś kretyńskich powodów nie wierzyli. Jakby tego było mało, dosłownie chwilę po zniknięciu ognia wojskowi zabrali wszystkie nagrania i zdjęcia. Nie wiem, jakie rozkazy otrzymali ani od kogo, ale najwidoczniej ten ktoś nie chciał, żebyśmy w jakikolwiek sposób drążyli temat.

## **Nie próbował pan iść z tym gdzieś wyżej?**

Oczywiście, że próbowałem. Problem w tym, że bez dowodów mogłem w najlepszym wypadku zyskać uwagę jakiegoś brukowca. Moi przyjaciele zasługiwali na coś więcej, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Założyłem stronę internetową i przez jakiś czas próbowałem wciskać ją, gdzie się dało. Potem do drzwi zapukali federalni, zabrali komputer i delikatnie dali do zrozumienia, że jeśli dalej będę szerzył swoje poglądy, to „pomimo niewątpliwych zasług” powinienem na siebie uważać.

Zapytałem ich na odchodne, czym w takim wypadku według nich było to, czego staliśmy się świadkami. Odpowiedzieli: „Anomalią pogodową”.

I wie pan co? Może to niesprawiedliwe i okrutne, ale wciąż odczuwam odrobinę satysfakcji na myśl o tym, jakie musieli mieć miny niespełna miesiąc później.

\*\*\*

## **Okolice Sorvagur, Wyspy Owcze**

*W niewielkim barze jesteśmy jedynymi klientami. Ray McElron stawia przede mną kufel piwa. Pomimo kluczowej roli, jaką odegrał podczas „Wielkiego Ognia”, i związanych z nią licznych propozycji awansu, zdecydował się pozostać na stanowisku operatora w oddalonej niespełna dwadzieścia kilometrów stacji radarowej Rød øre.*

Kiedy Bruksela poinformowała mnie o przeniesieniu tutaj, poczułem się, jakby ktoś dał mi w twarz. To było zesłanie, dosłownie. Sam pan widzi, jak to wygląda. W najcieplejsze dni temperatura ledwo przekracza dziesięć stopni Celsjusza, dodatkowo wieczne zachmurzenie, wiatr i deszcz. Całkowicie depresyjne warunki do egzystencji.

## **Dlaczego uruchomiono ten projekt?**

Oficjalny powód budowy stanowił wzrost napięć na linii Rosja–USA w dwa tysiące czternastym. Po akcji, którą matrioszki odwaliły na Ukrainie, zrobiło się nieciekawie. Niektórzy eksperci prorokowali drugą Zimną Wojnę. Oczywiście

mało prawdopodobne było, że grozi nam, jak w latach sześćdziesiątych, nuklearna zagłada. Niemniej jednak ryzyko istniało, a Unia Europejska wolała dmuchać na zimne.

### **Jak się jednak okazało, nie był to prawdziwy cel jego powstania.**

Powiedzmy, że nie jedyny. Głównym zadaniem pozostawało śledzenie pozycji pocisków balistycznych. Mieliśmy do dyspozycji kilkanaście radarów wyposażonych w systemy IFTU i IFICS dwukrotnie przewyższających mocą i zasięgiem amerykański AN/FPS-108, co pozwalało nam śledzić w czasie rzeczywistym w zasadzie każdy ruch na wschodnim wybrzeżu USA i w europejskiej części Rosji. Mieliśmy gorące linie ze wszystkimi tajnymi schronami i ważniejszymi placówkami na świecie. Wszystko po to, żeby zareagować w ciągu kilku minut od pojawienia się zagrożenia.

Ale prawdziwa zabawa zaczynała się kilka metrów pod ziemią.

System został skonstruowany tak, aby przechwytywać i analizować transmisje fal elektromagnetycznych przez urządzenia elektroniczne z całego świata. Każda transmisja danych znajdowała się pod naszą kontrolą. Jeśli według specyficznego klucza została zaklasyfikowana przez oprogramowanie jako potencjalnie niebezpieczna, trafiała do naszego zespołu analityków, który określał poziom ryzyka.

Gdyby streścić to do jednego zdania – zmodyfikowany Echelon przeznaczony do celów bojowych i niezależny od Amerykanów.

### **Mimo wszystko nie zdołał zapobiec wypadkom z dwudziestego drugiego lipca.**

Bo nie został do tego zaprojektowany. Miał wykrywać rakiety, nie żywe stworzenia. Myśli pan, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że w Minneapolis stało się coś nienaturalnego? Natychmiast przeanalizowaliśmy zdjęcia satelitarne, ale ten pożar przypominał każdy inny – poza faktem ekspresowego rozprzestrzeniania się.

Dla nas najistotniejsza była inna rzecz. Okazało się, że to nie chińskie, rosyjskie czy w ogóle jakiegokolwiek rakiety. W gruncie rzeczy mogliśmy dostrzec jedynie całe akry wypalanej ziemi.

A skoro nie istniało realne zagrożenie konfliktem zbrojnym, nie widzieliśmy sensu stawiania połowy Europy na nogi. I owszem, w raporcie do Brukseli określiliśmy sytuację jako godną zainteresowania, ale mieliśmy wtedy inne ważniejsze rzeczy na głowie.

Poza tym, wie pan, czego dotyczyła prawie połowa elektronicznej korespondencji krótko po Minneapolis? Smoków! Konia z rządem temu, kto wtedy brał te rzeczy na poważnie. Tamten dzień, w którym wróciły, nie różnił się

zresztą od innych. Przynajmniej z początku. Dochodziło południe, a ja siedziałem samotnie w sali obserwacyjnej, myśląc o tym, że chętnie otworzę piwo, kiedy tylko skończę służbę. Wtedy zauważyłem te anomalie na jednym z radarów.

Z początku oblał mnie zimny pot, gdy pomyślałem, że to rakiety, ale szybko się zreflektowałem. Było ich zwyczajnie za dużo. Pokrywały ponad połowę wyświetlacza i poruszały się bez żadnego sensu, jak mrówki w rozgrzebanym kijem mrowisku. Ani chybił jakaś usterka.

Klnąc szpetnie, chwyciłem za telefon z zamiarem wezwania techników, ale w tym samym momencie do pomieszczenia wpadł zziębnięty Troy Davidson.

Widzi pan, jedną z zalet naszego systemu jest fakt, że działa niemal automatycznie. Oprócz piętnastu siedzących pod ziemią analityków mamy dziesięcioosobową załogę techników i operatorów obsługującą instalacje naziemne. I tyle zwykle wystarcza. Pracujemy oddaleni od siebie, każdy odpowiedzialny za swój sektor, porozumiewając się głównie telefonicznie, a i to jedynie w nagłych wypadkach.

To, że Davidson pracujący jakieś pół kilometra ode mnie w sali przechwytywania materiałów wideo zdecydował się puścić sprintem aż tutaj, nie wróżyło nic dobrego.

– Widziałeś to?! – wycharczał.

Pokręciłem głową i rozłożyłem bezradnie ręce. Troy podbiegł do jednego z komputerów i szaleńczo wystukiwał coś na klawiaturze do momentu, gdy na monitorze wyświetlił się przekaz.

Na obrazie z kamery był jakiś ogarnięty pożarem budynek. Na placu przed nim panował kompletny chaos. Całe masy ludzi biegały bezładnie, zderzając się ze sobą jak kule bilardowe, a po ledwo widocznym skrawku nieba latały...

– Co to, kurwa, jest? – Nagle zrobiło mi się strasznie gorąco.

– Pałac Westminsterski. – Troy dalej uderzał w klawiaturę, na monitorze pojawiały się kolejne obrazy.

Warszawa. Pekin. Bangkok. Madryt.

– Więc dlaczego my...

Mój wzrok padł na ekrany radarów. Wszystkie pokrywały anomalie.

Jezu. Kurwa. Chryste.

Mieliśmy przed oczami koniec świata.

\*\*\*

### ***Izrael, Hajfa.***

*Dzięki bliskiej współpracy Izraela z państwami sąsiednimi Hajfa jest dziś uznawana za jedno z najbezpieczniejszych miejsc świata i stanowi mekkę dla pozbawionych domów uchodźców.*

*Pomimo dwudziestu lat od zakończenia wojny mieszkający tu Hayim Amsler wciąż nieodpłatnie pomaga w odnajdywaniu zaginionych w czasie „Wielkiego Ognia” osób.*

To się zaczęło w okolicach południa. Byłem wtedy na targu z Rubim, moim najmłodszym synem. Mały uparł się, żeby tego dnia zrobić na kolację sałatkę owocową, no to co miałem zrobić? Łaziliśmy po straganach już od przeszło dwóch godzin, przepychając się przez nieskończony tłumy. W godzinach szczytu zawsze tak to wyglądało.

Hajfa to największy port Izraela i jedno z bardziej atrakcyjnych turystycznie miejsc w naszym kraju, toteż w godzinach szczytu zawsze wypływały masy obcokrajowców próbujących, ku uciechu sprzedawców, znaleźć na targowiskach jakieś pamiątki po okazjnych cenach. Oczywiście biedacy nie mieli pojęcia, że rżnięto ich dosłownie na każdym kroku.

Kierowaliśmy się w stronę domu. Dłonie miałem obolałe od pękających siatek pełnych pomarańczy, ananasów, daktyli i innych owoców w ilościach, którymi mógłbym wykarmić cały pułk. Rubi jak zwykle biegał gdzieś z przodu, lawirując radośnie pomiędzy ludźmi, a ja przystanąłem na chwilę przy kiosku, żeby dać odpocząć rękom i kupić świeże wydanie „Yediot Haify”.

Wtedy zawyły syreny.

Widzi pan, w Hajfie ten dźwięk mógł oznaczać tylko jedno. Byliśmy świadkami zbyt wielu wojen, żeby nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji. Jedyna różnica polegała na tym, iż tym razem nie mieliśmy pojęcia, kto atakuje ani dlaczego. Wszystkim nam wydawało się, że od jakiegoś czasu panował dość kruchy, ale jednak pokój.

### **Nikt was nie powiadomił o tym, co się dzieje?**

A kto by się nami przejmował? Liga Arabska najchętniej wymazałaby nas z mapy, dla reszty państw byliśmy jak wrzód na tyłku. Zero zasobów naturalnych, wieczne konflikty. Widocznie uznali, że poświęcili nam już wystarczająco wiele sił i energii.

### **Jak zorientowaliście się, że to nie atak rakietowy?**

Na początku nie wiedzieliśmy. Wszystko działo się zbyt szybko, jak zawsze. W jednej chwili cała ta masa ludzi przewalająca się przez Kibuts Galuyot ruszyła przed siebie w poszukiwaniu schronienia. Ktoś wpadł na mnie, zatoczyłem się i straciłem Rubiego z oczu.

Krzyknąłem raz, potem drugi i zacząłem przepychać się pod prąd z beznadziejnym poczuciem, że w tym chaosie mógłbym równie dobrze usiłować znaleźć upuszczoną na ziemię wykałaczkę.



Kiedy już prawie porzuciłem nadzieję, w końcu dostrzegłem Rubiego w tłumie. Zawołałem go, ale nie zareagował. Patrzył w górę z rozdziawionymi ustami. Nie tylko on zresztą. Coraz więcej ludzi zatrzymywało się i pokazywało na coś rękoma.

Uniosłem wzrok i w tym samym momencie czas się dla mnie zatrzymał.

Nadlatywały od wschodu. Naliczyłem ich przynajmniej kilkadziesiąt. Czarne. Wielkie jak zaopatrzeniowe Samsonowy, które czasem widywaliśmy nad Hajfą. Nie z tego świata. Nierealne.

I zionęły ogniem.

W ciągu kilku sekund świat przede mną zamienił się w piekło. Te stworzenia krążyły w górze, plując strumieniami płomieni na wszystko wokół. Budynki, samochody, ludzi. Nie zwracałem na to uwagi, torując sobie drogę do mojego syna. Byłem już kilka kroków od niego, kiedy mały mnie zauważył. Na jego drobnej, zapłakanej buźce dostrzegłem delikatny uśmiech.

Zrobiłem ledwie krok w jego stronę, kiedy coś eksplodowało, odrzucając mnie w tył i zasypując wszystko dziesiątkami oderwanych fragmentów budynków i chmurą pyłu.

Usiłowałem się podnieść, wciąż oszołomiony wybuchem, kiedy ktoś chwycił mnie mocno pod ramiona. Wrywałem się i darłem jak opętany, a ten uparcie ciągnął mnie w tył, powtarzając raz za razem do ucha: „Uspokój się, wszystko będzie dobrze. Uspokój się”.

*Niby jak ma być dobrze – myślałem wtedy. Właśnie straciłem syna. Nic już nigdy nie będzie dobrze.*

## **Co stało się później?**

Ocknąłem się pośród setek innych oblepionych brudem i sadzą ludzi na Kikar Paris. Rozejrzałem się dookoła i aż zamarło mi serce. Cała południowa część Hajfy stała w ogniu. Oczy łzawiły mi od dymu, szczypało mnie w gardle.

Dookoła placu jeździły wypełnione żołnierzami ciężarówki, było też kilka M-60 i M-48 z lufami wycelowanymi w niebo. Wszystkie miały wymalowane flagi z cedrowym drzewem pośrodku. Zacisnąłem pięści w bezsilnej złości.

*Więc to te gnoje nas zaatakowały – pomyślałem. To te libańskie śmierdziele zamordowały mojego Rubiego.*

## **Nie była to jednak do końca prawda.**

Nawet nie wie pan, w jakim byłem szoku, kiedy żołnierze zaczęli wypakowywać z ciężarówek paczki z żywnością i rozdawać każdemu. Dosłownie nie potrafiłem przetworzyć tego obrazu na jakąkolwiek logiczną myśl.

*Libańczycy nam pomagają? Nonsens.*

Przecież to z nimi toczyliśmy dwa z trzech ostatnich konfliktów, a Hezbollah

regularnie organizował napady na nasze granice.

Z tamtego pierwszego dnia w naprędcie zorganizowanym obozie dla uchodźców z własnego kraju pamiętam ledwie urywki. W którymś momencie, powodowany czymś, co teraz określiłbym „ojcowskim instynktem”, podszedłem do jednego z wojskowych.

– Syn – wychrypiałem. – Rubi Amsler.

Żołnierz, mający na oko może z dwadzieścia pięć lat, przekrzywił głowę, zastanawiając się nad czymś. Potem chwycił za krótkofalówkę, powiedział coś i poklepał mnie po ramieniu.

Dotarliśmy do drugiej części obozu. Były tam dzieciaki, w większości maksymalnie dziesięcioletnie. Żołnierz kiwnął na mnie, żebym zaczekał i wdał się w rozmowę z jednym ze swoich kolegów, ale ja już nie zwracałem na niego uwagi.

Zamiast tego patrzyłem na mojego syna. Siedział tam w podartej koszulce i brudnych od pyłu spodenkach. Cały i zdrowy śmiał się i rozmawiał z innymi dziećmi, jakby nic się nie stało.

### **To musiało być wspaniałe uczucie.**

I było. Ale dla mnie równie istotna okazała się inna rzecz. Już po tym, kiedy wziąłem Rubiego w ramiona, zauważyłem tych dwóch żołnierzy. Patrzyli w naszą stronę i płakali.

Widzi pan, trudne chwile miały dopiero nadejść, ale w tym jednym momencie wiedziałem, że jest dokładnie tak, jak powinno być zawsze. Że nawet jeśli znaleźliśmy się dopiero w przedsionku piekła, to tym razem przeprawimy się przezeń ramię w ramię.

\*\*\*

### ***Bruksela, Belgia***

*Gabinet utrzymany jest w kojącej wzrok, kawowej tonacji. Na mahoniowym biurku przede mną postawiono notebooka. Połączenie jest szyfrowane. Wiceprezydent Francji z czasów wojny, Denis Targuin, nie chce ujawniać swojego miejsca pobytu – zgodził się jednak na wideorozmowę.*

Szacowaliśmy, że pierwsza fala ataków zniszczyła około osiemdziesięciu procent potencjału bojowego ludzkości, nie licząc głowic atomowych.

### **To olbrzymia liczba.**

Ponieważ to był w pełni skoordynowany atak. Brutalny, precyzyjny i zaplanowany w każdym calu. W ciągu kilku godzin straciliśmy wszystkie ważniejsze instalacje wojskowe na zachodzie Europy, w obu Amerykach, Azji

i Australii.

Zanim na dobre zdążyliśmy zrozumieć, co się w ogóle dzieje, w ogniu stały Londyn, Berlin, Moskwa i cała reszta światowych stolic. Całkowita katastrofa, początek końca ludzkiej cywilizacji czy po prostu „Wielki Ogień”, jak to zwykle się później określać.

**Wielu ludzi zarzuca wam dziś, że w odpowiedzi na to najzwyczajniej zdecydowaliście się schować głowy w piasek.**

Nie mieliśmy wyboru, do cholery! Wszystko działo się zbyt szybko. Nie wiedzieliśmy, czym są te stwory i dlaczego atakują. W ciągu kilku chwil niebo zaroilo się od nich dosłownie wszędzie. Byliśmy, mówiąc wprost, w czarnej dupie. Wcielenie w życie protokołu Omega było jedynym wyjściem.

### **Protokołu Omega?**

To był plan awaryjny stworzony na wypadek wybuchu wojny nuklearnej. Zakładał natychmiastowe przemieszczenie głów wszystkich państw i najważniejszych dowódców sił zbrojnych w jedno miejsce, skąd mogliby koordynować dalsze działania.

### **Jedno miejsce? To znaczy gdzie?**

Chyba nie oczekujesz pan, że powiem? Przyjmijmy, że był to tajny schron atomowy, ze wszystkim, co potrzebne, żeby nawet pięćset osób mogło przetrwać w nim przez kilka lat po wybuchu wojny. Mieliśmy gorące linie ze wszystkimi krajami, dowódcami obiektów wojskowych, marynarką wojenną i dostęp do przekazów satelitarnych w czasie rzeczywistym.

Z jednego miejsca, umieszczonego osiemdziesiąt metrów pod ziemią, mogliśmy efektywnie zaplanować kontratak w każdym regionie świata.

### **Jakie więc postanowiliście przedsięwziąć działania?**

Po pierwsze musieliśmy zorientować się w sytuacji. Mijały trzy tygodnie od pierwszego ataku, a wciąż nie wiedzieliśmy nic o tych stworzeniach.

Jedno było pewne: bezpośrednia odpowiedź nie wchodziła w grę. Pomijając zniszczone instalacje wojskowe, nie mieliśmy nawet pojęcia, z kim tak naprawdę walczymy. Potencjalni podejrzani: Korea Północna, Rosja, Chiny... Wszyscy zmagali się z identyczną sytuacją. Dodatkowy problem stanowił fakt, że do miejsca przeznaczenia nie dotarli przedstawiciele kilku ważniejszych krajów, w tym USA, Kanady czy Wielkiej Brytanii. Znaczyło to mniej więcej tyle, że nikt nie miał formalnego zwierzchnictwa nad pozostałościami armii tych państw.

Jakiś czas później, po analizie zdjęć satelitarnych, nasi specjaliści w Guangzhou doszli do wniosku, że grupy tych zwierząt pojawiły się

równocześnie w stu czterdziestu sześciu miejscach na całym świecie. Nie było jasne, skąd się tam w ogóle wzięły. W tamtym momencie istotniejszy był dla nas fakt, że wszystkie z tych grup zdawały się stanowić całkowicie od siebie niezależne, autonomiczne stada. I migrowały.

### **Migrowały?**

Przenosiły się z miejsca na miejsce, atakując wszystko po drodze. Ze zdjęć wynikało, że taki imperatyw działania dominował już od pierwszych dni. Zawsze jednak obowiązywał w tym pewien porządek. Grupy zostawały w jednym miejscu przez kilkanaście godzin, potem ruszały w drogę do kolejnego. Nie zdarzała się sytuacja, żeby któreś z nich było pozostawione bez opieki przez dłuższy czas. Tak jakby rozstawił pan sobie na mapie punkty odniesienia i regularnie przesuwał po nich swoje zasoby. Założyliśmy więc, że mogą to być ich miejsca lęgowe. W taki sposób powołaliśmy do życia „Operację Arrowhead”.

### **Jakie były jej założenia?**

Z naszych danych wynikało, że mamy około pięciogodzinne okno czasowe, w trakcie którego lęgowiska pozostają bez opieki. Podstawowy plan zakładał mobilizację sił wojskowych w ich okolicach i niemal równoczesny atak. Samoloty, czołgi, piechota, artyleria. Wszystko, co pozostało. Logistycznie to była ogromna rzecz, szczególnie biorąc pod uwagę nasze nikłe siły. Ale pozostała to też jedyna szansa, żeby ugryźć te kurewstwa tak, by je zabolało. Stawialiśmy wszystko na jedną kartę.

### **Nie braliście pod uwagę użycia głowic atomowych, broni biologicznej czy chemicznej?**

Człowieku, czy ty w ogóle słuchasz, o czym mówię? Już w pierwszym dniu straciliśmy więcej niż trzy czwarte najważniejszych wojskowych instalacji. Te, które się ostały, po dwóch tygodniach miały braki w personelu uniemożliwiające kontrolowany atak. Ludzie po prostu spierdalali stamtąd jak się patrzy i nie można było się im dziwić.

Zresztą nawet gdyby wyglądało to inaczej, niech mi pan powie, w które miejsce by uderzył? Takie działania to nie jakieś testy na Oceanie Spokojnym. Tam wciąż żyli ludzie. Może rozbici, może poukrywani po piwnicach czy Bóg wie gdzie jeszcze, ale wbrew temu, co staracie się nam teraz wcisnąć w usta, nie zamierzaliśmy spisywać ich na straty. No i co ze skażeniem? Po jednej atomówce mamy teren nieużytków na następne kilkanaście lat. Broń biologiczna może i byłaby lepszym rozwiązaniem, gdyby poza smokami nie zwalczała też pozostałej fauny i flory.

My wciąż chcieliśmy żyć na tej planecie. I nie zamierzaliśmy doszczętnie jej

zniszczyć tylko dlatego, że jakieś tałatajstwa postanowiły się do nas dobrać. „Operacja Arrowhead” była jedynym rozwiązaniem.

### **I okazała się całkowitą katastrofą.**

Zamierza pan mi to teraz wypominać? Podjęliśmy ryzyko i przegraliśmy. To się zdarza. Skąd niby mogliśmy wiedzieć, że te cholerstwa wydrążyły sobie tunele w łęgowskich i część z nich czai się pod ziemią? Żadne ze zdjęć nie sugerowało czegoś takiego.

Poza tym wszyscy ci polegli żołnierze świadomie zdecydowali się na takie ryzyko.

### **A więc nie zamierza pan brać odpowiedzialności za śmierć tych dwustu tysięcy ludzi?**

Chyba sobie, chłopie, żartujesz. Jakiej odpowiedzialności? Teraz wszyscy są mądrzy, ale kiedy trzeba było podjąć jakąkolwiek decyzję, wytykali nas palcami. Może i nie byliśmy wystarczająco przygotowani, ale przynajmniej nie siedzieliśmy beczynnienie.

I do cholery, to my uruchomiliśmy Guangzhou, więc jeśli ktokolwiek ma jakieś pretensje, niech spróbuje pofatygować się tutaj osobiście. W przeciwnym wypadku może iść się pieprzyć.

\*\*\*

### **Książ, Polska**

*W trakcie „Wielkiego Ognia” zamki stały się celami wędrowek dla wielu uchodźców na całym świecie. Lite mury i rozbudowane podziemia tych średniowiecznych budowli gwarantowały bezpieczną kryjówkę przed stadami smoków. Nie inaczej było z Książem, gdzie w trakcie wojny schronienie znalazł obecny kustosz zamkowego muzeum Tomasz Jabłoński.*

Na początku panował straszliwy chaos. Było nas tutaj łącznie jakieś pięćdziesiąt przypadkowych osób, w większości pracowników i kilka rodzin turystów – i nikt nie wiedział, co się tak naprawdę dzieje. Wszyscy zadawaliśmy sobie te same pytania. Czy to atak terrorystyczny? Apokalipsa? Może jakaś supertajna broń Chińczyków? Pewne było tylko to, że w jednej chwili zostaliśmy pozbawieni wszystkiego, co wcześniej nazywaliśmy życiem. Nasze domy, praca, rodzina i przyjaciele. Wszystko to prysnęło jak bańka mydlana, a my utknęliśmy tutaj, w przyprawiających o ciarki podziemiach zamku.

### **Jak sobie radziliście?**

Szybko zdaliśmy sobie sprawę z tego, że aby przetrwać, musimy współpracować.

Pierwszą rzeczą było zdobycie zapasów. O ile Książ idealnie funkcjonował jako kryjówka, z żywnością i wodą pitną robiło się cholernie cienko. Z pięćdziesięcioma gębami do wykarmienia nieuniknionym było wyprawienie się do któregoś z pobliskich miast.

Mieliśmy na stanie kilka samochodów, większość z wystarczającą ilością paliwa, żeby rozejrzeć się po okolicy. Rzecz jasna zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, bo co jakiś czas po niebie przemykały grupy tych stworów, radośnie paląc wszystko dookoła, ale nie było wielkiego wyboru.

Szczęśliwie udało nam się trafić na Biedronkę w jednej z pobliskich wiosek, ledwie piętnaście kilometrów od zamku. Sam sklep był dogasającymi zgliszczami, za to przylegająca do niego część magazynowa zachowała się prawie w całości. Z pierwszej wyprawy wróciliśmy obładowani po brzegi. Przez krótką chwilę mieliśmy nawet nadzieję, że wszystko się ułoży. Tak było do czasu „Arrowhead”.

### **Wiedzieliście o operacji?**

Złapaliśmy angielską transmisję radiową w trzecim tygodniu. To była jedyna nadająca stacja, jeśli w ogóle te urywane komunikaty można tak określić. Gość przedstawiał się jako Ray i nawijał tylko o tym. Wielka mobilizacja sił zbrojnych. Wojskowi zamierzali uderzyć we wszystkie miejsca naraz.

Jak zareagowaliście na wieść o tym, że zakończyła się klęską?

Nie dowiedzieliśmy się tego od razu. Po „godzinie zero”, jak określał ją Ray, było jednak... zbyt cicho. Rozumie pan, o czym mówię? Żadnych wiwatów. Żadnych okrzyków radości. Po prostu... cisza. Wiedzieliśmy, że coś musiało pójść nie tak.

Naprawdę paskudnie zrobiło się jednak dopiero w ciągu następnych kilku miesięcy. I nie mam tu na myśli rozpadu cywilizacji z całymi ekonomiczno-społecznymi tego konsekwencjami, bo o tym wie każdy, kto przeżył tamten okres. Bardziej chodziło o to, że w pewnym momencie coś po prostu w nas pękło. Widzi pan, do tej chwili wszyscy żyliśmy w świętym przekonaniu, że uda nam się je pokonać. Tacy już byliśmy, wychowani na naiwnych schematach z amerykańskich filmów, wierzący, że pojawią się jacyś bohaterowie biorący sprawy w swoje ręce. Tak się nie mogło stać, bo świat tak nie działa. Chyba dopiero wtedy zaczęliśmy to sobie uświadamiać.

Wszystko jednak miało się wkrótce zmienić, choć oczywiście nie mogliśmy tego przewidzieć.

### **Proszę opowiedzieć.**

W tamtym okresie widmo porażki zaglądało nam w oczy bardziej niż kiedykolwiek. Była połowa października i temperatura spadała szybko, bywało,

że nad ranem mieliśmy już przymrozki. Szczękaliśmy zębami wiecznie przemarznięci, z przerażeniem obserwując uszczuplające się zapasy.

Wszystkie pobliskie miejsca, w których mogło znajdować się cokolwiek do jedzenia czy picia, zostały dawno ogołoczone albo przez nas, albo przez inne grupy. Brakowało nam też benzyny. Zdawaliśmy sobie sprawę, że każda wędrownica w poszukiwaniu marnych ochłapów mogła okazać się ostatnią.

Siedemnastego października wyprawiliśmy się czteroosobową grupką najdalej jak dotąd, bo całe siedemdziesiąt kilometrów od zamku, na obrzeża Wrocławia.

Przedmieścia wyglądały jak po nalocie bombowym. Powykręcane szkielety budynków, mnóstwo dymu i kurzu. Oczywiście wszystkie sklepy, które nie spłonęły razem z resztą zabudowań, świeciły pustkami. Łaziliśmy po ruinach, napotykając co jakiś czas grupki innych ludzi, ale poza tym nic.

Zaczęło już się ściemniać, kiedy ktoś krzyknął: „Nadlatują!”. Byliśmy przygotowani na taką sytuację, kilka razy wcześniej natykaliśmy się już na przemieszczające się w górze stado. Ukryliśmy się w klatce schodowej czegoś, co kiedyś musiało być przynajmniej czteropiętrowym budynkiem, i czekaliśmy.

Grupa standardowo składała się z kilkadziesiątu osobników lecących w formacji klinowej, przypominających olbrzymie, łuskowate mutacje ptaków wprost z tekstów Lovecrafta. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy przeleciały, nie zwracając najmniejszej uwagi na gruzowisko.

I gdy wydawało się, że już po wszystkim, coś gruchnęło o ziemię tak blisko, że aż podskoczyłem. Kiedy uspokoilem się na tyle, żeby wyjrzeć na zewnątrz, po prostu zdębiałem.

Leżał pośrodku jezdni. To nie mógł być w pełni rozwinięty okaz. Miał rozmiary niewielkiej lodówki. Prychał i dyszał ciężko, podkurczając błoniaste skrzydła i wlepiając we mnie spojrzenie tych swoich żółtych, gadzich oczu. Nie wiem, czy był chory, czy słaby, ale zwyczajnie spadł na ziemię, a stado go porzuciło.

### **Co postanowiliście z nim zrobić?**

Pierwsza myśl była oczywista: dobić skurwysyna. A jednak coś sprawiło, że się zawahaliśmy. Przecież to mógł być jedyny żywy okaz schwytyany przez człowieka.

Do dziś nie wiem, co o tym myśleć. Przypadek? A może znak od Boga? Jak zwał tak zwał. Tak czy inaczej w nasze ręce trafiło coś, co mogło odmienić bieg wydarzeń.

\*\*\*

***Dworzec Jarosławski, Moskwa, Rosja***

*Patrzę na wiszącą na ścianie wykonaną polaroidem fotografię. Na tle żółto-zielonej lokomotywy stoi grupka ludzi. Przed nimi leży uśpiony smok – jedyny żywy przedstawiciel tego gatunku, jaki kiedykolwiek dostał się w ręce człowieka. Siedemdziesięcioletni dziś Witalij Łuczkin z rozrzewnieniem wspomina tamte chwile.*

Od zawsze wiedziałem, że wy, Polacy, jesteście nacją świrów. Skoro już ileś tam setek lat temu potrafiliście wbić się do naszej stolicy i osadzić na niej tego samozwańczego władcę, można się było po was spodziewać czegokolwiek. Pytanie brzmiało zatem nie: „czy”, tylko bardziej: „jak” i „kiedy”. Mimo wszystko jednak znów udało wam się mnie zaskoczyć.

### **Zamieniam się w słuch.**

Co powiedzieć na początek? Może to, że mieliście po prostu masę szczęścia. Jak i my, i jeszcze pewnie ze trzy czwarte reszty świata, ale mniejsza o to. Pomijam tu już sam fakt znalezienia tego smoka... no bo w końcu gdzie mógł spaść, jeśli nie u was?

Natomiast znalezienie jedyne go maszynisty Kolei Transsyberyjskiej parającego się po godzinach babraniem przy radiostacji... To już zakrawa na jakieś tandetne deus ex machina!

### **Jak natrafił pan na transmisję?**

Każdy z nas miał tutaj swoje biuro. Nazywaliśmy je „bezpiecznymi przystaniami”, miejscami, do których nawet nasze rodziny nie miały wstępu. Trzymaliśmy w nich swoje graty, najbardziej prywatne sekrety. Jeden z kolegów miał kolekcję świerszczyków, o której mówiło się, że mogłaby zawstydzić Rocco Siffrediego. Inny chomikował trawkę, którą planował zapalić po wykonaniu ostatniej trasy. A ja? No cóż, ja miałem nie tyle jaką radiostację. Składałem ją przez kilka lat zarażony pasją przez mojego ojczyma i tak doszedłem do istnego złomowiska. Kumple żartowali, że moje biuro wygląda jak wnętrze stacji kosmicznej.

Już po ataku smoków zacząłem bawić się w nadawanie komunikatów. To nie było nic wielkiego, zwykle kilka minut paplaniny, które za czasów wojny ktoś określiłby mianem propagandy.

Widzi pan, po tym, jak smoki spaliły większą część Moskwy, poczuliśmy, jakby ktoś dźgnął nas sztyletem w serca. Już wtedy miałem ponad połowę życia za sobą, ale te biedaki tułające się w smrodzie i sadzy po gruzach czegoś, co było naszą piękną stolicą, mogły jeszcze powalczyć o swoją przyszłość. Jeśli w ten sposób pomogłem chociaż jednej zabłąkanej duszy, to mogę powiedzieć, że dobrze wykonałem swoją robotę.



Któregoś jesiennego wieczora, w trakcie przygotowywania audycji, ktoś wciął mi się w pasmo częstotliwości. W zasadzie wciął się na wszystkie możliwe pasma, drąc się jak opętany.

Zdałem sobie sprawę, że już wcześniej słyszałem ten głos. Ani chybił to był ten sam Angol, który z takim zapalem reklamował swego czasu tę pomyłkę, jaką była niejaka „Arrowhead”. Po tym, jak zakończyła się klęską, przepadł jak kamień w wodę. Kiedy usłyszałem, że znów nadaje, aż uśmiechnąłem się w duchu.

Podkręciłem gałki, żeby słyszeć wyraźniej, bo gość wrzeszczał jak berserk w bojowym szale i niewiele z tego wszystkiego rozumiałem. A on powtarzał tylko w kółko: „Mamy smoka! Mamy żywego smoka!”. I jak się okazało, koniecznie chciał się dostać z nim do Chin.

### **Postanowił się pan z nim porozumieć?**

Aż zżerała mnie ciekawość, o co w tym wszystkim może chodzić. Zresztą – co miałem do stracenia? Ray, bo tak miał na imię, opowiedział mi o tym, jak znaleźliście smoka. O projekcie „Hydra” odbywającym się gdzieś w podziemiach Guangzhou. I o tym, że potrzebuje straceńców, którzy przetransportują cenny ładunek na miejsce. Transport samolotem nie wchodził w grę, te stwory strącały wszystko, co znajdowało się w powietrzu.

Eliminowaliśmy możliwości jedna za drugą i w końcu doszliśmy do jedyne go rozwiązania.

Z początku postukałem się w głowę. Zadanie było kompletnie niewykonalne.

Kolej Transsyberyjska z reguły pokonuje swoją trasę w ciągu tygodnia, oczywiście jeśli liczyć tylko możliwości samej lokomotywy. Szansa trafienia na krążące gdzieś w okolicach stado smoków wynosiła więc, na moje oko, ze sto dwadzieścia procent. Dodatkowo niewiadomych było całe mnóstwo. Czy infrastruktura nadal istnieje? Czy ktokolwiek będzie tam na nas czekał? Czy smoki nie wyniuchają swojego potomstwa?

Prawdę mówiąc, wątpiłem, czy zdołamy się przebić choćby przez samą Moskwę.

### **A jednak zgodził się pan na to.**

Sądzi pan, że mogłem przepuścić taką okazję? Niech mi świętej pamięci małżonka wybaczy, ale aż mi się w oczach zaświeciło na myśl o tych wszystkich medalach, dziwkach i ciężarówkach pełnych wódki, jakie dostanę w nagrodę. Wyobraża pan to sobie? Maszynista Witalij Łuczkin, zbawca narodu!

Polacy to świry, ale wie pan co? My jesteśmy szurnięci jeszcze bardziej.

\*\*\*

## **Guangzhou, Chiny**

*Z Sheisuke Nakamurą spotykam się na schodach uniwersytetu Sun Yat-sen. Ten drobny, uśmiechnięty człowieczek gromadzący w salach wykładowych setki słuchaczy jest jednym ze światowych autorytetów w zakresie „Dragonезy”, która, jak sam określa, stanowi próbę zrozumienia przyczyn i skutków wydarzeń sprzed dwudziestu lat.*

Pamiętam, jak przetransportowali mnie tutaj helikopterem dwa tygodnie po wybuchu tej smoczej epidemii. Z Tokio wyruszyliśmy w nocy. Była ciemna i gęsta jak atrament. Obok naszej maszyny krążyły myśliwce, na wypadek gdybyśmy natknęli się na te stwory. Mimo to przez całą drogę trząsałem się ze strachu i zimna. A była przecież dopiero połowa lata.

Zanim dotarliśmy nad uniwersytet, strasznie się rozpadało. Wsiadałem na placu przed głównym budynkiem Sun Yat-sen w strugach deszczu. Odebrał mnie jakiś wąsaty, posturą przypominający niedźwiedzia Amerykanin. Chwycił pod pachę, zaprowadził do jednej z wind. Bez słowa zjechaliśmy na sam dół, mijając po drodze całe piętro zarezerwowane dla tego superkomputera, Tianhe-2.

Wnętrza laboratoriów na najniższym poziomie wymalowano na jednolity biały kolor. Wąsacz zaprowadził mnie do jednej z niewielkich salek konferencyjnych. Na miejscu siedziało już kilkanaście innych osób, równie przestraszonych i dezorientowanych, wywleczonych z domów w środku nocy jak ja. W rogach pomieszczenia ustawili się żołnierze w pełnym rynsztunku i patrzyli na nas ponuro.

*Zabiją nas wszystkich – pomyślałem w pierwszej chwili.*

Do niewielkiej mównicy podszedł siwiejący gość, ani chybił jakiś generał, sądząc po odprasowanym na kant mundurze i liczbie medali na piersi, pod którymi ugiąłby się pewnie i Snoop Dogg. Wygłosił jakąś krótką, płomienną przemowę. Wynikało z niej, że głowy państw całego świata widzą w nas ostatnią nadzieję ludzkości.

– Jesteście najwybitniejszymi żyjącymi specjalistami w swoich dziedzinach. Chcemy, żebyście dobrali im się do tych gadzich dup – mówił, parskając śliną – i wsadzili w nie buciory z takim impetem, żeby zapamiętały nas na zawsze!

Tak zaczęła się nasza praca.

## **Czy udało wam się dokonać jakichś odkryć?**

Z pewnością wszyscy na to liczyli, ale mieliśmy zwyczajnie za mało danych. Opieraliśmy się na strzępkach informacji, starając się z gówna ulepić sztabkę złota, jeśli rozumie pan porównanie. O morfologii tych zwierząt wiedzieliśmy tyle, że wyglądały ze wszech miar podobnie do stereotypowej wizji smoka, jaka utrwałała się w popkulturze. Miały łuskowatą skórę, wytrzymałą jak pancerz

czołgu, ale przy tym elastyczną. Ziały ogniem. W jaki sposób? To również pozostawało zagadką. Skąd się wzięły? Zdjęcia satelitarne mówiły tylko tyle, że pojawiły się w stu czterdziestu sześciu miejscach na całym świecie.

Sprawy nie ułatwiał też fakt, że nikt dotąd nie zetknął się z trupami tych stworów. Ray McElron, nasz kontakt z góry, twierdził co prawda, że Libańczykom udało się ubić kilka sztuk podczas obrony Hajfy, ale trafione zwierzęta po prostu rozsypywały się, zanim w ogóle zdążyły upaść na ziemię. Do dziś nie wiemy, jakie reakcje biochemiczne zachodziły w ich organizmach. Dość powiedzieć, że w momencie śmierci te stwory w ciągu kilku sekund zamieniały się w coś w rodzaju skamielin. Pod każdym względem były perfekcyjnie zaprojektowanymi przez naturę maszynami do zabijania.

Po jakimś tygodniu zaczęły się pierwsze naciski z góry. Widać mężowie narodu chcieli załatwić sprawę szybko i bezboleśnie. Wtedy też zrozumieliśmy, że nasze życie kompletnie się nie liczy. Z powodu braku danych trójkę z nas przydzielono do „zespołu operacyjnego”. Zadanie? Dostać się jak najbliżej jednego z miejsc, w których smoki się pojawiły, i pobrać próbki. W taki sposób straciliśmy czternastu ludzi. Z piątej wyprawy wrócił jeden człowiek, niosąc ze sobą pół kilograma pyłu w plastikowym worku.

Analiza wykazała spore zagęszczenie składników mineralnych, ale poza tym nie pomogła kompletnie w niczym. Nie mogliśmy ryzykować kolejnych bezsensownych śmierci, dlatego opieraliśmy się na danych z satelitów. Jak się okazało, zachowanie smoków miało wiele wspólnego z ptakami. Nie odlatywały oczywiście do ciepłych krajów, ale sposób krążenia z miejsca na miejsce, charakterystyczne formacje przyjmowane przez stado w locie... To wszystko nasunęło nam pomysł, że te sto czterdzieści sześć punktów to w istocie ich gniazda.

Podzieliliśmy się tymi przypuszczeniami z dowództwem. Byli zachwyceni do tego stopnia, że z miejsca zorganizowali kontratak. To nie mogło się skończyć dobrze. Wciąż wiedzieliśmy zbyt mało na temat zwyczajów tych zwierząt, żeby ot tak wtargnąć sobie na ich terytorium. Oczywiście tego już nikt nie zamierzał słuchać.

### **Co stało się później?**

Kiedy wszyscy uświadomili sobie, jak wielką porażką była ta naprędce zorganizowana operacja, zaległa absolutna cisza. Naciski z góry się skończyły, jakby dowodzący zapadli się pod ziemię. U nas było podobnie, z tą różnicą, że od początku nie wierzyliśmy w powodzenie „Arrowhead”. Nawet wojskowi spuścili głowy i przestali wchodzić nam w drogę.

Przełom nastąpił dopiero kilka miesięcy później, kiedy po raz kolejny

skontaktował się z nami ten facet z Rød øre, Ray McElron. Z początku nikt nie dawał wiary jego słowom, bo gość wygadywał niestworzone rzeczy o tym, jak to w Polsce zdołano pojmać żywego smoka i ten rzekomo pędzi do nas w jednym z wagonów Kolei Transsyberyjskiej. Byliśmy pewni, że po prostu zwariował. Z drugiej strony jednak, co niby mieliśmy do stracenia?

### **Jak zareagowaliście, gdy okazało się to prawdą?**

Szczerze mówiąc, aż zmroziło nas z podziwu, choć zwierzę dotarło do nas już zdychające. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że mamy cholernie mało czasu, zanim rozleci się na kawałki na naszych oczach. Nie było miejsca na szok i niedowierzanie. Utrzymując przy życiu najważniejsze organy, pobraliśmy niezbędne próbki, przeprowadziliśmy szereg skanów i zabraliśmy się do analizy.

Pod względem anatomii nie było wielkich niespodzianek. Organy wewnętrzne w normie, poza znacznie powiększoną wątrobą i czymś całkowicie nowym, przypominającym wole u ptaków. To tam zbierała się mieszanina gazów, które ulegały przekształceniu w łatwopalną mieszaninę.

Prawdziwą sensacją okazał się dopiero tomograficzny skan mózgu. Poleciliśmy Tiahne-2 porównać go z istniejącymi wzorcami. Wie pan, co odkryliśmy? Struktura siatki neuronów była niemal tożsama z mózgami ptaków, z tą różnicą, że ponad dwukrotnie bardziej rozwinięta. To mogło tłumaczyć wszystkie zachowania tych zwierząt, jak choćby krążenie z miejsca na miejsce, a w perspektywie czasu może i nawet sam fakt pojawienia się ich w ekosystemie.

Przeprowadziliśmy eksperyment polegający na nafaszerowaniu fragmentu mózgu zwierzęcia falami elektromagnetycznymi o różnym natężeniu. Musi pan sobie wyobrazić, jakie było nasze zdziwienie, kiedy po podniesieniu poziomu o ledwie dwie dziesiąte od standardowych ziemskich dwudziestu czterech amperów na metr neurony roziskrzyły się jak sztuczne ognie. Już po kolejnej dawce przestały normalnie funkcjonować, przesyłając kompletnie nieskoordynowane sygnały. Mózg smoka po prostu się zagotował.

To oznaczało, że pomimo swojej doskonałości, te potwory miały jedną ewolucyjną wadę. Były cholernie wrażliwe na wszelkie zmiany w natężeniu pola magnetycznego. Wszystko wskazywało na to, że udało nam się odkryć, jak można je pokonać.

Pytanie, jakie musieliśmy sobie w tym momencie postawić, brzmiało: czy istnieje skonstruowana przez człowieka broń o globalnym zasięgu, która może to zrobić?

\*\*\*

**Ośrodek EISCAT, Ramfjordmoen, Norwegia**

*Słońce chyli się już ku zachodowi, kiedy wojskowym helikopterem zataczamy łuk nad rzędami anten wysokiej częstotliwości. Razem z Therese Breddegard pełniącą w czasie wojny obowiązki szefowej placówki założyliśmy na głowy hełmofony, dzięki którym możemy prowadzić rozmowę.*

To była trochę taka Strefa 51. Oficjalnie nasz ośrodek zamknięto w dwa tysiące dwunastym ze względu na wycofanie się ze współfinansowania Niemców i Francuzów, ale tak naprawdę nigdy nie zaprzestano badań. Dopóki nie zniszczyły go smoki, prowadziliśmy ścisłą współpracę z amerykańskim HAARP-em, wymieniając się informacjami na temat eksperymentów.

### **Na czym polegały?**

W głównej mierze zajmowaliśmy się symulowaniem oddziaływania różnych źródeł promieniowania na jonosferę. Wszystkie te teorie spiskowe o rzekomym wywoływaniu przez nas geomagnetycznych burz czy manipulowania ludzkim mózgiem na odległość były całkowicie wyssane z palca. Nie mówię, że teoretycznie nie istniała taka możliwość. Po prostu nikt nie był na tyle głupi, żeby się w to bawić.

Tak naprawdę zaprzestaliśmy aktywnych badań po tym, jak Amerykanom udało się wywołać sztuczną zorzę polarną nad Alaską. To wymagało skondensowania olbrzymiej ilości energii porównywalnej do wybuchu słonecznego. Zdaliśmy sobie sprawę, że przeprowadzenie takiej operacji nad zamieszkanym obszarem może się skończyć całkowitą katastrofą.

Dlatego kiedy skontaktowali się z nami ci ludzie ze swoim planem, początkowo pomyślałam, że postradali zmysły.

### **Czego chcieli?**

W skrócie chodziło o wywołanie takich zmian w ziemskim polu magnetycznym, które podniosłyby na określonych obszarach jego indukcję do przynajmniej pięćdziesięciu mikrotlesli. W żadnym wypadku nie była to wartość, która mogłaby zaszkodzić człowiekowi i większości ziemskich organizmów, ale smokom już tak. Ich mózgi były uzależnione od wahań w natężeniu pola do tego stopnia, że zwyczajnie by się usmażyły. To właśnie starali się nam uświadomić. Dysponowaliśmy narzędziem, które mogłoby je pokonać.

W całym tym zamieszaniu istniał jeden haczyk. Wywołanie choćby chwilowych anomalii w stałym polu elektromagnetycznym na takim obszarze wiązało się z zagotowaniem cząsteczek w jonosferze do tego stopnia, że mimowolnie generowało impuls elektromagnetyczny o częstotliwości wystarczającej do zniszczenia wszelkiej elektroniki. Z takim zjawiskiem w historii świata zetknęliśmy się tylko raz, w dziewiętnastym wieku. Wtedy nie mogło

spowodować to większych strat, ale teraz? Samochody, radia, telefony komórkowe, komputery... Wszystko, co w jakiś sposób opierało się na elektronice, moglibyśmy wyrzucić do śmieci.

Rozumie pan, przed jaką decyzją staliśmy? Mogliśmy pokonać te stworzenia, jednocześnie odrzucając cały splendor naszej cywilizacji. Bo właśnie tego od nas chcieli.

Mieliśmy zafundować reset dla całego świata.

## **I zdecydowaliście się to zrobić.**

Teraz, kiedy mija dwadzieścia lat, łatwiej o spojrzenie na te wydarzenia z odpowiedniej perspektywy.

Dopiero kiedy stopniowo zaczęto przywracać komunikację dalekiego zasięgu, dowiedzieliśmy się o podziemnych jaskiniach z setkami skamieniałych jaj, jakie po wojnie odnaleźli naukowcy w łęgowiskach smoków. To znaczyło, że te stworzenia były tu przed nami, być może nawet miliony lat wcześniej. Czekwały w uśpieniu, aż w końcu coś przywróciło je do życia. Być może nigdy nie dowiemy się, co dokładnie.

Wielu do dziś snuje teorie. Słyszałam już, że smoki przyleciały tu razem z kometą sześćdziesiąt pięć milionów lat temu i wyewoluowały w odmiennym klimacie na dalekich krewniaków dinozaurów. Ktoś inny twierdził, że to biologiczna broń pozostawiona przez obcą cywilizację. Jeszcze inni, że to coś na wzór biblijnego potopu, z tym że zamiast w morskich falach, mieliśmy utonąć w przedwiecznym ogniu. To wszystko stek bzdur.

## **A pani? Nie ma pani swojego zdania na ten temat?**

Nie mam i, szczerze mówiąc, nie chcę mieć. Oczywiście jest to, że w pewnym momencie jako społeczeństwo osiągnęliśmy szczytowy poziom rozwoju i od wtedy droga prowadziła prosto w dół. Żyliśmy blisko siebie, jak nigdy dotąd, a przy tym bardziej samotni niż kiedykolwiek. Straciliśmy umiejętność słuchania, gorączkowo wyczekując, kiedy będziemy mogli wcisnąć swoje trzy grosze. Świat utonął w chórze bezsensownego jazgotu i wszystkim nam się wydawało, że tak powinno być. Aż do momentu, kiedy przyszedł ten dzień. Może po prostu musieliśmy dojrzeć do tego, by upaść.

## **Więc uważa pani, że to mogło nas czegoś nauczyć?**

To się okaże. Ale niech pan spojrzy na ten zachód słońca za szybą i weźmie głęboki wdech tego mroźnego, czystego powietrza. Jesteśmy tu, wszyscy razem. Żyjemy. Po raz pierwszy od wielu lat możemy wyczekiwać następnego poranka bez strachu.

Czy nie to jest w tym wszystkim najważniejsze?

# COŚ DO NAPRAWY

Anna Maria Vanitachi

Święcie przekonany, że już nikt nie przyjdzie, Krzysiek Cholewa zaczął zwiijać niebieską ceratę, do której przypięty był towar. Wtedy właśnie przed jego budą stanął ciemnowłosy malec w okularach i zapytał:

– Mógłby pan naprawić mojego smoka?

Mężczyzna podrapał się po zaczerwienionym nosie. Było późno. Rynecek praktycznie opustoszał, wyblakłe słońce też zdążyło zniknąć. Wiał wyjątkowo wredny wiatr, więc ten styczniowy dzień wcale nie był taki ciepły, na jaki zapowiadał się rano. Zobaczywszy za oknem zupełnie niezimową pogodę, Cholewa wyszedł z mieszkania, ostentacyjnie zostawiwszy czapkę na wieszaku w przedpokoju. Teraz miał za swoje. Zmarzły mu uszy. Z nosa kapąło. Do tego w brzuchu mu burczało i chciał już wracać na kolację. Słowem – nie był w nastroju do żartów.

– Czego chce? – Z zaparkowanego obok vana wyszedł Iwan, który powinien pakować części do rowerów, a nie podsłuchiwać, co klienci gadają.

Krzysiek odprawił go machnięciem ręki. Wolał nie ryzykować, że odpowie coś przykrego swojemu najlepszemu (i jedynemu) pracownikowi. A małego dowcipnisia należało po prostu zignorować.

– Przepraszam bardzo! – Chłopiec zamachał ręką. Widząc, że sprzedawca nie reaguje, zdjął z nadgarstka zegarek i próbował go podać mężczyźnie. – Może pan to zreperować?

Musiał stanąć na palcach, żeby przechylić się nad szerokim blatem z wystawionymi na zewnątrz śrubokrętami, obcęgi i nożycami ogrodowymi.

*Zaraz się wykopyrtnie i rozwali mi towar po całej ulicy – pomyślał zaniepokojony Krzysiek.*

Jakiś niewyraźny głos podpowiadał mu również, że chłopiec może sobie zrobić krzywdę. Niechętnie wziął z rąk dzieciaka czarny plastikowy zegarek.

*Wygląda jak zabawka udająca rolexa – stwierdził. I to wyjątkowo tandetna. Chyba nie kupował tego u mnie?*

Chwilę obracał w grubych palcach odpustowy gadżet. Jednocześnie zerkał na stojącego przed sklepikiem malucha. Chyba nie był aż tak smarkaty, jak się

wydawało. Tylko niewyrośnięty jakiś. Do tego ewidentnie nietutejszy – wpatrywał się w niego zza grubych szkieł wąskimi, czarnymi ślepkami. Pewnie synalek tych psubratów ze stanowiska przy lewym wyjściu. Ich szczęście, że sprzedają buty i jakieś szmaty, a nie narzędzia, zegarki czy części rowerowe, bo wtedy Krzysiek inaczej by z tymi Wietnamcami pogadał. Bachor mógł mieć z siedem lat, może trochę więcej. Do tego nieźle mówi po polsku – na pewno lepiej niż Iwan. Ciekawe, czy chodzi tu do szkoły. No jasne... Krzysiek poczuł ulgę, a wraz z nią nieznane wcześniej pokłady wyrozumiałości. Słyszał przecież, że dzieciak bredził coś o smoku.

– Popsuł ci się zegarek, tak? – zapytał specjalnie głośno, wyraźnie, dużo wolniej niż zazwyczaj. Próbował się przy tym nie uśmiechać. Mały pokiwał głową. Cholewa nie miał pojęcia, jakim cudem dzieciak pomylił dwa tak niepodobne słowa. Gdyby w spożywczaku powiedział, że chce smok porzeczkowy, to co innego. Ale przynajmniej żółty nie robi sobie podśmiechujek, jak to zwykle gnoje mają w zwyczaju.

Wrócił do oględzin zegarka. Ekran świeci? Świeci. Godzina się zgadza? Ano zgadza. Pasek cały? Trochę poobcierany, ale daje radę.

– A w czym problem, tak konkretnie? – spytał nieco zbity z tropu.

– Nie chce wyjść – oświadczył Wietnamczyk. – Wcześniej wystarczyło, że zagwizdałem. A teraz nie reaguje. Zaraz panu pokażę.

Chrząknął dwa razy, ułożył wąskie usta w dzióbek i gwizdnął przeciągle. Iwan wyskoczył jak z procy.

– Da?

– Nie wołałem cię. Pakuj dętki – warknął jego szef, podirytowany.

– Widzi pan? – Wietnamczyk wzruszył ramionami pod watowaną kurtką. – Nic się nie dzieje.

– A co się miało dziać? – spytał Krzysiek, zgrzytając zębami. Jaka szkoda, że już spakowali te ścierki, bo zdzieliłyby dowcipnisia po łbie, nie ryzykując, że zabije i pójdzie do pierdła na następne osiem lat.

– Powinien już tu być. A nie widać go. Myślałem, że się pogniewał. Ale to nie jest obraźliwy smok...

Krzysiek już nabierał powietrza, by nieoględnie posłać natręta do wszystkich diabłów, gdy Iwan wychylił się zza brezentu:

– Smok! A kakoj?

Dzieciak podał mu zegarek. Młody Rosjanin najpierw dokładnie obejrzał go ze wszystkich stron, a potem opukał od spodu i pochuchał na szkiełko. Całkowicie ignorował przy tym swojego pryncypała stojącego jak słup soli z niezbyt mądrą miną. Po chwili Iwan oddał zegarek właścicielowi, cmokając z dezaprobatą.

– Takij smok to nie u nas. Patrzebnyj – szukał w pamięci jakiegoś słowa –



weterinary.

– Weterynarz – westchnął Krzysiek i sam zabrał się za pakowanie pozostałych pudeł.

– Spasiba... a... dziękują.

– A gdzie jest dobry weterynarz? Wie pan, taki... – chłopak wychylił się do przodu i zniżył konspiracyjnie głos – który znałby się na smokach?

Iwan namyślał się dłuższą chwilę.

– Nawet niedaleka... Wy tu, ana... Ulica... kak zwali... – Wymachiwał energicznie ręką, usiłując wyjaśnić, że chodzi o miejsce za bazarem. – Ulica... Gier... Bier... Bergamuta!

– Tam? – upewnił się chłopiec, wskazując palcem kierunek.

– Da... tak. Na rogu... Sksie... tuskiego i W... W... Wierychorej!

– Wernyhory – poprawił machinalnie Krzysiek.

– Dziękuję panom bardzo! – Wietnamczyk skłonił się głęboko, mało nie trafiając głową w blat. Zapiął zegarek na nadgarstku i rozejrzał się nerwowo. – To ja już lecę. Do widzenia! – I pognął we wskazanym przez Iwana kierunku, jakby go kto gonił.

– Ulica Bergamuta – powtórzył Krzysiek z niedowierzaniem. – Sprytnie, Wania, bardzo sprytnie. Ty to umiesz sobie radzić z gówniarzami.

– Paczemu? A... niet, nie, ja skazał haraszo. Ja znaju...

– Znasz taką ulicę?

Chłopak z uśmiechem pokiwał głową. Krzysiek westchnął. Sięgnął do stojącej najbliżej paczki wypełnionej plastikowymi, czarno-pomarańczowymi długopisami. Podniósł w górę jeden.

– Ulica Skrzetuskiego – oświadczył, kładąc go na blacie. – A to... – zamachał Iwanowi przed nosem drugim długopisem – ulica Wernyhory. – Po czym ułożył oba równolegle do siebie. – Patrz, Wania. Gdzie ty tu niby masz róg Skrzetuskiego i Wernyhory?

Iwan zastanawiał się chwilę, po czym oznajmił triumfalnie:

– Tam, gdzie... ulica Bier... Bergamuta! – A potem dodał uspokajająco: – Jak ciaławiek potrzebuje, to znajduje...

\*\*\*

Miał wrażenie, że pościg deptał mu po piętach. To pewnie ci piątoklasiści, każdy prawie dwa razy większy od Du Van Nyugena – ci sami, którzy ostatnio zabrali mu kanapki i wrzucili plecak do zsypu na śmieci. Nie doszłoby do tego, gdyby smok działał, jak należy.

Gnał przed siebie, nie rozglądając się na boki. Musiał jak najprędzej znaleźć ulicę Bergamuta. Intuicja podpowiadała Du, że dużo rozsądniej byłoby wbiec do

mijanego po drodze supermarketu i poprosić pana ochroniarza, żeby zadzwonił po jego rodziców. Ale to byłby jednak obciach. Poza tym wtedy nie mógłby zanieść smoka do weterynarza, rodzice by się zmartwili, a tych trzech i tak pewnie zaczai się na niego rano. Więc smok naprawdę by się przydał.

Chłopak dobrze znał okolicę bazaru, ale to miejsce wydawało mu się dziwnie obce. Wieczorna mgła rozmazywała kontury budynków. Zgadywał, że właśnie skręca w ulicę Skrzetuskiego, ale nie potrafił odczytać tabliczki z nazwą. Dudniące kroki, sapanie i wyzwiska milkły gdzieś w oddali. Chociaż istniała możliwość, że tylko złudzenie wywołane przez mgłę. A może od początku były tylko złudzeniem? Choć odgłosy pościgu ucichły, Du nie zwalniał biegu. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby tamci go dorwali.

Najwyższy z chłopaków był bratem tego drania Kuby, który chodził z Du Van Nyugenem do jednej klasy i od dłuższego czasu nabijał się, że ten nie ma zegarka. Wietnamczyk długo zastanawiał się, na czym może polegać problem. Dopiero jakiś rezolutny i trochę mniej od innych uprzedzony pierwszoklasista wyjaśnił mu, że u nich wszyscy dostają zegarki z okazji Wstąpienia do Pierwszej Komuny. Albo coś w tym stylu. Du wydedukował potem, że ta komuna była jakąś organizacją kościelną i wymagała noszenia garnituru. Spytał rodziców, czy nie mógłby dostać zegarka z innego powodu, chociażby na Gwiazdkę. Gwiazdka, co prawda, też miała coś wspólnego z kościołami, ale nie wymagała garniturów ani komuny. No i koledzy może w końcu przestaną go wytykać palcami. Ten ostatni argument wymknął się Du zupełnie mimowolnie. Wiedział, że jego rodzice mają wystarczająco dużo problemów z importerami pidżam i skarpetek frotte, nie chciał dokładać im zmartwień. Dobrze się uczył, nie sprawiał kłopotów, a kiedy przychodził do domu z podbitym okiem albo rozciętą wargą, mówił, że potknął się na schodach. Ale w końcu nawet tak zapracowani rodzice jak jego zrozumieli, w czym problem. I dlatego podarowali mu zegarek ze smokiem.

Teoretycznie sam zegarek powinien wystarczyć. A jednak jakiś czas później tamten drań znowu zaczepił Du. I właśnie wtedy chłopiec zagwizdał na smoka. Zupełnie instynktownie. Nadal miał przed oczyma, jak jego prześladowca zadziera głowę, otwiera szeroko usta, a potem robi w tył zwrot i biegnie tak szybko, że mało nie gubi adidasów. Za drugim razem też zadziałało. A za trzecim Kuba poskarżył się bratu. I akurat tego dnia smok się popsuł...

Chłopak zwolnił odrobinę. Obejrzał się jeszcze raz. Nie dostrzegł za sobą nikogo. Ani niczego. Przed sobą zresztą też nie. Miał wrażenie, że nurkuje z otwartymi oczami w ogromnej misce mleka. Pomyślał, że teraz już na pewno go nie złapią. Odetchnął z ulgą. I wtedy zakręciło mu się w głowie.

\*\*\*

Mleczna mgła ustępowała powoli, odsłaniając sufit w biało-niebieskie pasy oraz lekko kołyszący się staroświecki żyrandol z żarówkami w kształcie płomyków świec. A może tam naprawdę były świece?

– Euzebio, kochana, przynieś mi szklankę wody. I kieliszek sherry. Chyba się budzi.

Du Van Nyugen poczuł na wargach jakiś lepki, słodkawy płyn i zakasłał.

– No chyba zgłupiałaś, moja droga – usłyszał nieco skrzekliwy głos. – Sherry jest dla mnie, woda dla chłopaka. I zrób mu jeszcze jeden okład.

– Miałaś tyle nie pić, Zenobio – odpowiedział głos dużo cichszy i spokojniejszy, tym razem zdecydowanie należący do kobiety.

– Dokładnie, pani Zenobio – wtrącił się jakiś baryton. – Za to ja z przyjemnością wychylę lampeczkę...

– Jak ja nie piję, to nikt nie będzie – odparł pierwszy głos, a oświadczeniu temu towarzyszył jakiś zamaszty ruch i jęk zawodu. – Koniec sherry na dzisiaj. Dla wszystkich. Panie doktorze, proszę zająć się ofiarą!

Du próbował się rozejrzeć. Nie było to łatwe zadanie, gdyż jego głowa tonęła w ogromnej, pachnącej krochmalem poduszce. Naprzeciwko dostrzegł orzechowy kredensik, w którym za szybkami stały talerze z wymalowanymi krajobrazami, pasteczkami i owieczkami, chiński imbryk w zielono-złote szlaczki, cały szereg zlewek i probówek, szkielet jakiegoś drobnego ptaka oraz wypchana tarantula. Boczna ścianę zajmowała ogromna mapa Księżyca, do której szpilkami przypinano wycięte z gazety zdjęcia czterech młodych chłopaków. Dwaj trzymali gitary, jeden nosił wyciągnięty sweter w paski, a ostatni – śmieszne okrągłe okulary.

Du Van Nyugen próbował przyjrzeć się osobliwym postaciom stłoczonym w pokoju, ale widok zasłaniał mu postawiony na środku stół, przykryty sięgającym do ziemi obrusem, który niegdyś prawdopodobnie był biały, i wzorzystą serwetą w bliżej nieokreślone kwiatki. Gdy chłopak podniósł wzrok, zobaczył kilka wysokich szklanek, dzbanek, w którym pływały plasterki cytryny i czerwono-biała rybka, a dalej – kilka lub kilkanaście butelek z ozdobnymi etykietami. Te o jaśniejszej zawartości pozwalały dojrzeć zarysy ludzi stojących w przejściu. Jedna z postaci była niezwykle wysoka i chuda jak przecinek, druga niska i okrągła jak bombka, a trzecią zasłaniała podobizna Johny’ego Walkera. Towarzystwo prowadziło właśnie zaciętą dyskusję, więc Du przymknął oczy i zdecydował, że lepiej nadstawić uszu.

– Małoś nie spała denata, Euzebio.

– To nie jest denat, szanowna pani, chłopak żyje i powoli dochodzi do siebie, proszę go nie straszyć, nie wykonywać gwałtownych ruchów, bo się spłoszy...

– A domyśla się pan, kto go otruł, doktorze?

- Nikt go nie otruł, pani Zenobio, on tylko stracił przytomność. To dość typowe dla przybyszów z zewnątrz. I proszę nie tytułować mnie doktorem. To oczywiście bardzo pochlebne, ale też zdecydowanie nieprecyzyjne. Proszę mieć na względzie, że jestem jedynie skromnym adeptem sztuki weterynaryjnej...

- Jest pan weterynarzem! - krzyknął Du Van Nyugen, gwałtownie siadając na łóżku. Momentalnie pociemniało mu w oczach i znów opadł na poduszkę. Trójka nieznamych szybko podeszła do jego pośłania. Mężczyzna położył mu na czoło zrzucony przypadkowo kompres, a krępa kobieta w beżowym sweterku podtykała chłopakowi pod nos chusteczkę nasączoną solami trzeźwiącymi. Za to trzecia z osób, czyli to cienkie, wysokie, przypominające wychudzonego strusia stworzenie w granatowym garniturku, zaglądała im przez ramię, wołając: „Matko, to na pewno epilepsja! Albo narkolepsja... Opium! Delirium!”. Oraz kilka innych słów, których Du Van Nyugen nie rozumiał po polsku. Ani po wietnamsku, szczerze mówiąc.

- Już dobrze, dobrze, moje dziecko. - Pulchna dłoń o krótkich, serdelkowatych palcach spoczęła na ręce chłopca. - Faktycznie, jestem weterynarzem, ale...

- Całe szczęście. - Du uśmiechnął się szeroko.

Mężczyzna miał okrągłą twarz, którą zdobiły nie tylko komicznie podwinięte wąsy, ale też grube szkła okularów, przez które oczy wyglądały jak niebieskie główki od szpilek. To wszystko budziło zaufanie. Chłopak nie mógł przyjrzeć się nieznanemu dokładniej, bo jego własne okulary gdzieś się zapodziały. Ale weterynarz wyglądał na poczciwego. I, co najważniejsze, był nikim innym, tylko akurat weterynarzem.

- Ja właśnie...

- Właśnie, otóż to! - przerwał mu skrzekliwy głos. - Czego szukasz na ulicy Bergamuta, młody człowieku? Powód, motyw, przyczyna!

- Zdaje się, że próbowałem to wyjaśnić doktorowi Hubertowi, zanim mu przerwałaś, Zenobio.

Czupiradło nazwane Zenobią zignorowało tę uwagę i zwróciło się do przysadzistego mężczyzny:

- Przed chwilą rozmawiałam z Norimitsu. Twierdzi, że chłopak nie jest kamikadze.

- Niech pani przekaże Norimitsu, że naprawdę nie każdy musi być kamikadze.

- Tak właśnie twierdzi Norimitsu. Natomiast Z. kazał spytać, czy ten nowy przypadkiem nie brał udziału w Wiadomo-Czym.

- Powie pani temu Z., że chłopak jest nietutejszy i na pewno nie brał udziału w powsta...

- Ciii!

- Naturalnie. - Doktor wzniosł oczy ku górze. - Niech pani pozwoli, żeby chłopiec sam...

- A ambasador chciał wiedzieć, czy ten mały nie potrzebuje azylu i czy nie należy przypadkiem do jakiejś prześladowanej mniejszości seksualnej.

- Niech ambasador trzyma się od niego z daleka. Młody człowieku, po co...

- A donna Lukrecja powiedziała, żeby wrócił, jak podrośnie, i żeby nie zapomniał portfela...

- Da mi pani wreszcie...

- A ksiądz biskup polecił przekazać, żeby sobie chłopak donną Lukrecją głowy nie zawracał, bo donna Isabella jest tańsza i ma lepsze...

- Pani Zenobio!

- Nie twierdzę, że podzielam tę opinię, ja jedynie przekazuję słowa księdza biskupa. Pana zdaniem to podchodzi pod paragraf o nieuczciwej konkurencji?

- Co się stało, skarbie? - szepnęła puciołowata kobieta, która musiała być Euzebią, widząc, że Du Van Nyugen siada na łóżku, rozgląda się zaniepokojony, maca kołdrę i zagląda pod poduszki. - Szukasz czegoś?

- Przepraszam, ale... mój zegarek...

Euzebia ruszyła do stolika i wzięła z niego plastikowy zegarek oraz okulary w czarnych oprawkach.

- Zdjęłam ci je dla wygody.

- Bardzo pani dziękuję. - Wietnamczyk uśmiechnął się szeroko. - Jest jakaś szansa, żeby porozmawiać - tu spojrzął na wciąż sprzeczące się postacie - z panem weterynarzem?

- Oczywiście, serdecznie. - Pani Euzebia poklepała go po policzku, odwróciła się i wrzasnęła na całe gardło:

- Zenobio, kobieto, nasz gość chce porozmawiać z doktorem!

Zapadła cisza, którą na maleńkie kawałki cięło jedynie tykanie ozdobnego zegara. Upewniwszy się, że nikt mu nie przerwie, ośmielony promiennym uśmiechem pani Euzebii i nie zwracając uwagi na kwaśną minę Zenobii, Du Van Nyugen zaczął z przejęciem wyjaśniać, z jakim problemem przychodzi na ulicę Bergamuta.

- Smok, powiadasz... - Doktor Hubert zamyślił się głęboko. - Cóż... Nie miałem jak dotąd przyjemności ze smokiem...

- Aha... - Chłopak zwiesił głowę. - To przepraszam.

- Do tej pory leczyłem przede wszystkim topielice - wyjaśnił lekarz. - Mamy tu w okolicy Dolinkę Służewiecką, przez którą płynie Potok Służewiecki... Sam widzisz, nie jest to wyszukana nazwa, ale to nie zmniejsza skuteczności topienia się... Od czasu do czasu przyplącze się też jakieś leśne lichy z Lasu Kabackiego.

Innym razem żmij, którego piorun oślepił, lub też bobok ze zwichniętym skrzydłem. Raz jeszcze przyprowadzono do mnie rodanicę, która struła się przeterminowanym sernikiem, no i na jesieni zazwyczaj przygarniam jednego czy dwa bezdomne chowańce. W ubiegłym roku leczyłem dwa kocmołuchy, które miały nieprzyjemne spotkanie z dojarką elektryczną, oraz kotkę Zenobii, bo ktoś nalał do miseczki likier jajeczny... Ach! Raz trafił też do mnie aitwar z nadpalonym pierzem... Widziałeś kiedyś aitwara, chłopcze?

Du Van Nyugen pokręcił głową bez przekonania. Miał wrażenie, że ten sympatyczny mężczyzna mówi do niego w obcym języku. Albo to on, Du, miał nadal potworne zaległości w polskim, chociaż uczył się go dzielnie od przedszkola...

– Na pewno widziałeś, tylko o tym nie wiesz. Z daleka aitwary wyglądają jak spadające gwiazdy. A może to spadające gwiazdy wyglądają jak aitwary? No, nieważne. Chodziło mi o to, że są spokrewnione ze smokami. Może nie tak bardzo jak warany, ale mają ten sam ognisty temperament i, co tu kryć, lekką kleptomanię, podobnie zresztą jak sroki. Chciałem powiedzieć...

– Może mi pan pomóc?

– Spróbować nie zaszkodzi.

Du podał mężczyźnie zegarek. Ten przypatrzył mu się uważnie, przyłożył go do ucha, wreszcie poprosił panią Euzebię o przyniesienie swojego stetoskopu. Du Van Nyugen z przejęciem obserwował, jak doktor osłuchuje wyświetlacz.

– I nie chce wyjść, tak? – Mężczyzna zmarszczył brwi i zaczął mrużyć pod nosem. – Nie podoba mi się to. Coś nie tak z oddechem. Jest nazbyt świszczący. Ale w ten sposób dokładniej nie zbadam chorego. Wiesz może – zwrócił się do chłopca – jak się tam dostać?

– Tam?

– Do środka, do legowiska smoka.

Du Van Nyugen błędził wzrokiem po kocu w jodełki.

– Może... – zaczął po chwili z nadzieją w głosie. – Skoro smok wychodził, kiedy na niego gwizdałem, moglibyśmy wejść do niego, gdyby on zagwizdał na nas?

– Twój smok umie gwizdać? – zdziwiła się pani Euzebia.

– Dobrze wychowane smoki gwizdać nie powinny – wtrąciła nadal obrażona Zenobia.

– Zaraz go zapytam. – Du przyłożył policzek do szkiełka i szepnął. – Pst! *Long! Xin chào, Long!*

– Nazwałeś go Long? – spytał doktor Hubert.

– Nie, to nie imię. On nie ma imienia. – Chłopak speszył się lekko. – To znaczy ma, ale nie używa go przy obcych. „Long” to po prostu smok. Po wietnamsku. On

nie zna polskiego, przepraszam.

– Nic się nie stało, młody człowieku. Aitwary też ni w ząb nie rozumieją mowy Mickiewicza, nawet te z Wilna.

Wtedy znów zabrała głos Zenobia: zaczęła rozwodzić się nad koniecznością nauczania wszystkich zwierząt esperanto. Du w tym czasie szeptał do zegarka długie i zawile wyjaśnienia. W końcu umilkł. Wtedy Euzebia wymierzyła koleżance porządnego kuksańca, a gdy ta umilkła, w pokoju rozległo się coś na kształt warczenia. Chociaż przypominało też kocie mruczenie, dźwięk fletu i kończyło się dziwnie metalicznym tonem, jakby ktoś uderzył w gong. Chłopiec i doktor spojrzeli po sobie, kiwnęli głowami i mocno chwycili się za ręce.

– A jednak uważam, że powinni zabrać mnie ze sobą – stwierdziła ostentacyjnie głośno Zenobia, gdy tylko ich sylwetki rozmyły się w powietrzu. – Jestem pewna, że byłabym w stanie udzielić kilku eksperckich rad przy stawianiu diagnozy...

Euzebia westchnęła głośno i poszła zagotować wodę na herbatę.

\*\*\*





Du wstrzymał oddech. Nie przypuszczał, że od razu znajdą się tak blisko. Na dłoniach i policzkach czuł ciepło bijące od złotawej skóry, przypominające słaby podmuch suszarki do rąk. Słyszał też melodyjny świst oddechu, jednak daleki i niewyraźny. Smok leżał zwinięty w kłębek – jeśli można sobie wyobrazić tak ogromny kłębek – i odwrócony do nich grzbietem. Chłopak zauważył, że łuski zwierzęcia są nieco zmatowiałe, a w kilku miejscach nienaturalnie nastroszone. Straciły też ów ognisty poblask, który wcześniej wydawał się Du taki piękny. Smok złożył skrzydła ciasno przy grzbiecie – tak ułożone falowały lekko, gdy zwierzę zaczerpywało powietrza. Du zauważył, że dzieje się to niezwykle wolno – nawet jak na tak ogromnego smoka zdecydowanie za wolno.

Doktor Hubert obszedł gada dookoła, ten jednak prychnął gniewnie i wykonał gwałtowny skręt, odpychając się tylną łapą. Przy okazji mało nie rozgniół Du, który krzyknął ostrzegawczo. Smok zamarł, a potem, dużo wolniej i ostrożniej, podniósł się i ułożył na drugim boku. Wtulił przy tym pysk pod lewe skrzydło i nakrył go łapą.

– Co się stało, Long? Mamy nie podchodzić?

W odpowiedzi rozległo się tylko cichutkie sapnięcie, a następnie odgłos przypominający siąkanie nosem. Doktor Hubert podbiegł zaniepokojony, gdy nagle gwałtowny pęd powietrza ściał go z nóg i rzucił kilka metrów dalej. Towarzyszył temu ogłuszający huk, który przypominał wybuch bomby – taki, jaki szczęśliwsi ludzie słyszą jedynie na filmach z Jamesem Bondem (a ci mniej szczęśliwi tylko raz w życiu). To smok kichnął.

– Przeziębł się, biedaczysko. – Doktor wstał, otrzepując spodnie z piasku. – Wygląda mi to na grypę. Pewnie nie wychodzi, bo...

– Och – jęknął Du. – Jest chory i źle się czuje!

– Sądząc po jego zachowaniu – tu doktor wskazał na powoli odsuwającego się gada – to chyba bał się, że cię zarazi.

– Och, Long! – Du rzucił się naprzód z rozłożonymi ramionami i przylgnął do smoczego boku. – Biedny, kochany Long.

Smok parsknął ostrzegawczo, ale zaraz umilkł.

– Niepotrzebnie się martwiłeś – tłumaczył Du, z przejęcia tak mieszając polskie i wietnamskie słowa, że ani doktor, ani smok nie byli w stanie zrozumieć, o czym mówi. Trochę zajęło, nim do doktora Huberta dotarło ostatecznie zdanie:

– Ale ja się nie boję, ja byłem już szczepiony na grypę...

Tym razem smok zamruczał błogo. Albo zrozumiał, co próbuje mu powiedzieć jego chłopiec, albo cieszył się z głaskania po łuskach.

– Nie sądzę, żeby smocza grypa była groźna dla ludzi – zawyrokował doktor Hubert. Gdy chłopiec przetłumaczył jego słowa, smok powitał je kolejnym słabym, ale wyraźnie uradowanym mruknięciem.

- Słyszysz, Long? Nie musisz się martwić. Tak między nami - tu w głosie Du Van Nyugena zabrzmiała nutka wyrzutu - to uważam, że brat Kuby jest groźniejszy od grypy. Bardzo byś mi się przydał, wiesz? Ale - chłopak zreflektował się - może byłeś zbyt osłabiony?

Smok otworzył jedno oko, czarne i błyszczące, a potem szybko je zamknął.

- I nie chciałeś z nimi walczyć, tak? - Du drążył temat. - Kuba uciekał na sam twój widok, ale oni byli starsi. Mogli nie odpuścić tak od razu. Wolałeś nie zrobić im krzywdy, prawda? Ale oni wcale nie są tacy delikatni dla innych, wiesz? Myślę, że lekkie przypieczenie dobrze by im zrobiło...

Smok ziewnął ostentacyjnie, rozwierając paszczę tak szeroko, jakby chciał połknąć doktora Huberta na raz. Weterynarz miał podobne wrażenie, dlatego przezornie czmychnął w bok. Ale zwierzę tylko podkuliło łapy i wyraźnie dawało do zrozumienia, że chce spać.

- Chyba musicie wrócić później do tej rozmowy - zawyrokował doktor Hubert z bezpiecznej odległości, wycierając łysinę chusteczką w granatowo-popielatą kratkę. - Twój smok raczej nie uważa usmażenia kogoś za pełnoprawną metodę resocjalizacji.

Du wbił wzrok w ziemię, nagle bardzo zajęty przesuwaniem stopą jakiegoś kamyka. Uszy go piekły, choć wewnątrz zegarka nie było szczególnie zimno.

- Póki co, trzeba go wykurować.

Chłopiec ożywił się:

- Co mam zrobić?

- Hm... - Doktor rozejrzał się po piaskowym pustkowiu. - To chyba dobry klimat dla smoków, ale noce tu muszą być zimne, a pamiętaj, że gady należą do istot zmiennocieplnych. Chyba należałoby go czymś przykryć.

- Jakimś kocem, prawda? Może powinienem pozszywać te ręczniki, które sprzedaje mama... - Du urwał, bo dotarło do niego, że to zadanie nie będzie proste. Wolał nawet nie zastanawiać się, jak rodzice ocenią takie obchodzenie się z towarem. Niby powinni zrozumieć, ale, mówiąc szczerze, z rodzicami nigdy nie wiadomo.

Doktor poklepał chłopaka po ramieniu.

- Spokojnie, młody człowieku. Myślę, że znajdziemy u nas coś odpowiedniego. Swojego czasu Zenobia próbowała uszyć spadochron z filcowych zasłonek... Będzie jak znalazł.

- Spadochron z zasłonek - powtórzył Du Van Nyugen, upewniając się, że dobrze usłyszał i poprawnie zrozumiał.

- Chyba chciała pomóc naszemu drogiemu Z. w jakimś powstaniu - wyjaśnił doktor. Gdy na twarzy chłopca dostrzegł tylko pogłębiające się zdumienie, machnął ręką. - Ja to załatwię, młody człowieku. Kiedyś zrozumiesz, że kobiety

są specyficzne. A Zenobia to już zupełnie wyjątkowy przypadek. Mniejsza z tym; jesteś już wystarczająco dorosły, aby wiedzieć, że trzeba opiekować się swoim smokiem, zwłaszcza jeśli ten smok opiekuje się tobą.

Du pokiwał głową z namysłem i powtórzył:

– Trzeba go przykryć spadochronem pani Zenobii.

– Tak. I przygotowywać mu ciepłe, lekkostrawne posiłki. Na przykład owsiankę.

Du spojrzał na lekarza z wyraźnym powątpiewaniem.

– No już, już. To oswojony smok. Nie zaszkodzi mu. A o tej porze roku nie znajdziesz tylu wiader dżdżownic. Chociaż, jakby co, mogę ci pożyczyć łopatę i...

– Ugotuję mu dużo owsianki – zapewnił pospiesznie Du.

– Przydadzą się też warzywa i owoce. Zwłaszcza brokuły i marchewka. – Doktor Hubert zupełnie zignorował kwaśną minę chłopaka. – I cytryny, sporo cytryn... Pewnie tak z dziesięć kilo dziennie.

Du zasępił się. W myślach przeliczał swoje skromne kieszonkowe.

– Trudno będzie skombinować tyle...

– Myślę, że powinieneś tu zostać – oświadczył doktor.

– Tu? – Chłopak rozejrzał się wokół. Dużo piasku, majaczące na horyzoncie szczyty skalistych gór i rzadkie kępki żółkłej trawy porastającej równinę jasno wskazywały, że był to klimat odpowiadający smokom, ale niekoniecznie dobry dla ośmioletnich Wietnamczyków.

– A... nie, oczywiście, że nie.

Smok wymruczał coś niewyraźnie. Kolejny pomruk zdecydowanie przypominał chrapanie. Doktor Hubert ujął chłopca za rękę. Już po chwili znowu siedzieli w salonie Zenobii, na kocu w jodełki. Pani Euzebia właśnie wносиła herbatę malinową. Gdy w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się brzęk tłuczonego szkła i łoskot wielu spadających naraz przedmiotów, teatralnie przewróciła oczami.

– Wygląda na to, że cukru nie dostaniecie – wyjaśniła.

Doktor Hubert umoczył wąsy w rubinowym naparze.

– Mówiąc „tutaj”, miałem na myśli ulicę Bergamuta. Nie, nie – dorzucił, widząc przerażone spojrzenie Du Van Nyugena. – Niekoniecznie ten dom. Myślę, że u pani Euzebie będzie ci wygodniej i zdecydowanie... – Z kuchni doleciała nowa porcja stukotów, łomotów, pęknięć, krachnięć i iście marynarskich przekleństw, więc weterynarz dokończył po prostu: – Zdecydowanie bezpieczniej.

– Przepraszam, ale ja przecież chodzę do szkoły – zaprotestował chłopak. – Ferie mam dopiero od przyszłego tygodnia – wyjaśnił. – Rodzice nie będą zadowoleni. I zaczną się martwić, i...

Doktor Hubert w zamyśleniu gładził wąsy, a pani Euzebia krzątała się wokół

stolika, próbując rozbroić zajmującą cały blat konstrukcję z butelek i postawić gdzieś tacę z makowcem. Coraz dziwniejsze odgłosy z kuchni kazały podejrzewać, że Zenobia również nie próżnuje.

– Czy... – Du podniósł nieśmiało wzrok na tę żwawą kobietę pochłoniętą zastępowaniem gospodyni. – Czy jeśli do nich zadzwonię, mogłaby pani im wszystko wyjaśnić?

Intuicja podpowiadała mu, że z tego całego towarzystwa to pani Euzebia musi mieć najlepszą rękę do rodziców. I zachowywała się zdecydowanie najnormalniej.

– Nie, słonko – odpowiedziała kobieta, odklejając butelkę nalewki wiśniowej od serwety. – A to z kilku powodów. Po pierwsze jeszcze nie wyjaśniliście mi, co z waszym smokiem. Nie mam w zwyczaju podsłuchiwać pod cudzymi zegarkami. A Zenobia – wskazała ruchem głowy kuchnię – chciała najpierw znaleźć peryskop, nie pytajcie mnie, do czego.

– Zaraz wszystko pani opowiem – zaproponował Du.

– Nie, chłopcze. Nie „zaraz”, tylko jak skończę. Są jeszcze inne kwestie, z powodu których nie mogę rozmawiać z twoimi rodzicami. To oczywiście nic złego, kiedy prosisz o pomoc, bo nie umiesz poradzić sobie sam z trudną sytuacją. Wręcz przeciwnie. Ale rodzice nie są aż tak trudną sytuacją.

– Pani nie zna moich rodziców – odpowiedział Du z lekką pretensją.

– Naturalnie, że nie. – Pani Euzebia rozglądała się za miejscem, na które mogłaby odstawić kolejną butelkę. – Miałam jednak w życiu do czynienia z wystarczająco pokaźną liczbą rodziców, aby móc wywnioskować, że twoi nie należą do tej kategorii beznadziejnych przypadków, w których potrzebna jest pomoc z zewnątrz. Jesteś szczuplutki, ale na zabiedzonego nie wyglądasz. Rękawy twojej bluzy nie są ani za długie, ani za krótkie. Trochę się umorusałeś, ale i tak widać, że nosisz czyste ubranie. No i rodzice kupili ci smoka, a to jednak świadczy o ich trosce.

– Jeśli wolno... – Doktor Hubert uniósł dwa palce. Widać było, że pani Euzebia cieszy się tu niewątpliwym posłuchem. Dopiero gdy skinęła głową, mężczyzna kontynuował: – Nie chciałbym, rzecz jasna, wchodzić w cudze kompetencje pedagogiczne, aczkolwiek odniosłem wrażenie, że nasyłanie dziesięciometrowego smoka na kilku szkolnych chuliganów można z dużym prawdopodobieństwem określić już jako... ekhm... lekką przesadę...

– Niewątpliwie. – Pani Euzebia podwinęła rękawy beżowego sweterka. Teraz usiłowała odkleić serwetę od obrusu, a obrus od blatu stolika. Materiał jednak trzymał się nadzwyczaj mocno. Oczywiście tam, gdzie akurat nie rozłaził się w palcach. – Twoi rodzice lubią chyba szybkie rozwiązywanie problemów, co? W sumie to dobrze, ale nie za dobrze. Nie chodzi o to, żeby jakaś banda łobuzów

wystraszyła się twojego smoka, tylko żeby przestali dokuczać tobie i innym uczniom. Nawet tym bez smoków. Nie sądzisz? Bo ja uważam, że to jeden z tych problemów, do których nie trzeba fatygować smoka. Twoi rodzice powinni iść do wychowawcy albo dyrektora...

– Mogłaby im to pani powiedzieć, jak zadzwonię?

– Nie, koteczku. Już mówiłam: to, co możesz zrobić sam, powinieneś robić sam. Ty im to powiesz. Kiedy wrócisz. Bo stąd i tak nigdzie nie zadzwonisz.

Widząc konsternację malującą się na twarzy Du Van Nyugena, doktor Hubert wyjaśnił:

– Bo tu nie ma zasięgu.

Chłopiec spojrzał na niego, jakby zobaczył smoka. Albo co najmniej ducha.

– Telefonów stacjonarnych też nie ma – dorzuciła pani Euzebia. – A w zasadzie są, ale działają tylko w obrębie tej jednej ulicy. Zenobia może dzwonić do mnie, a ja do Zenobii, podobnie jest z księdzem biskupem, ambasadorem, doktorem Hubertem... Ale nie sposób dodzwonić się do kogokolwiek z zewnątrz.

– Ale... Ale dlaczego?

Doktor Hubert zaczerpnął powietrza i oparł się plecami o wyskubaną słomianą matę zdobiacą – a może szpecącą – ścianę za łóżkiem.

– Widzisz, młody człowieku... Ulica Bergamuta tym się różni od innych ulic Warszawy, że jest niewidzialna, co ma swoje zalety, ale i wady. Żyjemy sobie bardzo spokojnie i nikt nas nie niepokoi, ale z tego powodu sami również nikogo nie niepokoiśmy, choćbyśmy bardzo chcieli. Tylko ludzie w wielkiej potrzebie mogą tutaj dotrzeć, a i to nie zawsze... Ty nas znalazłeś, bo... cóż...

– Myślałem, że mnie gonią – podpowiedział Du. – Brat Kuby i jego kumple.

Euzebia szarpnęła za obrus dużo silniej, niż należało, i przez chwilę w powietrzu zawisł odgłos rozdieranego materiału. Nie zwracając na to uwagi, pociągnęła raz jeszcze, a potem zaczęła składać to, co zostało z obrusu.

– Chyba nie słuchałeś, co do ciebie mówiliśmy, młodzieńcze. – Doktor Hubert pokręcił głową. – Szczerze wątpię, by chodziło o wasze porachunki. Z nimi uporałbyś się sam.

– Ale...

– Prędeż czy później, lepiej lub gorzej, ale poradziłbyś sobie. Co innego smocza grypa. Martwiłeś się o swojego smoka. Tak, również dlatego, że ułatwia ci... ekhm... kontakty z rówieśnikami...

– Oni akurat byli starsi – mruknął Du pod nosem, tak cicho, że sam siebie nie usłyszał.

– ...ale nie tylko. Bałeś się o swojego przyjaciela nie mniej niż on o ciebie. To była uczciwa wymiana. Tak uczciwa, że nawet jej nie zauważyłeś. A ponieważ

sam nie poradziłbyś sobie z chorym smokiem... – Doktor Hubert dumnie wypiął pierś, odchylając głowę do tyłu. Wtedy jednak odstająca od maty słomka ukłuła go w łysinę. Syknął tylko niemile zdziwiony, natychmiast porzucił tę pozę i dodał nieco skromniej, niż zamierzał: – To trafiłeś tutaj.

Chłopak kiwnął głową bez większego przekonania.

– Uważam, że powinieneś zostać jakiś czas z nami. Załatwimy ci cytryny z darów. I płatki jaglane...

– I mleko w proszku – dorzuciła Euzebia, która szybko zorientowała się w sytuacji.

– I spadochron Zenobii...

– Tylko najpierw go upiorę.

Zduszone okrzyki i pokasywania z kuchni miały oznaczać, że spadochron jest najzupełniej czysty, tylko jego właścicielka lekko zachłysnęła się kłębam kurzu ze schowka i dlatego nie potrafi tego wyrazić komunikatywnie.

– Byłaby jeszcze taka mała prośba, pani Euzebio...

– Doktorze, żaden problem. Przecież sama widzę, że tu nie ma warunków dla dziecka.

– Nie jestem dzieckiem – zaprotestował Du jeszcze słabiej niż ostatnim razem.

– Nawet poduszkę i koc musiałam przynieść od siebie, inaczej mały na pewno złapałby jakąś tropikalną chorobę.

Zza kotary wychyliła się na chwilę Zenobia. Twarz miała umazaną sadzą, a we włosach wiórki kokosowe i niewprawnie założony za ucho widelec.

– Sama jesteś chorobą tropikalną!

Mina Euzebii jasno wskazywała, że kobieta nie podejmie się teraz wysiłku polemizowania z tym kuriozalnym sądem. Zamiast tego zwróciła się do Du:

– Pomieszkasz sobie u mnie kilka dni, uszykuję ci kanapę w salonie muzycznym. Mam czystą i przestronną kuchnię, pomogę ci z tymi owsiankami. Będiesz mógł odwiedzać swojego smoka, kiedy zechcesz, nie martwiąc rodziców.

– Ale oni i tak się zmartwią, jeśli nie wrócę do domu – westchnął chłopiec.

– Spokojnie, młody człowieku. – Doktor Hubert poklepał chłopca po ramieniu. – Wyślemy im telegram.

– Telegram? – Du Van Nyugen zamyślił się głęboko. – A do tego nie potrzeba telefonu?

Euzebia popatrzyła na doktora bezradnie, a ten wzruszył ramionami.

– Trudno mi to dokładnie wyjaśnić, ale nasze dotychczasowe doświadczenia potwierdzają, że korespondencja telegramowa... ekhm... daje radę. Ale nie da się tak zamawiać pizzy. Wiemy, bo Owidiusz próbował.

– Kim jest Owidiusz?  
– No, no. – Doktor pogroził palcem. – Jego to powinienesz znać ze szkoły!  
– Szkoła! – przypomniał sobie Du. – A co ze szkołą?  
– Cóż... – Weterynarz poprawił okulary zsuwające mu się na czubek zadartego nosa. – Widać muszę pójść do ambasady Peerelu i poprosić ambasadora, żeby wypisał ci usprawiedliwienie.

– Zrobi to? – Chłopiec nie wyglądał na przekonanego.  
– Powinien. Jak mu zaniosę trochę orzechówki, to na pewno. Tylko nie chodź do niego sam. To dziwny człowiek, bardzo dziwny, znacznie dziwniejszy od innych. Potrafi załatwić wiele spraw, które wyglądają na niezałatwialne, ale ma taką zasadę, że nic nie robi dla zasady. Gdyby nie jego paskudny charakter, żyłoby nam się jak w raju. A tak... Jest jak jest.

Du popatrzył na doktora Huberta z powagą, ale nie doczekał się żadnych nowych informacji. Zamiast nich dostał od pani Euzebiei talerzyk z dwoma kawałkami makowca.

– Tak, jest ze świąt – wyjaśniła. – Ale przechowywałam go w zamrażarce, nie powinien być zły, najwyżej trochę suchy...

– Jest zupełnie niejadalny, a może nawet wysoce toksyczny – poinformował ich skrzekliwy głos z kuchni. – Albo napromieniowany!

– Doprawdy, Zenobio? – Pani Euzebia ujęła się pod boki. – A czy to nie ty zjadłaś w święta dwie brytfanki?

– Owszem, zjadłam. Okropnie mnie wtedy zemdliło. Lojalnie ostrzegam, że coś z nim nie tak.

Du pomyślał, że najchętniej przeniósłby się z powrotem do swojego smoka, nakrył tym kocem w jodełki i poszedł spać. Oczy same mu się zamykały. Kulturalnie zasłonił usta dłonią i ziewnął.

– ...a poza tym wasz gość umrze z nudów! – podchwyciła Zenobia, która w niektórych sytuacjach miała naprawdę czuły słuch.

– Niech cię o to głowa nie boli. Jutro pogadam z Norimitsu. Mógłby poduczyć go jakichś technik samoobrony. Jak pan myśli, doktorze?

– Oczywiście. Byle w granicach rozsądku. Myślę, młody człowieku, że to pozwoliłoby ci produktywnie spędzić te kilka dni oraz, jeśli wolno mi zaryzykować taką tezę, nieco... ekhm... naprawiło twoje relacje ze smokiem i kolegami. Hm... Może karate?

Du momentalnie otworzył oczy. To brzmiało naprawdę fajnie. Tymczasem z kuchni dobiegło jedynie głośnie prychnięcie.

– Tu się mylisz, drogi doktorze. Norimitsu nie umie karate.

– Zenobio, wszyscy dobrze wiemy, że mówisz tak, bo nie pozwolił ci używać tego drewnianego miecza do kendo – zaoponowała Euzebia.

- Chciałam zwiększyć efektywność. Nie widzę w tym nic złego. To moja nowatorska technika, nieco improwizowana. Widocznie bał się, że będzie popularniejsza od jego karate.

- Bo kendo to kendo, a karate to karate. A twoja nowatorska technika to... - Euzebia nabrała powietrza, ale w ułamku sekundy wypuściła je jakby z westchnieniem. - To twoja nowatorska technika. I nie, wcale nie zwiększałaś swojej skuteczności. Za to nabiłaś mu guza, a sama omal nie straciłaś jedynek.

- I ty mi jeszcze mówisz, że moja sztuka walki nie jest skuteczna - obraziła się Zenobia. - On mi jakoś żadnego guza nie nabił tym swoim karate. Poza tym to jego karate to żadne karate. Jeśli chcecie, ja mogę młodemu pokazać, jak wygląda zawodowy boks...

Du nakrył się kocem w jodełki po czubek głowy.

- Gdyby próbowała - szepnął doktor Hubert w jego kierunku, lekko unosząc róg koca - wołaj mnie. Albo Euzebię. Albo smoka.

- Mówił pan, żeby nie fatygować Longa bez potrzeby - odpowiedział mu głos spod koca. - Spróbuję sobie poradzić sam.

Doktor Hubert cmoknął z aprobatą.

- Nasz gość szybko się uczy - oświadczył Euzebii. - Czuję, że nie zabawi tutaj długo. A tymczasem... naprawdę nie mógłbym dostać lampeczki sherry?

Euzebia uśmiechnęła się wyrozumiale i na palcach podeszła do kredensu. Spod kocyka dobiegało już cichutkie chrapanie.



# STARY BAJARZ

Krzysztof Banach

*Szkarłat. Zaciskam powieki i widzę barwę, która mieni się odcieniami tego, co nieuchronne, nieodwracalne i nieodwołalne.*

*Krew. Gdy otwieram oczy, wciąż mam ją na rękach.*

*Jak to się mogło stać?*

\*\*\*

Patrzył w rozgwieżdżone niebo. Gdy zobaczył spadającą gwiazdę, westchnął. Jednak ciężar, który miał na sercu, wciąż mu przeszkadzał.

*Ileż to już lat na tym świecie – pomyślał.*

Kiedyś śmieszyły go dowcipy przyjaciela: „Nieźle się trzymasz, stary druhu. Ciekawe, kto się szybciej wypali, ty czy one?”. Dziś nie miał już wątpliwości. One wciąż migotały radośnie, podczas gdy jego wola życia spadała niczym meteor, zostawiając za sobą jedynie mglisty, złoty ślad.

Przy życiu trzymali go jeszcze ludzie składający mu od czasu do czasu wizyty. Stał się atrakcją turystyczną okolicznych wsi, swego rodzaju szamanem. Nie lubił tego słowa. „Mędrzec” – jak zwracała się do niego większość, bardziej mu odpowiadał. Sam uważał się za bajarza, w najlepszym razie wróżbitę. Ludzie przychodzili do niego, by ponarzekać, prosić o radę. Często pytali o pogodę, a jak spadł deszcz, wracali, aby dziękować za pomyślną prognozę. Miłe to było. Czuł się jeszcze potrzebny. Przynosili mu jedzenie. Doceniał to. W tym wieku niełatwo było wybrać się gdzieś samemu.

Rano na polance przed swoją samotnią dojrzał postać w bladopomarańczowym stroju. Mężczyzna przyglądał się górskim wzniesieniom. Gdy zobaczył gospodarza, wyprostował się, obciągnął szaty, a następnie skłonił nisko.

– Witaj, mędrcze.

– Witaj, mnichu. Bo jesteś mnichem, prawda?

– Tak, czcigodny. Jestem mnichem. Byłem u ciebie przedwczoraj.

– Naprawdę? – zdziwił się bajarz i zaczął gładzić wąsy. Zawsze tak robił, gdy się nad czymś zastanawiał. Na początku był to odruch wyuczony, służący

dodaniu sobie powagi, jednak później wszedł mu w krew. – Może to kwestia uczesania – stwierdził, odzyskawszy animusz.

– Nie sądzę, o mędrce. Jak sam zauważyłeś, jestem mnichem. Obce mi są problemy z fryzurą.

Zbliżył się do przybysza, zmrużył oczy, kręcąc głową, po czym odparł:

– Fakt. Jesteś łysy. Pamiętam cię – skłamał. – Byłeś u mnie przedwczoraj. Co cię znów sprowadza?

– Racz wybaczyć, czcigodny, ale nachodzę cię w tej samej sprawie.

– Z powodu? – brnął starzec.

– Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, powiedziałaś, że kolejnego dnia możemy spodziewać się deszczu. Nie spadła ani kropla.

– I co? Masz skargi, że ludzie niepotrzebnie brali ze sobą parasole? Zresztą co ja jestem? Wyrocznia? Na głodnego mogę się mylić – rzucił.

– Oczywiście – odpowiedział łagodnym tonem mnich i skłoniwszy się nisko, zaczął się wycofywać. Nim się wyprostował i odszedł, dodał: – Pozwól, że się oddalę. Mam tu niedaleko kosz z zapasami. Podzielę się z tobą.

Bajarz nie przejmował się zanadto ludźmi ani tym, co o nim myśleli. Nie dziwił się więc, że opinię o nim mieli nie najlepszą. Wykorzystywał ich. Wiedział, że lubią do niego przychodzić po rady i mądrości życiowe. W zamian w połowie każdego miesiąca otrzymywał zapasy. Często jednak prosił o coś specjalnego. Nigdy mu nie odmawiali. Lubił wierzyć, że doceniali go jako mędrca.

Po kilkunastu minutach mnich zjawił się ponownie. Nie wypadało go zbyć, więc starzec uśmiechnął się, a widząc pytające spojrzenie, zagaił:

– Więc chciałeś o czymś porozmawiać, tak?

– Tak, o mędrce. Nasz kraj nawiedzają długotrwałe susze. Ludzie błagają o pomoc.

– To może pójdziecie do smoka – odpowiedział bez zastanowienia. Ciekawe myśli nawiedzały go niespodziewanie, zaskakując czasem bardzo przyjemnie.

– Tak – powiedział mnich, przeciągając nieznacznie wypowiedane słowo, a jego twarz przybrała wyraz zadumy. Po chwili zaś dodał: – W zasadzie myśleliśmy o tym, ale nie wiemy, jak się do tego zabrać. Nasza wiedza o smokach jest, jak mniemamy, zbyt mała. Czy byłbyś w stanie nam pomóc, o czcigodny?

– Tak. Oczywiście. Zawsze chętnie pomagam. Ale, jak by to rzec, doskwiera mi refluks. To paskudna przypadłość. Nie mogę jeść za dużo mięsa bez świeżych warzyw. Owoce też by pomogły.

Wyłudzenie jedzenia nie napawało mędrca dumą, ale bawiły go sytuacje, w których umiejętność wywoływania burczenia w brzuchu przynosiła dodatkowe profity. Jednym z nich była gra na czas.

– Oczywiście, zajmę się tym – odpowiedział z mnich, kłaniając się starcowi. –

Czy mogę jutro znów cię odwiedzić?

Bajarz skinął mu głową i odprowadził wzrokiem. Czuł satysfakcję z tej wizyty, a nie zdarzało się to często. Zamyślony zapomniał się schylić i wchodząc do jaskini, niemal uderzył czołem o skałę. Nigdy nie narzekał jednak na mieszkanie. Przestronne wnętrze, nieco surowe wykończenie, ale w pełni naturalne.

Doceniał pustelniczą dolę. Nie pamiętał już, co go do niej skłoniło, ale wołał życie na uboczu. Najbardziej chyba jednak cenił sobie prywatność. Brak wścibskich spojrzeń. Świeże powietrze, piękne górskie widoki i szum pobliskiego potoku. Lubił tę zimną toń. Jeszcze bardziej smak czystej źródlanej wody. Pomagała mu na zgagę. Odkąd zaczął ją pić regularnie, przestało go męczyć nieprzyjemne uczucie palenia w przełyku.

\*\*\*



Mnich pojawił się następnego dnia w asyście dwóch braci niosących zamówione produkty. Oczekiwał, co było widać wyraźnie, rewanzu za swą naiwną dobroduszość.

– Więc jak, mędrcze? Czy będziesz tak łaskaw i opowiesz mi coś o smokach?

– Tak, tak. Rzekłem przecież słowo. Usiądź. Porozmawiamy.

Bracia zakonnicy się oddalili. Mnich tymczasem obrzucił spojrzeniem okolicę, po czym przysiadł na niewielkim głazie. Po chwili milczącego oczekiwania zerwał kłosa trawy i zaczął przypatrywać mu się z zainteresowaniem. Zerkał jednak co jakiś czas w stronę mędrca.

Bajarz wiedział, że musi szybko wymyślić historię o smokach, ale miał problem, żeby zebrać myśli. Patrzył na dłonie mnicha obracające roślinę. Fascynowało go to, ale i rozpraszało. W końcu zamknął oczy i głęboko westchnął.

– Więc tak... – przeciągnął. – Smoki to stworzenia mityczne są – zaczął nieporadnie, wyraźnie szukając słów. – Bywają impulsywne, ale dobrym ludziom pomocy nie odmawiają.

Życzliwe spojrzenie mnicha, które zatrzymywało się na starcu coraz dłużej, dodawało otuchy. Bajarz zaczął wierzyć, że podoła zadaniu i nie wystawi na szwank budowanego tak długo autorytetu.

– Wyglądu, to fakt, pięknego nie mają, ale dusza smoka to istny diament – kontynuował, starając się tchnąć w wypowiedzane zdania więcej powagi. – Przyjacielem człowieka wręcz się stać mogą. Legendy zaś głoszą, że posiadają moce panowania nad żywiołami.

– A więc nie mylimy się z braćmi w tym względzie.

– Tak, tak. To jest powszechna wiedza. Oczywiście.

Twarz młodziana nie wyrażała jednak dezaprobaty. Przeciwnie. Mnich wydawał się cieszyć z każdego kolejnego zdania.

– Jest, powiem ci ja, Dilong. Mówią, że rządzi rzekami i strumieniami. Zwą go ziemskim smokiem. – Bajarz nabierał pewności siebie, a dobór słów wymagał z każdą kolejną chwilą mniej wysiłku. – Był też Jiaolong albo Jiao, sam już nie wiem. Bestia brzydka, pokryta łuskami na całym ciele, prawie jak wąż. Wyobrażasz sobie taką poczwagę? To smok wodny. Nie chciałbym go spotkać.

Mnich kiwał głową, uśmiechając się życzliwie.

– Tianlong to niebiański smok, ale to chyba wymaginowany stwór. Legendy głoszą, że chroni boskie pałace. Oczywiście inna sprawa, czy wierzy się w niebiosy. Ale przecież jesteś mnichem – zreflektował się szybko bajarz.

Młodzian skrzywił się, jednak zaraz powrócił do serdecznego wyrazu twarzy.

– A ten może cię zainteresować. Duchowy Smok odpowiada podobno za deszcz i wiatr. Mówi się, że jego władza sięga każdego miejsca na Ziemi. Trochę to przesadzone, nie sądzisz?

– Coś o nim słyszałem. Jak on się nazywa?

– Dobre pytanie – odpowiedział z lekkim zakłopotaniem bazarz i natychmiast uruchomił odgłos burczenia w brzuchu.

Dźwięk był na tyle mocny, że zaskoczył nawet starca. Mnich stanął niemal na baczność, po czym zgiął się wpół i sprawnie wycofał.

– Oczywiście, zaradzę temu – powiedział i mimo nieznacznej irytacji w głosie oddalił się, pozostawiając w pamięci starca lekko wymuszony uśmiech.

– A tam. Nieważne, co myśli, ale co robi – skwitował bazarz, gdy został sam. – Że też ciągle to działa! – Śmiał się w duchu mimo dziwnego skrętu jelit, który zaczął budzić podskórny niepokój.

Odwracając ciało w stronę jaskini, w porę uniknął zderzenia. Odetchnął głęboko. Tym razem wykazał się nie tylko czujnością, ale i spostrzegawczością. Nad wejściem dostrzegł detal, który dotąd umykał jego uwadze. Odkrycie dotyczyło wrytych tam przez kogoś znaków.

– Ładne – stwierdził. – Ciekawe, co mówią.

Nie pamiętał, czy były tu, gdy wybierał to miejsce na samotnię. W gruncie rzeczy coraz częściej uświadamiał sobie, że pamięta bardzo mało.

*Ot, starość nie radość* – pomyślał.

Kiedy miał już udać się na spoczynek, usłyszał ciche kasznięcie. Zerknąwszy w stronę wejścia, zobaczył mnicha z koszem owoców i warzyw.

– Bracia zapomnieli wnieść jeszcze to. Proszę – powiedział mnich, kłaniając się nisko. Gdy dostrzegł na obliczu bazarza uśmiech, zagadnął: – Czy to możliwe, że czwarty smok nazywa się Shenlong?

– No przecież mówiłem.

– Istotnie, mówiłeś. – Mnich spojrzał na mędrca ze zdziwieniem, jednak szybko skrył je pod życzliwością.

– Tak. Oczywiście, że mówiłem. To przecież najwspanialszy ze smoków. A i imię naprawdę zacne. Jego moce przekraczają ludzkie wyobrażenia. Taki smok by się przydał na wasze problemy z suszą.

– Opinia o twojej mądrości słusznie krąży wśród gawiedzi, o czcigodny. Gdzie mamy szukać Shenlonga?

Pytania szczegółowe zawsze stanowiły problem. Ponowne burczenie w brzuchu nie wchodziło w rachubę, bazarz rzekł więc głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– Przynieś mi mapy, a wskażę ci drogę.

Za odchodzącym w pokłonach mnichem krzyknął jeszcze:

– A przynieś jeszcze jakieś zwoje ze znakami! Chciałbym sprawdzić jedną rzecz.

*I tak oto kolejny dzień do przodu* – pomyślał wyraźnie z siebie dumny.

Mnich również wyglądał na zadowolonego.

\*\*\*

O brzasku na polanie pojawiła się większa liczba braci zakonnych. Przez ramiona mieli przewieszane chusty, które pomagały im utrzymać niezliczone ilości zwojów. Gdy tylko złożyli je na ziemi, poprosili o zgodę na oddalenie się. Pozostał tylko ten, którego twarz z każdym kolejnym spotkaniem wydawała się starcowi coraz bardziej znajoma.

– Sporo macie tych map! – zawołał na powitanie bazarz, wyraźnie rozluźniony. Patrzył to na stos ułożony na skraju polany, to na rulon w ręku mnicha. Doskonale wiedział, że w głębokiej wodzie pływa się najlepiej.

– Mapę mam tylko jedną – odparł mnich, wskazując na zwój znajdujący się w jego dłoni.

– Świetnie – odpowiedział mędrzec, nie tracąc rezonu. – Bierzmy się zatem do pracy, dopóki jest jasno. Chciałbym jednak najpierw obejrzeć tamte skrypty. Co zawierają?

– Prosiłeś o zbiory *Hànyǔ pīnyīn*. Tu znajdują się wszystkie znaki *Hànzì*. Jeśli jakiegoś szukasz, niezawodnie go dzięki naszej pomocy odnajdziesz.

Starzec uśmiechnął się w duchu. Każdy pergamin zawierał setki, jeśli nie tysiące znaków.

Mnich przynosił zwoje i pomagał je rozwijać. Starzec odczuwał w związku z tym wdzięczność. Jego palce nie były tak sprawne, jak by sobie tego życzył, i gdy wyraził obawę, że może niechcący zniszczyć cenny zbiór, mnich bez mrugnięcia zadeklarował pomoc. Był bardzo cierpliwy.

Mijała godzina za godziną. Dzień zmierzał ku końcowi, gdy ostatni z rulonów został zwinięty.

– To była wspaniała podróż. Kiedyś uwielbiałem czytać. Teraz, bez twojej pomocy, nie byłoby to możliwe. Rad jestem z lektury. Niemniej nie znalazłem znaku, którego szukam. Czy mógłbyś mi przynieść inne zbiory? Może znalazłyby się tam symbole z czasów zamierzchłych. Mam wrażenie, że symbol, którego szukam, bardziej przypomina pieczęć niż znak *Hànzì*.

Mnich spojrzał na starca z wyrazem dezaprobaty, jednak ani słowem czy grymasem nie zdradził swych uczuć.

*Dobra szkoła* – pomyślał bazarz.

Zaczął naprawdę lubić tego chłopaka. Jego głos był kojący, a w spojrzeniu co jakiś czas dostrzegał iskierki, które jakby pamiętał.

– Czy moglibyśmy teraz spojrzeć na mapę? Kraj oczekuje pomocy. Musimy jak najszybciej dotrzeć do smoka.

– Oczywiście. Rozwiń, proszę, rulon.

Gdy zwój został rozpostarty, starzec nachylił się nad mapą i zaczął wzdychać. Mina mnicha mówiła sama za siebie – kolejny dzień stracony. Miał rację.

– Przykro mi, młodzieńcze. Ale jest już za ciemno. Możesz przyjść jutro?

– Oczywiście, czcigodny.

– I pamiętaj o zwojach.

– Nie zapomnę – powiedział mnich, a w jego oczach pojawił się cień, którego starzec nie potrafił zinterpretować.

\*\*\*

Przespał spokojnie całą noc, co nie było częste w jego wieku. Uśmiechał się, długi czas utrzymując zamknięte powieki. Liczył na przywołanie obrazów, wrażeń i emocji, które tak bardzo go pokrzepiły. Śnił bowiem o lataniu. Unosił się ponad mapą pokazaną mu przez mnicha, zupełnie tak, jakby przemierzał te krainy na własnych skrzydłach.

*Zacny sen* – pomyślał, wstając rześki i młodszy o jakieś kilkanaście lat.

\*\*\*

Już od brzasku wypatrywał mnicha. Ucieszył się tak na jego widok, jak i ze sporej liczby zwojów, które ten ze sobą przyniósł. Za nim pojawili się również towarzysze targający kolejne kosze wypełnione warzywami, owocami i rybami.

– Witaj, czcigodny. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe samowolnej decyzji. Nie chciałem jednak ryzykować, iż potrzeby twego organizmu nie pozwolą nam na zakończenie dyskusji.

Starzec nie wiedział, czy cieszyć się z niespodzianki, czy też przejąć wybiegiem mnicha. Wiedział przecież, że teraz coraz trudniej będzie unikać konkretnej odpowiedzi.

– Mistrzu Shen, gdzie mamy postawić kosze? – zapytał jeden z mnichów.

– Czcigodny, czy pozwolisz, że moi bracia pozostawią kosze w tym miejscu i oddalą się? A może wolałbyś, by pomogli ci wnieść je do środka? To spore zapasy.

– Nie, nie, mogą zostawić tutaj – powiedział nieco roztargnionym głosem starzec. Gładził się po wąsach, przyglądał mnichowi i wzdychał.

Bracia nie czekali na zmianę decyzji i szybko odeszli z wyraźną ulgą.

– A więc nazywasz się Shen? Brzmi bardzo znajomo.

– Pełnię funkcje *shīfu* w tutejszym klasztorze. Z dziada pradziada pełniły posługę w tej okolicy.

– Mistrz i wychowawca brzmi dumnie. Znałem chyba kiedyś jednego *shīfu*.

Shen wyraźnie się rozpogodził.

– Mój dziad zawsze mi powtarzał, że służba jest źródłem dumy dla całej

rodziny. Nie rozumiałem go. Ale gdy ojciec pozwolił mi sobie pomagać, pojąłem, dlaczego to takie ważne. Nauczyłem się wiele. Cierpliwości, rozsądku i ostrożności. To bardzo istotne w naszej pracy. Wiem, że dzięki temu wykonuję ją dobrze, a równocześnie hartuję swój umysł oraz ciało. Może kiedyś dostąpię zaszczytu i dorównam przodkom.

– Na pewno. Bądźmy dobrej myśli – bąknął starzec, który czuł niepokój narastający z każdym słowem wypowiedzianym przez mnicha.

Ciągle męczyło go poczucie, że coś mu umyka. Jakaś istotna informacja, która ma znaczenie dla prawidłowej oceny sytuacji.

Pomimo błędnego spojrzenia bajarza Shen kontynuował swoją historię, czujnie obserwując starca.

– Do dziś pamiętam, co ojciec mi wpajał. „Są trzy podstawowe zasady; po pierwsze: nigdy go nie pospieszaj, po drugie: nie uraż nieprzemyślanym czynem lub gestem i po trzecie, najważniejsze: nie zaskocz niczym. Może wówczas zdarzyć się rzecz nieodwracalna, której nawet on będzie później żałował” – wyliczył sprawnie mnich. – Nie sądziłem, że to takie ważne, dopóki ojciec nie zginął na służbie, zapomniawszy o zasadach.

Starzec wydawał się nie słuchać. W jego oczach raz po raz zapalały się i gasły ogniki – jakby ciągle tłumione nieznaną siłą.

– Masz może zwoje, o które cię prosiłem? – zapytał po pewnym czasie.

– Oczywiście, czcigodny. Oto one. Pozwolisz? Pomogę je rozwinąć, są bardzo stare. To zbiory z pismem małopieczęciowym.

Gdy bajarz ujrzał znaki, od razu się ożywił.

– Tak. Właśnie takich obłych kształtów szukałem.

Przeglądał znaki z nieukrywanym podnieceniem. Wyglądało to tak, jakby dorosły człowiek zobaczył po latach książkę z dzieciństwa. Znajome obrazy, symbole mówiące tak wiele. Przywołujące wspomnienia, lekkie jak poranna rosa. I taką też rześkość poranka poczuł w głębi swej jaźni. Bieg myśli odnalazł spokojny rytm. Zagubione sceny z życia wracały przez pamięć do serca.

Bazarz spojrział na mnicha, przechylając głowę. Uśmiechnął się.

– A więc nazywasz się Shen i przychodzisz do mnie po radę, jak odnaleźć smoka?

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Niemniej mnich skinął głową.

– Bądź tak miły wobec starca i rozłóż tę mapę – poprosił bajarz.

– A znak? Czy już znalazłeś ten, którego szukałeś?

– Znalazłem więcej, niż się spodziewałem.

Starzec pochylił się nad zwojem. Długo analizował wykreślone tam kształty, a następnie zaczął wodzić po mapie swym najdłuższym szponem.

– Tu jest wasz klasztor, *shīfu*?



- Tak.

- Długą i uciążliwą macie do mnie drogę. – Spojrzał na mnicha z uznaniem.

Z mapy wynikało, że podróż z klasztoru do samotni zajmowała kilka godzin. Oznaczało to, że mistrz od kilku dni poruszał się niezmordowanie tam i z powrotem, aby sprostać oczekiwaniom starca. Bajarz uklonił się nisko na znak uznania i podziękowania za tak duże poświęcenie. *Shīfu* najwyraźniej wiedział, co starzec ma na myśli, i odwzajemnił ukłon w geście skromności.

- Tu zaczyna się pasmo gór, które piętrzą się za moimi plecami – rzekł mędrzec.

Shen patrzył na mapę, z uwagą śledząc każdy ruch szpona. Przytakiwał, gdy jego właściciel omawiał uwarunkowania terenu, roślinność i cieki. Wszystko się zgadzało, co potwierdzał skinieniem głowy.

- A tu, u podnóża wzniesienia, jak widzisz, narysowany jest znak. Niewielki, ale widoczny. Znajdziesz go również w zwoju z pismem małopieczęciowym. Porównaj.

- To ten sam symbol – potwierdził mnich bez chwili wahania.

- On wskazuje miejsce, w którym odnajdziesz smoka. Pomoże wam z problemem suszy.

Mnich skłonił się nisko. Gdy się wyprostował, jego twarz wyrażała unikatową mieszankę radości i ulgi.

- Dziękuję ci, o wielki Shenlongu.

Shen patrzył na pazurzaste palce i ostry jak brzytwa ogon. Strach, jaki towarzyszył mu od kilku dni, minął, gdy patrząc w oczy smoka, dostrzegł wdzięczność podobną do tej, którą i on odczuwał.

- Nie, to ja dziękuję tobie, o wielki mistrzu Shen. Dziękuję całemu twemu rodowi. – Shenlong skłonił się nisko, a gdy się wyprostował, dodał z uśmiechem: – Jutro możecie spodziewać się deszczu. Odpocznij, *shīfu*, zasłużyłeś. Wracaj do domu.

Mnich nie dał się długo prosić. Istotnie, był wykończony. Nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Ciągłe napięcie, jakie towarzyszyło tej misji, niszczyło jego duchową równowagę. Nieraz aż drżał na myśl o możliwości popełnienia błędu. Odetchnął wreszcie z ulgą. Pozbierał zwoje i pomógł smokowi wnieść kosze z resztą zapasów do groty.

Gdy znalazł się znów na polanie, Shenlong wyrwał ze swej jaskini i spojrzał na niego przyjaźnie. Widział w nim przyjaciela. Zagubionego i tak wspaniale odzyskanego. Przez chwilę poczuł się tak, jakby nigdy go nie stracił.

Mnich, machając Shenlongowi na pożegnanie, spojrzał na znak znajdujący się nad wejściem do jaskini. Symbolizujący smoka totem pierwszych plemion chińskich był obecnie potrzebny bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Pamiętasz, jak mój ojciec pomagał ci wyryć ten znak? Był dumny z nawiązanej więzi. Wspominam go zawsze radosnego, gdy powtarzał, że prędzej się gwiazdy wypalą, niż wasza przyjaźń przeminie.

Młody *shīfu* często mówił o ojcu, który był mu więcej niż mentorem. Uważał go za niezwykłego człowieka. Nawet wspomnienie o nim potrafiło zmienić najczarniejszą noc w pogodny dzień, a sprawy beznadziejne postawić w zupełnie innym świetle. Smok wydawał się mieć w sobie podobną życzliwość. To dlatego kraj przez ostatnie dziesięciolecia korzystał z urodzaju i wzrastał w szczęściu i pokoju.

Choć nie potrafił zapomnieć mu tragicznej śmierci ojca, mnich zaczął lubić Shenlonga. Boskie stworzenie było w końcu tylko smokiem, a życie Shena mnisią służbą, którą musiał wypełniać z oddaniem.

Odetchnął pełną piersią, odzyskawszy animusz i wiarę w siebie. Ruszył w drogę powrotną z nadzieją, że teraz wszystko musi się już ułożyć.

\*\*\*

*Tacy podobni.*

*A jednak nie tacy sami.*

*Jak mogłem?*

\*\*\*

Smok długo stał i patrzył za odchodzącym mnichem. Można by wręcz przypuszczać, że przestał oddychać. Nie drgnęła mu nawet powieka, mimo że burza, jaka towarzyszyła jego myślom, trwała w najlepsze. Wciąż miał przed oczami szczerą twarz przyjaciela i obrazy związane z latami, podczas których czuł się naprawdę szczęśliwy.

W końcu wyszedł przed samotnię i spojrzał na znak. To nie był tylko symbol smoczego leża. To był znak niemal braterskiej miłości z człowiekiem, z którym rozumiał się bez słów. Młody *shīfu* taki nie był. Różnica jawiła się jako zbyt oczywista. Wyuczona poprawność nigdy nie zastąpi naturalnej życzliwości.

Spojrzał na swoje szponiaste palce. Niby pięć przy każdej kończynie, ale ich widok nie pozostawiał złudzeń. Był smokiem, najprawdziwszym smokiem, choć tak bardzo nie chciał nim być. Teraz to pragnienie wydawało się silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Wraz z pamięcią wróciły demony przeszłości. Znów widział krew na swoich palcach. Wiedział, że nie zmyje jej woda ani ogień, ani jedno i drugie połączone nicią rzeczywistości w mijający czas. To nieprawda, że czas leczy rany – nie leczy ran zadanych sobie własnym szponem. Tylko w nicości szukać ratunku i słodkiego zapomnienia. Zawsze to wiedział, będąc stworzeniem

nieśmiertelnym, którego życie jest wieczną służbą. Kontestacją fatum okazała się piękna przyjaźń smoka i człowieka. Niedopuszczalna skaza na niebiańskim planie opatrności.

*Czy to dlatego stworzono smoki tak gwałtownymi? Przekleństwo nieśmiertelnych, wiecznie samotnych!*

Każdy jest kowalem własnego losu. Niemniej jego, jako smoka, ta zasada wydawała się nie dotyczyć. Postanowił to zmienić. Rytmicznymi ruchami, raz po raz, jak w kowadło przeznaczenia, uderzał głową w znak, który przypominał mu o tym, o czym pamiętać nie chciał. Świtało, gdy wykonał ostatnie, desperackie uderzenie.

Ulga przyszła wraz z utratą świadomości. Nareszcie nie widział czerwieni. Nie czuł już palącego grzechu popełnionego z powodu smoczej natury.

Przeleżał tak cały dzień i całą noc. A gdy otworzył oczy kolejnego dnia, był już spokojny.

Czuł się stary, ale na swój sposób szczęśliwy.

\*\*\*

Z zadumy wyrwał go młody, ale jakby trochę zmęczony głos.

- Witaj, mędrco.
- Witaj, mnichu. Bo jesteś mnichem, prawda?
- Tak, czcigodny. Jestem mnichem. Byłem u ciebie przedwczoraj...

# EGZEGEZA SZALONEGO GNOSTYKA

Sylwester Gdela

Stoję na zabazgranym sprejami przystanku pośród kilkunastu wyglądających całkiem zwyczajnie ludzi. Powiedzieć, że czuję się nieswojo, to jak nic nie powiedzieć. Nie mogę liczyć na łaskę desensytyzacji. Koszmar, przeżywany setki razy na jawie, znów boli tak samo.

Podjeżdża autobus. Jakieś dwie starsze kobiety kłócą się o to, która wsiądzie pierwsza. Ich twarze nagle ciemnieją, z ust wyrastają zakrzywione kły. Zaczynają się szarpać, gryźć po ramionach. Odrywają sobie nawzajem kawałki mięsa, brunatna jucha zrasza wszystko dookoła. W końcu poirytowany, pogrążony w pośpiechu tłumek wpycha je do pojazdu.

Witaj w moim świecie, czytelniku.

Nazywam siebie Szalonym Gnostykiem, choć gnozę rozumiem nieco inaczej niż reszta ludzi. Nie sądzę, by istniał jakikolwiek idealny stan, do którego możemy wrócić, wyzbywszy się materialnej powłoki. Wiedza nie jest dla mnie źródłem zbawienia. Raczej wyzwolenia z oków sensowności, ludzkiego Etosu Wielkich Rzeczy. Gnoza to dla mnie spojrzenie w odwieczną pustkę. Uchwycenie obrazu bezładu i zrozumienie, że z chaosem nie można wygrać. Takiego podejścia nauczył mnie kiedyś pewien Smok.

Jak przystało na szaleńca, mam dobrą pamięć. Może nie godną geniuszy, ale z pewnością ponadprzeciętną. Lubię utrwalać w zwojach mózgowych fragmenty dzieł: filmów, powieści, piosenek. Choćby pewną scenę z drugiej części „Insygniów Śmierci” – tę, w której Harry po oberwaniu klątwą od Voldemorta ląduje na skąpanym w bieli peronie kolejowym razem z Dumbledore’em. Wmuruję ją w swoją opowieść niczym kamień węgielny, fundament tępiący wszystkie brzytwy... Ockhama, Lema, kogokolwiek.

To chyba leciało jakoś tak:

– Profesorze, to dzieje się tylko w mojej głowie? – zapytał Potter.

– Czy to oznacza, że nie naprawdę? – odparł zmarły dyrektor Hogwartu.

W tym tkwi sedno całego tego zamieszania. Większość ludzi przywiązuje zbyt dużą wagę do realności. Mają obsesję na jej punkcie. Gnębią wszystkich uciekających od świata, niby kapłani dwóch złotych cielców – Materii i Logiki –

prześladujący niewiernych: psychonautów, świadomościących, nawet zwykłych marzycieli.

A tak na poważnie, jakie to ma znaczenie, czy docierające do ciebie bodźce są informacjami o rzeczywistych obiektach, czy tylko machinacjami naszego umysłu?

Dla mnie znikome. Obie opcje różnią się głównie intensywnością doznań, często w marginalnym stopniu. Reszta to mityczna przybudówka skonstruowana na przestrzeni dziejów przez jednostki wczepione pazurami w swą ukochaną, śmierdzącą rzeczywistość.

Dlatego kreuję. Odtwarzam historie w głowie, bo tam mogę więcej niż w zewnętrznym świecie. Część z nich spisuję w celu utrwalenia. Natomiast tych bardzo osobistych z reguły nie wypuszczam na światło dzienne. Zamykam je wewnątrz czaszki, by zgniły razem z resztą ciała, gdy już stąd odejdę. Myślę, że tak będzie lepiej... Lecz mimo wszystko nie potrafiłem opanować jednej postaci kryjącej się gdzieś w głębi mej świadomości. Smoka, którego życiorysy opisuję na setki sposobów.

Kiedy słyszysz, czytasz, oglądasz albo sam snujesz jakąś opowieść, przez moment stajesz się Innym. Zyskujesz nowe spojrzenie. Możesz być wszystkim, choć w perspektywie wszechświata jesteś niczym. Tylko malutkim zlepkiem kosmicznego pyłu.

Cóż, drogi czytelniku, może zapytasz, po co przeżywać cudze życia, skoro masz własne? Odpowiedź ujrzysz za chwilę oczyma wyobraźni. Przynajmniej tak przypuszczam, w końcu nie mogę nikogo zmusić do zrozumienia mojej perspektywy.

Autobus już dawno odjechał, więc aby dotrzeć do celu, muszę albo iść, albo czekać na następny. Wybieram tę pierwszą opcję.

Jest cholernie zimno. Staję przed przejściem dla pieszych, czerwone światło sygnalizacji rozlewa się po szarym betonie. Na ulicy korek, smród spalin okalecza mój nabłonek węchowy, pył oblepia płuca. Patrzę na sunące powoli maszyny; w niczym nie przypominają pojazdów, które zapewne widzisz codziennie. Zamiast znaczków marek zdobią je nadgniłe głowy rozjechanych zwierząt. Ich karoserie składają się z długich kawałków ostrej, poszarpanej stali splecionych niczym wici bluszczu. Są w całości otoczone świecąca aurą, jakby ektoplazmą. To chyba dusze ludzi zmarłych w wypadkach drogowych. Właściwie nie dusze, raczej ostatnie krzyki bólu i rozpacz odcisnięte na tkaninie rzeczywistości. Żałosne wołanie o pomoc wwierca mi się w mózg.

Zapytasz pewnie, co jest przyczyną tego, że postrzegam świat w taki sposób?

Zacznijmy zatem kolejną historię, opowieść wewnątrz opowieści, quasi-matrioszkę. Gdy jesteś jeszcze dzieckiem, rodzice mówią ci o świecie jako

o pięknym miejscu. Zabierają cię na plac zabaw, pokazują zwierzątka w zoo, karmią słodyczami. Potem dorastasz i na tym dostojnym obrazie życia pojawiają się defekty. Koledzy z podwórka wszczynają kłótnie o rzeczy gorsze niż zabawki, zwierzątka w zoo w gruncie rzeczy okazują się zniewolonymi, praktycznie bezmyślnymi bestiami, które tylko jedzą i płodzą potomstwo, a słodycze powodują otyłość i inne choroby.

Szukasz więc przyczyn, próbujesz załatać te pęknięcia na obliczu rzeczywistości, a świat w międzyczasie zalewa cię kolejnymi falami okropieństw i gorzkiej obojętności. Bywa, że wysnute przez siebie wyjaśnienia spełniają swoją funkcję i udaje ci się wszystko jakoś poukładać. Bywa też zupełnie inaczej. Żadna odpowiedź cię nie satysfakcjonuje. Nie masz już na czym oprzeć swego punktu widzenia. Życie lega w gruzach, gmatwa się aż do momentu, gdy zaczynasz kwestionować wszystko; gdy nic już nie jest zrozumiałe.

W moim przypadku potoczyło się to tak, że teraz wszędzie dostrzegam strach i cierpienie.

Zielone światło. Ruszam razem z grupką ludzi przez wstęgę popękanego asfaltu. Spoglądam na oblicza nieznajomych. Większość z nich jest smutna bądź poirytowana. Codziennosc wyssała całą radość z ich twarzy. Zostały tylko nadgryzione przez czas, powoli ulegające rozkładowi tkanki miękkie, żerowiska białych czerwi.

Smród tłumu mnie odrzuca. Nie chcę być jego częścią, odłączam się. Skręcam w wąską, pustą alejkę, mimo że muszę przez to nadłożyć drogi.



W brunatnej od brudu kałuży widzę swe odbicie. Obraz w lustrze wody ujawnia okrutną prawdę; choć nienawidzę ludzi, w istocie jestem taki jak oni. Gnijący, zainfekowany hipokryzją, zarażony pogardą, dotknięty znieczulicą. Czuję odrazę do samego siebie.

Wydaje mi się, że w tafli widzę błysk znajomych żółtych ślepi z pionową źrenicą. Podnoszę wzrok. Nikogo tu nie ma, przynajmniej na razie.

Czuję wibracje pod stopami, drgania stopniowo przybierające na sile. To rytm wnętrzości miasta. Przebudzony lewiatan trawi ludzi, którzy zbłądzili w labiryncie jego jelit.

Pierwsze uderzenie. Stal, szkło i beton zapalają się pajęczyną niebieskawego światła, niby siecią żył i tętnic niosących zatrutą krew. Targane pulsem budynki dygoczą, giętkie jak z gumy. Moje bębniarki jęczą pod naporem skowytu ceglanych murów falujących z niską częstotliwością. Rozpoczyna się pieśń zagłady wygrywana w zakresie kilkudziesięciu herców.

Organy wpadają w rezonans. Mam wrażenie, że moje oczy zaraz pękną i rozleją się po twarzy, płuca eksplodują, serce zostanie rozerwane na drobne włókienka.

Boję się. Perspektywa nieistnienia przeraża mnie równie mocno, co tkwienie tutaj, w pułapce zastawionej przez zimny świat i własny umysł. Zarówno ból fizyczności, jak i obcość nicości rodzą we mnie lęk. Muszę wstąpić prosto w jądro strachu, nie ma innego miejsca, do którego mogę pójść.

Ruszam naprzód. Powoli, z trudem stawiając krok za krokiem na nieustannie marszczącym się asfalcie. Błądźnik wariuje, gdy moim ciałem targają kolejne impulsy przebiegające po ciele betonowego olbrzyma. W końcu padam na kolana i próbuję zwymiotować. Nie mogę, mam pusty żołądek. Przez to wszystko czasem zapominam nawet o jedzeniu.

Wstaję z trudem, wspierając się na wibrującej, chropowatej ścianie budynku. Idę dalej. Tak bardzo się lękam, choć wiem, że właściwie nie powinienem. Gdzieś w głębi umysłu słyszę głos. Mój głos – przekrzykujący apokaliptyczny hałas i powtarzający niestrudzenie te oto słowa:

*Nie mogę się bać.*

Robię krok w przód, szurając nogą po asfalcie. Raz wspinam się na szczyty, raz spadam w doliny. Walczę.

*Strach jest zabójcą umysłów.*

Próbuję wykrzesać z siebie jeszcze więcej sił, byleby tylko brnąć dalej. Wrzeszczę, wyję, emituję z siebie fale w przeciwnej fazie, żeby interferowały z jazgotem drgających budowli i uciszyły oszalałego lewiatana.

*Strach jest małą Śmiercią, która przynosi całkowite unicestwienie.*

Gdzieś za bitumicznym grzbietem widzę ogon pokryty łuską. Znika za rogiem



blaszanego kiosku krwawiącego rdzą i brudem. Dlaczego uciekasz, przyjacielu?

*W przestrzeni serca nie ma miejsca na strach<sup>2</sup>.*

<sup>2</sup> Fragmenty kursywą pochodzą z „Diuny” Franka Herberta i utworu muzycznego „Mindkiller” Adama Freelanda. Tłumaczenie autora.

Tak, on będzie czekał właśnie tam. Zawsze zachęcał mnie do odprawiania tych bezgłośnych zaklęć, mantr-kotwic pozwalających przeciwstawić się sztormowi lęku. Muszę wydostać się z rzeczywistości, znów zamknąć sam w sobie. Zaciskam powieki, zakrywam uszy. Człapię na oślep, opierając bark o harmonicznie wyginającą się ścianę. Natrafiam na lepki, przeraźliwie słodki zapach. Cukiernia. Albo kawiarnia. Jeden pies.

Popycham drzwi i wstępuję do środka z nieśmiałym „dzień dobry” na ustach. Wewnątrz jest ciepło, gorąc bucha od piecyków. Gorycz życia osłodziła tutaj różana marmolada, a wszelkie niedoskonałości przykryła warstwa cukru pudru.

Lecz zapewne i to miejsce jest w głębi zepsute. Pracownicy za wymuszonym uśmiechem chowają przemęczenie i obawy o przyszłość. Wygląd wypieków nie odzwierciedla doskonałości z plakatów reklamowych powieszonych na ścianach. Wszędzie ta przeklęta jaskinia Platona, zawsze musimy patrzeć na mierne cienie idei.

Dla przyzwoitości zamawiam najtańszą herbatę, potem siadam przy stoliku w kącie, za ścianką działową, z dala od innych klientów.

Zrzucam z siebie kurtkę. Dopiero teraz zauważam, że jest mokra od potu. Biorę głęboki wdech, znów zamykam oczy i upijam drobny łyk naparu.

Skupiam się. Przywołuję wszystkie moje twory. Ludzi, cyborgów, całkowicie nieorganiczne androidy, inteligentne zwierzęta, obrzydliwe potwory o nadmiarowej liczbie narządów, abstrakcyjne byty z ciałem pod postacią różnorodności topologicznej lub w ogóle ciała pozbawione.

Miejsce naprzeciwko mnie zajmuje ten najważniejszy. Człowiek-gad, półsmok, jaszczurzy król, rogały i skrzydlaty demon. Nosił wiele imion, każde dla innego awatara. Kiedyś wlaźł mi do głowy i właściwie wtedy wszystko się zaczęło. To on podsunął mi pomysł na uciekanie przed prawdziwym światem do myślobrazów.

Robi się tutaj niezły tłum. Fikcyjne dzieła otaczają mnie kręgiem, niemal zupełnie oddzielają od zewnętrznego środowiska. Szczelną barierą zasłaniają obrzydliwą rzeczywistość. Czuję ulgę, wywołane strachem napięcie w mięśniach znika.

Wszyscy milczą. Twory patrzą na mnie szeroko otwartymi oczyma, w których kryje się coś... Chyba smutek.

Czy mają mi za złe to, że je stworzyłem? Że najpierw wykułem ich historie, nie zawsze szczęśliwe, we własnej głowie, a czasem też przelewałem na różne

nośniki danych, by nie uległy zatarciu i by zostały poznane?

Zrobiłem to z samolubnych pobudek. Na początku marzyłem o ogromnych pieniądzach i sławie. Sądziłem, że będę kimś wielkim i szanowanym. Teraz wiem, że to i tak niewiele by dało. Nawet gdybym tkwił na szczycie góry ze złota otoczony przez zastępy przyjaciół gotowych skoczyć za mną w ogień, gdzieś tam na dole wciąż majaczyłyby sterty syfu, niepotrzebnego cierpienia, kopce tego szalonego gatunku mrówek zwanego Homo sapiens sapiens. Nic bym z tym nie zrobił, bo wrogiem jest tutaj fizyka, a z nią nie da się wygrać. Grawitacja zawsze ściągnie cię na ziemię, entropia zgasi rozpalone serce, czas wpędzi do grobu.

Zrozumiałem, że pisząc kolejne opowieści, chciałem po prostu żyć innym życiem. Nie swoim. Pragnąłem doświadczać wydarzeń z zewnętrznej, odizolowanej perspektywy, bo tak było łatwiej, bezpieczniej.

Nie znalazłem Boga, więc musiałem nim zostać, przekonać się na własnej skórze, jak czuje się Stworzyciel. I, podobnie jak on, mam swojego Węża, apokaliptycznego Smoka, z którym, chcąc nie chcąc, jestem głęboko związany. Sądzę jednak, że dogadujemy się ze sobą lepiej niż nasze religijne quasi-pierwowzory.

Przedrostek „quasi” chyba dobrze tutaj pasuje, bo mój Smok wcale nie jest aż tak zły jak w większości mitów i legend. Często okazuje się bardzo pomocny. Mnie z kolei daleko do świętości. Wstydzę się szajsu, który niejednokrotnie odstawiałem. Bywa, że spoglądam na więzy strachu i cierpienia zaciśnięte na mej duszy jak na zasłużoną karę.

Bezwiednie opieram głowę o stół, przytłoczony własnymi myślami. Zmarnowałem już w cholerę czasu, lecz przypomniałem sobie, że w istocie rzeczy donikąd nie zmierzałem. Po prostu wyszedłem z domu i włączyłem się bez celu, trochę jak w fudze dysocjacyjnej.

Twory pochylają się nade mną, chyba zatroskane.

Jaszczur chwytła mnie za dłoń. Jego skóra jest śliska, lecz przyjemnie ciepła w dotyku. Podnoszę wzrok.

– Nie mogę cię ocalić – mówi chrapliwym głosem gad.

– Wiem.

Nie ocalą mnie zmyśleni przyjaciele. Nie ocalą tytuły i zaszczyty. Nie ocalą dodatkowe dwa zera na koncie. Nic mnie nie zbawi, jeżeli los będzie wyjątkowo złośliwy, albo sam wszystko zniszczę przez złe decyzje.

Czas na powrót do rzeczywistości. Smok macha mi na pożegnanie i życzy powodzenia, po czym rozplywa się w powietrzu razem z innymi bohaterami moich historii. Wstaję od stołu, wyrzucam styropianowy kubek po herbacie do śmietnika. Wychodzę na zewnątrz walczyć ze światem, którego zwykle

nienawidzę, lecz czasem kocham. Muszę ogarnąć ten burdel, żeby w oczy nie zajrzało mi kiedyś widmo głodu czy braku dachu nad głową.

Nie jestem księżniczką, nie mogę czekać na rycerza na białym koniu. Sam zanurzam się w gnoju codziennego życia nieoszczędzającym nikogo. Wracam do domu pozałatwiać kilka spraw. Czekam na kolejne drzazgi strachu wbijające się pod paznokcie i powieki, na kolejne obdarcie ze skóry przez ośmieszanie samego siebie, na pętle kolczastego drutu owijające się wokół szyi, gdy znów będę niezrozumiany.

To schyłek gorzkich wynurzeń Szalonego Gnostyka.

Moja opowieść, część świadomości utrwalona w słowach... Pewnie wydawała ci się dziwna, drogi czytelniku, może nawet przerażająca. Jestem wobec niej bezsilny, niczym Demiurg Yaldabaoth niewiedzący, co zrobić z materialnym słowoświatem. Nie mogłem już dłużej trzymać jej w sobie.

Zakończę ten utwór medytacją. Wzywam Smoczycy Królów, kto bowiem może lepiej sprawować pieczę nad marzycielem niż smoki, najstłynniejsze fantazmaty?

*Om namah astau-naga-rajaya*

*Nanda, Upananda, Sagara, Vasuki,*

*Takshaka, Anavatapta, Manasvin, Utpalaka*<sup>3</sup>.

<sup>3</sup> Fragment Mantry Ośmiu Smoczycy Królów (Eight Dragon Kings Mantra) znaczący:

„Pozdrowienia dla ośmiu smoczycy królów, Nandy, Upanandy, Sagary, Vasukiego, Takshaki, Anavatapy, Manasvina, Utpalaki”. Tłumaczenie autora na podstawie opracowania Mahajrya Esoteric Buddhist Tradition.

# JEDNA JEDYNA

Aleksandra Buczek-Stachowska

Kim umierała.

Widział to w jej oczach, nieustannie zmrużonych, i w półprzymkniętych powiekach próbujących powstrzymać ból przed wydostaniem się na świat. Wyczuwał w kwaśnym zapachu oddechu, w pergaminowej szorstkości skóry. Słyszał w niespokojnym biciu serca, chaotycznym jak melodia wietrznych dzwonków.

Kobieta, która od wieków trwała u jego boku, ta jedna jedyna, powoli i nieubłagane odchodziła tam, dokąd nie mógł za nią pobiec. Dokąd właściwie? O tym Ian nigdy nie myślał i myśleć nie zamierzał. W końcu to nie tak miało wyglądać. Niegdyś śmierć była tylko opcją, odroczonym w czasie lekarstwem na nudę. Wyborem, którego mieli dokonać razem. Pełnym godności zejściem ze sceny.

Nie potrafił dostrzec ani krztyny godności w tym, co działo się z Kimberly.

– Ian?

– Jestem tutaj, kochanie – powiedział łagodnie i pogłaskał żonę po policzku. Odgarnął lepiące się do spoconego czoła kasztanowe włosy. – Potrzebujesz czegoś?

– Nowego ciała. – Uśmiechnęła się słabo. Przez chwilę wyglądała niemal jak dawna, pyskata i energiczna Kim. Niemal. – Ale tymczasem zadowolę się wodą i morfiną.

Zmartwił. Czyżby wiedziała, nad czym pracował przez ostatnie miesiące? Jego asystent się wygadał... czy wpadła na to sama? Wyrażała zgodę? Miał ochotę zapytać, lecz stchórzył. Nie zniósłby odmowy.

– Zaraz zawołam Jętkę. Poda ci leki.

Czuł wstręt do siebie – jak zawsze, gdy musiał uciekać się do archaicznych metod, by choć trochę ulżyć jej cierpieniom. Jego ukochana umierała, a Ian nie mógł nic zrobić, nawet wyeliminować dręczącego ją bólu. On, specjalista od nanomedycyny!

Jeszcze do niedawna nie istniała choroba, której nie potrafiłby pokonać. Był tak pewien swej wiedzy i umiejętności, że uważał się za wszechmogącego. Jakże

naiwne wydawało mu się teraz uprzednie zadufanie.

Technologia, która uczyniła ich niemal równymi bogom, obecnie pozostawała bezużyteczna.

Po tym, co przydarzyło się jej siostrze, Sasza uznała, że ich dziewiątka powinna umrzeć – a profesor Pawłowa zawsze osiągała swe cele. Zrozumiał to już całe wieki temu, przy pierwszym spotkaniu z nią.

\*\*\*

– Kochanie! Pozwól, że ci kogoś przedstawię!

Kimberly biegła przez korytarz instytutu, ignorując spojrzenia współpracowników. Ian przystanął i westchnął ciężko. Falujący w rytm truchtu biust żony stanowił przyjemny widok, niemniej Kim mogłaby czasem zachowywać się jak na szefową przystało.

Musiła zauważyć jego minę, bo zwolniła, wygładziła ostentacyjnie kitel i poczekała na kroczącą za nią towarzyszkę.

– Saszo, oto doktor Ian Dumery, nasz główny spec od nanomedycyny oraz najbardziej wyrozumiały mąż świata. Kotku, profesor Aleksandra Pawłowa, będzie nową kierowniczką mikrobów.

– Miło mi. – Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu dłoń. Uścisnęła ją. – Dumery? Nie Murray?

Wzruszył ramionami.

– Żona została przy panieńskim nazwisku. To zaszczyt panią poznać, pani profesor. Czytałem niedawno artykuł o hemiwirusach. Naprawdę przełomowa praca.

– Och, nie bądźmy tacy oficjalni! – roześmiała się badaczka, odgarniając za uszy jasne jak len kosmyki i mrużąc nienaturalnie żółte oczy. – Wystarczy: Sasza. Cieszę się z twojego uznania, Ianie, i liczę na owocną współpracę.

Kim szturchnęła go łokciem i szepnęła konspiracyjnie:

– Wiesz, kochany, opowiadałam Saszy o projekcie „Genesis” i namówiłam do wstąpienia do mojej drużyny. Jestem krok bliżej spełnienia marzeń.

Jęknął, zupełnie nie dzielając entuzjazmu żony.

– Serio?! – Spojrzał błagalnie na mikrobiolożkę, lecz ta skinęła głową. – Na miłość boską, proszę nie dokarmiać jej mrzonek! Ten wariacki plan nie ma szans powodzenia! Nikt nie wyłoży tak ogromnych funduszy na podobne bzdury, o kapitale ludzkim nie wspomnę!

– Nawet nie wiesz, jak cieszy mnie twoje wsparcie, najdroższy – burknęła ponuro Kimberly.

Sasza zachichotała, lecz zaraz powiedziała z powagą:

– I tu się mylisz, Ianie. Model ekosystemu powstałego nie w wyniku ewolucji,

lecz czystego aktu kreacji, społeczeństwo, w którym będą istniały podziały nie tylko kulturowe, rasowe czy religijne, ale i gatunkowe... Naprawdę nie dostrzegasz drzemiącego w tym potencjału? Moglibyśmy odpowiedzieć na tyle powracających od zarania dziejów pytań, dowiedzieć się, co tak naprawdę czyni nas ludźmi, jak wyglądałby świat, gdyby dawne mity okazały się prawdą. Nie pociąga cię to, doktorze? Poza tym mielibyśmy równocześnie szansę zająć się innymi badaniami. Nasze dzieło pozostawałoby w końcu sztucznym tworem, a to powinno w wielu przypadkach zamknąć usta komisji bioetycznej.

Ian poczuł się jak zrugany uczeń. Nigdy nie patrzył w ten sposób na rojenia żony. Kimberly była geniuszem we własnej dziedzinie, ale czasem dawała się ponieść fantazji. Aleksandra Pawłowa wydawała się za to osobą praktyczną aż do bólu. Może faktycznie projekt Kim pozwoliłby mu przeprowadzić kilka eksperymentów, na które dotąd nie otrzymał zgody? Chcąc zachować twarz, mruknął niechętnie:

– Nadal wątpię, by ktoś wyłożył na ten cel kilka grubych milionów.

Mikrobiolożka lekko przekrzywiła głowę.

– Jak mówił Pan: „Kołaczcie, a otworzą”. Czasem wystarczy tylko dobrze wybrać drzwi.

Jak okazało się kilka miesięcy później, Sasza dokładnie wiedziała, gdzie trzeba zapukać.

\*\*\*



Comix 18

Ian zostawił żonę pod troskliwą opieką Jętki.

Uśmiechnął się gorzko, wspominając oburzenie Leny Mencinger i pozostałych humanistów, gdy po raz pierwszy napomknął o planach zatrudnienia tubylców. Naruszanie rodzącej się kultury. Nieuzasadniona ingerencja. Cóż, epidemia sprzed dwudziestu lat, która zabiła większość podwładnych Dumery'ego, pozbawiła go luksusu przejmowania się podobnymi drobiazgami. Lena nie mogła protestować przeciwko tej decyzji, bo wtedy już nie żyła. Była jedną z pierwszych ofiar grypopodobnego paskudztwa. Ianowi i Kimberly udało się wyjść z tamtej infekcji bez szwanku.

Odczuł ulgę, gdy dotarł do laboratorium. Ostatnio traktował to miejsce jak azyl. Tu nie musiał patrzeć na wyostrajające się z dnia na dzień rysy Kim ani udawać, że nie zauważa schowanego między słowami błagania o śmierć. Tutaj przynajmniej czuł, że robi coś istotnego.

– Dla Mateczki sama pańska obecność jest istotna, lordzie Dumery – zganiał go wysoki, ubrany w kitel chłopak, nie odrywając wzroku od ekranu Sussi.

– Dzień dobry, Świerszczu – warknął Ian i spojrzał koso na bastarda. – Odwal się i nie grzeb mi w myślach.

– Cóż ja, biedny robaczek, poradzę na fakt, że czasem ogrom głupot lęgnących się w twojej głowie przenika przez osłony? – Młokos okręcił się na zydłu, wzruszył ramionami. – Przy okazji: pani Murray nie ma pojęcia o naszych badaniach. To, co mówiła, to był żart. Żeby pocieszyć ciebie, Ianie. Ona chce po prostu odejść. Może powinieneś jej na to pozwolić?

– Może nie. Świerszcz, dajże mi spokój. Nie baw się w domorosłego psychoterapeutę. Czasem zastanawiam się, czemu w ogóle znoszę twoją impertynencję.

– Bo jestem niezastąpiony i jedyny w swym rodzaju – wyjaśnił chłopak i pokazał rozmówcy język.

Gnojek miał rację. Ian wątpił, by znalazł podobną do niego istotę. Dzieciak odziedziczył po Jętce, ulubienicy Kim, rudą czuprynę i niespożytą ciekawość, a po ojcu, Najstarszym hiarów, migdałowe oczy, nieprzeciętną pamięć i zdolność błyskawicznego uczenia się.

Jednak nie to czyniło Świerszcza wyjątkowym.

Półkrasnodud był... Nie: półiber, nie półkrasnodud. Gatunek, który wyhodowała Kim, według Iana zupełnie na krasnodudy nie wyglądał. Karły powinny być małe, szpetne i mieć brodate samice. Te stworzone przez Kimberly mierzyły ponad półtora metra i bardziej przypominały *homo sapiens* niż hiarowie mający być na Aoi odpowiednikami ludzi. Anna, nadzorującą tamtą część projektu, miała słabość do mangi i skutki fascynacji biolożki odbiły się nieco na wyglądzie jej podopiecznych. Zaś krzyżówki tych dwóch gatunków – jakby na ironię – potrafiły



dobić i dwóch metrów wzrostu. Półkrasnolud, dobre sobie...

Świerszcz, jak każda hybryda, posiadał zdolności psioniczne. To, że potrafił czytać w myślach, czasem było przydatne, choć częściej jedynie irytujące. Dopiero gdy półiber osiągnął pełnię możliwości, lan zrozumiał, jak rzadki klejnot mu się trafił.

Dar chłopaka dawał nadzieję na uratowanie Kim.

– Jak masz zamiar dalej się na mnie gapić – powiedział Świerszcz, kręcąc się leniwie na zydlu – to chociaż piwo przynieś. Niech mam jakiś pożytek z tej admiracji. Siedzę tu od rana i w gardle mi zaschło.

– Zaraz – mruknął lan. Zatkanie asystentowi ust jedzeniem i piciem było najprostszym sposobem na ucieszenie go. – Przyniosę nawet chipsy, żeby ci czasem oponka z brzucha nie znikła, tylko najpierw chciałbym obejrzeć nasze postępy.

– Sussi, kochanie! – bastard zwrócił się do Al. – Słyszałaś lorda Dumery’ego. Rzuć lumeny na jaszczurkę.

– Już się robi, koteczku! – odezwał się zalotny, kobiecy głos.

lan wcześniej nie spotkał się z przypadkiem obdarzenia kogoś uczuciem przez system sztucznej inteligencji, ale Sussi lubiła Świerszcza. I to bardzo. Może dlatego, że mogła łączyć się z umysłem hybrydy bez pośrednictwa wszचेpek czy innych gratów.

Reflektory skierowały się na gigantyczne, pogrążone dotąd w ciemności akwarium.

Zalśniły błękitne piórołuski. Światło przemknęło po grzbiecie unoszącego się w odżywczym płynie stworzenia. Skrzydła – na wpół ptasie, na wpół nietoperze – pozostawały złożone, a skórzaste powieki przymknięte. Długa, łabędzia szyja falowała delikatnie posłuszna ruchom wody. Istota nie była jeszcze w pełni dojrzała, lecz coraz mniej przypominała przerośniętego pisklaka.

lan wziął głęboki wdech. Patrząc na śpiącą w zbiorniku smoczykę, nie potrafił powstrzymać zachwytu.

\*\*\*

Zbliżały się godziny szczytu i za oknem migotały smugi pędzących pojazdów, jaśniały krzykliwe tafle dedykowanych reklam. Ten świetlny chaos nieprzyjemnie kontrastował z postindustrialnym wystrojem restauracji, więc lan szybko włączył nakładkę. O wiele przyjemniej było patrzeć na leniwe, dwudziestowieczne popołudnie. Archaiczne samochody żółwim tempem sunęły zatłoczoną ulicą, spokojnie i uporządkowanie, wśród melodyjnych dźwięków klaksonów i wesołych pokrzykiwań kierowców.

Na szczęście tutejsze piwo było naturalnie smaczne i nie wymagało

cyfrowych modyfikacji. To drugie dotyczyło również siedzącej obok kobiety.

Kim sączyła drinka i przeglądała dokumenty. W krótkiej plisowanej spódniczce i obcisłym sweterku wyglądała jak uczennica. Czując na sobie wzrok męża, uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie. Dumery westchnął. To mógłby być miły, o tak, naprawdę miły wieczór, gdyby tylko jego żona nie postanowiła się socjalizować.

– Och, przestań, kochanie. – Kimberly skrzywiła się lekko. – Masz minę, jakbym kazała ci zjeść ulubionego chomika, a nie dobry obiad w towarzystwie ciekawych ludzi.

– Ostatnio głównie jadam obiady w towarzystwie podobno ciekawych ludzi. I powoli mam tego dosyć. Wczoraj myślałem, że uczestniczę w jakiejś koszarnej lekcji astronomii. – Odchrząknął i obniżył głos. – Konstelacja Ryb: dość mało znana gwiazda, w katalogu NGC nosząca numer czterysta jeden. Układ złożony z dziesięciu planet, w tym trzech gazowych olbrzymów. A oto Czwóreczka: sympatyczne maleństwo, w sześćdziesięciu pięciu procentach pokryte wodą lub lodem, posiada dwa księżyce. Przyciąganie zero koma dziewięć gie. Doba odpowiada około jeden koma szesnaście doby standardowej, rok liczy niecałe trzysta sześćdziesiąt tamtejszych dni...

– Ciszej, błagam – szepnęła, ale w jej oczach błyszczało rozbawienie. – Pamiętasz wykład Liu słowo w słowo?

– Niestety, najdroższa, pamięć to moje błogosławieństwo i przekleństwo. Zaś twój architekt planetarny postanowił podać mi nawet skład chemiczny tamtejszej skorupy. Choć i tak był mniej nudny niż ten lingwista... Emir?

– Omar.

– ...który na przemian pieprzył o delfinach i teorii powstawania języka. A robotyk...

– Serce, nie narzekaj, ja szukam prawdziwych fascynatów. Kto inny wziąłby udział w podobnym projekcie? Ale przynajmniej komandor Saha nie gadał o pracy. – Kim uśmiechnęła się złośliwie.

– O, tak. Był zbyt zajęty wączaniem własnych bąków i przystawianiem się do siostry Saszy. – Ian zacisnął pięści. Samo wspomnienie drobnego Hindusa działało mu na nerwy. – Naprawdę nie możesz znaleźć kogoś na jego miejsce? Każdy byłby lepszy niż ten... karmelek.

– Kochany, posuwasz się za daleko!

– Przecież sam tak o sobie mówił!

Westchnęła ciężko.

– Najdroższy, nawigatorzy czasoprzestrzenni nie rosną na drzewach. A już zwłaszcza tacy, którzy mieliby dobrą renomę i byliby skłonni pracować przez wieki za ułamek flotowej pensji. Thuyon to prawdziwy skarb. Poza tym Anna

Pawłowa wcale nie zachowywała się lepiej. Gapiała się na niego jak kot na tłustego wróbla. Myślałam, że jeszcze trochę, a zacznie się oblizywać.

– Przesadzasz – prychnął. – Zresztą łatwiej odrobinę kokieterii wybaczyć długonogiej blondynce niż nadętemu kurdupłowi.

– Czyli gdyby Thuy był długonogim blondynem, to nie widziałbyś problemu? – Kim przekrzywiła lekko głowę.

– Jesteś niemożliwa! – roześmiał się.

– Nieprawda. Jestem możliwa. Tyle że niezwykła i cudowna.

– I skromna.

– Oczywiście.

– Ależ ze mnie szczęściarz!

– A nie? Pomyśl, jak nudne i uporządkowane byłoby twoje życie beze mnie. Tkwiłeś w dobrowolnym osamotnieniu jak bojownik w pustym akwarium, póki nie zjawiłam się i nie rozbiłam szybki twojej nieprzystępności.

– Pewnie dlatego do dziś czuję się jak pozbawiona wody ryba: zdycham powoli, patrząc na chaos wokół i otwierając ze zdziwienia gębę.

– Ty wredny...

Pocałował ją, nim zdążyła dokończyć.

– Dziękuję za ocalenie, jedyna.

Zarumieniała się, ale zaraz potrząsnęła głową.

– I w tym tkwi problem, lanie: ja nie chcę być twoją jedyną. – Położyła dłoń na grzbiecie jego ręki. – Zaslugujesz na innych, a inni zasługują na ciebie. Dlatego zależy mi, żebyś resztę kierownictwa Genesis poznał od mniej formalnej strony.

– I stąd obiadki, tak? – Westchnął. – A dziś w menu Mencingerowie. Pilot i socjolożka. Kiepsko to widzę.

– Och, nie marudź. Lena jest przemiła, a Luka, tak jak ty, zbiera dwudziestowieczną broń. Będiesz miał o czym pogadać.

Niczym na zawołanie do lokalu weszła ciemnowłosa para. Kobieta była tak drobna i szczupła, że wyglądała niemal jak dziewczynka, zaś mężczyzna żywo przypominał oswojonego niedźwiedzia. Przybysz jedną ręką tulił żonę, zaś w drugiej niósł, niezbyt dokładnie okutany w kwiecisty ręcznik karabin snajperski.

– Czy to prawdziwa... – zapytał Ian, gdy już wymienili uprzejmości.

– Tak, tak – przerwał mu z dumą wielkolud. – Oryginalna hekate. Należała do mojego prapradziada.

– ...bawełna? – dokończył niezrażony Ian. – Od lat nie widziałem, by ktoś używał frotte zamiast nanofibry.

Luka Mencinger na chwilę zbaraniał, a potem wyszczerzył radośnie zęby i klepnął Dumery'ego po plecach.

– Już cię lubię, doktorku! U, a co to? Piwo? – Zerknął na ledwie napoczęty kufel. – Zostaw to, chłopie. Potem kupię ci drugi.

– Ale...

– Inaczej nie wpuszczą cię na strzelnicę. A, widzę, że szanowna małżonka nie wspomniała, czemu wybraliśmy ten lokal. Oj, nieładnie, szefowa! – Pogroził Kimberly palcem. – No, chodź, Ian. Dziewczyny sobie poplotkują, a my trochę popykamy.

Nim Dumery wstał, wielkolud ruszył w stronę drzwi. Ian zerknął na żonę, ale ta tylko posłała mu uśmiech i wykonała gest, który mógł uchodzić za pożegnanie, choć bardziej przypominał stukanie w szybę. Medyk skrzywił się i podążył za nowym znajomym.

– Luko, czy naprawdę nie miałeś normalnego pokrowca? – zapytał, gdy wreszcie dogonił Mencingera.

– Spokojnie, doktorku. Mnie tu wszyscy znają. Poza tym twoja mina była warta odrobiny ewentualnych kłopotów.

Ian prychnął.

Może Kim miała rację? Chyba rzeczywiście czuł się gotów na dodatkową porcję chaosu w życiu.

\*\*\*

Była wcielonym pięknem: poliskardowy szkielet, mięśnie z reldomiozyny, tyłmarowe piórołuski... Wszystkie te cudowne związki, do których syntezy mógł, dzięki nano, zmusić żywy organizm. Śpiący, uskrzydłony majstersztyk.

Pogładził szybę akwarium.

– Nie nazywaj jej jaszczurką.

– A jak mam mówić na to coś? Wężogęś?

Łypnął z wyrzutem na asystenta, ale milczał.

Świerszcz odwrócił głowę, przymknął oczy. Sądząc po ruchach gałek ocznych, dyskutował przez chwilę z Sussi, aż wreszcie zapytał:

– A tak właściwie: dlaczego smok?

Ian zerknął z niedowierzaniem wpierw na niego, następnie na stworzenie w zbiorniku, nie mogąc pojąć, że sam widok ich dzieła nie wystarcza za odpowiedź. Jednak odrzekł cicho:

– Kim zawsze lubiła smoki. Fascynowały ją. Pół naszej biblioteczki zajmowały książki na ich temat: od dziecięcych bajek do niby-naukowych opracowań wiążących legendarne gady z dinozaurami. A także takich, które wywodziły, czemuż to smoki nigdy nie istniały i zaistnieć by nie mogły. Chciałem stworzyć coś niemożliwego. I proszę, oto jest. Poza tym bałem się, że jeśli spróbuję z czymś bliższym ludziom, okaże się wrażliwe na wirus Saszy.

Chłopak mruknął, że rozumie.

Dumery nie chciał dociekać, po co pyta o rzeczy, które mógł bezpośrednio odczytać z jego łepetyny. Próbował mu pomóc ułożyć myśli, czy tylko go sprawdzał? A może nie chciał być traktowany jak odmieniec? Ian niby wiedział, jak działa mózg Świerszcza – na tyle dokładnie, by odtworzyć te mechanizmy u smoczycy, obdarowując ją zdolnością telepatii – a jednak nie miał bladego pojęcia, co też chodzi mieszkańcowi po głowie.

Bastardzi od początku stanowili nierozwiązywalną zagadkę.

Wcześniej wydawało się, że hybrydy rozumnych gatunków nie będą problemem. Dzieci z mieszanych związków rodziły się rzadko, częściej marły w niemowlęctwie, i pozostawały bezpłodne. Ot, życie. Jednak szybko wyszło na jaw, że wszystkie krzyżówki wykazują nietypowe zdolności. Zdolności, które dotąd uważano za wymysł fantastów i oszołomów.

Kim i Anna niejedną wieczór spędziły na dyskusjach o przyczynach tego zjawiska. Wskazywały na różnice w metylacji DNA istot zrodzonych na Ziemi i Aonii, marudziły o możliwej supresji białek regulatorowych, o zmianach ramki odczytu... Niewiele wynikało z tych rozważań. Okazało się, że genom, już dawno przebadany z każdej możliwej strony, nadal kryje tajemnice.

Jednak niezwykle umiejętności hybryd nie były jedyną kwestią, w której ziemską racjonalność kiepsko radziła sobie z nową rzeczywistością.

\*\*\*

Początkowo wszystko szło zgodnie z planem.

Terraformowanie przebiegało bez zakłóceń, a wprowadzanie modyfikowanych gatunków na kolejne tereny – choć z założenia stanowiło proces delikatny, gdzie drobny błąd mógł spowodować katastrofę – nie przyniosło groźnych incydentów.

Mimo butnych zapowiedzi i wysiłków tak genetyków pod wodzą Kimberly, jak i współpracującego z nimi zespołu kierowanego przez będącą biologiem ewolucyjnym Annę Pawłową, próby stworzenia ekosystemu całkowicie odmiennego niż ziemski szybko spęły na niczym. Choć przy pracach z dużymi ssakami, ptakami lub drzewami sekcja przyrodnicza siliła się na ekstrawagancję, to tysiące gatunków traw, nicieni, a nawet roztoczy podejrzenie przypominało rodzime odpowiedniki. Nie wynikało to z lenistwa czy złej woli. Część wzorców ludzie niemal nieświadomie uznawali za oczywiste. Na dodatek, gdy w grę wchodziły bardziej cudaczne rozwiązania, symulatory równowagi ekologicznej często blokowały projekt. Czasem Annie i Kim udawało się przekonać architekta Liu Kuna, aby stworzył siedliska odpowiednie dla ich dzieł, ale częściej wycofywały się z ryzykownych pomysłów.

Środowisko morskie ostatecznie niewiele różniło się od ziemskiego. Panie rzadko decydowały się na zmiany, które można by określić inaczej niż „kosmetyczne”. Głównie dlatego, że Omar uparł się, że poważniejsze ingerencje zaszkodziłyby przywiezionym z ojczystej planety delfinom. A przecież wszyscy kochali delfiny.

Przy bliższym poznaniu większość ekipy zyskała sympatię Iana. Z wyjątkiem komandora Sahy. Po czterech wiekach znajomości pyszałkowaty Hindus z przyklejonym do twarzy uśmiechem, pogardliwym wyrazem czarnych oczu i prostackim poczuciem humoru wydawał się równie irytujący, co przy pierwszym spotkaniu. Na szczęście nawigator wyczuwał niechęć medyka i starał się trzymać od niego z daleka. To stanowiło pewnego rodzaju kłopot, jako że Anna, którą Thuyon poślubił jeszcze na Ziemi, ściśle współpracowała z Kim.

Dziesiątka stanowiąca kierownictwo projektu spotykała się co kilka lub kilkanaście lat, dzieląc się danymi i przedstawiając zgromadzone doświadczenia. Poza tym pracowali w grupach, w różnym składzie ustalonym w zależności od bieżących potrzeb. Niektórzy angażowali się w główną część eksperymentu mniej niż inni. Ian zajmował się przeważnie własnymi badaniami oraz zdrowiem ich niewielkiej populacji. Thuyon i Luka dysponowali sporą ilością wolnego czasu, gdyż po stabilizacji kanału czasoprzestrzennego obowiązki inżynierów ograniczały się do monitorowania jego działania oraz doraźnej pomocy technicznej. Sasza z kolei zwykle przebywała w odizolowanym ośrodku na jednej z tropikalnych wysp, gdzie – jak twierdziła – starała się uczynić zadość zobowiązaniom wobec sponsorów. Reszta wolała się nie zagłębiać w ten temat. Związki profesor Pawłowej z armią od dawna były tajemnicą poliszynela.

Gdy ekosystemy nowej planety nieco okrzepliły, rozpoczęły się dyskusje o wprowadzeniu na nią istot rozumnych. Dyskusje długie, zażarte i burzliwe, dotyczące ilości gatunków obdarzonych inteligencją, ich unikalnych cech tudzież wpływu badaczy na rozwój powstających cywilizacji. Ostatecznie na opiekunów czterech ludów wybrano Kimberly, Annę, Saszę oraz – dość niespodziewanie – Thomasa Smitha, szefa sekcji informatycznej. Pod naciskiem humanistów postanowiono ograniczyć do minimum wpływ Ziemiaków na rodzące się kultury, co wiązało się z odesłaniem na macierzystą planetę większości personelu pomocniczego. Pierwsi do domu wrócili kończący kontrakty technicy terraformowania, a następnie ta część personelu naukowego, która swoje prace mogła kontynuować zdalnie.

Evakuacja przebiegła sprawnie i bezproblemowo. Kłopoty zaczęły się później.

Któregoś pięknego letniego dnia w laboratorium Iana zjawił się Luka z butelką rakii. Wielkolud rozsiadł się wygodnie na kozetce i zaczął opowiadać

o zeszłorocznym urodzaju na cud-brzoskwini, nierozumnej zazdrości, którą jego Lenka czuła wobec wszystkich znajomych hiarków oraz utracie kontaktu z Ziemią.

– Że co? – Ian przerwał wówczas monolog przyjaciela.

– Że klops! – oświadczył Luka, pociągając łyk samogonu. – Bieda, doktorku! Od ponad miesiąca razem z Thuyem próbujemy nawiązać kontakt z domem i dupa. Zwyczajnie: dupa. Kanał zniknął. Wszystko było cacy, ostatni transfer poszedł koncertowo, przesyłaliśmy raporty jak bozia przykazała, a tu nagle ziuuu i kanału nie ma. Na początku myśleliśmy, że to aparatura zdurniała i daje fałszywe odczyty, ale nie. Próbowaliśmy otworzyć nowy, w końcu znaleźliśmy współrzędne i parametry, kaszka z mleczkiem. I gównu. Thuyon się zawziął, ściągnął kawalerię w osobie Thomasa, wyliczył namiary na kolejny tunel. I dalej gównu. Pogwarzyliśmy trochę, łudziliśmy się, że to chwilowa anomalia, ale ta chwila coś długo się ciągnie. *Żopa w cwietach*, jak mawia Anna. W sumie, może to i dobrze. Mieszka się tu miło, nudzić się człowiek nie nudzi, a jeszcze trochę i Mateczka Ziemia wezwałaby nas z powrotem albo coś. A tak będzie spokój.

– Nie wydaje ci się, że ten spokój mógł być komuś na rękę? – Ian zmarszczył brwi. – Thuyonowi na przykład? Nieraz słyszałem, jak Anna marudziła, że czego byśmy nie robili, w końcu ważniaki z domu położą łapy na projekcie i nasze wysiłki pójdą na marne.

– Ten spokój – oświadczył z naciskiem Mencinger – jest na rękę większości z nas. Lenka zaczęła tańczyć z radości, kiedy opowiedziałem jej o naszym „kłopotcie”. Wreszcie może żyć bez strachu, że obcy brutalnie wtrąca się w tutejszą ewolucję kulturową. I proszę, Ian, odczepże się od Thuyona. Wiem, że go nie lubisz. Twoje prawo. Ma chłop swoje wady, rozliczne, nie przeczę. Ale robotę traktuje poważnie jak mało kto, a poza tym to mój przyjaciel. Nigdy by się nie zniżył do sabotażu. Jemu zresztą też udzieliła się paranoja, bo twierdzi, że to może być sprawka Saszy.

– Saszy?

– Ano, Saszy. Ubzdurał sobie, że zagroziła Ziemi rozsianiem hemiwirusa czy innego świństwa, a tamci, trzęsąc portkami ze strachu, odcięli nas. Tak, jasne. Jakbyśmy spróbowali szantażu, to by nam tu brygadę pacyfikacyjną przysłali, a nie trudzili się z zakłócaniem tunelowania. Więc widzisz, Ian: ty winisz Thuya, on swoją szwagierkę, Sasza pewnikiem Wielką Stopę, zaś Lenka dziękuje za nieoczekiwaną łaskę Bogu i Najświętszej Paniencie. Co kto lubi. Jak dla mnie: jest jak jest.

Kimberly zareagowała na tę wieść jedynie ciut bardziej powściągliwie niż Lena.

Dość szybko zaniechali prac nad przywróceniem kanału, a i z drugiej strony

nie doczekali się odzewu. Po kilku latach uznali tę sytuację za normę i nie szukali jej przyczyn.

Nie dziwiło ich wówczas, że tak łatwo oswoili się z niemożnością powrotu na Ziemię, ani to, jak chętnie zrezygnowali z odkrycia źródła anomalii.

\*\*\*

– Kiedy możemy zaczynać?

Świerszcz podrapał się po brodzie.

– Za dziesięć dni – oznajmił, skonsultowawszy się z Sussi. – Za osiem w razie nagłej potrzeby, ale wtedy musielibyśmy pominąć testy bezpieczeństwa.

Dziesięć dni przyglądania się cierpiącej Kim. Ian westchnął ciężko. Niby znacznie łatwiej byłoby dokonać konwencjonalnego transferu osobowości na sztuczny nośnik, ale Świerszcz twierdził, że wtedy utraciliby coś bezpowrotnie. Coś, co mógł przejąć jedynie żywy organizm, a co stanowiło o człowieczeństwie Kimberly.

W podobnych kwestiach Ian bez szemrania ufał asystentowi.

Nerwowo przeczesał siwiejące włosy, starając się stłumić drżenie dłoni. Efekty działania wirusa były u niego mniej widoczne niż u żony, lecz pogłębiały się z każdym rokiem. Ian spędził trzydzieści lat na próbach walki z kłątwą Saszy. Bezowocnie. Dzieło Pawłowej, genialne w swej prostocie, okazało się niemożliwe do pokonania.

Chłopak spojrzał na niego z troską.

– Idź na górę, Ianie. Posiedź z Mateczką. Odpocznij. Dam sobie radę. To już naprawdę niedługo. A potem stworzymy jaszczura dla ciebie. Dwa tańczące w powietrzu smoki... Wyobrażasz sobie? To dopiero będzie widok!

\*\*\*

Spokój trwał przez całe stulecia. Przywykli do niego. Cieszyli się wykreowanym wspólnie światem. Wydawało się, że tak już pozostanie. Że dopiero narastające znużenie wtrąci ich kiedyś w ramiona niebytu.

Rzadko spotykali się w pełnym składzie, a zgromadzenia te bardziej przypominały zjazdy rodzinne niż posiedzenia naukowe. Projekt funkcjonował dobrze, społeczeństwa ewoluowały bez potrzeby ingerencji i badaczy pochłonęły ich własne zainteresowania.

Jednak w trakcie jednego z tych zlotów Anna napomknęła o szerzącym się wśród hiarów kulcie.

– Bogini urodzaju! – śmiała się, mrużąc zielone oczy. – Wyobrażacie sobie?! Uważają mnie za boginię urodzaju!

– Powinnaś stłumić te bzdury w zarodku. – Lena się skrzywiła. – Przecież



ustaliliśmy, że nie będziemy się łądować z butami w ich kulturę.

– Nie przesadzaj, kochana. – Anna machnęła lekceważąco ręką. – W końcu mogli sobie obrać gorszy obiekt religijnych westchnień. Poza tym spójrzcie!

Nadgryzła wziętą z patery cud-brzoskwinię, położyła pestkę na dłoni, chuchnęła na nią i szepnęła:

– Rośnij!

Przez chwilę nic się nie działo, a potem nasiono pękło. Ukazał się delikatny kiełek oraz dwa liścienie. Ian poczuł zimny dreszcz przebiegający po plecach. Patrzył na rozgałęziające się błyskawicznie korzenie, na wypuszczającą listki łodyżkę i powtarzał sobie, że to tylko symulacja, prosta jarmarczna sztuczka. Anna zachichotała, a gałązki brzoskwinki pokryło różowe kwiecie.

– Przestań! – Thuyon złapał żonę za nadgarstek i szarpnął gwałtownie. – Natychmiast przestań!

W oczach nawigatora nie dostrzegł znieawidzonego cynicznego rozbawienia. Była tam wściekłość. Bezradność. Żal. Ian spoglądał na tego obcego, przestraszonego mężczyznę i nie mógł uwierzyć, że zna go od ponad milenium.

– Niby dlaczego? – zapytała.

Thuyon nie odpowiedział. Ianowi nie podobało się ani jego milczenie, ani wyraz triumfu na twarzy Anny.

– Wybaczcie, moi drodzy – wycedził przez zęby nawigator – ale musimy was opuścić. Sprawa rodzinna.

Chwycił opierającą się nieco małżonkę pod ramię i wyprowadził z budynku.

Upuszczona przez Annę roślina marniała w oczach.

\*\*\*

Po ośmiu dniach stan Kimberly gwałtownie się pogorszył. Ian z przerażeniem obserwował to, co widywał tylko na początku pracy zawodowej, gdy ludzkość dopiero zaczynała korzystać z dobrodziejstw terapii nano: agonię.

Nie mieli czasu na dokończenie testów bezpieczeństwa. Ani na nic innego. Ledwie zdołał wytłumaczyć żonie, co ją czeka, i uzyskać zgodę na zabieg.

Jętka, szlochając, podawała Kim kolejne dawki opium i atropiny. Kręciła się przy chorej, poila, zmieniała okłady, jak gdyby chciała pośpiechem zamaskować bezradność. W końcu Świerszcz złapał medyczkę za ramiona i przytulił.

– Przestań, mamó – szepnął i pocałował ją w czoło. – Już dobrze. Uratujemy Mateczkę Murray, obiecuję ci.

Chłopak owinał Kimberly w pled i wziął ją na ręce, bez wysiłku, jakby podnosił dziecko, a nie dorosłą kobietę. Przytuliła się do bastarda niby ranne zwierzątko. Ian, schodząc śladem asystenta do laboratorium, czuł narastające dławienie

w gardle.

Świerszcz położył Kim na stole operacyjnym, pogłaskał po policzku.

– Sussi! – zawołał. – Rozpocznij procedurę budzenia jaszczurki. Włącz inicjację hormonalną. Otwórz kopułę. Przystąp do opróżniania zbiornika.

– Przyjęłam – oznajmił spokojnie kobiecy głos. – Wykonuję.

Coś zgrzytnęło, dach nad główną salą podzielił się na cztery części i rozsunał, wpuszczając do środka blask słońca i podmuchy górskiego wiatru.

Poziom płynu w akwarium obniżał się, aż pływająca w nim istota spoczęła łagodnie na dnie. Tłoczone do jej krwiobiegu substancje zaczęły działać i smoczyca drgnęła.

Chłopak usiadł na krześle tuż obok Kimberly.

– Gotowa? – zapytał, a gdy skinęła głową, polecił: – Sussi, klamruj pępowinę. Do zobaczenia w nowej skórze, Mateczko. Lordzie Dumery, proszę nad nami czuwać.

Przymknął oczy, zwiotczał. Kim przestała oddychać. Ian patrzył z niepokojem na nieprzytomnego asystenta.

Po dłużącej się w nieskończoność chwili smoczyca rozwarła powieki, a zaraz po niej zbudził się Świerszcz.

– Udało się? – wyjąkał niepewnie naukowiec.

Chłopak uśmiechnął się szeroko, lecz nim zdołał cokolwiek powiedzieć, cios potężnego cielska roztrzaskał ścianę akwarium.

Ian przez moment spoglądał w złotawe gadzie oczy o pionowych źrenicach. Oczy puste i głodne, w których nie widział śladu uczuć czy inteligencji. A potem smoczyca odwróciła gwałtownie głowę i ruszyła na Świerszcza.

\*\*\*

Kolejny raz zgromadzili się zaledwie trzy lata po dziwnym występie Anny, wezwani przez Saszę Pawłową.

– Chyba coś się paniusi pomyliło. Kto dał jej prawo do ściągania nas tutaj? Jeśli się nie mylę, to twoja żona nadal dowodzi projektem i to ona powinna decydować o takich spotkaniach – psioczył głośno Luka, którego Ian spotkał w drodze na naradę.

– Skoro tak, to czemu w ogóle się zjawiliście? – zaciekawiał się.

– Przez Lenę, jak zawsze! – prychnął wielkolud. – Zgadza się z moim zdaniem, ba, wyraża je znacznie dosadniej, ale rozumiesz: żeby komuś dobrze obrobić tyłek, trzeba mieć informacje z pierwszej ręki. Ot, babska logika! Poza tym martwię się o Thuyona.

– Thuyona? A co z nim? – Ian miał nadzieję, że troska w jego głosie brzmi choć odrobinę szczerze.

- Rzecz w tym, że nie mam pojęcia - przyznał Mencinger. - Kilka miesięcy temu skontaktował się ze mną i narzekał, że Anna się zmieniła. Nie wiem, czy przesadził z bagiennymi konopiami, czy próbował czegoś mocniejszego, ale pieprzył trzy po trzy: o kwiatkach wyrastających tam, gdzie jego żonka postawi stopę, o tulących się do niej leśnych zwierzątkach, o sukni z liści i gwiazdach w oczach. Brzmiało to jak bełkot zadurzonego szczeniaka, tyle że Thuy wydawał się śmiertelnie przerażony.

- I co zrobiłeś?

- Jak to: co? Spławiłem go i kazałem wrócić, gdy wytrzeźwieje. - Luka opuścił głowę zawstydzony. - Tyle że nie wrócił. Od tamtego czasu nie daje znaku życia. Nie pojawia się na inspekcjach, nie wysyła raportów. Jego rezydencja wygląda na opuszczoną od lat. Nie potrafię go nawet wyśledzić. Musiał zniszczyć swoje lokalizatory. Wiesz, boję się, że mógł popełnić samobójstwo. To świństwo, które zażył, sprawiło, że niemal srał w gacie ze strachu. Nie powinienem był go zostawiać samego, Ian.

Milczał, nie potrafiąc pocieszyć przyjaciela.

- Cóż - westchnął Mencinger. - Co się stało, to się nie odstanie. Mam nadzieję, że jednak go tu spotkam. Albo choć dowiem się czegoś od Anny.

Weszli do sali i zajęli miejsca obok żon.

Stół rozświetlił się, prezentując poważną twarz Saszy.

- Witajcie, moi drodzy - odezwała się Aleksandra Pawłowa. - Dziękuję, że przybyliście tu w komplecie. Zaoszczędzi mi to kłopotu. Rozumiem, że macie wiele pytań. Uprzedzając niektóre z nich: nie wiem, gdzie jest Thuyon. Prawdopodobnie nie żyje. Zaś moja siostra, Anna... Anna stała się czymś, czego nie umiem nazwać. To uświadomiło mi, jak ogromny popełniliśmy błąd. Przekroczyliśmy granice, do których człowiek nie powinien się nawet zbliżać. Postanowiłam to naprawić, usunąć zagrożenie, jakie stanowimy dla tego świata. Próbuję też ratować wasze dusze. Hemiwirus, który właśnie wdychacie, niszczy związane z ludzkimi białkami nano. Spokojnie, moi drodzy, bez paniki. Już zostaliście zarażeni, ale aktualnie nic wam nie grozi. To cudeńko nie wyrządzi krzywdy samym komórkom. Możecie bez obaw wrócić do domów. Izolując się, nikogo nie uchronicie. Już zadbałam, by wirus rozprzestrzenił się wśród waszego personelu. Jeśli zaś rozpiera was żądza zemsty... Bez obaw, sama uwolniłam się od nano miesiąc temu i wkrótce zakończę swój żywot. Nie krzyczcie, proszę. Wiem, że mnie nienawidzicie. Uważacie, że skazałam was na śmierć, ale to nieprawda. Ja oddałam was życiu. Zwróciłam pod władzę czasu. Wykorzystajcie go dobrze.

\*\*\*

Bastard nie cierpiał długo. Bestia zwarła szczęki na jego barku, podrzuciła chłopakiem niby szmacianą kukielką i cisnęła nim o ścianę sali. Osunął się bezwładnie z roztrzaskaną czaszką. Smoczyca przyglądała się ofierze zaciekawiona, bijąc nerwowo ogonem.

– Świerszcz! – krzyknął Ian, skoczywszy ku asystentowi, niepomyślnie na niebezpieczeństwo. To samo wrzeszczała zrozpaczona Sussi.

Dopadł ciała chłopaka. Dotknął jego potylicy i zaszlochał.

– Dlaczego? – szepnęła bezradnie.

Nie wiedział, od kogo oczekuje odpowiedzi. Nie od Boga, wszak dawno przestał w niego wierzyć. Nie od smoka, gdyż pozbawiony wspomnień i duszy stwor był tylko bezrozumną bestią. Nie od siebie, bo nigdy nie potrafiłby zrozumieć, czemu tyle wysiłku i nadziei tak łatwo obróciło się w proch.

– Dlaczego?! – krzyknął w stronę gada, jakby próbował pytać ucieleśniony chaos.

Potwór niespodziewanie zadrżał i zrobił kilka chwiejnych kroków w tył. Pionowe źrenice rozszerzyły się.

Umysł Iana zalała fala smutku i przerażenia. Wstrętu do samej siebie. Chciała umrzeć, znacznie bardziej niż wtedy, gdy całe jej ciało trawił ból. Mężczyzna skulił się, przytłoczony obcymi emocjami.

– Kim?

Spojrzała na niego, lecz zaraz musiała odskoczyć, uchylając się przed pociskiem. Wściekła Sussi przejęła kontrolę nad systemami obronnymi placówki i rozpoczęła ostrzał.

Smoczyca ryknęła żałośnie i nieporadnie zerwała się do lotu.

– Sussi, wstrzymaj ogień! – rozkazał Ian, lecz oszalała z rozpaczony AI nie słuchała. Za wszelką cenę usiłowała trafić przeciwniczkę, nie bacząc na to, że obraca laboratorium w gruzy.

Uszkodzony fragment kopuły zazgrzytał niepokojąco. Mężczyzna usiłował cofnąć się, ciągnąc zwłoki bastarda, lecz nie zdążył. Potężny kawał żelastwa runął wprost na niego.

\*\*\*

Ian żył, choć zdawał sobie sprawę, że nie potrwa to już długo. Metalowa belka zmiażdżyła mu udo, a przy rozpętanym przez Sussi pandemonium nie mógł liczyć na pomoc. Leżał wstrząsany bólem, tuląc ciało asystenta, i patrzył na wznoszącego się ku niebu, lśniącego w słońcu smoka. Świerszcz miał rację – widok zapierał dech w piersiach.

W tle łagodny kobiecy głos odliczał sekundy do nuklearnej autodestrukcji budynku.

# POPIÓŁ

Krzysztof Dezyderiusz Sauter

*Wszystko zaczyna się od lekkiego wstrząsu. Ziemia drży, a zwiastujące klęskę ciarki przebiegają wzdłuż jej licznych kręgosłupów. Wtem z nozdrzy potwora wyłania się jadowita chmura. Gna ku słońcu, by zasłonić je i przedwcześnie zabić dzień. Przerażający gorąc topi wszystko na swojej drodze, a hałas rozrywa bębunki uszne. Niewyobrażalne ilości materiału skalnego spadają z nieba niczym deszcz meteorytów. Na długo nastanie cisza i ciemność. Nadciąga Śmierć.*

Fragment zapisków egzegetki jednego z poprzednich miast Yntaby,  
Frauzyer'wer „Dziewiąte oko”.

## I

Derakh'zaq obudził się w uplecionym z pajęczej nici hamaku. Dyszał z przerażenia i zmęczenia, myślami wciąż tkwiąc w nocnej marze. Sturlał się z hamaka i wylądował na ośmiu odnóżach kroczych, ledwo powstrzymując odruch wymiotny. Nienawidził tego koszmaru, ponurej wizji nawiedzającej go od kilku tygodni. Nadal czuł żar palący jego ciało. Słyszał płacz dzieci i ujadanie psów zanikające w przenikliwym zgrzycie. Za każdym razem nie zgadzało się tylko jedno: nigdzie nie było widać ani słyszać smoka. Mężczyzna odgonił ponure myśli, opłukał twarz zimną wodą, przeczesał brodę, a długie włosy upiął w ciasny kok. Kiedy minęły nudności, chwycił oprzęd w ludzkie dłonie i wgryzł się w elastyczny materiał. Rozkoszował się codziennym rytuałem zjadania łożka na śniadanie, powoli odganiając od siebie powidoki snu. Sieć była jeszcze świeża, fibroina wciąż nosiła posmak sarniny, z której mężczyzna wziął proteiny potrzebne do jej produkcji.

Był całkiem niezłym roznuwaczem. Potrafił obchodzić się z mięsem, dobierać przyprawy tak, by ich aromat przeszedł na pajęczynę. Zawsze marzył o przyrządzeniu zdobyczy, którą sam upolowałby w bogatych lasach u stóp wulkanu. O puszczaniu wodzy drapieźniczej naturze i poczuciu satysfakcji z oprawienia własnego trofeum. To jednak nie wchodziło w grę, nie w Yntable.

W matriarchalnej społeczności łowy były przywilejem zarezerwowanym wyłącznie dla kobiet, podobnie jak większość ważniejszych i bardziej zaszczytnych funkcji.

Do obowiązków rozsnuwaczy z kolei należała między innymi konserwacja miejskich pajęczyn w galeriach, na wystawach, boiskach oraz tych typowo praktycznych – służących za osłonę przed wiatrem wygłuszaczy, parasoli czy konstrukcji łownych.

Derakh'zaq skończył posiłek, opasał się zestawem tasaków i wyszedł na ulice budzącego się do życia miasta. Słońce w zenicie wżerało mu się w nagi tors, więc z torby przewieszanej przez ramię wyciągnął okrągłe, drewniane puzderko z kremem przeciwsłonecznym, którym posmarował sobie kark oraz czoło. Wolał śmierdzieć algami, niż odrywać płyty skóry i mieć potem brzydkie blizny po wylince.

W szczelinie między ciasno stłoczonymi budynkami dostrzegł oprawcę ze snu – wulkan Draaklerę. Pomimo braku jakichkolwiek oznak aktywności od dziesięcioleci, emanował potęgą właściwą drapieżnikom.

– Niechaj cię nikt nie zwiedzie – pozdrowił go młody, choć posiwiał sęsiad słynący z kontrowersyjnego stylu bycia. Nie przerywał przy tym tworzenia surrealistycznego malunku na ceglanej ścianie.

– Chyba że Anansi – odpowiedział Derakh'zaq. – A cóż to? – Zmierzył wzrokiem dzieło drugiego pająkocześka.

– Nie wiem – przyznał ten szczerze.

Mężczyzna przyjrzał się lśniącej nowością chitynie na odnóżach i odwłoku artysty.

– No tak – odrzekł, wyciągnąwszy wnioski, i wyszczerzył zęby. – Sny po wylince są zazwyczaj, jakby to ująć, intrygujące.

Uwagę rozmówców przykuła kobieta, przechadzająca się brukowaną uliczką. Cztery pary jej seksownych kończyn dolnych postukiwały drapieżnie, a nagie piersi kołysały się nad idealnie płaskim brzuchem znikającym w delikatnie owłosionym pancerzu. Omiotła ich uwodzicielskim spojrzeniem i oblizała usta. Bolesne uczucie uległości złapało w sidła dumę rozsnuwacza, tłamsząc ją głęboko pod pokładami strachu. Obaj zwiesili głowy i przeczekali, aż samica zniknie za zakrętem.

\*\*\*

Derakh'zaq, wciąż zawstydzony, wyszedł na promenadę usytuowaną wzdłuż nabrzeża portowego. Smród ryb zdominował w tej części miasta tak charakterystyczny dla centrum zapach kwiatów. Morskie łowczynie wróciły już na ląd. Suszyły na słońcu sieci, a te uszkodzone układały na stos, by później

pożreć je i wysnuć nowe. Zdobywczy sortowały na wózkach, które potem miały trafić do masarni, gdzie przygotowywano mięso do produkcji nici. Do połowów nadawały się sieci wysnute wyłącznie z rybich protein. Ewentualnie z owoców morza, ale takie smakołyki trafiały najczęściej na stoły największych, najbardziej doświadczonych samic, a nie zwykłych tkaczy.

Mężczyzna zastał egzegetkę tam, gdzie zwykle – wysoka kobieta kołysała się dostojnie na ośmiu mocnych odnóżach przy stoliku w ogródku kawiarni.



– Kodur’wer – rzucił Derakh’zaq. – Niechaj cię nikt nie zwiedzie.

– Chyba że Anansi – odparła siwa pająkoczek i pociągnęła łyk kawy z bogato zdobionej filiżanki. – Znowu ty! Chłopcze, tylko nie mów, że znów śniłeś o erupcji Draaklery...

Rozsnuwacz posłał jej pełen zakłopotania uśmiech.

– Chyba sobie żartujesz – parsknęła, wyciągając z torby masywną księgę oraz zestaw piór. – Pewnie jeszcze pajęczynę przy tym moczysz, co?

– Tak, miskę pod oprzęd na noc podstawiam – odparł mężczyzna z kwaśnym grymasem. – Wiesz dobrze, że to nie są przyjemne wizje. Nikogo o koszmary nie proszę, pomocy ani interpretacji też nie potrzebuję. Ale przychodzę, skoro tak nakazuje prawo.

– Który to już raz w tym miesiącu? – zapytała kobieta, by po przejechaniu palcem po kartce odpowiedzieć samej sobie. – Szósty! To niedorzeczne, że jeszcze muszę to zapisywać. Niech cię Anansi oszuka, Derakh’zaq.

Pająkoczek opanował wzbierającą w nim złość i wycedził najspokojniej, jak potrafił:

– Przykro mi, że to dla ciebie problem.

Kodur’wer pokręciła głową.

– Każdy może sobie śnić o normalnych sprawach, tylko ty musisz co tydzień przewidywać apokalipsę. Rozumiem, żeby jeszcze Draaklera zaczęła dymić albo żeby ktoś zobaczył ciężarnego smoka. Ale minęła niemal dekada, odkąd ostatni raz widziano jakąś gadzinę w tych stronach, a wulkan choćby zakaszłał.

Zanim rozsnuwacz zdążył ułożyć odpowiedź, umorusana błotem młoda pająkoczek podbiegła do kobiety i szepnęła jej coś do ucha. Pełen przerażenia oraz podejrzliwości wzrok Kodur’wer prześlizgnął się po obliczu Derakha’zaq i wywołał u niego gęsią skórkę.

– Pójdiesz ze mną – rzuciła i zerwała się niemal do galopu. – Liryah’wer pragnie z tobą pomówić.

## II

Mężczyzna próbował dotrzymać Kodur’wer kroku, co było wyjątkowo trudne, biorąc pod uwagę dysproporcję w długości ich kończyn.

– Co się stało? – dopytywał, choć jego głos odbijał się od ceglanych ścian, jakby rzucał o nie grochem, gdy egzegetka zniknęła w kolejnych alejkach.

*Czyżby wulkan? Nie, przecież bym coś poczuł albo zobaczył...*

Kobieta prowadziła go do amfiteatru – tego był pewien. Nie rozumiał tylko, po co to robi.

Skomplikowane konstrukcje uplecione z nici przędnych powiewały niczym flagi nad majestatyczną budowlą. Rozsnuwacz i egzegetka przeszli pod kamiennym sklepieniem połatany oplątem, aż w końcu wychynęli na skąpaną



w popołudniowym słońcu arenę. Derakh'zaq rozejrzał się po pustych trybunach oraz bogato zdobionych łukach architektonicznych. Antyczna konstrukcja wzbudzała w nim szacunek za każdym razem, gdy zasiadał na widowni – na scenie jednak stanął po raz pierwszy. Kodur'wer wypchnęła rozsnuwacza na środek okręgu, jaki tworzyła grupa gigantycznych pająkoczeków. Nie było wśród nich mężczyzn. Derakha'zaq utwierdził w tym przekonaniu nie tylko rozmiar zebranych, ale również kilkanaście par dorodnych piersi skierowanych w jego stronę. Niestety podążały za nimi wrogie, pełne wyrzutu spojrzenia.

– Ty! – syknęła Liryah'wer, największa z samic. – Co dokładnie widziałeś? Od jak dawna o tym śnisz?

– Już patrzę – wtrąciła egzegetka, usiłując zajrzeć do księgi.

– Nie, niech on mówi. Chcę to usłyszeć od niego.

Derakh'zaq czuł się lekko zdezorientowany, ale zaczął opowiadać:

– Za każdym razem wygląda to tak samo. Jest niewyobrażalnie gorąco i ciemno. Biegam po Yntabie, ale nie wiem dlaczego. Szukam czegoś... kogoś. Księżyc w trzeciej kwadrze osnuwa miasto mlecznym blaskiem. Deszcz zastygłej lawy bombarduje miasto. Słyszę łomot wulkanu, czasem wołanie o pomoc, płacz dzieci, ujadanie psów. Powietrze jest zatrute, muszę zasłaniać twarz. Wszystko pokrywa pył. Ziemią tak trzęsie, że nie mogę utrzymać równowagi. Budynki się rozpadają. Rośliny i zasłony stają w płomieniach. Na koniec nadchodzi potężna fala uderzeniowa i pochłania wszystko na swojej drodze. W tym momencie zawsze się budzę...

– Czy w tych snach pojawiają się smoki?

– Nie, nigdy. Erupcja zaczyna się samoistnie.

Samice fuknęły i nastroszyły się niczym kocice.

– Brednie! Żaden wulkan nie wybuchnie sam bez gadziska, które go wzburzy.

– To tylko sen! – zachnął się Derakh'zaq. – To nie moja wina. Dlaczego tu jestem? Przecież nic się nie dzieje, nic nie dymi, nie trzęsie. Czego ode mnie chcecie?

– Milcz, to się dowiesz.

Mężczyzna spuścił głowę, poirytowany sytuacją, lecz zbyt przestraszony, by postawić się większym kobietom. Stali tak w ciszy, nasłuchując, czekając nie wiadomo na co. Rozsnuwacz nie wiedział, czy minął kwadrans, czy może godzina, ale w pewnym momencie przeszedł go zimny dreszcz, a wszyscy na arenie się skulili.

Powietrze rozdarł przeraźliwy ryk, niczym grom rozdzierający niebo. Jednak na horyzoncie nie było żadnych chmur. Mężczyzna znał ten odgłos, choć nigdy wcześniej go nie słyszał. Stanowił jeden z sygnałów ostrzegawczych zapisanych w jego genach. Typowy dla każdego gatunku bodziec paraliżujący organizm.

Znak, że w okolicy pojawił się drapieżnik i należy się bać. A pająkoczkę nie miały wielu naturalnych wrogów – wyżej od nich w łańcuchu pokarmowym stało tylko jedno stworzenie.

– Smok – szepnął Derakh'zaq, spoglądając nerwowo na niebo.

Liryah'wer wskazała wulkan i wyrysowała palcem obejmujący jego widok okrąg.

– I to nie byle jaki. Ze wstępnego raportu wynika, że to magmopluj. Jest daleko stąd, krąży nad północną granicą Draaklery.

– A brzmi, jakby był tuż nad nami – odpowiedziała jedna ze starszych samic.

Ryku potwornego stworzenia dopełniło lekkie trzęsienie ziemi.

– To dlatego mnie wezwałyście – zrozumiał Derakh'zaq. – To sen proroczy...

– Nie całkiem, rozsnuwaczu. W twojej wizji brakowało godziny – rzekła Liryah'wer i zawołała młodą samicę. – Galyah'wer! Zbierz Wdowy, nie za duży oddział. Za godzinę ruszamy na zwiad. Sprawdzimy, czy faktycznie wulkan się uaktywnił oraz jak wielkie to smoczysko. Pamiętajcie, to tylko zwiad, wrócimy ubić chuja większą siłą. I uważajcie, za bestię mogą podążać Wylęgacze.

– Nie widziano ich od kilku dekad – rzuciła egzegetka.

– Smoków też nie, a jednak jeden z nich krąży nad naszym wulkanem. Jeśli zdąży złożyć jajo, zanim go powstrzymamy...

– Mój sen się spełni, wszyscy spłonimy – dokończył za nią Derakh'zaq i spojrzał na księżyc. – Jeżeli to prorocza wizja, to do erupcji pozostały niecałe dwa dni.

– Nie martw się, ubijemy gada, a truchło zrzucimy na dno oceanu.

– Chłopak ma rację – rzekła Kodur'wer. – Jeśli dojdzie do erupcji, wszyscy spłonimy.

– Wciąż możemy ewakuować miasto – zaproponował rozsnuwacz.

Kilka samic pogroziło mu pięściami. Jedna odpowiedziała:

– W leżach jest kilkadziesiąt jaj, potrzeba jeszcze kilku tygodni, by móc je przenieść.

– Zostajemy i walczymy – syknęła kobieta o rudych włosach i odwłoku. – Nie zostawię swojego potomstwa. A wy, tchórzliwe samczyki, nie zostawicie nas.

Liryah'wer podeszła do Derakha'zaq i położyła mu rękę na ramieniu. Samiec spuścił wzrok, by nie zostać przyłapanym na gapieniu się na pokryty gęsią skórą biust.

– Dzięki tobie dostaliśmy ostrzeżenie – rzekła i odwróciła się do egzegetki. – Ale przez twoją niekompetencję i ignorancję nie potrafiliśmy z niego skorzystać. Pójdiesz dzisiaj z nami, jasnowidzu, może przypomni ci się coś więcej.

Derakh'zaq przełknął ślinę. Nie był zwiadowcą ani żołnierzem, ani nawet myśliwym. Owszem, marzył, by na coś zapolować.

Ale na sarnę czy królika, nie na smoka!

Patrzył, jak kobiety zaczynają się rozchodzić, pozdrawiając ośmionożnego boga.

– Chyba że Anansi – szepnął pod nosem rozsnuwacz i ruszył w stronę koszar.

### III

Ściemniało się już, gdy grupa sześciu tropicielek oraz Derakh'zaq podeszli niemal pod sam szczyt Draaklery. Wdowy, jak tytułowały się najlepiej wyszkolone łowczynie w Yntabie, szły przodem, dzierżąc włócznie oraz świeżo utkane sieci. Żwirowe zbocze stanowiło niewdzięczne podłoże dla ostro zakończonych odnóży, osuwając się co chwilę spod nich i wytrącając pająkoczątka z równowagi. Od ostatniego ryku magmopluja, który usłyszeli jeszcze w mieście, minęło kilka godzin. Musieli trzymać tempo – wstrząsy towarzyszące aktywności wulkanu zaczynały się nasilać. Wkrótce na szczycie mogło dojść do pierwszych, ostrzegawczych wybuchów. Materiały piroklastyczne, nawet pod postacią dymu i pyłu, byłyby niesłychanie gorące i trujące. Nie mówiąc już o groźbie, jaką niesły pociski z zastygniętej lawy.

– Od południa go nie zobaczymy, musimy okrążyć krater – rzuciła jedna z Wdów.

Poruszali się granią, wypatrując bestii w mroku.

– To bezpieczne? – zapytał Derakh'zaq. – Mieliśmy na niego spojrzeć z daleka, ocenić rozmiar, czyż nie?

– Cykasz się? – syknęła ruda tropicielka i złapała się za pierś. – Może chcesz possać cyca, synku?

Nie chciał.

– Daruj sobie, Galyah'wer – warknęła największa z nich. – Rozsnuwacz ma słuszne obawy. Ale nie martwcie się, magmoplujka nie atakuje niesprowokowane. A ten, póki co, nie ma nawet jak nabrać lawy do pyska. Co najwyżej na nas nakrzyczy.

Przeraźliwy wrzask gada przepołowił chłodne, wieczorne powietrze.

– A nie mówiłam?

Mężczyznę zdziwił fakt, że choć smok był teraz o wiele bliżej, natężenie krzyku się nie zmieniło. Położył dłoń na jednym z przypasanych tasaków i ruszył wzdłuż grani, nerwowo spoglądając w dół wydającego się wybudzać z długiego snu wulkanu.

– Co to? – rzuciła któraś z samic i wskazała kilka smukłych, ludzkich sylwetek na szlaku przed nimi.

Nie zdążyła uzyskać odpowiedzi, bo jedna z nich wyszła przed szereg.

– Wystarczy, dalej nie pójdziecie – zasyczał ochryłym głosem nieznajomy. – Wracajcie.

Liryah'wer uniosła pochodnię wysoko nad głowę, by lepiej dojrzeć postać. Na czarną, płócienną szatę mężczyzna nałożony miał krwistoczerwony kirys, a spod szpiczastego kaptura wyzierała złota maska przedstawiająca niepokojąco realistyczne oblicze smoka. Metalowy pysk wykuto z pietyzmem godnym najwybitniejszego kowala.

– Wylęgacze... Czyli jednak – mruknęła ponuro Liryah'wer. – Idziecie za magmoplujem? Chce tu złożyć jajo?

– To nie wasza sprawa – syknął mężczyzna, spoglądając w kierunku wybrzeża. – Porzućcie miasto, odpłyńcie.

– Nie możemy. Mamy kilkadziesiąt jaj w leżach...

– Przenieście je.

– Nie da się – wycedziła przez zęby Liryah'wer. – Są zbyt świeże. Nie przemieścimy kokonów, dopóki nie wyklują się nimfy. Większość zginęłaby w trakcie.

Pomimo maski, za którą mężczyzna ukrył twarz, Derakhowi'zaq wydało się, jakby posmutniał.

– Wulkan wybuchnie, nawet jeśli zgładzicie nas i smoka – powiedział Wylęgacz. – Lawina żaru i deszcz skał zasypią wasze miasto. Zostawcie jaja i odejdźcie, nie ma czystszej śmierci niż ta od ognia.

Liryah'wer nastroszyła włosy na odnóżach, a na jej twarz wystąpiła istna furia.

– Przeżyją, choćbyśmy mieli osłonić je własnymi ciałami.

– Spłoną razem z wami. Ratujcie się, póki możecie. – Mężczyzna wyciągnął rękę ku pochodni trzymanej przez kobietę. – Póki wam pozwalamy.

Płomień przeskoczył na dłoń zakapturzonej postaci, ślizgając się między jego palcami jak moneta podczas popularnej sztuczki. Ogień spełzył po torsie, otarł się o nogi niczym kot. Blask oświetlił tuzin zamaskowanych kompanów za plecami Wylęgacza.

– Sio! – przegnał pająkoczątki niczym gromadkę dzieci.

Derakh'zaq odetchnął w duchu, że nie będą podchodzić blisko do smoka ani wdawać się w bitkę z liczniejszym przeciwnikiem. Wrócą do miasta, a z Wylęgaczami policzą się później, kiedy przybędą z większym oddziałem. W swojej naiwności zapomniał jednak, że kobiety jego gatunku kiepsko znoszą groźby ze strony płci przeciwnej.

Galyah'wer, skoczywszy do przodu, stanęła na czterech tylnych odnóżach i niczym lassem zamachnęła się pajęczyną. Misternie spleciona, lśniąca srebrzystym blaskiem sieć pofrunęła ku mężczyźnie, jednak spłonęła przed nim, znikając niczym płatek śniegu na ciepłej skórze.

Ogień w ręku maga lekko zadrżał, by po chwili rozbłysnąć jaśniej niż słońce i oślepić Derakha'zaq. Pisk rozdarł jego uszy na strzępy, wszystko stało się białe,

a on stracił równowagę i upadł bezwładny.

#### IV

Gdy Derakh'zaq odzyskał przytomność, wciąż było ciemno. Spróbował się ruszyć, jednak związane za plecami ręce zdrętwiały i odmówiły posłuszeństwa. Leżał na żwirze niczym rozbity namiot – z każdym z odnóży przywiązanych do tkwiącego w ziemi kołka. Rozejrzał się nerwowo i zobaczył kilkanaście zamaskowanych postaci siedzących wokół sporego ogniska.

– Żyjesz.

Pająkoczek rozpoznał głos maga ognia.

– Co z resztą? Gdzie moje...?

– Zwiały.

– Wszystkie?

– Nie wszystkie. Ta, która rzuciła we mnie siecią, jest tutaj.

– Gdzie?

Wylęgacz wyciągnął coś z paleniska i zbliżył się. Derakh'zaq rozpoznał pajęczę odnóże – szczątki Galyah'wer. Jęk rozpachy wyrwał mu się z ust.

– *Verdrekh!* – bluznął siarczyście i szarpnął liny.

– Nie kłopotz się nawet – odparł mężczyzna, puszczając obelgę mimo uszu. – Ach, gdzie moje maniery. Jestem Vreekmarvorgur z Eldkyhstali, smoczy pasterz z północy, czy jak nas zwą w waszych stronach: Wylęgacz.

– Dlaczego mnie też nie spaliłeś?

– Nie wiem, chyba z ciekawości – odrzekł, siadając na żwirowym głazie naprzeciwko niego.

Derakh'zaq zmarszczył czoło.

– Wasza rasa jest intrygująca, chciałbym ją lepiej poznać – kontynuował mężczyzna. – Kobiety są dość nieobliczalne, mam nadzieję, że z tobą da się spokojnie porozmawiać.

– Jedz gówno – wyartykułował powoli rozsnuwacz.

Vreekmarvorgur uśmiechnął się półgębkiem.

– Widzę, że jednak nie tylko kobiety mają temperament. Rozumiem, że masz do mnie żal. Ale nawet wrogowie mogą sobie okazać szacunek. Przedstawiłem ci się, tyle chyba możesz odwzajemnić.

– Derakh'zaq – fuknął pająkoczek. – Z Yntaby.

– Miło mi, choć może to niefortunny dobór słów, biorąc pod uwagę okoliczności. Przyznaj sam, że to, co zrobiła twoja pobratymka, nie było ani mądre, ani rozsądne – powiedział spokojnie Wylęgacz, a jego głos kołł niczym szklanka chłodnego soku w upalny dzień.

– Taka ich natura, są silniejsze i bardziej przebiegłe, nieprzywykłe do gróźb.

– Ta największa to królowa?

– My nie pszczoły. Owszem, o pozycji decyduje rozmiar, ale nawet to nie daje całkowitej władzy. – Derakh’zaq zawahał się i dodał: – Wylęgaczu, one wrócą całą hordą. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Vreekmarvorgur spuścił głowę, zatoczył rękami kilka okręgów, a żwir u jego stóp został porwany przez małe tornado, które po sekundzie stanęło w płomieniach.

– Niech przyjdą.

– Zginiecie.

Trzynastu Wylęgaczy jak jeden mąż parsknęło cichym śmiechem.

– Ty nic nie rozumiesz.

Faktycznie, nie rozumiał.

– W co wierzysz? – zapytał smoczy pasterz. – Którego boga czcicie?

– Anansiego – odparł dumnie pająkoczątek.

– Ach, tak. Bóg-pająk. – Vreekmarvorgur popukał się palcem w ucho. – Słyszałem to i owo. Przebiegła bestia, ale dobra dla swoich. Bogów więcej niż na gwiazdach zliczyć, szkoda tylko, że mało którego idzie spotkać we własnej osobie.

Derakh’zaq zmierzył go wzrokiem. Postać ukryta za maską nie przypominała nikkzemnika z opowieści. Przynajmniej z jej słów przebijały obycie w świecie i elokwencja.

– Wciąż nie rozumiem. Nie boicie się zginąć? – kontynuował pająkoczątek. – Jesteście nieśmiertelni czy co?

– Strach? Owszem, ale nie przed samym zgonem, tylko przed nieodpowiednim jego znaczeniem. Naszą misją jest ochrona smoczego życia. Dopilnowanie, by smoki w spokoju mogły składać jaja. Śmierć podczas pełnienia tej służby jest zaszczytem. A nagroda, która spotyka najbardziej zasłużonych i oddanych z nas, to reinkarnacja pod postacią smoka. Maski są świadectwem dla naszego boga, Wulkanu, że właśnie tego pragniemy. Te istoty są dla nas najważniejsze. Ich cywilizacja musi przetrwać.

Pająkoczątek poczuł gorzką żółć w gardle.

– A co z innymi cywilizacjami? – spytał. – Co z moją?

– Zginęlibyście bez względu na nas i na smoki.

– Bzdura! Gdyby nie te cholerne gadziska, wulkany by nie wybuchały.

Vreekmarvorgur zerwał się z kamienia.

– Czy ty naprawdę myślisz, że to smoki powodują erupcje?! Jesteście żałośni, niby w połowie pająki, a jednak zwykli ludzie. Nie wszystko kręci się wokół was! – zasyczał niczym wąż.

– Za każdym razem kilka dni przed katastrofą pojawia się jedna z waszych bestii i szamocze się w kraterze, byle tylko spowodować klęskę!

Mężczyzna krążył wokół unieruchomionego pająkoczłeka.

– W życiu nie słyszałem większych bredni! Smoki tak się rozmnażają, owszem. Potrzebują ogromnych temperatur, by móc rozluźnić mięśnie i znieść jajo. To nie ich wina! Nie powodują wybuchów, wyczuwają dużo wcześniej uaktywniające się wulkany i do nich Igną. – Vreekmarvorgur popukał się palcem w skroń i parsknął. – Natura dała wam tak wspaniały mechanizm ostrzegawczy, ale wy oczywiście musieliście z niego zrobić omen. Zdemonizować najwspanialsze stworzenia, jakie kiedykolwiek zaszczyliły nasz świat.

Derakh'zaq pokręcił głową i zakpił z rozmówcy.

– Szargasz dobre imię ludzkiego gatunku i tak bardzo podniecasz się smokami... Czym ty w ogóle jesteś?

Vreekmarvorgur odrzucił do tyłu kaptur i powoli odsunął maskę, ukazując szkaradne, gadzie oblicze. W miejscu nosa miał wąskie szpary, zamiast skóry – łuski, a czerwone oczy przysłaniała mrugająca co chwilę przezroczyta powieka.

– Nie każdy humanoidalny gatunek wykształcił się tak perfekcyjnie jak wasz, pająku. Nie mam skrzydeł, nie zionę ogniem, nie posiadam ostrych szponów.

– Za to masz talent do ognia – zauważył pająkoczłek.

Smoczy pasterz wzruszył ramionami.

– To głupota – parsknął rozsnuwacz. – Skąd masz pewność, że to właśnie ty się odrodzisz? Że to nie bajka, tak samo jak twoje teorie o wulkanach?

Wylęgacz westchnął, wpatrując się głęboko w oczy rozmówcy. Jego pionowe źrenice nagle się zwężyły.

– Derakhu'zaq, czy miałeś ostatnio dziwne sny? Wizje przyszłości? – Dojrzał coś w spojrzeniu pająkoczłeka i sam sobie odpowiedział: – Miałeś.

– Śniłem o tym, co się właśnie dzieje: o erupcji.

Vreekmarvorgur nie odezwał się, pozwalając wybrzmieć słowom rozsnuwacza.

– Myślałem jednak, że to jedynie koszmar – kontynuował, zachęcony niezręczną ciszą. – Egzegetka też tak sądziła. Ale to nie dałoby niczego, czas oszukał nas niczym Anansi. Gdyby wybuch nastąpił kilka tygodni później, zebralibyśmy nimfy i ewakuowalibyśmy się.

– A powiedz, czy w tych wizjach był jakiś smok? – zapytał Vreekmarvorgur i uśmiechnął się znacząco.

– Nie było. Czemu?

– Żebyś zrozumiał. One dają wiele znaków, nie tylko te, które możesz zobaczyć gołym okiem. Wiedzą więcej niż my, potrafią sięgać wzrokiem dużo dalej, poza teraźniejszość. Jeżeli magmopluj wybrał ciebie, to znaczy, że, chcąc nie chcąc, jesteś częścią jego przeznaczenia, a wasze drogi splotły się na zawsze.

– Co?! – zachnął się rozsnuwacz. – Skąd to możesz wiedzieć?

Smoczy pasterz rozłożył ręce.

– Nie przystaję ani do ludzi, ani do smoków – odrzekł, gestykułując zamasyście. – Rozumiem naturę obu stworzeń, choć w pełni nie potrafię dostosować się do żadnej, nie w tej formie, nie pod tą postacią. Wiem jednak, co muszę zrobić, i jestem gotowy na wszystko, by tego dokonać.

– Nawet zginać – mruknął gorzko Derakh'zaq. – Szkoda, że moi pobratymcy umrą razem z wami, mimo że naszym celem nie jest śmierć. My jej nie pragniemy.

– Możecie wciąż tego uniknąć.

– Samice nie opuszczają jaj. Nie zostawią kokonów. A my nie zostawimy ich. Nie wszyscy są takimi radykałami jak wy – odparł z niemal wyczuwalną zazdrością.

– Taka kolej rzeczy. Wulkany wybuchają, coś ginie, coś nowego się rodzi, jedno się kończy, drugie zaczyna – rzekł gorzko. – Coraz mocniej trzęsie, czujesz?

Derakh'zaq szarpnął więzy i wyszczerzył zęby w bolesnym grymasie.

– Gdyby tylko można było to powstrzymać...

– Wulkan musi wybuchnąć, nie tylko dla tego jednego smoka, który akurat znosi jajo. Pewne zjawiska zachodzą niezależnie od siebie, jednak ostatecznie są ze sobą powiązane. Te wszystkie opary, minerały wyrzucane wtedy do nieba z wnętrza ziemi wyrównują balans, hamują ocieplenie klimatu. – Zawiesił się na moment i dodał tęsknie: – To tak jak z deszczem.

Łopot skrzydeł rozerwał nocną ciszę na strzępy, a półprzezroczyste błony przysłoniły gwiazdy. Podmuch powietrza wzbił w górę chmurę piachu i rozrzucił żar z ogniska. Derakh'zaq z trudem zadarł głowę, by po raz pierwszy ujrzeć czarną niczym węgiel jaszczurczą bestię. Mężczyzna skurczył się w sobie, nie tylko ze strachu, ale również z podziwu dla gracji, z jaką stwór poruszał się w locie. Musiał przyznać, że reinkarnacja w takim ciele brzmiała kusząco. Znalazłby się na szczycie łańcucha pokarmowego. Mógłby wreszcie zapolować, zanurkować w lawie czy wzbić się ponad chmury, by ujrzeć gwiazdy w dzień.

Vreekmarvorgur zmrużył oczy, jakby zaczytany w czyichś myślach, po czym zagadnął dużo łagodniejszym tonem:

– Spójrz, jak się porusza, jak na nas reaguje. Czy widzisz w jego zachowaniu nienawiść albo agresję?

Derakh'zaq odprowadził odlatującą bestię wzrokiem i westchnął tęsknie. W tamtej chwili nie czuł ani strachu, ani obawy przed swym naturalnym wrogiem.

– Nie – odparł, zastanawiając się nad ponurymi wizjami, ciągnącymi się od tygodni. – Widzę nieskrępowaną niczym wolność, piękno i wdzięk.

– Tak, to właśnie smoczy natura.



- Zaczny widok. Szkoda, że wszystko, co najpiękniejsze, wydaje się też najbardziej niszczycielskie – rzekł ponuro pająkoczek i wyliczył: – Najżyźniejsze gleby są właśnie na zboczach wulkanów. To drapieżniki mają najwięcej wdzięku. Albo weźmy nasze kobiety. Każdy stosunek może być tym ostatnim... Gdzie tu logika?

- A co ma myśleć smok, na którego poluje się za to, że chce złożyć jajo w aktywnym wulkanie i rozmnożyć się, przy okazji was ostrzegając? Dla niego też kończy się logika. Świat nie ma sensu. Trzeba mu go nadać samemu – odparł ponuro smoczy pasterz i wlepił nieobecne spojrzenie w palenisko.

Derakh'zaq przyglądał się gadziemu obliczu rozmówcy. Powieka migawkowa przesłaniała jego oko raz na jakiś czas, niczym biała chusta ocierająca na bieżąco świeżo powstające łzy. Mężczyzna wzbudzał w nim podziw, którego nie rozumiał. Był mordercą oraz samobójcą, jednak za jego wyborami stała potężna motywacja, pchająca go do celu. Do pokonania tego, jakim się urodził, co przeżył, tego, co świat miał mu do zaoferowania. Zazdrościł Wylęgaczowi uporu oraz odwagi, by postawić wszystko na szali, by choć przez chwilę poczuć, że może zostać, kimkolwiek tylko zechce. Mężczyzna promieniował wiarą, lecz nie w swojego boga czy w inne tajemne moce. Był to rodzaj zaraźliwego przekonania, że los każdego człowieka spoczywa w jego własnych rękach. Derakh'zaq czuł, że z każdą sekundą coraz bardziej mu ulega, choć jednocześnie nie miał całkowitej pewności, czy kontroluje swe myśli. Odnosił wrażenie, jakby ktoś wlewał mu je ciurkiem do głowy. W chwili, gdy zdał sobie z tego sprawę, strumień wysechł, a Vreekmarvorgur poruszył się niespokojnie.

- Myślę, że polubiłbyś się z Vulkanem – rzucił nerwowo. – On też był niezły w tkaniu sieci.

- Doprawdy?

- Kiedyś, chcąc przyłapać żonę na zdradzie, wykuł arcymocną, metalową sieć i zaczął się na małżonkę. Gdy tylko zaczęła współżyć z kochankiem, złapał ich, uwięził i wystawił na pośmiewisko.

Derakh'zaq zamyślił się, próbując sobie wyobrazić bohaterów historyjki.

- To musiała być mocna konstrukcja, by utrzymać bogów.

- Nie, nie był wybitnym tkaczem, cała tajemnica tkwiła w użytym surowcu. – Wylęgacz uniósł zaciśniętą mocno pięść i uderzył w drugą dłoń. – Wyprodukował odpowiednio mocne tworzywo.

Coś zagrzechotało w ciemności.

Chmara strzał przeszła mrok – jedna z nich trafiła Wylęgacza siedzącego przy ognisku. Kilkadziesiąt pająkoczeków otoczyło obóz i szyło z łuków. W okamgnieniu płomień w dłoni Vreekmarvorgura przyjął postać sztyletu.

- Jednak ani my, ani nasi bogowie wcale się tak bardzo nie różnimy,

rozsnuwaczu – sapnął smoczy pasterz i poprzecinał liny, oswobadzając Derakha'zaq. – Zaufaj przeznaczeniu!

– Co masz na myśli?! – krzyknął za odbiegającym Wylęgaczem.  
Mężczyźni w złotej masce nie dane już było odpowiedzieć.

## V

Derakh'zaq nie był w stanie powstrzymać masakry, która dokonywała się na jego oczach. Żądne mordy i zemsty pająkoczeki rozszarpywały Wylęgaczy na strzępy, same topniejąc w żarze ich magii. Powietrze wypełnił obrzydliwy swąd – mężczyzna nie był pewien, czy pochodzi od zranionych płomieniami pobratymców, czy z wnętrza wulkanu. Wstrząsy sejsmiczne dawały mu się we znaki, a pył wżerał w płuca, gdy na zesztyniałych od tkwienia w niewygodnej pozycji odnóżach próbował powstrzymać rzeź.

– Przestańcie! – krzyczał, potykając się o trupy. – To szaleństwo!

Wdowy wróciły wraz z kilkudziesięcioosobowym plutonem wojowniczek, by pomścić śmierć Galyah'wer oraz rozsnuwacza. Derakha'zaq nie zdziwił zbytnio brak ulgi na twarzach kobiet, gdy okazało się, że jednak nie zginął. Mężczyźni służyli przede wszystkim do jednego, często tylko raz, a w dodatku on nie należał do tych najprzystojniejszych ani najbardziej jurnych.

– Zabili Wdowę! Spalili ją! – odkrzyknęła fioletowo ubarwiona pająkoczek, dźgając włócznią martwego już Wylęgacza.

– Zaatakowała pierwsza!

– Żałujesz ich?! – rzuciła, przypadając do niego.

Była jego wzrostu, wciąż młoda, choć ze znacznie grubszymi odnóżami i tłustszym odwłokiem. Derakh'zaq dojrzał w jej oczach typową dla dojrzewających samic furię.

– Nie. Wiedzieli, na co się piszą, ale to nic nie zmieni. Wulkan wybuchnie.

Góra, niczym w odpowiedzi na jego słowa, zakołysała jeszcze mocniej, a wydobywające się z niej opary zgęstniały. Skarpę gęsto ścielił trup. Na każde truchło Wylęgacza przypadały trzy ciała pająkoczeków, ale ostatecznie przewaga liczebna mieszkańców Yntaby okazała się zbyt duża dla smoczyc pasterzy.

W amoku bitwy Derakh'zaq dostrzegł rozszarpane zwłoki Vreekmarvorgura i przypadł do nich. Prawie zwymiotował z powodu fetoru. Wylęgacz leżał na boku w kałuży krwi i własnych wnętrzności. Rozsnuwacz wyjął z błota złotą maskę, rozejrzał się nerwowo, po czym wsunął ją do przewieszanej przez ramię torby.

– Ruszamy na smoka! – rozkazała Liryah'wer.

Mężczyzna obejrzał się za siebie. Pewna myśl obiegła jego umysł, jednocześnie łechcąc wolę przetrwania i wzbudzając wstręt. Może powinien po prostu odejść. Wrócić do miasta, zebrać swoje rzeczy i odejść daleko od tego

przeklętego wulkanu, od tych cholernych morderczyń. Ale czy mógłby później spojrzeć we własne odbicie? Zostając tu, popełniał honorowe samobójstwo, ale też przykładał rękę do polowania na bestię z powodu fałszywych oskarżeń – myślenia, które było głupie i naiwne, mimo że wygodne. Jeszcze przed chwilą sam w nie wierzył, jednak czuł, że jego obowiązkiem jest przynajmniej spróbować otworzyć reszcie oczy na prawdę. Uratować siebie i miasta nie miał już szans, ale dla magmoplują wciąż była nadzieja.

– Poczekajcie! – krzyknął i pobiegł za kobietami wspinającymi się po stromym zboczu. – Nie róbcie tego, to nic nie da! To nie on ściągnął erupcję, lecz ona jego!

Jedna z nich strząsnęła rękę mężczyzny ze swojego barku.

– Zamknij się! Wracaj do miasta! – warknęła gniewnie.

– Liryah’wer! – zawołał Derakh’zaq do przewodzącej samicy. – Zaniechajcie zabicia smoka! I tak zginiemy, niech on żyje! Nikogo nie skrzywdził!

Pająkoczek zatrzymała się tuż przy krawędzi krateru i zmierzyła rozsnuwacza wzrokiem.

– Mężczyźni – rzuciła z pogardą. – Tylko byście się mazali. Nie bój się, zgładzimy bestię, zanim złoży jajo. Uratujemy Yntabę.

– *Verdrekh!* Posłuchajcie mnie ten jeden raz! Niech nasza śmierć ma jakiegokolwiek znaczenie! Niech coś po nas pozostanie, nawet jeśli my znikniemy pod ścianą popiołu i ognia. Nie gińmy na marne. Jeśli do tego przystąpiacie...

Samicą wyraźnie wstrząsnęło przekleństwo na początku zdania. Prawdopodobnie pierwszy raz słyszała je z ust samca.

– Za późno – wycedziła, mrużąc oczy. – To już się zaczęło.

Derakh’zaq, nie dając za wygraną, ruszył w pogoń za pobratymkami, które zniknęły za granicą. Nie miał jednak argumentów, broni, autorytetu ani nawet pomysłu, który zastąpiłby w ich głowach obecne plany. Z wnętrza krateru dobiegł agonálny ryk magmoplują. Mężczyzna zerwał się z ziemi i pognął w tamtą stronę galopem.

Gdy dotarł na szczyt, zdał sobie sprawę z potęgi żywiołu. Przerażające gorąco emanowało od gruntu, a gdzieniegdzie przebijały kałuże pyrkającej niczym gulasz zawieszony nad paleniskiem lawy. Liryah’wer miała rację – to już się zaczęło. W dole dostrzegł smoka pełną parą w agonalnej desperacji w stronę najbliższej plamy wulkanicznej cieczy. Stwora od magmy dzieliło kilka metrów, skórzasty wór dyndał mu pod pyskiem niczym pelikanowi. Z jego boku sterczały drzewce paru oszczepów. Zanim rozsnuwacz coś z siebie wydusił, w stronę bestii pomknęło kilkanaście kolejnych. Tym razem gad nie zdążył zawyć. Odszedł w ciszy, przypominając bardziej jeżozwierza niż smoka.

– Jesteś zadowolona?! – krzyknął Derakh’zaq, przekrzykując łomot bulgoczącej lawy.

– Nie rozumiem, przecież nie złożył jaja! Wulkan powinien się uspokoić! – odrzuciła Liryah’wer, wspinając się w jego stronę od środka krateru.

Draaklera zatrzęsała się mocniej i wypluła kilka kawałków zastygniętej lawy. Jeden z nich rozbił się na skałach, powodując niewielką lawinę. Mieszanina gruzu i żwiru porwała ze sobą dwie kobiety, niemalże strącając je do wnętrza wulkanu.

– To na nic! – odkrzyknął Derakh’zaq. – To nie była wina smoka!

W jej rozszerzonych źrenicach dostrzegł strach. Chyba zaczynała rozumieć.

– A jednak zginiemy – rzuciła jakby od niechcienia. – Mój pierwszy miot. Moje dzieci.

Płakała.

Derakh’zaq chciał jej powiedzieć, że istnieje sposób, by powstrzymać wulkan. Że istnieje ratunek dla ich cywilizacji. Jakaś – jakakolwiek – przyszłość. Powstrzymać łzy niedoszłej matki, które zaskoczyły go i zabolowały. Kolejne odłamki śmignęły nad ich głowami, a temperatura stawała się nie do zniesienia. To była jego chwila – wiedział, że samice posłuchają go, jeśli zasieje w nich choćby ziarno nadziei. Nie wiedział jednak, co rzec, a skłamać nie miał serca.

– Surowiec – powtórzył po chwili pod nosem.

– Co?

– Liczy się surowiec. Tak powiedział Vreekmarvorgur, zanim zginął.

– Kto, do licha? – warknęła zniecierpliwiona.

– Wylęgacz, którego zabiłyście.

– Rozmawiałeś z nim?

Rozsnuwacz przytaknął.

– To on ci powiedział o smokach? – zapytała, wodząc wzrokiem po trupie. – Że to nie one, że wulkany same...

– Wiedział o moich snach, twierdził, że... – odparł z powagą, lekko się zacinając. – Twierdził, że wizje pochodziły bezpośrednio od smoka, że nas ostrzegał.

– To bez sensu.

– To samo mu powiedziałem.

Derakh’zaq ujął jej dłoń. W tym momencie poczuł, jak zaciera się hierarchia i rywalizacja w stadzie. Byli tylko dwójkiem przestraszonych i zdesperowanych ludzi, choć każde z nich stało na ośmiu nogach. Trwali tak w milczeniu, wpatrując się w smocze truchło. Lawa sięgnęła już jego brzucha, jednak nie wyrządziła mu żadnej szkody.

– Co zrobiłby Anansi? Co by zrobił na naszym miejscu? – powtarzał ciągle Derakh’zaq.

– Zabrałby z miasta co cenniejsze i zwiął na północ do jakiejś bezpiecznej krainy, zostawiając nas i miasto – zaśmiała się jedna z Wdów, rzucając opląt

wciąż wspinającym się pająkoczkom.

Liryah'wer parsknęła panicznym śmiechem przez łyzy.

*A co zrobiłby Vulkan?* – Rozsnuwacz odtwarzał w myślach rozmowę ze smoczym pasterzem. Wykład o naturalnej kolei rzeczy, o jego wpływie na klimat oraz...

*Przypowieść o sieci!*

Mężczyzna spojrzął na magmopluję powoli znikającego w objęciach materiałów piroklastycznych.

– Mam pomysł! *Verdrek!* Sam w to nie wierzę, ale to może się udać! Liczy się surowiec! – wykrzyczał i począł zawiadować samicami. – Wyciągajcie smoka! Rzućcie na niego sieci, zaczepcie o te włócznie, to się nie przepalą! Wyciągajcie go!

Liryah'wer kiwnęła głową i Wdowy zaczęły działać.

– Co chcesz zrobić? – Uniosła brew.

– Największą pajęczynę, jaką widział świat!

## VI

Derakh'zaq omiół wzrokiem kilkutysięczną populację Yntaby zgromadzoną w amfiteatrze. Nigdy nie spodziewał się, że przyjdzie mu przemawiać przed tak liczną publiką. Nie czuł tremy, raczej dumę. W końcu przeznaczenie wybrało właśnie jego, to on śnił o erupcji, to on znalazł rozwiązanie, choć nie bez pomocy smoczego pasterza. Chwilę zajęło Liryah'wer przekonanie pozostałych, żeby posłuchali mężczyzny i jego planu. Nie było to zadanie łatwe, ale charyzma i rozmiar samicy zrobiły swoje.

*Anansi, mam nadzieję, że chcesz oszukać żywioł, a nie nas* – pomyślał i kontynuował przemówienie, przekrzykując ryk wulkanu:

– Mięso, które właśnie przeżuwacie, pochodzi z magmopluj! Dopiero co skończyliśmy go oprawiać w masarni. – Dojrzał grymasy obrzydzenia na twarzach pobratymców. – Przykro mi, ale marynowanie i przyprawianie zajęłoby za dużo czasu, a ten jest dzisiaj bezcenny. Jedzcie, jedzcie tak szybko, jak możecie, i trawcie. W beczkach wymieszaliśmy dla was sownie posolone koktajle owocowe, pijcie do dna. Nie może wam zabraknąć sił, a i nie chcemy słyszeć o żadnych skurczach! Sieci muszą być doskonałe, jeżeli mają oprzeć się ogromnym masom niewyobrażalnego gorąca! Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, jak to zjecie! Jeśli musicie rzygać, to rzygajcie, ale nie pozwólcie mięsu się zmarnować. Magmaopluj był spory i dobrze umięśniony, jednak nie wystarczy protein, by osłonić całe miasto. Z racji tego będziemy działać w trzech drużynach, w różnych dzielnicach. Punktami zaczepienia będą amfiteatr, doki portowe oraz leże. Te miejsca pokryjemy kilkoma warstwami, tak samo jak tunele pomiędzy nimi. Każdy z was weźmie kilka porcji mięsiwa na wynos, by

dojadać na bieżąco podczas tkania sieci. Podzielimy was tak, jak siedzicie, trybunami, ale nie bójcie się, zanim zapadnie ciemność, każdy zdąży odnaleźć bliskich. Mamy zaledwie kilkanaście godzin, także do roboty!

Odetchnął z ulgą, ocierając dłonią pot z czoła. Ręce wciąż śmierdziały mu wnętrznościami oprawionej zdobyczy. Mimo że smocze mięsiwo nie należało do miejscowych smakołyków, pająkoczątka potraktowały zadanie poważnie. Rozsnuwacza zmartwiła jednak atmosfera ulgi, która – choć lepsza od paniki – mogła doprowadzić do zlekceważenia zagrożenia.

– Nawet jeśli plan się powiedzie i zdążymy, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów zapanuje ciemność, a Yntabę na dłużej pokryje gruba warstwa wulkanicznego popiołu. Ale tak, przetrwamy. A z czasem odbudujemy te części miasta, których nie zdążymy przykryć przed żarem. Ziemie na zboczach Draaklery odzyskają żyzność, a do naszych wód powrócą ryby.

– Rozsnuwaczu, dziękuję. Jeśli to się uda – zaczęła Liryah'wer, wspinając się na scenę i kładąc jego rękę na swojej piersi – będziemy mieć potomstwo.

Derakh'zaq przełknął ślinę. Olbrzymia pająkoczątek słynęła bowiem z tego, że żaden z jej kochanków nie dożył wschodu słońca.

– I może nawet cię oszczędzę – dodała kobieta, oblizując zalotnie usta, za którymi znajdowały się ostre zęby zdolne rozerwać surowe mięso.

Wcale go nie przekonała. Sprawiała jednak, że cały jego entuzjazm prysnął w oka mgnieniu, psując chwilę, w której po raz pierwszy w życiu poczuł się kimś wolnym. Spojrzawszy na rzygającą gęstym dymem Draaklerę, wspomniał ostatnie słowa Vreekmarvorgura i uśmiechnął się pod wąsem.

## VII

Kolejne godziny mijały nieubłaganie, a Derakh'zaq, biegnąc pustymi ulicami Yntaby, doświadczał wrażenia, że już to kiedyś przeżył. Co prawda hałas był jeszcze do zniesienia, a z nieba nie padał deszcz meteorytów, ale wszystko wydawało się takie, jak we śnie. Tutaj też nie było słyhać ani widać smoka. Zarówno tam, jak i na jawie, Derakh'zaq czegoś szukał, po coś zmierzał. Tym razem jednak wiedział po co. Na promenadzie dojrzał grupę pająkoczątków snujących sieci nad dokami. Jego pobratymcy stali na dachach portowych budynków i wywijali odwłokami niczym przy wesołym tańcu. Za pomocą kądziółków przednych dziergali mistrzowską konstrukcję cieńszymi niżli ludzki włos, lecz nieporównywalnie wytrzymałszymi niciami. Srebrzysta sieć sprawdziła się podczas prób przeprowadzonych z ogniem na ochotnikach, którzy jako pierwsi przetrawili smocze mięsiwo. Wtedy rozsnuwacz uwierzył, że to może się udać.

Na swoim osiedlu wpadł na grupę dzieci, które nie były w stanie jeszcze snuć tak skomplikowanych pajęczyn. Zamiast tego nosiły kosze z owocami oraz

warzywami z magazynów na obrzeżach miasta. Derakh'zaq zatrzymał się przed domem sąsiada, na ścianie którego widniał skończony już surrealistyczny malunek. Ciarki przeszły po plecach mężczyzny, stawiając włos na jego odnóżach i odwłoku. Choć zniekształcony i w dziwacznych barwach, obraz przedstawiał Wylęgacza oraz pająkoczkę na zboczu góry, rozmawiających przy ognisku, a nad ich głowami olbrzymiego smoka w locie. Z nietoperzowymi skrzydłami trzepoczącymi na wietrze i skórzastym worem na lawę, kołyszącym się pod jego pyskiem. Rozsnuwacz dotknął ciepłej cegły i poczuł euforię. Wpadł do swojego mieszkania i wyciągnął spod łóżka zawiniątko, które schował tam przed wystąpieniem w amfiteatrze. Zważył je w dłoni i umieścił ostrożnie w torbie przewieszanej przez ramię. Musiał odejść, by przeżyć. Obietnica Liryah'wer postawiła go w sytuacji bez wyjścia, podważyła jej autorytet, nieważne, w jakim celu. Niezależnie od rozwoju sytuacji pozostanie oznaczało dla niego śmierć, jeśli nie pod popiołem, to z rąk samicy. Gdy wyszedł z powrotem na ulicę, raz jeszcze dokładnie obejrzał malunek, omiół wzrokiem miasto i niezauważony wymknął się północną bramą.

## VIII

Derakh'zaq szedł kilka godzin, a zatrzymał się dopiero po pokonaniu wiszącego nad wąwozem mostu uplecionego z nici przędnej. Był niemal pewien, że to ostatnia taka konstrukcja – granica między jego światem a nieznanym, najdalszy ślad zostawiony przez cywilizację Yntaby, której dzieł wieczorną panoramę mógł teraz podziwiać. Patrzył z odległości kilkunastu kilometrów na pokryte srebrną, błyszczącą pajęczyną miasto. Północny wiatr wiał z za jego pleców. Derakh'zaq stał na wzniesieniu, które gwarantowało doskonały widok. Po jego lewicy szalały fale, rozbijając się o portowe nabrzeże, po prawicy zaś górowała Draaklera z piersią dumnie wypiętą w kierunku swojej ofiary i kilkuset pająkoczeków. Trzęsienie ziemi na moment ustało, a wulkan przestał wypluwać bomby.

– Istna cisza przed burzą – mruknął Derakh'zaq.

Wąwóz zdawał się tkwić zatrzymany w czasie. Wiatr ustał, jakby nie mogąc zdecydować, czy już pora cofać się do oceanu. Nawet chmury przystanąły na moment, by Draaklera mogła namalować piękny, choć niszczycielski obraz na ich tle. Mężczyzna wziął kilka głębszych oddechów, napawając się wszechobecnym milczeniem. Pewna era dobiegała końca i choć lękał się o przetrwanie Yntaby, miał przecucie, że nadchodziła zmiana na lepsze.

Sięgnął do przewieszanej przez ramię torby i wydobył cenne zawiniątko. Odwinął utkany z przędzy koc, a jego oczom ukazało się hebanowoczarne jajo magmoplują, które ukradkiem wydobył ze smoczego truchła. Mężczyzna przejrzał się w nim, pozwalając, by kunsztownie wyrzeźbione smocze oblicze odbiło się w idealnie gładkiej skorupie. Wykuta ze złota maska Vreekmarvorgura

pasowała na niego jak ulał.

*Poprzedniej nocy, choć nieświadomie, zaciągnąłem dług – pomyślał.*

Wciąż nie rozumiał do końca wydarzeń, w centrum których się znalazł, a brak snu i stres nie zwiastowały szybkiego znalezienia odpowiedzi na dręczące go pytania. Gdy choć na chwilę zamykał oczy, wciąż widział tajemniczy malunek ścienny sąsiada. *Przeznaczenie, któremu zaufać kazał mu Vreekmarvorgur. Rozsnuwaczowi pozostało jedynie mieć nadzieję, że za złotą maską i gadzim obliczem Wylęgacza nie krył się Anansi.*

– Popatrz ze mną – rzekł łagodnie Derakh'zaq, tuląc ciepłe jajo do piersi. – To wasza zasługa.

Ziemia zatrzęsała się potwornie, a gęsta chmura wystrzeliła z wulkanu z zabójczą prędkością. Widok ten przypominał obserwowanie wzrostu drzewa w przyspieszonym tempie. Trujące opary rozgałęziały się w powietrzu, zmieniając odcień między bielą a szarością. Słup dymu zdawał się nie mieć końca, dopóki nie przytłoczył go własny ciężar. Kolejne wybuchy rozdymały krater, który wypluwał kolosalne ilości materiałów piroklastycznych. Po zboczu Draaklery pomknęły, ścigając się, liczne lawiny i strumienie lawy. Niczym szarża konna gnająca na spotkanie ze srebrzystą tarczą rozpostartą nad miastem. Tysiące pocisków płonącej lawy wystrzeliły z wulkanu. Ku uldze Derakha'zaq spływały po pajęczynie niczym łzy po policzku, nie naruszając misternej konstrukcji. Erupcyjna chmura przysłoniła zachodzące słońce i spowiła ciemnością wszystko w zasięgu wzroku.

*Niechaj Anansi was nie oszuka* – pomyślał rozsnuwacz, patrząc, jak Yntaba znika pod grubą warstwą wulkanicznego popiołu.

Mógłby przysiąc, że w jajku poczuł lekki ruch.



# MINIATURKA

Magda Brumirska

Zostań smoczym weterynarzem, mówili, będzie fajnie, mówili...<sup>4</sup>

<sup>4</sup> Tekst powstawał w ramach tandemu pisarskiego. Opowiadanie-para, „Drakodoncja stosowana” Kamili Dankowskiej ukazało się w „Fantazmatach” (tom I, 2018).

Klementyna nadal nie była pewna, czym zasłużyła sobie na to wszystko. Innych stażystów wysłano na Strachocin, żeby pomagali w doglądaniu wierzchowców przed gonitwą, a ona w tym czasie...

– Proszpani, a mój tata tesz ma smoka! – wyrzuciła z siebie z wyraźną dumą uroczą pięciolatka, wskazując palcem na smoczątko na swojej koszulce.

Klementyna nie zdążyła nawet zastanowić się nad odpowiedzią, gdy blondynek bez zęba na przedzie zakrzyknął radośnie:

– A moja mama ma trzy smoki w pracy!

Sploszony wzrok opiekunki dzieciaków dał Klementynie do zrozumienia, że właśnie rusza lawina.

– A ja widziałam takieeeego wielkiego smoka w cyrku!

– A ja leciałem na smoku, jak byłem na wakacjach w Hiszpanii!

– A moja Mruczka ma sześć kociątek!

– Proszpaniiii, siusiu!

Gdy dzieciarnia została w końcu poskromiona, wysikana (od razu zachciało się trójce, czy dzieci działają na zasadzie reakcji łańcuchowej?), poinformowana o podstawach pracy w smoczej przychodni weterynaryjnej i nauczona piosenki o smoczycy-złośnicy, Klementyna w końcu znalazła moment na odetchnięcie.

Spakowała rysunki, którymi obdarowali ją wychowankowie prywatnego przedszkola Smocza Górka. Wszystkie te podobizny smoka wawelskiego, świętego Jerzego oraz Ostropazurka, bohatera kreskówki „Mój mały smoczek”, w innych okolicznościach przyrody byłyby na pewno rozczulające. Położyła teczkę na biurku dyrektora. Niech ma jakąś pamiątkę poza tą okrągłą sumką, którą ewidentnie zaproponowała mu rada rodziców. Musiał dostać naprawdę niezłe argumenty, żeby uszczuplić tego dnia zespół...

Zawibrował telefon. Rzut oka wystarczył, by zorientować się, że koledzy ze stażu przysłali fotkę z ręki, na której pozują z najlepszym dżokejem krajowej ligi

trzymającym w ręce puchar. Co oznaczało, że główna gonitwa Wielkiej Strachocińskiej zakończyła się już dłuższy czas temu. Klementyna zakłęta pod nosem. Wszyscy pracownicy przychodni byli tego dnia na torze i zajmowali się stałymi klientami. Wszyscy oprócz niej. Była stażystką z najmniejszym doświadczeniem, a do tego kobietą. Według dyrektora Smaugowicza mogłaby co najwyżej robić na recepcji, ale za każdego magistra na stażu specjalizacyjnym klinika dostawała dopłatę z Unii. Tak więc kiedy kilka dni temu musiał wybrać jednego pracownika do poprowadzenia zajęć z dziećmi, nie zastanawiał się długo.

Tyle dobrego, że po zakończeniu tej niespodziewanej przygody z pedagogiką Klementyna mogła iść do domu.

Szczęknienie klamki wyrwało ją z zamyślenia. W momencie, w którym miała zacząć zbierać się do siebie, do przychodni wszedł najpiękniejszy facet na świecie, zupełnie ignorując kartkę „ZAMKNIĘTE”.

Spojrzał na nią oczami błękitnymi jak Wisła przy Wawelu. Klementyna mogła przysiąc, że gdzieś w tle rozległy się chóry anielskie, a nagły wiatr poniósł ze sobą wirujące płatki róż.

– Czy przeszkadzam?

Dziewczyna ocknęła się, najwyraźniej po dłuższej chwili. Chóry przycichły, ale tylko trochę.

– Prze... Przepraszam pana, ale dzisiaj mamy nieczynne – wydusiła z siebie, przewyciężając oszołomienie.

Chłopak odrzucił na bok złocistą grzywkę.

– Tak, widziałem tabliczkę, ale wolałem sprawdzić – oznajmił. – No i chyba dobrze zrobiłem, skoro pani jest w pracy?

– Wszyscy lekarze są dzisiaj na torze wyścigowym. Ja jestem na stażu, niestety mogę pomóc tylko, jeśli przyszedł pan po karmę weterynaryjną albo leki bez recepty – odpowiedziała, wciąż starając się nie słyszeć anielskich pieśni.

– A, bo ja właśnie nie całkiem. Mam problem z moim smokiem, może jednak mogłaby pani na niego zerknąć?

*Pewnie, że nie mogłabym* – pomyślała z żalem. Zdaniem tego mizogina Smaugowicza bez nadzoru opiekuna stażu nie powinna nawet wyjaławiać narzędzi w autoklawie, a co dopiero udzielać porad medycznych. Była przecież ledwo pół roku po uzyskaniu uprawnień zawodowych, samodzielnie mogła co najwyżej opowiadać bajki przedszkolakom.

A właśnie że nie. Nie po to latami zakuwała po nocach, żeby nie móc chociaż samej spojrzeć na smoka. Biednego, chorego smoka, którego w dzień wyścigów nikt inny nie raczy obejrzeć. Wszyscy będą do późnej nocy na torze. Nie mogła przecież pozwolić, by złotowłosa właściciel biegał przez pół dnia po mieście

w poszukiwaniu pomocy. A dyrektor może się... może się o niczym nie dowiedzieć.

– Dzisiaj innego weterynarza pan nie znajdzie, więc równie dobrze mogę na niego rzucić okiem. Co się właściwie dzieje? – spytała, gotowa zrobić wszystko, by jej dzień w pracy nie skończył się na niańczeniu przedszkolaków i frustracji z powodu gonitwy. Optymalnie byłoby, gdyby zwięźczył go drink z idealnym blondynem.

W chłopaku jakby zapaliło się światełko. Chóry szalały.

– Wspaniale! Już go przynoszę, to jeszcze maluch jest. – I już go nie było.

Klementyna włożyła rękawice ogniotrwałe i pobieżnie zerknęła do pozostawionej przez blondyna książeczki zdrowia smoka. Data urodzenia, cechy charakterystyczne, przebyte szczepienia. Nazwisko właściciela: Filip Nowakowski.

Wrócił po dwóch minutach. Na rękach niósł młodego smoka rasy orientalnej. Klementyna, która uwielbiała chińczyki, z uznaniem przyjrzała się zadbanej czerwonej łusce i sumiastym wąsom zwierzaka.

– Co więc koledze dolega? – spytała, pozwalając obwąchać swoją rękę, kombinezon i ochronne gogle. Odpięła smycz i postawiła zwierzaka na stole zabiegowym. Właściciel smoka nabrał powietrza, wyraźnie przygotowując się do dłuższej opowieści.

– Byłem z nim godzinę temu na spacerze, on dopiero uczy się latać i codziennie chodzimy trenować. Polatał dzisiaj tyle samo, co w inne dni, innych zwierząt nie spotkaliśmy, więc nie miał szansy się na żadne zdenerwować. No i właściwie nie wiem, o co może chodzić. – Złapał oddech. – Bo, widzi pani, aż zabrałem go do domu wcześniej, trochę się przestraszyłem, no bo on zaczął tak ziać...

*O niebiosa...*

– Pan zdaje sobie sprawę – rzuciła Klementyna, zauważając równocześnie fałszywe nuty w pieśni anielskiej – że smoki orientalne z natury zaczynają ziać ogniem w okolicach ósmego miesiąca życia? To wprawdzie byłoby trochę za szybko, smoczek ma dopiero pół roku, ale nie jest to coś, co powinno pana...

– Ale to nie takie zianie! – nie dał jej dokończyć. – On tak wyrzuca język i sapie, o tak. – Zademonstrował. Klementyna uznała, że facet powinien zostać aktorem. Świetnie sprawdzałby się w rolach golden retrieverów.

– Znaczy: ziaje. Nie: ziejje. No dobrze, zobaczymy, o co chodzi. – Wyciągnęła z podręcznej szafki stetoskop i ciśnieniomierz z odpowiednim mankietem. – Liu, bądź teraz grzecznym smokiem.



Szła na żywioł. W normalnej sytuacji przed badaniem opiekun stażu na wszelki wypadek zaaplikowałaby smokowi zastrzyk uspokajający. Ale z braku w apteczce musiałaby się wytłumaczyć. I raczej nie było obawy, że osowiały Liu chapnie jej rękę przy samym barku, kiedy tylko przyłoży do niego stetoskop. Chyba. Modląc się do wszystkich znanych jej opiekunów studentów, lekarzy, zwierząt oraz do świętego Judy Tadeusza od spraw beznadziejnych, Klementyna osłuchiwała zwierzakowi serce, obliczyła puls, spojrzała za okno i wydała wyrok:

– Przegrzał go pan trochę.

Brwi klienta zniknęły pod grzywką, prawdopodobnie lądując mu na czubku głowy.

– Przecież smoki są zmiennocieplne, one lubią gorąco!

*Matko kochana.*

Facet był śliczny jak budyń z soczkiem, trzeba mu to przyznać, ale smoka najwyraźniej miał pierwszy raz w życiu.

Chóry anielskie już parę chwil wcześniej zwinęły manatki. To nie był dobry dzień. Zajęcia z przedszkolakami napięły nerwy Klementyny jak postronki, a zdjęcie od kolegów nastroiło je tak, że można by na nich grać *prestissimo*. Przystojniaczek najwyraźniej trzymał rękę na smyczku, gotów w każdej chwili zacząć solówkę.

Uff, spokój. Tylko spokój może ją uratować.

– Lubią gorąco – zaczęła z naciskiem. – Większość. I bez przesady.

Mina klienta nadal wyrażała daleko posunięty sceptycyzm.

– Rasy orientalne są mniej masywne od smoków europejskich – kontynuowała – i najlepiej czują się w temperaturze do trzydziestu sześciu stopni.

– Ale dzisiaj są tylko trzydzieści trzy...

– ...stopnie w cieniu, tak. Co daje nieźle ponad czterdzieści stopni w słońcu. Liu miał pełne prawo się zmęczyć.

Do faceta jakby dotarło.

– No, chyba rzeczywiście nie za dużo mieliśmy cienia na tym spacerze. To co teraz? – spytał, ufnie wbijając w nią lazuruwe spojrzenie.

– Przede wszystkim – odpowiedziała, wyciągając z szafki miskę – dam mu zimnej wody i nałożę okład. Posiedzi tu kwadrans w klimatyzowanym, a potem zobaczymy, czy ciśnienie się obniży.

Do naczynia hojnie dorzuciła lodu, którego i tak musieli mieć w apteczce sporo. Na oparzenia.

Smok pił łapczywie, niemalże nurkując w misce, i rozchlapywał wodę na pół gabinetu. Skończył, sapnął, odetchnął głośno, położył się na boku i czknał.

CZKNAŁ.

– Hik! – Z jego nozdrzy wypłynęły smużki dymu.

Klementyna ze zgrozą w oczach rzuciła się do szafki z podręcznymi lekami. Zastrzyk rozkurczowy! Elektrolity!

– Hik! – Gwałtowny skurcz przepony wypchnął ze smoczych płuc kolejną porcję powietrza. Podrażnione gruczoły ogniowe pracowały coraz intensywniej, smużki dymu zamieniały się w kłęby.

Wszystkie sprzęty w klinice były ogniotrwałe, ale śliczny smoczy tata wyglądał na łatwopalnego.

– Hi...

Klementyna, kobieta czynu, a nie słowa, rzuciła się w stronę faceta z zamiarem odepchnięcia go jak najdalej od smoczego pyska.

– ...k!

– Aaa!!!

– Hik!

Odepchnęła, a jakże. Przy okazji wpadając w poślizg na wychlapanej przez smoka kałużę.

Dźwięk tłuczonych szklanych drzwi był pewnie słyszalny dwie przecznice dalej.

Ocknęła się po chwili.

*To musiała być droga szafka* – pomyślała. Zaskakująco przytomnie, jak na kogoś rozciągniętego na podłodze, z ręką przygniecioną rzeczonym meblem.

– Żyje pani? – zatroskał się blondyn, pomagając Klementynie oswobodzić rękę. Złocista grzywka była lekko osmolona. – Boli?

– Chyba przeżyję. – Przyjęła podaną dłoń, podniosła się i oszacowała straty. – Raczej nic nie zламаłam, a na skaleczenia zaraz psiknę psikadłem. Panu nic się nie stało?

– Poza tym, że prawie zawału dostałem, to nic.

– Mamy tu taki sprzęt, że wyciągnęłabym pana nawet ze śmierci klinicznej – odpowiedziała Klementyna, nie mijając się za bardzo z prawdą. Zajmowali się smokami wyścigowymi, musieli mieć wyposażenie klasy światowej.

Rozejrzała się za sprayem do dezynfekcji. Stał przy oknie. Klementyna ruszyła w jego stronę, starając się nie wdepnąć w kolejną kałużę.

Kałużę.

Wodę.

Wychlapaną przez smoka.

Gdzie jest...

– Liu? – Blondyn rozglądał się po gabinecie. – Liu, pyszczku mały, gdzie ty się schowałeś?

– Uhmpfł... – spróbowała odpowiedzieć Klementyna, ale gardło odmówiło jej

posłuszeństwa.

Na framudze, w której jeszcze pięć minut temu osadzone były szklane drzwi, pyszniła się podłużna plama sadzy. O zwrocie zewnątrzgabinetowym.

- U... - spróbowała jeszcze raz. - Uuucieeee! Nie ma go!

Przed oczami najpierw przeleciała jej wizja smoka z czkawką uciekającego na oślep i palącego wszystko na swojej drodze. A potem całe dwudziestopięcioletnie, niezbyt emocjonujące życie, które już niedługo ukróci urwanie głowy przez dyrektora Smaugowicza.

Starając się nie panikować, złapała podręczną torbę lekarską, zawsze czekającą w pogotowiu obok gaśnicy.

- Za nim!

\*\*\*

Życie smoczego weterynarza nie jest takie proste i wesołe, jak mogłoby się wydawać. Oprócz lat studiów i ciągłego doszkalania się, ta robota wymagała od człowieka niezłej krzepy. Oczywiście było więc, że od pierwszego roku studiów Klementyna kilka wieczorów w tygodniu spędzała na siłowni. Jeszcze przed maturą przyzwyczała się też do rozpoczynania dnia od pięciokilometrowego biegu po parku. Codziennie, bez wyjątku. Nawet w upał, śnieżycę, gradobicie i najazd Marsjan.

Intensywny bieg na orientację (po osmalonych śladach na drzewach i budynkach) z ciężką torbą w dłoni nie stanowił dla niej problemu, czego nie można było powiedzieć o obciążonym podręczną gaśnicą typu A smoczym tacie.

- Czy... Czy mooszemmy... trochem zfolnić? - wysapał, trzymając się za bok i ciężko łapiąc powietrze.

Gdyby nie to, że Nowakowski mógł się przydać w całej tej akcji, najchętniej zostawiłaby go w klinice.

- Możemy - zdecydowała łaskawie, biorąc gaśnicę w wolną rękę. - Ale idziemy dalej, nie możemy go zgubić. Hałas go przestraszył, musi być zupełnie dezorientowany. Jeszcze nie potrafi kontrolować ziania, a na dodatek ta czkawka... Wolałabym złapać go, zanim puści z dymem całe osiedle.

Mały smok z nierozwiniętymi gruczołami ogniowymi w zasadzie nie powinien przysporzyć wielkich zniszczeń. Mały smok zirytowany czkawką, przestraszony hałasem i oszołomiony nieznanym otoczeniem był zdolny do wszystkiego.

Minęli samochód z nadtopioną oponą. Klementyna zostawiła za wycieraczką ulotkę kliniki.

- Mamy ubezpieczenie. No i bijemy się o certyfikat „Odpowiedzialny Weterynarz” - wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Nowakowskiego. Wolała nie dodawać, że dyrektor nie potrafi jej z pensji równowartości utraconej zniżki na

ubezpieczenie tylko dlatego, że wcześniej urwie jej głowę.

Miała nadzieję, że szkody w oponach to najgorsze, co ją dziś czeka. W okolicy nie parkowało za dużo samochodów. Tyle dobrego, że przepisy zabraniały otwierania smoczych klinik w pobliżu stacji benzynowych i drewnianych budynków.

Nowakowski dreptał za nią, nadal starając się złapać oddech. Jak on będzie wychowywał smoka z taką kondycją? Tresura chińczyków jest dość trudna, zawsze może się zdarzyć, że trzeba będzie zwierzaka przytrzymać albo za nim pobiec. Nie wspominając o takich sprawach, jak polerowanie łusek i pielęgnacja pazurów – nie wszystkie smoki mają do tego cierpliwość.

– Złodziej!!! – usłyszeli nagle zza kępy lekko dymiących krzaków.

Klementyna rzuciła się w stronę wrzasków.

– To wasz smok?! – wykrzyczała dziewczyna w typie, na który Klementyna mówiła zbiorczo „Różowa”. – Zabrał mi torebkę!!!

Rzeczywiście, całkiem niedaleko widać było smoka, który ze złotą torebką w zębach, w pełnym pędzie wpadał do parku.

– Mój... – wydyszał chłopak. – Nie wiem, co go napadło.

– Złoto! – wyjaśniła Klementyna, ruszając sprintem za zwierzakiem. – Myśli, że to złoto! Chce budować leże!

Zoolodzy od dawna zgadzali się, że pewne zachowania są wspólne wszystkim smoczym rasom. Nawet węże morskie zbierały i składowały na mieliznach kosztowności, na których zwykły sypiać. Taki maluch jak Liu nie nauczył się jeszcze odróżniania szlachetnych metali i kamieni od zwykłych świecidełek. A torebka Różowej, zgodnie z najnowszą modą, skrzyła się złotą skórą i kryształkami ułożonymi w napis „Mother of Dragons”. Musiała być droższa od podyplomówki z analityki laboratoryjnej.

Klementyna powoli zaczynała czuć klucie w boku. Kondycja kondycją, ale ona była przyzwyczajona do tempa konwersacyjnego, nie sprintu. Miała nadzieję, że Liu, zmęczony upałem i biegiem, niedługo zwolni albo wręcz postanowi odpocząć.

Mimo wszystko biegła dalej. Trzeba gada złapać i spacyfikować, zanim naprawdę wejdzie w szkodę. A był już niedaleko!

Gdzieś z tyłu słyszała Nowakowskiego, który w biegu próbował wytłumaczyć Różowej sytuację. Dziewczyna chyba uparła się, żeby odzyskać torebkę jak najszybciej. Naprawdę, ciekawe, co powie na odcisk zębów na swoim louisie vuittonie.

Na szczęście park nie był gęsto zarośnięty. Smoka dało się zobaczyć jak na dłoni.

Zostawiając za sobą wypalone kępy trawy, biegł w stronę placu zabaw.



\*\*\*

*To się robi aż zbyt przewidywalne* – pomyślała Klementyna strategicznie przyczajona z Różową i Nowakowskim za krzakiem. Co robi smok? Zieje ogniem. Zbiera złoto. Pilnuje księżniczki na wieży.

Księżniczka miała na oko pięć lat. Wieża była drewniana, dwumetrowa, z huśtawką i plastikową zjeżdżalnią. A smok siedział na środku placu zabaw, ścisnął w łapach złocistą torebkę i warczał na każdego, kto próbował się do niego zbliżyć.

– Zosiu! Zosiu, schowaj się szybko!!! Schowaj! – krzyczała stojąca parę metrów dalej spanikowana kobieta, najpewniej matka księżniczki.

Dziewczynka miała minę, jakby właśnie oznajmiono jej, że Boże Narodzenie przyjdzie w tym roku dwa razy.

– Mamo! On jest taki śliczny i miły! – zakrzyknęła radośnie. – Chce się bawić!

*Świetna zabawa* – pomyślała Klementyna. *No po prostu idealna. Lepsza od rosyjskiej ruletki.*

– Hik! – wydobyło się z trzewi smoka. Iskry ognia osmałyły podstawę wieżyczki.

– Co teraz? – spytał Nowakowski, łapiąc oddech.

Wokół gęstniał tłumek. Kilka osób już wyciągnęło telefony i kręciło filmiki. Trzeba działać szybko.

– Muszę podać mu zastrzyk uspokajający, a potem doustnie elektrolity. To powinno osłabić czkawkę. – Klementyna trochę improwizowała. Czkawka u smoków była na tyle rzadka, że nie spotkała się wcześniej z podobnym przypadkiem. Trudno jest mieć czkawkę, kiedy ma się tylko protoprzeponę. – Musisz go złapać i przytrzymać na tyle długo, żebym mogła podać zastrzyk – wyjaśniła, dla wygody przechodząc na ty. Nie był od niej dużo starszy... No i nadal trochę liczyła na te drinki wieczorem.

– Ja? – Właściciel smoka zrobił wielkie oczy. – Mam go złapać? Tak w ręce?

Klementyna zmierzyła go wzrokiem. Śliczny był nieziemsko, ale w typie raczej kieszonkowym.

– Może to rzeczywiście nie najlepszy pomysł – uznała w końcu. Otworzyła torbę, szukając podręcznego zestawu pacyfikacyjnego. – Trzeba go wziąć na sposób.

\*\*\*

Na środku placu zabaw leżała pluszowa owca.

– Pan Welenko – powiedział Filip, gdy wyciągał maskotkę z plecaka. – Liu go uwielbia. Trenujemy na nim aportowanie.

Wokół brzucha pluszaka owinięta była lina na tyle długa, by ciągnąca ją osoba nie oberwała smoczym czknięciem. Szczyt myśli inżynierskiej.

– Hik! – wydusił z siebie Liu, patrząc kątem oka na Klementynę, podchodzącą według niego stanowczo za blisko drewnianej wieżyczki.

Plan był banalny. Zwracają uwagę smoka na Pana Wełenkę, Filip zwija linę, Liu idzie za owieczką i odchodzi od placu zabaw, Zosi na wieży i wszelkich innych potencjalnych ofiar, Klementyna atakuje z tyłu i podaje zastrzyk. Proste.

Poprawiła gogle. Upewniła się, że Filip jest na swoim miejscu, włączyła telefon i uruchomiła apkę do trenowania smoków. Teraz musiała tylko mieć nadzieję, że coś jeszcze pamięta z rzutu piłką palantową. Wzięła zamach. Smartfon poszybował w stronę placu zabaw.

Aparacik wylądował pół kroku od maskotki, po czym wydał z siebie głośnie:

– Meee!!!

Smok drgnął i zwrócił głowę w stronę dźwięku. Węsząc, podniósł się i z lekkim czknięciem podreptał w stronę pluszaka, co chwilę zerkając to na Klementynę, to na księżniczkę, której powinien pilnować.

Dziewczyna ścisnęła strzykawkę, gotowa do akcji. Jeszcze dwa metry i zwierzak ustawi się idealnie. Jeszcze metr. Pół...

– Zosiaaaa!!! – Rozhisteryzowana matka nie wytrzymała napięcia. Wyskoczyła z krzaków, w które prawie że siłą wepchnął ją wcześniej Filip, podbiegła pod wieżyczkę, złapała roześmianą córkę i siłą ściągnęła na ziemię.

Smok skoczył w jej stronę. Księżniczka! Porywają! Zjeść!

Kobieta z dzieckiem na rękach rzuciła się do ucieczki.

Smok popędził za nią. Różowa skorzystała z okazji, zgarnęła swoją torebkę i pobiegła w drugą stronę. Klementyna, również w biegu, usłyszała jeszcze tylko słowa „...moim prawnikiem!”.

– W prawo! – wrzasnęła w stronę uciekającej matki. – Za szalet!

Kobieta usłyszała. Skręciła nagle i skryła się za pobliskim budynkiem.

Liu wyhamował, biorąc zakręt.

– Aaa! – krzyknęła Klementyna bijąca właśnie życiowy rekord na setkę i przygniotła smoka swoim, nie takim małym, ciężarem. Liu szarpał się i kłapał zębami. – Łap go!!! – rzuciła do Filipa, który przybiegł, dysząc ciężko.

Chłopak padł na kolana i wprawnie przytrzymał smoka.

Klementyna złapała szamoczącego się zwierzaka za kark i wbiła igłę. Liu szarpnął jeszcze raz, po czym miękko opadł na trawnik.

– Chodu! – Klementyna szarpnęła Filipa za ramię. – Czkawka!

W bezpiecznej odległości odkorkowała ampułkę. Smok otumaniony głupim jasiem patrzył na nią zamglonym wzrokiem, machając ogonem jak kot. Po następnym czknięciu będzie miała co najmniej dwadzieścia sekund, żeby

bezpiecznie podać lek.

- Hik! - Wiązka płomieni wylądowała na niedalekiej ławce. Filip bez ponaglenia złapał gaśnicę i popędził do pożaru.

W tym samym momencie Klementyna podbiegła do smoka, wyuczonym ruchem rozwarła mu paszczę i wlała do gardzieli całą zawartość ampułki, wznosząc modły do świętego Jerzego, by elektrolity zadziałały na czkawkę.

Odskoczyła. Usiadła na nienadpalonej części ławki. Filip przycupnął obok. W napięciu wpatrywali się w smoka. Minęło dobre kilka minut, zanim Klementyna przyznała sama przed sobą, że chyba się udało.

- Mamusiu! Ta pani to jest smoczorynarz! - rozległo się za nimi. Mama Zosi wychynęła zza szaleciku, wciąż z dzieckiem na rękach. Dziewczynka rozplywała się z zachwytu. - Ona nam rano pokazywała, jak pracują smokarze!

Rzeczywiście, mała chyba była w grupie, która odwiedziła rano klinikę. To ona chwaliła się, ni z gruszki, ni z pietruszki, kociętami.

- Dziękuję państwu - wydusiła z siebie kobieta, wciąż pozostając w bezpiecznej odległości od leżącego smoka. - Uratowaliście mi dziecko. Jak ja się wam odwdzięczę?

- Nie ma za co - wydusiła z siebie Klementyna, szacując wartość pozwu, którego kobieta najwyraźniej wcale nie zamierzała wnosić. - Na koszt firmy.

\*\*\*

Filip otworzył drzwi, trzymając smoka na rękach.

Klementyna zdziwiła się nieco, gdy zaprosił ją do siebie, wskazując na pobliskie blokowisko. Była jednak zbyt zmęczona, by dojść do kliniki, a pilnie potrzebowała cienia, wody i opatrzenia ran bojowych.

- Łazienka jest po lewej. - Filip ruchem głowy wskazał odpowiednie drzwi i ułożył smoka w kojcu. - Wody z lodówki? Herbaty?

W malutkim pomieszczeniu zmieściła się pralka, sedes, umywalka i prysznic. Klementyna zdjęła kombinezon, ustawiła zimną wodę i oblała się nią sownie, kojąc podrażnioną skórę. Niewiarygodne, że uszła z tej całej hecy tylko z zaczerwienieniami na ramionach.

Kwadrans później siedziała już na ikeowskiej kanapie z kubkiem herbaty.

- Dzięki za pomoc - bąknął Filip, przynosząc z aneksu kuchennego talerzyk z ciastkami. Przysiadł na drugim końcu kanapy, po czym wzorem wszystkich pedantów postawionych przed niespodziewanymi gośćmi dodał: - I przepraszam za bałagan.

- Spoko. U mnie jest gorzej - odparła, rozglądając się po kawalerce. - Chociaż trochę tu ciasno.

- No... Dlatego wziąłem miniaturkę. - Filip rzucił spojrzenie dumnego taty na

śpiącego smoka. – Przynajmniej jest blisko do parku, na spaceru.

Klementyna potrzebowała dłuższej chwili na przetworzenie tego, co właśnie usłyszała. Przez kolejną, jeszcze dłuższą chwilę przyglądała się uważnie śpiącemu Liu.

– Jaaasne. A jak, jeśli można, wszedłeś w posiadanie tej swojej miniaturki?

– A widzisz, w sumie niestandardowo, bo na Świebodzkim.

Klementyna spiorunowała go wzrokiem.

– Na Dworcu Świebodzkim?! Kupiłeś smoka na targowisku?!

– No...

– Tam sprzedają zwierzęta z pseudohodowli! Dostałeś rodowód?

– Yyy, no właśnie nie, ale facet tłumaczył, że to dlatego, że nie planował rozmnażać swojej smoczy i nie jeździł z nią na zawody. I nie miała certyfikatów użytkowości ze Związku Drakologicznego, więc nie mógł wyrobić Liu rodowodu.

– Filip wyglądał na coraz bardziej zdziwionego.

*Kretyn. Idiota. Święty Jerzy, chroń go przede mną.*

– Okeeej. – Klementyna wyciągnęła z kieszeni telefon. Na wyświetlaczu wciąż było pełno drobinek ziemi z placu zabaw. Włączyła przeglądarkę, wyszukała właściwy obrazek i podała aparat Filipowi. – To teraz popatrz na to i popatrz na tę swoją miniaturkę. Wypustki rogowe wzdłuż kręgosłupa ma w jednym rzędzie czy w dwóch?

– W dwóch, ale co to ma do...

– Patrz na obrazek. Wąsy. Pojedyncze, długości głowy, jak ten smok po lewej?

– No, nie...

– Dłuższe i kilka pasm? Jak ten po prawej?

– Kilka pasm... O cholera. – Do chłopaka chyba zaczynało docierać.

– Ano, cholera. Piąty szpon w tylnych łapach równoległy czy przeciwstawny?

– Prze... Przeciwstawny.

– Dobra, mamy to. Twoja miniaturka w ciągu najbliższego półrocza osiągnie długość do jedenastu metrów i wagę około trzech ton. I będzie wymagała dwudziestu kilo karmy dziennie. Masz dorodnego jak na swój wiek, klasycznego chińczyka, może z lekką domieszką innej rasy, ale nadal w typie.

Chłopak wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

– I co teraz?

Klementyna przyjrzała mu się uważnie. Niewysoki, szczupły, na zabój zakochany w swoim smoku. Liu z kolei był pierońsko szybki...

– Myślałeś kiedyś o zostaniu dżokejem?

# DONNERWETTER

Krzysztof Adamski

– Jakieś wieści od zwiadowców, chorąży? – zapytał kapitan Katzel von Steinberg, słysząc na schodach za sobą dudnienie ciężkich, okutych butów.

– Ani śladu gada, torowisko wygląda całkiem dobrze. Powinniśmy przejechać bez trudu, kapitanie. – Brodaty starszy chorąży Werner Doenitz w końcu wdrapał się na pomost obserwacyjny. Stał obok dowódcy, ciężko sapiąc i zionąc cebulą.

– O ile, oczywiście, możemy ufać doniesieniom gnomów!

– Dajcie już spokój, Dubois i Legrand są zawodowcami takimi jak ja czy wy. – Kapitan ponownie zlustrował ciągnący się aż po horyzont step, by w końcu odstąpić od peryskopu. – Trochę optymizmu, żołnierzu!

Poklepany po ramieniu krasnolud odpowiedział kwaśnym uśmiechem i zmarszczył czoło.

– Mówię tylko, że tradycja nakazuje wziąć niziołka!

– Będzie dobrze, czuję to w kościach! – Dowódca podkreślił wąsa swoim zwyczajem i zaczął nabijać wyciągniętą zza pazuchy fajkę. – Step przed nami pusty, tory proste, wygląda na to, że możemy ruszać! – Pochylił się nad słuchawką interkomu i chrząknął głośno. – Maszynownia, odjazd za pięć minut. Wszystkie stanowiska, maksymalna gotowość, wjeżdżamy na terytorium wroga. I niech ktoś, *zum Teufel*, wreszcie obudzi mistrza Ishmaela!

Odprawiony skinieniem głowy chorąży zasalutował niedbale, po czym całkiem sprawnie zbiegł po schodkach. Czując pod nogami wyraźne drgnięcie stalowego cielska pociągu, von Steinberg uśmiechnął się do siebie. Miał naprawdę dobre przeczucie!

Donnerwetter buchnął białą parą z obu kominów brzuchatej lokomotywy. W ciasnej kotłowni trzech palaczy ochoczo szuflowało węgiel do potężnego pieca. Kanonierzy zajmowali stanowiska w wieżach artyleryjskich i przeciwlotniczych. Strzelcy odciągali suwadła karabinów maszynowych, których lufami najeżony był niemal każdy cal opancerzonego składu. Ściśnięci w wagonach szturmowych jęgrzy – z braku innego zajęcia – pili i grali w karty dla dodania sobie animuszu, klnąc przy tym niemiłosiernie. Donośny głos rugającego kogoś chorążego Doenitza złał się w jedno z przeciągłym gwizdem

lokomotywy, obwieszczającym gotowość do drogi.

Pociąg najpierw drgnął, a następnie powoli ruszył. Ciężki parowóz naprężył stalowe mięśnie, ciągnąc za sobą równie groźnie wyglądający wielowagonowy skład. Z gardeł wszystkich krasnoludów wydarł się tryumfalny wiwat, taki sam, jakim od zarania dziejów ich przodkowie rozpoczynali każdą wyprawę po smocze złoto.

Najwyraźniej ktoś w końcu zdołał również obudzić mistrza Ishmaela, gdyż jeszcze zanim Donnerwetter zdołał osiągnąć prędkość marszową, jego groźna sylwetka niespodziewanie się rozmyła, a następnie zupełnie zniknęła. Miarowy stukot kół na torach, okrzyki, podniecone szepty i przekleństwa załogi ucichły. Na błękitnym niebie ponad bezkresnym stepem nie unosił się choćby najmniejszy obłok bijącej z kominów lokomotywy pary. Wszędzie cisza i spokój. Żadnych pancernych eszelonów prujących przez step, wiozących na wpół pijaną załogę ku przeznaczeniu. Żadnych obracających się nieustannie czołgowych wież, przeczesujących widnokrąg w poszukiwaniu znajomej sylwetki wroga. Cisza, spokój.

Idylla.

\*\*\*

Donnerwetter, zamaskowany iluzją mistrza Ishmaela, pożerał kolejne kilometry nie mniej łapczywie niż zaspokajająca swój apetyt bestia, której terytorium ośmielił się naruszyć. Kilkanaście kilometrów przed pancernym składem, na swoich lekkich motocyklach, podążali dwaj gnomi zwiadowcy. To właśnie oni mieli za zadanie wypatrywać pierwszych śladów smoczej aktywności oraz kontrolować stan torowiska.

Na szczęście dla dowodzonego przez kapitana von Steinberga eszelonu nieużywana od wielu lat infrastruktura okazała się, jak zresztą wszystko, co wyszło spod krasnoludzkich rąk, niezwykle odporna na działanie czasu i żywiołów. Jak dotąd torowisko wymagało tylko kilku drobnych napraw. Taki niepewny fragment zwiadowcy oznaczali widoczną z daleka chorągiewką, a o fakcie informowali maszynistę przez radio, po czym gnali dalej na swoich stalowych rumakach. Reszta należała już do załogi pociągu.

Przerwa techniczna zwykle trwała od kwadransa do godziny, zawsze jednak wiązała się z poważnym ryzykiem dla unieruchomionego, a przez to bardziej narażonego na atak pociągu. Wtedy również jego krasnoludzka załoga odznaczała się budzącym podziw poziomem wyszkolenia i dyscypliny. Piechota błyskawicznie wysypywała się z wagonów szturmowych, by jak najszybciej rozproszyć się po okolicy i przygotować na ewentualny atak. Kanonierzy jeszcze mocniej przyciskali twarze do gumowanych celowników swoich dział, co jakiś

czas przecierając spocone od upału i nerwów czoła. Nawet sam mistrz Ishmael, którego iluzje traciły moc, gdy pociąg się nie poruszał, zwykł w takich chwilach wychodzić ze swojego przedziału, by dołączyć do kapitana von Steinberga na pomoście obserwacyjnym wagonu dowodzenia. Tam w skupieniu śledzili postęp napraw i raczyli się schnappsem.

W robotach remontowych krasnoludom pomagały dwa ogry, Snorri i Saxx, którym dźwiganie szyn czy podkładów kolejowych przychodziło łatwiej niż mycie zębów. Obaj mięśniacy, korzystając z żurawia zamontowanego na dachu lokomotywy oraz wskazówek krasnoludzkich inżynierów, potrafiliby w ciągu kilku godzin, po ciemku i pod ostrzałem wroga, przerzucić most przez rwącą rzekę. Na szczęście na otaczającym leże Sarreghusa stepie tych ostatnich nie było zbyt wiele.

Wyprawa postępowała bez większych trudności, budząc wciąż narastający niepokój nieprzywykłego do takiego stanu rzeczy chorążego Doenitza. Możliwość powiedzenia „A nie mówiłem?” nadarzyła się dopiero drugiej nocy od naruszenia granic smoczego królestwa przez Donnerwetter.





\*\*\*

– Przechodził pomiędzy wagonami, potknął się i spadł. Widziałem, bo akurat byłem się wysikać. – Młody szeregowiec, stojący na baczność przed kapitanem, wyglądał na tak przejętego całą sytuacją, że trudno było podejrzewać go o jakiegokolwiek przyczynienie się do tego fatalnego wypadku.

– Musiał być kompletnie zalany, kapitanie. – Chorąży Doenitz pochylił się nad krwawym strzępem, w jaki stalowe koła pędzącego pociągu zmieniły ciało niezastąpionego mistrza Ishmaela. – Wciąż cuchnie gorzałką i rzygowinami.

– To wszystko. Możecie odejść, żołnierzu. – Dowódca odprawił świadka feralnego zdarzenia, który z wyraźną ulgą oddalił się w stronę stojącego kilkaset metrów dalej pociągu. – Zawołajcie mi tutaj maszynistę Steigera! A wy, chorąży, posłuchajcie mnie... – Kapitan zawiesił głos, obrzucając wzrokiem zwłoki czarodzieja. – Zarządzam całkowity zakaz picia! Każdy złapany choćby na lekkim rauszu traktowany będzie jako dezertor, rozumiemy się?

– Tak jest, kapitanie... Ale... – Brodata twarz chorążego, której kontury wyłowiło z mroku światło latarki, wyrażała poważne wątpliwości.

– Ale co, *zum Teufel*?! – niespodziewanie warknął dowódca. Kapitan von Steinberg był znany ze stalowych nerwów i niezwykle rzadko tracił panowanie nad sobą. – Jakież uwagi, chorąży Doenitz? – dodał już nieco łagodniej.

– Przepraszam, ale czy naprawdę zamierza pan jechać dalej? Bez czarodzieja?

– Tak. – Dowódca kilkakrotnie pokiwał głową, jakby próbując przekonać siebie samego do tego pomysłu. Po chwili spojrzął w stronę pociągu, w którego wnętrzu przed chwilą zniknął świadek ostatniej drogi mistrza Ishmaela.

W panujących dookoła ciemnościach dostrzegł sylwetki kilku żołnierzy poukrywanych za nierównościami terenu. Wszechobecna cisza musiała oznaczać, że równie uważnie wypatrują oni wroga, co śledzą przebieg prowadzonej przez dowódców rozmowy.

– Chodźcie ze mną, chorąży!

Kapitan szybkim krokiem ruszył wzdłuż torów, pozostawiając szczątki czarodzieja szakalom. Doenitz posłusznie podążył za nim. Mniej więcej w połowie składu, dokładnie na wysokości wagonu dowodzenia, napotkali prowadzonego przez dwóch żołnierzy maszynistę Ludwiga Steigera. Wyraźnie kulejący starszy krasnolud oraz trzech podlegli mu palacze byli jedynymi cywilami na pokładzie Donnerwetter.

Weteran dwóch wojen, kilkakrotnie odznaczony za odwagę, Steiger był prawdopodobnie najlepszym specem od pociągów pancernych, który wciąż jeszcze żył. Wystarczyła mu zaledwie sugestia, że ktoś okazałby się na tyle

szalony, by przy użyciu jednego z nich rzucić wyzwanie smokowi, a z miejsca zapalił się do tego pomysłu. Potem nie było już siły, by pozbawić go szansy na udział w wyprawie. Ubrany w swój przeżarty przez mole mundur, z wystawą medali na piersi, emerytowany wojak przykuł się do parowozu, przysparzając wielu zmartwień i siniaków próbującym go od niego oderwać żandarmom.

– Kłopoty, kapitanie? – zapytał, choć nie było najmniejszej wątpliwości, że wiadomość o śmierci mistrza Ishmaela zdążyła lotem błyskawicy obieć już cały pociąg.

– Porozmawiamy w środku.

Dowódca pierwszy wspiął się na wagon, za nim podążył maszynista. Chorąży Doenitz dołączył do nich jako ostatni, jeszcze na zewnątrz wydając rozkazy oczekującym żołnierzom.

Pierwszym, co zobaczył wewnątrz, była butelka schnappsa, bezceremonialnie opróżniana do zlewu przez kapitana.

– Siadajcie, panowie, to chwilę potrwa.

Von Steinberg musiał naprawdę poważnie traktować własne rozkazy, gdyż w ciągu kolejnych kilku minut postąpił tak samo z całą zawartością oficerskiego barku. Już na sam widok takiego marnotrawstwa chorąży Doenitz poczuł dotkliwą suchość w gardle. Gdy ten bluźnierczy rytuał wreszcie dobiegł końca, kapitan podszedł do stołu, przy którym siedzieli wyraźnie wstrząśnięci towarzysze. Następnie rozłożył na blacie starą mapę sztabową, unieruchamiając ją przy pomocy dwóch opróżnionych przed minutą butelek.

– Odpowiadając na wasze wcześniejsze pytanie, chorąży, powtarzam: tak, jedziemy dalej.

Maszynista przyjął tę wiadomość z kamiennym wyrazem zniszczonej przez czas i ciężką pracą twarzy. Za to po minie siedzącego obok chorążego od razu widać było, że nie podziela on optymizmu przełożonego.

– Chcielibyście zawrócić? Teraz, w połowie drogi?

– A czy takie przypadkiem nie były rozkazy dowództwa?

– Owszem, były. – Oficer pokiwał z uznaniem głową, nie po raz pierwszy zaskoczony domyślnością podwładnego, któremu nikt przecież nie zdradził dokładnych wytycznych dotyczących ich wyprawy. – Zgodnie z rozkazami w przypadku śmierci któregokolwiek z kluczowych uczestników misji, moim obowiązkiem jest przerwać jej wykonywanie, wrócić do bazy i na resztę życia, a planuję się nim jeszcze trochę pocieszyć, stać się pośmiewiskiem wszystkich kolegów oficerów! A wy razem ze mną, chorąży! Naprawdę tego chcecie?

– Oczywiście że nie, kapitanie! Ale to stoi w jawnej sprzeczności z tym fragmentem o cieszeniu się życiem.

– Niekoniecznie. – Von Steinberg uśmiechnął się porozumiewawczo do

maszynisty i postukał palcem w rozłożoną przed sobą mapę. – Mamy potwierdzone informacje od naszych przyjaciół z Ostwaldu, że Sarreghusa nie widziano w tych stronach od kilku miesięcy! A ostatni raz, gdy miało to miejsce, odleciał na północ i jak dotąd nie wrócił. Zresztą, znając was, doskonale o tym wiecie.

– Oczywiście, że wiem, kapitanie, ale nie oznacza to jeszcze, żebym słowa elfów traktował zbyt poważnie.

Ze względu na wieloletnią wspólną służbę chorąży mógł pozwolić sobie na znacznie więcej w stosunku do przełożonego, jednak wciąż zachowywał się profesjonalnie, jak nakazywał protokół. Mimo to widać było, że z każdą kolejną minutą utrzymanie nerwów na wodzy przyplącał coraz większym wysiłkiem. Ciężko sapał, mrugał nerwowo oczyma i nawet pachniał cebulą bardziej intensywnie, niż miał to w zwyczaju. Przez jego twarz, niemal całkowicie skrytą pod rudą, przetykaną siwymi pasmami brodą, co jakiś czas przebiegał niekontrolowany skurcz – pamiątka po szrapnelu, który niegdyś tylko cudem nie oderwał głowy chorążego od reszty ciała.

– Nie ufam im i dobrze pan o tym wie!

– Wy nikomu nie ufacie, chorąży! – Kapitanowi naprawdę zależało na przekonaniu podwładnego, dlatego zamiast zasłonić się rozkazem, spróbował z innej strony. Pozwalając, by jego słowa zawisły w powietrzu, zaczął w skupieniu nabijać fajkę. Widząc spojrzenie starego maszynisty, skinieniem głowy pozwolił podwładnym uczynić to samo. – Elfy są fałszywe, gnomy chytne, ogry zwyczajnie głupie – zaczął przy akompaniamencie szelestu ubijanego w trzech cybuchach tytoniu – magowie nie umieją pić, orkowie to zwykłe dzikusy, a człowiek sprzedałby swoją własną matkę, gdyby tylko znalazł się idiota gotowy za nią zapłacić... A skoro już o tym mowa, znając was, chorąży, przypuszczam, że własnej rodzicielki również nie darzyliście specjalnym zaufaniem!

– Zapomniał pan o smokach, kapitanie – mruknął podoficer, zaciągając się błękitnawym tytoniowym dymem. – Ze wszystkich istot na tym świecie najbardziej nie ufam właśnie im! Nawet bardziej niż mojej szanownej matce, której pamięć raczył pan uprzejmie przywołać...

– *Zum Teufel*, chorąży, przestańcie mi tu zgrzytać jak zapiaszczone łożysko! – niespodziewanie wykrzyknął kapitan, waląc dłońią w leżącą przed nim mapę. Siła ciosu okazała się na tyle duża, że jedna z przytrzymujących ją butelek podskoczyła i z brzękiem spadła ze stołu. – Chyba nie zapomnieliście, że podobnie jak wszyscy w tym pociągu, zgłosiliście się na ochotnika? Czyżby plecak wypchany smoczym złotem nie był odpowiednią nagrodą za odwagę konieczną, by po niego sięgnąć? Gdybym nie znał was tyle lat, chorąży, pomyślałbym, że strach was obleciał...

- Kapitanie... - wycedził podoficer, sięgając do pokładów samokontroli, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewał.

- Nie chcę słuchać tego babskiego gadania, Doenitz!

- Jeżeli można... - Spokojny głos Steigera, dotąd w milczeniu przysłuchującego się tej wymianie uprzejmości, momentalnie ostudził buzujące wokół stołu emocje. - Jak rozumiem, planowaliśmy jechać tędy? - Brudny paznokieć maszynisty wskazał wytyczoną na mapie trasę. Pogrubiona na czerwono linia wiodła prosto jak strzała niemal do samego masywu górskiego, pod którym w zamierzonych czasach krasnoludy nieustępliwie drążyły swoje złotorodne sztolnie. - To jest najkrótsza droga, ale moglibyśmy spróbować jej trochę nadłożyć i pojechać tędy. - Palec starego krasnoluda odbił w lewo i, zatoczywszy szeroki łuk, wrócił w to samo miejsce na mapie. - Dotrzemy do zwrotnicy, tylko nieco inną drogą. Przez większą jej część jechalibyśmy pomiędzy górami, więc szansa, że ktoś nas dostrzeże, znacznie by zmalała. Węgla nam starczy jeszcze z nawiązką, a w górach przynajmniej nie będzie problemu z wodą.

- Ile dni zajmie nam objazd? - zapytał kapitan, zupełnie tracąc zainteresowanie naburmuszonym chorążym.

- Dwa, jeżeli torowisko będzie w tak samo dobrym stanie jak dotychczas, trzy, jeżeli nie. Po drodze nie ma żadnych mostów ani tuneli, więc powinno obyć się bez większych problemów.

- Problemów? - wtrącił chorąży, uważnie wpatrując się w niepokojący go z jakiegoś powodu fragment mapy. - Pewnie zaraz mi się dostanie za moje czarnowidztwo i generalną skłonność do uprzedzeń, ale czy aby przypadkiem nie będziemy musieli przejechać przez ziemie orków?

- Zgadza się, na tych terenach zwykli mieć swoje koczowiska... - Maszynista pokiwał głową ze zrozumieniem, w przeciwieństwie do wydymającego pogardliwie wargi dowódcy.

- Chorąży, nie mówcie mi teraz, że boicie się tych kilku dzikusów? - Von Steinberg ponownie zwrócił się do podoficera, sięgając po coś pod stół. - Ani oni, ani nikt inny nie powstrzyma nas przed tryumfalnym powrotem do domu z kieszeniami pełnymi złota! Niech zgołę brodę, jeżeli się mylę!

Na widok pękatej butelczyny, która jakimś cudem musiała przetrwać urządzone w oficerskim barku pogrom, twarz chorążego Doenitza momentalnie się rozjaśniła. Pospiesznie rozlany do trzech kieliszków trunek w czterech rundach rozprawił się z resztkami obiekcji i wątpliwości podoficera. Potem były już tylko rozważania, co każdy z siedzącej przy stole trójki zamierza zrobić ze swoją częścią łupu. Niestety, nawet te urocze fantazje uciąć musiał nieuchronny i tym razem ostateczny koniec alkoholu. Okazał się on również jednoznacznym

sygnałem do odjazdu. Gdy kapitan spojrział na tarczę zegara, ze zdumieniem stwierdził, że przekonanie chorążego do kontynuowania misji zajęło mu znacznie więcej czasu, niż przypuszczał.

Dziesięć minut później Donnerwetter pędził przed siebie, światłem potężnych reflektorów prując mrok nocy.

\*\*\*

Po mknącym stepową równiną pociągu prawie nie było widać, że ostatnie sto lat spędził w zawalonym podziemnym schronie, jedynie przypadkowo odkrytym przez grupę młodocianych poszukiwaczy skarbów. Zakonserwowany grubą na dwa palce warstwą smaru Donnerwetter wymagał jedynie drobnych zabiegów kosmetyczno-naprawczych, by znów stać się w pełni sprawnym pojazdem bojowym. Jedynym, nad czym należało popracować, było jego uzbrojenie – przestarzałe armaty zastąpiono ich nowocześniejszymi wersjami przystosowanymi do współczesnej, zdecydowanie skuteczniejszej amunicji. Nie oznaczało to oczywiście, że przyglądający się temu z boku specjaliści znacząco nie pukali się w zmarszczone skrajnym powątpiewaniem czoła.

Ostatnia wojna bezlitośnie obnażyła wszelkie słabości broni kolejowej, na której ówczesne krasnoludy oparły trzon swojej potęgi militarnej. Ich największą wadą była ograniczona mobilność. Nawet tory, zabezpieczone sekretnymi runami zespolenia, których gęsta sieć zdążyła pokryć cały kontynent, nie dawały im większych szans przetrwania na coraz szybciej ewoluującym polu walki. Pancerne kolosy, budzące dotąd powszechny postrach i szacunek, wkrótce zaczęły zostawać w tyle, odsunięte przez znacznie młodsze i bardziej elastyczne rodzaje oręża. Te, którym udało się uniknąć zniszczenia w trakcie służby, przerobiono na żyletki lub też, tak jak miało to początkowo stać się z Donnerwetter, umieszczono w muzeach. Gdyby nie banda zbzikowanych zapaleńców, jak powszechnie określono pomysłodawców wyprawy po skarb Sarreghusa, pozostałby tam on po kres swoich dni.

A jednak z pozoru niedorzeczny pomysł zdołał przebić się przez mur skostniałej wojskowej biurokracji i, oczywiście nie bez nacisków zewnętrznych sponsorów przedsięwzięcia, przejść do fazy realizacji.

Odmalowany i zmodernizowany liczący jedenaście wagonów skład wyglądał niezwykle okazale i ucieszył oczy nawet największych przeciwników ekspedycji. Czołgowe armaty dumnie prezentowały swoje groźne paszcze, czterolufowe działka przeciwlotnicze obracały się płynnie, a ciasno upchnięta w wagonach szturmowych piechota szczyrzyła zęby w zawadiackich uśmiechach, udając, że jest jej całkiem wygodnie. Lokomotywa posapywała miarowo, z pozoru bez wysiłku ciągnąc za sobą ten niebagatelny ciężar. Poza nią i potężną, wypchaną

aż po brzegi węglarką w skład eszelonu wchodziły dwa wagony przeciwlotnicze – po jednym na każdym końcu pociągu i dwa artyleryjskie, w tym jeden wyposażony w nowoczesne działa przeciwpancerne. Jęgrzy gnieździł się po dwóch w tradycyjnych wagonach piechoty, znacznie mniej wygodnych niż ten, w którym urzędował dowodzący wyprawą oficer. Całości dopełniały trzy platformy. Dwie z nich wiozły szyny, podkłady i inny sprzęt inżynierski, a jedna skrywała swoją zawartość pod grubą brezentową plandeką.

Chociaż na współczesnym polu walki nie było już dla Donnerwetter miejsca, czekająca go misja mogła się udać. Mimo początkowego sceptycyzmu na brodatych twarzach żegnających pociąg krasnoludów malowały się ostrożne, ale pełne nadziei uśmiechy.

Teraz pancerny kolos był bliżej niż kiedykolwiek spełnienia pokładanych w nim oczekiwań. Niestety, zamiast pędzić prosto w stronę coraz lepiej widocznych gór, musiał odbić na boczny, okrążający je szerokim łukiem tor. Poinformowani przez radio zwiadowcy przestawili zwrotnicę i podążyli dalej celem zbadania nowego torowiska.

Krajobraz powoli zaczął się zmieniać. Miejsce bezkresnego stepu zajęła rzadka tajga. Co jakiś czas pociąg mijał również ruiny dawnych krasnoludzkich miast, które zniszczył ognisty gniew Sarreghusa. Niegdyś dumne i dostatnie, teraz były zaledwie wypalonym cieniem swojej dawnej chwały – domem dla niezliczonych istot, na które żaden szanujący się krasnolud nawet by nie splunął.

\*\*\*

– Obserwują nas – mruknął kapitan von Steinberg, odklejając oczy od peryskopu i wskazując chorążemu, by sam spojrzął.

Doenitz przywarł do gumowanego okularu i, przez chwilę majstrując przy wymyślnym mechanizmie urządzenia, popatrzył w tym samym kierunku. Wysoko na stalowoszarym niebie wisiała drobna, szarpana wiatrem sylwetka. Gdyby nie skomplikowany zestaw potężnych soczewek peryskopu, można by pomyśleć, że to jakiś wielki ptak albo inny skrzydlaty drapieżnik. Chorąży jednak nie musiał nawet specjalnie wyęźać oczu, by dostrzec wykonane ze zwierzęcych pęcherzy, rozpięte na lekkim stelażu skrzydła oraz zieloną twarz odzianego w grube futro pilota.

– Za daleko, żeby go strącić. Coś z tym robimy?

– Nic. Nie sądzę, żeby byli nam w stanie realnie zagrozić. Niedługo wjedziemy pomiędzy góry, tam będziemy bezpieczni. Z tego, co wiem, żadni orkowie już tam nie mieszkają, wszyscy przenieśli się do miast. – Dowódca ponownie przejął peryskop i rozejrzał się dookoła. – Wciąż ani śladu smoka, chorąży. Nie żałujecie trochę? Moglibyśmy zdobyć sławę pierwszych smokobójców od prawie tysiąca

lat! Szkoda by było się nie sprawdzić.

– Donnerwetter jest potężny, ale nie sędzę, byśmy rzeczywiście dysponowali siłą ognia zdolną powstrzymać Sarreghusa. Zniechęcić? Jak najbardziej. Może przegonić. Ba! Nawet zrujnować mu popołudniową herbatkę, ale zabić...

– Jak tak dalej pójdzie, pewnie się nie dowiemy.

\*\*\*

Zielonoskórzy czciciele smoka przypomnieli o sobie kolejnego ranka, zaledwie kilka godzin przed osiągnięciem przez Donnerwetter bezpiecznej linii gór. Tym razem nie byli to jednak samotni zwiadowcy. Pstrokata, pędząca od strony najbliższego miasta banda musiała liczyć dobre kilka setek, o ile nie więcej.

Wymalowani swoim zwyczajem w barwy wojenne orkowie jechali na czym się dało. Pośród otwartych, podskakujących na wybojach ciężarówek oraz mrowia dwu- i trzykołowych motocykli przemykali wojownicy dosiadający miejscowych, wyjątkowo wyrosniętych wilków, dzików, a nawet reniferów. Przyglądający się temu z wciąż bezpiecznej odległości kapitan dostrzegł, ku swojemu rozbawieniu, sporą bandę goblinów próbujących dotrzymać tempa głównej grupie na zdezelowanych rowerach. Horda najwyraźniej chciała przeciąć drogę pociągu, zanim zdoła się on skryć pomiędzy górami.

– Dadzą radę, kapitanie, pędzą, jakby im sam Sarreghus tyłki przypalał – sapnął chorąży Doenitz, sprawdzając, czy bębenek jego rewolweru obraca się gładko. Na mundur zdążył już narzucić ciężki pancerz, a na szyi powiesić ozdobiony ochronnymi runami ryngraf. Hełm i gogle leżały na stole obok, czekając na swoją kolej.

– Dajcie spokój, żołnierzu... – Kapitan uśmiechnął się znacząco, widząc swojego gotowego do boju podkomendnego. – To nie będzie nam dzisiaj potrzebne.

– Skąd ta pewność, kapitanie?

– A stąd, że w tych stronach nie widziano pociągu od tak dawna, że pewnie mało kto wie, jak on wygląda. Ci tam mogą się tego jedynie domyślać... Nie sędzę, by przyszło im w ogóle do głowy, że może być niebezpieczny. – Dowódca sięgnął po słuchawkę interkomu. – Pierwsza sekcja, ognia na mój sygnał. Proszę o salwę ostrzegawczą. A niech tam, *zum Teufel*, dla pewności, walcie odłamkowym w czoło kolumny, ale tylko raz! Nie chcemy tu przecież niepotrzebnej rzezi.

– Tak jest, kapitanie! – W potwierdzeniu kanoniera dała się słyszeć wyraźna nuta rozczarowania.

Dwie wieżyczki ciężkich haubic wystrzeliły niemal równocześnie. Pierwszy pocisk nieco zniósł z celu i eksplodował jeszcze przed ujadającą dziko hordą.

Drugi wszedł w nią jak krasnoludzki buciur w świeże łajno. Rozrywający się pomiędzy orkowymi pojazdami odłamkowy pocisk praktycznie zdmuchnął z powierzchni ziemi wszystko w promieniu kilkuset metrów. Zielonoskórzy wojownicy próbowali zeskakiwać z przewracających się lub płonących ciężarówek tylko po to, by dać się przygnieść innym, niedbale rozrzuconym po okolicy przez kolejne eksplozje paliwa. Służące im za wierzchowce zwierzęta uciekały na wszystkie strony, przeważnie już dawno zgubiwszy swoich jeźdźców. Nawet pomimo odległości i nieustannego hałasu robionego przez pędzący pociąg dało się słyszeć zbiorowy ryk bólu i przerażenia, który wydarł się z setek gardeł ocalałych orków. Ta część hałasy, której udało się uniknąć zagłady, zawróciła w miejscu i w rozsypce pognała w kierunku ruin miasta, pozostawiając rannych i umierających za sobą.

– I to by było na tyle, chorąży! – oświadczył triumfalnie kapitan, składając peryskop i podkreślając wąsa. – Radio, wjeżdżamy na nieznaną teren, łączność ze zwiadowcami co godzinę.

– Zrozumiałem, kapitanie – odpowiedział głos z drugiej strony interkomu.

– To powinno ich powstrzymać od dalszych głupich pomysłów. – Uśmiechnięty dowódca odruchowo zajrzał do barku, jednak na widok uczynionego w nim spustoszenia zabrał się za nabijanie fajki.

– Zgadza się, a przy okazji skutecznie obudzić smoka...

– Oj chorąży, chorąży. A wy jak zwykle szukacie dziury w całym! Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Bo wiecie, że mam rację, kapitanie.

– Oby nie. Możecie odejść.

– Tak jest, kapitanie. – Podoficer zsalutował i opuścił pomost obserwacyjny.

– *Zum Teufel* – zaklął pod nosem kapitan, po raz kolejny przywierając do peryskopu.

\*\*\*

Gdy Donnerwetter wjechał pomiędzy góry, od razu dało się odczuć zmianę atmosfery w jego wnętrzu. Wietrząc bliskość smoczego skarbu, krasnoludy wpadły w rodzaj nerwowego podniecenia, charakterystycznego dla wszelkiej maści maniaków mających wkrótce spełnić swoje najdziksze fantazje. Na szczęście żelazna dyscyplina, utrzymywana na pokładzie przez doświadczonych sierżantów, pozwalała uniknąć niepotrzebnego rozprężenia i wynikających z niego błędów.

Pociąg wytrwale parł naprzód, zatrzymując się tylko po to, by uzupełnić zapas wody bądź dokonać niezbędnych napraw torowiska. Zgodnie z meldunkami niestrudzonych gnomich zwiadowców droga przed eszelonem



była otwarta i względnie bezpieczna.

Utrzymawszy odpowiednie tempo, pociąg opuścił pasmo gór z nawet lepszym czasem, niż przewidywał to maszynista Steiger. Gdy znalazł się ponownie na stepie, Donnerwetter rozwinął pełną prędkość tylko po to, by zatrzymać się po kilku godzinach jazdy. Tym razem jednak to nie konieczność napraw czy uzupełnienia zapasów była powodem tego postoju.

Krasnoludy dotarły do celu.

\*\*\*

Majestatyczna, wyrastająca prosto ze stepu góra nie różniła się wiele od pasma, przez które dopiero co przedarł się Donnerwetter. Jedyłą różnicą, widoczną zresztą tylko dla doświadczonych krasnoludzkich obserwatorów, były ślady ich dawnej chwały – tu i ówdzie na stromym stoku wciąż stały ruiny pradawnych strażnic, a na skałach widniały sekretne znaki wskazujące bezpieczną drogę do wnętrza góry.

Jednak aby ostatecznie dotrzeć do celu, Donnerwetter musiał znaleźć wiodący do niego szlak, a taki widniał jedynie na starej mapie kapitana von Steinberga.

Pociąg zatrzymał się na zwrotnicy łączącej pięć biegnących w różne strony tras, w tym tę, którą oryginalnie miał przybyć tutaj, skryty pod iluzją mistrza Ishmaela. Szóstego toru brakowało. Ktoś – niewątpliwie dysponujący odpowiednią wiedzą i wielkim kunsztem – rozebrał stalową drogę, tym samym uniemożliwiając dalszą podróż w stronę góry.

– Co o tym myślicie, Ludwigu? – Kapitan von Steinberg stanął pośrodku splatającego się w tym miejscu torowiska i spojrzał na tkwiący u jego stóp metalowy blok. Równiutkie rzędy sekretnego pisma nic mu nie mówiły. Wiedział za to doskonale, do czego służył niewielki otwór widniejący dokładnie pośrodku sztaby.

– Chwileczkę, kapitanie... – Maszynista podszedł bliżej i nałożył na nos okulary o podwójnych szklach. Stare kości strzeliły głucho, gdy pochylał się nad kawałkiem metalu zapisanym zaszyfrowanym językiem przodków. – Na szczęście żadnych bzdur o fazach księżyca... Odjąć czterysta dwadzieścia osiem, pomnożyć... Tak... – mruczał przez chwilę pod nosem, dokonując piętrowych obliczeń, których wynik miał wskazać dalszą drogę. Wreszcie z trudem wyprostował się i spojrzał na przypatrującego się mu z wyczekiwaniem dowódcę. – Wjazd znajdziemy dokładnie dwa kilometry na północny zachód stąd, to będzie... – Starzec ponownie szybko przekalkulował coś w głowie, po czym obrócił się i wskazał dłonią miejsce na stromym zboczu. – Tam!

– Radio, do mnie! – krzyknął kapitan.

Radiotelegrafista, dźwigający na plecach przenośną radiostację, dopadł do niego w trzech krokach, w wyciągniętej dłoni ściskając słuchawkę.

– Dajcie mi zwiad!

– Czekają, kapitanie!

– Dobrze. – Dowódca skinął głową i przyłożył słuchawkę do ucha. – Dubois, Legrand, za chwilę zobaczycie wejście. Macie dokonać płytkiego zwiadu i meldować o wszystkim, co znajdziecie. Pozostajemy w ciągłym kontakcie radiowym, rozumiano? Świetnie, podaję przybliżone współrzędne.

W tym czasie chorąży Doenitz podszedł do maszynisty.

– Dwa kilometry? Dużo...

– Dziesięć, dwanaście godzin roboty i po sprawie – odparł Steiger, drapiąc się w głowę. – Powiedzmy dzień...

– Dużo – powtórzył sucho chorąży, jednak nic więcej nie dodał, widząc zbliżającego się dowódcę, za którym, niczym pies na skręconym kablu, podążał radiotelegrafista.

– Zamiast stękać, Doenitz, bierzmy się do roboty, czas nas goni! – Von Steinberg sięgnął pod płytę chroniącego jego pierś pancerza i wyciągnął spod niej zawieszony na łańcuchu klucz. – Ludwigu, czyńcie honory!

Wyróżniony tym gestem maszynista przyjął klucz i drżącą – po części ze starości, a po części z podniecenia – ręką wsunął go w otwór w sztabie. Ponownie zaczął coś liczyć pod nosem, przekręcając klucz to w jedną, to w drugą stronę. Wreszcie z wnętrza starego kawałka metalu dobiegł zgrzyt, który wywołał na twarzy równie wiekowego żołnierza wyraz niemal dziecięcej radości. Zaledwie sekundę później zza pleców dowódcy zatrzeszczała radiostacja:

– Kapitanie... – zgłosił nieśmiało radiotelegrafista. – Jest!

\*\*\*

Mało jest na świecie scen tak niesamowitych, że na zawsze zapadają w pamięć. Jedną są bezsprzecznie narodziny dziecka, drugą zorza polarna płynąca po północnym niebie, jeszcze inną eksplodujący w kuli ognia czołg przeciwnika. Jednak ktoś, kto raz widział kładące tory krasnoludy, nigdy nie doświadczy czegoś równie spektakularnego i budzącego podziw zarazem. Niewielkie wzrostem, za to potężnie rozrośnięte w barach istoty wykonywały swoją robotę z zegarmistrzowską precyzją i, poza niezbędnymi porozumiewawczymi mruknięciami, w absolutnym milczeniu.

Kapitan von Steinberg podzielił jegrów na dwie części, jednej pozostawiając zadanie zabezpieczenia perymetru, drugą zaś kierując do prac inżynierskich. A tutaj roboty było sporo.

Donnerwetter nie wiozł ze sobą wystarczającej ilości materiałów, by położyć

aż tak długi odcinek toru. Dlatego też, zamiast uszczuplać zapasy mogące przydać się w drodze powrotnej, dowódca wydał rozkaz rozbiórki części nieużytkowanego torowiska. Ze względu na konieczność łamania chroniących je run zespolenia, wymagało to znacznie więcej czasu i uwagi, tym samym zwiększając ryzyko niespodziewanej wizyty. Na szczęście dla kapitana zarówno orkowie, jak i Sarreghus jak dotąd nie postanowili niepokoić uwijających się niczym w ukropie krasnoludów. Co więcej, meldunki co chwila spływające od penetrujących podziemny kompleks zwiadowców potwierdzały, że potężnego gospodarza chwilowo nie ma w domu.

Z wysokości wypuszczonego w powietrze balonu obserwacyjnego von Steinberg mógł śledzić postęp prac. W lekkim, acz dość ciasnym wiklinowym koszu oprócz dowódcy znajdował się operator radia oraz obserwator. Ten ostatni, przy pomocy potężnej lornetki, tymczasowo zastępował zaangażowanych gdzie indziej zwiadowców, bacznie wypatrując zagrożeń.

Ciągnięty na stalowej uwięzi balon powoli przemieszczał się w stronę widocznego już wjazdu do wnętrza góry. Do niedawna ukryty dzięki zmyślnemu połączeniu iluzji i mechaniki tunel kusił obietnicami chwały i bogactwa. Kilkaset metrów poniżej, wspomagane przez ogrowych siłaczy, krasnoludy dźwigały zdemontowane wcześniej szyny oraz podkłady, które następnie układano i zbijano kolejowymi gwoźdźmi na nowo powstającym torowisku. Dookoła nich pozostali żołnierze czekali w gotowości na ewentualny atak, systematycznie podążając za ubijającym świeże tory pociągiem.

Praca szła szybko i bez przeszkód. Zanim zapadł zmrok, Donnerwetter zdążył zbliżyć się do góry o prawie półtora kilometra. Widok mającego w ciemnościach wlotu tunelu podzielał na krasnoludy niczym najlepsza zachęta. Ostatni fragment torowiska powstał w iście rekordowym tempie. Każdy chciał jak najszybciej dostać się do środka, by położyć spracowane dłonie na należnej mu nagrodzie. Chociaż zmęczone całodzienną pracą mięśnie protestowały, a w ustach, miast smaku krzepiącego piwa, od dawna czuć było jedynie piach, krasnoludy pracowały niestrudzenie, aż w końcu zdołały dopiąć swego. Majestatyczny Donnerwetter powoli wjechał w głąb tunelu, wioząc swoją dzielną załogę do serca góry.

\*\*\*

Dubois trzykrotnie stuknął w słuchawkę radia, by dać znać pozostawionemu daleko w tyle towarzyszowi, że wciąż żyje. Na drugim końcu rozwiniętego za nim kabla Legrand przekazywał wiadomość dowódcy pociągu. Wypuszczony do przodu zwiadowca uśmiechnął się pod wąsem i w świetle przypiętej do hełmu latarki spojrzął na trzymaną w dłoniach mapę. Widniejące na niej znaki wyglądały

dokładnie tak jak te zdobiące olbrzymie, zagradzające dalszą drogę wrota, pod którymi zniknęły ciągnące się od początku tunelu tory. Czułe uszy gнома łowiły już miarowy stukot nadciągającego w jego stronę Donnerwetter oraz delikatną wibrację szyn pod nogami.

Dubois mógłby oczywiście spróbować sforsować zamek samodzielnie, by dostać się jako pierwszy do ukrytego po drugiej stronie łupu, ale zrezygnował z tego planu, nie chcąc na ostatnich metrach ryzykownej wyprawy wpakować się na jakieś wymyślne, krasnoludzkie zabezpieczenie. Wolał już poczekać, aż dysponujący właściwym kluczem dowódca sam otworzy mu drogę do jego części skarbu.

– Jak tam, Legrand? Długo mam jeszcze na was czekać? – wywołał bardziej z nudy niż z konieczności drugiego zwiadowcę.

– Spokojnie, przyjacielu, będziemy u ciebie za kwadrans, może dwa.

– Pospieszcie się. Bez odbioru.

Dubois schował złożoną mapę do przypiętego do pasa mapnika, po czym zajrzał do swojego chlebaka. Niestety, garść sucharów i resztkę wody musiały mu wystarczyć podczas uciążliwie przedłużającego się oczekiwania. Zrezygnowany gnom kucnął i oparł się plecami o zimną powierzchnię wrót. Przed nim, w głębi szerokiego, wzmocnionego solidnym ożebrowaniem tunelu, zamajaczyły światła wciąż jeszcze odległej lokomotywy. Wypatrując jej przybycia, zwiadowca kilka razy mimowolnie zerknął na ciągnący się wzdłuż sklepienia szyb techniczny. Pośród kilku grubych rur, którymi biegły kable, a kiedyś z pewnością i para, aż nazbyt dobrze widział rząd rozmieszczonych co metr otworów oraz wystające z ich wnętrza ładunki wybuchowe.

Wzdrygnął się mimowolnie, gdy pomyślał, że ktoś mógłby teraz zdetonować tak przygotowaną pułapkę, zawalając całą górę na jego głowę. Jednocześnie odrobinę ciekawiło go, czy dumni przodkowie współczesnych krasnoludów nie zrobili tego, bo byli zbyt zajęci uciekaniem przed smokiem czy też liczyli na to, że uda im się jeszcze kiedyś odzyskać swoje królestwo. W tym drugim wypadku okazałoby się bardziej przewidującą i konsekwentną rasą, niż się powszechnie uważa.

Parowóz wiozł właśnie potomków władców tego miasta – chociaż z pewnością setki lat później, niżby mogli tego chcieć – wystarczająco zdeterminowanych, by odbić chociaż część zawłaszczzonego przez Sarreghusa skarbu. Stare porzekadło – mówiące, że jak wszystkie dzieła krasnoludów są niezwykle trwałe, tak trwała jest ich miłość do złota – po raz kolejny okazywało się prawdziwe.

– Jedziecie prosto na mnie, tutaj wszystko w porządku. Bez odbioru. – Zwiadowca przerwał te rozważania, by zdać obowiązkowy meldunek.

Donnerwetter wyraźnie zwalniał, a z wagonów zaczęli zeskakiwać jegrzy.

Krasnoludzka piechota, uzbrojona w broń maszynową i wytrzymałe kamizelki balistyczne, musiała czuć się w tych tunelach jak w domu. Kilku żołnierzy wyprzedziło pociąg i podbiegło do wrót. Pośród nich Dubois dopiero po chwili rozpoznał chorążego Doenitza.

– Dobra robota, Dubois. – Podoficer skinął głową, widząc leniwy salut zwiadowcy.

Za jego plecami gnom dostrzegł Legranda, zbliżającego się w towarzystwie kapitana von Steinberga oraz maszynisty Steigera. Oczywiście oficerowi zasalutował ze znacznie większą dbałością.

– Spocznijcie, szeregowy. – Oczy dowódcy pałały dość niepokojącym blaskiem. – Pewnie jesteście zmęczeni. Idźcie do kuchni, niech wydadzą wam wreszcie coś porządnego do jedzenia.

– Jeżeli pozwolicie, kapitanie, chciałbym zobaczyć, czy było warto tak długo katować się suchymi racjami.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości! – Kapitan skinął głową i spojrzał na górujące nad nim wrota. – Ludwigu!

Maszynista wysunął się naprzód i bez słowa podszedł do przeszkody. Ostrożnie obmacał metal, poświęcając dużo uwagi każdemu ze zdobiących go rysunków oraz płaskorzeźb. Wreszcie, z wyrazem triumfu wymalowanym na twarzy, wskazał maleńki, niczym niewyróżniający się punkt na absolutnie gładkiej w tym miejscu powierzchni. Widząc, że uwaga wszystkich dookoła skupiła się na nim, powoli zbliżył do niego usta i chuchnął. Ciepły oddech krasnoluda ujawnił zamaskowany sprytną iluzją sekret. Klucz błyskawicznie znalazł się w odkrytej właśnie dziurce, a następnie powtórzył ten sam skomplikowany taniec co w zamku antycznej zwrotnicy.

– Panowie... – Stary krasnolud zawiesił teatralnie głos, po czym z namaszczeniem pokonał opór ostatniej zapadki zamka. – Witajcie w Złotej Górze!

I tym razem dzieło architektów tego miejsca zadziało bez zarzutu, zupełnie jakby ogrom czasu, który minął od chwili jego ostatniego użycia, nie miał najmniejszego znaczenia. Masywne wrota powoli rozsunęły się na boki, wpuszczając do porzuconego przed wiekami wnętrza ostre światło reflektorów parowozu. Stojące przed nim krasnoludy na moment wstrzymały oddech, mierząc w stronę otwierającego się pomieszczenia.

W środku nie było smoka. Potężna bestia musiała mieć swoje leże gdzieś wyżej, w bardziej przestronnej części góry, a nie w stosunkowo niskim, gęsto zastawionym magazynie. Tam, wśród bezcennych zabytków krasnoludzkiej sztuki kamieniarskiej, mogłaby w spokoju złożyć swoje majestatyczne cielsko. Tutaj nie dość, że zwyczajnie by się nie zmieściła, to na dodatek jej poczucie

estetyki zostałyby dotkliwie zranione industrialnym wystrojem wnętrza.

Środkiem biegł główny tor będący przedłużeniem tego, na którym z niecierpliwością posapywał Donnerwetter. Oprócz niego z kilku bocznych tuneli dochodziły mniejsze, niegdyś służące do transportowania towaru ze znajdujących się dużo głębiej hut i warsztatów. W centrum widniała potężna obrotnica, pozwalająca zawrócić w miejscu nawet największą lokomotywę. To jednak nie ona przykuwała uwagę zamartwych w oczekiwaniu żołnierzy. Na biegnących wzdłuż torowiska platformach w równiutkich rzędach stały kwadratowe, przykryte ochronnym płótnem słupki. Były ich dziesiątki, może setki, a każdy wysokości dorosłego krasnoluda. Jeden z nich, czy to za sprawą czasu, czy też niedbałości magazyniera, nie został dokładnie zasłonięty. Spod zadartego rogu plandeki bił blask najmilszy oczom zapatrzonych w niego żołnierzy.

– I co wy na to, Dubois? – zapytał powoli kapitan, jak urzeczony wpatrując się w leżące przed nim bogactwo. – Warto było?

\*\*\*

Załadunek zajął resztę nocy i większą część poranka. Brała w nim udział cała załoga pociągu, nie licząc kilku wartowników na zewnątrz. Na wózkach złote sztabki wozili zwykli żołnierze, palacze, a nawet mocno nadgryziony zębem czasu maszynista Steiger. Pomagali również oficerowie i nieprzywykli do tak ciężkiej pracy zwiadowcy. Snorri i Saxx dźwigali w swoich potężnych łapskach po kilkaset kilogramów kruszcu na raz, jedynie co jakiś czas gubiąc po drodze część cennego urobku.

Złoto składano wszędzie – na opróżnionych z materiałów inżynierskich platformach, w wagonach piechoty, która od teraz miała podróżować na dachu pociągu, a nawet w węglarce, w miejscu zużytego już węgla. Żaden dyskomfort nie był w stanie zniechęcić krasnoludów do pozostawienia nawet części swojego łupu. A smoczego skarbu nie ubywało. Po upchnięciu złotych sztabek w dosłownie każdym zakamarku pociągu na peronach wokół toru wciąż piętrzyło się ich co najmniej trzy razy tyle.

Widząc fortunę, którą siłą rzeczy musiał tu zostawić, kapitan von Steinberg westchnął ciężko. Szansa, że jemu samemu lub komukolwiek innemu uda się dotrzeć w to miejsce po raz drugi, była zbyt mała, nawet jak na jego wrodzony optymizm.

– Więcej nie uciągniemy, kapitanie. – Stary maszynista poprawił okulary i stuknął palcem w trzymany w dłoni notatnik. Na zapisanej z góry na dół kartce zliczył każdą sztabkę, która została załadowana w ciągu ostatnich godzin.

– Wiem, Ludwigu... I tak będziemy się teraz wlekli jak elfy na kacu. Jak stoimy

z węglem?

- Tutaj, przy jednej z bocznic, jest jego skład. Mamy wszystkiego pod dostatkiem, a przymusową głódówkę jakoś zniesiemy. Chyba że wrócimy krótszą drogą, na wprost przez step. Wtedy będziemy mogli sobie nieco bardziej pofolgować.

- Ryzyko jest zbyt duże, zwłaszcza teraz. Pojedziemy naokoło, tak jak przyjechaliśmy.

- Zrozumiałem! Wody i sucharów nam nie zabraknie.

- Dobra robota! - Dowódca poklepał maszynistę po ramieniu, doskonale wiedząc, że nie narodził się jeszcze krasnolud, któremu zaszkodziłaby krótka dieta. - Chorąży! - krzyknął w stronę krzątającej się za jego plecami grupy żołnierzy, spomiędzy których po chwili wyłonił się wywołany podoficer. - Zbierzcie ludzi, wracamy do domu!

\*\*\*

Dociążony do granic absurdu Donnerwetter opuścił gościnne progi Złotej Góry i rozpoczął mozolną drogę powrotną. Do gór dotarł bez przeszkód - jadący na dachach swoich wagonów jegrzy wydawali się wręcz cieszyć możliwością opuszczenia ciasnych przedziałów i skosztowania świeżego powietrza. Dobrego humoru nie był w stanie popsuć im nawet odczuwalny spadek temperatury związany z przebywaniem na większych wysokościach. Mimo że właśnie rozpoczynał się najbardziej ryzykowny fragment misji, cała załoga niestrudzenie pnącego się przez górskie przełęcze pociągu tryskała humorem i optymizmem. Uśmiechał się nawet chorąży Doenitz, budząc tym powszechne zdumienie i prowokując liczne żarty podwładnych. Jednak chociaż udzieliła mu się atmosfera ogólnej wesołości, w głębi duszy podoficer doskonale wiedział, że coś w końcu pójdzie nie tak. Już niedługo jego podejrzenia po raz kolejny miały okazać się prorocze.

\*\*\*

Przyczajony za skałą Legrand nie potrzebował już nawet lornetki, by ocenić liczebność wroga i skalę zagrożenia dla wlekącego się za jego plecami pociągu. Zielonoskórzy wybrali doskonałe miejsce na zasadzkę - tuż za zakrętem, w miejscu, w którym ściany gór niebezpiecznie zbliżały się do torowiska. Trzy wielkie trolle, nieustannie trzymane na muszkach przez grupę nadzorców, układały na szynach całkiem sporą zaporę z pni i skał. Dookoła nich oraz na zboczach gnom zdążył naliczyć kilkudziesięciu orków. Nie miał również złudzeń, że w pobliżu czai się ich znacznie więcej. Odwrócił się i odszukał wzrokiem miejsce, gdzie ukrywał się drugi zwiadowca. Chociaż sam nie był w stanie go

dostrzec, serią kilku szybkich gestów wskazał mu treść wiadomości, którą ten następnie miał nadać do pociągu.

Dźwięk za plecami zwrócił uwagę Legranda o ułamek sekundy za późno. Pokracznie chudy, wymalowany w barwy wojenne goblin dopadł do niego jednym susem i szybkim cięciem zakrzywionego noża poderżnął mu gardło. Gnom upadł na ziemię, w bezsensownym odruchu próbując zatamować dłońmi krew buchającą z przeciętej tętnicy. Zielonoskóry zabójca uśmiechnął się mściwie i oblizał ostrze długim, czarnym językiem.

\*\*\*

Dubois, który nie zdążył w porę ostrzec obserwowanego przez lornetkę towarzysza przed podchodzącym go przeciwnikiem, poderwał się na nogi i pognął w stronę pozostawionych kilkaset metrów dalej motocykli. Potrzebował zaledwie pół minuty na dotarcie do radiostacji. Zdołał pokonać zaledwie część tego dystansu.

Pierwszego goblina dostrzegł zaraz po tym, jak zerwał się do biegu. Zielonoskóry klęczał za niewielką skałą, mniej więcej w połowie drogi do motocykli, i mierzył w jego stronę z jakiegoś antycznego samopału. Tym razem jednak to gnomi zwiadowca wykazał się lepszym refleksem. Wyszarpnięty z kabury pistolet szczęknął dwukrotnie, posyłając kule prosto pomiędzy oczy mocno zdziwionego przeciwnika. W tym samym momencie z pobliskich zarośli szpetny łeb wystawił kolejny goblin, najwyraźniej zwabiony odgłosem wystrzałów. On również błyskawicznie podzielił los towarzysza.

Na tym jednak dobra passa zwiadowcy się skończyła – dwaj kolejni zielonoskórzy musieli wcześniej podkraść się do motocykli i teraz, korzystając z dawanej przez nie zasłony, otworzyli ogień w stronę biegnącego ku nim gnoma. W chaotycznym nawale wyjątkowo nieprecyzyjnego ognia oberwanie przypadkową kulą było jedynie kwestią czasu. Dla nieopancerzonego zwiadowcy musiało to oznaczać koniec przygody.

Nastąpił on zresztą chwilę później, gdy gnom został trafiony w łydkę. Chociaż mocno spowolniony, Dubois nie stracił zimnej krwi. Wręcz przeciwnie, z charakterystyczną dla swojej rasy odwagą zrobił jedyne, co mógł uczynić w tak beznadziejnej sytuacji – sięgnął po przypięty do pasa granat.

\*\*\*

– Kapitanie, od dwudziestu minut nie mamy kontaktu ze zwiadowcami. Nie reagują na moje wywołania. – Przejęty głos radiotelegrafisty wyrwał dowódcę z przyjemnego błogostanu.

– Czy w ostatnim raporcie zgłaszali coś niepokojącego? – Von Steinberg



przetarł oczy i wstał z fotela, w którym spędził ostatnie kilka godzin na paleniu fajki i rozkosznych rozmyślaniach o zainwestowaniu swojej części łupu.

– Nic.

– Kapitanie, tu maszynownia. – W rozmowę niespodziewanie wdarł się dobiegający z interkomu głos Steigera. – Przepraszam, ale jeden z moich chłopców od kilku minut upiera się, że słyszał eksplozję. Nie wiem, jakim cudem mógł cokolwiek usłyszeć w tym jazgocie, ale pomyślałem...

– Alarm bojowy! – ryknął dowódca, momentalnie przechodząc w stan najwyższej czujności. – Wszystkie sekcje, pełna gotowość! – Głos kapitana poniósł się rurami interkomu po całym pociągu, natychmiast podrywając na nogi całą jego nieco już rozluźnioną załogę. – Maszynownia, przy obecnej prędkości i masie, jaką mamy drogę hamowania?

– Stanowczo zbyt długą, kapitanie – odparł maszynista, bezbłędnie odgadując podejrzenia dowódcy.

– W takim razie cała naprzód! A ty próbuj dalej! – rozkazał radiotelegrafiście, dopadając do peryskopu.

– Tak jest! – równocześnie odpowiedzieli obaj podkomendni.

Von Steinberg doskonale wiedział, że zatrzymanie rozpędzonego stalowego kolosa w ciasnej, nieustannie wijącej się przestrzeni pomiędzy górami jest nie tylko trudne, ale i niebezpieczne. Jediną nadzieją dla przeciążonego składu było wykorzystanie tej sytuacji na swoją korzyść.

Chociaż dla dowódcy zagrożenie wciąż pozostawało niejasne, musiał przyjąć możliwie najbardziej uniwersalny wariant postępowania, nawet gdyby miał on zakładać przebijanie się pociągiem na drugą stronę gór. Na szczęście odpowiedź na wszelkie pytania ukazała się jego oczom w chwili, gdy pędzący coraz szybciej Donnerwetter wyłonił się zza ograniczającego widoczność zakrętu.

Na torze przed wciąż nabierającym prędkości pociągiem wznosiła się spora barykada. Orkowa konstrukcja była na tyle duża, że ewentualne zderzenie z nią mogłoby okazać się brzemiennie w skutkach. Podjęcie kolejnej decyzji zabrało kapitanowi mniej niż sekundę.

– Maszynownia, jak torowisko zniesie zmasowany ostrzał artyleryjski?

– Kapitanie, runy wytrzymają nawet trafienie pociskiem burzącym kalibru sto dwadzieścia... – odparł maszynista, który również musiał już dobrze widzieć przeszkodę. – Martwi mnie jednak gruz. Ryzyko wykolejenia jest całkiem spore!

– Damy radę, Ludwigu. Nie zwalnajcie pod żadnym pozorem! – Kapitan dostrzegał niezliczone sylwetki orków, już całkiem otwarcie kręcących się na zboczach. – Artyleria, ogień na przeszkodę, kiedy tylko będziecie gotowi! Pozostałe sekcje, strzelać bez rozkazu!

Ołowiano-trotylowe piekło rozpętało się dziesięć sekund później. Pierwsze

ryknęły haubice, waląc raz za razem w coraz bliższą barykadę i zmieniając wszystko w okolicy w jedno wielkie gruzowisko. Chwilę później swoim morderczo precyzyjnym ogniem zawtórowały im działa przeciwpancerne, kładąc na miejscu dwa najbliższe trolle. Ostatnie do kanonady dołączyły sekcje przeciwlotnicze oraz karabinów maszynowych. Pierwsze, korzystając ze sprzyjającego kąta nachylenia zbocza, w przeciągu kilkunastu sekund zmieliły każdego zielonoskórego, który miał pecha znajdować się zbyt wysoko. Ciężkim karabinom przypadło w udziale już tylko selektywne likwidowanie pozostałych przy życiu przeciwników. Jedynie przyklejeni do dachu jegrzy nie wzięli udziału w tych krwawych żniwach, gdyż całą ich uwagę absorbowano utrzymanie się na pędzącym szaleńczo pociągu.

Chociaż krasnoludzki ogień błyskawicznie ostudził zapal zielonoskórych, nie był to jeszcze koniec niebezpieczeństwa. Donnerwetter z pełną prędkością wjechał w zaścieniające tory rumowisko, swoim pancernym pługiem zmiatając lub rozbijając w pył pozostałości przeszkody. Nie zdołał on jednak całkowicie oczyścić torów – kilka skalnych odłamków dostało się pod lemiesz, wyczuwalnie spowalniając pociąg i z każdą chwilą zwiększając ryzyko jego wykolejenia. Zderzenie przyplaciło życiem również kilku jegrów, niewystarczająco mocno wczepionych w dach jednego z wagonów. Pechowi żołnierze, o ile zdołali przeżyć upadek i nie dostać się pod koła, nie mieli szans. Za pociągiem, ze zboczy gór, spłynęło mrowie zielonoskórych, w ciągu kilku sekund brutalnie mszcząc się za zgotowaną im przed chwilą masakrę.

Donnerwetter umknął, ale nie na długo. Orkowie okazali się sprytniejsi, niż jakikolwiek krasnolud mógłby podejrzewać. Gdy wciąż spowalniany przez gruz pociąg minął zakręt, oczom przyklejonego do peryskopu kapitana ukazał się niepokojący widok.

Nad torowiskiem, w miejscu, gdzie biegło ono wzdłuż ściany stromego urwiska, kłębiła się kolejna duża grupa zielonoskórych. Orkowie i gobliny niemal doszczętnie oblepiali kilkadziesiąt grubych lin. Inni zasiadali na długich, drewnianych drabinach, które trolle właśnie opuszczały nad torowisko. Niestety, odległość od nowego niebezpieczeństwa była za mała i kurczyła się zbyt szybko, by spróbować go w jakikolwiek sposób uniknąć. Plujący ogniem na wszystkie strony pociąg przejechał pod urwiskiem, zahaczając i zrywając niektóre ze zdobiących je groteskowych girland.

W mgnieniu oka jegrzy zmuszeni zostali do walki ze znacznie liczniejszym wrogiem. Krępe i dociążone pancerzem krasnoludy miały co prawda pewną przewagę nad lżejszymi zielonoskórymi, jednak sypiących się na ich głowy przeciwników przybywało z każdą minutą. W wykrzywione wściekłością, wymalowane pyski orków wypaliły krasnoludzkie rewolwery, w ruch poszły

bagnety i saperki. Na jednym z dachów, otoczony przez kilku ujadających obłąkańczo przeciwników, chorąży Doenitz wywijał wielkim kolejowym młotem.

Zielonoskórzy nie byli nawet w połowie tak dobrze wyszkoleni i wyposażeni jak obrońcy eszelonu. Uzbrojeni w krzywe noże, pordzewiałe toporki i jednostrzałowe, pamiętające jeszcze ostatnią wojnę pistolety, w bezpośredniej walce nie mogli się równać z zawodowymi żołnierzami. Szybko okazało się, że nawet miażdżąca przewaga liczebna nie wystarczy, by pozbawić krasnoludy ich wymarzonego skarbu. Żołnierze kapitana von Steinberga powoli zaczęli spychać intruzów z dachu, a Donnerwetter z każdą chwilą był coraz bliższy wyrwania się z zasadzki.

– Zgnieść ich jak robaki, chłopcy! – ryknął chorąży Doenitz, spychając kolejnego orka pod koła pędzącego pociągu. – Nie dostaną naszego... – poprawiając przekrzywiony podczas walki hełm, spojrzął przed siebie – złota! – dokończył, widząc na niebie złowieszczo wyglądający punkt. – A niech to... – Z tymi słowami zeskoczył z dachu wagonu i dopadł do najbliższej rury interkomu.

– Kapitanie, czy widzi pan to, co ja? – zapytał nadzwyczaj opanowanym głosem.

– Tak, chorąży, niestety widzę – odparł równie spokojnie dowódca. – Jak wygląda sytuacja u was?

– Opanowana. – Jakby na potwierdzenie tych słów, gdzieś z góry spadło zmaltretowane ciało orka.

– To dobrze. Wiecie, co robić!

– Tak jest, kapitanie! – Chorąży wspiął się z powrotem na dach i sięgnął po gwizdek.

Trzy sygnały – dwa krótkie i jeden długi – przebiły się przez panujący dookoła harmider i momentalnie skierowały uwagę broniących pociągu krasnoludów na nowe niebezpieczeństwo. Dwa krótkie i jeden długi, jakby nieco historycznie przeciągnięty gwizd, w krasnoludzkiej księdze kodów i sygnałów oznaczały tylko jedno słowo – smok.

\*\*\*

Donnerwetter wypadł pomiędzy gór, pozostawiając ostatecznie zniechęconych zielonoskórych za sobą. Najwyraźniej posmakowawszy już raz siły ognia stalowego potwora, orkowie nie próbowali go ścigać na otwartej przestrzeni.

Był ku temu jeszcze jeden powód, a jego imię brzmiało Sarreghus. Mimo że smok był wciąż bardzo daleko, żaden z jego dzikich wyznawców nie zamierzał stać się kolejnym posiłkiem bestii.

Obserwując majestatyczną sylwetkę płynącego nad horyzontem gada,

kapitan von Steinberg nie miał najmniejszych wątpliwości, że orkowie tylko czekają, aż smok dokończy dzieła. Z tego też powodu chciał jak najszybciej oddalić się od gór – ani przez chwilę nie łudził się, że jego przeciążony złotem eszelon zdoła umknąć gniewowi czerwonołuskiego gada.

- Kapitanie? – Za plecami dowódcy zadudnił głos chorążego Doenitza.
- No tak, chorąży, możecie to powiedzieć...
- Może później. Jakie rozkazy?
- Na moje oko wejdzie w zasięg naszego ognia za jakieś piętnaście minut. My w jego za dwadzieścia. Pięć minut to całkiem dużo, prawda, Doenitz?
- To zależy na co, kapitanie...
- Już dobrze wiecie, Doenitz! – Dowódca uśmiechnął się, wskazując ustnikiem nabijanej właśnie fajki w stronę skwaszonego podoficera. – Maszynownia?!
- Tak jest, kapitanie? – odpowiedział niezawodny maszynista Steiger.
- Na mój sygnał rozpoczęcie hamowanie, zrozumiano?
- Oczywiście, kapitanie.
- A wy, chorąży, uśmiechnijcie się wreszcie!
- Właśnie próbuję, kapitanie – odburknął Doenitz. – Długi Hans?
- Dokładnie tak.

\*\*\*

Wyścig ze smokiem był z góry skazany na porażkę. Niesiony południowym wiatrem Sarreghus nieubłaganie doganiał Donnerwetter, z każdą sekundą rosnąc w oczach jego załogi. Choć nie tak wielki jak inni przedstawiciele swojej rasy, ewentualne braki w rozmiarze z nawiązką rekompensował sobie szybkością i sprytem. Właśnie dlatego pociąg, który mógłby jeszcze próbować prześcignąć którąś z wielkich, a tym samym dość ociężałych bestii z południa, musiał stanąć do walki. Wbrew pozorom nie była ona aż tak beznadziejna, jak niektórym mogłoby się to wydawać.

- Cel w zasięgu, kapitanie.

Słyszając zgłoszenie dowódcy stanowisk przeciwlotniczych, kapitan odłożył fajkę i po raz setny tego dnia przycisnął twarz do okularu peryskopu. Promienie słońca połyskiwały na nieskazitelnej łusce Sarreghusa, w którego oczach, krasnolud mógłby przysiąc, zamiast w pełni zrozumiałej złości lśniło jedynie rozbawienie.

- Ognia! – zakomenderował dowódca. – Maszynownia, hamujcie za półtorej minuty!

Jeżeli stary maszynista cokolwiek odpowiedział, jego słowa utonęły w nagłym jazgocie stanowisk przeciwlotniczych. Wściekłemu ujadaniu dwóch

czterolufowych działek chwilę później zawtórował rytmiczny stukot pary ich obdarzonych większym kalibrem kuzynów.

Przez szkła peryskopu von Steinberg widział, jak setki mniejszych pocisków zaczynają odbijać się od twardej smoczej łuski, nie pozostawiając na niej choćby najmniejszej rysy. Podobnie miała się sprawa z ogniem pozostałej artylerii eszelonu – powolne i mniej celne wieże czołgowe, które w końcu znalazły się w zasięgu, waliły w cel raz za razem, za każdym strzałem odnosząc ten sam efekt. Nawet potężniejsza amunicja wydawała się nie robić na smoku najmniejszego wrażenia. Kilka przeciwpancernych pocisków co najwyżej lekko wgniotło łuskę.

Gdy do zalania pociągu strumieniem niszczycielskiego ognia pozostało zaledwie kilkadziesiąt sekund, jego ofiara zrobiła coś, czego nawet smok nie mógł się spodziewać. Nagle do ogłuszającej kanonady dołączył upiorny pisk hamulców, a Donnerwetter zaczął szybko wytracać prędkość. Olbrzymia masa składu sprawiła, że do pełnego zatrzymania potrzebował on dobrych kilkunastu kilometrów. Wcześniej znaczna część załogi zeskoczyła na ziemię, ryzykując skręcenie karków.

Większość jegrów rozproszyła się po okolicy, by umknąć ewentualnemu pościgowi zielonoskórych i możliwie jak najlepiej okopać się na nowych pozycjach. Pozostali podbiegli do platformy, której tajemniczy ładunek kryły dotąd zwoje grubego, nieprzemakalnego płótna. Wraz z jego odsłonięciem światło dzienne ujrzał Długi Hans – wielkokalibrowe działo o lufie dłuższej niż ciągnący pociąg parowóz.

Podczas gdy na platformę wskoczyli kanonier i oba ogry, reszta krasnoludów chwyciła za umocowane na niej narzędzia. Przy pomocy grubych stalowych lin i wbijanych głęboko w ziemię haków w ciągu kilkunastu sekund zakotwiczyli wagon wraz z jego śmiertcionośnym ładunkiem. Gdy Długi Hans został już odpowiednio zabezpieczony przed skutkami własnego odrzutu, piechota dołączyła do swoich towarzyszy kryjących się w pobliżu. Od tego momentu losy całej wyprawy spoczęły w rękach kanoniera oraz osławionej mocy Długiego Hansa.

\*\*\*

Starszy kanonier Günter Schmidt usadowił się na zimnym siedzeniu, przetarł spocone czoło i naciągnął gogle na oczy. Za jego plecami Saxx właśnie skończył ładować olbrzymi pocisk i z hukiem zatrzaskał masywny zamek działa. Schmidt skinął głową, zakładając ochronne słuchawki.

– Czterdzieści stopni w lewo, sześćdziesiąt do góry... – Przybliżony przez przyrządy celownicze armaty Sarreghus wyglądał, jakby był na wyciągnięcie

ręki. Kanonier mógł bez trudu zajrzeć w głąb jego przepastnej gardzieli, na dnie której pełzały już pierwsze, zwiastujące zagładę płomienie. – Dwa stopnie do góry, jeden w lewo...

Oba ogry wykonały polecenie, sterując za pomocą olbrzymich korb obrotnicą, na której wsparto całe działo.

– Jeszcze pół w prawo...

Kanonier Schmidt był przerażony. Gdyby nie gogle, ściekający po nim pot prawdopodobnie kompletnie uniemożliwiłby mu celowanie. Nie tyle bał się jednak śmierci, co raczej przyniesienia hańby swojej rodzinie i przełożonym. Spośród setek innych kanonierów to on został uznany za najlepszego i to właśnie w jego rękach spoczywał teraz ciężar odpowiedzialności za życia towarzyszy broni. Presja i nerwy były olbrzymie, ale czekająca go chwała – jeszcze większa.

– Pół stopnia w lewo, jeden... Nie, pół w górę! –Kanonier zdołał w końcu uspokoić nerwy i chwycił za mniejsze korbki przeznaczone do precyzyjnego celowania. Teraz liczył się każdy milimetr, nawet najmniejsze drgnięcie dłoni mogło wpłynąć na celność strzału.

– Ognia! – rzucił, pociągając za rygiel spustu.

Nawet pomimo solidnego zakotwiczenia platformą szarpnął potężny odrzut. Jedna z mocujących ją do podłoża linek trzasnęła, jakby wykonana była nie ze stali, a ze sparcałych konopi. Ogromny pocisk z rykiem pomknął w stronę pędzącego na spotkanie z pociągiem smoka.

– Ładuj! – krzyknął kanonier, już w momencie wystrzału wiedząc, że spudłował. – Poprawka! Półtora stopnia w górę, jeden stopień w lewo, szybko!

Nie czekając, aż ogry wykonają swoje zadanie, Schmidt poprawił nastaw przyrządów celowniczych. Smok był coraz bliżej – kanonier nie mógł pozwolić sobie na kolejną pomyłkę. Nieco zbyt mocnym klepnięciem w ramię Saxx poinformował go o załadowaniu następnego pocisku.

– Ognia!

Strzał okazał się niemal idealny. Gdyby Sarreghus w ostatniej chwili nie zmienił nieco kierunku lotu, pocisk wszedłby w jego brzuszysko jak w masło.

– Ładuj! – zakomenderował tym razem już bez większej nadziei kanonier, nanosząc kolejne poprawki.

Z nozdrzy wciąż niesłabnącego pod ostrzałem smoka zaczęły wydobywać się kłęby siwego dymu. Oznaczało to tylko tyle, że załodze Donnerwetter pozostało zaledwie kilka sekund życia. Może pięć...

Cztery...

Trzy, dwie...

Klepnięcie w ramię...

Trzeci pocisk bezbłędnie pomknął do celu. Efekt trafienia w sam środek smoczej piersi okazał się bardziej niż zadowalający. Sarreghus ryknął donośnie, po czym runął w dół.

Na widok majestatycznej bestii uderzającej w ziemię z piersi kanoniera Schmidta, wraz ze wstrzymywanym zbyt długo oddechem, wydobył się triumfalny okrzyk. Chwilę później zawtórowały mu basowe ryki Snorriego i Saxxa oraz wiwaty reszty krasnoludów. Pozostała artyleria pociągu nie przestała jednak strzelać – z rozkazu kapitana von Steinberga na przysłonięte chmurą kurzu miejsce upadku Sarreghusa przez kolejną minutę zrzucono tyle ton trotylu, że starczyłoby na zrównanie z ziemią całkiem sporego miasta.

Uniknąwszy zagłady tylko dzięki opanowaniu i umiejętnościom starszego kanoniera Schmidta, Donnerwetter powoli ruszył naprzód, pozostawiając za sobą orków, smoka i wciąż nieprzebrane skarby Złotej Góry.

\*\*\*

– Wygląda na to, że zdołam ocalić brodę, chorąży! – Z braku bardziej stosownego do okazji napitku kapitan von Steinberg nalał aromatycznej kawy do dwóch stojących na stoliku filiżanek.

– Zgadza się, kapitanie, wszystko na to wskazuje. – Doenitz odczekał, aż oficer napije się pierwszy, a następnie sam skosztował napoju. – Miał pan rację, udało się! – Najwyraźniej dopiero teraz w pełni uwierzył w sukces wyprawy, gdyż uśmiech na jego twarzy wydawał się nieco mniej kwaśny niż zwykle.

– Chwała i bogactwo przed nami, Doenitz! Przyszłość nie mogłaby malować się w jaśniejszych barwach!

– Wyborna kawa, kapitanie... – Podoficer przezornie postanowił nie ustosunkowywać się do ostatniego, jak dla niego nieco zbyt śmiałego stwierdzenia dowódcy. – Ludwig twierdzi, że przy utrzymaniu obecnego tempa opuścimy smocze królestwo za trzy dni, do granic Ostwaldu dotrzemy za kolejne dwa. Uzupełnimy zapasy u elfów i za tydzień będziemy w domu.

– A wrócimy do niego jako bohaterowie. *Zum Teufel*, cholernie bogaci bohaterowie! Kilka dni na tym cienkim, elfim sikaczu jakoś powinniśmy przetrwać.

– Oby. – Chorąży dopił kawę i wstał od stołu. – Pozwoli pan, kapitanie, że się oddalę. Nie mamy zwiadowców, a tydzień to bardzo długo. Kto wie, co się jeszcze może wydarzyć.

– Idź, ty po stokroć, przeklęty marudo! – parsknął rozbawiony dowódca, sięgając po fajkę. – Idź, pilnuj, wypatruj, szykuj się na najgorsze! A ja tu sobie w spokoju fajeczkę popykam...

– Tak jest, kapitanie! – Doenitz wyprężył się słuźbiście, głośno strzelając

obcasami. W głębi duszy, pod wieloletnimi złogami pesymizmu i nieufności, pod złożami podejrzliwości, dorównującymi jedynie bogactwu tych ciągnących się pod Złotą Górą, gdzieś, na samym jej dnie, w najciemniejszym, wilgotnym i cuchnącym cebulą zakątku starszy chorąży Doenitz był szczęśliwy. W najmniejszym stopniu nie oznaczało to, że nie szykował się na najgorsze. Akurat na to był zawsze przygotowany.

\*\*\*

Następne dni minęły pod znakiem odliczania antycznych słupów milowych ciągnących się wzdłuż żelaznej drogi. Z każdym kolejnym kres wyprawy stawał się coraz bliższy. Dla załogi pociągu, mocno już znudzonej suchym prowiantem i brakiem alkoholu, nawet perspektywa krótkiego postoju w którejś z licznych stanic na granicy elfiego dominium była obiecującą odmianą.

Donnerwetter pędził przed siebie z mozołem i wytrwałością swoich krasnoludzkich konstruktorów, pożerając kolejne mile.

– Mauser, chodź no tutaj, wzrok masz lepszy... – Maszynista Steiger kilkakrotnie mrugnął i wezwał do siebie jednego z młodszych palaczy. – Tam, widzisz coś...

Umorusany sadzą palacz posłusznie podszedł bliżej i spojrzał w wąski, dodatkowo zakratowany pancernymi prętami wizjer parowozu.

– Chyba zbliżamy się do Ostwaldu. To ciemne na horyzoncie to na pewno las...

– Nie o tym mówię, chłopcze, wiem przecież, że to las! Wydawało mi się, że widzę jakiś odbłysek... Nieważne, wracaj do szufli, pewnie mi oczy figle płatają! Kapitanie, tu maszynownia... – Stary krasnolud pochylił się nad rurą interkomu.

– Tak, Ludwigu? – Z drugiej strony niemal natychmiast dobiegł głos dowódcy.

– Przepraszam, że do tego wracam, ale czy jest pan pewien, że nie powinniśmy wysłać naprzód choćby jakiegoś symbolicznego zwiadu?

– A niby czego mamy się obawiać? Już prawie jesteśmy w domu!

– Wie pan, w moich rodzinnych stronach mówi się, że najłatwiej wdepnąć w psie gówno tuż przed własną wycieraczką... – Maszynista zawiesił głos, dając dowódcy chwilę na przetrwanie sensu cytowanego porzekadła.

– Dobrze, skoro ukoi to twoje nerwy, puścimy przodem dwóch chłopców na zapasowym motocyklu. W porządku?

– Dziękuję, kapitanie, to powinno wystarczyć. I jeszcze raz przepraszam.

– Nie ma sprawy, daj znać, gdy będziemy gotowi się zatrzymać.

– Tak jest, kapitanie!

Dowódca nic już więcej nie powiedział, prawdopodobnie zajęty wydawaniem stosownych dyspozycji chorążemu Doenitzowi. Uspokojony maszynista



ponownie spojrzął w wizjer, tym razem nawet nie usiłując dostrzec budzącego jego podejrzliwość błysku. Gdy jednak ujrzał go ponownie, było już za późno.

Na świecie żyło niewielu snajperów mogących poszczycić się precyzją potrzebną do trafienia w oko celu widocznego jedynie przez wąską, zakratowaną szczelinę, a do tego poruszającego się w pędzącym i co jakiś czas podskakującym pociągu. Gdyby ktoś zapytał o nich starszego chorążego Doenitza, ten bez cienia wątpliwości odparłby, że wszyscy oni są elfami. I w tym wypadku miałby całkowitą rację.

Steiger, trzymający już przecież dłonie na dźwigni hamulca, padając, pociągnął ją za sobą w dół. Tylko to uchroniło Donnerwetter przed wpadnięciem głębiej w bezbłędnie przygotowaną na niego zasadzkę.

Alarm ogłoszono kilka sekund później. Do tego czasu zabójczo precyzyjny ogień zdążył poważnie przetrzebić siedzącą na dachach wagonów piechotę. Na nic zdały się wytrzymałe pancerze i ochronne runy. Bezbronni piechociarze ratowali się, zeskakując z dachów, kryjąc pomiędzy wagonami i platformami.

Donnerwetter zwalniał coraz bardziej, a wewnątrz jego pancernych wież kanonierzy próbowali rozpaczliwie namierzyć źródło niebezpieczeństwa. Ujawniło się ono dopiero, gdy wróg, najwyraźniej nie mając już w polu widzenia żadnych miękkich celów, postanowił skorzystać z cięższego arsenału.

Osiem czołgów, opartych na charakterystycznych dla elfich konstrukcji podwójnych gąsienicowym podwoziach, ujawniło się wraz z pierwszą salwą z ich lekkich, dwulufowych działek. Tym razem jednak to krasnoludzcy kanonierzy mieli przewagę. Gruby pancerz wieżyczek oraz większy kaliber ich armat sprawiły, że połowę elfich maszyn wyeliminowano w przeciągu niecałej minuty. Pozostałe, korzystając z przewagi szybkości i zwrotności, rozpiechły się po okolicy, nawet na sekundę nie przerywając prowadzenia ognia. To jednak nie był koniec problemów kapitana von Steinberga. Dwa niszczyciele czołgów, dotąd przyczajone na pobliskich wzgórzach i zamaskowane magią, otworzyły ogień ze swoich znacznie bardziej niebezpiecznych dział.

I tutaj ponownie elfia precyzja okazała się skuteczniejsza niż dość toporna, choć zwykle wystarczająca krasnoludzka myśl techniczna. Przeciwpancerne pociski błyskawicznie rozprawiły się z najcięższymi wieżami pociągu, niszcząc je lub unieruchamiając. Pozostałe stanowiska ogniowe wyeliminowano w następnej kolejności – jedna po drugiej armaty Donnerwetter milkły. W zapadłej nagle ciszy dał się słyszeć podniecony śpiew kilkunastu gwizdków sygnałowych.

Ocalali członkowie wyprawy wysypali się z pociągu i ruszyli biegiem w stronę najbliższego wzgórza – tego, z którego właśnie gładko zjeżdżał półgąsienicowy niszczyciel czołgów. Nie zdążył on jednak umknąć zemście wściekłych krasnoludów. Długolufowe działko bezodrzutowe, niesione niczym piórko

w masywnych łapskach Saxxa, w ułamku sekundy zmieniło pojazd w stertę dymiącego złomu. Podobny los szybko spotkał jeden z czołgów, które właśnie ruszyły w pogoń za salwującą się ucieczką piechotą.

Chociaż ktoś mógłby pomyśleć, że uciekający, dociążeni wypchanymi złotem plecakami jegrzy i ocalali z pogromu kanonierzy byli łatwym celem, chcące ich ścigać elfy czekało trudne zadanie. Każdy z prących ku wzgórzowi żołnierzy zostawiał za sobą kilka przeciwczołgowych min, czyniąc z trasy ucieczki morderczą pułapkę dla wrogich pojazdów pancernych. Nie stanowiły one oczywiście zagrożenia dla lekkiego, dwuosobowego motocykla, który jako ostatni z rykiem silnika opuścił pokład pociągu i pognął w ślad za coraz bliższymi upatrzonych pozycji jegrami.

– Szybciej się nie da, Doenitz?! – Siedzący w koszu pojazdu kapitan von Steinberg próbował przekrzyknąć donośny warkot silnika.

– Pewnie da, ale wolę jechać wolniej zygzakami, niż wystawić się ich cholernym snajperom! Zresztą jak pan woli, to nie ja jestem tutaj oficerem, to nie na mnie będą polować...

– Racja, chorąży, dobry plan...

Gdzieś z tyłu eksplodował kolejny czołg, tym razem rozpruty przez jedną z min.

Dla elfich prześladowców musiało być to wystarczającym sygnałem, by przynajmniej na razie zaniechać pogoni. Pozostałe pojazdy wycofały się do porzuconego pociągu, pół minuty później dołączyły do nich trzy transportery opancerzone, z których wewnątrz natychmiast wysypała się piechota. Do tego czasu jegrzy i ich dowódca zdążyli dotrzeć na szczyt wzgórza i rozpocząć na nim prace inżynieryjne. W przeciągu kolejnej godziny niegroźny pagórek przekształcili w fortecę – porytą okopami, najeżoną lufami karabinów maszynowych i otoczoną gęstym polem minowym.

\*\*\*

– Proszę, kapitanie, pozwoliłem sobie naostrzyć pańską brzytwę. – Wbrew pozorom beznadziei swojego położenia starszy chorąży Doenitz wydawał się być w doskonałym humorze. Starając się nie uśmiechać zbyt szeroko, obok przyklejonego do lornetki dowódcy położył skórzane etui z przyrzędami do golenia.

– Poczekajcie, Doenitz, nic nie jest jeszcze do końca przesądzone...

– Kapitanie, z całym szacunkiem, chociaż tutaj możemy utrzymać się nawet miesiąc, nie damy rady odbić pociągu. A tamci pewnie zdołają uruchomić go w ciągu kilku godzin!

– Macie rację, chorąży, ale ja nie o tym. Spójrzcie tam, obok parowozu... –

Dowódca przekazał lornetkę w dłonie podoficera.

- Hmm... Niezły sprzęt mają, musieli przygotowywać to od dawna. Ci trzej w płaszczach to pewnie ich dowódcy...

- A któż to tam sobie z nimi tak swobodnie gawędzi? - zapytał kapitan, zapalając fajkę.

- Ishmael - zgrzytnął zębami Doenitz. Na widok znajomego, siwobrodego mężczyzny, stojącego w otoczeniu elfich oficerów, jego dobry nastrój natychmiast się ulotnił.

- Tak też właśnie mi się wydawało. Zdrajca od początku mieszał nam szyki. A teraz mamy go na talerzu.

- To na co my jeszcze czekamy, kapitanie?

- Chyba już na nic. - Dowódca sięgnął do przypiętego do pasa zasobnika i wyciągnął z niego radiowy detonator. Następnie odbezpieczył go i z mściwym wyrazem twarzy oparł palec na jego spuście. - Nikt nie dostanie naszego złota, a już na pewno nie żaden spiczastouchy leśny przygłup!

Gdy właśnie zamierzał zdetonować rozmieszczone w pociągu ładunki, powstrzymał go dobiegający zza pleców zbyt znajomy wrzask gwizdka sygnałowego. Trzy sygnały - dwa krótkie i jeden długi. Smok.

Najwyraźniej nauczony złym doświadczeniem Sarreghus nie zaryzykował kolejnego ataku lotem nurkowym. By uniknąć przedwczesnego wykrycia, musiał podążać tropem pociągu, lecąc tuż nad ziemią. Nie mógł więc liczyć na sprzyjające prądy powietrza i poruszał się znacznie wolniej, przez co zdołał dopaść maszynę dopiero teraz. Elfi żołnierze nie mieli najmniejszych szans. Ziejąca ogniem bestia spadła na nich, rycząc wściekle i zabijając wszystko w promieniu pół kilometra. Nikt nie zdołał umknąć ognistemu gniewowi olbrzymiego gada. Obserwując jego okrutne dzieło ze względnie bezpiecznej odległości, kapitan von Steinberg nie bez satysfakcji ujrzał, jak mistrz Ishmael zmienia się w wielką skwarę.

Dokonawszy już krwawej pomsty, Sarreghus nakrył osmalony pociąg swoim olbrzymim cielskiem i ryknął przeciągle, jakby na przestrożę każdemu, kto zdecyduje się ponownie sięgnąć po jego skarb. Wodził dookoła przekrwionymi oczami, aż w końcu spojrział wprost na obserwującego go z daleka krasnoluda.

- I to by było, *zum Teufel*, na tyle. - Palec dowódcy powoli pokonał opór spustu detonatora.

Pierwsze eksplodowały ładunki rozmieszczone w wagonach, zaraz po nich amunicja do dział, a na końcu, z potwornym rykiem rozrywanego metalu i uchodzącej nagle pary, pękł potężny kocioł parowozu. Donnerwetter zakończył chwalebny służbę w olbrzymiej, czerwonej kuli ognia, zabierając ze sobą w ostatnią drogę legendarnego Sarreghusa.

– Kryć się!

Słyszając rozkaz i wymowny świst tnącego powietrze metalu, żołnierze kapitana von Steinberga skulili się na dnie okopów. Chwilę później na ich pozycję spadł deszcz odłamków, krwawych strzępów smoczego cielska oraz ciężkich złotych sztabek.

\*\*\*

– Znowu zaczynacie, Doenitz? – warknął zniecierpliwiony kapitan.

– Mówię tylko, że przed nami długa, a z racji bliskości Ostwaldu, także niebezpieczna droga. Powinniśmy ukryć gdzieś złoto i podróżować bez dodatkowego obciążenia.

– Proszę, idź i sam wytłumacz to naszym chłopcom! Myślisz, że przeszli przez to wszystko, by teraz zostawiać swoją nagrodę elfom!?

– Ale przecież i tak ją stracą! Dowództwo zarekwiruje wszystko, co tylko zdołamy stąd wynieść, chcąc pokryć straty, jakie przyniosła nasza misja! Wybieranie tego wszystkiego zajmie całe tygodnie! Zanim nasi tu dotrą, elfy już dawno wszystko wydziobią! Ponieśliśmy klęskę, kapitanie! Nikt nie powita nas jak bohaterów, będziemy mieli szczęście, jeżeli nie postawią nas przed sądem!

– Klęskę? – Kapitan von Steinberg ostatecznie stracił cierpliwość. Zerwał się z dna okopu i doskoczył do marudzącego podoficera, niemal stykając się z nim brodą twarzą. – Klęskę?! Wykryliśmy, a następnie zlikwidowaliśmy kreta oraz elfi spiszek, zabiliśmy smoka, uwalniając od niego Złotą Górę i na nowo otwierając drogę do jej skarbów! Nazywacie to klęską, chorąży?! – Dowódca dźgał pierś starszego chorążego ustnikiem fajki, boleśnie akcentując każde słowo.

– Nie zdołamy zabezpieczyć Złotej Góry przed zielonoskórymi! A rozpetną się po niej, gdy tylko zrozumieją, że ich pan i władca nie żyje!

– Akurat w tej kwestii macie absolutną rację, Doenitz! – Niespodziewanie zmarszczone oblicze dowódcy wygładził promienny uśmiech. – Powiedzcie mi w takim razie, kogo nasi dowódcy skierują do tego zaszczytnego zadania? – Ponieważ chorąży nic nie odpowiedział, kapitan odstąpił o krok do tyłu i z lubością zaciągnął się fajką. – Nie wiem jak wy, ale ja chwilowo nie mam nic lepszego do roboty!